

WOJCIECH CHMIELARZ

RYSZARD ĆWIRLEJ

GAJA GRZEGORZEWSKA

MARTA GUZOWSKA

JOANNA JODEŁKA

**JEDENASTU NAJLEPSZYCH POLSKICH AUTORÓW KRYMINAŁÓW,
JEDENAŚCIE MIEJSCOWOŚCI, Z KTÓRYCH KAŻDA NAZNACZONA JEST ZBRODNIĄ**

REWERS

ROBERT MAŁECKI

MARTA MIZURO

REMIGIUSZ MRÓZ

JOANNA OPIAT-BOJARSKA

MAŁGORZATA SOBIESZCZAŃSKA

MARCIN WRÓŃSKI



REWERS

REWERS



Copyright © Wojciech Chmielarz, Ryszard Ćwirlej, Gaja Grzegorzewska, Marta Guzowska,
Joanna Jodełka, Robert Małecki, Marta Mizuro, Remigiusz Mróz, Joanna Opiat-Bojarska,
Małgorzata Sobieszczańska, Marcin Wroński, 2016
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadzący: Filip Karpow
Redakcja: Katarzyna Gwincińska
Korekta: Lidia Wrońska-Idziak
Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/panczakiewicz art.design www.panczakiewicz.pl
Projekt typograficzny i łamanie: Mateusz Czekala
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-509-6

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

SPIS TREŚCI

Wojciech Chmielarz
BABCIA WIŚNIEWSKA

Ryszard Ćwirlej
PRZYPADKI CHODZĄ PO MIEŚCIE

Marta Guzowska
OSZCZĘDNOŚĆ

Joanna Opiat-Bojarska
MODUS OPERANDI

Remigiusz Mróz
PRZEZ CIEMNE OKULARY

Marcin Wroński
CZARCIA ŁAPA

Małgorzata Sobieszczkańska
SĄSIEDZI

Gaja Grzegorzewska
NIEDZIELNE POPOŁUDNIA

Robert Małecki
HORYZONT

Marta Mizuro
CHCIAŁA ŻYĆ

Joanna Jodełka
NIE CZYTAJ TEGO!

Wojciech Chmielarz

BABCIA WIŚNIEWSKA

Kiedy policja aresztowała babcię Wiśniewską, wkurwiło się pół Gliwic. Rozgrzały się telefony komórkowe we wszystkich dzielnicach. Informacja przechodziła z ust do ust, od SMS-a do SMS-a, za pomocą facebookowego messenger'a i gmailowych skrzynek. Temperatura rosła najpierw z minuty na minutę, a później z sekundy na sekundę wraz ze społecznym gniewem. Bo psiarnia psiarnią, ale i oni powinni wiedzieć, że ponad siedemdziesięcioletnią kobietę trzeba zostawić w spokoju. W pewnym momencie ktoś rzucił pomysł, żeby zebrać ekipę uzbrojoną w kije i łańcuchy i pójść pod komisariaty czy prokuraturę (w zależności od tego, gdzie ją trzymają) i zaprotestować przeciw tej jawnej niesprawiedliwości. A jeśli trzeba, to babcię uwolnić siłą. Ale nagle wszystko się uspokoiło. Telefony przestały dzwonić, maile płynąć, a z facebooka poznikali ludzie. Po mieście poszła bowiem plotka, że babcia Wiśniewska się spruła. A może chodziło o to, że był sobotni wieczór i wszyscy poszli na browar?

1.

Prokurator Adam Górnik nalał sobie kawy do kubka i zajął miejsce naprzeciwko komisarza Stefana Niemojskiego z wydziału kryminalnego Komendy Miejskiej Policji w Gliwicach. Niemojski był jednym z tych młodych i ambitnych policjantów, którzy szybko awansowali i traktowali swoją pracę śmiertelnie poważnie. Z tego powodu Górnik czuł z nim duchowe pokrewieństwo. Obaj wiedzieli, jak to jest wprowadzać trochę cywilizowanych standardów w skostniałych, zbiurokratyzowanych instytucjach.

Górnik upił kawy i rozejrzył się po pokoju. Normalnie wolał pracować u siebie, w prokuraturze. Ale ta sprawa była na tyle niezwykła i interesująca, że postanowił podjechać na ulicę Powstańców

Warszawy, do komendy. Ktoś to zresztą dobrze wymyślił, bo w promieniu niecałych stu metrów mieściła się policja, Sąd Rejonowy i areszt śledczy. Tylko Prokuraturę złośliwie ulokowano niedaleko dworca PKP, kilka kilometrów dalej.

Niemojski wyciągnął z przewieszanej na krześle kurtki elektrycznego papierosa. Podeszedł do okna, otworzył je szeroko i wsadził papierosa do ust. Nacisnął przycisk włączający, a dioda na końcu zapaliła się na pomarańczowo. Wciągnął głęboko dym w płuca, wpatrując się w stojący na pobliskim placu czołg. Teoretycznie był to pomnik upamiętniający walki z czasów II Wojny Światowej, praktycznie plac zabaw dla pobliskich dzieciaków. Górnik pamiętał, że wiele lat temu jacyś miejscowi hippisi wymalowali go całego w pacyfki i kwiaty. Stał taki kolorowy i niszczący przez wiele miesięcy, zanim przywrócono mu barwę wojskowej, zgniłej zieleni.

– To opowiesz mi, jak to było? – zapytał Górnik. – I po co otworzyłeś okno? Podobno to nie truje.

Niemojski wypuścił szarą smugę dymu z ust.

– Ale zapach zostaje. Chociaż mam wkład.

– Jaki?

– Kaktusowy.

– I jak to smakuje?

Policjant wyciągnął z ust papierosa i przyjrzał się, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

– Jak kaktus? – odpowiedział niepewnie i wzruszył ramionami.

Górnik uśmiechnął się. Odstawił kubek na biurko Niemojskiego, z trudem znajdując miejsce pomiędzy notatkami, szpargałami, zdjęciami i klawiaturą starego komputera, który buczał groźnie, jakby za chwilę miał stanąć w płomieniach.

– To opowiesz mi, co się dokładnie wydarzyło? – zapytał.

Niemojski kiwnął głową.

– Po to w końcu przeszedłeś, nie? – stwierdził oczywistą rzecz. – Kilka dni temu dostaliśmy informację, że na targowisku przy cmentarzu Lipowym handluje się narkotykami. To było coś nowego. Na bazarach można było dostać papierosy z przemytu, tanią wódkę, podrabiane ubrania. Czasami zdarzał się nawet jakiś rozbitek z przełomu wieków, który ciągle handlował pirackimi DVD. Narkotyki zdarzały się bardzo rzadko. Nie ta klientela.

– Mów dalej.

– Informator był bardzo konkretny. Podał stoisko. Godziny,

w których działa interes. I informacje, co znajdziemy. Gotowa realizacja.

– Co tam miało być?

– Trochę zieleniny, ale głównie dobra polska chemia. Amfetamina, ecstasy, 3mmc. Zielenina to prawdopodobnie import z Czech. Czyli generalnie petarda.

Prokurator doskonale rozumiał entuzjazm policjanta. Większość interwencji w związku z narkotykami to były drobne sprawy, takie jak zatrzymanie gówniarza z jednym skrętem. Ogłaszano to potem na stronach internetowych policji jako wielki sukces, z czego naśmiewało się później pół sieci. W przypadku akcji na bazarze było inaczej. Raczej nie trafią na czołówki ogólnopolskich gazet, ale było się już czym pochwalić.

– Dziwnie zaczęło się robić, jak pojawiliśmy się na miejscu – kontynuował policjant. Elektroniczny papieros zabulgotał cicho, kiedy się zaciągnął. Niemojski potrząsnął nim kilka razy. – Ekipa realizacyjna składała się z czterech osób. Wszyscy w cywilu, oczywiście, bo nikogo nie chcemy spłoszyć. W odwodzie mamy dwa patrole, które, jakby co, mogą nas wspomóc. Wchodzimy na targowisko. Dochodzimy do stanowiska. I co widzimy?

Górnik przetrzymał dramatyczną pauzę. Niemojskiemu opowiadanie tej historii sprawiało wyraźną przyjemność. Plotka głosiła, że kiedyś starał się o pozwolenie na wystąpienie w jakiejś TVN-owskiej czy Polsatowskiej *docudramie*. Według prokuratora – nadawałby się. Wysoki, przystojny, dobrze zbudowany. Brał udział w tych wszystkich idiotycznych konkursach na policjanta wrażliwego społecznie, najsilniejszego policjanta w Gliwicach i innych podobnych imprezach, które miały nadać funkcjonariuszom ludzką twarz w oczach społeczeństwach. Właściwie nie wiadomo, po co. Według Górnika ludzie powinni darzyć policjantów przede wszystkim respektem, może nawet się ich bać, a dopiero potem lubić. W każdym razie Niemojski pozwolenia albo nie dostał, albo wybrano kogoś innego i teraz swoje aktorskie ambicje realizował przed znacznie mniejszym audytorium. Obecnie – przed jednym prokuratorem.

– Widzimy, jak we wskazanej budzie siedzi sobie grzecznie starsza pani i sprzedaje tam serwety – dokończył Niemojski.

– Serwety?

– Serwety, obrusy, chusty, chusteczki, tanie tekstylia sprowadzane z Chin, które udawały ludowe rękodzieło. Do tego jakieś koszulki,

skarpetki. Wszystko tanie, tandetne i do wyrzucenia zaraz po kupieniu, jeśli chcesz znać moje zdanie. Do tego, możesz mi nie wierzyć, ale tak właśnie było, siedziała sobie na zydelku i dziergała na drutach szalik albo czapeczkę. Już miałem odwoływać całą imprezę, bo to przecież nie pierwszy raz, kiedy ktoś nas robi w ciula.

– Co cię powstrzymało?

Niemojski zamarł w dramatycznej pozie, ze zmarszczonymi brwiami i elektronicznym papierosem zawieszonym w połowie drogi do ust.

– Trudno powiedzieć – stwierdził po chwili. – Chyba to, że wiesz, mamy dzień targowy. Na bazarze ruch, harmider. Ten sprzedaje, ten kupuje, ktoś się targuje, kobieta za mną dopytuje się, skąd są jabłka i jak smakuje każdy rodzaj. A nasza babcia sobie spokojnie siedzi, robi tę swoją robótkę i fest leje na to, czy coś zarobi, czy nie.

Logiczne, pomyślał Górnik. Za budę na bazarze się płaci. Nikt nie przychodzi na targ, żeby wychodzić, będąc stratnym.

– Co dalej?

– No to trochę stoimy, jak te ciule, bo to jednak głupio wychodzić z blachą do starszej pani i jej przetrzepywać te szmaty. Tam po drugiej stronie ulicy jest stadion Piasta, cała okolica ozdobiona napisami, co się robi z policją, a sklepikarze to też nerwowe plemię. Podniesie się larmo, będziemy mieć awanturę i żadnego z tego pożytku. I wtedy widzę, jak do starszej pani podchodzi jeden taki ortalionowy rycerzyk. Drobnny chłopaczek, wygolony na łyso, kajdan na szyi, w uszach słuchawki od telefonu, szeleści przy każdym kroku. Wita się grzecznie, sięga do kieszeni, daje kobiecie zwitek banknotów. A ona mu taką zwiniętą chusteczkę. Niewielką, malutką, którą chłopaczek szybko wsadza do kieszeni. Po prostu oczom nie wierzyłem. Dałem sygnał. Zwinęliśmy chłopaczka i babcię z bazaru.

– Co mieli?

– Chłopaczek amfę. A babcia całą aptekę. Dokładnie tak, jak powiedział nam nasz tajemniczy informator.

Niemojski skończył palić. Wyłączył elektronicznego papierosa i schował go do kieszeni spodni. Zamknął okno i wrócił za biurko.

– Zidentyfikowaliście tego informatora? – zapytał prokurator.

– Nie. Dzwoniono do nas z budki telefonicznej.

– To jeszcze takie są? – zdziwił się prokurator.

– Jak widać są. Ta konkretna, na poczcie głównej naprzeciwko dawnego kina Bajka.

– Wiem, gdzie jest poczta. I wiem, że tam są kamery. Ściągnęliście

nagrania?

Policjant roześmiał się.

– Nie. Bo i po co? Serio uważasz, że mamy ścigać praworządnego obywatela, który poinformował nas o handlu narkotykami w swojej okolicy? Pamiętasz, że takie rzeczy można zgłaszać anonimowo.

Prokurator pamiętał. Ale źle się czuł, jeśli nie wiedział wszystkiego o sprawie, którą się zajmował. A tutaj szczególnie mu coś nie pasowało. Mogło się zdarzyć, że śląskie podziemie przestępcze załatwiało swoje porachunki policyjnymi rękoma. Tylko dlaczego mieliby im wystawiać starszą kobietę? Komu ona mogła przeszkadzać? Dlaczego zaczęli właśnie od niej?

– Będę musiał z nią porozmawiać – stwierdził Górnik.

– Oczywiście – odpowiedział mu policjant. – Tylko pamiętaj, musisz być bardzo ostrożny.

– Dlaczego?

– Pracuję w tej firmie od dziesięciu lat. Wiele widziałem i sporo przeżyłem. Dlatego wierz mi, bo wiem, co mówię. Nie spotkasz w swoim życiu równie czarującej staruszki.

2.

– *Uwaga! Będziemy przenosić ciężar z jednej strony na drugą. Dodajemy ramiona. Przód, przód. Dobrze! Jeszcze!* – wyrzucała z ekranu komputera Ewa Chodakowska, a Aldona malowała paznokcie u stóp.

W pokoiku tuż obok krzyczał mały Brajanek. Nie mogła się ruszyć, zanim lakier jej nie wyschnie. Zmarnowałyby tylko robotę i ubrudziła parkiet. Narastający płacz dziecka nie przeszkodził jej jednak zabrać się za kolejny paznokieć.

W drzwiach pokoju pojawił się Garfield. Spojrzał na żonę, na paznokcie, na włączone na laptopie DVD z Chodakowską.

– Zajmiesz się wreszcie małym? – zapytał surowo.

– To twój syn. Może ty się nim zajmiesz? – odpowiedziała.

Twarz mu stężała. Widziała, jak napina wszystkie mięśnie. A przynajmniej te, które nie zdążyły jeszcze zniknąć pod warstwą tłuszczu. Świadomie go podpuszczała. Była pewna, że kiedyś ją uderzy. Czekwała na to. I na to, aż wreszcie znajdzie sobie jakąś młodszą dupę, którą będzie obracał. Aldona miała bowiem jasno

sprecyzowany cel życiowy i konsekwentnie do niego dążyła. Krok pierwszy – znaleźć takiego chłopca, który zapewni jej życie na poziomie. Takiego z jajami, twardego, którego się będą bali i który zrobi dla niej wszystko.

Padło na Garfielda. Faceta z Sośnicy, który na koncie miał już jeden wyrok i parę lat w poprawczaku. A oprócz tego głowę do interesów, ludzi, którzy dla niego robili, dwa sklepy monopolowe i jedną budę z hamburgerami. Kiedy wreszcie ją zauważył w jednej z gliwickich dyskotek, była zachwycona. Ale też nie głupia. Nie dała mu od razu, jak inne. Musiał się postarać, nabiegać, nakupować jej butów, torebek, koszulek, naszyjników. Pozabierać w modne miejsca, postawić drinki. Spodobała mu się taka niedostępna. Chociaż wiedziała, że nie mogła przesadzić. Strasznie pilnowała, żeby nie przegapić tego momentu, kiedy miał już jej prawie dość, kiedy miał już machnąć ręką, podsunąć ją jakiemuś swojemu ziomkowi. A kiedy ta chwila była tuż, tuż, pozwoliła mu się przelecieć.

Było przyjemniej niż się spodziewała.

Kiedy już była jego kobietą, pilnowała, żeby przesadnie się nie nudził. Grała na jego emocjach. Czasami była przylepą, a kiedy indziej zimną suką. Trzymała go w niepewności, żeby Garfield musiał się o nią starać. Pozwalała się podrywać różnym typkom w barach i prowokowała wybuchy zazdrości. Wszystko zwała potem na Bogu ducha winnych chłopców. Prawie zawsze kończyło się to pobiciem. Raz nawet bardzo poważnym. Koleś wylądował w szpitalu, prokuratura wszczęła sprawę. Garfield załatwił to tak, że nikt nic nie widział. Przynajmniej oficjalnie. Ona też do końca nie wiedziała, co się stało tamtego wieczora. Tyle tylko, że Garfield trochę nerwowo chodził przez kilka dni i nawet nie chciał, żeby mu laskę zrobiła. Rzecz jednak rozeszła się po kościach.

Po kilku miesiącach, kiedy czuła się wystarczająco pewnie, przyszedł czas na realizację drugiego etapu planu. Potajemnie odstawiła pigułki antykoncepcyjne (a Garfield oczywiście prezerwatyw nie uznawał). Udało się za trzecim razem i dziewięć miesięcy później urodził się Brajanek. Odstawiła szopkę, płacz, łzy, próby samobójcze (zupełnie udawane) i jeszcze przed porodem wzięli ślub.

Teraz czekał ją etap trzeci. Ukoronowanie jej wieloletniego planu – rozwód. Niech no Garfield zajmie się innymi suniami, porucha z kolegami, pochodzi na dziwki, złapie nawet jakiegoś syfa. W domu robi mu piekło, Brajanek swoje dołoży, bo irytujący był z niego

bachor, i będzie pozamiatane. Ona weźmie dzieciaka, dostanie alimenty i do końca życia nie będzie musiała nic robić. No, przynajmniej do momentu, kiedy Brajanek nie skończy osiemnastu lat. Ale to było tak daleko, że nawet nie chciało się jej o tym myśleć. Tyle się mogło wydarzyć do tego czasu. Może jakąś szkołę skończy, jak już będzie miała własną flotę? Otworzy salon kosmetyczny? Na malowaniu paznokci się przecież nieźle znała.

– Bierz Brajana – warknął.

– Garfield – powiedziała przeciągając samogłoski. Wiedziała dobrze, że od pewnego czasu nie lubił swojego starego przezwiska. Pozował teraz na poważnego biznesmena. – Paznokcie mam mokre! Nie widzisz?!

Obserwowała, jak rośnie w nim wewnętrzny wkurw. Zawsze wtedy jego oczy robiły się zamglone, a czubki uszu intensywnie czerwone. Z daleka można je było nawet pomylić z dwoma małymi diodami. I, trochę wbrew sobie, przestraszyła się.

– *I w drugą stronę. Kolana lekko ugięte, nie prostuj kolana. Jeszcze kilka ruchów i zabieramy się do katorżniczej, ale niezwykle przyjemnej pracy* – kontynuowała niezrażona Chodakowska.

Jednak nic jej nie zrobił. Pomyślała, że zcipiał przez ostatnie lata i uśmiechnęła się złośliwie. Wszedł do pokoju wrzeszczącego Brajanek. Usłyszała, jak podnosi go z łóżeczka i zaczyna nucić swoim chropawym głosem kołysankę. Po chwili chłopczyk zagruchał radośnie, czemu towarzyszyło zadowolone sapnięcie dumnego taty. Wtedy rozdzwonił się dzwonek do ich mieszkania.

– Kurwa! Aldona, leć otworzyć.

– Paznokcie – przypomniała mu, zastanawiając się, czy nie przeciąga struny.

Ale chyba nie. Był raczej w dobrym humorze. Brajanek tak na niego działał. Zawsze była zdziwiona z jaką delikatnością i czułością Garfield odnosi się do chłopczyka. Jeszcze trochę i mu mleko zacznie z cycków lecieć. Usłyszała, jak otwiera drzwi i wzdycha nagle wkurzony.

– Czego?

– Jest sprawa – odezwał się, ktoś po drugiej stronie.

Aldona znała ten głos. Należał do Kiszego. Kiszy był młody i bezczelny. Kiedy niedawno w bójce stracił górną dwójkę, kazał wsadzić sobie złoty implant. I był gotów wpierdolić każdemu, kto się z tego powodu śmiał.

– Nie możesz przez telefon?

– No, raczej nie.

Garfield wszedł do pokoju, gdzie właśnie Chodakowska prezentowała kolejne ćwiczenia. Wcisnął Aldonie Brajanka, który natychmiast spróbował chwycić matkę za włosy.

– Ej! – zaprotestowała.

– Ryj! – warknął tylko i od razu zrozumiała, że lepiej się nie odzywać.

Co się działo między nimi, zostawało w czterech ścianach. Ale przed pracownikami Garfield musiał trzymać fason. Trzasnął drzwiami tak głośno, że nawet Chodakowska na chwilę się zamknęła.

Aldona odczekała moment. Położyła Brajanka na tapczanie, dała mu do ręki leżący nieopodal długopis, żeby się pobawił, i podkradła się pod drzwi.

– ...i psiarnia ją zwinęła – mówił Kiszy.

– Ile miała?

– No, tak za dziesięć patoli.

– Za dziesięć? Kto jej, kurwa, tyle dał?

– Myśmy dali. Wszystko jej schodziło.

– A komu to ona niby sprzedawała?! Kółku różańcowemu?!

– Jak dla mnie, to ona se to mogła sama łykać. Ale dużo brała, wszystko wypuszczała i nie było problemów z płaceniem. Co do grosza. Raz nawet, jak się pomyliliśmy o tysiąka, to potem sama przyniosła, bo jej się w rachunkach nie zgadzało.

Garfield zaczął stukać zaciśniętą pięścią we framugę.

– Dobra. Ale tak na poważnie, komu ona to puszczała?

Chwila ciszy, kiedy Kiszy zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Ziomkom, szefie. Wie pan, taka starsza pani. Kto by ją sprawdzał? Mogła nosić przy sobie dużo dropsów i nikt się nawet nie zainteresował. A nawet jeśli, to by powiedziała, że na serce. Jak trzeba było komuś w sobotnią noc dowieźć, to się dzwoniło po babcię. Jak ktoś chciał kupić więcej, to jechał do babci.

– Do niej do domu?

– Albo na bazar. Ale na kwadrat też ziomy wpadali. Ona taka, kurwa, śmieszna była. Zawsze serwetka, ciasteczko, herbatka. Jednego zioma to nawet na zupę zatrzymała, bo jej marnie wyglądał.

Znowu chwila ciszy. Głuche westchnięcie.

– Dychacz to dużo, ale, kurwa, da się przeżyć. Ile wiedziała?

Kisza się zachnął.

– Nic nie wiedziała. Przecież kto by coś takiej babci mówił.

– To dobrze.

Kolejny moment milczenia, który przerywało tylko gaworzenie Brajanka i Chodakowska w komputerze. Przyciskała ucho do futryny, starając się wyłowić każde słowo.

– Ale jest jedna sprawa – zaczął Kiszy.

– No?

– Ziomki mówią, że fajnie by jej było załatwić jakiegoś najmimordę. Wie pan, chłopaki bardzo ją polubili.

Nie słyszała już odpowiedzi Garfielda. Wydało jej się, że mąż ją zauważył, więc szybko wróciła na kanapę.

Po chwili wszedł do pokoju. Był ponury i wyraźnie rozzłoszczony. Ten stan się pogłębił, kiedy zobaczył Brajanka.

– Coś ty mu, kurwa, zrobiła, Dona?!

Zerknęła na syna. Jego cała buzia była niebieska od długopisowego tuszu. Ale on sam uśmiechał się szeroko.

– Zabierz mu to i mordę mu porządnie wyszoruj – warknął i poszedł do siebie.

W komputerze Chodakowska gratulowała dobrze wykonanej serii ćwiczeń.

3.

Górnik był cierpliwym prokuratorem. Począł, aż policyjni wywiadowcy zrobią swoje i po kilku godzinach miał na biurku pełen życiorys zatrzymanej kobiety. Powstał na podstawie oficjalnych danych z państwowych rejestrów oraz rozmów odbytych z sąsiadami. Wszyscy, jak jeden mąż, byli zszokowani, kiedy dowiedzieli się, że babcia Wiśniewska została aresztowana. Prędzej spodziewali się, że to jej się coś stało albo że to jest jakaś pomyłka. Mimo to chętnie o niej opowiadali. Bo to złota kobieta była, chociaż srogo doświadczona przez życie.

Wszedł do pokoju przesłuchań, gdzie już na niego czekała. Wiśniewska była siedemdziesięcioletnią kobietą o twarzy pomarszczonej jak przejrzałe jabłko i spracowanych, dużych dłoniach chłopki. Miała na sobie czarną spódnicę do kostek i zielony, wełniany sweter zapięty po samą szyję na malutkie, lśniące guziki. Siwe włosy, długie do ramion, spięte miała kłamrą w lamparcie cętki.

Na widok wchodzącego Górnika uśmiechnęła się ciepło, odsłaniając rząd drobnych, szarych zębów, a w jej oczach zalśniły iskierki

autentycznej radości.

– Pan sobie siądzie, młody człowieku – powiedziała, wskazując mu krzesło. – Musi być ci ciężko z tą taszą.

Górnik przystanął. Takie powitanie było czymś nowym w jego karierze. Zazwyczaj podejrzani witali go wrogim, ponurym milczeniem lub stekiem przekleństw pomieszanych z groźbami. Zajął wskazane miejsce.

– Pani Jadwiga Wiśniewska, lat siedemdziesiąt pięć, zamieszkała przy ulicy Horsta Bienka.

– To ja.

– Będzie pani oskarżona na podstawie artykułu 59 ustęp 1 ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii.

– Ojej... To poważne, prawda?

– Prawda – przyznał. – Grozi pani do dziesięciu lat więzienia.

Jej usta wygięły się podkowę, a oczy zalśniły łzami.

Po przeczytaniu jej życiorysu Górnik był zaskoczony, że kobieta potrafiła ciągle płakać. Wychowała się pod Gliwicami, w jednej z okolicznych na wpółrolniczych miejscowości. Jej rodzice trafili tutaj po wojnie. Prowadzili małe gospodarstwo, ojciec pracował w kopalni. Wydawało mu się, że złapał Pana Boga za nogi. Miał górnicze przywileje, dostęp do specjalnych sklepów i rozmaite bonusy, a robotę bezpieczną, bo pracował na powierzchni. Przynajmniej tak się wydawało aż do dnia, kiedy uderzył w niego rozpędzony wózek z węglem. Zginał na miejscu. Jadwiga Wiśniewska, jako najstarsze dziecko, musiała wziąć na siebie ciężar utrzymania rodziny. Ale nie trwało to długo, bo wkrótce zaszła w ciążę. Przeprowadziła się z mężem do miasta. Urodziła córkę. Małżonek okazał się typowym niebieskim ptakiem. Dużo pił, grał w karty, a właściwie w nie przegrywał. Milicja często zatrzymywała go za różne drobniejsze sprawy. Częściej wylatywał z pracy niż rzeczywiście pracował. Z konieczności Jadwiga musiała znowu wziąć się za zarabianie pieniędzy. Zajęła się drobnym handlem i nawet jakoś jej to szło. Nie na tyle, żeby czegokolwiek się dorobić, ale na tyle, żeby jakoś utrzymać się na powierzchni. A bywało ciężko, bo jej własny mąż ją okradał, żeby mieć na wódkę, papierosy i spłatę długów. Wytrzymała z nim do końca, ale na szczęście zmarł szybko, bo w wieku lat pięćdziesięciu pięciu. Córka, początkowo jej oczko w głowie, ukochane dziecko, wychuchane, ozłocone, szybko poszła w ślady ojca. Najpierw młodzieńczy bunt, potem złe towarzystwo, picie, palenie, narkotyki, szybka ciąża. Umarła w wieku

lat dwudziestu trzech w nie do końca jasnych okolicznościach. Oficjalnie przedawkowała, ale niektórzy sąsiedzi podejrzewali samobójstwo. Podobno tuż przed śmiercią dowiedziała się, że ma AIDS. W latach dziewięćdziesiątych była to najgorsza choroba, jaką można sobie wyobrazić. I tak Jadwiga Wiśniewska została sama jak palec z małym wnukiem na wychowaniu. Zawzięła się w sobie i jakoś dała radę. Chłopak ładnie rósł i, o dziwo, bardzo przyzwoicie się zachowywał. Dobry, grzeczny, uczynny, przez wiele lat harcerz. Pewnego dnia potrafił go samochód. Skończył z przetrąconym kręgosłupem i licznymi obrażeniami narządów wewnętrznych. Nie mógł się ruszać. Ledwo oddychał. Nie mówił. Nie wiadomo, czy to dlatego, że nie potrafił, czy dlatego, że mózg też nie pracował. Po tym, jak jego stan się ustabilizował, Jadwiga Wiśniewska wzięła go do domu i czule się nim opiekowała. Nie dało się jej nie współczuć. Jej życie wyglądało jak reportaż Elżbiety Jaworowicz do kwadratu.

– Będzie pani potrzebowała adwokata – powiedział Górnik. – Jeśli nie ma pani własnego, zostanie pani przydzielony z urzędu.

– Oj tam, a po co mi jakiś mądrala. Taki to tylko więcej szkody narobi niż pożytku – stwierdziła, machając ręką.

Prokurator zamrugał dwa razy. Pomyślał, że Wiśniewska albo nie rozumie, co się dzieje, albo będzie próbowała zgrywać niepoczytalną. To drugie wyjście wydawało mu się bardziej prawdopodobne, ale zawsze, kiedy spotykał się z taką sytuacją, czuł głęboki niesmak. Było w takim zachowaniu coś strasznie niehonorowego, czego nie potrafił zaakceptować. Nawet u ludzi, którzy często byli oskarżani o wyjątkowo paskudne czyny.

– Pani chyba nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji – zaczął ostrożnie. – Pozwoli pani, że pani wyjaśnię.

– Ale nie traktuj mnie, chłopcze, jakbym głupia była – odezwała się babcia. – Co ty myślisz, że ja nie wiem, co zrobiłam? Tyle się przecież o tych narkotykach teraz mówi. W radiu, w telewizorze, w gazetach, chociaż ja to akurat gazet nie czytam. A szczególnie to tej, „Wyborczej”. Myślisz, że ja nie wiem? Ja wiem. Ja dobrze wiem. Ile ja z tego powodu nieprzespanych nocy miałam?! Ty sobie nawet tego nie wyobrażasz. Tylko leżałam w nocy i z boku na bok, z boku na bok. Aż się zastanawiałam, czy sama nie powinnam tych pigułek zażyć, ale one chyba inaczej działają. I trwało to, i trwało, aż się stało, co się stało.

Westchnęła ciężko i ramiona opadły jej żałośnie w dół.

– Niczego się nie będę wypierać – dodała. – Ja nie z tych. Nie tak

mnie rodzice wychowali.

– Skoro pani wiedziała, co robi, to dlaczego to pani robiła? – zapytał.

Wiśniewska nie odpowiedziała od razu. Siedziała bez ruchu i Górnik pomyślał, że musi być jej tu niewygodnie. Szczególnie, że czekała na niego kilka godzin. Zastanawiał się, czy ktoś w ogóle zaproponował jej kawę, herbatę lub chociaż wodę. Miał ochotę przynieść jej teraz poduszkę albo kocyk.

– Mój wnuk jest niepełnosprawny – odezwała się po chwili. – Po wypadku.

– Czytałem o nim.

– To wiesz, chłopcze. A rehabilitacja kosztuje. Pielęgniarka, żeby przychodziła częściej. Bo ja już jestem stara. Pieluchy mu nie zmienię, przynajmniej nie za każdym razem. Czasami jestem taka słaba, że nawet jak się sfajda, to leży w tym gównie, aż pielęgniarka przyjdzie. No i masażysta do wymasowania nóg i ramion, żeby nie było odleżyn. Tego to ja też nie zrobię. Kobieta od ćwiczeń. Lekarstwa. Ubrania, bo przecież nie przystoi, żeby cały dzień nagi leżał. Chociaż pidżama mu jest potrzebna! A ja, ile zarabiam? Grosze na tym bazarku. I grosze z emerytury. Z opieki też grosze. Tyle tego jest, że ledwo na mieszkanie starczy i jedzenie. A o chłopaka trzeba zadbać.

– Mogła go pani oddać do domu opieki. Na pewno znalazłaby pani jakąś placówkę, w której by go przyjęli ze względu na pani sytuację.

– Oddać? – zapytała oburzona. – Jak psa do schroniska? Własnego wnuka? Oj, nie. Nie mogłabym. Nigdy. Ze wstydu bym się spaliła, jakbym coś takiego zrobiła.

Zamilkła na chwilę.

– Ale teraz chyba będę musiała – stwierdziła.

Górnik miał dość taktu, żeby tego w żaden sposób nie skomentować. Miał świadomość, że cokolwiek powie, sprawi starszej pani przykrość.

– Pójdę do więzienia? – zapytała.

– Myślę, że tak. Ale na jak długo, a może uda się wywalczyć pani karę w zawieszeniu, to zależy tylko od pani. I tego, co mi pani teraz powie.

– A co mam powiedzieć? Wszystko powiedziałam.

– Na przykład to, od kogo dostawała pani narkotyki.

– O takie rzeczy panu chodzi! A to niech pan pyta.

Zadał jej jedno pytanie. Potem kolejne. A potem jeszcze jedno. Odpowiedzi słuchał z rosnącym niedowierzaniem. Bo jeśli wszystko, co mówiła ta starsza pani było prawdą, miał w rękach prawdziwy skarb.

Musiał się z nim tylko ostrożnie obchodzić.

4.

Szef nie zareagował pozytywnie na propozycję, żeby zebrać pieniądze na adwokata dla babci Wiśniewskiej. Ale też nie zabronił tego robić, więc Kisza wziął się sam do działania. Zadzwoił do paru ziomów, powiedział, jaka jest sprawa i czego oczekuje. Ku jego zaskoczeniu odzew był jak pod Grunwaldem. Nie było żadnego smętnego pierdolenia, wykręcania, kombinowania. Padało tylko jedno konkretne pytanie: „Ile?”.

Ziomkowie przychodzili do niego do chałupy. Dawali tyle, ile który mógł. Dwie stówki, stówę, jeden to nawet pięć. I to bez żadnej spiny. Nikt nie sugerował, nawet żartem, że Kisza zatrzyma tę kasę, całą lub w części, dla siebie. Wszyscy zakładali, w ataku jakiejś dziwnej uczciwości i wzajemnego zaufania, że jeśli chodzi o babcię Wiśniewską, to nie będzie podpierdalania. Bo w tym szalonym świecie jakieś zasady muszą być. I Kisza to rozumiał. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby coś ze stale rosnącej kupki w jego szufladzie uszczknąć dla siebie.

Okazało się, że babcia Wiśniewska była w ich środowisku instytucją. Kisza nawet nie wiedział, że tyle ziomów ją znało i tylu u niej bywało. Każdego podejmowała ciasteczkami i herbatką. Tym, co do których była pewna, że są pełnoletni, częstowała czasami nalewką z wiśni. Strasznie słodką i gęstą jak syrop. Mówiła, że to od rodziny ze wsi i że jest zdrowa.

Opowiadała o sobie. Że pieniędzy mało, że musi dużo pracować, że zdrowie nie takie, bo ją łupie w krzyżu, ale najbardziej to przed deszczem. Ale nie była taka jak te babsztyły, które przysiadują całymi dniami po przychodniach i kościelnych ławach. Nie pytowała non stop. Dało się do niej przyjść, usiąść przy stole i chwilę pogadać o życiu.

Była jak własna babcia, która czekała na nich z dobrym słowem i kawałkiem sernika.

Nigdy ich nie oceniała. Można było do niej przyjść na ciężkim kacu, śmierdząc fajami, z przekrwionymi oczyma po wczorajszym melanżu, a ona tylko się uśmiechała i szykowała maślanek, wodę z ogórków kiszonych i jajecznicę. A do tego garść tabletek z domowej apteczki

i kilka opowieści o tym, jak to ona balowała, kiedy była w ich wieku.

Pewnej soboty, przed południem, Kisza przyszedł do niej po całonocnej imprezie. Zamierzał zostawić paczkę tabletek, które wieczorem miał odebrać kolo z Zabrze i rozprowadzić w tamtejszych klubach. Babcia dała mu coś do picia i kanapeczki z pomidorem i rzodkiewką, bo słabo jej wyglądał. Nie pamiętał dokładnie, co się potem wydarzyło, ale obudził się, kiedy na zewnątrz było już ciemno. Leżał na kanapie, przykryty ciepłym kocem. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Poderwał się, gotów do bijatyki, pewien, że go ktoś porwał. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że ciągle jest u babci Wiśniewskiej. Siedziała w fotelu i robiła na drutach. Na taboreciku obok czekała na niego szklanka z wodą i coś do jedzenia.

– Kiepsko się poczułeś synku – powiedziała Wiśniewska, kiedy zorientowała się, że się już obudził. – Taki blady byłeś. No, jak śmierć zupełnie. No, wybacz, kochanie, ale nie mogłam cię puścić. No, nie mogłam. Jeszcze byś mi tu gdzieś zemdlął i byłoby nieszczęście.

– Taak...

Ciągle czuł się zdezorientowany. Kręciło mu się w głowie. Instynktownie sprawdził, czy ma wszystkie swoje rzeczy. Portfel i komóra były na swoim miejscu, więc natychmiast zrobiło mu się strasznie głupio.

– Chciałeś iść, ale ja nie pozwoliłam – kontynuowała babcia Wiśniewska. – Trochę się obruszyłeś, ale zaprowadziłam cię na kanapę i położyłam. Natychmiast zasnąłeś, kochanie.

Nic z tego nie pamiętał. Ale w sumie nie powinien się dziwić. Dużo wczoraj wypił. Jeszcze więcej wypalił. Do tego amfa, która trzymała go na nogach, ale w końcu musiała puścić.

– Chyba muszę cię przeprosić – powiedziała cichutko babcia. – Dzień ci zepsułam.

– Nie, nie... Nic się nie stało – uspokoił ją. Potarł twarz.

– Strasznie ci telefon dzwonił. Taką melodyjką. Wulgarną.

Zaczerwienił się.

– To taki tam, hip-hopowy kawałek.

Spojrzał na wyświetlacz. Faktycznie miał prawie dwadzieścia nieodebranych połączeń. Większość w interesach. Czekало go sporo dzwonięnia, ale nie żałował tej drzemki. Przynajmniej miał czysty umysł. Kto wie, jakich głupot by nagadał, gdyby się porządnie nie przekimał.

– Oj, ale nie przejmuj się, kochanie. Co ty myślisz, że ja brzydkiego

słowa nigdy nie słyszałam? Ty wiesz, co przekupy na targu mówią. Uszy by ci odpadły, kochany.

Kiedy to powiedziała, przypomniał sobie, że był dzień targowy. Skoro przy nim siedziała i się nim opiekowała, to straciła dzienny utarg. Żeby jej to wynagrodzić, chciał jej dać dwieście złotych. Nie przyjęła. Kiedy nalegał, prawie wygonił go z mieszkania. Położył więc jej pieniądze pod kryształowym wazonem w przedpokoju, kiedy nie widziała. Potem wyszedł, zanim się zorientowała, co zrobił.

Po jednej z kolejnych wizyt, ponad tydzień później, ze zdziwieniem znalazł w swoim portfelu dwa dodatkowe banknoty stużłotowe. Nawet nie wiedział, kiedy zdążyła mu je podrzucić i jak to zrobiła, że się nie zorientował.

Taka właśnie była babcia Wiśniewska.
Święta kobieta.

5.

– I po co wam to było, pani Jadziu? – zapytał ksiądz Paweł.

Był młody. Ledwie kilka lat po seminarium. Przystojny. Kobietom się podobał i o tym wiedział, ale też nic z tym nie zrobił. Ostrożny był niesłychanie, tak się zachowywał, że wszystkie plotki ucinął w zarodku. Jedyna jego słabość to taka, że lubił w piłkę z chłopakami pograć. Gdyby mógł, to by każdą wolną chwilę na boisku spędzał. Babcia Wiśniewska go nie lubiła. Strasznie przemądrzały był, a co on tam wiedział o życiu. Tyle, co się w seminarium nasłuchał. Czyli nic. Do tego mówił do niej protekcyjnym tonem i po imieniu. A nie przypominała sobie, żeby bruderszaft wypili. Starszy ksiądz, ten, co był przed nim, to co innego. Mądry facet, blisko pięćdziesiątki. Misjonarzem był w Afryce, najeździł się po świecie. Wszystko rozumiał w pół słowa, a do starszych to tylko z szacunkiem podchodził. Prawdziwy dżentelmen w sutannie. Przenieśli go gdzieś, gdzie miał być proboszczem i dali w zamian tego młokosa.

Ksiądz Paweł przyjechał po nią, kiedy prokuratura postanowiła zwolnić ją z aresztu. Uznali, że nie ma obawy ucieczki ani mataczenia. Poza tym współpracowała z organami ścigania. Oddali jej wszystkie rzeczy. Nawet złoty łańcuszek, chociaż bała się, że go ukradli. Ksiądz już na nią czekał przy wyjściu z aresztu śledczego i pomógł wsiąść do szarego fiata punto. Gdy odjechali kawałek, zadał wtedy to swoje

pytanie.

I co ona miała mu odpowiedzieć, zastanawiała się. Co by nie powiedziała, chłopaczek i tak nie zrozumie.

– Oj, zdarzyło się, proszę księdza.

Duchowny nie był zadowolony z tej odpowiedzi.

– Zdarzyło się? Jadzi się zdarzyło? Zdarzyć się może talerz z zupą zbić, a nie takie rzeczy! – wyrzucił z siebie oburzony. – Czy Jadzia zdaje sobie sprawę z tego, co zrobiła?

Słyszała, że w tym pytaniu, rzucał jej linę ratunkową. Mogła się przyznać, że jest starszą panią, że nie rozumiała, że robi coś złego. Że totalnie się pogubiła i myślała, że tylko pomaga sympatycznym młodym ludziom. Aż się złość z tej bezczelności młodego księdza w niej zebrała.

– Jadzia to do mnie mówiła tylko matka nieboszczka – wypaliła. – I mąż, też nieboszczyk! A dla księdza to ja jestem pani Wiśniewska, a jak nie, to zacznę do księdza Pawełku mówić. Zresztą ksiądz to się sam jak dziecko zachowuje. Tylko za tą piłką biega. Nie księdzu mnie pouczać!

Otworzył usta, ale, speszony, nie zdołał wydobyć z siebie żadnego słowa. Dopiero po chwili odważył się odezwać.

– Jadzia... Pani Wiśniewska – poprawił się od razu – proszę mi wybaczyć, ale moim obowiązkiem jako duszpasterza jest upewnić się, że pani wie, co się dokładnie wydarzyło.

– A co mam nie wiedzieć!?! Wiem. W areszcie byłam. Nawet miło. Już wiem, czemu mój stary tyle razy tam lądował.

– Z takimi zarzutami... – zawahał się. – Pan prokurator mówi, że to dobrze, że pani z nimi współpracuje, ale podobno tyle pani tego miała, że i tak może pani w więzieniu skończyć.

– No to może skończę – powiedziała butnie.

– A co się wtedy stanie z Mariuszem? – zapytał.

To był jej czuły punkt. Słabiej się jej zrobiło, kiedy przypomniał jej o wnuku. W czasie pobytu w areszcie starała się o nim nie myśleć, chociaż było trudno. Jej ciało działało jak dobrze naoliwiony mechanizm. Pamiętało, że o tej porze trzeba do Mariusza zajrzeć i dać mu coś do picia, a o tej leki. Wiedziała też, kiedy włączyć mu telewizor, a kiedy była jego ulubiona audycja w radiu. To znaczy, nie mogła być tego pewna, bo przecież kontaktu z nim nie było żadnego, ale miała wrażenie, że kiedy jej słuchał, to taki bardziej czujny się robił. Brakowało jej też ich rozmów. Przychodziła do niego zawsze na pół

godziny rano i na pół godziny wieczorem. Rano siadała ze słabą kawą zalewajką (lekarz zabronił jej w ogóle pić kawę, ale nie potrafiła z niej zrezygnować), a wieczorem z herbatką. Opowiadała mu, co się wydarzyło, jak minął jej dzień, co planuje. Wydawało się jej, że nie tylko ją słyszał, ale nawet rozumiał. Czasami stękał, jakby próbował jej odpowiedzieć.

– Podzwoniłem trochę – odezwał się ksiądz. – Wydaje mi się, że uda nam się znaleźć dla niego miejsce w jednym domu opieki prowadzonym przez siostry zakonne.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Nie spodziewała się, że o tym pomyślał. Ludzie wiedzieli, w jakiej jest sytuacji. Ale rzadko pomagali.

– Dziękuję księdzu.

– I jeszcze jedno, pani Wiśniewska – powiedział duchowny. Na chwilę puścił jedną ręką kierownicę, żeby poprawić sobie kołnierz koloratki. Cisnął go, bo pod spodem dostrzegła ciemno czerwoną pręgę.

– Tak, proszę księdza?

– Nie wiem, czy to dobre miejsce na taką rozmowę, ale pani Wiśniewska, pani się u mnie spowiadała.

Tak było. Woląca spowiadać się u proboszcza, ale do niego często była kolejka. Była zbyt zmęczona, żeby w niej stać. Poza tym w mieszkaniu czekał na nią Mariuszek. Szła więc tam, gdzie było szybciej.

– I nigdy mi pani Wiśniewska się z tego nie wyspowiadała.

Kolejny raz mówił prawdę. Ciężyło jej to, ciężyło. Nawet się raz prawie złamała, żeby o tym opowiedzieć, ale jednak nie mogła. Coś głęboko w niej jej nie pozwalało. Trudne miała życie. Niełatwe. Ale o jednym każdy zaświadczy – uczciwe. Była z tego dumna. Jak się mogła teraz tego wyrzec? Przyznać, że to kłamstwo. Nawet w konfesjonale, księdzu, pod tajemnicą spowiedzi – nie potrafiła.

– A potem, pani Wiśniewska – ciągnął ksiądz Paweł – widziałem, że przystępowała pani do Najświętszego Sakramentu. Ale tak nie było można. Nie była pani w stanie łaski uświęcającej. To było świętokradztwo, pani Wiśniewska.

Akurat podjechali przed jej dom. Przemyśliwała o tym, co właśnie usłyszała.

– Jezus mi wybaczy – powiedziała wreszcie i wysiadła z samochodu.

Przyszli o szóstej rano. Punktualnie jak zegarku.

Najpierw głucho łupanie do drzwi, jakby jakiś pijak pomylił mieszkania. Potem jeszcze jedno, głośniejsze, mocniejsze i trzask wyłamanych z futryny drzwi.

Później był już tylko hałas. A przynajmniej Aldona tak to zapamiętała. Ubrani na czarno policjanci. Cali w kostiumach, jak z filmów, z twarzami zakrytymi chustami i wielkimi hełmami, jakby szli walczyć w powstaniu. I takie śmieszne ochraniacze na kolanach, jakie noszą dzieciaki na deskorolkach. Tylko ciemne, jak skorupa żółwia, a nie jasne. W dłoniach broń. Karabinki i strzelby. Ale przede wszystkim – krzyk.

– Policja! Na ziemię, kurwa! Wszyscy na ziemię!

Garfield zdążył się tylko podnieść. Rano zawsze mu się ciężko wstawało. Mrugał oczyma, jakby myślał, że to jest ciągle sen. Jeden z policjantów chwycił go za ramię. Bandyta szarpnął się i zamachnął. To był odruch, nic więcej. A sam ruch był powolny. Robak w zupie jest szybszy. Funkcjonariuszom tyle wystarczyło. Wyrwali Garfielda z pościeli. Rzucili na ziemię, jeden przysiadł mu na plecach, aż zatrzeszczał kręgosłup, i założył kajdanki. I Garfield leżał tak, w samych majtkach, z twarzą wgniecioną w dywan.

Aldona patrzyła na to wszystko przerażona. Jeden z policjantów stał tuż przy niej. Twierdził potem, że broń miał opuszczoną, chociaż gotową do użycia – w końcu byli w mieszkaniu groźnego przestępcy. Ona zapamiętała, że do niej celował. Siedziała zakryta do połowy cienką kołdrą, w koszuli nocnej z opadającym ramiączkiem tak, że niemal widać było jej cycki, i wpatrywała się w ciemne oko lufy.

Biegali po całym mieszkaniu, krzycząc do siebie słowa, których nie rozumiała. Z powodu tych masek mamrotali tak, że się po prostu nie dało. W pokoju obok Brajanek darł się w niebogłoso. Niemal go widziała. Całego czerwonego, zaślinionego, z twarzą lśniąca od łez i bijącego powietrze małutkimi piąstkami. Z piersi pociekło jej mleko.

Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale teraz, w tej właśnie chwili niczego nie pragnęła bardziej niż pójść do niego, wyjąć z łóżeczka, przytulić i poczuć zapach jego maleńkiej główki, delikatnych włosków i miękkiej skóry.

Była jak na głodzie.

Podniosła się, bo chciała do niego iść, ale funkcjonariusz, ten, który cały czas do niej celował, pchnął ją tak, że wylądowała tyłkiem na

tapczanie, a plecami uderzyła o ścianę.

– Siedzisz i się nie ruszasz! – wrzasnęła, chociaż w jego ustach brzmiał to jak „Ssiciszi szie nie rszasz”.

– Dziecko! Brajanek! – wyrzuciła z siebie te dwa słowa. Cała się trzęsła.

– Dajcie jej, kurwa, iść do dzieciaka! – wykrzyknął leżący Garfield. – Dajcie jej iść do syna!

– Zamknij się.

– Dajcie jej, bo was dorwę! Dajcie jej, bo was zapierdołę!

Pilnujący Garfielda funkcjonariusz kucnął obok bandyty. Zza paska wyciągnął niewielki pojemniczek, który okazał się gazem pieprzowym. Psiknął nim Garfieldowi prosto w twarz z małej odległości. Mężczyzna zawył tak, że przez chwilę nie było słychać Brajanek. Zaczął się rzucać, próbując się turlać po dywanie, ale policjanci mocno go trzymali (Aldona twierdziła później, że się śmiali, funkcjonariusze stanowczo zaprzeczyli).

Wtedy do pokoju wszedł kolejny funkcjonariusz. Tym razem ubrany po cywilnemu. Odznakę miał zawieszoną na piersiach, jak na filmach i serialach w TVN. Podpierał się rękoma pod boki i uśmiechał bardzo zadowolony. Zawiesił wzrok najpierw na Garfieldzie, potem na Aldonie. Obczaił ją tak, jak obczaja się laski na dyskotecę. Kiedy zauważył ciemne plamy po mleku na koszulce nocnej, na wysokości jej sutków, skrzywił się z obrzydzeniem.

– Zabierzcie ją do dzieciaka – powiedział.

Mimo że go nienawdziła (widziała go po raz pierwszy w życiu, ale wystarczyło), gotowa była rzucić mu się do nóg i dziękować z całych sił.

Jakiś funkcjonariusz pomógł jej wstać. Kiedy przechodziła obok policjanta w cywilu, ten chwycił ją za ramię i przyciągnął ją do siebie. Poczowała zapach jego wody po goleniu – pachniał miętą i taną chemią.

– Ale jeśli odstawisz nam tu jakąś Blidę, to przysięgam ci, zajebimy cię. Kapewu?

Nie odpowiedziała, więc potrząsnął nią, jak szmacianą lalką.

– Kapewu?

– Kapewu – wyszeptała.

Wypuścił ją.

W towarzystwie funkcjonariusza poszła do pokoju dziecka. Brajanek ciągle płakał. Teraz ciszej, jakby stracił siły. Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, żeby cokolwiek do niego powiedzieć, więc tylko ostrożnie

podniosła z łóżeczka i przytuliła.

Usiadła z nim na małym, dziecięcym, plastikowym krzeselku, które wyglądało jak grzybek. Poprawiła koszulkę nocną, żeby nie było widać majtek i przystawiła małego do piersi. Natychmiast zaczął ssać.

– Odwróciłbyś się zboku – powiedziała do funkcjonariusza, który ciągle stał przy niej z długą bronią. (Ona twierdziła, że pokazał jej wtedy środkowy palec, policjant zaprzeczył).

Przez otwarte drzwi od dziecinnego dostrzegła, jak policjanci wyprowadzają Garfielda. Jej mąż obrócił się w jej stronę. Nie była pewna, czy ją zobaczył. Oczy miały miał całe zapuchnięte, jakby zszedł z bokerskiego ringu.

Chciała mu powiedzieć, że dadzą sobie radę, że wszystko naprawią, że pokażą im wszystkim, że z Garfieldem się nie zadziera. Ale kiedy otworzyła usta, Garfielda już nie było. Pociągnęła więc nosem. Wbiła wzrok w pilnującego ją policjanta.

– Pierdol się, gnoju – powiedziała mu.

A on się tylko roześmiał.

7.

Prokurator Górnik zaparkował samochód na ulicy Horsta Bienka. Przez chwilę siedział w aucie, czekając aż skończy się piosenka w radiu. Nie dlatego, że tak mu się podobała, ale dlatego że nie lubił zostawiać rzeczy w połowie. Czy to było coś tak poważnego jak sprawa sądowa, czy tak trywialnego jak popowy szlagier.

Górnik uważał się za lokalnego patriotę. Nie śląskiego, bo nie utożsamiał się z tą całą górniczą tradycją, gwarą, czerwonymi oknami w familokach, ale gliwickiego właśnie. I było mu przykro, że z tych wszystkich gliwickich autorów, poetów i pisarzy tylko Horst Bienek, pewnie najmniej znany, jest utożsamiany z jego miastem. Różewicz wyniósł się do Wrocławia, tam pisał, wystawiał i tam zmarł. Zagajewski (Górnik co roku trzymał za niego kciuki, gdy ogłaszano laureata Literackiej Nagrody Nobla i co roku przeżywał maciupęńkie rozczarowanie) wyniósł się do Krakowa. Podobnie jak jego kumpel z liceum i od poezji – Kornhauser. Żeby jeszcze Bienek napisał coś tak dobrego jak *Blaszany bębenek* Grassa albo chociaż *Cholonka* kojarzonego z Zabrzem Janoscha. Ale nie. Pisarstwem Bienka zainteresowanych było już tylko paru gliwiczian. Pewnie nawet

mieszkańcy ulicy nazwanej jego imieniem nie wiedzieli, kim był, mimo tablicy pamiątkowej wmurowanej w jeden z budynków.

Wszedł na pierwsze piętro, po drodze odczytując napisy na ścianach. Zwyczajowa mieszanka bluzgów, wyznań miłosnych i kibicowskiego znaczenia terenu. Zapukał w liche drewniane drzwi, które wyglądały tak, jakby nie wymieniano ich od wojennych czasów. Czekał, przestępując z nogi na nogę. Słyszał, że w środku grał telewizor, ale nikt mu nie otwierał. Przez chwilę bał się, że jego najgorsze przeczucia się spełniły i już miał dzwonić pod 997, kiedy rozległ się chrzęst zamka. Drzwi otworzyły się i po drugiej stronie stała babcia Wiśniewska.

– Pan prokurator! – zawołała.

Naprawdę ucieszyła się na jego widok. Niewiarygodne.

– Dzień dobry pani.

– Pan wejdzie, pan wejdzie – powiedziała kobieta, zamaszystym ruchem, jakby trzymała w dłoniach miotłę, zapraszając go do środka.

– Pan nie ściąga butów, panie prokuratorze – dodała, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru. – I tak miałam odkurzać. Się kurzu nazbierało, jak mnie nie było!

Przedpokój był niewielki, ciemny i zawalony starymi kurtkami, licznymi butami, apaszkami, czapkami. Większość z nich miała co najmniej kilkanaście lat. Zwisały smętnie z wieszaków i haków niczym pasożytnicze pnącza.

Potem mieszkanie robiło się jaśniejsze i przyjemniejsze. Widział kuchnię i unoszące się w niej kłęby pary. Widać babcia właśnie coś gotowała. Potem duży pokój, a w nim wersalka, telewizor w kącie, tuż obok obowiązkowej paprotki, i stół, na którym stała cukiernica w towarzystwie programu telewizyjnego i „Życia na Gorąco”, oraz oszklony kredens z porcelanową zastawą marnej jakości. Drzwi do kolejnego pomieszczenia były zamknięte.

– To pokój Mariuszka – powiedziała babcia, widząc jego spojrzenie – Teraz śpi.

Zdziwiło go, że w całym mieszkaniu nie było żadnych zdjęć. Jediną ozdobą na ścianie był mały, metalowy krzyżyk zawieszony nad wejściem do dużego pokoju. Jakby kobieta próbowała się odciąć od przeszłości. Nie było też żadnych książek. Ani Biblii, ani encyklopedii. Ale to go akurat nie dziwiło. Wątpił, żeby Wiśniewska jakąś szczególną atencją darzyła słowo pisane.

– Czego się pan napije? Herbatki? Dobrą mam, taką owocową.

A może kawy?

– Nie, dziękuję.

Skrzywiła się urażona.

– No przecież pana tak nie wypuszczę o suchym pysku. Co by to było?!

– Nic by nie było, proszę pani.

– Ale to tak nie wypada – stwierdziła stanowczo. – Ciasteczka przyniosę. To co będzie, kawa czy herbata?

Zdał sobie sprawę, że nie uda mu się z nią wygrać. Przynajmniej nie w tym temacie.

– Kawa.

– Ale tylko plujkę mam.

– Plujka będzie OK.

Musiał poczekać, aż kobieta wszystko przygotuje. Słyszał, jak krząta się w kuchni, jak stawia czajnik na gazie i wyciąga naczynia z zawieszanej nad zlewem suszarki. A potem przeciągły gwizd, kiedy woda wreszcie się zagotowała i Wiśniewska wróciła do niego, niosąc w drżącej dłoni spodeczek ze szklanką pełną czarnej jak węgiel kawy, na wierzchu której zebrał się brązowy kożuszek. W drugiej ręce miała talerzyk z herbatnikami obficie posypanymi cukrem. Prokurator podziękował i odstawił napój na stół, żeby się schłodził.

– Jak pani sobie radzi? – zapytał.

– Panie prokuratorze, jak ja mogę sobie radzić? – odpowiedziała pytaniem na pytanie i uśmiechnęła się smutno. – Bywało lepiej, ale dobrzy ludzie pomagają. Jakoś to idzie. A u pana? Zdrowie dopisuje panu i małżonce?

Gdyby to był ktoś inny, Górnik zastanawiałby się, czy to nie pogróżka i czy nie powinien szykować się do stawiania zarzutów. Ale Wiśniewska powiedziała to z takim autentycznym zainteresowaniem i troską, że nie mógł mieć wątpliwości co do jej dobrych intencji.

– Dopisuje.

– A to dobrze. Byleby zdrowie było, to najważniejsze, wszystko inne się samo ułoży. Pan mi wierzy, bo ja wiem, co mówię. No i żeby dzieci zdrowe były. To jest najważniejsze. Pan ma dzieci?

Miał, ale akurat taką wiedzą z Wiśniewską, pomimo całej swojej sympatii dla staruszki, nie zamierzał się dzielić.

– Przyszedłem panią poinformować, że zatrzymaliśmy Patryka Długosza, pseudonim „Garfield”.

– To dobrze – powiedziała stanowczo Wiśniewska. – Pan wie, ja się

teraz strasznie tego wstydę, co robiłam. Strasznie. I to dobrze, że tego człowieka zatrzymaliście. Bo on był z nich wszystkich najgorszy.

– W każdym razie, w dużej mierze udało nam się to zrobić dzięki pani wyjaśnieniom.

– Dzięki Bogu! – Wiśniewska przeżegnała się. – Może z tego jeszcze jakiś pożytek będzie.

Prokurator sięgnął po herbatnika i nadgryzł niewielki kęs. „Może będzie z tego jakiś pożytek” – powiedziała, nie zdając sobie sprawy z bogactwa wiedzy, jaką im przekazała. Zatrzymali już pięć osób, a planowali kolejne aresztowania. Na każdą z tej piątki mieli solidne papiery, a najbardziej solidne na szefa grupy – osławionego Garfielda. W magazynach marihuana za trzy tysiące złotych, amfetamina za dwadzieścia siedem i ecstasy za piętnaście. I co najważniejsze, sprawa była rozwojowa. Wszystko dzięki starszej pani, która miała niebywale dobrą, jak na swój wiek, pamięć. I która wpadła w ich ręce dzięki anonimowemu donosowi.

– Ponieważ pani z nami współpracuje i ze względu na pani sytuację rodzinną, może pani odpowiadać z wolnej stopy.

– Jeszcze raz panu prokuratorowi dziękuję.

– Nie ma potrzeby – przerwał jej. – Sobie pani może podziękować. Chciałem pani zasugerować, żeby do czasu rozpoczęcia rozprawy przeniosła się pani gdzieś. Może do rodziny? Ma pani jakąś w Gliwicach?

– A gdzie ja się im będę na głowę ładować!?! – zachnęła się oburzona. – Swoje problemy mają, panie prokuratorze.

– Pani Wiśniewska – przybrał bardziej oficjalny ton – przyszedłem tu po to, żeby panią ostrzec. Garfield siedzi, to fakt, ale na wolności pozostają niektórzy jego ludzie. Mogą próbować panią zastraszyć, skłonić do zmiany wyjaśnień.

– A mogę to zrobić? – zainteresowała się.

– Może pani – przyznał – ale ani sobie, ani jemu – wskazał na drzwi do pokoju Mariusza – pani w ten sposób nie pomoże. Radzę w pełni z nami współpracować. Tak czy siak, powinna pani zadbać o bezpieczeństwo. A tutaj bezpieczna pani nie jest. Proponuję przenosiny do rodziny, koleżanki. Gdziekolwiek, gdzie nie będzie pani sama.

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad tym, co powiedział. Jej zmarszczki zrobiły się jeszcze głębsze, w oczach zalśniły łzy. Górnik poczuł się nieswojo. Jakby przyszedł tu tylko po to, żeby dręczyć

starszą panią.

– Starych drzew się nie przesadza – powiedziała Wiśniewska. – My tu z Mariuszkiem zostaniemy.

– Jest pani pewna?

– Panie prokuratorze, całe życie tu mieszkałam. I jak Bóg da, to chciałbym tu umrzeć.

8.

Nie była pewna, ale na dziewięćdziesiąt dziewięć procent się w niej nie spuścił. Najpierw nie chciał mu stanąć. Musiała bardzo długo ssać penisa, lizać żołądź, równocześnie pieszcząc dłonią jądra, żeby wreszcie odrobinę stwardniał. Wtedy kazał jej się odwrócić, ściągnął jej spódniczkę, majtki i wszedł w nią mocno, narzekając, że jest za sucha. Też byłby suchy, gdyby przez ostatnie kilkanaście minut nic tylko miętolił swojego penisa w ustach – pomyślała, ale nic nie powiedziała. Zaczął się w niej ruszać, rytmicznie uderzając ciałem o jej pośladki. Poczowała, że zaczął mięknąć. Od tego momentu zaczęła jęczeć, żeby dodać mu otuchy i wszystko przyspieszyć. Chwycił ją za włosy, wcisnął twarz w koc i ruchał, dysząc ciężko jak parowóz. Kiedy zerknęła do tyłu, zobaczyła, że jest cały czerwony, po klatce piersiowej spływa mu pot i robi minę, jakby miał zaraz komuś wpierdolić.

Nagle zastygł. Poruszył się spazmatycznie i zacharczał przeciągłe „kuurwaa...” i wyszedł z niej. Odwrócił się, zanim zdążyła się przyjrzeć jego penisowi. Pomasowała się po cipce. Nie czuła spermy. Po powrocie do domu będzie musiała się czymś posmarować, bo strasznie ją obtarł.

Po raz pierwszy jakiś facet udawał przy niej orgazm. Nawet nie sądziła, że to jest możliwe. Ona sama robiła to często. Faceci lubią przecież myśleć, że są świetni w łóżku. Dopytują się, czy doszła i ile razy. Garfield nie był wyjątkiem. Może o to nie pytał, aż tak się nie poniział, ale lubił myśleć, że ją solidnie zaspokaja. W rzeczywistości doszła z nim może ze trzy razy. Często po wszystkim sama kończyła ukradkiem, tak żeby nie zauważył. A teraz on ją potraktował tak samo. Dziwnie się z tym czuła. Jakby kończyła się jej data ważności do spożycia.

Garfield założył koszulkę i usiadł na krześle naprzeciwko żony. Aldona nie wiedziała, w jaki sposób adwokat załatwił im „mokrą” wizytę, ale rozumiała doskonale, że nie chodziło tylko o ruchanie.

Pokój do takich wizyt był jedynym pomieszczeniem w areszcie, gdzie mogli być w miarę pewni, że nikt ich nie podsłucha. A Garfield wpadł w lekką paranoję. W ogóle źle radził sobie z sytuacją. Chodził przygarbiony, jak człowiek, który właśnie dostał szpadlem w plecy. Jego twarz nagle zrobiła się dziwnie obwisła, a lewa powieka zaczęła mu drgać, jak u wujka Aldony, który wyjechał do Niemiec i dostał wylewu (oba fakty nie były ze sobą powiązane).

Źle to wyglądało. Bała się. Niekoniecznie tego, że Garfield skończy z wyrokiem, ale tego, że będzie musiała wrócić do mieszkania matki z małym Brajankiem, który w tym momencie do niczego jej nie był potrzebny (choć musiała przyznać, że przez parę ostatnich nocy brała go ze sobą do łóżka i zasypiała dopiero wtedy, kiedy mogła wtulić twarz w jego włoski).

– Mecenias czytał już akt oskarżenia – odezwał się Garfield chrapliwym tonem. Dopiero dochodził do siebie po nieudanym zbliżeniu. Wciąż ciężko dyszał i nawet na nią nie patrzył, kiedy zakładała majtki.

– I co?

– Będzie dobrze.

Powiedział to w taki sposób, że mu nie uwierzyła. On sam sobie pewnie też nie.

– Będzie dobrze – powtórzył już pewniejszym tonem – ale musisz zrobić jedną rzecz, Donna.

– Ja?

– Ty, ty. Ja przecież, kurwa, nie mogę.

– Ale może ktoś z twojej ekipy?

– Ekipa siedzi, a ci co nie siedzą, nie są na tyle kumaci, żeby ogarnąć temat. To masz być ty. A teraz zamknij paszczę i słuchaj.

Usiadła na leżance. Podciągnęła nogi pod brodę.

– Mecenias mówi, że jest tak, że mają trochę materiałów. Ale one są do podważania. Się jakoś z tego wykaraskam, nie?

– Oczywiście, kochanie.

Spojrzał na nią krzywo, ze złością, a ona przypomniała sobie, że miała się nie odzywać.

– Problem jest jeden, że mają zeznania od tej babci ze straganu. Babcia pierdoliła ozorem na lewo i prawo i wszystkich równo gównem oblepiła. Jeśli będzie to pierdolenie utrzymane, to mam przejebane. A jak ja mam przejebane, to ty też, Donna, masz przejebane. Dlatego zrobisz jedną rzecz. Bierzesz Kiszego. Jedziecie do tej wieżmy i robicie

tak, że ona wycofuje swoje zeznania. Ma ich, kurwa, nie być.

– Ale jak mam to zrobić?

– A gówno mnie to obchodzi. Coś wymyślicie. Możesz z nią pogadać jak jedna pizda z drugą. Jak chcesz, to możesz jej przyjechać. Ma być zrobione i tyle.

Mówiąc, zacisnął pięści i przez chwilę była pewna, że ją uderzy.

– A jak ona pójdzie z tym do psiarni? Wtedy mnie też posadzą! Brajan będzie bez taty i bez mamy.

Spurpurowiał gwałtownie. Poderwał się z miejsca, chwycił ją za twarz, ścisnął policzki. Przybliżył swoją twarz do jej. Z ust mu śmierdziało zepsutym jedzeniem.

– Brajan? Brajan?! Weź mi nie pierdol tu o Brajanie! – krzyknął. – Ręce sobie po łokcie spracowałem, żeby gówniarzowi niczego nie brakowało, a teraz chcą nam to wszystko zapierdolić. Wszystko nam zabiorą, każdą jedną małą rzecz. Nie zrobisz tego, co mówię, to pod mostem skończysz i będziesz się kurwić na autostradzie, żeby móc chleb do garnka włożyć. Rozumiesz?!

Kiwnęła głową na znak, że tak. Puścił ją i wytarł o dres dłoń ubrudzoną śliną.

– No – stęknął.

Przez chwilę stał nad nią, wyraźnie wahając się, co powinien zrobić. Wreszcie nachylił się nad Aldoną i pocałował w czubek głowy. Potem bez słowa podszedł do drzwi i uderzył w nie kilka razy, informując strażników, że chce wyjść.

9.

No to robili to. Aldona i Kiszy.

Oddała Brajanka matce na przechowanie. Poczekała, aż Kiszy po nią przyjedzie swoim dziesięcioletnim, sprowadzonym z Niemiec BMW i razem pojechali do babci Wiśniewskiej. Kisza cały spięty, z marsową miną i przekleństwami, którymi nieustannie obrzucał innych kierowców. Ona ze ściśniętym ze strachu żołądkiem.

Dobrze się bawiła, kiedy słuchała opowieści o takich sytuacjach. Albo kiedy je prowokowała. Ale teraz po raz pierwszy miała w nich uczestniczyć. Bała się, że coś się koncertowo spierdoli. Ale innego wyjścia nie było.

Robiła to dla Brajanka.

Babcia Wiśniewska otworzyła im drzwi z szerokim uśmiechem na pomarszczonej twarzy. Wpuściła do środka bez pytania i bez strachu.

– Dobrze, że jesteś Marcinku...

„Marcinku” – Aldona nie wiedziała, że Kiszy tak miał na imię. A staruszka tak. Drobną rzecz, ale niepokojącą. Ile jeszcze takich drobnostek poznała i w jaki sposób? Ile zdążyła sprzedać policji?

– Niedawno ciasto zrobiłam. Taka drożdżówka zwykła, ale z konfiturą powinno być mniam, mniam. To wam ukroję po kawałku. I herbatki zrobię. Ale powiedz mi najpierw Marcinku, co to za pannę do mnie przyprowadziłeś.

Trajkotała jak najęta, na jednym wydechu, jakby startowała w jakimś wyścigu.

– Jestem tu po to, żeby z panią porozmawiać – powiedziała Aldona.

– Strasznie mi miło – ucieszyła się staruszka. – Mało kto do mnie zagląda, czasami sobie tylko radio włączę, do Mariuszka pójdę.

– Masz wycofać swoje zeznania z prokuratury, pizdo! – krzyknęła, przerywając jej kolejny słowotok.

Staruszka przystanęła. Przyjrzała się Aldonie, przekrzywiając głowę, i kobieta była pewna, na sto dziesięć procent, że stara uśmiechnęła się przy tym nieznacznie. I było w tym uśmiechu coś, co sprawiło, że Aldonie zmiękły ze strachu nogi.

– Wydaje mi się, że to niemożliwe, kochanie.

– Zrób to!

– Nie, słoneczko. Chodź, tej drożdżówki wam nałożę.

– Kiszy...

Kiszy drgnął, kiedy wypowiedziała jego imię. Do tej pory stał z boku ze spuszczoną głową, jakby zawstydzony.

– Kiszy... – powtórzyła, widząc jego wahanie.

– Kurwa... – wymamrotał i wypuścił trzymaną w rękawie kurtki grubą, drewnianą pałkę. Wziął zamach i jednym uderzeniem stłukł szklaną szybę w kredensie, stojące tam szklanki, porcelanowe figurki i zdobione talerze. Lśniące, drobne, ostre kawałki trysnęły fontanną odłamków na wszystkie strony.

– Słuchaj, pizdo! – powiedziała Aldona. – Masz pójść do psów. Masz im powiedzieć, że to wszystko, co nagadałaś, to kłamstwa. Że ci się na mózg rzuciło, bo za dużo, kurwa, masła żarłaś. A teraz już nic nie pamiętasz, nic nie wiesz i te wszystkie dropsy to się u ciebie wzięły przypadkiem. A jak nie, to Kiszy tu przyjdzie i pogruchocze ci kości. A w twoim wieku, pizdo stara, bardzo się one źle zrastają. Jasne?

Staruszka słuchała cierpliwie, ale słowa groźby wydawały się po niej spływać jak po kaczce.

– Aleście wy mi bałaganu zrobili! – stwierdziła. – Ty jesteś Aldona, prawda?

Kobieta kiwnęła głową.

– Chodź. Pokażę ci coś. A ty, Marcinku, poczekaj.

I poprowadziła Aldonę do kolejnego pokoju, podłużnego pomieszczenia o starych ścianach ozdobionych pożółkłymi plakatami. W kącie grał tam cichutko niewielki telewizorek. Na łóżku leżał jakiś chłopak. A raczej mężczyzna, tylko młody. Twarz miał bladą, chudą, oczy zapadłe. Na policzkach ślady nieudolnie ogolonego zarostu. Miał na sobie flanelową koszulę w kratę. Na widok Aldony nie poruszył się, nie podniósł. Nawet nic nie powiedział. Wiśniewska usiadła na skraju tapczanu.

– To Mariusz. Mój wnuczek – powiedziała staruszka. – Poznajesz go, Aldona?

– W życiu na oczy nie wiedziałam.

– A to nieprawda. Ale możesz go nie pamiętać. To dawno było temu i do tego ciemno. Bawiłaś się z nim na jednej z dyskotek. Podrywałaś. A jemu to się podobało, bo też przyznam, Aldona, ładna z ciebie dziewczynka. Podobno nawet się całowaliście. Tylko Mariusz nie wiedział, że ty to robisz dla zabawy. Po to, żeby wzbudzić zazdrość u swojego chłopaka. A teraz męża. Dziecko macie. I twój chłopak, pan Garfield, razem ze swoimi podwładnymi porwał Mariusza i strasznie go pobił. Autem go przejechali, Aldonka. Rozwalili kręgosłup, uszkodzili rdzeń nerwowy. I od tego czasu Mariusz jest ze mną, ale jakby go nie było. Muszę go karmić, myć go, zmieniać pieluchy. Nic nie mówi, nie rusza się. Czasami tylko oczami poruszy. Teraz na przykład na ciebie patrzy, Aldona. On cię chyba poznaje.

– Zwariowałaś, babo – wydobyła z siebie Aldona z trudem, kiedy uderzyła w nią fala gorąca.

– Nie, kochanie. Nie zwariowałam. Tak było, tak się wydarzyło. Ani twojego męża nie ukarano, ani ciebie za to, co zrobiliście Mariuszkowi. Nic nikt nie widział, nikt nic nie powiedział.

– Zapiardolimy cię. Ciebie i to warzywo tutaj!

– Przychodzisz i mnie straszysz, a ja się nie boję, Aldonka. Mam swoje lata i swoje przeżyłam. Za niedługo umrę. Jeśli trochę wcześniej niż mi było pisane, to wielkiej straty z tego nie będzie. A Mariuszek? Kocham go, ale jego nie da się wyleczyć. Nie polepszy mu się. Będzie

tak leżeć i leżeć. To powiedz mi, czego ja mam się teraz bać?

– Jeśli chcesz pieniędzy – zmieniła taktykę Aldona.

Jadwiga Wiśniewska uśmiechnęła się i pogłaskała Mariusza po włosach.

– A co mi po pieniądzach, Aldonka? Jakoś sobie z Mariuszkiem do tej pory radziliśmy.

– Nie jest jeszcze za późno. Wycofaj zeznania. Pomożemy ci jakoś z...

– imię z trudem przechodziło jej przez gardło – z Mariuszem.

Staruszka pokręciła głową, rozbawiona.

– Jak ty mało rozumiesz, Aldonka. Pomyśl, kochana. Kto według ciebie zadzwonił na policję, żeby mnie zatrzymali? Kto im powiedział, że pewna starsza pani handluje na bazarze narkotykami? No, pomyśl, Aldonka. Pomyśl, kochana.

Aldona poczuła się tak, jakby tonęła. Zupełnie bezradna, serce biło jej mocno, ale brakowało jej tchu. Wybiegła z tego pokoju. Uciekła z mieszkania. Zdezorientowany Kiszy wyszedł za nią.

A starsza pani zamknęła za nimi drzwi.

10.

Jadwiga Wiśniewska posprzątała bałagan, jakiego narobili jej niespodziewani goście. Musiała odkurzać na kolanach, żeby pozbierać odłamki. Rozbolały ją od tego plecy, ale cieszyła się, że doszło do tego spotkania. Wiedzieć, że Garfield pójdzie do więzienia – to jedno. Zobaczyć ten cały ból i strach na twarzy jego małżonki – to coś zupełnie innego. Czowała w tym momencie taką przyjemność i taką satysfakcję, że bała się, że to grzech. Chociaż wiedziała, że zdrowia Mariuszowi to w żaden sposób nie zwróci. Jeśli miałyby być sprawiedliwie, powinna odnaleźć synka tego Garfielda i Aldony (wiedziała, że nazwali go Brajan – co to za imię w ogóle?!) i pogruchotać mu kręgosłup. Ale na coś takiego się nie mogła zdobyć. W końcu to było niewinne dziecko. Dlatego zrobiła tyle, ile mogła.

Tyle, na ile pozwalało jej sumienie.

Po pobiciu Mariusza, kiedy policja okazała się bezsilna, zaczęła szukać na własną rękę. Chodzić po ludziach, którzy mogli coś wiedzieć, coś widzieć. Wiedziała, jak to zrobić, nauczyła się z takimi mętami rozmawiać, kiedy latała po całym mieście za mężem lub załatwiając sprawę jego długów. Ze strzępów informacji poznała

prawdę. I wtedy po raz pierwszy dowiedziała się o Garfieldzie i jego żonie. Wtedy też zorientowała się, że młodzi ludzie, nawet tacy, których jeszcze niedawno się bała, że ją pobiją, okradną i zgwałcą, zaskakująco chętnie otwierają się przed nią, starszą panią. Im bardziej babcina starała się być, tym lepszy efekt.

Oczywiście tego, czego się dowiedziała, nikt nie chciał powtórzyć na policji. Musiała próbować inaczej. Poprosiła jednego z tych chłopaków, żeby ją polecił do roboty. Poskarżyła się, że nie ma z czego żyć, brakuje jej na chleb, opiekę, rachunki. Poruszyła jakąś czułą strunę i wkrótce dostała swoje pierwsze proste zadanie. Miała przenieść paczuszkę z jednego mieszkania do drugiego. Z osiedla Waryńskiego na Sikornik. Ale się wtedy napociła ze strachu! Teraz chciało się jej z tego śmiać. Potem trochę bardziej jej zaufali. Dostawała kolejne prace. Poznawała nowych ludzi. Rozmawiała z nimi, zdobywała dalsze informacje. I tak krok po kroczku. Powoli i nieśpiesznie realizowała swój cel. Aż pewnego dnia poczuła, że jest gotowa i wybrała numer 997.

Skończyła sprzątać i poszła do Mariusza. Przez chwilę wspólnie oglądali telewizję. A raczej on oglądał, bo ona nie potrafiła się skupić. Myślała o tym, jakim cudownym chłopcem był i ile mógłby osiągnąć, gdyby nie spotkał na swojej drodze Aldony. Zdobyłby dobrą pracę. Założyłby rodzinę. Ona dożyłaby może prawnuków. Mariusz wiódłby proste, ale szczęśliwe życie. Może to niewiele, ale u nich nikomu się to wcześniej nie udało.

A teraz? Jaka czekała go przyszłość? Ona pójdzie do więzienia pewnie. I dobrze. Za grzechy trzeba odpokutować, a ona jednak tych narkotyków sporo sprzedała. Może komuś po drodze krzywdę zrobiła. Trzeba wypić, co się nawarzyło. A nawet jeśli nie pójdzie, to przecież stara jest. Umrze za niedługo. Co wtedy? Oddać Mariusza do rodziny? Komuś innemu ten ciężar na głowę zrzucić? Albo do jakiegoś przytułku, tak jak mówił ten prokurator? Jak proponował ksiądz? Obaj dobrze chcieli, ale ona nie mogła się na to zgodzić.

Nie wypadalo. To nie bylo po bozemu.

Westchnęła. Tak czy siak, dzisiaj się wszystko kończyło. Nie planowała tego. Samo wyszło. I dobrze. Ucałowała Mariusza w czoło, a potem przyłożyła mu do twarzy poduszkę.

I poczekała aż zaśnie.

Ryszard Ćwirlej

PRZYPADKI CHODZĄ PO MIEŚCIE

Piła, piątek, 8 października 1965 roku, godzina 21.30

– Ile jeszcze zostało?

– Zaraz sprawdzę.

Sierżant Majchrzak włączył latarkę i poświecił nią na swój zegarek.

– Pół do dziesiątej. Jeszcze pół godziny i kończymy robotę.

– No to, zasadniczo, trzeba by już iść – powiedział kapral Morawski, spoglądając niechętnie przez okno na skąpaną w deszczu, oświetloną ulicę.

– Psia pogoda – mruknął Majchrzak, dopijając ostatni łyk herbaty zmieszanej pół na pół z wódką.

Jak zwykle podczas ostatniej godziny służby patrolowej zaszli do restauracji Stylowa na Świerczewskiego, w samym centrum miasta. Usiedli przy służbowym stoliku, obrzucając uważnym spojrzeniem ostatnich tego wieczora klientów. Nie dostrzegli jednak niczego nadzwyczajnego. Ot, normalny wieczór w restauracji. Przy stolikach zaledwie kilka podpitych osób, ale żadnych awanturujących się. Kelnerka, pani Aldonka, na widok wchodzących milicjantów uśmiechnęła się zadowolona. Wiedziała, że dzięki ich obecności nikt nie będzie ociążał się z płaceniem, więc była duża szansa, że zamknie restaurację punktualnie o dziesiątej. Nie pytając swych milicyjnych gości, szybko zaparzyła dwie herbaty, jak zwykle zalewając szklanki do połowy wrzątkiem, a potem dając do nich po setce wódki. Wiadomo było bowiem, że milicjant na służbie nie pije alkoholu, ale herbata to co innego. Postawiła przed nimi szklanki i talerzyk z cukrem w kostkach.

– Jak tam dziś, pani Aldonko, idzie? – zapytał sierżant Majchrzak.

– Goście kulturalnie piją, to i nic się nie dzieje.

Pili kulturalnie, ale gdy zobaczyli, że przyglądają im się dwaj funkcjonariusze, zaczęli jak najbardziej kulturalnie płacić za konsumpcję i znikać jeden po drugim. Teraz, gdy dwaj milicjanci

kończyli swoje herbaty, w sali siedziało już tylko trzech podchmielonych miłośników wyborowej. Morawski spojrzał wymownie na kelnerkę, a potem wskazał palcem na ostatnich gości. Pokręciła głową. Najprawdopodobniej byli kulturalnymi ludźmi, bo nie przypuszczała, że może mieć z nimi jakieś trudności. Dlatego obaj stróże prawa wstali, założyli na głowy czapki, zapinając paski pod brodą – w końcu byli na służbie – i, salutując pani Aldonce, wyszli z sali.

W szatni siedziała emerytka, pani Ewelina, znana im dobrze handlarka, która prócz pilnowania płaszczy zajmowała się wymianą walut na złotówki. Milicjanci wiedzieli o tym jej nielegalnym źródle dochodów, ale niewiele ich to obchodziło. W końcu nie była jakąś hurtowniczką, tylko okazjonalną detalistką.

– Jak tam interesy, pani Ewelino? – zapytał Majchrzak przyjaznym tonem.

– E tam – szatniarka machnęła ręką. – Jak się człowiek nie obróci, to dupa zawsze z tyłu.

– To prawda – zgodził się z nią Morawski. – A dzisiaj to nawet pogoda do dupy.

– Ja na szczęście do domu mam niedaleko, bo do mnie na Świerczewskiego dwa kroki – pochwaliła się dopiero co otrzymanym mieszkaniem komunalnym, składającym się z dwóch pokoi i kuchni z oknem.

– Bo pani jest w czepku urodzona – zauważył Majchrzak.

– Nie w czepku tylko w Związku Radzieckim. Bo ja jestem proszę panów ze Lwowa...

W tym momencie z sali konsumpcyjnej wyszło trzech ostatnich klientów. Podeszli do kontuaru, za którym siedziała szatniarka, i wyłożyli na blat swoje numerki. Kobieta niechętnie wstała, zabrała żetony i podeszła do wieszaka. Było coś dziwnego w ich zachowaniu. O ile przed chwilą jeszcze, przy stoliku, śmiali się i mówili do siebie głośno i radośnie, o tyle w tej chwili wszyscy mieli ponure miny. Żaden z nich nawet się nie odezwał. Ten najwyższy, dobrze zbudowany w marynarce w kratkę, wydobył z kieszeni monetę dziesięciozłotową i położył ją przed szatniarką.

– Reszty nie trzeba – powiedział tonem światowca.

Szatniarka wzruszyła ramionami i schowała dychę do kieszeni. Też wielki gest! Za trzy płaszcze wyszło sześć złotych, więc tylko cztery złote napiwku.

Milicjanci obrzucili jeszcze tych trzech uważnym, służbowym spojrzeniem, ale nie dopatrzyli się niczego nagannego w ich zachowaniu. Nie wyglądali na mocno podpitych. Nie było co ich legitymować, bo i tak żaden z nich nie kwalifikował się do odwiezienia na izbę wytrzeźwień. Ukłonili się więc tylko szatniarce i wyszli na zewnątrz, prosto w objęcia mokrego chłodu. Na szczęście nie mieli daleko. Żeby dotrzeć na komendę, musieli przeciąć tylko plac Powstańców Wielkopolskich, a potem już prosto w Budowlanych. Komenda znajdowała się w odległości jakichś dziesięciu minut niezbyt szybkim tempem. Oni jednak nie zamierzali spacerować. Trzeba było szybko pokonać ten dystans, by znaleźć się w ciepłym i przytulnym budynku.

– Panowie władza, jedna chwilka! – zawołał ktoś za ich plecami.

Odwrócili się natychmiast. Szybkim krokiem podchodził do nich jeden z trójki ostatnich gości Stylowej.

– Panowie, a na dworzec PKP to jak się idzie?

Milicjanci spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Co to za bezczelny typ, żeby po nocy zaczepiać spokojnych funkcjonariuszy?

– A co to, obywatelu – zwrócił się do faceta Majchrzak – nie wiecie, jak się idzie na dworzec? Może za dużo żeście wypili.

– Nie za dużo. W sam raz. A nie wiemy, bośmy nietutejsi są.

– No to pokażcie dowód osobisty.

Mężczyzna jakby na to czekał. Natychmiast włożył rękę do wewnętrznej kieszeni ortalionowego, modnego płaszcza. Chwilę pogrzebał wewnątrz. W tym czasie jego dwaj kumple podeszli bliżej i stanęli za jego plecami. Nagle, ni stąd ni z owąd, w jego dłoni zamiast zielonej książeczki pojawił się czarny, połyskujący w blasku ulicznych latarni pistolet.

– A teraz, łachudry, łapy w górę! – rozkazał zimnym tonem, mierząc w bliżej stojącego Majchrzaka.

– Coś pan, zgłupiał czy jak? – krzyknął na ten widok kapral Morawski.

– Łapy do góry i morda na kłódkę, jeśli wam życie miłe.

Dwaj kumple bandyty natychmiast podeszli do milicjantów. Błyskawicznie zabrali się za przytroczone do milicyjnych pasków kabury. Po chwili cała trójka napastników była już uzbrojona.

– Myślicie, że wam się uda... Wszyscy będziecie wisieć za napaść na funkcjonariuszy – próbował ich przestraszyć sierżant Majchrzak, ale jeden z bandytów trzasnął go kolbą w skroń.

– Zamknąć ryje i ruszać przed siebie – warknął najwyższy, wskazując skrzyżowanie z ulicą Świerczewskiego tam, gdzie po prawej stronie znajdowała się ogrodzona drewnianym płotem budowa nowego bloku.

Po chwili z restauracji Styłowa wyszła okryta ciepłą jesionką szatniarka, pani Ewelina. Rozejrzała się dookoła, ale na ulicy nie było żywego ducha. Postawiła kołnierz i mocniej zawiązała chustkę na głowie, żeby jej wiatr przypadkiem nie zerwał, a deszcz nie pomógł starannie ułożonej fryzury po trwałej ondulacji. Ruszyła przed siebie szybkim krokiem. Na szczęście do domu miała naprawdę niedaleko.

Sobota, 9 października, godzina 15.15

Od rana padał deszcz. Do tego jeszcze ten zimny przenikliwy wiatr, który sprawiał, że nawet psy wolały siedzieć w budach. Kapral Teofil Olkiewicz, jak każdy normalny człowiek, nie przepadał za tą jesienną pluchą. Ale co było robić? Musiał wyjść do miasta. W końcu nie po to szef kompanii wydał mu dwudziestoczworgodziną przepustkę, żeby on z tej przepustki nie skorzystał. No to skorzystał właśnie. Przebrał się w cywilne ciuchy: popielaty garnitur, do tego czarne skórzane milicyjne półbuty i na to wszystko włożył zielony ortalionowy płaszcz spięty paskiem. A, miał jeszcze kapelusz. Brązowy kapelusz z niewielkim rondem, który kupił sobie latem, choć jak dotąd nie miał jeszcze okazji go włożyć. Dziś miał go po raz pierwszy i czuł się trochę nieswojo, przyzwyczajony do milicyjnej czapki z daszkiem. Jednak, wychodząc na przepustkę, nie mógł przecież założyć czapki, bo głupio by wyglądał. Zresztą w tym kapeluszu też głupio wyglądał, no ale w końcu czymś musiał przykryć łysinę na czubku głowy, która zaczęła się pojawiać, mimo że skończył dopiero trzydzieści lat.

Szedł zatem w tym kapeluszu, przytrzymując go jedną ręką, żeby porywisty wiatr mu go z głowy nie zdmuchnął. W zasadzie to nawet nie wiedział dokąd idzie. Poszedł na przepustkę bez konkretnego planu, chociaż już od tygodnia wiedział, że w tę sobotę będzie miał wolne. Po całym tygodniu szkoły, bo kapral Olkiewicz od tygodnia był uczniem, a właściwie uczestnikiem kursów dla milicjantów zawodowych w szkole milicyjnej w Pile, coś mu się od życia należało. No więc, ubrany po cywilnemu milicjant Olkiewicz postanowił, że wyjdzie do miasta, a potem się zobaczy.

Nie znał wcale Piły. Był tu po raz pierwszy. W zeszłą niedzielę

przyjechał pociągiem z Poznania, zameldował się w szkole i od tego momentu nie wyszedł z niej ani razu. Dziś zdążył tylko zapytać podoficera służbowego, który siedział na dyżurce w przedsionku szkoły, którędy do centrum miasta, a ten mu powiedział, że do Stylowej to w prawo. Olkiewicz pokiwał głową ze zrozumieniem i poszedł w prawo. Nie wiedział za cholerę, co to jest ta Stylowa, ale pomaszerował tak, jak mu wskazano. Mógł się tylko domyślać, że to jakaś knajpa. Postanowił, że gdy przejdzie kawałek, to zapyta kogoś, jak się idzie do Stylowej i dzięki temu na pewno trafi.

Idąc nierównym chodnikiem, zostawił za sobą wzniesiony z czerwonej cegły, majestatyczny, ponemiecki budynek szkoły milicyjnej i po chwili znalazł się obok przedszkola. Domyślił się, że to przedszkole, bo wychodziły z niego matki prowadzące za rękę dzieci.

„Tych nie ma co pytać o Stylową – pomyślał Olkiewicz. – Baby się na knajpach nie znają. A nawet, jak wiedzą, gdzie jest knajpa, to mogą z czystej złośliwości źle powiedzieć. Trzeba by znaleźć jakiegoś faceta. A tu tylko te baby z dziećmiakami i parasolkami”.

Ale faceta żadnego nie spotkał na swojej drodze. Jakby się wszyscy pochowali. Doszedł do skrzyżowania z ulicą Bieruta. Przystanął przy krawężniku, rozglądając się uważnie. Po prawej stronie stare przedwojenne domy i dalej chyba most. Tam nie było po co iść, bo centrum miasta pewnie, tak mu się przynajmniej zdawało, musiało być po tej stronie rzeki, po której i on był. Spojrzał w lewo. Też stare domy o zniszczonych, szarych ścianach oznaczonych licznymi lizajami i śladami po kulach. Jakieś sto metrów dalej, przy jednym z tych brzydkich budynków, stał jakiś facet i palił papierosa. Teofil na ten widok ucieszył się, jakby dostrzegł kogoś znajomego. Nie zastanawiając się wiele, ruszył w jego kierunku. Po chwili człowiek wszedł po kilku schodkach do góry i zniknął w jakichś drzwiach. Olkiewicz zaklął pod nosem zawiedziony. Ale zawód nie trwał długo. Po tych samych schodach zeszło dwóch mężczyzn. Jeden podtrzymywał drugiego, a ten podtrzymywany z trudem utrzymywał równowagę. I to ostatecznie upewniło funkcjonariusza na przepustce, że idzie we właściwym kierunku.

Dwaj pijacy zatrzymali się na chodniku. Ten bardziej pijany, który miał kłopot z utrzymaniem równowagi, oparł się o ścianę kamienicy. Drugi, dostrzegłszy nadchodzącego Olkiewicza, uśmiechnął się szeroko.

– Mistrzu, poratuj dychą, bo na piwko zbrakło.

– Spierdalaj, szmaciarzu – odpowiedział milicjant.
– Widzisz, Kostek, jaki cham? To już kulturalnie się zapytać o forszę nie wolno?

– Trzeba mu jebnąć! – odpowiedział Kostek, odrywając się od ściany. Popełnił błąd, bo stracił natychmiast kontakt ze stabilną rzeczywistością. Wyciągnął pięść przed siebie i poleciał za nią wprost na swojego kumpla, mijając Teofila o jakieś pół metra. Ten, na wszelki wypadek wysunął nogę do przodu, by pomóc obywatelowi w nabieraniu prędkości. Kostek staranował kolegę i obaj upadli na uliczny bruk. Na szczęście dla nich ulicą nie jechał żaden samochód. Mogli więc spokojnie zastanowić się nad sensem życia, leżąc w kałuży. Zadowolony Olkiewicz minął ich obojętnie i po chwili stał już przed drzwiami prowadzącymi do knajpy o wdzięcznej nazwie Lukullus. Wszedł po trzech schodkach do góry i zaraz pchnął drzwi.

Natychmiast poczuł ten jedyny w swoim rodzaju, znany mu doskonale, knajpiany aromat. Bo niezależnie od tego w jakim miejscu Polski Ludowej człowiek by się znalazł, w takich knajpach zawsze śmierdziało tak samo. Smród był doskonałą mieszanką odoru niemytych ciał, dymu papierosowego i kwaśnego zapachu niepasteryzowanego piwa. Uśmiechnięty od ucha do ucha Olkiewicz poczuł, że krew zaczyna mu żywiej krążyć. Trafił do właściwego miejsca. Tu był naprawdę u siebie.

Godzina 15.20

– Imię?
– Ewelina.
– Nazwisko?
– Fręsko, z domu Jaworska.
– Data i miejsce urodzenia?
– Czternasty czerwca dwudziestego czwartego roku, Lwów, Związek Radziecki.
– Zatrudniona w restauracji Stylowa jako...?
– Zatrudniona w szatni, jako szatniarka i klozetowa.
– To teraz, pani Fręsko, niech pani powie dokładnie wszystko, co sobie pani przypomina o tych trzech ostatnich klientach, co to wychodzili zaraz jak wyszli z restauracji obaj funkcjonariusze – poleciał kapitan Kajetan Kruczek z pilskiej SB.

Fakt, że to właśnie jemu powierzono prowadzenie śledztwa w sprawie napadu na dwóch funkcjonariuszy świadczył o tym, jak wielką rangę przykładem do tej sprawy jego dowództwo. Już samo to, że śledztwem zajęła się Służba Bezpieczeństwa, a nie milicja kryminalna, mówiło za siebie. A Kruczek był zadowolony, że wreszcie może się oderwać od codziennej rutyny rozmów z informatorami, którzy donosili mu na temat nastrojów w swoich zakładach pracy. Takie śledztwo było prawdziwym wyzwaniem dla ambitnego funkcjonariusza, który chciał w zawodowym życiu osiągnąć prawdziwy sukces. Dlatego postanowił, że ze sprawy, którą dostał w swoje ręce, wycisnie wszystko, co się da, a nawet jeszcze więcej.

– No, czemu pani nic nie mówi? – zapytał zniecierpliwiony, bo przesłuchiwana Ewelina Fręsko, wpatrzona gdzieś w jakiś punkt w pokrytej zielonoszarym linoleum podłodze, zastygła w bezruchu.

– Co? – zapytała, wracając naraz do rzeczywistości.

– No, co pani pamięta?

– Że niby jak?

– Chodzi o wczorajszy wieczór.

– A, wczoraj. To był kiepski wieczór. – Machnęła ręką, jakby odganiała się od natrętnej muchy. – Mało ludzi to i mało zarobku. W piątek to zawsze tak jest. A jak jeszcze brzydko na polu, to nie ma się co dziwić, że ludzie wolą w domu posiedzieć, a nie po restauracjach chodzić. Dzisiaj będzie ruch duży, jak to przy sobocie. Bo dzisiaj u nas jest dancing, bo w Stylowej dancingi dwa razy w tygodniu organizujemy: w środę i w sobotę. Może pan przyjdzie kiedy się zabawić. Orkiestra gra i prawdziwa śpiewaczka występuje...

– Ja nie mam czasu na dancingi – przerwał jej kapitan, który rzeczywiście rzadko bywał na takich tanecznych zabawach. Nie z powodu braku czasu, ale dlatego, że nie miał z kim. Bo wiadomo przecież, że na dancing się chodzi a kobietą, z którą można potańczyć, a Kruczek nie miał kobiety ani nawet tanecznych umiejętności, więc sprawa dancingów wydawała się całkowicie beznadziejna.

– Nie trzeba nawet tańczyć – kobieta spojrzała na niego, uśmiechając się z życzliwością. – Jak kto nie umi, to przychodzi ino popatrzeć i wódeczki się napić. A muzyka taka piękna, wie pan, takie piosenki Jerzego Połomskiego i...

– Co wy mi tu o piosenkach – przerwał jej opryskliwie esbek, zły że szatniarka bezbłędnie rozszyfrowała jego brak tanecznego talentu. – Mnie chodzi o tych klientów, którzy wychodzili wczoraj ostatni.

Rozmawiałem już z kelnerką i wszystko o nich wiem, ale muszę mieć potwierdzone jej zeznania.

Fręsko pokiwała głową ze zrozumieniem i zaraz zmarszczyła brwi, jakby głęboko się nad czymś zastanawiała. Nie poganiał jej. Potrzebował możliwie dokładnych rysopisów, bo, jak dotąd, miał bardzo niewiele danych. Tak, kelnerka, która ich obsługiwała, nie podała mu właściwie żadnych informacji oprócz tego, że byli spokojni, nieprzeklinający i zapłacili wszystko co do złotówki. Ale najważniejszych szczegółów wyglądu za nic nie potrafiła sobie przypomnieć. Teraz więc cała nadzieja w tej szatniarce.

– No, to będzie tak. Czarne palto, takie z paskiem, i szalik zielony miał ten najwyższy. Chudy na gębie, włosy czarne, zaczesane do tyłu i do tego bokobrody, ale równo przycięte, jakby dopiero od fryzjera wyszedł. Marynarka szara, a pod nią biały golf, taki elastyczny. Spodnie czarne, a trzewików nie widziałam. Wzrost miał wysoki, będzie jakieś metr siedemdziesiąt. Drugi o głowę od niego niższy, taki umięśniony dobrze i włosy też na tył zaczesane, ale blondyn ciemny, kurtka brązowa z kołnierzem z misia, w marynarce popielatej i pod tym sweterek taki z wełny i bez koszuli. Spodnie szare miał i rozprute koło rozporka. A ten trzeci, najmniejszy z nich, taki konus metr pięćdziesiąt, był krótko ostrzyżony, jakby z wojska wyszedł właśnie. I nawet se pomyślałam, że to musi być żołnierz na przepustce, jak tamci byli eleganccy, to ten ubrany jak łachudra jaka i nic niedobrane miał na sobie. Marynarkę miał, nie powiem, całkiem elegancką, bo ze sztruksu, ale spodnie byle jakie od garnituru czarnego i koszulę nonajronową też modną, ale żółtą, to wyglądał jak kanarek. A do tego jeszcze miał czerwony szalik i płaszcz modny, ortalionowy miał.

– A jak się zachowywali? – zapytał funkcjonariusz, unosząc głowę znad kartki, na której dokładnie wszystko zapisywał.

– Zachowywali się jak? Normalnie się zachowywali, jak klienci, co są trochę wypici, ale nie bardzo mocno. Właściwie to nic nie gadali. Wzięli swoje płaszcze i poszli zaraz, jak wyszli ci dwaj milicjanci i tyłem ich widziała. Był klient, nie ma klienta.

– A widziała ich już pani wcześniej?

– Wcześniej to jak przyszli. To może była ósma godzina jak przyszli...

– Nie o to pytam, pani Fręsko. Pytam, czy wcześniej, to znaczy, czy kiedyś jeszcze byli w Stylowej?

– Wcześniej to nie. Ani jednego razu.

– Na pewno?

– Panie szanowny, jak ja powiadam, że ich nie było wcześniej, to na mur beton. Bo ja panie, po płaszczu, co mi w szatni zostawiają, to każdego człowieka poznam.

Godzina 15.25

W knajpie na prawo i na lewo od drzwi zainstalowano wysokie stoły. Nie było przy nich miejsc do siedzenia. Ale kto by się tym przejmował? W Lukullusie piło się szybko i na stojąco. Przy każdym z tych stolików, dzięki temu, że nie było przy nich stołków do siedzenia, mogło się zmieścić dziesięciu, a nawet więcej amatorów piwa i wódki. Na wprost znajdował się barowy kontuar, za którym stał chudy, smutny facet w granatowym, poplamionym fartuchu. Z rękami złożonymi na piersi, z całkowitą obojętnością wpatrywał się w niewysokiego łysego klienta, który coś mu tłumaczył, wymachując rękoma.

– Szefie, jak Boga kocham, jutro wszystko się uleguruje. Stara ma w szafie pieniądze. Ale tera za cholere nie wyjmne, bo siedzi w chacie. Ale jutro, jak pójdzie do kościoła, to ja raz dwa i odbiorę, co swoje. Bo to moje pieniądze. Z mojej wypłaty szmata jedna wzięła, to chyba mogę se zabrać, nie?

– Płacisz pijesz, nie płacisz nie pijesz – burknął smutny barman.

– Ale, panie Antoni kochany, przecie nie mam tera, ale jutro to jeszcze i panu podwójnie zapłacę. Mogę nawet i panu postawić piwko. A co, kto bogatemu zabroni?

– Mnie stawiać piwko? – barman uśmiechnął się pod równo przyciętym wąsem *a’la* Clark Gable, a potem wziął jeden z kufla, które stały odwrócone do góry dnem na suszarce i podstawił pod kranik. Stojący przed barem spragniony klient przełknął ślinę. Antoni tymczasem nalał pół kufla i z flegmatycznym spokojem opróżnił naczynie do dna.

– Mnie tu nikt stawiać nie musi. Dobry barman ma zawsze nadwyżkę dla siebie.

– Bądź pan człowiekiem, bo się skrećę.

– Na razie to się pan nastap, bo klient z gotówką chce się napić – odezwał się Teofil, który na widok piwa poczuł ogromne pragnienie. Co prawda za piwem specjalnie nie przepadał, ale dla przepłukania gardła nadawało się całkiem dobrze. Tym bardziej, że nie miał alkoholu w ustach już od tygodnia.

– Daj pan piwo i setkę białej – zaordynował.

Barman chwycił czysty kufel i sprawnie go napełnił.

– A setka lorneta czy luneta?

– Jednoosobowa – wyjaśnił Olkiewicz.

– Robi się!

Nalał wódkę do literatki i przesunął naczynia w stronę klienta.

– A co na zagrychę se pan szanowny winszuje?

– A na cholere mi zagrycha?

– Przeczytaj se pan tabliczkę. – Barman wskazał na półki za swoimi plecami, na których stał odbiornik radiowy i dzbanek ze sztucznym kwiatem. Nad dzbankiem wisiały trzy tabliczki: „Młodzieży oraz osobom w stanie nietrzeźwym alkoholu nie sprzedaje się”, „Inwalidzi wojenni, kobiety w ciąży oraz osoby mundurowe na służbie obsługiwane są poza kolejnością” i w końcu trzecia, najważniejsza, bo dotycząca wszystkich mówiła: „Alkohol podaje się tylko do konsumpcji”.

Nie było wyjścia. Trzeba było zamówić zagrychę.

– A co pan polecasz?

– Koreczki serowe. Najtańsze i nieszkodliwe. Weźmiesz pan śledzia po japońsku i możesz pan mieć kłopoty żołądkowe, bo nikt nie wie, kiedy ten śledź stracił życie i czy jeszcze jest jadalny. Kotlet mielony podobnie, tyle że z nim jeszcze gorzej, bo nie wiadomo, co tam zmielili i czy w ogóle jest tam mięso. A ser to ser. Jedyny mankament, że trochę obeschły, bo już od tygodnia stoi w lodówce. Ale pleśnią nie zaszedł jeszcze.

Olkiewicz, który jak najszybciej chciał się napić, machnął ręką niecierpliwie.

– Dawaj pan te koreczki.

Barman wyciągnął z lodówki garmazeryjnej talerzyk z kilkoma kawałkami żółtego sera i podał klientowi, który spojrzał na nie z niechęcią, a potem sięgnął do kieszeni po pieniądze.

– Piwo dwa pińcdziesiąt, setka pińc złotych i koreczki cztery to razem będzie... – Pochylił się nad kartką i zaczął zliczać kwotę.

– Jedenaście pińcdziesiąt – odpowiedział mu Teofil, który jakoś od dziecka potrafił sprawnie rachować w głowie, bez użycia kartki i ołówka.

Barman tymczasem pododawał wszystko, a potem spojrzał zdziwiony na klienta, który wydał mu się człowiekiem o nadzwyczajnych zdolnościach. Tu przecież nikt nie potrafił doliczyć się żadnych

pieniędzy, a ten zrobił to szybciej od niego, jedyne w tej knajpie człowieka, który radził sobie z rachunkami.

– Rzeczywiście, jedenaście pińcdziesiąt – z niedowierzaniem pokręcił głową, patrząc w ślad za genialnym klientem oddalającym się z w stronę najbliższego stolika, przy którym akurat zrobiło się miejsce.

Godzina 15.45

– Co wy mi tu pierdolicie, Majchrzak! – kapitan Kruczek walnął dłonią w blat biurka, a siedzącemu przed nim podoficerowi aż coś załomotało w głowie. Głowie obandażowanej i pozszywanej fachowo przez dyżurnego chirurga, do którego dowieziono w środku nocy jego wraz z kolegą z patrolu. Obaj mieli rozbite głowy, ale na szczęście żadnych więcej obrażeń. Przeżyli dzięki Bogu albo dialektycznemu przypadkowi, który jeszcze nie całkiem da się zlekceważyć w socjalistycznym życiu społecznym, na obecnym etapie rozwoju. W każdym razie Majchrzak już postanowił, że da na mszę z okazji szczęśliwego, cudownego ocalenia. Oczywiście nie sam, bo jemu, jako świadomemu funkcjonariuszowi, nie uchodziła wiara w zabobon, czyli opium dla mas, jak o religii wyraził się kiedyś wielki towarzysz Marks. I dlatego zamierzał dać żonie całe sto złotych, żeby ta dała sąsiadce Walczakowej, która codziennie chodziła do kościoła św. Rodziny, żeby ta w tajny sposób przekazała księdzu te pieniądze na tajną intencję. No, ale robi to, gdy już wróci do domu. Jednak na razie nic nie zapowiadało, że stanie się to szybko. Teraz musiał złożyć wszystkie wyjaśnienia w tej nieszczęsnej sprawie. „A może by tak dać dwieście?” – zastanawiał się milicjant. Dodatkowo jeszcze stówę na intencję, żeby go z pracy nie wylali za ten cholerny pistolet...

– Na razie to wy się módlcie, żeby was z pracy nie wylali za ten pistolet, a nie dorabiajcie mi tutaj jakichś durnych teorii.

– Kiedy oni sami tak powiedzieli. Morawski może poświadczyć, że tak gadali.

– Że niby jak?

– No, że oni są z AK.

– Majchrzak, który my mamy rok?

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty piąty.

– Czyli ile lat po wojnie mamy teraz?

Sierżant zaczął liczyć w myślach. Chwilę to trwało, ale w końcu

udało mu się dokonać właściwych obliczeń. Uśmiechnął się zadowolony.

– Melduję, że dwadzieścia.

– No właśnie. Dokładnie dwadzieścia. A oni, znaczy ci, co was rozbroili – Kruczek dobitnie zaakcentował to ostatnie słowo – ile oni według was mieli lat?

– Na oko to żaden nie miał trzydziestki.

– To w takim razie jak się wojna kończyła to każdy z nich mógł mieć co najwyżej dziesięć lat. To wy se myślicie, Majchrzak, że w AK byli tacy gówniarze?

– No, raczej nie bardzo...

– Wała z was zrobili z tym AK. Tak tylko powiedzieli, żebyście się ze strachu w gacie posrali. A wy, jak osły, żeście uwierzyli.

Sierżant nie miał zielonego pojęcia, co odpowiedzieć. Tamci mówili, że są z AK, no to o tym zameldował. A teraz ten ubek robił mu z tego powodu awanturę. I o co ta awantura? Jak nie są z AK, to są z czegoś innego. W każdym razie byli dobrze zorganizowani.

– To jak nie z AK, to może z jakiejś innej organizacji...

Kapitan Kruczek pokręcił głową z niedowierzaniem. Już chciał coś powiedzieć, pewnie znowu krzyknąć na tego biednego, obitego funkcjonariusza, ale nie zdążył. Do pokoju przesłuchań wszedł jakiś człowiek ubrany po cywilnemu. Był prawie kompletnie łysy i na pierwszy rzut oka przypominał towarzysza Cyrankiewicza.

– No co tam, Kruczek? – zawołał wesoło od drzwi. Kapitan natychmiast podniósł się z krzesła.

– Melduję, obywatelu pułkowniku, że tych dwóch cymbałów rozbroili żołnierze Armii Krajowej. Łysy pułkownik z zainteresowaniem spojrzął na Majchrzaka, który usłyszawszy słowo pułkownik natychmiast stanął na baczność.

– Siadajcie koledzy – powiedział łysy, podsuwając sobie stojące pod ścianą krzesło bliżej biurka. Siadł na nim okrakiem, układając ręce na oparciu.

– Akowcy was rozbroili, powiadacie? – zapytał całkiem poważnie.

– Oni tak powiedzieli – potwierdził sierżant.

– No to, jak tak mówili, to ze zwykłego bandyckiego napadu robi nam się sprawa polityczna. Bardzo to ciekawe. Nie sądzicie, kapitanie Kruczek?

– I mnie się tak wydaje, obywatelu pułkowniku.

– A wiemy już, jak wyglądali?

– Tak jest. Mamy dokładne rysopisy sprawców. Od rana wszystkie patrole w mieście szukają podejrzanych. Ale, jak na razie, bezskutecznie.

– Tak sobie myślę, kapitanie Kruczek, że nam nawet tu w Pile to by się przydała taka grubsza polityczna afera. A jeszcze do tego zabarwiona nutką reakcyjnego podziemia? To jest to, czego potrzebujemy. No, ale wy już dobrze wiecie, co z tej sprawy wycisnąć. Dlatego ja wam tu nie będę przeszkadzał.

Pułkownik wstał. Odstawił krzesło pod ścianę, a potem spojrzawszy jeszcze raz na Majchrzaka powiedział:

– Musicie sobie wszystko dokładnie przypomnieć. Bo w politycznych sprawach to wszystko jest ważne. Każdy najdrobniejszy szczegół.

Klepnął Kruczka w ramię i wyszedł z pokoju. Po twarzy kapitana przemknął szybki przebłysk zrozumienia. Wyciągnął z szuflady biurka kartkę i ołówek.

– To mówicie, że ci, co was napadli, przyznali się do przynależności do reakcyjnego podziemia?

– Tak jest, obywatelu kapitanie.

– I bardzo dobrze, Majchrzak. Bardzo dobrze.

Kapitan pochylił się nad kartką i coś zaczął na niej pisać drobnymi literkami. Sprawa działalności na terenie miasta Piły reakcyjnej bandy sterowanej przez wrogie imperialistyczne siły z Zachodu zaczęła w błyskawicznym tempie nabierać rumieńców.

Godzina 15.50

Teofil Olkiewicz wychylił już swoją setkę i teraz zaczął zastanawiać się nad kolejną. W barze robiło się coraz tłoczniej. Spragnieni rozrywki mężczyźni cały czas wchodzili do środka, a niewielu spośród już pijących opuszczało gościnne progi. Olkiewicz spojrzał na swój kufel, który był w połowie opróżniony. Doszedł do wniosku, że w zasadzie trzeba by już było pójść do baru po nową porcję piwa i wódki. Spojrzał w tamtym kierunku. Przy kontuarze stało czterech facetów w roboczych kombinezonach i kufajkach. Oceniał, że nie warto teraz pchać się do tej kolejki. Jeśli stanie za tymi robotnikami, zaraz ktoś mu zajmie miejsce przy stoliku. Postanowił poczekać na sprzyjający moment, kiedy nikogo przy barze nie będzie, szybko zamówić i wrócić do stołu. „A co tam, poczeka się, przecież się nie pali i nie ma

pośpiechu” – pomyślał. Upił kolejny, niewielki łyk piwa.

– No, w Styłowej to było! – odezwał się jego sąsiad stojący naprzeciw. Ubrany w liche palto szczupły facet, którego policzki przyozdabiały dawno nie przycinane bokobrody, nazywane popularnie pekaesami.

– Jak w Styłowej? – zdziwił się jego kolega, tęgi mężczyzna w okularach z grubymi szklami, przypominającymi denka od musztardówki, który stał obok Teofila.

Olkiewicz, usłyszawszy dziś po raz kolejny słowo „Styłowa”, zaczął przysłuchiwać się rozmowie.

– W Styłowej siedzieli se milicjanci, a potem wyszli, a oni za nimi. No i jak już wyszli, to wzięli tych milicjantów i zabrali im pistolety.

– O ja pierdołę! – jęknął okularnik. – Pistolety zabrali gliniarzom. No to za to z pierdła nie wyjdą za szybko.

– No chyba, że ich złapią. Najpierw muszą ich złapać, nie?

– No muszą. Ale nie wiadomo, czy złapią.

– Złapią na bank. Bo ci gliniarze dobrze ich se obejrzeni.

– No to głupi byli, że ich nie sprzątnęli. Jak zabrali im gnaty, to powinni ich odstrzelić. To by ich nie znaleźli. A tak, to już po nich. Znajdą ich jak nic.

„No to ładna draka” – pomyślał Teofil. To dlatego ten dyżurny mówił mu o Styłowej. A swoją drogą, to jakieś niezłe barany musiały być z tych milicjantów, że dali się rozbroić na ulicy jakimś szusfolom.

Obaj faceci rozmawiający o milicjantach dopili piwo i wyszli. W barze zrobiło się nieco luźniej, a i przed bufetem nie było już kolejki. Teofil natychmiast skorzystał z okazji. Wypił piwo i poszedł po następne. Bufetowy kręcił gałką radia, usiłując nastawić jakąś stację. W końcu udało mu się, bo szum zakłóceń zmienił się nagle w głos Anny German śpiewający o tańczących Eurydykach.

– Co se pan winszuje? – zapytał bufetowy, odwracając się do Teofila.

– Powtórka, znaczy się piwko i dublecik.

– Się robi.

– A co to znaczy ten Lukullus? – Olkiewicz przypomniał sobie nazwę baru.

– Lukullus, panie – barman postawił przed nim kufel – to jest, panie, jeden cesarz, co mieszkał w Rzymie. Tak się właśnie nazywał. Cesarz Lukullus.

Olkiewicz zdziwił się niepomiernie, bo nigdy o takim cesarzu nie słyszał. Jedyne cesarstwo jakiego znał to Cesarstwo Niemieckie. To znaczy osobiście nie znał, ale opowiadał mu o nim jego tatuś, który walczył

podczas pierwszej wojny światowej w armii tego właśnie cesarza.

– To, co on takiego zrobił, ten cesarz, że mu pozwolili wisieć na sztyldzie?

– A chuj jego tam wie – barman wzruszył ramionami. – Ale powiadają, że lubiał se wypić.

– No tak – Teofil pokiwał głową. – Jak lubiał wypić, to znaczy się, że swój chłop i mu się należało.

– Pewnie, że mu się należało. A taki Gomułka, na ten przykład, jako mało pijący, to knajpy swojej nigdy mieć nie będzie. On co najwyżej może mieć bar mleczny. Znaczy się, trzeba swoje wypić, żeby się do historii zapisać.

Olkiewicz zapłacił i wrócił do stolika. Naprzeciw niego zajął stojące miejsce jakiś niepozorny, szczupły facet pod krawatem, z równo zaczesanymi na bok włosami. Gębę miał dokładnie wygoloną i na odległość śmierdział przemysławką. Na widok podchodzącego do stolika Teofila uśmiechnął się promiennie.

– Pan tak sam pije? – zagadnął delikatnym, aksamitnym głosem.

– A co, nie wolno? – zapytał podejrziwie Teofil.

– Pewnie, że wolno. Pytam, bo ja sam nie lubię. Tylko w dobrym towarzystwie lubię. A pan to raczej z dobrego towarzystwa jak miemam. Bo ci wszyscy dookoła to element.

Milicjant rozejrzał się wokół. Rzeczywiście, wszyscy pijący w pobliżu mordy mieli raczej niewyjściowe. To zrozumiałe więc, że w tym towarzystwie on, wykształcony funkcjonariusz po szkole zawodowej musiał robić korzystne wrażenie.

– Mnie tam wszystko jedno – powiedział. – Pić mogę sam, ale i mogę z kimś, jak kto co postawi.

– Ho, ho, pewno że postawi – rzucił nieznajomy. – Czemu nie postawić. Ja z przyjemnością postawię, jak i pan co postawi.

– Ja nie mam za dużo pieniędzy – natychmiast wyjaśnił Olkiewicz, bo nie bardzo chciało mu się tracić ciężko zarobiony grosz na jakiegoś, dopiero co poznanego faceta.

– E, pieniądze nie są ważne.

– Jak to? – zdziwił się Teofil, któremu zawsze wydawało się że pieniądze są najważniejsze na świecie.

– Normalnie. Ja mam pieniądze i stawiam wódkę, a pan co innego.

– Że niby co?

– Stawiam pół literka żytniej i kolację w Stylowej.

– Aha. A co ja mam postawić?

– Konika – wyjaśnił nieznajomy, szczerząc białe zęby w uśmiechu.

Teofil spojrział zdumiony na faceta. Ten cały czas się uśmiechał, patrząc mu prosto w oczy. Naraz Olkiewicz doznał olśnienia.

– Jakiego konika? – zapytał cicho.

Facet przybliżył się nieco do niego i powiedział szeptem tak, żeby go nikt nie usłyszał:

– Pięć minut roboty za dobrą kolację i wódeczkę. Bierzesz mi konika do buzi i tyle.

Olkiewicz aż zaniemówił z wrażenia. Ten tu papudrak proponował mu tak niewyobrażalne świństwo, że aż nie wiedział, co odpowiedzieć. Zaraz, jak nie wiedział? Wiedział dobrze, co należy zrobić z taką kanalią.

– O żeż ty, cwelu pierdolony! – krzyknął.

Zanim mężczyzna zdążył się zorientować, chwycił go za krawat, przyciągnął do siebie ponad stolikiem i z całej siły walnął jego głową w blat. Facet zawył przeraźliwie, jednak to wcale nie zniechęciło Olkiewicza do dalszego działania. Obszedł szybko stół, cały czas trzymając krawat w dłoni, a potem szarpnął z całej siły i pociągnął go za sobą w kierunku drzwi.

– Droga dla cwela, panowie! – zawołał, a ludzie natychmiast zrobili mu przejście. Czyjaś usługowa ręka otworzyła nawet drzwi. Teofil puścił krawat, złapał mężczyznę za kark, a potem nachyliwszy się nieco powiedział jeszcze głośno i wyraźnie: – Jak cię jeszcze kiedyś trafię, że będziesz porządnych ludzi zaczepiał, to wsadzę ci nogę od krzesła w dupę i odechce ci się pedałstwa na całe życie. A tu masz, cwelu, zadatek!

– Ratunku! – zawołał piskliwym głosem elegant. – Mordują, ratunku!

Teofil kopnął go w tyłek i facet wyleciał na chodnik jak wystrzelony z procy. Teofil zamknął za nim drzwi i spokojnie wrócił na swoje miejsce, odprowadzany pełnymi podziwu spojrzeniami barowych gości. Ciszę, która zapadła w momencie wyprowadzania nachalnego podrywacza, po chwili znów zapełnił gwar rozmów, najpierw niemrawych, ale z każdą chwilą natężających się, by w końcu wrócić do swojego naturalnego, hałaśliwego poziomu, przez który z trudem mogły się przebić, wydobywające się z radiowego głośnika, dźwięki znanego szlagieru Jerzego Połomskiego *Cała sala śpiewa z nami*. Jednak na sali baru Lukullus w Pile nikt nawet nie pomyślał, by śpiewać solo, a co dopiero wraz z całą salą! Tu śpiewy zaczynały się dopiero późnym wieczorem, kiedy wypity alkohol sprawiał, że

niektórzy z gości ze zdziwieniem odkrywali w sobie talent muzyczny, o jaki nie posądziliby się nigdy na trzeźwo.

Godzina 16.05

Kapitan Kruczek spojrział na swój piękny, ręczny zegarek marki Poljot, z mechanizmem wyposażonym w siedemnaście kamieni. Nie miał pojęcia, na jaką cholerę te kamienie siedzą w tym zegarku, ale jako doświadczony funkcjonariusz i człowiek obyty wiedział, że im więcej tym lepiej, bo zegarek wtedy chodzi najlepiej. A ten chodził całkiem nieźle, śpiesząc się zaledwie pięć minut na dobę i potwierdzając tym samym opinię, że w Związku Radzieckim produkuje się najszybsze zegarki świata. Nie miał wyjścia, musiał nosić ten zegarek, choć miał w domu jeszcze przedwojenną, szwajcarską omegę. Tyle że ta omega była sanacyjna, a poljot pochodził z ojczyzny światowego proletariatu i, co najistotniejsze, otrzymał go w nagrodę za dobrą służbę, w październiku ubiegłego roku, z okazji Dnia Milicjanta i Funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa. Wręczył mu go sam szef SB w Pile, więc nie mógł go nie nosić, bo zaraz któryś z kolegów mógłby donieść do dowództwa, że nie cieszy się z prezentu. A tego by przecież nie chciał. Nie było potrzeby się narażać przełożonym przez głupi zegarek.

Na cyferblacie wskazówki wskazywały dziesięć minut po czwartej, a to oznaczało, że było pięć po. Spojrział na mężczyznę w kufajce, mnącego w dłoniach czarny beret.

– No i co, obywatelu Kaczor, już żeście sobie wszystko przypomnieli?

– Melduję, że wszystko jak na spowiedzi powiem, bo i co miałbym nie gadać.

– No to mówcie, ale po kolei.

– To po kolei, to zaczął ten wysoki z tymi pekaesami na gębie, że teraz to już by mogli załatwić każdego.

– Kiedy to powiedział?

– No wtedy, jak szli koło mojego wozu.

– Jakiego wozu? – zdziwił się esbek.

– No tego, co ja w nim mam służbę w nocy. Taki normalny wóz na kołach, jak cyrkowcy mają. My też mamy taki wóz, żeby można tam było zjeść co w ciągu dnia, a w nocy to się tam stróżuje, żeby nic z budowy nie podpieprzyli.

– A rozumiem. Taki wóz socjalny?

Cieć podrapał się po zarośniętej, dawno nie golonej gębie. Nie wiedział, co to znaczy socjalny, bo to słowo kojarzyło mu się tylko z socjalistyczną ojczyzną, więc na wszelki wypadek pokiwał tylko głową.

– I co dalej? – zapytał esbek.

– No i w nocy, to znaczy się mogło być po dziesiątej, to ja żem usłyszał, że ktoś tam gada na placu budowy. To podeszłem do okienka, żeby zobaczyć, co i jak.

– A światło to się paliło w tym wozie?

– Broń Panie Boże! Jakby się paliło, to ja by nic nie widział, a oni by zobaczyli, że patrzę. Ja tam nie zapalam światła w nocy.

– No i co dalej? – ponaglił go zniecierpliwiony funkcjonariusz.

– No i dalej to ja patrzę, a przez plac se idzie trzech facetów. Ale tacy byli, że bardziej elegancy, a nie w roboczych ciuchach, to se myślę, że nie złodzieje jacyś, ino tacy, co to se przechodzą przez budowę na skrót. No to tak jeszcze słucham, co gadają, żeby mieć pewność, co to za jedni. A ten jeden gada, że nikt im już nie podskoczy. A ten drugi, taki mniejszy, to powiada, że mogą teraz pójść na zakupy do jubilera. No to ja się nawet zdziwił, że jak na zakupy, jak ten jubiler, co jest na placu Powstańców, pan wie, ten koło apteki, to on jest zamknięty przecież. No i ten z pekaesami też powiada temu małemu, że na zakupy to pójdą jutro. No to widzę, że to jacyś porządni goście są, bo na zakupy do jubilera to przecie byle kto nie łązi. Ale że ja na służbie był, to nawet dla porządných nie ma wyjątków. No to jak to nie bandyci, to ja otwarłem drzwi i z budy krzyczę na nich, żeby mi spierdalali z budowy. To oni, zamiast spierdalać, to się zatrzymali.

– No i?

– No i ja do nich, że mają wypierdalać w podskokach, bo to teren budowy.

– A co oni na to?

– Że sam mam wypierdalać. I że jak będę się rzucał, to oni mi zaraz tu na miejscu michę wyklepią. Ten mały, taki krótko obcięty jak żołnierz, tak się wyrażał do mnie, że aż nie będę powtarzać, bo ja z natury to raczej grzeczny jestem. A tamten kurwował tak, że aż strach i chciał nawet z pięściami się rzucać, ale ten z pekaesami powiedział ino, że zostaw Zdzisiek tego starego dziada. Że niby to ja jestem stary dziad. A ja przecież wcale nie taki stary jestem, bo dopiero pięćdziesiąt pięć lat...

– Dalej, co dalej się działo? – przerwał mu zniecierpliwiony kapitan.

– No dalej, jak kazali spierdalać, to ja poszłem do kanciapy i tyle na razie. Aha, i jeszcze jak poszli, to po chwili słyszeć było taki wrzask, jakby kogo obdzierali ze skóry. To szło stamtąd, gdzie oni poszli. Tom se myślał, że oni się tam na koniec pobili, tak tam jeden z nich się darł. A potem to już było całkiem cicho.

– A nie próbowaliście ich jakoś zatrzymać?

– Niby jak? – zdziwił się Kaczor. – Tymi rencami sam jeden na trzech młodych chłopów? Za stary już na to jestem. Co innego jakbym tak miał ze dwadzieścia lat mniej. To bym im pokazał, jebańcom pierdolonym.

– Więc schowaliście się do wozu?

– Schowałem się, ale nie na długo. Jak zobaczyłem, że se poszli, znaczy się przeszli przez tę dziurę w płocie, co jest od strony ulicy Świerczewskiego, to zaraz wylazł z wozu, żeby sprawdzić, czy co aby nie zginęło. No i zaczęłem obchód dookoła całego placu budowy. Obeszłem wszystko dokładnie, tak jak się należy, znaczy się regulaminowo, ale było ciemno, to i niedużo się dało zobaczyć. Bo ja nawet mam latarkę elektryczną na baterie. Takie płaskie baterie, wie pan major jakie...

– Wiem, takie płaskie.

– No właśnie, dokładnie takie. No to ta latarka ma słabą żaróweczkę, bo baterie to idzie dostać w kiosku Ruchu, ale żaróweczek ni ma. No to se tak obeszłem wszystko i coś mnie na koniec jeszcze podkusiło, żeby zobaczyć do tej dziury, co tam wykopali pod fundamenty tego bloku, co jego budują. Ale też głównie było widać i już żem miał iść do wozu na dyżur, ale ktoś tam jęknął. Tom se pomyślał, że ktoś tam wleciał do tego wykopu, to zawołałem, że kto tam? A tam z dołu ktoś zawołał, że milicja. No to ja onemu gadam, żeby se ksiutów nie robił, bo zaraz milicję zawezwę, a ten głos na to, że mam zawezwać.

– No i co dalej?

– Dalej to zawezwałem. A jakim już zawezwał, to się właśnie wtedy okazało, że tam nie jeden gość, a dwóch i to milicjantów leży na dole. Taka historia, panie majorze kochany. I kto by się spodziewał, że u mnie na budowie taki wypadek. Nikt mi nie uwierzy, jak będę o tym opowiadał.

– I o to właśnie się rozchodzi, obywatelu Kaczor, żebyście nic nikomu nie opowiadali. Rozumiecie?

Kaczor spojrzał na esbeka zdziwiony. Jak to nie opowiadać, jak to

jest najciekawsza rzecz jaka mu się od lat wydarzyła. Chyba nawet najciekawsza od czasu, jak po pijaku wyleciał z ruszającego pociągu na stacji Piła Główna. Wtedy opowiadał wszystkim kumplom i nikt mu nie chciał uwierzyć, że ześlizgnął się z podestu i wleciał na tory tak szczęśliwie, że nic mu się nie stało i że konduktor, widząc, co się dzieje, zatrzymał pociąg, a później kilku kolejarzy musiało go spod tego wagonu wyciągać.

– Jakże to tak, nic nie gadać?

– Tajemnica całkowita, bo jak nie, to do pierdła wsadzę.

– A jak kto zapyta?

– To mówcie, że nic nie wiecie.

– Aha – pokiwał głową ze smutkiem. – Jakbym wiedział, że tak będzie, to bym wcale milicji nie wołał.

– Jakbyście nie zawezwali milicji, to byście mogli odpowiadać za współudział, Kaczor. I zresztą nie wykluczone, że nie odpowiecie. Zobaczymy, czy wszystko, co żeście powiedzieli, to prawda.

– Prawda – Kaczor wzruszył ramionami. – Czy to ja głupi, żeby władzy ludowej nakłamać? To przecie tak, jakbym matce rodzonej nałgał. Przecie ja do partii należę.

Kapitan uśmiechnął się zadowolony.

– No to trzeba było tak od razu, towarzyszu Kaczor. Jak wy jesteście partyjni, to zmienia postać rzeczy. Towarzyszowi partyjnemu to ja wierzę bez zastrzeżeń. A od którego roku należycie do partii? – zapytał jeszcze dla porządku oficer.

– Dokładnie to od trzydziestego ósmego.

Kruczek spojrzał na przesłuchiwanego z niedowierzaniem.

– Jak od trzydziestego ósmego? Przecież wtedy jeszcze partii nie było.

– Właśnie, że była.

– Jaka partia?

– No jak, jaka? Nasza narodowa, co ją towarzysz Bolesław Piasecki zakładał.

Esbek, cały czas patrząc na Kaczora, wstał ze swojego krzesła, a potem odwrócił się do okna. Na dworze robiło się już szaro. A mimo to dzieci cały czas bawiły się na placu zabaw naprzeciwko komendy milicji. Zresztą cały dzień dzisiaj było szaro i paskudnie przez ten deszcz. Niebo od samego rana było zaciągnięte chmurami. Ale kapitan nie patrzył na to niebo ani na te przemoknięte dzieciaki na karuzeli, ani nawet na piękny pomnik z samolotem na wielkim cokole, upamiętniający Olega Matwiejewa, radzieckiego pilota zestrzelonego

nad Piłą. Patrzył w przestrzeń, nie zastanawiając się nad jej osobliwościami. Myślał, że chyba ma dzisiaj szczęście. AK-owcy i ONR-owcy w jednym. Szykowała się więc jednak niezła afery polityczna. A takie afery mają to do siebie, że interesują się nimi odpowiednie czynniki w milicji i w partii. A po ich wyjaśnieniu interesują się też prowadzącym śledztwo, który może z dnia na dzień dostać awans i znaleźć się w zupełnie innym miejscu niż to, w którym jest w tej chwili.

Godzina 16.20

Teofil Olkiewicz dopił piwo do końca, a potem spojrzął na swój ręczny zegarek. Było zdecydowanie wcześnie. Co tu robić? – zaczął się zastanawiać. W tym Lukullusie nic właściwie się nie działo. Czy w takiej sytuacji on, człowiek czynu, miał tak stać przed tym wysokim stolikiem i pić tę wódkę popijając piwem? A może trzeba by pójść do tej Stylowej. Tyle że tam chyba trochę niebezpiecznie, skoro jacyś bandyci napadają tam na milicjantów. Jednak z drugiej strony nikt przecież nie wiedział, że on jest z milicji. Mógłby w zasadzie pójść tam i nawet zjeść jakiegoś kotleta schabowego. Wódka plus kotlet z ziemniakami to było całkiem niezłe połączenie. A po tej obiadokolacji co dalej? Jeszcze parę kieliszków i trzeba by wracać do szkoły, żeby się przespać. Co prawda miał przepustkę do jutra, do godziny dziewiątej rano, ale przecież nie będzie chodził po tym obcym mieście do rana. Z tego, co słyszał, nie ma tu żadnej knajpy która byłaby czynna przez całą noc. A nawet jakby była, to i tak nie miał tyle pieniędzy, żeby przez całą noc się bawić. E, chyba trzeba będzie jeszcze wypić seteczkę, a potem może kupić flaszkę, z tą flaszką wrócić do internatu i tam wypić ją z chłopakami. Było tam dwóch czy trzech, z którymi całkiem dobrze zaczął się dogadywać w ciągu tych kilku pierwszych dni kursu...

– A szanowny kolega to tak sam spożywa? – z zamyślenia wyrwał go jakiś zachrypnięty głos.

Spojrzął przed siebie. Taki niewyraźny, krótko po wojskowemu ostrzyżony facet z dużym nosem, wzrostu średniego, czyli podobnie jak Olkiewicz mógł mieć jakieś sto pięćdziesiąt pięć centymetrów, stał przed nim i się uśmiechał głupio. Miał na sobie modny ortalionowy płaszcz, spod którego wychodziła sztruksowa zielona marynarka

i żółta koszula nonajronowa.

– Z pederastami nie gadam. Jednego cwela już dziś pogoniłem. Frajer pierdolony.

– He, he! Widziałem. Dobrze mu kolega kopa w dupę zasunął.

Olkiewicz spojrzał uważnie na faceta, który nie przestawał się uśmiechać. „Czego ten tu może chcieć? – zaczął się zastanawiać. – Jak chce, żeby mu postawić, to źle trafił”.

– Jakby takiego cwela chłopaki pod celą dostali w łapy, to by chyba umarł ze szczęścia. Maniek jestem – wyciągnął rękę do Teofila.

– Teofil – odpowiedział.

– To co, po setce i piwku? – zapytał Maniek i, nie czekając na odpowiedź, zaraz ruszył do bufetu. Po chwili wrócił z niewielką okrągłą tacą w dłoniach.

– Z tym że ja to za dużo forsy nie mam, żeby się odwdzińczyć... – zaczął się tłumaczyć Olkiewicz. Uśmiechnięty Maniek tylko machnął ręką.

– A kto mówi o odwdzięczaniu. Stawiam wódeczkę, bo z kolegą to się warto napić.

– Z kolegą?

– No jasne. Nie ma co tu dużo gadać. Ja wszystko słyszałem, jak żeś kolega nazwał tego pedryla. Tylko prawdziwy człowiek powie na takiego gnoja cwel.

Teofil uśmiechnął się szeroko zadowolony z pochwały, ale zaraz mina mu zrzędła, gdy w końcu dotarło do niego prawdziwe znaczenie tych słów. Cwel i prawdziwy człowiek to nic innego jak więzienna grypsera. Ten mały musiał być...

– Ostatnie trzy lata we Wronkach – wyjaśnił mu Maniek.

– Za co?

– Paragraf 209.

– Kradzież z włamaniem – przypomniał sobie natychmiast Olkiewicz.

– A kolega to gdzie się podziewał ostatnio?

– Ja na przepustce jestem.

– Aha – Maniek z uznaniem pokiwał głową. – To blankiet trzeba dobrze opić. A kolegę za co zapuszkowali?

– Jak za co? Za niewinność, ma się rozumieć – odpowiedział z dziarską miną, wchodząc natychmiast w rolę więźnia.

W zasadzie to sam nie wiedział, dlaczego to robi. Może dlatego, że znudziło mu się samotne picie? A w końcu ten mały stawiał, więc dlaczego by nie wypić? Gdyby mu powiedział, że jest milicjantem, nic

by nie postawił i na pewno uciekł od stolika jak od jakiejś zarazy. Jedno było pewne. Mógł z powodzeniem odgrywać rolę więzienną, bo w swoim milicyjnym życiu rozmawiał już z niejednym przestępcą, który z niejednego więziennego pieca jadł chleb.

Maniek postawił na stole kupioną właśnie w bufecie ćwiartkę stołowej, wprawnym ruchem zdjął z niej aluminiowy kapsel i nalał wódkę do kieliszków.

– No to, zdrowie na budowie, kolego – powiedział, stukając swoim kieliszkiem w krawędź drugiego kieliszka. Olkiewicz złapał za swój i wypił natychmiast.

– A ty to z Piły jesteś? – zapytał małego.

– Nie z Piły. Ja jestem z Bydgoszczy.

– Aha. – Teofil z uznaniem pokiwał głową.

Nigdy co prawda nie był w Bydgoszczy i nie znał wcale tego miasta, ale słyszał o nim same dobre rzeczy. Jak choćby to, że w Bydgoszczy produkuje się wyroby gumowe w Stomilu.

– A tutaj jesteś na gościnnych występach?

– Bydgoszcz blisko, to do Piły zawsze można skoczyć.

– No, ale jak się ma po co. Ja do Piły bym sam z siebie w życiu nie przyjechał – Teofil rozejrzał się wokół. Wszyscy zgromadzeni w knajpie mężczyźni zajęci byli swoimi sprawami i nikogo z nich nie obchodziło, o czym Olkiewicz rozmawia ze swoim nowym kolegą. – Prowincja – wyjaśnił.

– Pewnie, że prowincja. Tu nawet nie ma starych domów. Wszystko nowe bloki. Tu można mieszkać tylko za karę. A poza wszystkim, tu pełno wojska i milicji. Nawet szkoła milicyjna jest. To nie miejsce dla człowieka z ambicjami. – Maniek chwycił ponownie butelkę i napełnił kieliszki. – No chyba, że ktoś ma poważne plany i nie boi się ryzyka.

– Ja tam niczego się nie boję – stwierdził Olkiewicz.

– To wiadomo – mały uśmiechnął się do Teofila. – Jak człowiek swoje przeszedł pod celą, to nic mu nie jest straszne. A ty skąd jesteś, Teofil?

– Ja z Poznania – odparł z dumą.

– Aha. W Poznaniu to ja na Młyńskiej w śledczym trzy miechy garowałem do rozprawy. A potem to już Wronki. A na Młyńskiej jest jeden taki klawisz bez oka. Na niego mówili Mosze Dajan, jak na tego żydowskiego generała, co nosił też opaskę na oku. Skurwiel jakich mało...

– Jabłoński – podpowiedział Olkiewicz, który dobrze znał Jabłońskiego, bo, tak jak on sam, pochodził z Chwaliszewa. Ale wcale

nie wiedział, że ten Jabłoński to skurwiel.

– No, to ten kutas. Jak robił kipisz u nas pod celą, to jednemu chłopakowi podrzucił naostrzoną łyżkę, że niby niebezpieczne narzędzie. To tamten przez niego dwa tygodnie w karcu przesiedział. A i przypierdolić potrafił...

– A wiesz czemu Jabłoński nie ma oka? – zapytał Teofil, który dobrze znał tę historię.

– Chłopaki powiadali, że dostał wpierdol od jednego chłopaka, co wyszedł z puszki i się później na gnoju pomścił za złe traktowanie.

– Gównu prawda.

– Nie tak było?

– Jabłoński, jak Ruscy zdobywali miasto, pił w barze u Okonia, na Chwaliszewie. No i do tego baru przyszedł ruski oficer i kazał wszystkim, co tam byli w środku, wyjść z baru. To chłopaki myśleli, że te Ruskie chcą ich rozwalić, a oni kazali im stanąć w szeregu i każdemu dali do łapy karabin i posłali zdobywać Cytadelę. No i Jabłoński, co był z zawodu doliniarzem, poszedł ze wszystkimi, bo i co miał robić. Musiał, bo by go kacapy rozwały na miejscu jakby nie poszedł. A że był na bani, to mu wszystko jedno było. No i już na samym początku dostał w oko odłamkiem. Nawet nie wystrzelił z tego swojego karabinu i zaraz go wzięli do szpitala. A potem, jak Poznań już został wyzwolony, to dostał medal i zaraz go wzięli do milicji jako bohatera. I tak ze złodzieja został się milicjantem, no a potem go przenieśli na klawisza na Młyńską.

Zasłuchany w opowieść Olkiewicza Maniek aż otworzył gębę ze zdziwienia.

– To takie buty. To dobrze wiedzieć, bo się może na przyszłość przydać, jakby tam jeszcze człowiek przez przypadek trafił.

– Ty mu lepiej nie gadaj o tym, że wiesz, że robił w kieszeniach, bo się może nieźle wkurzyć.

– No coś ty. Przecież ja nie jestem pierwszy głupi. To się da wykorzystać w sprzyjającej sytuacji, nie?

Olkiewicz pokiwał tylko głową, a potem sięgnął po kieliszek.

– A w Bydgoszczy, w tym Stomilu to erosy robią, nie?

– No – potwierdził zadowolony Maniek. – Bydgoszcz to stolica polskich kondonów.

Godzina 17.30

Kapitan Kajetan Kruczek poprawił zaczesane do tyłu włosy, przyglądając je dłonią, zapiał wszystkie trzy guziki swojej marynarki w ciemnopopielate prążki i tak przygotowany zastukał w drzwi.

– Wejść – usłyszał głos z głębi pomieszczenia i natychmiast nacisnął klamkę.

Pułkownik Eryk Kluska siedział za swoim biurkiem, które pamiętało jeszcze przedwojenne czasy. Pewnie za tym biurkiem siedział jakiś niemiecki policjant, bo z tego, co wiedział Kruczek, tu, gdzie teraz mieściła się ich komenda, przed wojną i w jej trakcie była niemiecka policja.

– Mam nadzieję, że to ważna sprawa, kapitanie.

Pułkownik spojrział na podwładnego, pochylając nieco głowę, bo na nosie miał założone okulary do czytania. Na biurku przed nim leżała rozłożona płachta gazety „Ziemia Nadnotecka”. Kluska złożył ją starannie na pół, potem zdjął okulary, by w końcu wskazać podwładnemu krzesło stojące przy okrągłym stole.

– Weźcie to krzesło i siadajcie tutaj – ruchem głowy wyznaczył miejsce naprzeciw biurka.

Kapitan natychmiast wykonał polecenie. Pułkownik tymczasem sięgnął do kieszeni swojej marynarki i wydobył z niej paczkę papierosów Sport. Nie poczęstował podwładnego. Kruczek był chyba jedynym milicjantem na tej komendzie, który nie palił i pułkownik dobrze o tym wiedział. Ale nie rozumiał dlaczego. W końcu wszyscy palili, a ten jeden nie. Na szczęście pił wódkę. Bo jakby nie palił i nie pił, to mogłoby już być podejrzane.

– No i co tam, kapitanie, ustaliliście.

– Melduję, że obywatel pułkownik miał całkowitą rację. To sprawa polityczna, która śmierdzi na odległość.

– Tak mówicie? – zainteresował się Kluska.

– Jak najbardziej, obywatelu pułkownika. Wszystko się ze sobą łączy w całkiem logiczną układankę.

– No to jakie mamy dane?

– Melduję, że ci trzech, którzy rozbili naszych funkcjonariuszy, stwierdzili, że są z Armii Krajowej. Co prawda wojna się dawno skończyła, ale jak widać pamięć o działaniach reakcji tkwi nadal głęboko w umysłach przestępczych i zdegenerowanych. Jeśli chodzi o AK, to nie są to żadne wymysły. Potwierdzili to obaj przesłuchani przeze mnie funkcjonariusze. Ale najciekawsze jest to, co usłyszałem

od kolejnego przesłuchanego.

– Co to za przesłuchany?

– Nazywa się Wiesław Kaczor i jest stróżem na budowie. Na tej budowie właśnie, przy ulicy Świerczewskiego, gdzie nasi funkcjonariusze zostali ogłuszeni i wrzuceni do wykopu. Ten właśnie stróż przyznał się, że podsłuchiwał ich rozmowę o tym, że jacyś ludzie, najprawdopodobniej właśnie ci, którzy rozbroili milicjantów, planują wyprawę do jubilera.

Tu przerwał meldunek, spoglądając uważnie na twarz swojego dowódcy. Ten przez chwilę milczał, delektując się papierosowym dymem. W końcu wcisnął niedopałek do masywnej, kryształowej popielniczki.

– Do jubilera powiadacie? To zaczyna brzmieć poważnie. A jubiler niedaleko, bo na placu Powstańców Wielkopolskich jest.

– Ale to jeszcze nie wszystko, obywatelu pułkowniku.

– Co jeszcze chowacie w rękawie?

– Ten stróż, co się nazywa Kaczor, przyznał się, gdy go trochę przycisnąłem, że należy do ONR.

Pułkownik z niedowierzaniem pokręcił głową. ONR, czyli przedwojenni polscy faszyci, to była organizacja, która już od dawna nie powinna istnieć. A tu proszę, jakiś ONR-owiec wylazł jak pajak zza starego obrazu. Kluska natychmiast przypomniał sobie scenę z dzieciństwa we Lwowie, kiedy to ludzie z tej organizacji roztrzaskali szybę w sklepie kolonialnym jego taty, Arona Nudelmana, a na drzwiach białą farbą wymalowali gwiazdę Dawida. Wtedy był za mały, żeby móc z nimi walczyć, ale teraz jednego z nich los sam mu podsuwał.

– I co z tym Kaczorem?

– Oczywiście siedzi tu w areszcie.

– I bardzo dobrze, że siedzi. Taka swołocz nie powinna chodzić wśród normalnych ludzi...

– Też tak sądzę, obywatelu pułkowniku. Tyle że jest problem, bo na niego nic nie mam. Znaczący, posadziłem go na czterdzieści osiem godzin, ale za dwa dni trzeba go będzie wypuścić, bo on jest tylko świadkiem zdarzenia.

Pułkownik przez chwilę zastanawiał się, stukając palcem w blat biurka. W końcu uśmiechnął się zadowolony.

– Czy aby na pewno waszym zdaniem nic nie ma na niego?

– No raczej nie...

– A czy nie wydaje się wam podejrzanym, że ci z AK akurat u niego na budowie ogłuszyli funkcjonariuszy? Przecież ktoś ich musiał tam wpuścić. A kto mógł ich wpuścić, jak nie stróż właśnie?

– O tym nie pomyślałem – przyznał kapitan.

– Młodzi jeszcze jesteście, kapitanie. Macie prawo jak każdy młody człowiek do popełniania błędów. Ale na szczęście takie drobne błędy da się łatwo skorygować. Nie uważacie?

– Tak jest, obywatelu pułkowniku.

– No właśnie. Tak więc, podsumowując, ja sprawę widziałbym następująco: ONR i AK idą ręką w rękę. Zresztą mają długą tradycję współpracy, bo przecież jeszcze w czasie wojny część band NSZ-owskich podporządkowała się dowództwu AK. No i ta współpraca trwa do dzisiaj. Razem planują napaść na milicjantów i razem planują skok na jubilera, żeby pozyskać środki na swoją bandycką, ale i polityczną działalność mającą na celu obalenie siłą ustroju Polski Ludowej. Ale ten człowiek z ONR-u nie wytrzymuje napięcia i w końcu w krzyżowym ogniu pytań wydaje współników. I co o tym sądzicie, kapitanie?

– Ta koncepcja wydaje się słuszna.

– Oczywiście, że jest słuszna. Teraz trzeba tylko ich odnaleźć. Znaczą się tych akowców.

– I ja tak myślę, obywatelu pułkowniku. Mam nawet pewien pomysł. Trochę niekonwencjonalny, powiedziałbym, ale myślę, że może zadziałać.

– No to mówcie, co żeście tam wymyślili kapitanie?

No i kapitan Kruczek wyjaśnił szybko, w zwięzłych żołnierskich słowach, na czym polega jego plan.

Kluska z uznaniem pokiwał głową. Będą ludzie z tego Kruczka. Chłopak daleko zajdzie. Oczywiście pod warunkiem, że to, co wymyślił, przyniesie efekt. No, ale chyba nie mogło być inaczej. W planie Kruczka pułkownik Kluska nie dopatrywał się żadnej luki i dlatego pozwolił mu działać.

Godzina 20.30

– Dwa razy kotlet schabowy z ziemniakami i bukietem surówek i dwie setki czystej.

– Karta obiadowa nie obowiązuje już – wyjaśniła znudzonym głosem kelnerka w czarnym fartuszkach, założonym na białą sukienkę. –

Kuchnia tylko do siódmej czynna.

– To po co nam pani dała kartę dań? – zdziwił się Maniek.

– Pan prosił o menu, to dałam, nie?

– Znaczy się do jedzenia nie można już nic zamówić?

– A kto panu powiedział, że nie można?

– No jak kto? Pani powiedziała.

– Ja powiedziałam tylko, że obiadowych dań nie da rady na ciepło zamówić, bo kuchnia już nie pracuje. Ale może być garmażerka z lodówki.

– A co jest z tej garmażerki?

– Kotlet na zimno i bukiet surówek, a do tego chleb.

– No to niech pani da te kotlety na zimno – polecił Olkiewicz, któremu już kiszki zaczynały grać marsza.

To właśnie z powodu głodu wynieśli się z Lukullusa do Kosmosu przy Bydgoskiej. Nie było daleko, bo trzeba było tylko przejść mostem za rzekę, by znaleźć się w gościnnych progach restauracji, która w dni powszednie była czynna do dwudziestej drugiej.

– Ale kotlet jest mielony.

– A z czego jest ten mielony? – zapytał Teofil podejrzliwie.

– Jak z czego? No z tego, co jest kotlet.

– Znaczy z czego?

– Z kaszy, grzybów i czegoś tam jeszcze.

– To nie jest z mięsa? – zdziwił się Maniek.

– Mięsne dania są do obiadu. A potem to tylko garmażerka bezmięsna przyrządzona *à la* mięso. To co, mają być te kotlety?

– Niech pani da – powiedział zrezygnowanym tonem Olkiewicz, który nie przepadał za jarską kuchnią. Skoro jednak nie było nic innego, nie mógł wybrzydząć, jeśli chciał jeść.

Kelnerka zapisała coś w bloczku zamówień i odeszła płynnym krokiem, poruszając przy tym rytmiczne biodrami.

– Niezłą ma pupcię – stwierdził z uznaniem Maniek.

– Jak dla mnie za chuda – ocenił jej walory Teofil, który gustował w znacznie większych tyłkach. Jego żona Jadwiga miała dwa razy większy od tej chudziny i przynajmniej, zdaniem Olkiewicza, było za co chwycić.

– E, taka mała sprężynka, w sam raz do wyobraćcia – stwierdził zadowolony Maniek. – I nie gadaj, że byś ją z łóżka wypuścił, jakby ci wskoczyła. Bo przecież wyposzczony być musisz. Chłop na przepustce musi sobie popieprzyć.

Teofil wzruszył ramionami. Wcale mu się specjalnie nie chciało myśleć o kobietach. Jakby mu wskoczyła do łóżka, to inna sprawa, ale na razie żadnego łóżka w pobliżu nie było, za to była wódka i kotlet.

Kelnerka postawiła przed nimi talerze z mielonym oraz kieliszki z wódką i szybko odeszła, nie zaszczycając ich nawet uśmiechem.

– Twarda z niej sztuka – stwierdził Maniek, sięgając po widelec.

– Nie ma takiej twardej, co by się jej nie dało rozmiękczyć – stwierdził Olkiewicz, podnosząc swój kieliszek.

Wypił i zaraz zabrał się za kotleta. Smakował, jakby zrobiono go z mielonego papieru.

– Tak wyglądasz właśnie, jakbyś umiał łamać przeszkody – stwierdził jego nowy kolega.

– Trochę się już ich nałamało – stwierdził chełpliwie Teofil, który rzadko łamał cokolwiek.

Raczej należał do tych, którzy każdą przeszkodę omijają szerokim łukiem. „No ale, jak ten ma takie dobre zdanie o mnie, to po co go wyprowadzać z błędu?” – pomyślał, zagryzając kotlet kawałkiem chleba.

– Bo tak w ogóle, to ja właśnie szukam kogoś takiego jak ty.

– Jak niby ja? – zapytał bez specjalnego zainteresowania.

Tak naprawdę już mu się przestało chcieć cokolwiek. Poczuł, że żołądek ma pełny, w głowie szumi od wódki, a ciepło płynące z kaloryfera rozleniwia do tego stopnia, że mógłby się już położyć do łóżka. W końcu szkoła milicyjna nie była wcale daleko. Chyba czas, by już iść spać.

– Ja chyba już będę się zbierać.

– Dokąd? – zdziwił się Maniek.

– No, do tego, no... Na pociąg muszę...

– Na pociąg zawsze zdążysz. A nie chciałbyś przedtem zarobić? Łatwa i szybka robota.

Teofil spojrzał na faceta, bo coś usłyszał o zarobku, ale nie do końca zrozumiał, o co mu chodzi. Myślami był już bowiem w swoim łóżku.

– Ale najpierw dziabniemy jeszcze po maluchu – zaproponował Maniek.

Tego Olkiewiczowi nie było trzeba powtarzać. Wypili.

– Jest taka sprawa – facet przysunął się bliżej Teofila i zaczął mówić szeptem. – Mamy do odbioru towar z jednego sklepu w centrum miasta. Ja i jeszcze jeden mój koleś wchodzimy do środka. Miał z nami iść jeszcze trzeci, ale wczoraj se złamał nogę.

- Biedaczek.
- Włazł kretyn w jakąś dziurę na budowie i kompletny klops. Złamanie otwarte i leży teraz w szpitalu. A on miał stać na świecy. No więc, rozumiesz teraz, Teofil, że potrzebny nam charakterny gość. A ty chyba charakterny jesteś.
- Jestem. Oczywiście. Ale muszę się trochę przekimać, bo wiesz, nie dam rady wystać.
- Spokojnie, mamy czas. Robota o trzeciej w nocy. Damy radę.
- Ale ja już muszę do wyra. Rooozumiesz?
- Co mam nie rozumieć. Mamy metę tutaj, w tym bloku nad knajpą. Kimniesz się, a nad ranem do pracy.
- Oooczywiście. Jak naajbardziej do pracy. Ale ja nie jestem w pracy.
- Będziesz. Jeszcze trochę i będziesz – powiedział zadowolony Maniek i skinął na kelnerkę, żeby ta podała rachunek.
- Podeszła po chwili z obrażoną miną i położyła kartkę na stole.
- A pani to o której, tak bynajmniej, kończy pracę? – zapytał.
- Spierdalaj frajerze. Z pijakami nie gadam – odwróciła się i odeszła, kręcąc kształtną pupą, odprowadzana spojrzeniem uśmiechniętego Mańka.
- „Ostra z niej sztuka – pomyślał. – A takie są najlepsze w łóżku”. Rozmarzony patrzył na nią, wyobrażając sobie, jak by ją chwycił za włosy i przyciągnął do siebie zdecydowanym ruchem.

Niedziela, 10 października, godzina 04.05

Teofil Olkiewicz w kapeluszu na głowie i z kołnierzem podniesionym do góry stał pod drzewem, które tylko pozornie dawało jakąś ochronę przed deszczem. Nie bardzo rozumiał, dlaczego właściwie się tu znalazł ani, co w ogóle tutaj robi. Stał, moknął i patrzył nie wiadomo na co. A do tego wszystkiego jeszcze się kiepsko czuł, bo go suszyło po wczorajszym. Diabli go podkusili, żeby się zadawać z tym Mańkiem. Po co mu znajomość z jakimś przestępcą? Co z tego, że z byłym przestępcą, który już swoje odsiedział. Miał wyrok i to zawsze będzie nad nim wisieć, i dlatego on, jako funkcjonariusz milicji, nie powinien z kimś takim wcale gadać. A tymczasem nie dość że gadał, to jeszcze pił przez całe popołudnie i wieczór, a potem w gościnie u tego Mańka, a właściwie u jego dziewczyny, przespał się jeszcze na kozetce.

Gospodarz zbudził go rano i wyjaśnił, że już czas iść. No to, wiele się nie pytając, poszedł. Ale na szczęście ten facet okazał się całkiem rozsądny, bo zaraz po przebudzeniu podał mu ćwiartkę wódki, jak wyjaśnił, na rozgrzanie żołądka. No to Teofil rozgrzał, wypijając spory łyk, a resztę włożył do kieszeni i poszedł posłusznie za Mańkiem. Tyle że nie wiedział, po co idzie. Nie pamiętał, żeby dzień wcześniej coś ustalali, bo gdy zapytał, o co chodzi, to Maniek mu powiedział, że jest tak, jak ustalili wczoraj.

Przeszli długą, kiepsko oświetloną ulicą, przy której prawie nie było domów, a jedynie z jednej i drugiej strony rosły drzewa, by po chwili znaleźć się na moście. Po drugiej stronie rzeki, na lewo od nich, na tle szarego nieba widać było posępną bryłę jakiegoś zrujnowanego kościoła.

– To jest kościół – wyjaśnił Maniek, wskazując na kościół. – Tyle że nieczynny, bo jego Niemcy we wojnę spalili.

Teofil wzruszył ramionami. Co go mógł do cholery obchodzić jakiś kościół. Chciało mu się spać.

Za mostem skręcili w lewo. Ta ulica przynajmniej trochę była oświetlona, bo naprzeciw kościoła, tam gdzie stał równy rząd kilku parterowych, przedwojennych domów, była jedna latarnia. Przeszli obok niej i gdy ściana budynków się skończyła, skręcili w prawo. Po lewej stronie stał długi, czteropiętrowy blok ze sklepami na wysokim parterze, do których prowadził szeroki podest ze schodami co kilkanaście metrów.

– Daleko jeszcze? – zapytał zrezygnowany Olkiewicz.

– Już jesteśmy. Musimy tylko wejść za ten blok.

Po chwili byli już na podwórku. Maniek zatrzymał się przy betonowym ogrodzeniu śmietnika.

– Stój tu i patrz, jakby co.

– No a ty gdzie idziesz?

– Jak gdzie? Do środka idę.

– Gdzie?

– No tam, widzisz te drzwi?

– Widzę.

– No to ja tam do środka. Już czeka na mnie kumpel.

– To po cholere ja tu mam stać. Pójdę z tobą.

– Nie. Ty tu stój i filuj. Jakby co, to dawaj znać. A jak się wszystko uda, to powiadam ci, że będziesz bardzo zadowolony chłopie. Rozumiemy się?

Olkiewicz pokiwał głową.

– Jasne, że się rozumiemy.

Maniek klepnął go w ramię i po chwili był już przy drzwiach. Zastukał w nie lekko i drzwi otworzyły się. Po sekundzie zniknął w środku.

Tymczasem Teofil włożył rękę do kieszeni. Zadowolony wymacał w niej przyjemny szklany kształt. Wyciągnął flaszkę i upił kolejny łyk. I wtedy poczuł, że cholernie mu się chce palić. Przeszukał wszystkie kieszenie, ale nie miał papierosów. Zaklął pod nosem. Co było robić. Musiał zapalić, bo jak tak pić bez papierosa? Ruszył więc w kierunku drzwi, za którymi zniknął Maniek. Musiał przecież zapalić, a ten Maniek na pewno ma ze sobą fajki.

Godzina 04.07

Kapitan Kruczek obudził się nagle cały zdrętwiały. Ale kto by nie był zdrętwiały, siedząc przez kilka godzin nieruchomo na krześle w małym biurowym pokoiku. Na początku, gdy tu usiadł, postanowił sobie, że ani na sekundę nie zmruży oka i będzie cały czas czujny. No, ale siedź tu człowieku na krześle w ciemności, do tego jeszcze bez palenia papierosów, i nie zaśnij. Nie da się. Początkowo, tak koło północy, jeszcze walczył. Gdy poczuł nadchodzącą senność, co chwila wstawał, robił kilka przysiadów i znów siadał na krzesło. Był przekonany, że mu się uda zachować czujność. W końcu już nieraz czuwał w nocy podczas akcji przeprowadzanych przez jego wydział. Ale zawsze podczas takiego czuwania był z kimś. Więc gdy się czuwa we dwóch, to raz, że zawsze raźniej, a poza tym ten drugi pilnuje pierwszego, żeby ten nie zasnął, a pierwszy drugiego. Dzisiaj było zupełnie inaczej. Według planu, który opracował w najdrobniejszych szczegółach, musiał tu siedzieć sam. To był właśnie najważniejszy element jego planu. On siedzi sam, oni wchodzą, a on zachodzi ich od tyłu i po zabawie. Bandyty złapani na gorącym uczynku. A jak już oni wejdą do środka, to zaraz za nimi wejdzie dwóch wywiadowców, którzy dyżurują w nieoznakowanym samochodzie stojącym na placu Powstańców, na wprost sklepowej witryny. Plan musi zadziałać w najdrobniejszym szczególe, bo jego dwaj ludzie bardzo dobrze wiedzą, kiedy wkroczyć. Ze swojego auta mają doskonałe pole obserwacyjne. Wystarczy, że bandyci zbliżą się do jubilera i zaczną grzebać przy drzwiach, a oni już

będą gotowi. Ale nie zdejmą ich od razu na ulicy. Kapitan kazał im wyraźnie czekać do chwili, aż przestępcy dostaną się do środka. A jak już wejdą, milicjanci mają ruszyć do akcji. W sumie kaszka z mleczkiem, ale efekt tego polowania na zbirów mógł być piorunujący. Wszystko zależy od tego, co się później napisze w aktach sprawy. A on już wiedział, co napisać: „Banda reakcyjnego podziemia, nieskładająca broni od dwudziestu lat ujęta w Pile”, Może nawet napiszą o tym w gazetach albo przyjedzie tu Kronika Filmowa, a on, kapitan Kajetan Kruczek, w wieku zaledwie trzydziestu dwóch lat zostanie majorem...

Oczy zaczęły mu się same zamykać, a myśli popłynęły gdzieś daleko, do czasów gdy jeszcze chodził do szkoły i po lekcjach wracał do domu, mijając po drodze zrujnowaną kamienicę, w której lubił się bawić wszystkie okoliczne dzieciaki. Kiedyś wszedł tam do piwnicy, ostrożnie stąpając po zrujnowanych, trzeszczących schodach. Nie miał ze sobą latarki, ale wcale nie zamierzał zapuszczać się w jakieś odległe ciemne kąty. Chciał tylko tam zajrzeć, by przekonać się, czy nie ma tam czegoś ciekawego. No bo jak nie zejść, kiedy pierwszy raz te drzwi prowadzące w dół były otwarte? Nieraz bawił się w tym domu, ale drzwi do piwnicy zawsze były zamknięte na kłódkę. A tu dziś, proszę, kłódki nie było, a drzwi uchylone. I jak nie skorzystać z okazji? Nagle, gdy był już na dole, usłyszał jakieś głosy. Odwrócił głowę ku górze. Zobaczył jakiś cień, który pojawił się przy drzwiach, i nagle te drzwi zatrzęsły się z hukiem, a on utonął w kompletnych ciemnościach. Przerażony ruszył biegiem w górę po schodach. Na oślep dopadł drzwi i zaczął walić w nie pięściami. Nikt go jednak nie słyszał, więc krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił...

I wtedy poczuł, że ktoś się nad nim pochyła. Otworzył oczy, ale nie zobaczył nikogo, bo zaraz je zamknął oślepiony blaskiem światła latarki.

– Kto ty, kurwa, jesteś? – usłyszał jakiś nieznajomy męski głos.

– Kajetan Kruczek – odpowiedział zgodnie z prawdą zapytany.

– Aha, a co tu, kurwa, robisz?

– Nic. Siedzę.

– Może to jest jakiś strażnik? – zapytał drugi nieznajomy głos.

– Jesteś strażnik? – znów odezwał się ten pierwszy.

– Nie.

– A kto jesteś?

– Jestem... – Kruczek zamilkł, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

A w ogóle, jak to się stało, że on siedział, a oni stali. Weszli tu, gdy

zasnął? No tak, to musieli być ci bandyci, na których czekał. No ładnie, zasnął, a oni go zaskoczyli. Trzeba szybko coś wymyślić. Przede wszystkim zyskać na czasie. Skoro tu weszli, to za moment wkroczą do jubilera jego ludzie. Tylko spokojnie, żeby nie zrobić jakiegoś głupstwa. Trzeba im powiedzieć coś, co ich uspokoi, uśpi ich czujność.

– Ja jestem kierownikiem sklepu.

– Pierdolony kierownik!

– No proszę, a co tu robi kierownik w nocy?

– Śpię. Żona mnie wywaliła z domu.

– No to świetnie. To nam zaoszczędzi czasu. Dawaj kierownik klucze od kasy.

– Jak to klucze? A kto wy w ogóle jesteście i co tu robicie?

– My jesteśmy z Armii Krajowej.

– Aha... Jak z Armii Krajowej?

– Normalnie. Dawaj klucze.

– Ale ja nie mam kluczy.

– Jak nie masz?

– No nie mam.

– Może mu przypierdolić, co?

– Nie ma czasu na pieprzenie. Nie chce dawać kluczy, to pieprzyć go.

Sami sobie poradzimy.

– A co z nim?

– Trzeba go uciszyć.

Nim Kruczek zdążył zareagować, coś twardego zderzyło się z jego skronią i kapitan straciwszy przytomność spadł krzesła na podłogę.

Nagle od strony drzwi na zapleczu, tych samych drzwi którymi obaj mężczyźni weszli do środka, doleciał do ich uszu jakiś dźwięk. Coś, jakby ktoś skradał się w ich kierunku.

– Kurwa, ktoś tam jest – powiedział jeden z przestępców i w tym momencie rozbłysnęło światło.

– Macie papierosy, bo mi się chce zapalić? – zapytał Olkiewicz.

Obaj bandyci spojrzeli najpierw po sobie mocno zdziwieni, a zaraz potem Maniek zawołał:

– Zagaś, kurwa, to światło do cholery!

Teofil natychmiast przekręcił ebonitową gałkę włącznika.

– Ale po ciemku to mało co widać.

– Spierdalaj tam, gdzieś był.

– To jest ten twój gość na zastępstwo? – zapytał drwiącym tonem ten drugi, którego Teofil nie znał.

– Nie ma co gadać, bierzemy się do roboty, a ty pilnuj drzwi – zarządził Maniek i zapalił latarkę. Przytłumione, pomarańczowe światło oświetliło niewielkie pomieszczenie. Olkiewicz natychmiast dostrzegł, że ktoś leży na podłodze.

– Tam ktoś leży – zdziwiony wskazał na nogi wystające zza krawędzi biurka.

– To kierownik. Dostał w łeb. Pilnuj drzwi i kierownika, a my idziemy do roboty.

Obaj mężczyźni minęli coraz bardziej zdumionego Teofila i zniknęli w sąsiednim pomieszczeniu. Tymczasem on podszedł do leżącego. Uklęknął przy nim, żeby sprawdzić czy żyje. Chciał mu przyłożyć palec do szyi, żeby sprawdzić puls, tak jak go uczono na kursach pierwszej pomocy. Ale nie trafił. Dźgnął go tylko w coś twardego. Zaczął macać dokładnie i stwierdził, że to twarde to rękojeść pistoletu. Natychmiast poczuł znajomy kształt. To była tetetka, taka sama broń, jak jego służbowa. Facet miał tetetkę w kaburze pod pachą. Wyciągnął więc pistolet, zważył go w dłoni, stwierdzając z zadowoleniem, że jest ciężki, a to oznaczało, że w magazynku są naboje. I nagle doznał olśnienia. W tym momencie zrozumiał, co się tu dzieje. Ci dwaj faceci właśnie dokonywali zuchwałej kradzieży z włamaniem, a on był ich współnikiem. Do tego jeszcze współnikiem przy próbie popełnienia morderstwa czy zabójstwa. Nigdy nie wiedział, jaka to różnica z tym morderstwem czy zabójstwem. Zresztą jakie to miało znaczenie? Był współwinny. Koniec pracy w milicji i do tego jeszcze więzienie. Przynajmniej pięć lat. Koniec marzeń o awansie na sierżanta i koniec spokojnego dostatniego życia na państwowej pensji...

Pomyślał, że trzeba stąd jak najszybciej uciekać i pobiec do szkoły milicyjnej. Wskoczył do łóżka i udawać, że się leżało przez całą noc. Żeby tylko ci dwaj niczego nie usłyszeli. Nagle poczuł silny uścisk na ręce. Chciał ją wyrwać, ale nie dało się.

– Gdzie oni są? – zapytał ten leżący facet, który widać odzyskiwał już przytomność.

– Weszli do środka – powiedział szybko Teofil.

– A ty kto jesteś?

– Kapral Olkiewicz z milicji.

– Aha. No to co tu robisz? Bierz się za nich!

– A ty kto jesteś?

– Kapitan Kruczek z SB. Kurwa, nie mogę wstać! Nie ma czasu, dalej, odetnij im drogę! Zaraz tu wejdą moi ludzie.

– Rozkaz, obywatelu kapitanie.

Teofil poderwał się na równe nogi. Teraz już wiedział, co ma robić. Dostał rozkaz i musiał go wykonać. Gdyby jeszcze przez tę swoją głupotę nie podał nazwiska, ale podał i już nie mógł uciekać.

– Czekaaj, masz broń?

– Mam.

– No to dalej, do roboty.

Trzask pękającej szyby rozległ się gdzieś tam w głębi pomieszczenia, w którym zniknęli przestępcy. Olkiewicz wyszedł na korytarz, wymacał włącznik światła i zapalił je. Zrobiło się tak jasno, że musiał zmrużyć oczy. Stał na środku w szerokim rozkroku, tak jakby był na milicyjnej strzelnicy i wycelował trzymany w obu dłoniach pistolet wprost w wylot korytarza. Padł strzał i zaraz w korytarzu pojawili się dwaj faceci, Maniek i ten drugi chudzielec. Obaj mieli w dłoniach pistolety.

– Spierdalamy! – zawołał Maniek i wystrzelił na oślep w głąb pomieszczenia, tam gdzie musieli znajdować się ludzie kapitana, którzy ich zaskoczyli. Teofil już wiedział, że nie ma innego wyjścia. Albo oni, albo on. Wycelował tak, żeby nie zabić. Chciał ich tylko zranić, wyeliminować z walki. Przycisnął spust i posłał pierwszą kulę, a zaraz potem stało się coś niebywałego. Jego pistolet zaczął sam wypluwać pocisk za pociskiem. Na szczęście nie wypuścił go z ręki, cały czas mocno trzymał rękojeść. Po ósmym wystrzale kanonada się skończyła. W pomieszczeniu zrobiło się kompletnie cicho. Spojrzał przed siebie, opuszczając lufę pistoletu w dół. Dwaj przestępcy leżeli nieruchomo na podłodze.

– Obywatelu kapitanie, jesteśmy w środku! Nic wam nie jest?

– Tu kapral Olkiewicz! – zawołał Teofil.

– Jaki, kurwa, Olkiewicz?

– Teofil Olkiewicz. Milicjant.

– Acha. A co ty tam robisz?

– Zastrzeliłem ich. Chyba...

– A gdzie kapitan Kruczek?

– Leży tu. Ale żyje.

– To dobra, stój tam gdzie stoisz, Olkiewicz. Idziemy do ciebie. I opuść broń!

– Nie mam już nabojów.

– To idziemy!

Po chwili w końcu korytarza dostrzegł dwie sylwetki w milicyjnych

mundurach. Dwaj sierżanci z pistoletami w dłoniach przeszli nad ciałami, uważnie im się przyglądając.

– Ty to jesteś jakiś pieprzony kowboj chyba – powiedział ten, który podszedł pierwszy do Olkiewicza.

– Rozwalił ich pokazowo – przyznał z podziwem w głosie ten drugi.

– A gdzie kapitan?

– Tu jestem, Marian! – zawołał Kruczek, który cały czas leżał na podłodze. – Chodź no tu i pomóż mi wstać.

Sierżant natychmiast zniknął w pomieszczeniu, w którym bandyci zaskoczyli kapitana. Po minucie obaj wyszli ze środka. Kruczek oparł się o ścianę. Najpierw popatrzył na leżących bandytów, a potem na Olkiewicza.

– Skąd ty się tu wzięłeś, człowieku? – zapytał, patrząc mu prosto w oczy.

I wtedy Teofil, do którego powoli docierało to, co się wydarzyło przed momentem, chciał zgodnie z prawdą opowiedzieć wszystko od początku do końca, o tym spotkaniu w Lukullusie i o kolacji w Kosmosie... Na szczęście w porę ugryzł się w język. „Za dużo gadania” – pomyślał. Potem trzeba by to jeszcze wyjaśnić i udowodnić, że on wcale nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi...

– Ja jestem na przepustce. Bo jestem na kursach w szkole milicyjnej. No i akuratnie tu przechodziłem...

– I całe szczęście, że przechodziłeś – powiedział kapitan Kruczek, kładąc mu rękę na ramieniu. Ale zaraz ją cofnął, bo nagle o czymś sobie przypomniał. Zmarszczył brwi i zapytał podchwytliwie.

– A skądżeś miał broń? Przecież wy tam w szkole nie macie swojej broni osobistej.

– To nie jest moja broń – powiedział Teofil, wyciągając pistolet w kierunku esbeka. – Ja ją sobie tylko na chwilę pożyczyłem od obywatela kapitana.

Kruczek bez słowa wziął od niego pistolet. Teofil natomiast sięgnął do kieszeni i wydobył z niej niedopitą ćwiartkę wódki.

– Nie jestem na służbie, to chyba mogę się napić, nie?

Kapitan popatrzył na butelkę.

– Milicjant jest zawsze na służbie – powiedział jak najbardziej poważnym tonem. – Jednak zważywszy na wyjątkowość sytuacji, nie widzę przeszkód.

Poniedziałek, 11 października, godzina 10.15

Na sali wykładowej siedziało sześćdziesięciu milicjantów. Wszyscy byli młodymi podoficerami, którzy w szkole milicyjnej w Pile uczyli się podstaw zawodu. Dziś akurat kapitan prowadzący szkolenie zapoznawał ich z podstawami filozofii marksistowskiej, która, jak wiadomo, była niezwykle istotnym punktem programu nauczania stróżów prawa. Musieli przecież być nie tylko skuteczni w łapaniu przestępców, ale także świadomymi krzewicielami socjalistycznych wartości. Siedzący w ostatnim rzędzie Teofil Olkiewicz oparł czoło na dłoni, udając skupienie. Musiał udawać, bo mniej więcej w trzeciej minucie wykładu stracił kompletnie wątek. Nic nie rozumiał z tej filozofii i w ogóle dziwił się, że ktokolwiek może coś z tego gadania zrozumieć. A było w tej grupie przynajmniej kilku funkcjonariuszy, którzy pilnie notowali słowa wykładowcy. Teofil nie notował, bo i tak nie wiedziałby, co zapisać, a poza tym nie potrafił pisać tak szybko i jednocześnie słuchać. On do pisania potrzebował skupienia, a jak tu się skupić, gdy tyle różnych myśli krążyło mu po głowie.

Były to niezbyt wesołe myśli, kręcące się wokół wydarzeń nocy z soboty na niedzielę. Wtedy, po całej tej drace, wrócił do szkoły odwieziony przez milicyjny radiowóz. Sam kapitan, ten od pistoletu, kazał go zawieźć, żeby się gdzieś po drodze nie zgubił. No i wrócił do swojego łóżka, a później miał całą niedzielę na przemyślenie wszystkiego. Rozważywszy wszystko doszedł do wniosku, że jeśli w trakcie śledztwa wyjdzie na jaw, że on z tym cholernym Mańkiem pił wódkę, to w zasadzie już jest po nim. I właściwie powinien już się pogodzić ze swoim losem, bo przecież taki kapitan powinien, jako doświadczony śledczy, wyjaśnić wszystkie aspekty sprawy, a więc i jego w tym wszystkim udział.

„Tylko co ja teraz będę robił? – zastanawiał się Teofil. – W więzieniu jeszcze jakoś sobie dam radę. W końcu zna się kilku chłopaków z poznańskiego Chwaliszewa, którzy gwarantują w różnych kryminałach. A tacy, co to pochodzą z jednej dzielnicy, to zawsze swojakowi pomogą. I jeśli jakoś się na państwowym wikcie przebieduje te pięć lat, a kto wie, może i mniej za dobre sprawowanie, no to co potem robić? Przecież ja nic nie umiem. Jedyne co umiem, to kombinować. Trzeba w takim razie się będzie jakiego fachu nauczyć w więzieniu. Na początek trzeba by zacząć uczyć się otwierania zamków i kłódek. Można by z jakimiś kolesiami zająć się obrabianiem mieszkań

i sprzedawaniem potem fantów”. Teofil znał kilku poznańskich paserów, więc z wymianą towaru na pieniądze nie powinno być większego problemu. Można by też było zająć się pędzeniem bimbru i sprzedawaniem po melinach. Meliniarzy w końcu też znał. Tyle że z tym bimbrem, to jest jakieś niebezpieczeństwo, bo trzeba by mieć silną wolę, żeby nie wypić wszystkiego, co się wyprodukuje. A Teofil niestety miał słabą silną wolę.

Naraz poczuł, że ktoś szturcha go w ramię. Odwrócił się zdziwiony w prawo, tam gdzie siedział poznany kilka dni temu nowy kumpel, kapral Włodek Szwarc, rodowity pilanin.

– No, co jest? – zapytał szeptem Teofil.

– Jak, co? Kapitan cię woła.

Teofil spojrzął przed siebie na oficera, który prowadził wykład. Ten wpatrywał się wprost w niego. Tuż przy nim stał podoficer służbowy, który musiał wejść do sali w jakiś tajemniczy sposób, bo Olkiewicz nawet nie zauważył jego wejścia.

– No co, kapralu Olkiewicz, mam do was wysłać specjalne zaproszenie?

Teofil poderwał się na równe nogi.

– Tak jest, obywatelu kapitanie. Znaczy się, melduję, że nie trzeba zaproszenia.

– No to dalej, ruchy człowieka. Przecież komendant szkoły nie będzie czekał na kaprala.

Komendant szkoły? – Teofil momentalnie zbladł usłyszawszy, o co chodzi. No to stało się to najgorsze, czego bał się od wczoraj. Już go mają.

– Już po mnie – szepnął do Szwarca i ruszył przed siebie jak na ściecie.

– Za mną, kapralu – powiedział sierżant dyżurny i zaraz ruszył w kierunku drzwi.

Teofil powlókł się za nim odprowadzany zdziwionymi spojrzeniami kolegów. Każdy z nich zdawał sobie sprawę, że wezwanie do samego komendanta nie mogło nieść w sobie niczego dobrego.

Gabinet, do którego zmierzali, mieścił się na pierwszym piętrze głównego budynku. Musieli zejść schodami piętro niżej, przemierzając niemal całe boczne skrzydło szkoły. Teofil, idąc obojętnie, przyglądał się przez okna wewnętrznemu dziedzińcowi, na którym jakaś drużyna ćwiczyła musztrę. Nagle sierżant przystanął.

– Stój – rozkazał. Olkiewicz natychmiast się zatrzymał.

– Chcesz papierosa? – zapytał go dyżurny. Teofil popatrzył na niego zdziwiony.

– Co?

– Zapalisz?

– Zapalę. Ale komendant czeka...

– Niech czeka – powiedział sierżant i wyciągnął paczkę sportów. – Masz, zajaraj se.

Olkiewicz wyjął papierosa, wsadził go do ust, a sierżant podał mu zapaloną zapałkę.

– Coś ty, chłopie, zmalował? – zapytał, gdy Teofil zaciągnął się dymem.

Ten tylko wzruszył ramionami.

– Ja jestem niewinny.

– Każdy tak mówi. Ale lepiej się dobrze zastanów nad tym, co powiesz komendantowi. On nie lubi krętaczy. Jak wyczuje, że kręcisz, już jest po tobie.

– A co ja jemu mam powiedzieć? Nic nie zrobiłem.

– Jakbyś nic nie zrobił, to byś teraz nie szedł do komendanta. A powiem ci jeszcze, że jak tu pracuję już osiem lat, to jeszcze nie słyszałem o takim przypadku, żeby komendant wzywał jakiegoś kursanta do siebie na dywanik. W tym przynajmniej jesteś pierwszy.

– Ja pierdolę – jęknął Olkiewicz, a zaraz potem zgasił papierosa w metalowej popielniczce, która stała pod ścianą.

– A wiesz, że tu w szkole, w czasie wojny Niemcy mieli gilotynę? – Powiedziawszy to sierżant przejechał krawędzią ręki po gardle.

– I co z nią zrobili? – zapytał przestraszony Olkiewicz.

– Nie wiem. Ale gadają, że jeszcze gdzieś tu jest. Może się jeszcze przydać przecież. O, tam była, w więzieniu – wskazał rząd okratowanych okienek na dole, tuż obok bocznej bramy. No dobra, idziemy! – zakomenderował i ruszył przed siebie.

Teofil podreptał za nim.

Po chwili meldowali się już w sekretariacie. Młody porucznik, który siedział za wielkim biurkiem, nawet nie spojrzał na Olkiewicza. Pozwolił się odmeldować sierżantowi, a potem wstał z miejsca i podeszedł do masywnych drzwi. Zapukał w nie, odczekał trzy sekundy, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

– Obywatelu pułkowniku, melduję, że już jest!

– Dawać go tutaj!

Porucznik wrócił natychmiast.

– Właż! – powiedział i wrócił za swoje biurko.

Teofil poczuł, że nogi ma jak z waty. Właściwie to powinien się przeżegnać przed wejściem, ale głupio tak przy tym poruczniku, więc podrapał się tylko po głowie i ruszył do przodu.

Wewnątrz stał wielki, przedwojenny stół, a przy nim osiem krzeseł. Na jednym z nich siedział ten kapitan, którego poznał w nocy. Naprzeciw kapitana pułkownik, wielki facet z gębą jak u buldoga.

– To jest on właśnie, obywatelu pułkowniku – powiedział na widok wchodzącego kapitan. Pułkownik wstał z miejsca, złożył ręce z tyłu i obszedł dookoła stojącego na baczność kursanta.

– Obywatelu pułkowniku, kapral Olkiewicz melduje się na rozkaz!

– Kapral Olkiewicz powiadacie? – pułkownik stanął przed kapralem.

– Coś mi się widzi, że już niedługo będziecie kapralem.

Nogi pod Teofilem się ugięły. Czyli najgorsze przypuszczenia się spełniły. Wyleją na zbitą mordę. I koniec pracy w organach. A wszystko przez tę pierdoloną przepustkę.

Komendant przeszywał go wprost swoim świdrującym spojrzeniem, a Teofil miał wrażenie, że ten wzrok dowódcy wchodzi mu przez oczy do środka głowy i zaczyna szperać w jego mózgu. Przed tym człowiekiem nic się nie ukryje...

– Tak to już jest, kapralu Olkiewicz, że my, milicjanci, musimy być szczególnie czujni. I nigdy, powtarzam nigdy, nawet wtedy, gdy nam się wydaje, że możemy sobie pozwolić na chwilę wytchnienia po służbie, nie możemy ani na moment stracić czujności. Bo czujność w naszej milicyjnej robocie to podstawa. A kto nie jest czujny, kto nie ma tego zmysłu czujności, do tej pracy się nie nadaje. Rozumiecie, o czym mówię?

– Melduję, że rozumiem obywatelu pułkowniku – powiedział Teofil, chociaż nic nie rozumiał z tego, co mówił pułkownik, poza tym oczywiście, że milicjant musi być czujny.

– To dobrze, że rozumiecie. Bo ja wam powiem jeszcze, że prawdziwy milicjant jest czujny zawsze. Nie tylko na służbie musi się charakteryzować niezwykłą czujnością i spostrzegawczością. Bo, że na służbie, to całkowicie rozumiałe. Ale prawdziwy milicjant zachowuje czujność także po służbie. Bo on, ten prawdziwy milicjant, wie, że wróg nie śpi. A jak wróg nie śpi, to i on spać nie może, bo musi być czujny. Dlatego prawdziwy milicjant, nawet jak zdejmie mundur i bez munduru wtopi się w społeczeństwo, to on tym milicjantem przecież nie przestaje być. I nawet jak na przepustce pójdzie sobie na kielicha,

to jest dalej milicjantem. Zgadza się ze mną, obywatelu kapitanie? – pułkownik spojrzał na Kruczka, który natychmiast pokiwał głową.

– Oczywiście, obywatelu pułkowniku. Milicjant to przecież nie sam mundur. Milicjant to stan umysłu, powiedziałbym.

– Pięknie żeście to powiedzieli, kapitanie. Milicjant to stan umysłu, a gdyby nie nasz materialistyczny światopogląd, moglibyśmy nawet powiedzieć, oczywiście używając przenośni, że stan umysłu i ducha. Milicyjna dusza! I taką właśnie, jak się okazuje, milicyjną duszę ma kapral Teofil Olkiewicz.

– Że niby ja? – zdziwił się Teofil, bo że ma duszę to wiedział od zawsze, od czasów jak zaczął chodzić na katechizm do kościoła franciszkanów na placu Bernardyńskim w Poznaniu. Ale że ta jego dusza była milicyjna, to o tym nie miał zielonego pojęcia.

– Tak, tak, właśnie wy, Olkiewicz. Milicyjna rogata dusza tkwi w was mocno i to ona sprawia, żeście są czujni w każdym momencie. A także sprawia, że potraficie w sytuacjach skrajnych zareagować jak najbardziej profesjonalnie. Bo zobaczcie, Olkiewicz, co by sobie pomyślał zwykły obywatel, który w nocy przechodziłby przez podwórko i by on zobaczył, że drzwi do zaplecza sklepu są uchylone.

– Pomyślałby, że ktoś tam wszedł.

– No właśnie. Pomyślałby, że ktoś tam jest w środku i by se poszedł dalej. Ale co pomyślał milicjant, który przechodził przez to podwórko? On pomyślał pewnie, czemu tam ktoś jest w środku, w środku nocy? Tak pomyśleliście, Olkiewicz?

– Tak jest, obywatelu komendancie. Tak właśnie było najdokładniej.

– Teofil uśmiechnął się zadowolony. Nic nie wiedzieli o jego konszachtach z tym Mańkiem. Więc trzeba było szybko podać wiarygodną wersję wydarzeń. – Ja se tam szłem, a tu drzwi uchylone, to se myślę, co tam za cholera wlaźła do środka w nocy? I jak tam kto wlaźł, to znaczy musi być złodziej. No to wlaźłem tam, a tam na podłodze leży człowiek, to se myślę, że grubsza sprawa, no i zacząłem obszukanie i znalazłem u niego pistolet, to se myślę całkiem grubsza sprawa.

– Tak właśnie było, obywatelu pułkowniku – potwierdził słowa Olkiewicza kapitan. – Ten tu funkcjonariusz zachował się wzorowo. Nie dość, że wkroczył do akcji, to jeszcze zlikwidował dwóch groźnych przestępców z reakcyjnego podziemia. W ten sposób banda została rozbita. Szukamy jeszcze trzeciego bandyty, ale to tylko kwestia czasu. Na pewno go dopadniemy.

Pułkownik poklepał kaprala po plecach, a potem, uśmiechając się, wskazał mu krzesło przy stole.

– Siadajcie, kapralu – Teofil usiadł na wprost kapitana Kruczka.

– Jeśli obywatel pułkownik pozwoli, to chciałbym o coś zapytać kaprala, bo jedna rzecz nie daje mi cały czas spokoju.

– Oczywiście, pytajcie – zgodził się pułkownik.

– Słuchajcie, kapralu, powiedzcie mi dlaczego władowaliście w tych bandziorów cały magazynek?

Teofil, który spodziewał się zupełnie innego pytania, odetchnął z ulgą. Na to pytanie mógł odpowiedzieć szczerą prawdę, bez najmniejszej obawy.

– Te ruskie tetetki, znaczy się radzieckie pistolety, mają jedną wadę. Nie mają nastawnego bezpiecznika i długi, ciężki cyngiel. Jak go jaki rusznikarz weźmie w obroty, żeby go zrobić bardziej letkim, to może być z tego bieda. Nieraz się tak zdarza, że jak się cyngiel naciśnie, to po pierwszej kuli lecą wszystkie jak z pepeszy. Jak kto tego nie wie, to może stracić palce albo i życie. A ja wiedziałem, bo taki jeden mój znajomy na strzelnicy w Poznaniu tak się przestraszył, że puścił tetetkę i ona postrzeliła jego samego i jeszcze dwóch instruktorów.

– No widzę, że naprawdę będzie z was wartościowy funkcjonariusz, kapralu – powiedział zadowolony pułkownik. – I myślę, że już niedługo na waszych pagonach pojawi się dodatkowa belka. Co, kapitanie, dobrze myślę?

– Jak najbardziej, obywatelu pułkowniku – kapitan Kruczek zgadzał się z nim w całej rozciągłości tematu.

W końcu jak miał się nie zgodzić z pułkownikiem. Przecież był tylko kapitanem, a kapitan zawsze musi się zgadzać z wyższymi szarżami. A pistolet trzeba będzie dać do rusznikarza.

Marta Guzowska

OSZCZĘDNOŚĆ

Dla Marty, Janusza i Wieśka

– Panie sołtysie, panie sołtysie!

Sołtys drgnął i upuścił na podłogę łyżeczkę do herbaty. Dobrze, że nie polał się wrzątkiem, który akurat wlewał do szklanki.

– A, to pani Berezowa. Do mnie czy do żony? I co Berezowa tak krzyczy, pali się we wsi?

Gospodyni zatrzymała się na progu kuchni.

– Berezowa wejdzie. Żona poleciała tylko po mąkę, zaraz będzie.

– Ja ją po drodze spotkałam, panie sołtysie. Nie do żony, do pana.

Sołtys podniósł łyżeczkę i odłożył na stół.

– Na pewno Berezowa nie wejdzie?

– Nie, bo w butach jestem. Ja tylko na chwileczkę, panie sołtysie. Bo te archeologi już przyjechały do piramidy. Mój Wasyl mówił, że jak przyjadą, to żeby zaraz pana sołtysa zawiadomić.

– Choler... To znaczy akurat teraz, jak nie mam czasu... A to na pewno archeolodzy? Bo może pan Wasyl popijał akurat pod sklepem i coś mu się przewidziało?

Gospodyni wyprostowała plecy.

– Mój Wasyl, panie sołtysie, owszem, lubi wypić, ale ślepy to on jeszcze nie jest. Jechały te archeologi takim dużym białym samochodem, taką nyską. I tam na tej nysce z boku było napisane, że to archeologi z jakiegoś uniwersytetu.

Sołtys poważnie wątpił, czy nyski są jeszcze używane, ale ogólnie opis się zgadzał. Delikatnie wyciągnął szczura z herbaty i upuścił go do zlewu.

– No, to naprawdę nie jest najlepszy moment. – Spojrzał przez okno.
– I do tego będzie lalo.

– No, koniec września mamy, panie sołtysie.

– Tak, wiem, nie musi mi Berezowa przypominać. – Sołtys zamyślił się przez chwilę. – No trudno, deszcz nie deszcz, skoro archeolodzy przyjechali, to trzeba się będzie ruszyć.

Upił herbaty i poparzył sobie język.

*

Wszyscy dzisiaj narzekają na koszty. Archeolodzy też. Co, jak się nad tym zastanowić, jest śmieszne. Bo ile kasy potrzeba na sezon badań archeologicznych? Tyle co wyżywienie (kiepskie) i zakwaterowanie (lepiej nie mówić) dla studentów plus kilku pracowników naukowych. Do tego jeszcze sprzęt, ale koszt łopat, kilofów, wiader, taśm mierniczych i papieru do rysowania możecie sobie sami sprawdzić na stronie jakiegoś marketu ogrodniczego. Poza tym większość potrzebnych rzeczy i tak już zazwyczaj jest na stanie w instytucie archeologii. No więc spróbujcie szybko w pamięci podsumować, ile to wszystko kosztuje, a potem porównajcie to z kosztem jednej jedynej godziny pracy takiego zderzacza hadronów albo innych kwarków. Nie mówiąc już o budowie takiego zderzacza. Porównaliście? To już wiecie, dlaczego to jest śmieszne.

No, ale archeolodzy narzekają, jak wszyscy. I próbują przeprowadzić badania jeszcze taniej. Badania w Rapie to kolejny przykład. Choć może nie bardzo typowy, bo to nie są wykopaliska, tylko badania czegoś, co nigdy nie zostało przykryte ziemią. A konkretnie piramidy. Tak, nie przesłyszeliście się. Piramidy, chociaż mniejszej niż te egipskie, o wiele mniejszej. No i, w porównaniu z egipskimi, to ona jest po prostu nówka nieśmigana, zbudowana zaledwie na początku dziewiętnastego wieku przez rodzinę von Fahrenheitów. I błagam, nie pytajcie, czy mieli oni coś wspólnego z tym von Fahrenheitem od termometru. Nie wiem, i nikt nie wie. To znaczy, nie wie doktor Kowalski, a to jakby nikt nie wiedział. A doktora Kowalskiego też lepiej nie pytać, bo on wtedy mruży oczy i przez zaciśnięte zęby cedzi: „badania trwają”.

W każdym razie von Fahrenheitowie zbudowali tę piramidę jakieś dwieście lat temu i od tego czasu nikt jej nie konserwował. Więc konstrukcja może się zawalić w każdej chwili.

Na głowę się raczej nikomu nie zawali, bo stoi w środku lasu. Okna i drzwi są zamurowane. Choć, jak przyjechaliśmy pierwszy raz, to

jedno okno było przebite. Ale Janusz zaraz się dogadał z miejscowym ślusarzem i założyli kraty. Bo miejscowi kradli ze środka cegły. Więc ta piramida naprawdę mogła się w każdej chwili zawalić.

Gdy byliśmy w piramidzie po raz pierwszy, Marta z Januszem wpadli na pomysł, żeby pożyczyć skaner. Taki sprzęt z bajerami, który skanuje całą budowlę w 3D, co do milimetra albo nawet jeszcze dokładniej. Zupełnie odjechane urządzenie. Marta twierdzi, że dzięki niemu można dokładnie zadokumentować konstrukcję i po pierwsze: zobaczyć, w których miejscach jest naruszona, a po drugie: będzie dokładnie wiadomo, co trzeba wzmocnić, żeby piramida jednak się nie zawaliła.

Naszego instytutu nigdy w życiu nie byłoby stać na wypożyczenie czegoś takiego, a o zakupie to w ogóle nawet nie warto marzyć. Ale Marta i Janusz dogadali się z firmą, która produkuje te skanery i dostali nowy model, taki jeszcze eksperymentalny, do przetestowania. A firma sobie wpisze potem w portfolio, że wspiera naukowców i wszyscy będą zadowoleni.

Więc ten projekt naprawdę wychodzi tanio. Sprzęt wypożyczony. Samochód z uniwersytetu, chociaż na benzynę musieliśmy robić zrzutkę. Diet żadnych nikt nie dostał. Spać mieliśmy u Marty i Janusza, którzy kupili dom letniskowy dwie wsie dalej. W ogóle ekipa była niewielka: Marta i Janusz (to znaczy doktor Bura i doktor Janowski, ale do nich wszyscy zawsze mówią po imieniu). Oprócz nich doktor Wiesiek. On też prosi, żeby do niego mówić po imieniu, ale to jednak jakoś głupio. Doktor Wiesiek jest antropologiem. Bo von Fahrenheidowie nie wybudowali tej piramidy dla dekoracji, tylko jako grobowiec. Rodzinny. Więc nawet zanim weszliśmy do środka wiadomo było, że znajdziemy jakieś trupy. I na koniec ja. Piszę u doktora Wieśka magisterkę i załapałem się do ekipy w ramach praktyk, jako asystent.

Jak widzicie, taniej już się naprawdę nie da.

*

Janusz szukał klucza. Sprawdził już spodnie i klepał się po kurtce. Klucza nie było ani w kieszeniach po bokach, do których najczęściej wsadza się ręce, ani w takiej na suwak, na piersi, ani w kieszonce na dokumenty po wewnętrznej stronie.

– Nie mów mi tylko, że nie wzięłaś. – Marta podparła się pod boki.

– A ty wzięłaś swój? – burknął Janusz.

– Przecież wiesz, że mój gdzieś zginął. Już latem...

Janusz oklepał jeszcze raz kurtkę, od góry do dołu.

– Wiesiek, może ty swój zabrałaś?

– Mało prawdopodobne. – Doktor Wiesiek też przejechał dłońmi po swojej kurtce. – Ale poczekajcie, jeszcze sprawdzę w plecaku.

Przykucnął, odciągnął sznurki i wsadził rękę do środka. Janusz ciągle poklepywał się po kurtce. Marta postukiwała stopą o ziemię.

– Przestań – jęknął Janusz.

– Zastanawiam się właśnie, czy to znaczy, że zmarnowaliśmy dzień pracy i będziemy musieli ...

– Znalazłem! – Janusz podniósł zaciśniętą dłoń. – Był w tej na rękawie. Cieszysz się?

– Ogromnie. A następnym razem myśl, jak go gdzieś wkładasz.

Janusz podszedł do zakratowanego okna i przekręcił klucz w zamku kłódki. Ale to doktor Wiesiek pierwszy wszedł przez okno do środka. I niewiele brakowało, a jednego trupa mielibyśmy od razu. Świeżego. Bo jakaś cegła oderwała się od sklepienia akurat w tym momencie i dosłownie świsnęła doktorowi Wieskowi koło ucha.

– Rany boskie, Wiesiu, uważaj! – syknęła Marta.

Doktor Wiesiek nic nie odpowiedział, bo rzeczywiście, co miał zrobić? Nie mógł przecież gapić się cały czas na sufit, a to i tak zresztą nic by nie dało. We wnętrzu piramidy panował półmrok, sufitu w ogóle nie można było dostrzec.

– Cholera – Janusz przecesał palcami kucyk – powinniśmy byli zorganizować jakieś kaski.

– Ja nie mogę o wszystkim myśleć – odcięła się Marta.

– Tutaj w środku jest spoko – zawołał doktor Wiesiek. – Możecie wchodzić. Tylko uważajcie, bo te cegły wszędzie leżą, można sobie nogę skrzyć po ciemku.

I dokładnie w tym momencie sam się przewrócił. Przeskoczyłem przez parapet i chciałem mu pomóc, ale doktor Wiesiek już wstał i oglądał swoje kolano przez rozdarcie w dzinsach.

– Nic ci nie jest? – chciała wiedzieć Marta.

– Nie, chyba nie. Tylko upadłem na wieko od trumny.

Poświeciłem latarką. Wieko rzeczywiście trochę się zniszczyło. Środkowa deska złamała się w połowie.

– Chcesz jakiś plaster na to kolano? – Marta też przelazła przez

parapet. – Uff, ale tu śmierdzi. To te trupy von Fahrenheitów?

– Nie, nie, wszystko w porządku. To chyba nie te trupy, one były przecież pochowane dwieście lat temu. Może jakieś myszy w ścianach. Albo ogólna zgnilizna.

W piramidzie rzeczywiście było wilgotno. Nawet w słabym świetle padającym z jedyne go okna widać było, że dolne części ścian pokrywa pleśń.

– Wołodia, pomóż mi ze skanerem – krzyknął Janusz z zewnątrz, więc się ruszyłem, żeby wciągnąć do środka skrzynki. Doktor Wiesiek oświetlał wieko trumny.

– Cholera, niedobrze to wygląda.

– Nie martw się – pocieszyła go Marta i omiotła pomieszczenie snopem latarki. – Zobacz, w jakim to wszystko jest stanie.

Wnętrze piramidy przypominało magazyn ze starymi dekoracjami do horroru. Na posadzce wszędzie leżały cegły i gruz, a w jednym kącie kilka butelek po piwie. Trumny miały poobijane wieka. Oprócz tej, którą uszkodził doktor Wiesiek, były jeszcze trzy. Sporo kości luzem leżało na podłodze. Wyglądały na ludzkie.

– Jeszcze gorzej niż wcześniej – powiedział doktor Wiesiek. – Jeśli to w ogóle możliwe.

– Mnie też się wydaje, że teraz jest więcej cegieł. – Marta świeciła po kątach.

– A kiedy my tu dokładnie byliśmy? – spytał Janusz zza okna.

– Jakoś na samym początku września.

– A tak, a Wiesiek był z tą dziewczyną. Z tą studentką, co go zaraz potem puściła w trąbę i wyjechała bez pożegnania. Pamiętam.

Wiesiek chrząknął.

– No co? Mówiłem ci, Wiesiek, że sypianie ze studentkami jest bez przyszłości.

Marta podeszła do doktora Wieska i pogłaskała go po rękawie kurtki.

– Przepraszam. Nie zwracaj na niego uwagi.

– Stara historia – westchnął doktor Wiesiek. – Nie ma o czym gadać.

Doktor Wiesiek to bardzo bezkonfliktowy człowiek.

– Chyba raczej wtedy, jak się pożarłeś z tą letniczką. – Marta odwróciła się do Janusza. – Co to jej powiedziałaś, że jak jeszcze raz jej pies wleci do nas do zagrody, to urwiesz głowę i jej, i psu.

– Bo to potworne babsko było. I potwornie niewychowany kundel. A ja we własnym ogrodzie chciałybym mieć spokój, a nie, żeby mnie jakiś obcy pies szarpał za nogawki.

– Ale nie musiałeś jej grozić tak, że aż policję wzywała. Przecież to tylko letniczka, i tak zaraz wyjechała.

– I oby już nigdy nie wróciła. Cholerna baba! – Janusz był czerwony na twarzy, ale nie z gniewu, tylko od ciężaru skrzynek.

– W każdym razie – doktor Wiesiek uznał, że zmieni temat – od początku września rzeczywiście sporo się posypało ze sklepienia. To chyba ostatni moment, żeby coś z tym zrobić.

– Dobra – pogoniła nas Marta. – Skoro Wiesiek żyje i nie chce plastra, to przestańmy gadać i bierzmy się do roboty. Bo inaczej tu pozamarzamy.

W piramidzie panował chłód, chyba jeszcze gorszy niż na dworze. Ale cała ta jesień była do dupy. Codziennie siąpił deszcz, a wiało, jakby ktoś się powiesił – tak mawiała moja babcia.

– Wołodia, jeszcze reflektory – sapnął Janusz, więc znowu ruszyłem do okna.

Reflektory mieliśmy trzy, wielkie jak do kręcenia filmu i cholernie ciężkie. Ale bez porządnego światła nic byśmy nie zdziałali.

– To może zaczniemy od tej, Wiesiu? – Marta postukała latarką w uszkodzoną trumnę. – Skoro już zrobiłeś w niej dziurę...

– Przepraszam – powiedział jeszcze raz doktor Wiesiek. – To było naprawdę niechcący.

Marta machnęła ręką, a Janusz przysunął bliżej reflektor. Doktor Wiesiek wyciągnął z kieszeni niebieskie lateksowe rękawiczki i maskę na twarz, taką chirurgiczną. Zrobiłem to samo, Marta i Janusz też. Doktor Wiesiek kładł nam do głowy przez pół drogi, że w starych zwłokach mogą być jakieś inne bakterie niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni, i lepiej zminimalizować kontakt. Ja na jego miejscu popsikałbym jednak czymś to kolano.

W maskach wszyscy mówili trochę niewyraźnie i dopiero po chwili zorientowałem się, że doktor Wiesiek chce, żebym podważył wieko trumny z drugiej strony. Było ciężkie jak cholera.

– Kurczę, to chyba dąb – stęknął doktor Wiesiek.

W trumnie leżał trup. Wcale nie szkielet, tylko trup, z wyschniętą skórą, która oblepiła kości jak mokra szmata. Pewnie kiedyś miał ubranie, ale zostały z niego tylko strzępy na dnie trumny. No i nie miał głowy.

Doktor Wiesiek wyjął latarkę i poświecił na kikut szyi.

– Oderwana na wysokości czwartego kręgu szyjnego – mruknął. – Raczej nie odcięta, sami popatrzcie.

Nikt się jakoś nie spieszył, żeby podejść bliżej.

– Tak go pochowali? – spytała cicho Marta.

– Nie, no coś ty! – Wiesiek przykucnął i poświecił latarką z bliska na kikut szyi. – Zwłoki były już z mumifikowane, kiedy głowa została oderwana. Musiały tu kilkadziesiąt lat poleżeć.

Podniósł się i oświetlił latarką pozostałe trumny.

– Odsuńmy od razu wszystkie wieka, dobrze? – zaproponował. – Wtedy my z Wołodią będziemy mogli sobie zaplanować pracę, a wy rozstawicie ten wasz skaner.

Podeszliśmy do kolejnej trumny.

– Na trzy – zakomenderował Janusz.

To wieko też ważyło jak cholera. Trup w trumnie wyglądał podobnie, chociaż był sporo mniejszy. Ale mniejszy raczej jak drobna kobieta, nie jak dziecko. I też nie miał głowy.

– Oderwana, tak samo jak u tego poprzedniego – stwierdził doktor Wiesiek.

Tym razem Marta podeszła bliżej.

– Ciekawe – powiedziała. – My tu przecież przyjeżdżamy od wielu lat, mieszkamy zaledwie dwie wsie stąd i dużo gadamy z ludźmi. Wszyscy mówią o piramidzie, że niszczyje, że cegły kradną, że się może zawalić... Ale o trupach z oderwanymi głowami nic nie słyszałam.

– Pochwalony! – powiedział ktoś od okna.

Marta podskoczyła i upuściła latarkę, która zgasła.

– A, to pan, panie Sito. – Janusz poświecił swoją lampą na podłogę. – Niech pan nas tak nie straszy. Bo jeszcze pan karetkę będzie musiał wzywać.

Marta podniosła latarkę i pstryknęła przełącznikiem.

Koleś za oknem, w wełnianej czapce z daszkiem i kurtce z postawionym kołnierzem, oparł się o parapet i całkowicie zasłonił światło dzienne.

– E, karetkę to chyba nie, panie Januszu. Państwo to przecież przyzwyczajeni.

– Ciekawe do czego – mruknęła Marta.

– A będziecie te trumny otwierać? – zainteresował się koleś w czapce.

– No, taki mamy zamiar. – Janusz przeskoczył przez stos cegieł, podszedł do okna i spróbował zmienić temat. – A jak tam krowy, panie Sito? Bo podobno choroba jakaś w okolicy.

– A już lepiej, dziękuję panie Januszu. Dużo lepiej. A ksiądz proboszcz wie?

Chwilę trwało, zanim Janusz nadażył za jego skokiem myślowym.

– O tych pracach tutaj? – Machnął latarką i przez moment oświetlił oskrobane z tynku ściany, doktora Wieśka w masce na twarzy i Martę, która stała nieruchomo i ścisnęła w dłoni własną latarkę. – Pewnie tak. Skoro sołtys wie... Przecież my tu, panie Sito, nie mamy niczego do ukrycia.

Koleś w oknie wyraźnie się odprężył.

– No bo we wsi gadają, panie Januszu kochany. Ale jak ksiądz proboszcz wie, to wszystko w porządku.

– I konserwator zabytków też wie – dorzuciła Marta. – I Dyrekcja Lasów Państwowych.

Kolesia w oknie nie interesowały lasy i konserwacja zabytków.

– No bo we wsi takie różne rzeczy gadają – powtórzył.

– Co gadają, panie Sito? – spytał Janusz, bo koleś w oknie wyraźnie na to czekał.

Facet otworzył usta, ale potem chyba się rozmyślił. Machnął ręką.

– E tam, kochany panie Januszu. Głupoty gadają. Jak to ludzie.

Janusz przesunął się trochę, żeby zasłonić kolesiowi widok na trupa w trumnie, chociaż było już na to za późno.

– A tak, kochany panie Januszu. Bo tu w tej piramidzie trupy leżą, zamiast w ziemi poświęconej, to na pewno grzesznicy straszni. Ale to głównie Karolkowa tak gada, to głupia baba jest. A te, co za nią powtarzają, tak samo głupie. Chociaż, kochany panie Januszu, fakt faktem, te trupy nie murszeją jak normalne trupy na cmentarzu. Sam pan widzisz. – Koleś za oknem pokazał sękatym palcem nieboszczyka, którego Janusz próbował zasłonić. – Się nie rozkładają po bożemu.

– To jest proces mumifikacji – wtrącił doktor Wiesiek. – Tutaj w piramidzie jest mikroklimat. Specjalne warunki. Ciało się samoistnie mumifikują.

– Mumikacja nie mumikacja, panie kochany, ale fakt faktem: trupy nie murszeją.

Marta przysunęła się bliżej do Janusza i zasyczała:

– Janusz, weź go spław, bo on będzie nam tu do wieczora tyłek zawracał i nic nie zrobimy.

Ale Januszowi coś nagle przyszło do głowy.

– Panie Sito, a pan ile w tej wsi mieszka?

– Ja się tu rodziłem, kochany panie Januszu. A rodzice to od powojnia.

– A to może słyszał pan coś... Może ludzie gadają też, co to było z tymi głowami?

– A, że ich nie ma? O to chodzi, kochany panie Januszu?

Janusz przytaknął.

– Ja nie pamiętam, bo małym chłopcem wtedy byłem. Ale podobno za Gierka jeszcze był tu wielki pomór bydła. I głupie ludzie myśleli, że to przez te niezmurszałe nieboszczyki w piramidzie. No to im głowy poodrywali. Ze złości, ale i po to, żeby więcej nam, biednieńkim, już nie szkodzili.

– Biednieńkim – powtórzyłem pod nosem, ale doktor Wiesiek dał mi ręką znak, żebym siedział cicho.

– Sam widziałem, jak dzieciaki we wsi tymi głowami w piłkę grały. Ale ja nie grałem, kochany panie Januszu, za mały byłem, a ojciec zapowiedział, że jak tylko spróbuję głowę kopnąć, to tak mnie spierze, że przez rok na dupie nie usiądę. A mój stary to miał ciężką rękę, kochany panie Januszu, oj, ciężką.

– To pewnie stąd te kości luzem na posadzce – powiedział cicho doktor Wiesiek.

– Ano stąd, panie kochany, stąd. Potem, jak już komuna się skończyła, to pozbieraliśmy te niezmurszałe nieboszczyki i z powrotem poukładaliśmy w trumnach. Ale niektóre kości jeszcze zostały.

– Czyli wszystko jasne – powiedziała Marta, bo Janusz, chociaż szukał jakiejś dobrej odpowiedzi, najwyraźniej jej nie znalazł. – To my już wrócimy do pracy. Trochę pan nam zasłania światło, panie Sito.

Jeśli miała nadzieję, że w ten sposób pozbędzie się koleś, to się pomyliła.

– E tam, przecież macie reflektory – zauważył przytomnie facet. – Ja sobie popatrzę, dobra? To potem we wsi może opowiem, żeby ludziska znowu jakich głupot nie gadali.

Marta chciała chyba zaprotestować, ale Janusz położył jej dłoń na ramieniu.

– Pan patrzy, panie Sito. Tylko niech pan tu do środka nie wchodzi, bo cegły z sufitu lecą. Jeszcze panu jakaś na głowę spadnie i będzie nieszczęście.

– Kochany panie Januszu, ja bym tu po dobroci nie wlaźł. – Koleś w oknie się przeżegnał.

– Dobra. – Doktor Wiesiek podniósł się z kucek. Strzeliło mu głośno w kolanie. – Bierzmy się do roboty, bo strasznie zimno.

– A zimno, psiajucha, panie kochany, taką zimną jesień mamy – dodał koleś od okna, chociaż to nie było do niego.

– To może zrobimy tak. – Marta z powrotem była Martą, czyli szefową

wszystkiego. – Otwieramy pozostałe trumny i cykamy zdjęcia. Jak już będziemy mieli komplet, Wiesiek i Wołodia wezmą się za badanie zwłok, a my z Januszem za skanowanie. Czyli za to, po co tu przyjechaliśmy.

– Ale do zdjęć będzie trzeba inaczej ustawić lampy – zauważył doktor Wiesiek.

– To się przestawi – skwitowała Marta. – Do roboty.

Doktor Wiesiek pokazał palcem kolejną trumnę. Nachyliłem się i podważyłem wieko palcami z jednej strony, doktor Wiesiek z drugiej, a Janusz z boku.

– Raz, dwa, trzy – zakomenderował doktor Wiesiek i szarpnęliśmy.

I zobaczyliśmy, że to, co śmierdziało, to nie były myszy ani pleśń na ścianach.

*

Ciało też nie miało głowy. Ani ubrania. Ale skóra nie oblekała kości. Niczego nie oblekała, bo prawie jej nie było. Zostały tylko ścięgna, włosy i breja na dnie trumny.

Marta przyłożyła dłonie do ust i powiedziała mało oryginalnie: Matko Boska! Obejrzałem się w kierunku okna. Koleś w czapce przeżegnał się tak zamasyście, że wyrznął dłońią we framugę okna.

Doktor Wiesiek pochylił się nad zwłokami.

– Nie żyje od jakichś trzech tygodni, góra miesiąca. – Sięgnął po stojak i przysunął bliżej lampę.

– To niemożliwe. Przecież my tu byliśmy na początku września, niecały miesiąc temu. – Głos Marty był niewyraźny, bo nadal przyciskała usta dłońią.

– No tak – zgodził się Wiesiek. – Takie świeże zwłoki strasznie śmierdzą. Ale skoro byliśmy na początku września, to by się nawet zgadzało. Ciało pewnie pojawiło się tuż potem. Zobaczcie.

Doktor Wiesiek pochylił się i sięgnął do trumny. Potem podstawił dłoń pod lampę. Na niebieskim lateksie rękawiczki leżało coś, co przypominało królicze bobki.

Marta się wzdrygnęła.

– To robaki? – zainteresował się Janusz.

– Nie robaki, tylko puparia. Kokony rzekome, czyli osłonki poczwerek muchy, które zostają po przepoczwarzeniu się w owada. Wołodia, ty

powinieneś to wiedzieć.

– No tak – chrząknąłem. Poczułem się jak na egzaminie.

– Czyli te zwłoki mogły się tu tylko pojawić tuż po naszej ostatniej wizycie. Bo zaraz potem się ochłodziło, pamiętacie? Te puparia to pozostałość po larwach, które wykluły się z jajeczek złożonych przez pierwsze pokolenie much, to się dzieje prawie natychmiast po śmierci. Drugiego pokolenia nie było, bo muchy nie latają, jak jest zimno, raczej mało prawdopodobne, żeby znosiły wtedy jaja na trupie. A chrząszczy, które pojawiają się w tych warunkach normalnie po jakimś miesiącu, jeszcze nie ma.

– Czy ty się słyszysz, Wiesiek? – Marta odjęła wreszcie dłonie od ust.

– Czy wy się w ogóle słyszycie? – Jej głos zrobił się taki piskliwy, że gdyby w oknach były szyby, mogłyby popękać. – „Ciało się pojawiło”? Samo „się pojawiło”? Czyście w ogóle oszaleli?

– Martusiu, o co ci chodzi? – Janusz próbował ją objąć, ale Marta odskoczyła. Gdyby nie potknęła się o cegły, pewnie jeszcze przywaliłaby mu w twarz.

– O co ci chodzi? – spytała na wdechu. – O co ci chodzi? Ktoś ją zabił. Zwłoki się same nie „pojawiły”.

– A to kobieta? – spytał Janusz.

– Nie wiem, przecież nie ma głowy!

Janusz przeczesał palcami kucyk.

– Kobieta. – Doktor Wiesiek pokazał palcem kości pasa miednicznego. – Kąt podłonowy jest rozwarty, a spojenie łonowe niskie i szerokie.

– Ktoś ją zabił – głos Marty drżał – a wy rozmawiacie o tym jak na konferencji naukowej!

– Policjanci też będą o tym tak rozmawiać – powiedział cicho doktor Wiesiek. – Muszą ustalić czas zgonu. I albo mają własnego paleoentomologa, albo poproszą kogoś z naszego instytutu. Czyli mnie.

– Policjanci to policjanci! – Marta znowu krzyknęła. – Odsuńcie się od tej trumny.

Dałem krok do tyłu. Doktor Wiesiek nadal stał z puparium w dłoni. Marta wyciągnęła komórkę z kieszeni džinsów.

– Co ty robisz? – spytał Janusz.

– Jak to, co? Dzwonię na policję.

Janusz obejrzał się na okno. Koleś w czapce przestał kreślić w powietrzu znaki krzyża i coś mamrotał, może odmawiał zdrowaśki.

Marta naciskała ekran smartfona.

– Cholera, nie ma zasięgu. Janusz, trzeba podjechać do wioski, tam na pewno będzie...

Janusz podszedł, wyjął jej telefon z ręki i schował do własnej kieszeni.

– Poczekaj chwilę – powiedział.

– Na co mam czekać?! – rozdarła się Marta. – Przecież to są zwłoki. Ktoś ją zamordował, tę kobietę.

– Wiesiek mówi, że zwłoki są sprzed miesiąca. To znaczy, że mogą poczekać jeszcze pięć minut.

Marta otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w końcu tylko zassała powietrze.

Janusz znowu zerknął na kolesia za oknem.

– Jak przyjedzie policja – powiedział tak cicho, że ledwo zrozumiałem – to już nic tutaj nie zrobimy. Ani teraz, ani być może nigdy. Zamkną całą piramidę, cholera wie na jak długo.

We wnętrzu zapadła cisza. Słysząc było tylko wiatr.

– Sprzęt trzeba oddać pojutrze. Nie wiem, czy uda się go jeszcze kiedykolwiek wypożyczyć. Na pewno nie, jeśli nie będziemy mieli żadnych rezultatów.

Marta milczała.

– Nieboszczyk czekał przez miesiąc, to zaczeka jeszcze dwa dni – powtórzył Janusz i spojrzał na zegarek. – Półtora.

– Ale ślady...

– Marta, posłuchaj. – Janusz chwycił ją za ramiona i obrócił do siebie. – Zaraz z Wieśkiem założymy z powrotem wieko tej trumny.

– Nie, może lepiej będzie zostawić, jak jest – zaproponował doktor Wiesiek.

– No, możemy – zgodził się Janusz. – Wszyscy mamy rękawiczki, nie zostawimy żadnych odcisków palców. Postaramy się niczego nie zatrzeć. Będziemy bardzo uważać. Niczego nie dotkniemy. Zeskanujemy tylko strukturę piramidy i spadamy. Do jutra się z tym uwiniemy.

– A zwłoki tych Fahrenheitów? – spytał cicho doktor Wiesiek.

– Wiesiek, w żadnym wypadku nie otwieraj już więcej żadnej trumny!
– Marta znowu krzyczała.

Doktor Wiesiek podniósł tylko obie dłonie.

– Sorry Wiesiu, te trupy będą musiały poczekać. Kiedyś tu wrócimy, obiecuję ci. Ale do trupów nie potrzeba skanera, rozumiesz przecież, jaka jest sytuacja.

– Nie ma sprawy – zgodził się doktor Wiesiek. Mówiłem przecież, że to bardzo spokojny człowiek.

– Zeskanujemy strukturę i spadamy – mówił dalej Janusz. – Jutro wezwiemy policję, jak będziemy kończyć prace. I nikt się nie zorientuje.

– A on? – Marta pokazała podbródkiem okno.

Janusz znowu odchrząknął. Puścił Martę, pogrzebał w kieszeni i wyciągnął zwitek banknotów.

– Dwie... trzy stowy. Panie Sito, proszę, to dla pana...

Ale koleś w czapce już tam nie było.

– No i dupa – powiedział cicho doktor Wiesiek. Musiał być maksymalnie wzburzony, bo on normalnie nigdy nie rzuca żadnymi kurwami ani niczym.

– Nie dupa, tylko do roboty. – Janusz spojrzał na zegarek. – Zanim Sito doleci do wioski, zanim zadzwoni, zanim policja przyjedzie... Myślę, że mamy półtorej godziny do dwóch. A zresztą, może on w ogóle nie zadzwoni na komendę. Może uciekł, bo poczuł, że musi się napić.

– Janusz! – Marta szarpnęła go za ramię. – Przecież jak policja przyjedzie, będzie afera, że kontynuowaliśmy prace, zamiast zabezpieczyć miejsce, a najlepiej w ogóle stąd wyjść.

– Powiemy, że nie wiedzieliśmy. – Janusz zamachał rękami. – Oj, nie wiem, coś się wymyśli. Chcesz zeskanować piramidę czy nie?

Marta wciągnęła głęboko powietrze.

Janusz czekał.

Marta wypuściła powietrze z płuc.

– No, Martusiu, tak lepiej. To do roboty?

– Tak. – Marta potarła dłonią czoło. – Tak. Do roboty.

Janusz odwrócił się do doktora Wieśka.

– Wiesiu, pomożesz nam ze skanowaniem?

– Jasne.

– To w takim razie ty, Wołodia – Janusz spojrzał na mnie – skocz na dwór. I jak zobaczysz radiowóz, to puść sygnał komórką. Będiesz go widział z daleka, bo ta aleja przez las jest prosta jak drut.

Wyciągnąłem telefon z kieszeni. Sprawdziłem zasięg. Ja też go nie miałem.

– Cholera, zapomniałem! No nic, to w takim razie po prostu krzyknij. Tylko drzyj się głośno, bo te mury są cholernie grube. Jak radiowóz będzie jeszcze daleko, to cię policjanci nie usłyszą.

– Spoko, po prostu przybiegnę.

Kiedy wychodziłem przez okno, słyszałem jeszcze jak Marta z Januszem kłóć się, w którym miejscu najlepiej ustawić skaner. Doktor Wiesiek nie mówił nic. Przeszedłem na drugą stronę niewielkiego placu i stanąłem na poboczu, ale tak, żeby widzieć całą aleję, aż do końca. Było za zimno, żeby siadać na ziemi, przestępowałem z nogi na nogę. Zapiąłem kurtkę po szyję i naciągnąłem czapkę na oczy. Nie wiedziałem, ile przyjdzie mi tak postać.

*

– Panie Sołoma, co pan mi teraz głowę zawracasz. Przyjdź pan innym razem. Halina!

– Panie sołtysie, ja tylko na minutkę.

Sołtys w takiej małej wiosce wszystkich znał i wiedział, czego się po ludziach spodziewać. Więc wiedział, że Sołoma sobie nie pójdzie, będzie tak stał i gadał. Chyba że on, sołtys, go wysłucha. Oparł się o ścianę w przedpokoju i wsadził obie ręce głęboko w kieszenie spodni.

– No to mów pan, panie Sołoma.

– Ja tylko na minutkę, panie sołtysie. Chciałem tylko powiedzieć, że nie będzie trzeba wzywać doktora Wojtko.

– O! – Sołtys podrapał się po łysinie. – Na pewno?

– Na pewno, na pewno, panie sołtysie. O wiele lepiej wyglądają. Może mi pan wierzyć, panie sołtysie, przecież ja wiem, że to duża odpowiedzialność, nie kłamałbym.

– No to dobrze, panie Sołoma, bardzo dobrze. Bo doktor Wojtko słono sobie liczy za wizyty, zwłaszcza z dojazdem.

– Ja wiem, panie sołtysie. Jak w zeszłym roku był u nas, to musiałem się u Górnego zapożyczyć. Ale jak trzeba, to trzeba. Doktor Wojtko to świetny fachowiec.

– No tak, jak trzeba, to trzeba, panie Sołoma. Ale jak nie trzeba, to jeszcze lepiej. Tylko niech pan je uważnie obserwuje. Jakby się okazało, że coś jest nie tak, to dzwoniemy od razu po doktora. Jak trzeba, to trzeba.

– Panie sołtysie, ja bym miał nie uważać? Na własne dzieci bym tak nie uważał, jak na...

Sołtys wiedział, że jak pozwoli Sołomie dłużej gadać, to ten nigdy nie skończy.

– To niech pan idzie, panie Sołoma. I jakby co, to niech pan dzwoni. Albo sam przyjdzie. Bo ja muszę teraz coś pilnego załatwić. Halina! No do cholery, gdzie ta baba się podziała?

– Pewnie w oborze jest, panie sołtysie, to nie słyszy.

– Może i tak. – Sołtys sięgnął po kurtkę z wieszaka i otworzył drzwi. – To niech pan idzie, panie Sołoma. I jakby co...

– Ja wiem, panie sołtysie. Jakby co, to zaraz przylecę.

*

Policja przyjechała po godzinie z małym hakiem. Albo koleś w czapce naprawdę szybko biegał, albo tam dalej, bliżej wsi, był już zasięg. Podbiegłem do okna i krzyknąłem, żeby się zbierali, a potem poczekałem na zewnątrz. Radiowóz zahamował przy piramidzie tak ostro, że kawałek żużlu wpadł mi do oka.

Policjantów było dwóch. Zawsze jest dwóch, w końcu seriale amerykańskie lecą w telewizji na okrągło. Jeden grubszy, drugi chudszy. Obaj co chwila przesuwali czapki i drapali się po głowach.

Kiedy siedziałem na zewnątrz, pozostali najwyraźniej ustalili, że to Marta będzie z nimi gadać.

– Jak to dobrze, że panowie przyjechali tak szybko – ucieszyła się może trochę sztucznie, ale jak ktoś jej nie znał, trudno się było domyślić. – To po prostu straszne.

– Kto z państwa zgłosił sprawę? – spytał ten grubszy policjant i podrapał się pod czapkę.

Marta otworzyła usta, ale Janusz wszedł jej w słowo:

– Tutaj nie ma zasięgu. Poprosiliśmy pana Sito, to taki znajomy, tu niedaleko mieszka, żeby zadzwonił ze wsi. Nie chcieliśmy zostawiać zwłok bez nadzoru, bo... Zresztą proszę tu wejść, sam pan zaraz zrozumie.

Policjant rozejrzał się i znowu podrapał pod czapkę.

– Przez okno? – spytał. – Przecież drzwi są od dawna zamurowane.

– Jak pan wejdzie, sam pan zobaczy. Proszę, mogę panu pomóc.

Policjant nie powiedział „obejdzie się”, zrobiła to za niego jego mina. Podciągnął się na rękach i przełożył nogi przez parapet. Wylądował na stosie cegieł, ale Janusz złapał go, zanim się przewrócił.

Policjant wyprostował się i obciągnął kurtkę od munduru. A potem podszedł do trumny. Od razu, jak po sznurku, bo nad trumną stały

dwa reflektory. Skanera nie widziałem, pewnie zdążyli go zwinąć i postawić w jakimś ciemnym kacie.

Chudszy policjant zbliżył się do mnie.

– Dokumenty poproszę – powiedział.

– Ja tu jestem tylko studentem – wyjąkałem.

Zamiast mnie opieprzyć, uśmiechnął się.

– Było zgłoszenie, mamy obowiązek wszystkich spisać. Dowód poproszę.

Wyciągnąłem z kieszeni portfel, a z portfela plastikową kartę. Z wnętrza piramidy słyszałem głos Marty:

– Prowadzimy tutaj badania za zgodą wojewódzkiego konserwatora zabytków. Mieliśmy w planie przebadać między innymi szczątki członków rodziny von Fahrenheitów, pochowanych tutaj na początku dziewiętnastego wieku. Otworzyliśmy trumnę i widzi pan.

Nie usłyszałem, co odpowiedział tamten grubszy policjant. Za to ten mój wciągnął jakiś formularz.

– Włodzimierz Wysocki?

– Rodzice lubili – wzruszyłem ramionami. – Do tej pory zresztą lubią.

Spojrzał na mnie spod czapki.

– Rodzice lubią? Pana rodzice? Co lubią?

– A nie, nic. – Jeszcze raz wzruszyłem ramionami. W końcu nie każdy musi znać Wysockiego.

Policjant zerknął na swój formularz.

– Urodzony w Toruniu?

– Jak pan widzi, te zwłoki się nie zmumifikowały. Swoją drogą, ciekawe dlaczego. Może mikroklimat się zmienił od czasów von Fahrenheitów. – To był głos doktora Wieśka. – W każdym razie muchy zniosły na nich jajka i wykluły się larwy, dokładnie jedno pokolenie larw. Więc zwłoki nie mogą tu przebywać dłużej niż miesiąc.

Znowu nie usłyszałem odpowiedzi tamtego grubszego policjanta.

– Urodzony w Toruniu? – spytał jeszcze raz ten mój, chudszy.

Chciałem odpowiedzieć, że tam jest wszystko napisane, czarno na różowym, ale trochę się bałem pyskować. Potwierdziłem.

– Zamieszkały w Toruniu?

– Nie, tymczasowo w Warszawie. Studiuję. Archeologię. Na Uniwersytecie Warszawskim. Mieszkam w akademiku.

– Doktor Więckowski jest ekspertem z dziedziny antropologii – usłyszałem głos Marty. – Mogą panowie mieć zaufanie do jego oceny stanu zwłok.

Tamten grubszy policjant mówił tak cicho, że znowu go nie usłyszałem. Tylko słowo „patolog” na końcu zdania.

– No tak – zgodziła się Marta. – Oczywiście, policja ma swoich ekspertów. Ale jestem pewna, że nikt nie podważy opinii doktora Więckowskiego. Zresztą państwo wiele razy w przeszłości prosiliście go o ekspertyzę.

– To koledzy z Warszawy prosili, nie my. – Tym razem usłyszałem wyraźnie, może grubszy policjant stanął w innym miejscu.

Mój, ten chudszy, coś tam jeszcze pisał w formularzu.

– Gdzie pan jest zatrudniony? – spytał w końcu.

– Nigdzie. Jestem studentem.

– A z czego się pan utrzymuje?

– No, ze stypendium. Rodzice też trochę dają.

– Aha. – Znowu coś napisał.

Tamten grubszy policjant w środku chyba podszedł do okna, bo teraz słyszałem go głośno i wyraźnie.

– Jedyne wejście do wnętrza jest zabezpieczone kratą. Zamykaną na kłódkę.

– No tak, widzi pan, jak tu przyjechaliśmy pierwszy raz, to wszystko stało otwarte. Ludzie z okolicy ceży taczkami stąd wywozili.

Nie usłyszałem odpowiedzi, pewnie żadnej nie było. Marta ciągnęła dalej wątek:

– To jest unikalny zabytek, na skalę światową. Nie może tak niszczyć. No więc w uzgodnieniu z wojewódzkim konserwatorem zabytków...

– Czyli państwo byli tu wcześniej – przerwał jej policjant. – Kiedy?

Ktoś chrząknął. Chyba Janusz. Na pewno Janusz, bo po chwili usłyszałem jego głos.

– Na samym początku września. Zaraz... to chyba było trzeciego. Może to potwierdzić sołtys, bo z nim też rozmawialiśmy o ochronie obiektu. Staramy się informować miejscowe władze na bieżąco.

– No i w każdym razie – mówiła dalej Marta – założyliśmy wtedy te kraty. To znaczy nie my, ale ściągaliśmy ślusarza.

– A kto ma klucze?

– No, my.

– Zatrzymaliśmy, bo wiedzieliśmy, że wrócimy tutaj zrobić dalsze badania – wtrącił szybko Janusz. – Ten obiekt niszczeje w zastraszającym tempie. Jeśli się go szybko nie zabezpieczy, to się po prostu zawali.

Policjant przysunął się jeszcze bliżej do okna. Teraz nie tylko

wyraźnie słyszałem każde słowo, ale też widziałem jego plecy.

– Przyjechaliśmy dopiero teraz, bo udało nam się właśnie pożyczyć skaner 3D od firmy, która produkuje takie urządzenia. To są ogromnie kosztowne sprawy, uniwersytetu na nie nie stać. Ale dzięki niemu będziemy mogli zadokumentować dokładnie całą strukturę piramidy i zobaczyć, do jakiego stopnia została zniszczona i co należy zrobić w pierwszej kolejności. Ta firma akurat testuje sprzęt i udostępniła go nam na weekend za darmo. Dzięki temu to wszystko wychodzi o wiele taniej.

Grubszy policjant w środku odwrócił się do okna i popatrzył na tego mojego. Ten mój podszedł bliżej i powiedział coś półgłosem.

– To znaczy, kto konkretnie ma te klucze? – spytał już głośno.

– Ja mam – odpowiedział Janusz. – I Marta ma drugi komplet. To znaczy miała, ale zgubiła.

– Chyba wypadły mi z kieszeni, jak...

– A Wiesiek trzeci. Mieliśmy zostawić jeden u sołtysa, na wszelki wypadek, ale nie chciał. Powiedział, że nie będzie brał odpowiedzialności.

– Czyli nikt oprócz państwa nie mógł się dostać do piramidy między – policjant zajrzał do notatek – trzecim września a dniem dzisiejszym.

– Proszę pana – Janusz przeczesał palcami kucyk – niech pan zobaczy tę kłódkę. Każdy głupi może ją otworzyć kawałkiem drutu.

– Ale była zamknięta, kiedy państwo dzisiaj przyjechali.

– No tak – Janusz szarpnął włosy – bo potem można ją zatrzasać. Temu też każdy głupi da radę.

Policjant obejrzał kłódkę. Pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Przełożył nogi przez parapet i wyskoczył na zewnątrz. Podszedł do tego mojego, podrapał się pod czapkę, a obaj potem ruszyli w stronę radiowozu. Wsiedli i zatrzasnęli drzwi. Ten mój zaczął rozmawiać przez komórkę.

– Cholera jasna! – Janusz jeszcze raz przeczesał palcami kucyk. – Nie skończyliśmy tego skanu. Bez sensu ta cała robota. Gdybyśmy mogli złapać jeszcze chociaż ten jeden narożnik...

– A myślisz, że nie da się połączyć tych dwóch ostatnich ujęć? – spytał doktor Wiesiek. – No wiesz, wydaje mi się, że one powinny się na siebie częściowo nakładać.

– Bo ja wiem? Muszę zerknąć na to w komputerze. Ale wątpię. Tam był ten wspornik i jego w ogóle nie złapaliśmy...

– Czy wy w ogóle nie macie innych problemów? – krzyknęła Marta

tak nagle, że podskoczyłem.

Janusz i doktor Wiesiek popatrzyli na nią, a potem na siebie nawzajem.

– O co ci chodzi, Martusiu?

– A o to, że tam leżą zwłoki kobiety. Którą ktoś zamordował dokładnie w czasie, kiedy byliśmy tu ostatni raz. I tylko my mamy klucze do krat.

– Niedokładnie w tym czasie, tylko trochę później – sprostował Wiesiek. – Na pewno już po naszej ostatniej wizycie w piramidzie. Wtedy było ciepło, na pewno poczulibyśmy zapach. I nad trumną roiłoby się od much.

– No i co z tego! – Marta znowu krzyknęła. Wiesiek odsunął się o krok. – Tylko my mamy klucze. Wiecie, co to znaczy?

– Martusiu, ale przecież tę kłódkę naprawdę można otworzyć kawałkiem drutu. Powiedziałem to temu policjantowi.

– Tylko, że on ci nie uwierzył. I najwyraźniej nie zobaczył na kłódce żadnych śladów wytrycha.

– To chyba można stwierdzić dopiero pod mikroskopem – wtrącił doktor Wiesiek.

Ale Janusz go nie słuchał. Patrzył na Martę.

– Słuchaj, czy ty myślisz...

Marta odsunęła się od niego. Obejrzała się na radiowóz. Żaden z policjantów na nas nie patrzył. Rozmawiali.

– Tylko wy macie klucze. Ty i Wiesiek.

– Marta, no coś ty... – zaczął Wiesiek.

Marta odsunęła się jeszcze dalej.

– Ta letniczka...

Janusz wyprostował się i wciągnął powietrze w płuca.

– Marta!

– Pokłóciłeś się z nią! Groziłeś jej. Policję wzywała.

– Marta! – Janusz dał krok w jej stronę. – Gdybym zabijał każdego, z kim się kłóczę...

Marta znowu obejrzała się na radiowóz.

– A potem zniknęła. I nikt nie widział, kiedy.

– Marta, co ty opowiadasz? Kobieta wyjechała i już. Jakby zginęła, to chyba policja by jej szukała.

– Może jej szukała – powiedziała cicho Marta – tylko my o tym nie wiemy. Przecież my też jesteśmy letnikami. Nie mieszkamy tu na stałe.

Janusz szarpnął kucyk tak mocno, że pewnie wyrwał sobie sporo

włosów.

– Marta, czy ty myślisz, że ja mógłbym zrobić tej kobiecie coś złego? Że mógłbym ją...

Marta wzruszyła ramionami.

– Byłeś bardzo zdenerwowany.

– Wiesiek też był zdenerwowany, jak ta panna puściła go w trąbę. A to było w tym samym czasie.

– Dajcie spokój – powiedział doktor Wiesiek.

– Jak oskarżasz mnie, to możesz też oskarżyć jego. – Janusz zamachał rękami. – On też ma klucz. Panna zniknęła bez śladu, nikt jej później nie widział na uniwersytecie, a sama przecież mówiła, że ma jakieś egzaminy w sesji poprawkowej...

– Podobno rzuciła studia – wtrącił doktor Wiesiek.

– To ty tak mówisz! – Janusz obrócił się w jego stronę. – A czy ktoś to sprawdził?

Teraz to doktor Wiesiek zamachał rękami. Musiał być bardzo zdenerwowany, bo do tej pory, podczas całej rozmowy, trzymał je w kieszeniach.

– Janusz, chyba nie przyszło ci do głowy, że to ja jestem mordercą i zabiłem Agatę...

– Przyszło! – Janusz jeszcze raz szarpnął kucyk. Teraz to on obejrzał się w stronę radiwozu. – Tak jak Marcie przyszło do głowy, że to ja zabiłem tę babę po sąsiedzku tylko dlatego, że jej pies srał nam pod drzwiami.

Obaj spojrzeli na Martę, która miała łzy w oczach.

– Tylko wy macie klucze do kraty – zaszlochała.

– Ty też miałaś! – Janusz skrzyżował ręce na piersi.

– Przecież ci mówiłam, że ja mój zgubiłam!

– Może kłamałaś!

Łzy płynęły Marcie po policzkach.

– Myślę, że wszyscy powinniśmy się uspokoić – wtrącił doktor Wiesiek.

Niepotrzebnie się w ogóle odzywał, bo Janusz od razu na niego napadł.

– Ja myślę, że to ty, Wiesiek. Nie mogłeś darować, że panna puściła cię kantem i się zemściłeś.

– Janusz... – Marta pociągnęła go za rękaw.

Janusz się wyszarpnął.

– Wiesiek ma klucz. – Zaczął wyliczać na palcach. – Był naprawdę

zakochany w tej całej Agacie. I nagle ona zmyła się bez pożegnania. Nikt nie widział jak wyjeżdżała...

– Nikt też nie widział, jak wyjeżdżała letniczka – powiedziała cicho Marta.

– Nie przerywaj mi! – Janusz poczerwieniał. Marta znowu się cofnęła.

– Nikt nie widział, jak ta dziewczyna Wieśka wyjechała i nikt nie wie, co się z nią później stało. A Wiesiek, jako jedyny z nas, zna się doskonale na procesach rozkładu...

– Wcale nie – wtrącił doktor Wiesiek. – Ja się znam na kościach. Jestem antropologiem.

– Tia, jasne. Tylko, że to ty przed chwilą zrobiłeś nam wykład na temat much na zwłokach.

Doktor Wiesiek otworzył usta, ale szczęknął zamek drzwi od radiowozu. Wszyscy: doktor Wiesiek, Marta, Janusz i ja odwróciliśmy głowy.

Grubszy policjant wystawił już nogę, ale chudszy jeszcze coś do niego powiedział.

– ...zgłoszenia dwóch zaginionych kobiet – odpowiedział grubszy.

I wysiadł.

Zaraz za nim wysiadł ten chudszy.

I w tej samej chwili na końcu alei zamigotały niebieskie światła.

Dwa kolejne radiowozy zablokowały naszą furgonetkę.

– Poprosimy, żeby państwo pojechali z nami – powiedział grubszy policjant.

– Ale o co chodzi? – krzyknął Janusz.

– Sprawa jest poważniejsza niż myśleliśmy – powiedział chudszy.

To niczego nie wyjaśniało.

Marta obejmowała się mocno ramionami. Jej wargi drżały.

– Oczywiście, zaraz z panami pójdziemy – zgodził się doktor Wiesiek. Już chyba mówiłem, że to bardzo zgodny człowiek. – Tylko spakujemy sprzęt.

– Proszę niczego nie ruszać – powiedział chudszy. – My już się wszystkim zajmujemy.

– Ale to jest bardzo drogi sprzęt. – Marta szeptała tak cicho, że chudy musiał się pochylić w jej stronę. – Wypożyczony od firmy. A furgonetka jest z uniwersytetu.

– Wszystko zabezpieczymy.

Chudy się wyprostował. Policjanci przy radiowozach czekali. Jeden z nich położył dłoń na kaburze.

Dałem krok w ich stronę.

– Pan pojedzie z nami – powiedział ten grubszy i pokazał ręką swój radiowóz.

Obejrzałem się jeszcze raz zanim wsiadłem. Marta płakała, ale kiedy Janusz próbował ją objąć, odsunęła się. Powiedziała coś do jednego z policjantów. Ten skierował Janusza do innego radiowozu. Tego, w którym siedział już Wiesiek.

*

– Halina! – Sołtys sapnął z ulgą, kiedy zobaczył żonę na progu domu.

– No nareszcie jesteś. Gdzie ty łazisz, kobieto. Wołam, wołam i nic.

– Oj, Romek, w piwnicy byłam.

– W piwnicy? Akurat teraz, kiedy trzeba szybciotko...

– Oj, chłopcy, chłopcy! Zawsze myślą, że są najmądrzejsze. – Sołtysowa podparła się pod boki. – Ty tu herbatkę popijasz, a ja już wszystko załatwiłam.

– Co załatwiłaś? – Sołtys nie nadażał.

– A jak to, co? Głowę schowałam! No przecież nie może tak w stodole na wierzchu leżeć.

– Głowę?

– Rany boskie, Romek. – Sołtysowa podeszła do stołu, automatycznym ruchem zgarnęła pustą szklankę po herbacie i łyżeczkę i włożyła je do zlewu. – Przecież spotkałam Berezową, jak szłam do sklepu. Od razu mi powiedziała, że archeolodzy przyjechali. Ty to myślisz, że twoja żona to jakaś głupia albo coś, ale ja się od razu domyśliłam, co dalej będzie. Więc schowałam głowę.

– A gdzie?

– A do beczki z kapustą. Tam nie będzie smrodu czuć.

– O rany, kobieto! – Sołtys złapał się za swoją własną głowę. – Cała kapusta się zmarnuje.

– Nie marudź, Romek, dwie beczki mamy. Głowa teraz ważniejsza.

Sołtysowa puściła wodę z kranu, opłukała szklankę i łyżeczkę i ułożyła na suszarce.

– Jak wyszłaś, to Sołoma był. Powiedział, że krowom już lepiej.

– No i dobrze. – Sołtysowa wytarła ręce i rozwiesiła ścierkę równo na rączce od piekarnika. – Ale ja to od razu wiedziałam. Jak się trupowi głowę oderwie, to zawsze pomaga.

- Szkoda, że już w tej piramidzie starego trupa z głową nie było.
- No, szkoda. Ale kto tam będzie szukał przyjezdnej? A z głową zawsze pomaga – powtórzyła. – Dziadek mi opowiadał, że wtedy za Gierka też pomogło.
- Tysiąc razy mi o tym mówiłaś, kobieto.
- I tysiąc razy ci mówiłam, żebyś gasił światło w kiblu jak wychodzisz. – Sołtysowa pstryknęła przełącznikiem. – Co z tego, że na weterynarzu zaoszczędzimy, jak na elektrownię drugie tyle wydamy? Sołtys nie znalazł na to dobrej odpowiedzi.

Joanna Opiat-Bojarska

MODUS OPERANDI

Tylko cztery roboczogodziny dzieliły mnie od urlopu.

Kiedy przyszło zgłoszenie, że mamy jechać *na trupa*, optymistyczne *tylko* zmieniło się w depresyjne *aż*.

Wpakowaliśmy się do samochodu i bez zbędnej zwłoki udaliśmy się w kierunku Rudy Pabianickiej. Naszym celem było jedno z tych świeżych łódzkich osiedli, na którym mieszkali korpomenedżerzy i prywaciarze.

Marketingowy bełkot dewelopera, przekonującego, że to idealna lokalizacja zapewniająca komfort, bliskość przyrody i zdrowe powietrze, zupełnie do mnie nie trafiał. I ta osobliwa nazwa – Mewa Park. Być może uruchamiało to wyobraźnię łodzian marzących o ucieczce z miasta. Mnie w centrum było dobrze, a kruki i wrony wydawały mi się o wiele ciekawsze niż nijakie mewy.

Dojechaliśmy na miejsce w dziesięć minut. Wszystkie domy na ulicy wyglądały tak samo.

Że ich mieszkańcy nigdy się nie mylą? Nie wchodzą do sąsiada zamiast do siebie? A może właśnie się mylą i o to właśnie im chodzi? Skoro mają takie same domy, takie same garaże i takie same auta, to czemu nie mogą wymieniać się żonami?

Nasi zabezpieczyli miejsce zdarzenia, więc weszliśmy od razu na właściwą posesję.

Okazały hol prowadził do salonu, ale skierowano nas do kuchni. Nigdy nie podążam za ogółem, zerknąłem więc najpierw do salonu, a dopiero później do kuchni.

– Jankowski, nie jesteś czasem zbyt stary, żeby trup robił na tobie takie wrażenie? – aspirant Wachowiak, niezbyt bystry na co dzień, oczywiście musiał zauważyć, że włosy stanęły mi dęba.

– Nie chodzi o trupa... Chociaż nie – próbowałem zebrać myśli, bo to co zobaczyłem w salonie znacznie utrudniło mi podejście do trupa i cholernych czterech roboczogodzin. – Nie, właściwie chodzi o niego.

Trochę komplikuje mi pewne sprawy.

– Kolacja z żoną czy numerek z panienką?

Chciałem powiedzieć coś śmiesznego, bo wkurzyło mnie to, że pytanie Wachowiaka rozbawiło zebrane wokół trupa towarzystwo.

Numerek z żoną? Nie, zabrzmiałoby to obleśnie.

Kolacja z panienką? Jak wyznanie impotentą, którego nie stać na nic więcej.

– *Modus operandi* – wobec braku innych możliwości odpowiedziałem lakonicznie i zgodnie z prawdą.

W ciągu trzech ostatnich miesięcy prowadziłem dwie sprawy kradzieży, które nie dawały mi spokoju. W obu z sejfów znajdujących się w domach nadzianych biznesmenów zniknęły małe woreczki zawierające diamenty. W obu ofiarami byli mężczyźni w wieku średnim, jeden wdowiec, drugi funkcjonujący w nieformalnym związku. Na sejfach nie znaleziono żadnych śladów włamania, ale mężczyźni utrzymywali, że okradła ich jakaś baba. Żaden z nich nie potrafił podać jednak jej nazwiska, a sporządzone na podstawie zeznań dwa rysopisy wykluczały się wzajemnie.

No, chyba że w Łodzi ukrywała się jakaś hybryda – blondynka z ciemnymi włosami, w połowie prostymi, w połowie kręconymi, z oczami niebieskimi lub zielonymi, w zależności od tego jak na nie padało słońce.

Kobiety. Nigdy ich nie lubiłem, przede wszystkim dlatego, że manipulują mężczyznami. Z satysfakcją zauważyłem więc, że podobne kradzieże nie mogą być zbiegiem okoliczności. Nie mogą i już, przynajmniej z powodu braku mojej wiary w istnienie jakichkolwiek zbiegów okoliczności.

Spojrzenia obu okradzionych facetów były dokładnie takie same. Ofiary losu. Jakby właśnie spadli z nieba na ziemię i uderzyli nagimi tyłkami o asfalt. Coś musiało ich kurewsko boleć, coś innego niż strata drogocennych kamieni. Stracili nadzieję nie tylko na kolejne ruchanko z jakimś atrakcyjnym lachonem, ale przede wszystkim stracili wiarę w siebie i resztki rozumu, a z powodu tej ostatniej straty było im bardzo przykro.

Wstyd blokował ich zeznania, a ja nie miałem pola manewru. Dwoilem się i troilem, ale nie udało mi się znaleźć podejrzanej. Wdowiec wspominał o kobiecie, która przysiadła się do niego w barze, a drugi mężczyzna nabrał wody w usta i stwierdził jedynie, że wielokrotnie przekonywał się na własnej skórze o braku skuteczności

działań policji i nie ma czasu, by udzielać odpowiedzi na bezsensowne pytania.

Moje bezsensowne pytania? Wkurzył mnie ostro i pomyślałem sobie, że kiedy już złapię tę złodziejkę, to pogratuluję jej tego, że obrobiła skurwiela. Zasłużył, a może nawet sam się prosił?

Nieważne, istotne było to, że odwlekałem zamknięcie obu spraw i spokojnie czekałem na trzecie, podobne zdarzenie. Wiedziałem, że nastąpi to prędzej lub później, bo każda baba jak się rozochoci, to chce więcej.

Ta, której szukałem, nie mogła być inna. Dwa razy jej się udało, więc na pewno będzie chciała spróbować po raz kolejny. A w Łodzi miała jeszcze przynajmniej kilku kolesi, którzy trzymali w domach wartościową kolekcję kamieni. Ciekawe dlaczego baba uparła się na diamenty?

– Panie komisarzu, żona zamordowanego twierdzi, że z domu nic nie zginęło, nic poza...

– Poza diamentami – dokończyłem, obserwując kątem oka reakcję kolegów. Prognozowałem, że za chwilę szczęki im opadną. I dobrze, niech im się głupio robi.

– Poza diamentami – zdziwiony funkcjonariusz pokiwał głową. – Sejf został otwarty przy użyciu kodu, którego nie znał nikt poza małżonkami.

Bingo! W salonie widziałem otwarty sejf, w którym leżały teczki z dokumentami. Mogłem się założyć, że technicy nie będą w stanie zabezpieczyć żadnych śladów włamania ani odbitek palców, które przez laików nazywane są odciskami. Tak samo było przy poprzednich kradzieżach. Zero śladów, zero paluchów, zero typowań.

– Gdzie żona była podczas zdarzenia?

– Nie określiliśmy jeszcze czasu zgonu, ale utrzymuje, że ostatnie dwa dni spędziła na konferencji w Berlinie. Wróciła dziś rano.

Wróciła i zastała męża sztywnego jak nigdy. Ciekawe, czy zatarła ręce z radości, czy załamała je z bezradności, bo zaraz wyschnie źródło dochodów?

*

Tylko trzy roboczogodziny i trzydzieści roboczominut zostało do rozpoczęcia urlopu.

Na pierwszy ogień przesłuchań poszła sąsiadka, której pies miał sraczkę. Spacerowała z nim po okolicy i uważnie się wszystkim przyglądała. Widziała blondynkę wchodzącą na posesję Łukawskich i od razu zauważyła, że jest obca.

– Nie, żebym nie miała co robić i godzinami przesiadywała w oknie – tłumaczyła.

Kiwnąłem głową i z trudem powstrzymałem głupi uśmiech. Zwykle baby koło pięćdziesiątki w taki sposób urozmaicały sobie życie. Podglądały sąsiadów i żyły cudzym życiem.

– Ta kobieta zniknęła w domu Łukawskich, a ja dalej spacerowałam. Lubię spacerować. Biegam też w maratonach...

– Do rzeczy!

– Przyglądałam się ludziom, bo wie pan, ja zawsze po psie sprzątam. Noszę woreczki i jestem naprawdę wzorową obywatelką... Ale wtedy wybiegłam, bo Azor skomlał, nie chciałam, żeby pobrudził nam ogród, dlatego spacerowałam z nim przy ulicy. Nie zdążyłam wziąć zestawu worków.

Godna podziwu argumentacja. Sąsiadka nie chciała, by pies obsrał jej trawnik, więc wyprowadziła go na cudzy. Na cudzym psia kupa wygląda lepiej.

– Bałam się, że ktoś mnie zauważy i zwróci uwagę. Potem usłyszałam ten dźwięk.

– Alarm?

– Tak, zaczął wyc. Azor również. Po dłuższym czasie z domu wybiegła kobieta. Na szczęście panowie z agencji ochroniarskiej właśnie podjechali pod bramę. Szybko wybiegli z samochodu i zatarasowali jej drogę... Normalnie scena jak w filmie!

Podziw, z jakim sąsiadka wypowiadała się o tych sztucznie tuczonych kurczakach, którym wydaje się, że są żołnierzami, był dla mnie nie do zniesienia. Ja rozumiem, że być może na niej, kobiecie w wieku średnim, która dba o swoją kondycję, te patafiany mogły robić jakieś wrażenie, ale przecież ochroniarze to półmózgi, które nigdy nie dostałyby się do policji. Debile, których praca ogranicza się do udawania super twardzieli. W policji zesraliby się ze strachu, wystarczyłaby jedna konkretna akcja. Ale nie, oni siedzą całymi dniami w klimatyzowanym aucie i snują opowieści, co by było gdyby.

– A pani Łukawska? Gdzie wtedy była?

– Przyjechała chwilę po radiowozie. Odpowiedziała mi dzień dobry i pobiegła do domu. To znaczy chciała pobiec, tak wyglądała, jakby

biegła, ale jeden z policjantów nie chciał jej wpuścić... W końcu wpuścił ją i wtedy zaczęła biec.

*

– Zdaje sobie pani sprawę z tego, że milczenie interpretuję na pani niekorzyść?

Przyznaję, podczas przesłuchania żony denata przybrałem jedną z łagodniejszych twarzy. Uprzejmie przemilczałem fakt, że organicznie nienawidzę kobiet i że zawsze wszystko interpretuję na ich niekorzyść, także w sytuacjach prywatnych.

– Milczę, bo nie mam nic do powiedzenia. Nie wiem, co się tu dzieło.

Żona denata była poruszona faktem śmierci męża, ale bardziej w sensie organizacyjnym. Słyszałem, że pytała jednego z policjantów o to, kiedy policja odda jej ciało męża.

Niektórzy zachwycają się kobiecym umysłem i tym, że tylko płęć żeńska jest w stanie ogarniać wiele spraw naraz. Wybaczcie, ale dla mnie babski umysł to bagno. Jak można wpadać ze skrajności w skrajność? Ciało męża jeszcze nie wystygło, a baba już chce je zakopywać i urządzać stypę. Zamiast zastanawiać się nad tym, kto go zabił, planuje już pewnie pogrzebowe menu i fakturę obrusów, które przykryją stoły.

– Gdzie pani była dziś od samego rana?

– Niech pan na mnie nie patrzy jak na podejrzaną. Na miłość boską, to był mój mąż!

Był, to idealnie zastosowana forma czasownika *być*. Zwykle, jeśli ktoś nagle traci ukochaną osobę nie potrafi pogodzić się z tą stratą. Zwłaszcza w warstwie językowej. A tu taka niespodzianka. Baba od razu przeszła na czas przeszły.

– Jak długo byliście małżeństwem?

– Ponad piętnaście lat.

– Ooo – wymknęło mi się.

Gdyby chodziło o samo zabójstwo, to baba byłaby główną podejrzaną. Nie, wróć. Nadal była główną podejrzaną, tylko motyw z sejfem jeszcze się nie zgadzał. Zabiła męża i co? Obrobiła swój własny sejf? Zbyt głupie, by mogło być prawdziwe. Zwłaszcza, że *modus operandi* był podobny do poprzednich spraw. Musiałaby jeszcze poderwać i obrobić dwóch innych łodzian.

– To chyba nie czyni ze mnie podejrzanej. Muszę pana zmartwić. Mam alibi. Byłam w Berlinie na konferencji. Od poniedziałku. Wróciłam dziś, podjechałam pod dom i zastałam to – kobieta wskazała na otaczające nas meble.

Nie miałem zamiaru uściślać, co ma na myśli. Zwłoki męża, bałagan czy biegających po jej domu policjantów.

– Jakiej konferencji?

– Stomatologicznej.

Wiedziałem, że baba śmierdzi mi na kilometr. Znałem ten zapach strachu i udawanego spokoju. Dopiero teraz skojarzyłem – tak pachniał gabinet mojego dentysty.

– Świetnie. Zanotuję w takim razie dane do sprawdzenia: miejsce, czas i telefon do organizatorów. Na pewno potwierdzą, że panią widzieli.

Baba spuściła głowę, a ja tryumfowałem. Skoro była tak głupia, żeby myśleć o tym, że może mnie wykiwać, to znaczy, że sama się o to prosiła. Zapisałem w notesie, że powinienem sprawdzić, czy w Berlinie odbywała się rzeczona konferencja i czy Łukawska spędziła na niej dokładnie tyle czasu, ile zadeklarowała.

– Słucham – napierałem.

Oczywiście tylko słownie. Nie dotknąłbym jej w robocie. No, chyba że paralizatorem. Padłaby na ziemię i straciła ochotę na zabawy w kotka i myszkę. Tak, to by jej się należało. Wykończyła faceta, który zdecydował się spędzić z nią całe życie, a teraz próbowała oszukać mnie, wszechwiedzącego komisarza Janowskiego.

Nigdy nie lubiłem bab, które mnie lekcewały. Właściwie nigdy nie lubiłem bab. Być może kiedyś akceptowałem, ale byłem wtedy młody i głupi, a baby stanowiły jedynie ruchome obiekty seksualne.

– Jeśli nie ma pani alibi na czas zabójstwa męża, stanie się pani automatycznie osobą podejrzaną. Słyszałem, że nie układało się państwu najlepiej?

– Tak? Kto wam to powiedział?

– Pani pyta czy potwierdza?

*

Wdowa się zacięła, więc postanowiłem zmienić rozmówczynię. W pokoju obok czekała na mnie kobieta, którą ochroniarze zatrzymali

podczas ucieczki.

– Pani Monika Zaremba? – zagadnąłem uprzejmie, próbując stosować się do jednej z zasad przesłuchania metodą FBI. – Nie jest pani z Łodzi? – bawiłem się jej dowodem osobistym.

Mieszkała, przynajmniej teoretycznie, w Warszawie i miała nienaturalnie zielone oczy.

– Nie, przyjechałam tu kilka dni temu.

– W jakim celu?

– Biznesowym.

Biznesowym, ho, ho, ho! Od kiedy ktoś tak nazywa kradzieże?! Wiesz, pracuję w biznesie uszczupleniowym. Uszczuplam sejfy obrzydliwie bogatym snobom. Czasem też zabijam ich właścicieli. Zwłaszcza, jeśli pałętają mi się pod nogami, kiedy jestem skupiony na diamentach.

– I jak pani znajduje Łódź?

Kolejne pytanie miało na celu rozluźnienie sytuacji. Kobieta była spięta i wyraźnie zamknięta. Nie znaleźliśmy przy niej diamentów ani narzędzia zbrodni, więc traktowałem ją jak świadka, a nie podejrzaną. Przynajmniej chwilowo.

*

Monika Zaremba dotarła do Łodzi bez większych problemów. Kiedy wysiadła z pociągu rozejrzała się na boki, nie bardzo wiedząc, w którą stronę iść.

Do każdej zawodowej podróży przygotowywała się sumiennie, oglądając na Google Earth teren, po którym będzie się poruszać, i korzystała z możliwości wirtualnego spaceru ulicami miasta. Kreowała się na osobę spontaniczną, ale tak naprawdę była bardzo poukładana. Lubiła planować, przewidywać i wiedzieć wszystko o wszystkich. Ta wiedza zapewniała jej bezpieczne trampoliny, z których mogła skakać na główkę do morza spontaniczności.

– Dzień dobry, chciałabym zamówić taksówkę. Łódź Kaliska, wejście z alei Unii Lubelskiej – odczytała nazwę ulicy, na której stanęła, i jednocześnie zdała sobie sprawę, że się zagalopowała. Lichy budynek dworca graniczył z jedną ulicą. Łódź to nie stolica, gdzie na dworcu Warszawa Centralna możesz szukać się z taksówką przez kilkanaście minut. – Jak długo będę czekała?

– Nie więcej niż kwadrans – zapewniła dyspozytorka.

Ludzie, którzy wysypali się z pociągu, rozeszli się już na boki, a Monika przysiadła na swojej walizce. Przyjemna ekscytacja towarzysząca zawsze realizacji nowego zadania musowała w jej wnętrzu.

Przez dłuższą chwilę obserwowała ludzi i przejeżdżające samochody, próbując poczuć klimat. Ostatecznie uznała, że okolice dworca nigdy nie stanowią reprezentatywnej próbki miasta, nawet dworca Warszawa Centralna. Zaniechała więc obserwacji i zerknęła na zegarek. Krótka wskazówka delikatnie minęła dwójkę, a długa przemieściła się na piątkę, co oznaczało, że czekała na transport od ponad siedemnastu minut.

– Nie więcej niż kwadrans – przypomniała sobie słowa dyspozytorki i uśmiechnęła się pod nosem.

Kilka dodatkowych minut nie robiło jej dużej różnicy. Nie spieszyła się nigdzie. Do spotkania z klientką miała ponad dwie godziny. Specjalnie przyjechała wcześniej, żeby spokojnie zameldować się w pokoju, pooglądać telewizję i zaaklimatyzować się Łodzi.

Poza tym jej praca polegała na czekaniu na odpowiedni moment, więc nie czuła, że traci czas. Zwyczajnie lubiła sprawdzać, czy ludzie mówią prawdę. Dyspozytorka albo była kłamczuchą, albo brakowało jej precyzji.

Po kolejnych dwóch minutach oczekiwania przybył samochód oznakowany logo korporacji taksówkarskiej. Kobieta przez chwilę zastanawiała się, czy nie dać taksówkarzowi nauczki i nie zrezygnować z transportu. Wiedziała, że może dotrzeć do hotelu Tobacco pieszo i nie zajmie jej to więcej niż kwadrans, ale ostatecznie stwierdziła, że nie chce jej się maszerować z walizką. Wszelkie wydatki związane z realizacją zlecenia pokrywała klientka, więc Monika nie musiała się ograniczać.

– Spóźnił się pan ponad cztery minuty – zniecierpliwiona wytknęła kierowcy zaniedbanie.

– Dokąd jedziemy? – na zarośniętym, tatuśkowanym typie uwaga nie zrobiła żadnego wrażenia.

Widocznie spóźnia się notorycznie, pomyślała Monika. Ciekawe, czy tylko on, czy brak punktualności to cecha łodzian.

– Kopernika sześćdziesiąt cztery – odpowiedziała pewnie. – Byle szybko. Matka na mnie czeka.

Wiedziała, że w kontaktach z taksówkarzami liczy się pierwsze

wrażenie. Jeśli uznają cię za przyjezdną gąskę, będą obwozić po mieście zamiast zwyczajnie przemieścić się od punktu A do punktu B.

Nie lubiła być oszukiwana, być może dlatego, że sama oszustwem zarabiała na życie. Chociaż nie, „oszustwo” to zbyt duże słowo. Bywała po prostu złą kobietą, wykorzystującą naiwność męskiego rodzaju, jego słabe punkty i sprzyjające okoliczności.

Wyczulona na wykorzystywanie swojej naiwności, przed wyjazdem z Warszawy sprawdziła w Internecie najkrótszą trasę, jaką samochód musi pokonać między dworcem a ulicą, na której zarezerwowała hotel. Zapisała w komórce nazwy ulic, żeby na bieżąco mieć możliwość kontroli.

Aleja Unii Lubelskiej, ulica Maratońska, aleja Bandurskiego, aleja Włókniarzy. Taksówka dotarła do miejsca przeznaczenia. Ulica Kopernika. To tu miała spędzić najbliższe kilka dni.

Hotel Tobacco prezentował się w rzeczywistości jeszcze lepiej niż na zdjęciach. Odrestaurowane budynki dawnej wytwórni papierosów zachwycały designerskimi wnętrzami: loftowym klimatem, surową cegłą, nowoczesnym oświetleniem i szarością ścian przełamana intensywnymi kolorami poduszek leżących na sofach.

– Dzień dobry, mam rezerwację, nazywam się Monika Zaremba.

Recepcjonista zajrzał do komputera, a kobieta pomyślała, że jeśli tak wygląda miasto meneli, to ona przez kilkanaście dni może być menelką.

*

– Łódź? Zachwyca mnie wysmakowane połączenie luksusu i postindustrialnych nieruchomości. Macie potencjał i w końcu uczycie się go wykorzystywać. Ale to, co się teraz dzieje, to skandal! Ci faceci powalili mnie na ziemię i potraktowali jak złodziejkę. Przeszukali zbyt dokładnie... Oskarżali. To pomyłka, jakaś koszmarne pomyłka.

Kobieta była atrakcyjna, więc nie dziwiłem się, że muskularni pracownicy agencji ochrony okazali się więcej niż nadgorliwi. Nie zamierzałem jednak tłumaczyć się za nich.

– Co pani tu robiła?

– Nic. Przechodziłam. Przypadkiem.

Taaa, przechodziła przypadkiem, ale drzwi były otwarte, zarówno te prowadzące do domu, jak i te od sejfu... A na środku leżał sobie

samotny woreczek z diamentami, który poprosił ją o to, by się nim zaopiekowała.

– Znajomy prosił mnie, żebym odebrała jakieś dokumenty. Podał adres. Zapukałam, nikt nie odpowiadał, więc odeszłam.

Że też świat zawsze pełen jest ofiar losu. Zapukała i odeszła. Sąsiadka, właścicielka srającego psa, mówiła, że blondynka opuściła posesję dopiero wtedy, gdy zaczął wyć alarm. No, chyba że Zaremba stała pod drzwiami i pukała bez przerwy przez kilkanaście minut.

– Zna pani Łukawskich?

– Kogo?

– Właściciele domu Honoratę i Piotra Łukawskich.

– Nie.

– A kiedy włączył się alarm? Jak pani zapukała?

– Nie, jak już odchodziłam.

– I jak pani zareagowała?

– Głupio i instynktownie. Zaczęłam uciekać. Ale nie dlatego, że zrobiłam coś złego. Po prostu nie cierpię takiego hałasu.

*

Siłą rzeczy musiałem wrócić do żony denata.

– Czy zna pani Monikę Zarembę?

– Nie – pokręciła głową. – Ale chciałabym uzupełnić poprzednie zeznania.

– Proszę – nie kryłem niezadowolenia.

Do rozpoczęcia urlopu zostały trzy roboczogodziny, a baba dozowała informacje. Ewidentnie utrudniała pracę. Nie tylko moją, ale także całej ekipy.

– Potwierdzam. Źle się między nami działo. Piotr... On mnie zdradzał.

– Z kim?

– Nie wiem.

– To dlaczego utrzymuje pani, że panią zdradzał?

Położyłem rękę na paralizatorze. Uznałem, że jeśli odpowie mi, że kobieta czuje takie rzeczy, nie będę się powstrzymywał!

– Tak mi się wydawało. Matka powtarzała mi, żebym za niego nie wychodziła. Odbiłam go jego pierwszej żonie. Matka mówiła, że skoro zdradził pierwszą, to mnie też zdradzi.

– Jak długo trwał taki stan... podejrzeń i problemów małżeńskich?

– Zbyt długo. Nie mogłam tego znieść.

Bingo. Czyli miała motyw. Wkurzył ją, bo na przykład nie chciał wynieść śmieci. Miejsce odnalezienia zwłok: kuchnia. Pasuje. Uderzyła go wazonem, a potem wskoczyła na niego i zaczęła dusić. Ale zaraz, nie zgrywa się to z tym, że chwilę po przyjeździe policji podjechała pod dom.

– Chciała się go pani pozbyć?

Zachęcałem do przyznania się do winy i zanotowałem, że w pierwszej kolejności muszę obalić alibi Łukaszewskiej. Być może nie było jej na konferencji, przynajmniej nie dziś rano. Dziś zamordowała męża, wyjechała z domu po to, by wrócić do niego później, już w świetle policyjnych jupiterów.

– Nie. Chciałam mieć pewność.

– I?

– Spotkał się z kochanką w hotelu Tobacco, w poniedziałek, tego samego dnia, kiedy wyjechałam do Berlina.

Powoli traciłem cierpliwość. No dobra, może od początku jej nie miałem, ale w tamtej chwili czułem, że jadę już na rezerwie.

Zapytałem Łukawską, czy ma jakieś dowody potwierdzające zdradę męża, ale nie dostałem od niej nic poza infantylnym stwierdzeniem, że policjanci sami powinni troszczyć się o dowody.

Pewnie, że powinni i to o takie, których nie będzie w stanie obalić adwokacina podejrzaney. A Łukawska w tej dyscyplinie wysunęła się na prowadzenie. Zdradzający mąż – to świetny zapalnik i być może wyświechtany, ale dobry motyw zabójstwa.

Wysłałem Wachowiaka do hotelu Tobacco ze zdjęciem denata, by zweryfikował prawdziwość zeznań Łukawskiej. Nie miałem wyjścia. Baba nie chciała powiedzieć, skąd wie o hotelowym spotkaniu.

*

Jacek Andrzejewski od roku pracował jako recepcjonista w hotelu Tobacco i był dumny z tego, że historia zataczała koło. Lata temu w tym samym miejscu pracował jego dziadek. Co prawda był zwykłym pracownikiem fizycznym i miał swój udział w produkcji papierosów, ale też nazywał się Andrzejewski i spędzał w tym budynku dużo czasu.

Recepcjonista lubił pracować wieczorami, bo wtedy widywał wiele dziwnych sytuacji. Zapamiętywał je wszystkie po to, by później na

impresach opowiadać znajomym anegdotki z życia ekskluzywnego hotelu butikowego.

W poniedziałek, mniej więcej koło dwudziestej, do hotelowego lobby wszedł dobrze ubrany mężczyzna. Najpierw zaczął się rozglądać, przespacerował się po korytarzu i przez chwilę czaił się przy windzie, aż w końcu podszedł do recepcji.

– Dobry wieczór, chciałbym zamówić szampana do pokoju trzysta dwadzieścia cztery – oznajmił niepewnym głosem.

Był skupiony, na twarzy miał wypieki, a idealnie ułożona grzywka sterczała postawiona na żel. Jednocześnie jego oczy wydawały się rozbawione, jakby sytuacja, w której brał udział, była dla niego wyzwaniem.

– Nie jest pan naszym gościem – uprzejmie zauważył Andrzejewski.

Widywał takie zagubione okazy wielokrotnie, częściej były to kobiety. Zwykle mężczyźni przychodzili pierwsi i płacili za pokój bez śniadania, a po kilku godzinach oddawali klucze i wracali do domu.

– Zapłacę gotówką, jeśli o to chodzi. Pokój rezerwowała narzeczona... Wie pan, to ma być taka romantyczna niespodzianka z okazji naszej rocznicy.

Recepcjonista kiwnął głową i zanotował numer pokoju, jednocześnie zwracając uwagę na dłonie mężczyzny. Na serdecznym palcu tkwiła obrączka.

*

Czasu ubywało, a podejrzanych przybywało. Wachowiak potwierdził, że recepcjonista rozmawiał z Łukawskim, a szampan, który mężczyzna zamówił, trafił do pokoju Moniki Zaremby.

Wróciłem więc do atrakcyjnej Moniki i pełen udawanego współczucia burknąłem:

– Kłamstwo to nie najlepsza strategia, zwłaszcza w pani sytuacji.

– Jakiej sytuacji?

– Podobał się pani seks z Piotrem Łukawskim?

– Słucham?

Wydawała się oburzona. *Wydawała* to dobre słowo. Jeśli chciała mnie oszukać, to musiała się bardziej postarać. Zbyt długo pracowałem w firmie, by taka reakcja mogła zbić mnie z tropu.

– Hotel Tobacco, poniedziałek. Mam pani powiedzieć jak długo trwał

stosunek?

– To był...

Przypadek? Monika *Przypadek* Zaremba. Facet wpadł jej przypadkiem do łóżka, przypadkiem przyszła pod jego dom.

– Mam dla pani jedynie pięć minut. Zanim otworzy pani usta proszę zastanowić się, czy kłamstwo się pani opłaci. Wiem, że Łukawski miał z panią romans. Zakochała się pani? On również? Chciał odejść od żony? A może to pani tego chciała? Szantażowała go albo zmuszała...

– Nie. To była niezobowiązująca, przelotna znajomość. Wpadliśmy na siebie przypadkiem. Zniszczył mi rower, ale zobowiązał się do naprawy. Rzeczywiście naprawił, poszliśmy na kawę, a później jakoś tak się wszystko już potoczyło...

*

– Rower wygląda jak nowy. Cieszę się, że się zająłeś naprawą, bez ciebie... nie wiem co bym zrobiła. – Monika zajęła miejsce przy stoliku.

Dotarli do OFF Piotrkowska, do lokalu, który wybrał Piotr. zaproponował późny lunch na przeprosiny. Zgodziła się spotkać z nim w ramach podziękowania. Wydawało się im, że jest bezpiecznie, że każde z nich ma logiczny pretekst i na pewno nie jest to pierwsza randka, zwłaszcza w tak niezobowiązującym i wyluzowanym miejscu.

Otoczający ich ludzie wyglądali jak kosmici, którym pojęcie płynącego czasu jest obce. Wszyscy siedzieli przy stolikach, wiedli nieśpieszne rozmowy albo stukali w swoje komputery. Nikt nigdzie się nie spieszył.

– Zupełnie, jakbym nigdy na ciebie nie wpadł – roześmiał się Piotr. – A nie mówiłem, że ten facet jest magikiem i że twój brat się nie zorientuje?

– Przyznaję, że początkowo wątpiłam, bo wiesz, mężczyźni często przesadzają. Ale zwracam honor. Miałeś rację.

Kelnerka pojawiła się przy stoliku i przyjęła zamówienie. Monika pozwoliła dokonać wyboru Piotrowi, podkreślając że nie zna łódzkiej kuchni i lubi niespodzianki. Mężczyzna wskazał kelnerce odpowiednie pozycje w menu, a później opowiedział Monice o zalewajce z białą kiełbasą i typowo bałuckim daniu – knedlach z truskawkami połączonych z młodą kapustą i boczkiem.

– Jak to się stało, że zainteresowałeś się tak nietypową formą

rozrywki? *Escape room*? Skąd to wzięłeś?

Piotr opowiadał o swojej pierwszej ucieczce z zamkniętego pokoju w Berlinie, o emocjach jej towarzyszących, o nudnym życiu dorosłego mężczyzny i o chęci zrobienia czegoś wielkiego. Uśmiechał się, żywo gestykulował i widać było, że dobrze się czuje, opowiadając o sobie. Cieszył się z tego, gdzie znajduje się obecnie, był dumny z podjętych decyzji i tego, że jest ktoś, kogo to interesuje.

– Wiesz co, jestem dziennikarką i też czasami rzygam swoją pracą. Jest tak beznadziejna i powtarzalna. Tematy narzuca mi szef, nie interesuje go oczywiście nic poza klikalnością. Każe gonić za sensacją i naciągać fakty. Czasem się sobą brzydę.

– Rozumiem cię, ale właśnie dlatego musisz spróbować zabawy w *escape room*. To pokoje zagadki. Musisz się z nich wydostać w ciągu godziny. Odrywasz się od życia, zapominasz o bożym świecie, przeżywasz przygodę... Zobaczysz, znajdziesz to coś, czego ci teraz brakuje. Emocje! To one nadają sens naszemu istnieniu.

– Przygodę – podchwyciła dwuznaczne sformułowanie, by sprawdzić, na jakim etapie jest ich znajomość.

Piotr nie zaprotestował, być może nawet nie zauważył dwuznaczności. Promieniał i opowiadał o tym, ile siły daje mierzenie się ze swoimi słabościami, uciekającym czasem i zróżnicowanymi zagadkami.

– Bo wiesz, u nas prawie nie ma kłódek. Nie idziesz więc na łatwiznę, nie szukasz liczb, które musisz potem dopasować do kłódki. Uruchamiasz swój mózg i zadziwiona jego możliwościami, odkrywasz także prawdziwą siebie.

– Tak ciebie słucham... Rany, ty to kochasz, prawda?

– To i parę innych rzeczy.

– Imponujesz mi. Faceci w twoim wieku zwykle chodzą do pracy, bo muszą, a kiedy wracają do domu, siadają przed telewizorem. Nic ich nie rusza. No, może oprócz zimnego piwa.

*

– Zadałam właściwe pytanie, a on się rozgadał. Podekscytowany opowiadał o swoim życiu, decyzjach, samorozwoju. Był uroczy i zarażał swoją pasją.

– Zaraził panią, a potem zostawił. To dobry motyw.

Blefowałem, ale zależało mi na tym, żeby przyspieszyła. Nie obchodziło mnie jej życie, stosunek do mężczyzn i to, jaka była pogoda w dniu, w którym umówili się na pierwszy seks. Byłem na tym pieprzonym osiedlu po to, by ustalić, kto zamordował Piotra Łukawskiego i kto ukradł diamenty jemu, a także dwóm poprzednim nieszczęśnikom.

– Motyw do czego? Do kradzieży?

– Do zabójstwa.

– Nie zabiłabym Piotra. Nie mogłabym... Nie łączyło nas nic ważnego, spytajcie go.

Baba zaczęła się nakręcać, więc interweniowałem:

– Chwila, jeszcze kwadrans temu utrzymywała pani, że go nie zna.

– Nie chciałam robić mu problemów.

– Zmarłemu?

– Jakiemu zmarłemu?

Znowu blefowała. Nie wierzyłem, że nie zauważyła denata, że nie słyszała rozmów policjantów.

– Zajrzała pani do sejfu, zabrała diamenty, a w kuchni zamordowała kochanka.

– Nie zagłędałam do kuchni! Ktoś go zabił?

Do pokoju, w którym przesłuchiwałem Monikę Zarembę, zajrzał Wachowiak. Kiwnął głową, pokazując mi, że czeka na mnie na korytarzu. Rzuciłem mu krótkie: „zaraz” i wstałem z krzesła.

– Chwileczkę, niech pan nie wychodzi. Nie miałam powodu, żeby go zabijać. Znaliśmy się tylko dziesięć dni. Byłam nic nieznaczącym skokiem w bok. Takim, który można przemilczeć. Po którym nie pamięta się imienia dziewczyny, z którą się... – urwała. – Piotr miał żonę i to ona miała powód, by go zabić.

*

– To wszystko mnie zaskoczyło – przyznał Piotr chwilę po pierwszym pocałunku.

Monika zamarła. Była w podobnej sytuacji kilkadziesiąt razy. Teraz musiała skupić się na mowie ciała mężczyzny. To on odsunął się od niej pierwszy, ale również pierwszy nie wytrzymał napięcia, które wzrastało, kiedy patrzyli sobie prosto w oczy i zaczęli ją całować.

– Nie chciałbym, żebyś sobie coś pomyślała. Ja mam żonę.

– Wiem – dotknęła jego obrączki.

Mogła powiedzieć, że żona jej nie przeszkadza albo wysłuchać monologu dotyczącego jego problemów małżeńskich, które miałyby uzasadniać zbliżający się skok w bok.

Milczał, więc zdecydowała się odezwać pierwsza.

– Ja też kogoś mam... To byłoby nieuczciwe – spojrzała wymownie. Chciała niewerbalnie przekazać mu, że jest tak bardzo atrakcyjny i że żałuje, że otrzeźwienie przyszło tak szybko. – Dobrze, że przynajmniej ty jesteś przytomny... Ja... jeszcze przy nikim tak się nie czułam. Zamroczyło mnie na chwilę, przepraszam.

– Nie, no – roześmiał się nerwowo – nie musisz przeproszać, to dla mnie komplement. Taka dziewczyna jak ty... – odchrząknął. – Powinnaś poznać moją żonę. Jest kobietą na stanowisku, pozornie silną i na pokaz szczęśliwą. *Black lady*, tak ją nazywam. Ma czarne włosy, czarne myśli i czarne życie. Gdybyś wiedziała... miałabyś superklikający się temat.

– To od niej uciekasz w te swoje *escape roomy* i nierealne światy?

– Od niej? A może od siebie? Nie wiem. Wiesz, Moniuszko, jesteś dobrym obserwatorem.

– Wiem.

– Nie jestem zbyt szczęśliwym małżonkiem. Ona robi mi ciągłe jazdy, wyśmiewa mnie przy znajomych. Robi ze mnie nieodpowiedzialnego, kolorowego ptaka uganiającego się za chłopięcymi marzeniami.

– To dlaczego od niej nie odejdziesz?

*

Tylko dwie roboczogodziny dzieliły mnie od urlopu, a ja biegałem między dwoma pokojami, w których znajdowały się kobiety znające denata.

– Chciała się pani go pozbyć.

– Kto wam to powiedział? – Łukawska znowu powitała mnie w wojowniczym nastroju.

– Duch Święty – rzuciłem od niechcienia i pożałowałem, że jesteśmy w pokoju sami. Gdyby był z nami Wachowiak i reszta, doceniliby moje poczucie humoru.

– Kochanka pani męża.

– I pan jej wierzy?

– Komuś muszę, a pani jak na razie mnie nie przekonuje. Wielkie zdrady, o których pani mówi, nie miały miejsca. Szybki seks, do którego kochanka miała luźny stosunek i owszem.

– Luźny stosunek! A wie pan, że nie powinna tego zrobić? Że złamała regulamin?

Jaki znowu regulamin? Marudzących żon i otyłych matek? Punkt dziewięćdziesiąty piąty mówiący o tym, że zaobrączkowany facet jest własnością kobiety i jako taki nie może stanowić źródła przyjemności seksualnych dla innej?

– Co pan tak na mnie patrzy? Jak na wariatkę? Zatrudniłam ją! Co? Tego wam nie powiedziała? Zatrudniłam... Właściwie nie ją, a agencję testerów wierności. Czułam, że Piotr mnie zdradza. Pytałam, a on zaprzeczał. Tłumaczył, że te wszystkie kręcące się wokół niego koleżanki to klientki lub TYLKO koleżanki. Miałam dość ciągłych awantur i robienia ze mnie idiotki... Dlatego zatrudniłam agencję testerów wierności. Najlepszą, warszawską.

*

– Halo?

– Podobno jesteście najlepszą w Polsce agencją testerów? – Honorata Łukawska nie zamierzała tracić czasu na zbędne uprzejmości. Woląca przejść do sedna i mieć to już za sobą.

– Pozwoli pani, że mimo wrodzonej skromności nie zaprzeczę.

Łukawska spodziewała się opryskliwej sekretarki lub ćwierćinteligentnego detektywa, zadających pytania dotyczące genezy problemów małżeńskich. Tymczasem męski głos, który docierał do niej z słuchawki telefonicznej, brzmiał zachęcająco. Był tak niski i spokojny, że koł jej nerwy. Wszelkie obawy dotyczące podjętej decyzji odeszły

– Jaką macie skuteczność?

– Najwyższą...

– W takim razie chciałabym, żebyście mi pomogli.

– Oczywiście. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Jakiego rodzaju usługami byłaby pani zainteresowana?

– Potrzebuję testerki wierności.

– Kim jest figurant?

– Figurant? – zawahała się. – Pyta pan o mojego męża?

- Pytam o mężczyznę, którego wierność będziemy testować.
- Czyli o męża. Co chce pan o nim wiedzieć?
- Wszystko. To pozwoli dobrać nam dla niego idealną testerkę.

*

- Zatrudniła pani agencję i co?

Zdziwił mnie taki obrót spraw. Słyszałem o wielu patologiach, ale nigdy o testowaniu wierności na zamówienie. Czego to ludzie teraz nie wymyślą? Na co jeszcze są w stanie wydawać kasę?

- Wypełniłam stosowne dokumenty, dokonałam przelewu i czekałam na efekt. To znaczy nie. Poprosiłam jeszcze o spotkanie z tą testerką. Któregoś dnia wpadła do mnie do pracy.

*

Kiedy w drzwiach pojawiła się testerka wierności, dyrektor Honorata Łukawska zlustrowała ją dokładnie, a następnie uniosła się zza biurka, by przywitać swojego gościa.

- Miło, że zgodziłaś się ze mną spotkać. – Łukawska energicznie potrząsnęła ręką przybyłej.

Zupełnie jakby chciała się tym ruchem pozbyć wątpliwości. Dziewczyna wyglądała całkiem zwyczajnie. Nie miała dużych piersi, wielkich oczu, super ciuchów, seksownych szpilek. Była zupełnie zwyczajna. Młoda, być może nawet niebrzydka, uwagę zwracały jej duże usta, w stylu Angeliny Jolie. Honorata nie bardzo wiedziała, w jaki sposób „to coś” ma przykuć uwagę jej męża.

- Szef przekazał, że bardzo pani na tym zależało.

- Tak... To dla mnie ważna sprawa – Łukawska wróciła do biurka. – Usiądź – ręką wskazała krzesło znajdujące się z drugiej strony drewnianego blatu.

Potrzebowała tych osiemdziesięciu centymetrów dystansu. Celowo umówiła się z testerką wierności w siedzibie Towarzystwa Stomatologicznego, któremu szefowa. W biurze czuła się najbezpieczniej. Tu miała przewagę. Spodziewała się, że spotkanie z młodą dziewczyną, która za kilka dni wskoczy do łóżka Piotra, nie będzie należało do łatwych, postanowiła więc potraktować je jak

kolejne wyzwanie biznesowe. Miała interes do załatwienia, a stawka była na tyle wysoka, żeby wynagrodzić jej wszelkie emocjonalne niedogodności.

– Chciałam cię zobaczyć, żeby mieć pewność, że postawiłam na dobrego... – zawahała się – konia, yyy... To znaczy, że wybrano kobietę, która rzeczywiście spodoba się mojemu mężowi. Ale przyglądam się tobie i... – uznała, że wątpliwości dotyczące wyglądu omówi z szefem agencji testerów. – Jak się nazywasz?

– Nie musi pani znać mojego nazwiska. – Kobieta uśmiechnęła się tajemniczo. – Firma przyjęła zlecenie sprawdzenia wierności pani męża, a mój szef na podstawie informacji uzyskanych od pani przydzielił do realizacji tego zadania właśnie mnie... Oznacza to ni mniej ni więcej tylko tyle, że idealnie się nadaję dla tego figuranta. Jeśli figurant przy mnie nie odpłynie, to znaczy, że może być pani pewna jego wierności.

*

Zerknąłem kontrolnie na zegarek i zanotowałem, że liczba roboczogodzin zmniejszyła się do jednej, a liczba minut kurczy się zbyt szybko.

Miałem za mało czasu, by doprowadzić rzecz do końca. Zdawałem sobie sprawę, że za dwa tygodnie, kiedy wrócę po urlopie, będzie już po ptakach. Wachowiak przejmie sprawę i wytypuje zabójcę, a przy okazji zamknie dwie sprawy kradzieży i zgarnie pochwałę przełożonego.

Nie mogłem do tego dopuścić.

– Jest pani testerką wierności – wróciłem do Moniki Zaremby. – Dlatego wasza relacja była przelotna. Opłacona z góry, że tak powiem.

– Tak – kobieta odetchnęła z ulgą. – Skoro pan już wie, mogę potwierdzić. Wiązała mnie umowa z agencją, klauzula tajemnicy. Dostałam zlecenie. Piotr Łukawski był tylko figurantem. Mam nadzieję, że pan mi w końcu uwierzy. Nic mnie z nim nie łączyło.

– Dowiedziała się pani, że ma sporo diamentów i postanowiła wykorzystać sytuację. Dobrze jest czasem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Coś jednak poszło nie tak... Wrócił do domu w nieodpowiednim momencie i zaczęła się pani bronić.

– Jeśli ktoś był bogaty w tym związku, to tylko ona,

zleceniodawczyni. Piotr nie miał nic. A przynajmniej nie na tyle dużo, żebym... No wie pan. Spotkałam się z panią Honoratą zaraz po przyjeździe do Łodzi. Od początku zachowywała się podejrzanie. Prosiła mnie, żebym złamała kodeks testerki i przespała się z jej mężem.

*

– Jak mam się do ciebie zwracać?

Najlepiej wcale, pomyślała Moniuszko. Nie zamierzała zaskarbiać sobie sympatii zleceniodawczyni. Spotkała się z nią na wyraźną i nieznoszącą sprzeciwu prośbę szefa. W branży testerów wierności pracowała od czterech lat i od ponad trzech nie spotykała się z kobietami, których partnerów miała uwodzić. To była jedna z zasad zachowania higieny pracy. Spotkania ze zdradzonymi kobietami zwykle prowadziły do jednego. Wybuchu zazdrości. Prędzej lub później. Ze śladową lub olbrzymią, ale zawsze gwałtowną erupcją.

Tym razem zrobiła wyjątek i ledwo weszła do gabinetu, w którym urzędowała dyrektor Honorata Łukawska, już pożałowała swojej decyzji. Kobieta była korpulentna, władcza i od razu zrezygnowała z grzecznościowej formy *pani*, zupełnie jakby chciała okazać przybyłej swoje lekceważenie.

– Moniuszko.

– Moniuszko? Dziwnie. To od nazwiska?

Monika nie zamierzała się tłumaczyć. W życiu prywatnym była Moniką Zarembą, grzeczną studentką lubiącą życie w luksusie. W pracy zmieniała się w *femme fatal*. Uwodziła, prowokowała i aranżowała sytuacje tak, by mężczyzna zaprosił ją przynajmniej na szybki numerek do pubowej toalety. Dopasowała pseudonim do zawodu, który wykonywała. Nie wyobrażała sobie, żeby figuranci zwracali się do niej per *Monia*. W tych dwóch sylabach nie było ani krzty tajemnicy, seksualności czy luksusu.

– Jakie to ma znaczenie? Gwarantuję, że dla figuranta żadne. Pani Honorato, rozumiem pani zdenerwowanie. To bardzo trudna sytuacja. Emocje towarzyszące kobiecie, która podejrzewa, że jej ukochany ją zdradza, są bardzo trudne i tak mocne, że często fałszują docierające do niej bodźce. Wie pani, właśnie dlatego nie organizujemy zwykle takich spotkań. Nie jestem pani wrogiem. Chciała mnie pani zobaczyć?

Proszę bardzo, oto ja. Pójdę już. Dodam jeszcze, że jestem najlepsza w tej branży i zajmuję się najtrudniejszymi przypadkami. Skuteczność to moje drugie imię.

– Tak? A nie wyglądasz – prowokowała Łukawska.

Ty za to wyglądasz, w myślach odpowiedziała Moniuszko, na bogatą i starą babę pełną kompleksów.

Dobrze dopasowana garsonka ukrywała wałeczki tłuszczu, kruczoczarna grzywka przykrywała wysokie czoło, nienaturalnie długie i zbyt gęste rzęsy powiększały małe, bladoniebieskie oczy. Od pozostałych kompleksów kobieta próbowała odwrócić swoją uwagę, otaczając się gadżetami potwierdzającymi jej wysoki status finansowy. Torebka z widocznym logo Chanel. Najnowszy iPhone w etui zdobionym błyszczącymi kamieniami. Luksusowa szminka od Guerlaina leżąca na biurku obok telefonu.

– Dzisiaj nie – uśmiechnęła się tajemniczo Moniuszko. Dobrze wiedziała, że w szczęśliwych związkach nie sprawdza się wierności partnera, co oznacza tylko tyle, że pieniądze, uroda modyfikowana chirurgicznie i wysoka pozycja zawodowa szczęścia nie dają. – Z całym szacunkiem, nie płacą mi za uwodzenie pani. Wygląd, zachowanie i strategia, to wszystko dostosowane jest zawsze do figuranta. Piotr Łukawski, lat czterdzieści dwa, prawda? Pracę nad figurantem zaczynam dopiero jutro rano. Miło było mi panią poznać.

Moniuszko wstała z krzesła i skierowała się do wyjścia.

– Chwileczkę – Łukawska zastąpiła jej drogę. – Widzę, że masz charakter, a to Piotr na pewno doceni... Prędzej czy później. W każdym razie brzmisz, jakbyś wiedziała, co robisz... Moniuszko? – kobieta zawiesiła głos. – Jeśli pozwolisz, będę szczerą. Chcę, żebyś uwiodła mojego męża.

– Zna pani zasady, wykorzystam wiedzę uzyskaną od pani, by sprawić, żeby figurant się mną zainteresował. Potem podtrzymam jego zainteresowanie i poczekam na to, aż złoży mi niemoralną propozycję.

– Nie! Chcę, żebyś uwiodła mojego męża!

– Jestem testerką wierności, uwiodę go i poinformujemy panią, kiedy złoży mi niemoralną...

– Na miłość boską – Łukawska przerwała jej łapiąc się teatralnie za głowę – przestań powtarzać te głupoty o moralności. Nie chcę, żebyś próbowała testować jego wierność. Masz go uwieść! Potrzebuję twardego dowodu zdrady.

– Jeśli chodzi pani o seks... Chyba pani wie, że nie sypiamy

z figurantami.

– Tak wiem, czytałam ten wasz kodeks etyczny. – Honorata przewróciła znacząco oczami. – Ale to wyjątkowa sprawa, oczywiście za wyjątkową stawkę. Wynagrodzę ci wszelkie niedogodności. Chociaż nie sądzę, żeby seks z Piotrem ktokolwiek nazywał niedogodnością...

– Nie mogę.

– Płacę dodatkowo dwa tysiące złotych. Poza umową. Nie dzielisz się kasą z szefem. Informacja o tym, co zarobiłaś, zostanie tylko między nami.

– Pójdę już.

– Dziewczyno, zrozum. Tu nie chodzi o miłość, lecz o biznes. Nie interesuje mnie to, czy Piotr będzie z tobą flirtował, ile razy się do ciebie uśmiechnie i czy wyjdzie z inicjatywą, by zaprosić cię do hotelu. Nasza sytuacja jest dość skomplikowana. Zawsze byłam bogata, a on... Kiedy się poznaliśmy, nie miał nic. Myślałam, że mnie kocha, ale on kochał zawsze tylko moje pieniądze. Byłam głupia. Na szczęście w porę się ocknęłam. Rozwodzę się z nim. To znaczy, zaraz się z nim rozwiodę. Potrzebuję tylko dowodu zdrady, by dowieść, że złamał warunki intercyzy. To jedyny sposób, żebym nie musiała dzielić się z nim swoim majątkiem. To o majątek chodziło mu od początku! Nie mogę pozwolić, by zrealizował swój plan.

*

Testerka opowiadała, a ja jednym uchem wpuszczałem, a drugim wypuszczałem. Uczono nas, że świadkowi należy umożliwić swobodne wypowiedzenie się, ale od wysłuchiwanie tych babskich opowieści bolały mnie zęby. Wystarczyło w jednym zdaniu powiedzieć, że Łukawska nosiła się z zamiarem zakończenia małżeństwa, o czym poinformowała przesłuchiwaną tego i tego dnia.

– Zaoferowała mi dodatkowe trzy tysiące za seks z jej mężem. Protestowałam. Dość długo. W końcu się zgodziłam. Relację ze spotkania zdałam swojemu szefowi, Krzyškowi Madejskiemu.

*

Moniuszko zamknęła za sobą drzwi hotelowego pokoju i wybrała

w komórce numer szefa.

– Cześć. Nawiązałam kontakt – zameldowała.

Bez schylania się zdjęła baleriny i rzuciła się na łóżko. Zwykle w takich chwilach czuła się panią życia i śmierci. Po pierwszym spotkaniu z figurantem wiedziała już dokładnie, jak pokierować ich znajomością, by odpowiednio szybko się zacieśniła. Znała nastawienie mężczyzny, przyjrzała się jego twarzy, mimice i zweryfikowała informacje uzyskane od zleceniodawczynie. Miała świadomość tego, co należy zrobić, żeby zauważył w jej oczach zachwyt, a następnie się w nich zatracił. Potrafiła precyzyjnie oszacować czas, niezbędny na wykonanie zadania i zaplanować powrót do domu.

Tym razem czas był jej sprzymierzeńcem. Cudownie czuła się w Łodzi, mogłaby resztę życia spędzić w tym postindustrialnym hotelu. Długie, szare zasłony komponowały się z kolorem łóżka i jednej ściany, jednocześnie nadając wnętrzu chłodnej nowoczesności i ciepłej przytulności. Na przeciwległej ścianie odsłonięte i pachnące historią cegły stanowiły wsparcie dla płaskiego telewizora. Wzrok przyciągały żółte akcenty kolorystyczne, powtórzone zgodnie z dobrą zasadą urządzania wnętrz trzykrotnie: na obrazie, krześle stojącym przy biurku oraz na kapie leżącej na łóżku.

– I jak? – dopytywał Krzysiek.

– Spoko. Zleceniodawczynie przekazała nam kompletne informacje. Ten *escape room* to nie tylko praca, ale pasja figuranta. Sam opracował wystrój wszystkich pokoi i powierzchni je łączącej, takiej jakby kawiarenki. Oczywiście nienachalnie pochwaliłam to miejsce. Na szczęście jest naprawdę fajne, więc nie musiałam ściemniać.

– Czyli spotkaliście się u niego?

– Tak jest, zgodnie z naszymi zasadami. – Moniuszko sięgnęła po menu hotelowej restauracji. Przeglądała je przed wyjściem z hotelu i zostawiła na skraju łóżka.

– Dobra, zamelduj, kiedy połknie haczyk. Zleceniodawczynie jest niecierpliwa.

Kuszące hasło „Zabierzemy Państwa w kulinarną podróż do Łodzi Czterech Kultur” pobudziło wyobraźnię, a Moniuszko poczuła ssanie w żołądku. Tak skupiła się na realizacji zadania, że zapomniała o obiedzie.

– Halo, jesteś tam?

– Jestem – odpowiedziała niespiesznie, zapoznając się jednocześnie z propozycjami z kuchni niemieckiej, rosyjskiej, polskiej i żydowskiej. –

Coś przerwało.

– Prosiłem, żebyś się postarała, bo zleceniodawczyni zależy na czasie.

– Spoko, zrobię, co w mojej mocy, ale sam wiesz. To nie fabryka. Zbyt nerwowy ruch zniszczy całą operację. – Rozbawiła ją absurdalność sytuacji. Leżała przecież na łóżku w budynku fabrycznym, znajdującym się w przepelnionej fabrykami Łodzi.

– Moniuszko, wiem. Mam do ciebie zaufanie. Ale musisz mieć na uwadze...

– Oczywiście. – Nie zamierzała niczego przyspieszać ani skracać. Nie chciała jednak niepokoić szefa. – Aaa, mam film z pierwszego spotkania, przesłać ci?

– Zleceniodawczyni nie ma czasu na oglądanie. Przynajmniej na razie, ale pamiętaj, to nie zwalnia cię z obowiązku filmowania waszych spotkań.

– Wiem, wiem, nie zerwałam się z choinki. Ktoś ci mówił, że masz problemy z nadopiekuńczością?

– Tylko uprzedzam, żeby potem nie było jazdy. Baba jest żądna krwi, to dajmy jej krew. Liczę na twoją inwencję. A jak figurant?

– Trochę będę musiała nad nim popracować. Żyje w swoim świecie, co oznacza, że będę musiała wejść do tego świata.

– Ale złamiesz go?

– Czy jest ktoś, kogo nie złamałam?

– Dobra, dobra, za dużo sobie nie wlewaj. Facet jest po czterdziestce, co zwiększa twoje szanse o ponad sześćdziesiąt procent. Poza tym gra nie jest równa. Wiesz o nim wszystko, a on o tobie nic.

*

Zwykle nie mam żadnych uczuć w stosunku do ludzi, których sprawy prowadzę, zwłaszcza do denatów, ale tym razem z całego serca mu współczułem. Dwie baby wzięły go na swoje celowniki i atakowały z dwóch stron. Nie zdziwiłbym się, gdyby sam zaplanował swoją śmierć. Są takie sytuacje, zwłaszcza w relacjach damsko-męskich, z których nie ma wyjścia.

Czułem, że Piotr Łukawski zaklinał się między teoretycznie uprzejmą, ale tak naprawdę wredną żoną a uroczą testerką wierności, która wiedziała o figurancie tyle, by łatwo owinąć go sobie wokół palca.

– Czyli wasze spotkania nie były przypadkowe?

– Nazwałabym je raczej zainscenizowanymi przypadkami. Zwłaszcza te pierwsze.

– Zamieniam się w słuch...

Zwykle nie interesują mnie szczegóły, ale to było moje pierwsze spotkanie z profesją *testerką wierności*. Chciałem przekonać się, jak one to robią.

– Wiedziałam, że figurant prowadzi swój biznes, Mysterious Room, czyli największy *escape room* w Polsce. Sam projektował wnętrze, bawił się formą, dobierał oprawy lamp, ustawiał kanapy. Lubił w ciszy rozkoszować się efektami swojej pracy, dlatego przychodził do firmy zawsze trzydzieści minut przed otwarciem. Udałam więc zagubioną klientkę, która przyszła odrobinę za wcześnie. Musiałam mieć pewność, że będę rozmawiała z nim, a nie z jakimś pracownikiem. Był zamknięty i zdystansowany, ale zaczął się zmieniać, gdy zobaczył jak żywiłowo reaguję na piękne wnętrze, jak zachwycam się detalami. Podpytałam o parę szczegółów, pod kątem organizacji w jego firmie imprezy panieńskiej. Udawałam nieśmiałą sierotkę, pozwoliłam mu być przewodnikiem.

– I co? Złapał się na to? – Mogłem się założyć, że w branży testowania wierności dominowały baby. Żaden facet nie byłby tak perfidny. Mężczyźni wolą gonić króliczki, a nie manipulować wszystkim, byleby osiągnąć cel.

– Pierwsze spotkanie miało służyć oswojeniu się, wie pan... Figurant miał mnie zauważyć i chwilę porozmawiać. Decydujące było drugie, od którego zależało, czy będą następne.

*

Podobno takie sytuacje zdarzają się zawsze niespodziewanie, wystarczy chwila dekoncentracji, zerknięcie na wyświetlacz komórki czy ogarniająca senność.

Wypadek drogowy – jako konsekwencja zaniedbania kierowcy – do tej pory był czymś, o czym Piotr słyszał w radio lub czytał na portalu informacyjnym. Telewizji nie oglądał, bo nie oferowała mu niczego ciekawego.

– Boże, przepraszam, nie chciałem, chwila nieuwagi, to moja wina. Czekać, nie ruszaj się.

Tyle razy pokonywał rowerem trasę praca–dom, że jechał na

autopilocie. Pedałował jak zwykle, utrzymując stałe i szybkie tempo. Skupił się na rozbudowywaniu w myślach pomysłu na nowy pokój zagadkę.

Nagle na jezdnię wtargnęła dziewczyna na rowerze. Piotr nie miał dużego pola manewru. Mógł uderzyć w nią albo odbić w prawo i wjechać w spacerującą chodnikiem staruszkę. Mógł też odbić w lewo, wjechać na pas, którym poruszały się samochody i zagrać w ruletkę o własne życie. Być może uniknąłby zderzenia z rowerem. Jeśli jednak jego gwałtownego ruchu kierownicą nie przewidziałby kierowca samochodu jadącego za nim – straciłby rower i naraziłby się na bolesne spotkanie z samochodową karoserią, a być może nawet rozgrzanymi oponami.

Zdecydował się nie zmieniać toru jazdy, licząc na to, że rower kobiety zamortyzuje trochę uderzenie. Rzeczywiście zamortyzował – koło utraciło swój okrągły kształt, ale jego właścicielka i tak upadła na asfalt.

– Coś cię boli? – Twarz poszkodowanej wydawała mu się znajoma, ale nie miał czasu zastanawiać się, gdzie ją widział. W pierwszej kolejności musiał ocenić zniszczenia i oszacować odpowiedzialność, do której może zostać pociągnięty. – Ręce, nogi, głowa?

– Niech ktoś wezwie karetkę – krzyknęła staruszka, która była świadkiem zdarzenia.

– Nie – zaprotestowała dziewczyna. – Wszystko w porządku.

Piotr pomógł dziewczynie wstać, a kiedy upewnił się, że usiadła na murku wrócił po rowery.

– Naprawdę nic cię nie boli? Bo jeśli... to może powinien zobaczyć cię lekarz?

– Nie – skrzywiła się dziewczyna, rozmasowując sobie przedramię. – Zaraz mi przejdzie. Mógłbyś uważać, jak jeździsz – głos jej się załamał.

– Gdybyś nie wtargnęła na jezdnię – przejęty Piotr nie wiedział jak się zachować. To on uderzył w dziewczynę, ale przecież wina nie była jedynie po jego stronie. Postanowił jednak wstrzymać się od moralizatorskich gadek. – Dobra, najważniejsze, że nic ci się nie stało.

– W sumie dobrze, że nie jechałeś samochodem. Rower! – przypomniała sobie o środku lokomocji. – Rany, mój brat mnie zabije. Pożyczyłam go od niego, bo przygotowuję się do ekstremalnej rowerowej wyprawy ze znajomymi.

– Rower to najmniejszy problem. Oddasz go do naprawy.

*

– Jak od uszkodzonego roweru przejść do seksu?

– Płynnie i tak, by figurant niczego się nie domyślił. To znaczy nie do seksu, nie uprawiamy z figurantami seksu. To był...

Taa, na pewno przypadek. Monika *Przypadek* Zaremba nadal trzymała się swojej wersji, że wszystko, co jej się przydarzyło, było przypadkowe. Zanotowałem na kartce, żeby wysłać Wachowiaka do domu dwóch poprzednich ofiar kradzieży diamentów i dopytać, czy mieli kontakt z tą kobietą. Dla pewności pstryknąłem jej fotkę telefonem komórkowym. Mogła przecież zakładać peruki, zmieniać się za pomocą stroju i makijażu.

Zaprotestowała, tłumacząc się, że ujawnienie jej wizerunku oraz łączenie go z jej profesją wykluczy ją z zawodu.

– Obawiam się, że kara za kradzież i zabójstwo i tak wykluczy panią z zawodu na wiele lat.

– Kradzież? Wykluczone. Bardzo dobrze zarabiam.

– Oszukując mężczyzn i naiwne kobiety? Jak baba chce mieć pewność, że mąż doprawia jej rogi, to powinna złapać go za rękę, a najlepiej za... – ostatni wyraz dopowiedziałem w myślach. – Co jej przyjdzie z tego, że agencja przekaże informację: tak, mąż panią zdradza? Nadal będzie wątpiła, biła się z myślami, dawała mu kolejną szansę.

– Nie wnikamy w to, jakie decyzje podejmują nasi zleceniodawcy. Skoro zleca się sprawdzanie uczciwości partnerów biznesowych, to dlaczego nie sprawdzić uczciwości ludzi, z którymi mamy spędzić resztę życia? Przecież w związku ryzykujemy więcej niż pieniądze.

– Pani sobie daruje marketingowe pieprzenie. Skoro już mowa o pieniądzach. Wiedziała pani o diamentach?

*

– Wspólnie zainwestowaliśmy kilka lat temu w diamenty – Piotr odezwał się do Moniuszko dokładnie dwadzieścia cztery godziny po spotkaniu, na którym pojawił się temat jego odejścia od żony. Wtedy zbył ją banalnym oświadczeniem, że mogą zostać przyjaciółmi i uciekł do domu. Teraz zadzwonił i bez powitania zaczął się tłumaczyć. Widać

temat nie dawał mu spokoju. – Honorata, moja żona, zajmowała się zakupem, montażem sejfu i ustawieniem kodu. Ja skupiałem się wtedy na swoim biznesie. Później popsuło się między nami, a ja nie miałem pola manewru. Prowokowała mnie, mówiąc: „Możesz odejść w każdej chwili, ale diamenty zostaną ze mną”. Mógłbym zabrać te diamenty, a przynajmniej swoją połowę, wiem już jaki jest kod do sejfu, ale wtedy ona by mnie zniszczyła. Urażona ambicja i duma nie pozwoliłyby żyć... ani mnie, ani jej.

Moniuszko była akurat w sklepie z bielizną, dokładnie w przymierzalni. Znała zupełnie inną wersję dotyczącą majątku Łukawskich. Nie zamierzała jednak trzymać żadnej ze stron konfliktu. Płacono jej za efekt, a efektem było...

– Łączą was tylko pieniądze?

– Tylko i aż. Jakiś milion złotych w kamieniach. Głupio byłoby to stracić. Dobra, powiedz, że jestem beznadziejny, że ta zabawa w poszukiwanie emocji to sposób na lekceważenie problemów...

– Wiesz co? – uznała, że skoro figurant wyznał jej swoją część prawdy i zaproponował poprzedniego dnia, by zostali przyjaciółmi, musi przejąć inicjatywę. – Beznadziejnie, że mnie złapałeś w przymierzalni, ale skoro już dzwonisz, to cię wykorzystam, mój nowy przyjacielu. Mogę?

Stała przed lustrem, naga od pasa w górę i przyglądała się swoim piersiom. Na półeczce leżały dwa modele biustonoszy.

– Dawaj.

– Nie mogę się zdecydować który wybrać. Wyślę ci zaraz dwa zdjęcia. Powiedz, w którym modelu lepiej wyglądam.

*

– Zamówiła pani jednak coś więcej niż standardowy zakres działań testerki?

– Co pan? Przecież nie można wybrać zakresu działań. Mogę dać panu numer telefonu do właściciela agencji, on to potwierdzi.

– Część usług wykupiła pani jednak bezpośrednio u testerki.

– To nieprawda! Gdybym wiedziała, że wskoczy mu do łóżka... Myśli pan, że łatwo jest mi żyć z tą świadomością?

To nie łatwe życie było przedmiotem postępowania, lecz motyw, który doprowadził do zabójstwa Piotra Łukawskiego. Baba była jednak zbyt

skupiona na sobie, by zrozumieć, że źródło jej problemów wydało z siebie ostatnie tchnienie.

– Wiedziała pani jednak, że spotkali się hotelu. Skąd?

*

– Halo?

– Figurant zaproponował mi spotkanie w pokoju hotelowym.

– Masz zdjęcia? Film? – głos Honoraty Łukawskiej nie wyrażał żadnych emocji.

Moniuszko ucieszyła się, że nie musi patrzeć na twarz rozmówczynie. Nadal nie zamierzała stawać po niczyjej stronie w konflikcie małżeńskim, mimo że Piotr budził jej sympatię, a jego żona wręcz przeciwnie. To, że między Łukawskimi nie działo się dobrze, widziała na pierwszy rzut oka. Nie potrafiła jednak stwierdzić, które z nich jest bliższe prawdy. Ich prawdy mijały się, jak mijali się oni. Ona chłodna, wielbiąca sztywne klimaty i utrzymująca towarzyskie kontakty jedynie z ludźmi na odpowiednio wysokim poziomie menedżerskim. On goniący jak szczeniak za emocjami, żądny nowych doznań, chcący poznawać świat i wszystkich ludzi.

– Spotkanie ma odbyć się jutro.

– To po co zawracasz mi głowę?

– Informujemy klientów na bieżąco...

– Nie pamiętasz, zrezygnowałam z tej części usługi, wykupując sobie w zamian inną.

– Nie zwalnia mnie to jednak z obowiązku przekazania informacji i pani, i szefowi. Oficjalnie w tej chwili kończy się moja rola. Spotkanie w hotelu oznacza jedno.

– Daruj sobie te banały. Wiem, że nie będziecie rozmawiać o pogodzie. Przyspiesz to!

– Słucham?

– Prześpij się z nim już dziś. I daj mi na to dowody, tak jak się umawialiśmy. Nie mogę dłużej czekać. Za dużo czasu ci to wszystko zajęło.

– To nie fabryka, pewnych rzeczy nie mogłam przyspieszyć. Gdybym wpadała na figuranta codziennie, mógłby się domyśleć. Poza tym to niezgodne z regulaminem. Wszelkie propozycje powinny wychodzić od figuranta.

– Proszę cię przestań. Mieszkasz w hotelu na mój koszt, żywisz się na mój koszt... Poza tym, od kiedy tak uważnie czytasz regulamin? Na miłość boską, dziewczyno! Ja mam cię uczyć odwracania kota ogonem? Zadzwoń do niego i powiedz, że jutro nie możesz, bo wyjeżdżasz. Że to musi być dziś...

*

Od urlopu dzieliła mnie już mniej niż godzina, a każda z przesłuchiwanym bab nadal próbowała przekonać mnie do swojej wersji. Chcąc przyspieszyć bieg spraw, postanowiłem przejść do konfrontacji.

Upewniłem się, że technicy skończyli już zbieranie śladów z salonu i poprosiłem dwóch funkcjonariuszy, by doprowadzili do pomieszczenia z otwartym sejfem obie baby.

– Darujmy sobie prezentację, zwłaszcza że panie się znają. Wiem już właściwie wszystko, ale jest jeden szczegół, który muszę wyjaśnić.

Wdowa słuchała mnie z uwagą, a testerka wpatrywała się w zleceniodawczynię jakby za chwilę miała przystąpić do ataku. Na to właśnie liczyłem, musiałem jedynie trochę bardziej podkreślić atmosferę.

– Pani Łukawska utrzymuje, że seks z jej mężem był złamaniem umowy, którą podpisała z agencją testerów wierności.

– Złamaniem? Podczas pierwszego spotkania kazała mi to zrobić. To dlatego dzwoniłam do niej, by poinformować, że to się za chwilę wydarzy i dlatego pojawiłam się u niej w biurze, już po wszystkim, ze zdjęciami.

*

– Tak jak pani chciała – Moniuszko rzuciła zdjęcia na biurko zleceniodawczyni.

Kobieta zachłannie sięgnęła po plik kolorowych papierów. Zaczęła je przeglądać, a jej twarz z każdym oglądanym ujęciem wykrzywiała się coraz bardziej.

– Wykonałam zadanie.

– Na zdjęciach nie ma pani twarzy, nie tak się umawialiśmy!

Moniuszko dobrze pamiętała, jak się umawiały, ale tak bardzo ryzykować nie mogła.

– Jest za to mój goły tyłek – wskazała na zdjęcie na którym wyraźnie wydać zadowoloną twarz figuranta i ciało dosiadającej go kobiety – on musi pani wystarczyć.

– Chyba się zapominasz, Moniuszko. Twój szef nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że zwracasz się do mnie takim tonem, i że pieprzysz się z moim mężem.

*

Oglądałem kiedyś walki kobiet w kisielu. Takie sympatyczne skojarzenie przyszło mi do głowy, kiedy obie baby się do siebie zbliżyły. Były wściekłe i gotowe do obrony. Gdyby były mężczyznami, połałaby się krew, a emocje zmieniłyby się w ciosy. Kobiety jednak zawsze zbyt dużo energii tracą na trajkotanie.

– Jesteś perfidną suką, jak śmiesz tak kłamać? Miałaś mi pomóc, a nie zakochiwać się w nim. Panie władzo, tak, poprosiłam Moniuszko o to, by poszła z Piotrem do łóżka. Gdyby tego nie zrobiła, znowu wyparłby się kolejnego romansu. A ja chciałam się z nim rozwieść. Bałam się, że nie zgodzi się na rozwód. Agencja i testerka miały być kartą przetargową.

– Ale widocznie to na niego nie zadziało i go pani zabiła! – wrzuciła Moniuszko.

– Kretynka! Gdybym miała go zabić, to dawno temu. Po pierwszej zdradzie. Teraz wiedziałam, że dostanę rozwód, że twoje zeznania przyniosą mi korzyść. Przyznaj się, że ciebie też olał, co? Wkurzyłaś się, że się napracowałam, a on się na ciebie wypiął. Bzyknął cię i chciał zapomnieć.

– Ciekawe, jak mogłabym się zakochać w takim starym facecie. Starym i nudnym.

Baby przekrzykiwały się, a ja po raz pierwszy w swojej karierze pozazdrościłem denatowi. Natężenie hałasu i wzajemne oskarżenia sprawiły, że przy drzwiach do salonu zaczęła tłoczyć się cała policyjna gromada. Wszyscy z rozbawieniem przyglądali się kłócącym się kobietom. One jednak były za bardzo skupione na sobie, by zauważyć publiczność.

– Na zdjęciach jakoś nie wyglądałaś jakbyś robiła to z obrzydzeniem.

– Z obrzydzeniem spotykałam się z panią i wcale nie dziwię się, że Piotr był tak mocno zdeterminowany, żeby odejść.

– A skąd ty to możesz wiedzieć?

– Spotkałam się z nim po tym wszystkim...

*

– Cześć.

Moniuszko umówiła się z Piotrem w publicznym miejscu. Kawiarnia Foto Cafe 102 była idealna na spotkanie kochanków. Mieściła się w podwórzu posesji przy ulicy Piotrkowskiej. Niby w centrum i blisko miejsca pracy Piotra, ale jednocześnie na uboczu – podwórze było długie, a kawiarnia znajdowała się na samym jego końcu. Trafiali do niej tylko ci, którzy chcieli, co eliminowało ryzyko zauważenia przez przypadkowego przechodnia.

– Coś się stało? Twój telefon... Przestraszyłem się. Jeśli chodzi o wczoraj...

– Wczoraj było niesamowicie – odpowiedziała zgodnie z prawdą i uciekła przed jego spojrzeniem.

Życie w kawiarni toczyło się niespiesznie. Para siedząca przy oknie wpatrywała się sobie w oczy, wyglądała na zakochaną, taką, która właśnie przeżywa swój największy czas fascynacji. Barman przygotowywał dwie kawy, a w Moniuszko buzował niebezpieczny koktajl – złości, agresji i poczucia, że to ona powinna mieć ostatnie zdanie.

– Piotr, jesteś świetnym facetem, ale musisz o czymś wiedzieć – zawahała się, ale w końcu sięgnęła do torebki.

Zdjęcia ich nagich zespolonych ciał przykryły drewniany blat.

– Co to jest?

Piotr nie wiedział, jak się zachować. Jednocześnie uśmiechał się, wspominając ich wczorajsze doznania, i marszczył czoło, bo nie powinny zostać uwiecznione na fotografiach.

– Przepraszam.

– Co to jest, Moniuszko?

– Miałam w pokoju gadżet, który robił nam zdjęcia.

– Co, kurwa???

– Wysłuchaj mnie i nie przerywaj, tylko o to cię proszę. Potem możesz mnie znienawidzić – wzięła głęboki oddech. – Jestem testerką

wierności. Twoja żona, Honorata, zatrudniła mnie, bo potrzebowała dowodów, by się z tobą rozwieść i skorzystać z intercyzy.

– Z jakiej intercyzy? Moniuszko, o czym ty mówisz?

– Miałam dostarczyć jej dowody zdrady... Wywiązałam się ze swojej części zadania, a ona mnie wyśmiała i kazała spierdalać, nie płacąc ani grosza. I jeszcze zaczęła mnie szantażować.

– Po co mi to mówisz? Ona oszukała ciebie, a ty mnie...

– Nie do końca. Zauroczyłeś mnie, zaraziłeś swoją pasją, sparaliżowałeś męskością. Takie zlecenie było mi na rękę. Nie sypiam z figurantami, z tobą to było coś więcej.

– Nie chcę tego słuchać...

– Rozumiem. Masz prawo być na mnie wściekły. Nie oczekuję wybaczenia. Chcę, żebyś uważał na swoją żonę. Nie zostawiłam jej zdjęć, więc chwilo jesteś bezpieczny, ale to suka i spróbuje pewnie jeszcze raz.

– No chyba że ją uprzedzimy! Wybaczę ci, jeśli mi w czymś pomożesz.

*

– Pani Moniko, o co mu chodziło?

Musiałem zadać to pytanie, bo obrót spraw, delikatnie mówiąc, mnie zaskoczył.

– Nie zastanawiałam się nad tym wcześniej, ale chyba przyjął to zbyt łagodnie. A może nawet nie łagodnie, ale jakoś tak szybko przeszedł z zaskoczenia w zemstę.

– W czym miała pani mu pomóc?

– Piotr chciał odejść od żony i zabrać wszystkie diamenty. Przekazał mi kod do sejfu i poprosił, żebym to ja je zabrała. Ucieszyło mnie to, bo chciałam jej – Monika wskazała na Łukawską – utrzyć nosa. Byłam wściekła, że nie wywiązała się z umowy. Piotr umożliwił mi dostanie się do sejfu, a sam, żeby zapewnić sobie alibi, miał zabrać żonę do kina.

Zaremba zamilkła, a Łukawska przyglądała się jej, nie wydając z siebie ani słowa. To była najtrudniejsza chwila śledztwa. Przynajmniej dla mnie. Nienawidzę milczących kobiet. Już miałem zadać pytanie, by rozbić ten ciężki, sentymentalny klimat, w którym nic się z niczym nie łączyło, ale testerka wierności wróciła do swojej opowieści. Tym razem zwróciła się bezpośrednio do żony denata.

– Wrócilibyście do domu, zgłosilibyście kradzież, sprawcy nigdy by nie znaleziono, a Piotr wystąpiłby o rozwód.

– Planowaliście wspólną przyszłość? – wydukała Łukawska.

– Nie, mówiłam przecież, dla mnie to było tylko zlecenie. Jedno z wielu.

Tylko zlecenie, a jednak zgodziła się na taki układ? Opróżnienie sejfu nie wchodzi przecież w zakres sprawdzania wierności.

– Nie bała się pani, że zostanie złapana na gorącym uczynku? Miała pani jakieś doświadczenia z sejfami? – starałem się sprowokować testerkę.

Była dobra. Nie okazywała uczuć, a nawet jeśli coś udawało mi się zauważyć, miałem wrażenie, że jest to celowe. Grała, byłem tego pewien.

– Gra warta była świeczki. W zamian za pomoc miałam otrzymać dwa kamienie.

*

Moniuszko poruszała się sprawnie. Chciała mieć już to za sobą.

Piotr powiedział jej, gdzie dokładnie znajduje się sejf, jak wyłączyć alarm i jaka kombinacja cyfr doprowadzi ją do szkatułki z diamentami.

Wyobrażenie miny Honoraty Łukawskiej, kiedy zobaczy pusty sejf, dodawało jej skrzydeł.

– Ostatnia cyfra i koniec.

Wyjąca syrena zabrzmiała dokładnie w tej samej chwili, kiedy oczom Moniuszko ukazało się wnętrze sejfu.

– Suka – jęknęła, bo sejf był pusty.

Nie dość, że nie utarła nosa wrednej babie, to sama miała teraz duży problem. Musiała jak najszybciej wyjechać z Łodzi.

*

– Gdzie schowała pani diamenty?

– Przecież mówię, że ich nie było. Ona je zabrała – Monika Zaremba wskazała na Łukawską.

Ona, ona, ona. Męczyły mnie te wzajemnie oskarżenia. Najchętniej

potraktowałbym obie baby paralizatorem. Może w obliczu zagrożenia i bólu któraś z nich powiedziała by wreszcie prawdę. Kiedy świadek lub podejrzany zaczyna rozmowę z policją od kłamstw, trudno jest mu nagle wyznać prawdę. A nawet jeśli ją wyzna, nam, gliniarzom, trudno jest w nią uwierzyć.

Być może Zaremba tym razem mnie nie zwodziła. Nie znaleziono diamentów ani przy niej, ani w domu czy w ogrodzie, co mogło świadczyć, że rzeczywiście nie znalazła ich w sejfie. Gdyby ukradła, zabrałaby je ze sobą, a w chwili zagrożenia wyrzuciłaby je gdzieś na bok, by pozbyć się dowodów. Zaczynałem skłaniać się ku wersji, że diamentów nie było w sejfie.

– Przeceniasz mnie. Po co miałabym cię wrabiać w kradzież? Miałaś być moim świadkiem na sprawie rozwodowej! Nie pomyślałaś ani przez chwilę, że zrobił to on? Byłam w Berlinie, a on o tym wiedział. Dlaczego sprzedał ci bajeczkę, że zabierze mnie do kina?

– Kiedy była pani w Berlinie? – wróciłem do tematu alibi.

Żona denata cały czas mi śmierdziała. Dosłownie i w przenośni. Niby była na konferencji, a jednocześnie spotkała się z testerką, obejrzała zdjęcia i... Czyżby zabiła swojego męża?

– Mówiłam już, wyjechałam w poniedziałek.

– Jak w poniedziałek, jak we wtorek się spotkałyśmy?! – zaprotestowała Zaremba. – Przyniosłam jej zdjęcia – spojrzała na mnie z satysfakcją godną prymuski skarżącej nauczycielowi, że koleżanka z ławki obok korzysta ze ściagi.

– Pojechałam w poniedziałek, we wtorek musiałam pojawić się na chwilę w Łodzi, ale przed wieczorem wróciłam do Berlina...

– Podziwiam mobilność. Na pewno logowania pani komórki potwierdzą trasę, którą pani pokonywała – raczyłem zauważyć jakby od niechcenia.

To był strzał w dziesiątkę. Łukawska zakryła twarz dłońmi i wyznała:

– No dobra, w Berlinie byłam tylko w poniedziałek. Mężowi powiedziałam, że wracam dopiero w środę wieczorem. Chciałam zostawić was samych sobie, umożliwić Piotrowi odpłynięcie... Dla mnie priorytetem był rozwód.

*

Tylko dwadzieścia roboczo minut dzieliło mnie od urlopu i powoli

traciłem nadzieję, ale z pomocą przyszedł mi Wachowiak, a właściwie SMS przez niego wysłany: „Jeden z facetów rozpoznał babę ze zdjęcia. Zagadnęła go w barze, a potem spotkali się kilka razy. Przyznał, że być może w chwili miłosnego uniesienia mógł odpowiedzieć jej na pytanie o ulubione liczby”.

Bingo. Mogłem kończyć tę babską farsę. Byłem dumny z siebie, bo intuicja mnie nie zawiodła. Od początku obie baby wydawały mi się podejrzane, pewnie dlatego, że obie próbowały ukryć swoje tajemnice.

Łukawska wstydyła się tego, że zaplanowała pozbycie się męża, że być może plan się nie udał, ale trup męża rozwiązywał jej wszystkie problemy. Przyciśnięta do muru wyznała, że wtorek i środę spędziła w łódzkim Grand Hotelu. Rano spotkała się tam ze swoją terapeutką. Rozmawiały o rozwodzie, życiu w pojedynkę i sile kobiet. Następnie w hotelowej restauracji zjadły razem obiad, widziało ich przynajmniej kilkanaście osób. Potem Honorata wsiadła do swojego samochodu i wróciła do domu, dokładnie wtedy, kiedy na miejscu zdarzenia znalazł się radiowóz.

A testerka wierności... No cóż. Ją zostawiłem sobie na deser.

– Pani Moniko, słyszała pani o *modus operandi*?

Spojrzała na mnie jak na wariata. Chyba spodziewała się, że dalej będę pastwił się nad jej zleceniodawczynią.

– To charakterystyczny i powtarzalny sposób zachowania się sprawcy, w którym odbijają się jego indywidualne cechy. To on panią zdemaskował. Okradała pani zamożnych mężczyzn z diamentów.

– Nie okradłam Piotra! – odpowiedziała kategorycznie.

Z tym nie zamierzałem polemizować. Dobra była, to musiałem przyznać. Powinna pracować w *public relations*, zwłaszcza kryzysowym.

– Tym razem ktoś pokrzyżował złodziejskie plany, ale... nie jest pani bez winy. Są inni mężczyźni, ofiary zaplanowanej intrygi i pani wdzięków. Zapraszam – wskazałem testerce drzwi wyjściowe, gdzie czekał Wachowiak. – Kolega zaprowadzi panią na komendę. Czekają tam na panią, hm, kochankowie, którzy rozpoznali panią na zdjęciu.

Przez chwilę przyglądała mi się groźnie, jakby miała nadzieję, że ustąpię. Potem uśmiechnęła się zalotnie. Hołdując zasadzie „przezorny zawsze ubezpieczony” położyłem rękę na paralizatorze. Dopiero wtedy przestała hipnotyzować mnie wzrokiem. Spuściła głowę i dała się wyprowadzić policjantowi.

Jedna baba z wozu, koniom lżej. Zostałem w pokoju sam

z Łukawską.

– Miała pani wycucie, ukrywając te diamenty.

– Wycucie? Pan raczy żartować. Nie ukryłam ich. Cholera jasna, podejrzewam, że zrobił to Piotr. On uwielbiał bawić się ludźmi. Kochał emocje, zagadki i tajemnice. Gwarantuję panu, nawet gdyby się zakochał w tej testerce, nie zostawiłby jej sam na sam diamentami. Nie ufał ludziom. Wykiwał i ją, i mnie...

Łukawska wybuchła płaczem. Kilka godzin po śmierci męża uzewnętrzniła prawdziwe emocje. Nie wnikałem, z jakiego powodu. Być może zaczęło schodzić z niej całe napięcie. Może uświadomiła sobie, że została sama. A może zdała sobie sprawę z tego, że zmarły mąż zaserwował jej najbardziej emocjonującą rozrywkę, której nigdy nie zapomni. Do końca życia będzie szukała małego woreczka wypełnionego diamentami.

*

Wychodziłem z domu Łukawskich z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku. Ująłem *femme fatale*. Kobieta, do rąk której przyklejały się diamenty. Hybrydę, która nie miała prawa istnieć. Wytrawnego myśliwego i złodziejkę, która mogłaby działać tak bez końca... gdyby nie trafiła na tak inteligentnego policjanta jak ja. Byle łepiek z komisariatu nie wychwyciłby podobieństw, ba, w ogóle by ich nie szukał. Nie zastanawiałby się nad *modus operandi*, tylko zamykał sprawy i brał następne.

Do rozpoczęcia urlopu zostało mi dziesięć pełnych roboczominut. Zebrałem zabawki i udałem się do wyjścia z myślą, że teraz mogę dać Wachowiakowi wolną rękę, by w swoim tempie dochodził, kto pozbawił życia Łukawskiego.

Kiedy wyszedłem na ulicę, podbiegła do mnie sąsiadka, właścicielka srającego psa.

– Panie komisarzu! – zawołała.

– Czego?

– Chciałam coś wniesić do sprawy.

– Teraz?

– Koniecznie.

– No dobrze – rozejrzałem się z zamiarem zrzucenia obowiązku rozmowy z kobietą na innego funkcjonariusza. W zasięgu mojego

wzroku nie było jednak nikogo, kogo mógłbym poprosić o spisanie zeznań. – Dobra – zerknąłem na zegarek – dziewięć roboczo minut. Pani mówi. Byle szybko.

– Między Łukawskimi źle się układało.

– Już pani o tym wspominała.

– On ją zdradzał... Miał romans z moją córką. Pół roku zwodził ją, obiecywał, że odejdzie od żony. W poniedziałek rano rozmawiałam z panią Honoratą. Skarżyła się, że mąż ma kochankę. Myślałam, że mówi o mojej córce, ale nie! Opowiadała o jakiejś blondynce, z którą umawia się na seks w hotelu Tobacco. Wyjeżdżała do Berlina i żałowała, że nie może tam pójść i przekonać się na własne oczy. Poszłam więc ja. To było okropne. On tam naprawdę przyszedł. Zniknął w pokoju hotelowym. Kilka minut później usłyszałam jęczenie tej kobiety. Pani Honorata miała rację. Zdradzał ją i zdradzał moją córkę!

– Rozmawiała pani z nim?

– Tak, dzisiaj rano. Chciałam, żeby zostawił moją córkę w spokoju. Odpowiedział, że nie może, bo ją kocha. I żonę też, i tę nową też. Przestałam nad sobą panować. Wstrętny patafian. Bezczelnie patrzył mi w oczy, deklarując, że po prostu kocha kobiety i nie ma nic przeciwko posiadaniu haremu. Uderzyłam go wazonem, usiadłam na nim i zaczęłam dusić. Potem wróciłam do domu, żeby wszystko sobie ułożyć w głowie. Ta blondynka spadła mi z nieba. Kiedy zobaczyłam, że wchodzi na posesję Łukawskich, zadzwoniłam po was...

*

– W końcu masz urlop!

Moja osobista żona przywitała mnie całusem i szerokim uśmiechem. Być może się cieszyła, ale ja ciągle słyszałem ten sam niezadowolony ton, którym domagała się wynoszenia śmieci, sprzątanania skarpetek i opuszczania kłapy w kiblu.

– I co ty zrobisz z czternastoma dniami wolnego?

– Nie wiem – wzruszyłem ramionami. Gdybym nie znał jej od dwudziestu lat, przysiągłbym, że się o mnie martwi. – Już ty mi pewnie coś wymyślisz...

– Oczywiście, mam już nawet kilka pomysłów – oblizwała wargi i odgarnęła z czoła grzywkę. – Mógłbyś zacząć od pomalowania

sypialni i zamontowania nowego karnisza. Pojedziemy też do Manufaktury.

– Ten sam *modus operandi* – zażartowałem, chociaż chciało mi się płakać.

– Co?

– Nie, nic. Testerki, nie testerki. Wszystkie baby są takie same. Najpierw udają, że są słodkie, a później...

Remigiusz Mróz

PRZEZ CIEMNE OKULARY

Myśląc o SiNKu.

Schodziliśmy Opole wzdłuż i wszerz, prawda, przyjacielu?

I

Czy to mogła być ona? Po ośmiu latach, od kiedy znikła bez śladu? Tak po prostu wróciła do jego życia, jak rykoszet dawno wystrzelonego pocisku?

Szymon Pajak obawiał się, że wszystkie te pytania są retoryczne. Jego narzeczona się odnalazła. Pojawiła się znikąd, nagle niszcząc spokój ducha, nad którym tak długo pracował. W jednej chwili zniweczyła wszystkie plany na przyszłość, ożywiła demony przeszłości i sprawiła, że teraźniejszość przestała mieć znaczenie.

Jak zawsze była w centrum uwagi. Ledwo wróciła, a oczy wszystkich skierowały się w jej stronę. Była jak gwiazda na czerwonym dywanie, nieustannie oświetlana przez strzelające z każdej strony flesze. Bez kompromisu skradła zainteresowanie całego miasta i sprawiła, że w Opolu tego dnia nie mówiło się o nikim ani niczym innym.

Jej zaginięcie przed ośmiu laty pozostało nierozwiązaną zagadką. Nikt nie wiedział, co się wtedy stało, choć wszyscy szukali odpowiedzi. Przede wszystkim on. Od ślubu dzieliły ich raptem tygodnie, a potem, w jednej chwili, wszystko się zmieniło.

Teraz Pajak siedział w kawiarni, mieszczącej się w budynku miejskiej biblioteki. Gmach był niemal całkowicie przeszklony, dzięki czemu z kafejki widać było plac Wolności i stare koryto Odry, Młynówkę. W oddali przecinał ją zielony mostek, szeroki akurat na tyle, by minęły się na nim dwie osoby. Znajdował się tu od dziewiętnastego wieku i oficjalnie nazywano go mostem Groszowym, bo niegdyś za przejście rzekomo pobierano symboliczny grosz. Inna nazwa brzmiała most

Zakochanych.

Szymon doskonale pamiętał, jak oświadczył się tam Annie. Był ciepły wrześniowy wieczór, budynki nad wodą oświetlała feeria barw. Niektórzy nazywali tę część Młynówki Opolską Wenecją – i mieli rację. Okolice była urokliwa, a zadbane elewacje licznych kamieniczek dotykały samej tafli kanału. Nie było wielu lepszych miejsc, by poprosić dziewczynę o rękę. Nie było też wielu wieczorów tamtej jesieni, kiedy pogoda tak dopisywała.

Teraz było zupełnie inaczej. Deszcz zdawał się padać bez końca, krople ściekały powoli po przeszklonej ścianie i nawet druga z rzędu kawa nie pomagała – Pająk czuł się, jakby oberwał obuchem.

Dni powszednie zawsze zaczynał tutaj, w Kafce. Uważał, że połączenie miejskiej biblioteki i kawiarni to idealny pomysł. Idąc do biura podróży na Krakowskiej, w którym pracował, zawsze wstępował tu choć na chwilę. Czasem brał samą kawę, a kiedy chciał poprawić sobie humor, decydował się też na ciastko. Dziś jednak nie było sensu nawet próbować.

Anna wróciła. Jej zdjęcie było tuż przed nim, na głównej stronie lokalnej gazety „Nowa Trybuna Opolska”. Uśmiechała się z niego przyjaźnie, jak niewinna, delikatna dziewczyna. Anioł.

Szymon uniósł dłoń i uderzył w stolik. Kilku bywalców Kafki spojrzało w jego kierunku. Wiedzieli, że był zaręczony z dziewczyną, która wreszcie się odnalazła? Niewykluczone. Liczba ludności przekraczająca sto pięćdziesiąt tysięcy była względnie duża tylko na papierze. W rzeczywistości Pająk miał wrażenie, że w Opolu każdy zna każdego. Gdzie nie poszedł, napotykał znajomą twarz, przynajmniej w centrum.

Przewrócił stronę NTO, niemal rozszarpując papier. Poczł przyjemny zapach farby drukarskiej, napił się kawy. Nabral głęboko tchu, a potem jednak zdecydował się na ciastko. Nie mogło pomóc, ale właściwie nie mogło także zaszkodzić. Jeśli miał kiedykolwiek nie przejmować się pustymi kaloriami, to właśnie teraz.

W samym artykule zdjęcie było nieco mniej korzystne. Pająk wiedział, że zrobił je kuzyn Anny podczas wakacji w Hurghadzie w 2002 roku. Nie byli jeszcze razem, ale doskonale się znali. Na fotografii Anna była zbyt mocno opalona, przywozila na myśl jedną z tych dziewczyn, które więcej czasu spędzają w solarium niż na świeżym powietrzu. Jej wizerunek anioła z pierwszej strony mocno na tym ucierpiał.

Szymon potrząsnął głową. Nie miało to żadnego znaczenia.

Tekst był obszerny, na cztery strony. Rzadko zdarzało się, by w dobie t!;dr artykuły prasowe zajmowały aż tyle miejsca, szczególnie w lokalnym dzienniku. Teraz było to jednak całkowicie uzasadnione.

Pająk przeczytał pogrubiony nagłówek:

MAKABRYCZNE ODKRYCIE W KOMINIE ELEKTROCIEPŁOWNI

Od kiedy tylko rano przeczytał o tym na portalu opole24.pl, próbował sobie niczego nie wyobrażać. Nie udawało mu się jednak utrzymać wyobraźni na wodzy. Mimowolnie starał się znaleźć odpowiedź na pytanie, co dzieje się z ciałem poddanym tak wysokiej temperaturze, jaka musiała panować w kominie.

Osiem lat. Boże...

– Bezglutenowe ciasto pomarańczowo-czekoladowe. Raz.

Podniósł wzrok i zobaczył kelnerkę. Nie, nie kelnerkę, baristkę. W Kafce należało podejść po swoje zamówienie, mimo to dziewczyna stała przy stoliku, posyłając mu blade uśmiech.

– Mamy dziś fit dzień – oznajmiła.

Zabrzmiało to jak nieudany, wisielczy dowcip.

– Słucham?

– Jest jeszcze szarlotka z daktylami, żurawiną, rodzynkami i cukrem trzcinowym na mące orkiszowej.

Albo nie wiedziała, co łączyło go z kobietą, która dziś była na ustach wszystkich, albo wręcz przeciwnie, doskonale zdawała sobie z tego sprawę i próbowała pokazać mu, że wszystko jest w porządku. Dzień jak co dzień. Tyle że fit.

– Dzień... dziękuję, wystarczy mi to ciasto.

Postawiła przed nim talerzyk, skinęła przyjaźnie głową, a potem się oddaliła. Pająk odkroił kawałek, ale nie włożył go do ust. Wbił widelczyk w pozostałą część, po czym wrócił do lektury artykułu.

„Wedle informacji, do których udało się dotrzeć reporterom NTO, w kominie elektrociepłowni odnaleziono ludzkie szczątki należące do kobiety. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że udało się je zidentyfikować”.

Nieoficjalnie? Zdjęcie na głównej stronie sugerowało raczej, że rzecznicy policji i prokuratury nie mają już czego szukać w mediach.

Wszystko zostało załatwione.

Szymon zmarszczył czoło, zastanawiając się, w jaki sposób tak szybko ustalono tożsamość. Z ciała z pewnością niewiele zostało. Może zresztą w ogóle nie powinien myśleć o ciele. Może dziennikarz był wyjątkowo precyzyjny, używając określenia „szczątki”.

Pająk czytał dalej.

„Kobieta zaginęła bez śladu osiem lat temu i od tamtej pory rodzina, przyjaciele ani ówczesny narzeczony nie mieli od niej żadnego sygnału życia. Nie zostawiła listu, nic nie wskazywało na to, by zamierzała uciec. Pewnego ranka wyszła z domu, rzekomo po gazetę, i nigdy nie wróciła”.

Nie „rzekomo”. Szymon pamiętał tamten dzień jak dziś, zresztą wracał do niego myślami niemal co rano przez kilka lat po zaginięciu Anny. To on poprosił ją, by poszła do kiosku po nowy numer „Newsweeka”, choć tak naprawdę obojgu zależało na paczce papierosów. Skończyły im się tuż po śniadaniu.

Pająk zamknął oczy. Pamiętał, że w tamtym roku Robert Kubica wygrał wyścig Formuły 1 jako pierwszy Polak w historii. Piłkarski świat żył tym, że Roger Guerreiro grał w koszulce z orłem na piersi, a w radiu nieprzerwanie słychać było *Jak anioła głos* nowej grupy Feel. Literacką Nagrodę Nobla otrzymał Jean-Marie Gustave Le Clézio, ale dziś mało kto potrafił sobie przypomnieć, dlaczego zwyciężył akurat on, a nie Philip Roth czy Amos Oz.

Szymon doskonale pamiętał tamten pechowy numer „Newsweeka”. Na okładce byli Donald Tusk i Lech Kaczyński. Zajawka artykułu informowała, że dwa lata przed wyborami obydwaj politycy zaczynają już kampanię wyborczą. Kupił sobie tę gazetę później, gdy Anna przez jakiś czas nie wracała. Uznał, że w najgorszym wypadku będą mieli dwa egzemplarze. Pomylił się.

Długo nie mógł poradzić sobie ze świadomością, że to on zawinił. To on od niechcienia rzucił, by poszła do kiosku. Od klatki schodowej do punktu prasowego było raptem kilkaset metrów. Co złego mogło się stać?

Zaczął dłubać widelczykiem w cieście. Nigdy nie znalazł odpowiedzi na to pytanie i był przekonany, że na dobre przestał je sobie zadawać. Teraz jednak wróciło, a wraz z nim zapewne odżyją wszystkie emocje, wyrzuty sumienia, stany depresyjne...

Ale może tym razem dowie się, co w istocie się wydarzyło.

Włożył kawałek ciasta do ust i opuścił wzrok na gazetę.

„Szczątki pozostałyby z pewnością nieodkryte jeszcze przez lata, gdyby nie prace konserwatorskie, które wedle naszych informacji odbywają się co dziesięć lat. Osoba, która w nich uczestniczyła, podaje, iż na ślady natrafiono na wysokości około piętnastu metrów”.

Szymon potarł nerwowo czoło. Nie mógł przełknąć nawet tak małego kęsa.

„Nie jest to pierwszy raz, gdy ciało zostaje odnalezione w podobnym miejscu. W marcu tego roku odkryto szczątki w kominie ciepłowni w Zabrze. Głośny był także przypadek, gdy cztery ofiary wydobywano śmigłowcem z Elektrowni Kozienice w województwie mazowieckim”.

Pająk przestał czytać. Zamknął gazetę, a potem obrócił ją, by nie widzieć pierwszej strony. Trwał przez chwilę w bezruchu, wbijając wzrok w okno.

Właściwie nie wiedział, że upływają sekundy, minuty, a w końcu godzina.

Kiedy dzwonek telefonu wyrwał go z marazmu, kawa zupełnie wystygła. Drgnął nerwowo, zaczerpnął tchu i spojrzał na wyświetlacz. Dzwoniła jego matka. Przez chwilę zastanawiał się, czy ma ochotę słuchać wszystkich tych słów pocieszenia, które znał na pamięć. Potem uznał, że rozmowa będzie miała walor terapeutyczny raczej dla niej niż dla niego. Odebrał.

– Szymon, na Boga...

– Widziałem, mam. Widziałem.

– Policja cię szuka.

– Co takiego?

– Byli u nas w domu, ojciec mówi, że u ciebie też. Pojechał do twojego mieszkania, spotkał tam dwóch funkcjonariuszy, kazali mu otworzyć drzwi.

– Jak to? – zdołał wydusić Pająk. – Mieli... mieli nakaz?

– Nie, chyba nie. Nie wpuścił ich, ale zabrali go na komendę. Musisz się tam stawić jak najszybciej.

Wstał, zupełnie zapominając o niezjedzonym ciastku i kawie. Zostawił kilkanaście złotych przy barze, nie wiedział nawet, ile dokładnie.

Nie wiedział też, co go czeka.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA ŚWIADKA

Szymon Pająk, ur. 3 września 1974 roku w Opolu

Nazwa jednostki prowadzącej czynności wyjaśniające:

Komenda Wojewódzka Policji w Opolu

Osoby uczestniczące w czynności:

- podkom. Maciej Dyczewski
- świadek Szymon Pająk

Przebieg czynności będzie utrwalany za pomocą urządzenia rejestrującego obraz i dźwięk, o czym uprzedzono uczestników. Świadek został pouczony o prawie do złożenia wniosku o niezamieszczanie w protokole danych wrażliwych, o odpowiedzialności karnej za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy, prawie do odmowy złożenia zeznań oraz do uchylenia się od odpowiedzi na pytanie.

Treść zeznania:

Ostatni raz zaginioną widziałem dnia 25 sierpnia 2008 roku około godziny siódmej rano. Wyszła do kiosku po gazetę i paczkę papierosów, a potem ślad po niej zaginęła. Przez pierwszych kilka godzin się nie martwiłem. Zakupy zrobiłem sam i uznałem, że poszła się przejść. Byliśmy w trakcie urlopu, ale nigdzie nie pojechaliśmy, oszczędzając na ślub. Staraliśmy się urozmaicać sobie jakoś każdy dzień, od samego rana. Anna czasem zrywała się i szła biegać, pojeździć na rowerze, a czasem po prostu wychodziła na Krakowską na lody i kawę. Staraliśmy się robić wszystko, nawet te najmniejsze rzeczy, spontanicznie, bez planu. Sądziłem, że dzięki temu dni upłyną trochę mniej monotennie.

Jeszcze przed południem zacząłem obdzwaniać znajomych, obawiając się, że coś mogło jej się przydarzyć. Potem wyszedłem z domu i szukałem jej w centrum, na wyspie Bolko, na Zaodrze. Telefonu nie odbierała. Po kilku godzinach wróciłem do domu i dopiero wtedy pomyślałem o tym, żeby zapytać kioskarkę, czy u niego była. Znał nas z widzenia.

Powiedział, że przyszła do jego kiosku rano. Kupiła trzy paczki papierosów i okulary przeciwsłoneczne. Pytałem go kilkakrotnie, czy jest pewien. Potwierdził.

Około siedemnastej uznałem, że coś złego musiało jej się przydarzyć. Poszedłem na komendę przy Powolnego i zgłosiłem zaginięcie. Policjant przyjął zgłoszenie, trwało to może półtorej godziny. Przekazałem zdjęcie Anny, a funkcjonariusz wręczył mi zaświadczenie o przyjęciu zgłoszenia i zapewnił, że jeszcze dziś dane narzeczonej zostaną wprowadzone do systemu.

Jak się później okazało, tak nie było. Znalazły się w nim dopiero dzień później, choć nie wiem dlaczego. Nigdy tej sprawy nie wyjaśniono, tak jak nigdy nie ustalono, co stało się z Anną ani dlaczego zrobiła takie, a nie inne zakupy.

Później dowiedziałem się, że zaginięcie zakwalifikowano do drugiej kategorii, w której

znajdują się przypadki osób niezadowolonych ze swojej sytuacji życiowej, zamierzających ją zmienić, lub takich, które opuszczają ostatnie miejsce pobytu z własnej woli, szczególnie zabierając ze sobą rzeczy osobiste. Zlecono oznaczenie kodu genetycznego materiału biologicznego pochodzącego od matki i ojca Anny i zarządzono publikację wizerunku narzeczonej. Na tym się skończyło. Policjanci nie zaczęli nawet pytać jej znajomych o to, co mogło się z nią stać. Wiem, bo dzwoniłem i sprawdzałem, czy ktoś rozmawiał z policją.

Potem zarzucano mi, że tymi telefonami próbowałem wyrzucić na kimś presję. To nieprawda.

Przez kilka dni skupiałem się głównie na tym, by zmieniono kwalifikację na grupę pierwszą, ale policjanci twierdzili, że nic nie wskazuje na to, by doszło do przestępstwa. Moja narzeczonea znikła bez śladu, nie zabierając ze sobą nic poza trzema paczkami papierosów i okularami przeciwsłonecznymi, a oni twierdzili, że wróci. Polecono mi skontaktować się z ITAKĄ, co też zrobiłem. Po podjętej przez nich interwencji sprawdzono billingi i poproszono operatora o zlokalizowanie telefonu.

Ustalono, że w ostatnich dniach przed zniknięciem Anna wykonywała regularne telefony pod numer pre-paid. Kiedy został sprawdzony, od pewnego czasu był już nieaktywny. Nigdy nie ustalono, do kogo należał ani w jakim celu narzeczonea kontaktowała się z jego właścicielem.

Nigdy nie dano mi żadnych odpowiedzi. Nie mam nic więcej do dodania.

Omówienie skreśleń oraz poprawek i uzupełnień poczynionych w protokole: brak.

Oświadczenia, żądania i zarzuty zgłoszone przez osoby uczestniczące w czynności co do treści protokołu oraz oświadczenie policjanta prowadzącego czynność: brak.

Protokół osobiście odczytałem:

Szymon Pająk

(podpis osoby przesłuchiwanej)

podkom. Maciej Dyczewski

(podpis przeprowadzającego przesłuchanie)

III

Ojciec czekał na niego przed komendą, nerwowo paląc papierosa. Pająk zmrużył oczy, przyglądając mu się, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Starszy mężczyzna ostentacyjnie zignorował jego wzrok.

– I? – zapytał. – Postawili ci zarzuty?

Szymon uniósł brwi.

– Dlaczego mieliby to zrobić?

– Nie wiem. Sprawiali wrażenie, jakby mieli taki zamiar.

Pająk powiódł wzrokiem za unoszącym się dymem, który rozpląnął się w powietrzu.

– Ostatnim razem widziałem cię z papierosem osiem lat temu – mruknął.

– I obyś więcej mnie już nie widział.

Od pewnego czasu ojciec sięgał po papierosa tylko, gdy świat mu się walił. Pająk poczęstował się z jego paczki i głęboko się zaciągnął. Stali naprzeciw obskurnego, starego muru, za którym widać było metalową konstrukcję stacji telefonii komórkowej. Stare latarnie przy drodze były znacznie niższe, a między nimi na chodniku rozciągała się nierówna, zaniedbana kostka brukowa. Szymon poczuł, że miasto z nim współgra. Stałe elementy krajobrazu, na które na co dzień nie zwracał uwagi, teraz zdawały się wpasowywać w dopadające go przygnębienie.

Zaciągnął się, nie odrywając wzroku od metalowej wieży ponad murem.

– Powiedzieli ci coś? – spytał ojciec.

– Nie. Tylko słuchali.

– Mnie musieli zdradzić to i owo.

Pająk spojrzał na niego zaskoczony. Być może nie powinien się dziwić, ojciec pracował kiedyś w remizie przy Budowlanych. Był szeregowym pracownikiem, ale może jakaś forma solidarności mimo wszystko funkcjonowała między policją a strażą pożarną.

– Nie dawałem im spokoju, drążyłem.

– I czego się dowiedziałeś?

– Że ten komin stał nieużywany od dziewięćdziesiątego pierwszego. Zamknął go Kucharzewski, pamiętasz go?

– Nie.

– Oczywiście, że nie... Wy kojarzycie tylko Pogana, a pierwszy prezydent w pełni wolnego, niepeerelowskiego Opoła to już...

– Daj spokój.

– Co?

– To nie pora ani miejsce na rozważanie samorządowej historii.

– Zawsze jest na to pora. Tym powinniśmy się interesować, a nie wielką polityką. Wiesz, jak jest w Stanach?

Szymon oderwał wzrok od wieży i pokiwał głową.

– Tam interesuje cię najbardziej to, co na twoim podwórku. Znasz doskonale swojego kongresmena, może jeszcze kilku z przyległych

okręgów... Ale ponadto? Nie obchodzi cię nic więcej, bo i dlaczego miałoby?

Pająk obrócił się do ojca i posłał mu stanowcze spojrzenie. Od kilku lat dostrzegał, że naprawdę się starzeje. Tracił wątek, rozwodził się nad kwestiami, które zdawał się wyciągać z kapelusza, nie potrafił się skupić. Teraz, gdy emocje eksplodowały nagle jak wygasły wulkan, powinien spodziewać się pogorszenia jego stanu.

– Co ci powiedzieli policjanci?

– Że komin był nieczynny.

– Tak, ale... co więcej?

– Że gdyby był czynny, nie byłoby czego ścierać ze ścian. A tak, znaleźli zmumifikowane ciało.

Pająk się wzdrygnął. Nieraz widział w mediach takie rzeczy. Pomijając egipskie mumie, które były zbyt stare, by robiły na nim wrażenie, znał wiele świeżych spraw. Jakiś czas temu oglądał relację z odnalezienia zmumifikowanych zwłok na pewnym jachcie. Żeglarz znikł w 2009 roku gdzieś na filipińskich wodach przybrzeżnych, a warunki środowiskowe sprawiły, że jego ciało uległo mumifikacji. Widok był przerażający. Twarz przypominała makabryczną, antyczną maskę z wyjątkowo odważnej tragikomedii. Szymon nie chciał nawet myśleć o tym, jak czas zniekształcił oblicze Anny.

– Rzekomo cały ten system nie jest zupełnie szczelny – dodał ojciec.

Pająk podziękował mu w duchu. Musiał natychmiast zająć czymś myśli. Czymkolwiek.

– To znaczy?

– Ciepłe, suche powietrze dostawało się do tamtego komina. Dlatego stało się tak, jak się stało. Mówili, że mieli problem z wyciągnięciem ciała.

To tyle, jeśli chodzi o skupienie się na innym temacie. Ale właściwie na co liczył? Że zaczną rozmawiać o systemie przewodzenia ciepła w elektrociepłowni?

– Nie dało się nawet zgiąć ręki. Zakleszczyło im się w pewnym momencie.

– Tato...

Ojciec potrząsnął głową, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, o kim mówi.

– Przepraszam – rzucił. – Jestem trochę zamroczony.

– Wziąłeś rano leki?

– Nie... Nie wiem. Dużo się działo.

– Wracaj do domu. Matka na pewno już odchodzi od zmysłów – odparł Pająk, wskazując mu kierunek. – Telefonu pewnie nie wzięłaś?

Nie musiał odpowiadać. Niepisaną tradycją było, że ojciec „zapominał” zabrać ze sobą komórkę, ilekroć wychodził z domu. Szymon przypuszczał, że to nie przypadek. Robił to celowo, nie chcąc czuć się, jakby był na smyczy.

– Może wpadniesz? – podsunął ojciec. – Mama ugotuje ci...

– Nie mogę teraz.

– A co zamierzasz?

Wzruszył ramionami, nie potrafiąc odpowiedzieć. Wiedział jednak, że cokolwiek zrobi, nie będzie miało to nic wspólnego z siedzeniem przy stole i przyglądaniem się sprawie pod każdym możliwym kątem. Miał dosyć bierności. Chciał działać.

Nie, nie chciał. Musiał. Wiedział, że w przeciwnym wypadku straci zmysły.

– Mam kilka spraw, którymi muszę się zająć.

– W porządku. Zadzwoń później.

Ojciec podniósł rękę na pożegnanie, a potem oddalił się, ciągnąc za sobą smużkę dymu. Trudno było powiedzieć, czy naprawdę liczył na to, że Szymon zadzwoni. Z pewnością nie powinien, nauczony doświadczeniem. Musiał zdawać sobie sprawę, że jego syn wpadnie w tę samą głęboką studnię, w której znajdował się przez pierwsze lata po zniknięciu Anny. Rozbrzmiewało tam jedynie echo jego własnego głosu, żadnego innego do siebie nie dopuszczał.

Jakiś czas później zaczął codziennie rano brać tabletkę z paroksetyną. Lekarz twierdził, że po czternastu dniach depresja stopniowo zacznie znikać. Może miał rację, może nie, trudno było teraz sobie przypomnieć. Pająk pamiętał jednak doskonale skutki uboczne. Pocił się, w ustach mu zasychało, miewał biegunki i snuł się jak cień, wciąż senny.

Doktor kazał mu się zgłosić, gdyby objawy nie ustępowały po kilku dniach, ale Szymon nie miał zamiaru stosować się do tej rady. Przyjmował paroksetynę, mimo niepożądanych skutków, wychodząc z założenia, że inaczej, prędzej czy później, by ze sobą skończył.

Jeden z profesjonalistów, z którymi rozmawiał, twierdził, że kiedyś będzie wspominał to jako swoją największą słabość. Nie powiedział tego wprost, ale Szymon wiedział, jak brzmiałby przekaz, gdyby to zrobił: patrząc wstecz, zobaczysz małego, żałosnego człowieczka, który chciał się zabić. I będzie ci za niego wstyd.

Nie było. Nawet dzisiaj.

Rozumiał dawnego siebie bez trudu. Rozumiał człowieka, który przez osiem lat żył ze świadomością tego, że gdyby sam poszedł tamtego dnia po gazetę i fajki, nic złego by się nie zdarzyło.

Nigdy nie zakładał, że Anna mogłaby uciec. Nie przemawiały do niego absurdalne tezy o tym, że kupno okularów sugeruje, że chciała się ukryć. Owszem, początkowo zakup wydawał się zastanawiający, ale potem Pająk doszedł do wniosku, że okulary po prostu wpadły jej w oko. Zresztą były tanie jak barszcz. A trzy paczki papierosów? Nic dziwnego, palili wtedy jakby świat miał się skończyć. Zresztą wszystko robili w taki sposób.

– Synu?

Szymon potrząsnął głową. Był gotów przysiąc, że ojciec się oddalił.

– Nie szedłeś... Nie miałeś iść do domu?

– Miałem.

– Więc co...

– Odszedłem może kilkadziesiąt metrów, odwróciłem się, a ty dalej stałeś jak słup soli, patrząc na tę wieżę.

Pająk uświadomił sobie, że rzeczywiście tak było. Odpłynął myślami. Zapragnął znów zaczynać dzień od tabletki, która przez tak długi czas przynosiła mu ukojenie, przytępiała wyrzuty sumienia i sprawiła, że po jakimś czasie znów chciało mu się żyć.

– To już przeszłość, Szymon.

– Wiem.

– Nic się nie zmieniło przez to, że ją odnaleźli.

Pająk spojrział na ojca. Miał wrażenie, że w okamgnieniu zamienili się rolami i znaleźli na miejscach, które powinni zajmować. Ojciec nie miał już pierwszych objawów demencji, a on był po prostu zagubionym dzieciakiem. Tak to powinno wyglądać. I tak wyglądało przez lata, ale nie mogło przecież być tak zawsze. Naturalna kolej rzeczy.

– Nie wiem, co robić, tato.

– Złożyłeś zeznania, oni to wszystko podsumują, a potem zaczną pracować.

W jakiś sposób te komunały podziały na niego krzepiąco. Może chodziło o to, że ojciec tworzył złudne poczucie kontroli. Jakby na świecie rzeczywiście coś od niego zależało, jakby mógł wpływać na innych.

– Może pojedę do tej elektrociepłowni?

– Po co?

Wzruszył ramionami.

– Chciałbym tam być.

– Już jej tam nie ma, synu. Przewieźli ją pewnie prosto do zakładu medycyny sądowej.

– A identyfikacja?

– Jej rodzice już potwierdzili tożsamość.

– Jak? Skąd oni wszyscy tak szybko wiedzieli, że to ona?

– Znalezli te okulary.

Pająk przełknął ślinę. Uzmysłował sobie, że ojciec musiał rozmawiać z rodzicami Anny. Może zadzwonili do niego od razu, utrzymywali w końcu bardzo bliskie kontakty, wspierali się nawzajem. Może niedoszli teściowie chcieli wyzalić się jego rodzicom?

Mógł sobie wyobrazić tę rozmowę. Niemal słyszał ich trzęsące się, zapłakane głosy. Mówili, że nie mogli rozpoznać córki, twarz była zbyt zdeformowana, nie przypominała nawet ludzkiego oblicza. Dopiero badanie DNA przesądzi sprawę.

Szymon wyciągnął rękę do ojca.

– Poczęstujesz jeszcze jednym?

Bez słowa dał mu całą paczkę. Pająk zapalił.

– Jak na podstawie samych okularów mogli stwierdzić, że to ona?

– Nie wiem.

– To chyba zbyt pochopne. Badanie DNA trochę trwa. Z tego, co słyszałem, jakieś dwa tygodnie, jeśli sprawa jest nagląca. Ta nie jest, to sprawa sprzed ośmiu lat. W laboratoriach mają inne rzeczy, którymi muszą się zajmować.

– Słusznie.

– Więc o co chodzi? To nie były charakterystyczne okulary, mam je w domu.

– Co takiego?

– Kupiłem taką samą parę w tamtym kiosku.

– Synu...

Ojciec załamałby ręce, gdyby w porę nie uświadomił sobie, że jest już o wiele za późno, by mówić mu, że to niezbyt dobry pomysł.

– Kiedy je kupiłeś?

– Kilka tygodni po tym, jak zniknęła.

– Masz je jeszcze?

Skinał głową.

– Na Boga! Dlaczego? Po co ci one?

Chciał odpowiedzieć, że były dla niego relikwią, ale w porę ugryzł się

w język. Sam długo nie wiedział, w jakim celu je trzymał, w dodatku na widoku. Chował je tylko, gdy ktoś przychodził. Kiedy był sam, kładł je na komodzie, tak by były widoczne nawet z salonu. Dlaczego? Bo stanowiły gwarancję. Gwarancję tego, że jeśli zapomni, wystarczy, że na nie spojrzy.

Wrócił do domu z myślą, że teraz może je schować na dobre, mimo że nikt nie miał go w najbliższym czasie odwiedzić. W jakiś sposób domknie to całą sprawę. Może teraz nie musi już tak zapalczywie dbać o to, by nigdy nie zapomnieć?

Wszedł do przedpokoju, starając się nie patrzeć na komodę. W końcu się przemógł. Podjął decyzję.

Sięgnął po okulary, ale komoda była pusta.

IV

Musiało istnieć logiczne wytłumaczenie. Musiało.

Pająk powtarzał to sobie już któryś raz, ale wciąż go to nie przekonywało. Szukał okularów wszędzie, nawet w najbardziej absurdalnych miejscach, jakby istniała choćby hipotetyczna możliwość, że gdzieś je schował, a potem dopadła go amnezja. Wszystko nadaremno. Nie było po nich śladu. Przynajmniej w jego mieszkaniu.

Logika podpowiadała, że szukać należało ich w jednym z tych foliowych worków, w których trzymano materiał dowodowy.

To jego parę odnaleziono w kominie. Nie miał co do tego wątpliwości.

Szymon trzęsącą się ręką otworzył drzwiczki lodówki. Przejrzał nawet to miejsce, co uświadomiło mu tylko, jak bardzo jest zdesperowany. Sięgnął po butelkę piwa, otworzył ją o blat, a potem usiadł na fotelu.

Pociągnął kilka łyków z nadzieją, że choć trochę się uspokoi. Nie pomogło.

Sięgnął po telefon i wybrał numer niedoszłej teściowej.

– Szymek? – zapytała. – Wszystko w porządku?

Nic – a przede wszystkim to pytanie – nie było w porządku. Nawet gdyby nie okulary, byłoby co najmniej nie na miejscu. Pająk zachował jednak tę myśl dla siebie.

– Potrzebuję kilku informacji – powiedział.

– Słucham? – odparła skonsternowana kobieta. – Nie brzmisz najlepiej, może byś...

– Naprawdę. Muszę dowiedzieć się tylko paru rzeczy.

– Jakich?

Głos rozmówcy był przenikliwy, niemal analityczny. Zapewne wiedziała, że policja już go przesłuchała. Rodzice Anny wprawdzie nigdy nie rzucili na niego cienia podejrzeń, ale Szymon wiedział, że ta kobieta byłaby do tego zdolna. Jeśli nawet nie obecnie, to kilka lat temu na pewno. Ale wówczas na wszystkich patrzyła, jakby mogli mieć coś wspólnego ze zniknięciem Anny.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Teraz to jego wezwano na komendę.

Uznał, że musi się pospieszyć, zanim rozmówcy zda sobie sprawę z tego, co w istocie może to oznaczać.

– Znaleźli te paczki papierosów? – zapytał. – W kominie?

– Jakie paczki?

– Te, które kupiła razem z okularami.

– Nie. Nie miała przy sobie żadnych rzeczy osobistych.

– Tylko okulary?

– O co chodzi, Szymek?

Właściwie nikt tak do niego mówił. Czuł się nieswojo za każdym razem, gdy niedoszła teściowa używała tego zdrobnienia. W jakiś sposób sprawiało to, że nawet gdyby siedział w najwygodniejszym fotelu, poczułby, że mu niewygodnie. Ponadto w jej ustach zdrobnienie brzmiało protekcjonalnie, może nawet pretensjonalnie.

– Jak ją państwo zidentyfikowali? – odparł, uznając, że nie musi odpowiadać na jej pytania. – Ojciec twierdzi, że...

– Nie sposób było ją rozpoznać.

– Więc...

– Widzieliśmy przecież te okulary na zdjęciach. Policja włączyła je do akt sprawy. I nie mieliśmy wątpliwości, że to one.

– Ale...

– I miała na sobie tę bluzkę.

Tę bluzkę, którą kupiła podczas wakacji w Hurghadzie. Trudno było pomylić ją z jakąkolwiek inną, bo oprócz dużej nazwy miasta, nadrukowane było chałupnicze logo „Hard Rock Cafe”. Knajpa w Hurghadzie rzeczywiście była, ale nie tam nabyła bluzkę – kupiła ją za bezcen na jednym ze straganów.

Musiała należeć do niej. Okulary mogły być jego, choć nadal nie wiedział jak miałyby się tam znaleźć, ale drugiej bluzki nie mieli. A żeby ją zdobyć, ktoś musiałby zapewne wybrać się na jeden

z egipskich targów. Miała charakterystyczny krój, przewiewny materiał i była rozpinana. Z kupieniem podobnego t-shirtu nie byłoby problemu, ale rozpinanego modelu próżno było szukać w europejskich sklepach.

– Coś jeszcze znaleziono?

– Nie, to wszystko. Będą przeprowadzać badania DNA.

– Dziękuję.

– Szymek, czy ty aby...

– Wszystko w porządku – zapewnił ją, choć słowa z trudem przeszły mu przez gardło. – Mną się proszę nie przejmować.

Rozłączył się, zanim zdążyła się upewnić, czy nie może mu w jakikolwiek sposób pomóc. Innymi słowy, czy nie mogłaby trochę powęszyć w jego życiu i sprawdzić, dlaczego w istocie został wezwany na komendę.

Dopił piwo dwoma łykami, a potem wstał z fotela. Nie wiedział nawet dlaczego. Poczował marazm i zagubienie, jak wtedy, gdy stał pod komendą. Przez moment trwał w bezruchu. Potem potrząsnął głową, dochodząc do wniosku, że pora ułożyć wszystko w logiczną całość. Znaleźć odpowiedzi.

Ktoś zabrał jego parę okularów. Jak to zrobił? Musiał wejść do domu, z pewnością nie przez balkon, bo drzwi były zamknięte, zresztą mieszkał zbyt wysoko. Pozostawały drzwi wejściowe.

Czy były zamknięte? Pająk nie był jednym z tych, którzy potrafią wrócić, by sprawdzić, czy na pewno przekręcili klucz. Zazwyczaj zamykał bezwiednie, tak samo otwierał. Teraz nie mógł przypomnieć sobie, co zrobił po wyjściu i po powrocie do mieszkania.

Trudno było jednak spodziewać się, by akurat wczoraj zapomniał to zrobić. Akurat wtedy, kiedy ktoś potrzebował dostać się do mieszkania. Nie, to z pewnością było niemożliwe.

Zbliżył się do drzwi, otworzył je i skrupulatnie obejrzał. Nie nosiły śladów włamania, nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek przy nich majstrował. Pająk trzasnął nimi, po czym wrócił do kuchni. Wziął kolejne piwo i tym razem usiadł przy stole. Sączył trunek wolno, zastanawiając się. Jak wiele jest firm, które chętnie otwierają drzwi, gdy zgubiło się klucz? Z pewnością trzeba dopełnić formalności, ale przecież sfalszowanie kilku dokumentów nie stanowi problemu, jeśli ma się zamiar podłożyć później coś na miejscu przestępstwa...

Szymon szybko sprawdził numery do odpowiednich firm w Google, a potem zaczął dzwonić. Zajęło mu to pół godziny. Nikt nie był wczoraj

wzywany na jego osiedle. Zaklął pod nosem i zaczął chodzić po mieszkaniu. Miał wrażenie, że jego umysł nie może wskoczyć na odpowiednie tory. Dlaczego ktoś w ogóle miałby umieszczać tam te okulary? Chciano go zrobić? W jakim celu? I czy nie było prostszego sposobu?

Oczywiście przebadają ten dowód i znajdą na nim jego odciski palców. Dla policji będzie to co najmniej zastanawiające, biorąc pod uwagę, że Szymon nie miał kontaktu z Anną po tym, jak je kupiła. Będzie tłumaczył, że nabył parę dla siebie, ale czy ktokolwiek mu uwierzy? Sprzedawca z kiosku zmarł trzy, może cztery lata temu. Z pewnością nieustanne opary nikotyny w niewielkiej budce się do tego przyłożyły.

Pająk uświadomił sobie, że czas nie jest jego sprzymierzeńcem. Ledwo ta myśl nadeszła, umysł stał się jakby bardziej zamglony.

Krążąc od kuchni do salonu, Szymon starał się otrząsnąć z szoku. Nie potrafił. Chodził bez celu kilka minut – z pewnością robiłby to dłużej, gdyby nie dzwonek do drzwi. Spojrzał w ich kierunku niepewnie, a potem skierował się do przedpokoju.

Otworzywszy, zobaczył przyjaciela, który na dobrą sprawę powinien być tutaj już dawno, niosąc pod pachą czteropak zimnego lecha.

– Patryk?

Gość otworzył szeroko oczy.

– Spodziewałeś się kogoś innego?

– Właściwie... Właściwie chyba tak.

– Kogo?

– Dobre pytanie.

Przyjaciel przez moment patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem. Potem machnął ręką i wszedł do środka. Nie przyniósł piwa, co zazwyczaj oznaczało, że chodzi o poważną sprawę. Cóż, dziś i bez tego Pająk doskonale o tym wiedział.

– Jak się czujesz? – zapytał Patryk Mossakowski. – Rozważasz samobójstwo?

– Co?

– Czy może masz już ten etap za sobą?

Szymon zamknął drzwi, a potem poszedł za przyjacielem do salonu. Ten rozsiadł się już w fotelu i włączył telewizor. Na antenie NSI zajmowano się kolejnym sporem politycznym, nikogo nie interesowało ciało odnalezione w kominie opolskiej elektrociepłowni. Był to news, który mógł pojawić się w paśmie południowym – najpewniej przemknął

szybko na pasku informacyjnym, a potem wrócono do analizy tego, co komu w świecie polityki wolno.

Mossakowski spojrzał na Pajaka i uniósł brwi, czekając na odpowiedź. Kiedy jej nie otrzymał, pokiwał znacząco głową.

– Rozumiem – powiedział. – Czyli dopiero zaczniesz myśleć o tym, żeby się zabić.

– Nie mam takiego zamiaru. Nie tym razem.

– Bzdura – ocenił Patryk i powiódł wzrokiem po pokoju, jakby spodziewał się, że zobaczy przygotowany sznur lub nabity pistolet. – Obaj wiemy, że na nowo trzepnie cię poczucie winy.

Pajak opadł ciężko na kanapę.

– Wystarczająco długo się już obwiniałem.

– Mhm.

– Przetrawiłem to lata temu.

– Pewnie, pewnie.

Właściwie sam nie wierzył w swoje zapewnienia, więc nie mógł dziwić się komuś, kto znał go lepiej. Uśmiechnął się pod nosem, ale tylko na moment. Potem dotarło do niego, że to, czy poradzi sobie z ewentualnym nawrotem stanów depresyjnych, czy nie, nie ma większego znaczenia. Czekają go większe problemy.

Przez chwilę patrzył wyczekująco na Mossakowskiego, jakby ten mógł wyczytać wszystko w jego myślach. Znali się od dziecka, wypalili razem pierwsze papierosy na osiedlowym placu zabaw, razem robili pierwsze skręty i pili pierwsze tanie wino na wyspie Bolko. Jeśli Pajak miał powiedzieć o okularach komukolwiek, to właśnie jemu.

Nabrał tchu, a potem wyrzucił z siebie wszystko. Początkowo szło mu opornie, ale po chwili słowa zaczęły płynąć same. Patryk nie miał pojęcia o dodatkowej parze, którą przyjaciel kupił w kiosku. Nikt o niej nie wiedział.

Kiedy Szymon skończył, Mossakowski długo milczał, wpatrując się przed siebie.

– Mówisz poważnie?

– Niestety.

Mossakowski potrząsnął głową, wstał i potoczył wzrokiem wokół. Skierował się do kuchni i wrócił po chwili z puszką zimnego piwa. Otworzył ją i przysiadł na oparciu fotela. Sprawiał wrażenie dobrego wujka, który jest tak zafrapowany sytuacją, że wymaga to chwili ciszy. Patrzył na przyjaciela w milczeniu.

– Nie masz nic więcej do powiedzenia? – bąknął Pajak.

- Mam.
- Więc nie krępuj się.
- Po cholere ci były te okulary?

Szymon nie wiedział, co odpowiedzieć. Sam długo się nad tym zastanawiał – na tyle długo, że dawno umknęły mu pobudki, dla których zdecydował się na zakup. A może utonęły w morzu alkoholu, który wypił po zaginięciu Anny? Tak, pewnie tak. Jego ówczesne motywacje osiadły na samym dnie. Dokładnie tam, gdzie on sam się znalazł.

- No?
- Nie wiem, Patryk.

Przyjaciel pokiwał głową w zadumie.

- Dobra, mniejsza z tym. Zastanówmy się lepiej, co to teraz dla ciebie oznacza.

- Że prędzej czy później zapuka do mnie policja.
- I co? Zamkną cię za to, że nie ma tutaj jakichś ciemnych pingli? Nawet jeśli miałbyś je jakimś cudem podłożyć do tego komina, to nie żadne przewinienie.

Szymon przełknął ślinę. Nie zastanowił się nad tym na tyle dogłębnie, by przeanalizować racjonalnie sytuację. Mossakowski miał rację.

- Poza tym jak miałbyś to zrobić? – ciągnął. – Ciało znaleźli na piętnastu metrach. Wspiałbyś się tam po ścianach komina? Nazwisko może i masz adekwatne, ale Peterem Parkerem to ty nie jesteś.

- Ano nie.
- Więc na razie bym się nie przejmował, przynajmniej nie pod tym kątem.

Pająk uniósł brwi.

- Ale pod innym tak?
- Oczywiście – odparł przyjaciel i pociągnął łyk. – Ktoś wszedł do twojego mieszkania i ukradł rzecz, która miała dla ciebie wyjątkowe znaczenie. Ktoś, kto mógł być mordercą.

- Co?
- To w jakiś sposób sensowne.
- W jaki?
- Nie wiem, strzelam. – Patryk wzruszył ramionami. – Ale skoro znalazło się ciało, a znikły okulary, to może jest to celny strzał.

- Może – przyznał Szymon.

Przez chwilę trwali w milczeniu. Słyszeć było tylko, jak Mossakowski

przełyka piwo.

– Dowiedziałem się szczegółów – odezwał się po chwili. – W sumie przyszedłem, żeby ci o tym powiedzieć, ale teraz wygląda na to, że...

– Jakich szczegółów?

Odstawił puszkę na stół i osunął się na siedzisko.

– W tym kominie była wnęka – podjął. – To tam znajdowały się zwłoki. Nie w samym przewodzie, a w niewielkiej blendzie.

– Skąd o tym wiesz?

– Rozmawiałem ze znajomym z Radia Opole. A on z kolei na miejscu wypytał jednego ze strażaków. Wiesz, jak jest, każdy kiedyś pił z kimś piwo Pod Arkadami, w Bullu czy w Masce.

– Mhm.

– Strażak twierdził, że niewiele tam znaleźli. Same okulary i bluzkę.

– I co z tego?

– Chyba nic. Sam nie wiem... Po prostu uznałem, że powinienem ci powiedzieć.

– Mówili coś jeszcze?

– Reszta to spekulacje – odparł Patryk i westchnął. – Twierdzą, że mało kto wiedział o tym, że komin jest nieczynny, więc ciało musiał umieścić tam jeden z pracowników ECO.

– Aha – mruknął bez przekonania Pająk.

– Jeśli tak było, to współpracownicy obsypią go złotem.

– Dlaczego?

– Zamknęli całą elektrociepłownię.

Szymon zmarszczył czoło. Tego się nie spodziewał.

– Co ty mówisz?

– No, podali przed chwilą informację – zapewnił go Mossakowski. – Policja szuka innych śladów, wszystko zostało wyłączone. Podobno zakłady ciepłownicze ze Strzelec i podopolskich wsi mają nas ogrzewać przez jakiś czas, nie wiadomo, jak długo.

A zatem może nie tylko strażacy i radiowcy podejrzewali, że ktoś z pracowników miał z tym coś wspólnego? Jeśli zamknięto całą elektrociepłownię, z pewnością zastanowiono się nad tym dwa razy. A może był nacisk polityczny? Nieco ponad pięćdziesiąt procent udziałów w ECO wciąż należało do miasta, co zresztą w każdej kampanii samorządowej powodowało gorące dyskusje na temat przyszłości zakładu.

– Mnie to się wydaje uzasadnione – powiedział Patryk.

– Nie wątpię.

Mossakowski uśmiechnął się lekko.

– Do czego pijesz? – spytał.

– Do tego, że możecie sobie w tej sprawie z moim ojcem podać rękę.

Patryk pokiwał głową z niemal teatralną aprobatą. W normalnych okolicznościach był to temat tabu. Pająk nie poruszał kwestii związanych z lokalną polityką ani z ojcem, ani z przyjacielem. Obaj stali po przeciwnej niż on stronie barykady – i gotowi byli bronić swoich racji, wytaczając działa największego kalibru.

– Bo to rozsądny człowiek – orzekł Mossakowski. – Łatwo się z nim zgodzić w wielu kwestiach, także związanych z ECO.

Szymon wbił wzrok w okno. Nie miał ochoty rozprawiać o teoriach spiskowych, zamachu smoleńskim, rosyjskich manipulacjach czy opolskiej elektrociepłowni, którą mieli sterować Niemcy.

– Wiesz, że Angela może nam w każdej chwili przykręcić kurek.

– Wiem, wiem.

– Niemcy tu wrócili, Pająk. To fakt, nie opinia.

Szymon mógłby z tym polemizować, ale nie miał zamiaru lać wody na młyn przyjaciela. Nasłuchiwał się od ojca wystarczająco. Ten wykladał swoje racje zawsze w identyczny sposób, zaczynając od tego, że Niemcy nigdy nie pogodzili się z powojennym *status quo*. Owszem, po przesunięciu granicy na linię Odry i Nysy, w latach 1945-1950 opuścili Opole, ale nigdy nie porzucili marzeń, by tutaj wrócić. Widać to było na każdym kroku, twierdził ojciec – wystarczy przejść się Krakowską w jakikolwiek weekend, a spotka się „germańskie wycieczki geriatryczne”.

Mimo barwnego określenia, było w tym trochę prawdy. Pająk od dziecka słyszał język niemiecki na głównym deptaku Opola. Kilkunastoosobowe grupy, prowadzone przez zawodowych przewodników, przemierzały ulicę Krakowską, rozglądając się z rozrzuwaniem. Nie było w tym jednak ani cienia pretensji czy tym bardziej rewanżyzmu, o który nieustannie podejrzewał ich ojciec.

Kiedy w swoich tyradach uporał się z wysiedleniem Niemców, przechodził do analizowania sposobu, w jaki chcieli utrzymać kontrolę nad swoim Oppeln. Jego koronny argument dotyczył właśnie elektrociepłowni – a ilekroć w rozmowie uczestniczył Patryk, odczo go popierał. Obaj upierali się, że ECO to pole nieustannej, zażartej walki politycznej, która nie ma nic wspólnego z biznesem czy przemysłem. Niemcy mieli walczyć w niej z Polakami. A wszystko dlatego, że akcje posiadali jedynie dwaj akcjonariusze – jednym było

miasto, drugim niemiecki koncern E.ON. Głosy na walnym zgromadzeniu rozkładały się na korzyść samorządu, ale rzeczywista kontrola nad spółką różniła się nieco od stanu rzeczy zapisanego w statucie i innych dokumentach. Mossakowski wespół z ojcem twierdzili, że kto rządzi w energetyce ciepłej na Opolszczyźnie, ten jest w stanie przeforsować politycznie wiele innych kwestii.

Pająk od dawna nie mógł już tego słuchać. Owszem, ceny nie były najniższe, ale racjonalnie rzecz biorąc, trudno było upatrywać w tym jakichkolwiek machlojek. Miasto miało pięćdziesiąt cztery procent akcji, próbowało zbić trochę ceny dla opolan, ale bezskutecznie. Odwołano nawet trzech członków rady nadzorczej, ale sąd uznał, że stało się to bezprawnie i przywrócił ich na stanowiska.

Władza argumentowała, że ma prawo walczyć o interesy mieszkańców, zarząd spółki podkreślał, że to nie przedsiębiorstwo komunalne, a miasto nie jest jedynym akcjonariuszem. Dla ludzi takich jak ojciec czy Patryk było to ostateczne potwierdzenie, że to Niemcy sterują gospodarką ciepłą w województwie.

Pająka zastanawiało, czy ten bój kiedykolwiek się skończy. Nie, nie tylko ten. To samo dotyczyło dwujęzycznych – polsko-niemieckich – tablic we wszystkich podopolskich wsiach. Jedni zamalowywali niemieckie wersje, drudzy przychodzili dzień później i czyścili znaki. Właściciele sklepów z farbami, lakierami i innymi tego typu materiałami byli zadowoleni, ale zapewne tylko oni.

I wszystko dlatego, że Stalinowi w Teheranie i w Jałcie udało się przesunąć granice Polski ze wschodu na zachód.

Szymon nie należał do osób tonących w historycznych rozważaniach, ale zastanawiał się, jak daleko będą sięgały macki przeszłości. Zdawało się, że w dwudziestym pierwszym wieku już mało kto pamiętał, że niegdyś Polska zaczynała się na zachodzie w województwie poznańskim, a kończyła na wschodzie za Wilnem. Mimo to konsekwencje wciąż były obecne, choćby w utargu tych, którzy sprzedawali w Opolu czerwoną farbę w sprayu.

Pająk przez jakiś czas udawał, że słucha przyjaciela. Nie wiedział jednak nawet, nad czym konkretnie się rozwodzi. Kiwał głową, przypuszczając, że cała ta gadanina ma na celu odciążenie jego myśli od tego, co się wydarzyło. Musiał przyznać, że Mossakowski mógł się lepiej postarać. Istniało wiele tematów, które skuteczniej spełniłyby zadanie.

– Ale co ci będę mówił – zakończył. – Ojciec powtarza ci to wszystko

od lat, ale ty jesteś tak otumaniony propagandą SPD, CSU/CDU i innych, że...

– Daj mi spokój, chłopie.

Szymon wstał i poszedł po kolejne piwo.

Popołudnie upłynęło na krótkich wycieczkach do lodówki i jednej dłuższej, gdy puszek zabrakło i przyjaciele musieli uzupełnić zapasy. Reszta dnia znikła gdzieś w alkoholowym otumanieniu.

Następne dni wyglądały dla Pajaka podobnie. Wziął urlop na żądanie, uznając, że i tak nie potrafi skupić się choćby na tyle, by wprowadzić odpowiednie dane do wewnętrznej wyszukiwarki promocji i ofert *last minute*. Nikt nie sprawiał mu problemów, tym bardziej że miał jeszcze trochę zaległego urlopu. Ciął te dni jak narkoman oszczędzający swój najcenniejszy towar. Miał zamiar zużytkować urlop na coś naprawdę dobrego. I zapewne łudziłby się, że tak się stanie, aż terminy przyparłyby go do muru i w pewnym momencie musiałyby wykorzystać wolne dni.

Był niespokojny. Każdego ranka spodziewał się wizyty policji. Nikt jednak nie przyszedł i po trzech dniach uznał, że nie ma się czego obawiać. Funkcjonariusze najwyraźniej nie mieli bladego pojęcia o tym, że okulary najprawdopodobniej należały do niego.

Pajak jednak nadal nie wiedział, kto wykradł je z jego mieszkania. Ani tym bardziej dlaczego. Obawiał się, że nigdy się tego nie dowie, choć bardziej przerażała go myśl, że będzie wręcz przeciwnie. I że stanie się to niebawem.

V

Dziennikarze przestali snuć spekulacje. Wystarczył tydzień, by emocje opadły, a sprawa umarła śmiercią naturalną. W gazetach nie pojawiały się już teorie spiskowe, lokalne rozgłoszenie zajmowały się bardziej emocjonującymi sprawami – jak remont mostu na Odrze, plany poszerzenia miasta o przyległe wsie czy dokończenie budowy obwodnicy.

Pajak miał wrażenie, że cała lokalna polityka opiera się na gonieniu własnego ogona. Te same tematy zdawały się dominować w miejskich mediach rok w rok, bez względu na to, kto był u władzy.

O Annie nikt już nie wspominał. Mało kto o niej myślał.

Jego umysł zaprzętała jednak nieustannie. Nie mógł spać, kosz pod

zlewozmywakiem właściwie wypełniały same zgniecione puszki, a on nie wiedział już, jak się ratować. Znow zaczął brać leki antydepresyjne, ale w niczym nie pomagały. W dodatku w połączeniu z alkoholem sprawiały, że nie mógł zebrać myśli.

Może w jednej z takich chwil, a może w przebłysku rozsądku, ubrał się i poszedł na najbliższy posterunek policji. Oznajmił funkcjonariuszom, że ma informacje związane z makabrycznym znaleziskiem.

– Jakim znaleziskiem? – zapytał oficer dyżurny.

– Tym sprzed tygodnia.

– He?

– Chodzi o zwłoki w kominie.

– W elektrociepłowni?

Dyżurny pytał, jakby w ostatnim czasie odnaleziono tyle ciał, że przypomnienie sobie tej sprawy kosztowało go sporo wysiłku. Zmrużył oczy, przyglądając się Pająkowi. Był w podobnym wieku i Szymonowi przemknęło przez myśl, że już kiedyś gdzieś się spotkali. Twarz zdawała się znajoma.

– Tak, w ECO – potwierdził. – Jestem... byłem narzeczonym ofiary.

– Pająk?

Szymon skinął głową.

– Pamiętam cię.

Pająk czekał, nie mając zamiaru zaczynać rozmowy, która sprowadziłaby się do ustalania wspólnymi siłami, gdzie się widzieli. Przyszedł tutaj w konkretnym celu i chciał jak najszybciej wrócić do domu, wrzucić do ust tabletkę z paroksetyną i popić zimnym, mocno gazowanym piwem.

– Chodziliśmy razem do piątki. Do liceum.

– Aha.

– Nie pamiętasz mnie?

– Nie za bardzo – przyznał Szymon. – Pewnie byliśmy w innych klasach.

– Ano.

Nagle poczuł, jakby coś ciężkiego osiadło mu tuż pod oczami. Uzmysłował sobie, że musi wyglądać nie najlepiej. Nie, było to duże niedopowiedzenie. Musiał sprawiać wrażenie ćpuna na głodzie, w dodatku mocno niewyspanego.

– I mówisz, że masz jakieś nowe informacje?

– Aha.

– W takim razie idź do komendy na Korfantego. Zaraz zadzwonię i...
– Chciałem załatwić to tutaj.
– Nie, nie. Najlepiej będzie, jak pogadasz z oficerem prowadzącym.
– Chcę tylko złożyć oświadczenie, podpisać, wrócić do domu. Nic więcej nie...

– Poczekaj – uciał dyżurny i podniósł telefon.

Zanim Pająk zdążył powiedzieć mu, że w rozmowie z oficerem z pewnością nie przekaze więcej niż na piśmie, funkcjonariusz już poinformował kogoś z komendy wojewódzkiej, że pojawił się świadek, który chce złożyć zeznania.

Szymon westchnął. Najwyraźniej w policji także obowiązywała zasada znana z wszelkich innych urzędów – jeśli chcesz coś załatwić, trafiłeś w złe miejsce... bez względu na to, gdzie w istocie jesteś.

– W porządku – oznajmił w końcu policjant, odkładając słuchawkę. – Czekają na ciebie w komendzie.

Pająk spuścił wzrok i pokręcił głową. Albo zrobił to na tyle apatycznie, że rozmówca tego nie dostrzegł, albo policjant postanowił, że najlepiej będzie to zignorować.

– Będzie na ciebie czekał podkomisarz Dyczewski. Poznasz go od razu po...

– Po siwych włosach na skroniach.

– A więc mieliście już okazję rozmawiać.

– Tak, byłem przesłuchiwany.

Wyraz twarzy funkcjonariusza nagle się zmienił. Dotychczas pałętał się gdzieś niewyraźny uśmiech, teraz usta lekko się zacisnęły.

– Rozumiem.

Nie wskazał mu wzrokiem drzwi, ale równie dobrze mógłby wymierzyć w nie palcem. Szymon rzucił coś pod nosem na pożegnanie, a potem oddalił się z poczuciem, że popełnia błąd. W jakiś sposób przyjsie na ten komisariat zdawało się właściwie. Powrót do podkomisarza, który go przesłuchiwał, bynajmniej.

Mimo to zdecydował, że pójdzie na Korfantego. Skoro już postanowił, bez sensu byłoby zmieniać plany, tym bardziej, że oficer został uprzedzony. Uznał jednak, że nie musi się spieszyć.

Po drodze zaszedł do mieszkania, łyknął tabletkę i poczuł się nieco lepiej. Na tyle, by zdecydować, że jedno piwo z pewnością mu nie zaszkodzi. Otworzył je z myślą, że za moment wyjdzie i załatwi sprawę. Położył się jednak na kanapie i zasnął.

Zbudził go dzwonek do drzwi.

Powłóczęc nogami, podszedł do nich i zerknął przez wizjer. Zobaczywszy siwiejącego na skroniach mężczyznę, zaklął pod nosem. Podciągnął rękaw koszuli i zerknął na zegarek. Godzina niewiele mu powiedziała. Nie miał pojęcia, o której był na komisariacie.

Machinalnie obrócił się w kierunku komody, jak zawsze, kiedy ktoś przychodził w gości. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że nie ma czego chować. Odchrząknął i przekręcił zamek.

– Powiedziano mi, że próbował pan się ze mną skontaktować – powiedział Dyczewski, robiąc krok w przód.

Stanął jeszcze przed progiem, ale zatrzymał się tak nagle, że nie uległo wątpliwości, iż jest to niewerbalna sugestia, by gospodarz zaprosił go do środka.

Pająk cofnął się i wykonał zamaszysty gest.

– Tak – odparł, ale głos niemal ugrzązł mu w gardle. – Tak – powtórzył głośniej.

– Były jakieś trudności z odnalezieniem mnie?

– Nie, po prostu... – Szymon rozłożył ręce, jakby to mogło wszystko tłumaczyć.

Policjant wszedł do środka, szybko zrzucił z siebie kurtkę, a potem spojrzał wyczekująco na Pajaka. Ten jednak nie miał zamiaru kończyć zdania. Nie czuł się w obowiązku, by z jakiegokolwiek powodu tłumaczyć się stróżowi prawa. Szczególnie z tak błahaego, jak zaśnięcie.

– Napije się pan czegoś?

– Dziękuję, jestem na służbie.

– Miałem na myśli kawę.

– Ach... – mruknął podkomisarz. – Zmyliła mnie woń alkoholu.

Szymonowi przemknęło przez myśl, że w mieszkaniu czuć gorzelnią. Nie chciał nawet myśleć o tym, co czuje rozmówca, kiedy Pająk otwiera usta. Odchrząknął i poszedł do kuchni.

– Kawy chętnie się napiję – dodał Dyczewski. – Pan chyba również.

Szymon obejrzał się przez ramię. Funkcjonariusz wszedł za nim do pomieszczenia i rozejrzał się bacznie.

– Zawsze pan mówi ludziom, na co mają ochotę?

– Tylko kiedy widzę, że nie jest z nimi najlepiej.

Pająk prychnął, nastawiając wodę.

– Sądzi pan, że kawa mi pomoże?

– Nie. Ale zawsze warto spróbować, prawda?

– Być może. Niech pan siada.

Użycie trybu rozkazującego dostarczyło mu nieco satysfakcji,

szczególnie że podkomisarz odsunął sobie krzesło i wykonał polecenie. Usiadłszy przy stole, skrzyżował ręce na blacie. Zapewne miał nadzieję, że Szymon usiadzie naprzeciw i podejmą przesłuchanie, ale Pająk nie miał zamiaru tańczyć tak, jak mu zagra ten człowiek. Nasypał kawy rozpuszczalnej do dwóch czerwonych, nieco poobijanych kubków nescafé, obrócił się i przysiadł na kuchennym blacie.

– Co ma mi pan do powiedzenia? – zapytał Dyczewski.

– Niewiele, dlatego niepotrzebnie się pan fatygował.

– Ale...

– Poszedłem na komisariat, żeby złożyć krótkie oświadczenie, nie chciałem nikogo kłopotać.

– Żaden kłopot. Proszę mówić.

Pająk nabrał tchu, a potem zaczął opowiadać. Podając gościowi kawę, dotarł już do krótkiego wyjaśnienia, dlaczego w ogóle zakupił okulary. Było enigmatyczne nawet dla niego, ale miał wrażenie, że jego pobudki nie są tym, co najbardziej interesowało podkomisarza.

Kiedy skończył mu wszystko wyłuszczać, Dyczewski nadal mieszał kawę, mimo że dawno się rozpuściła.

– Hmm... – mruknął w końcu.

– To pańska zawodowa opinia?

– Mniej więcej.

– Więc widzę, że na niewiele się...

– Proszę mi powiedzieć – przerwał mu policjant, marszcząc czoło. – Dlaczego wcześniej nas pan o tym nie poinformował?

– Nie wiem.

– Obawiał się pan czegoś?

– Chyba tak.

– Że postawimy panu zarzuty? Uznamy pana za podejrzanego?

– Możliwe. Sam nie wiem...

– Dlaczego z góry pan założył, że okulary w jakikolwiek sposób mogą pana obciążać?

Pająk odsunął sobie krzesło, szurając nim po podłodze. Rozległ się nieprzyjemny dźwięk, a on ma moment znieruchomiał. Potem usiadł naprzeciwko policjanta, w którego głosie wychwycił jakąś nutę troski. Niezbyt wyraźną, ale jednak słyszalną.

– Nie mam pojęcia, do cholery. To wszystko mnie przerasta.

– Więc tym bardziej powinien mi pan od razu o tym powiedzieć.

– Co by to zmieniło?

Dyczewski wyciągnął łyżeczkę, oblizał ją, a potem się rozejrzył.

– Niech pan położy na stole.

Zrobił to i skupił na nim wzrok.

– Trudno powiedzieć, co konkretnie to zmienia – podjął podkomisarz.

– Ale z pewnością jest zastanawiające. Należy uznać, że te okulary to rzeczywiście egzemplarz, który zakupił pan, a nie narzeczona.

Pająk napił się kawy. Smakowała jak woda.

– Jak moglibyśmy to sprawdzić? – dodał Dyczewski.

– Słucham?

– Czy na pańskich były jakieś znaki szczególne? Niedoskonałości, zadrapania czy też...

– Jedno szkielek było zarysowane. Lewe.

Podkomisarz pokiwał głową, a potem odgiął się na krześle i wyjął z kieszeni jeansów komórkę. Zadzwoił do laboratorium i poprosił o sprawdzenie, czy na szkle jest rysa. Przez chwilę słuchał w milczeniu tego, co miał do przekazania rozmówca. Potem podziękował mu i położył telefon na stole.

– To pańskie okulary.

Szymon opróżnił kubek.

– W porządku... chyba. Spodziewałem się tego.

– Ja również.

– Ale nadal nie wiem, dlaczego się tam znalazły.

Podkomisarz sprawiał jednak wrażenie, jakby była to poszlaka, która pozwoliła mu poskładać kilka pozornie przypadkowych elementów w logiczną całość. Pająk nie dostrzegał w jego oczach zagubienia, wręcz przeciwnie. Pojawił się w nich błysk jak w ślepiach dzikiego zwierza, który trafił na trop.

– Ma pan coś, prawda?

– Niewykluczone – odparł policjant i też opróżnił kubek.

– Więcej kawy?

– Dziękuję. – Pokręcił głową. – Chyba że ma pan sypaną.

– Nie, tylko taką.

– W takim razie odpuśćcie sobie. Zresztą i tak będę się zbierać.

Nie ruszył się jednak z miejsca, więc Szymon uznał, że zanim wyjdzie, powie mu jeszcze to i owo. A może przepyta na jakąś okoliczność, która była dla niego kluczowa. Tak czy owak Pająk postanowił czekać, nie ponaglając go. Podkomisarz przez chwilę trwał w bezruchu, ze ściągniętymi brwiami i wzrokiem skupionym na gospodarzu.

– To wszystko każe mi sądzić, że to nie pańska narzeczona.

- Że co proszę?
- Ktoś podłożył okulary, by nas zmylić.
- O czym pan mówi?
- To logiczny wniosek, prawda?

Szymon poderwał się z krzesła. Podeszedł do okna, wyjrzał przez nie, a potem wrócił do stołu. Gdyby nie to, że siedział przy nim oficer policji, dawno wyciągnąłby piwo z lodówki. Naraz jednak pomyślał, że przecież nic nie stoi temu na przeszkodzie. Co Dyczewskiemu do tego, ile i o której godzinie pije? Zresztą przespał kilka godzin, być może była już pora wieczorna. Adekwatna, by otworzyć piwo. Może każda była.

Wyciągnął puszkę z lodówki. Po chwili rozległ się przyjemny syk.

- Nie sądzi pan? – dodał podkomisarz.
- Nie wiem w ogóle, co o tym sądzić.

Policjant nabrał głęboko tchu. Wyprostował się, skrzyżował ręce na piersi i lekko uniósł głowę.

- Kilka rzeczy wiadomo na pewno.
- Tak? Jakich?
- Ot, choćby to, że ktoś z pańskiego otoczenia zabrał te okulary.
- Doprawdy?
- Sam pan mówił, że nie było żadnych śladów włamania.

Pająk pokiwał głową.

- To klasyczna sytuacja.
- W jakim sensie?
- Zostawił pan kiedyś jakiegoś znajomego samego w domu? Albo chociaż na chwilę w przedpokoju?
- Słucham?

Podkomisarz westchnął, jakby musiał tłumaczyć mu rzeczy zgoła oczywiste.

- Najczęściej kradzieży dokonują ludzie, z którymi ofiary mają większy lub mniejszy kontakt. Korzystają z okazji, że klucze leżą na komodzie w przedpokoju czy gdziekolwiek indziej. Nagle rzekomo przypomina im się, że mieli wysłać jakiś list czy odebrać dziecko z przedszkola, więc czym prędzej znikają, zapewniając, że niebawem wrócą. Zabierają klucze, dorabiają je, a potem odkładają na miejsce. Tak najpewniej było w tym przypadku.

Pająk odstawił piwo.

- Więc ile jest osób, które u pana bywają?
- Kilka... z pewnością mniej niż dziesięć.

– Nie urządza pan domówek? To idealna okazja. Szczególnie, gdy zabraknie piwa i ktoś wspaniałomyślnie deklaruje, że skoczy do sklepu. Ekspresowe dorobienie klucza zajmuje kilkanaście minut, a jak dorzuci pan dodatkową dychę, pewnie nawet mniej.

– Urządzam. Rzadko, ale urządzam.

– W takim razie krąg podejrzanych nam się poszerzy. Będę potrzebował listy, uda się panu przygotować ją od razu?

Pająk pokiwał głową, zupełnie zbity z tropu. Obrócił się, otworzył jedną z szuflad i wyjął notes, w którym zapisywał, co musi kupić. Przycisnął końcówkę długopisu i zaczął się zastanawiać.

– Zanim pan zacznie...

– Tak?

– Możemy znacznie zawęzić ten katalog osób.

– W jaki sposób?

Szymon uświadomił sobie, że zadał głupie pytanie. Wystarczyło ustalić, kto wiedział o okularach. Dlaczego od razu o tym nie pomyślał? A może pomyślał, tylko wnioski zniknęły gdzieś w mieszaninie alkoholu i antydepresantów?

Nie, zaraz. To było zupełnie bez sensu. Każdy mógł odkryć okulary, wystarczyło odsunąć szufladę i zainteresować się modelem, który dawno wyszedł z mody. Nie trzeba było nawet specjalnie grzebać, Szymon nie upychał ich głęboko. Po prostu usuwał je z widoku, gdy ktoś miał przyjść.

Spojrzał wyczekująco na policjanta.

– Znaleźliśmy też bluzkę, prawda? – odezwał się Dyczewski. – A skoro okulary były podłożone, to ona także.

– Ale...

– Kto z pańskich znajomych lub rodziny był ostatnimi czasy w Egipcie?

– Na Boga, nikt.

– Są teraz tanie loty.

– Bo wybuchają tam bomby w hotelach. Nie mam w otoczeniu samobójców.

– W takim razie może jakiś czas temu ktoś tam leciał?

– Nie.

– Brzmi pan, jakby był absolutnie pewny.

– Bo jestem – odparł Pająk i odsunął piwo jeszcze dalej, jakby to mogło sprawić, że nie pociągnie już ani łyka. – Pracuję w branży turystycznej. Znajomi przychodzą do mnie, kiedy tylko zamierzają

gdzieś lecieć. Zresztą nie tylko znajomi, jakieś trzy tygodnie temu...

Urwał, nagle uświadamiając sobie coś, co wszystko zmieniało.

VI

Zweryfikowanie zeznania zajęło Dyczewskiemu niecałą godzinę. Zasluga niewielkiego miasta. Pracując w Warszawie, Poznaniu czy Wrocławiu przejazd z jednego krańca aglomeracji na drugi zająłby znacznie więcej czasu – Opole od Szczepanowic do Kolonii Gosławickiej dawało się przemierzyć w niecałe dwadzieścia minut. W godzinę można było zdążyć z przesłuchaniem osoby mieszkającej po drugiej stronie miasta i z powrotem na komendę. Tak też się stało.

Dyczewski zostawił Pająka w poczekalni, a sam stanął przed przełożonym. Inspektor podniósł wzrok znad papierów, nie dowierzając.

– Możesz mi to wszystko wytłumaczyć?

– Oczywiście, panie inspektorze – odparł podkomisarz, prostując się.

– Niejaki Jan Walus zgłosił się kilka tygodni temu do biura turystycznego, w którym pracuje Szymon Pajak. Szukał okazynego hotelu i taniego lotu do Hurghady. Mimo że Pajak odradzał wybór tego kierunku, Walus nie miał zamiaru rezygnować. W końcu wybrali dla niego najlepszą opcję, *all inclusive*, hotel pięciogwiazdkowy, dwa tygodnie za niecałe trzy tysiące złotych.

– Nie interesują mnie ceny – uciał inspektor.

Dyczewski skinął głową.

– Wytłumacz mi lepiej, dlaczego to istotne.

– Ponieważ Walusa do biura turystycznego przysłał znajomy Pająka, Patryk Mossakowski. Rozmawiałem już z Walusem i potwierdził. Zeznał także, że Mossakowski prosił o kupno bluzki na którymś ze straganów. Tej samej, którą odnaleźliśmy w kominie. W moim przekonaniu, panie inspektorze, nie ma zatem żadnych wątpliwości co do tego, iż zarówno okulary, jak i...

– Tak, doskonale rozumiem.

– Należy tego człowieka niezwłocznie zatrzymać i wystosować wniosek o zastosowanie środka zapobiegawczego.

– Uważasz, że zachodzi obawa mactwa?

– Biorąc pod uwagę to, czego się dopuścił, bez wątpienia.

VII

Szymon Pająk potrzebował nieco czasu, by wszystko zrozumieć. Mimo że podkomisarz wyłożył dość jasno to, czego mu brakowało, by ułożyć cały obraz, początkowo po prostu kręcił głową, nie dopuszczając do siebie wszystkich implikacji.

Usiedli na schodach przed komisariatem, niedaleko miejsca, gdzie niedawno Szymon stał z ojcem. I tym razem Pająk wbił wzrok w metalową wieżę, starając się nie zwracać uwagi na obskurny mur, nierówną kostkę brukową i powyginane płyty chodnikowe.

– Niebawem zostanie doprowadzony – zapewnił Dyczewski.

– Ale... dlaczego miałyby to zrobić?

– Tego się dowiemy, jak tylko trafi do pokoju przesłuchań.

Szymon spojrzał na rozmówcę. Dopiero teraz uświadomił sobie, że wciąż nie przestał lekko kręcić głową.

– Nie wygląda pan najlepiej – zauważył podkomisarz.

– Bo twierdzi pan, że mój wieloletni przyjaciel... że...

– Że podłożył okulary i bluzkę, tak.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Już pan o to pytał.

– Ale tym razem liczę na odpowiedź – mruknął Pająk. – Niech pan strzela, do cholery. Niech pan powie cokolwiek.

Policjant wzruszył ramionami. Obaj powiedli wzrokiem za kobietą z wózkiem, która przechodziła w kierunku wyspy Bolko. Spojrzała na nich nieco skonsternowana, jakby fakt, że dwóch mężczyzn siedzi na schodach komendy, w jakiś sposób mógł być powodem do niepokoju.

– Przypuszczam, że mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem Anny.

Szymon potrząsnął głową. Tak, to był logiczny wniosek. Mimo to nie dopuszczał go do siebie, od kiedy tylko okazało się, że Patryk może być zamieszany w sprawę.

– Mógł umieścić tam ciało lata temu – ciągnął Dyczewski niepewnie, jakby obawiał się, że jedno słowo przepelni czarę goryczy. – A teraz, powodowany wyrzutami sumienia, mógł chcieć pomóc w identyfikacji.

– To bez sensu...

– Względnie te zwłoki mogą należeć do kogoś innego.

– Kiedy będziemy mieć pewność?

– Za tydzień mają być wyniki DNA. Porównamy je z materiałem rodziców i nie będzie już wątpliwości.

– Ale... jesteście pewni, że to kobieta w podobnym wieku?
Podkomisarz odchrząknął. Czara napełniła się zbyt szybko.

– Były w dość złym stanie.

– Więc nie potraficie tego przesądzić?

– Wiemy, że należały do kobiety.

– Skąd?

– Sugeruje to ubranie.

– Ta bluzka to...

– Nie mówię o bluzce – odparł cicho Dyczewski. – Niech panu wystarczy świadomość, że potwierdziliśmy, iż ofiara jest płci żeńskiej. Niestety nie sposób ustalić wieku, przynajmniej do momentu, aż otrzymamy wyniki badań.

– Rozumiem. Więc była to w zasadzie mumia.

Podkomisarz nie odpowiedział, ale nie musiał. Wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował Pajaka. Ten spojrzał na opakowanie, jakby pochodziło z innego świata. Przemknęło mu przez myśl, że policjant powinien palić tańsze fajki. Elemy, może westy. Najwyraźniej jednak na stanowisku podkomisarza płacili całkiem nieźle, skoro stać go było na takie, które kosztowały niemal osiemnaście złotych za paczkę. Szymon podziękował.

– Najbardziej prawdopodobne jednak wydaje się, że doszły do głosu wyrzuty sumienia.

– Mhm – mruknął Pajak. – To by znaczyło, że on...

– Zazwyczaj to ktoś z najbliższego otoczenia.

Trudno mu było w to uwierzyć. Ale jeszcze trudniej byłoby doszukiwać się bardziej zawoalowanego motywu, kiedy ten najbardziej oczywisty wydawał się także najsłuszniejszy.

– Przypuszczam, że znaliście się od lat.

– Tak.

– I nigdy do niczego nie doszło między nim a Anną?

– Nie.

– Jest pan tego absolutnie pewien?

Szymon nie miał zamiaru dalej odpowiadać półsłówkami. Nabrał głęboko tchu, a potem zaczął mówić o tym, że nigdy nie miał przed Patrykiem tajemnic – ani on nie miał ich przed nim.

– Ciekawe, że wspomina pan najpierw o Mossakowskim.

– Słucham?

– Zazwyczaj zaprzecza się takiemu hipotetycznemu romansowi, zwracając uwagę na to, że ufało się swojej narzeczonej.

Pająk pokiwał głową w zadumie. Właściwie powinien od tego zacząć, ale z jakiegoś powodu najpierw pomyślał o tym, że to przyjaciel nigdy by go nie zdradził. Nigdy nie wdałby się w romans z Anną.

– Może naczytałem się zbyt dużo o zdradach przedmażeńskich, a może minęło zbyt wiele czasu, od kiedy zaginęła i... sam pan wie, jak to jest.

– Nie wiem. I nie chciałbym wiedzieć – odparł Dyczewski, po czym zdeptał papierosa i podniósł się.

Szymona zdziwiło, że tak nagle urwał rozmowę. Dopiero po chwili zrozumiał, dlaczego. Od strony dworca nadjechał nieoznakowany samochód policyjny. Zatrzymał się tuż przed schodami komendy, włączyły się światła awaryjne. Pająk dostrzegł przyjaciela na tylnym siedzeniu. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, podkomisarz rzucił, że wróci po przesłuchaniu, a potem podszedł do auta. Patryka wprowadzili do budynku tak szybko, że nawet nie dostrzegł Szymona.

Pająk trwał przez moment w zupełnym bezruchu, nawet nie mrugał. Czy ten policjant naprawdę dał mu do zrozumienia, by tutaj czekał? Wydawało mu się, że tak.

A więc wszystkiego się dowie. Niebawem.

Docenił to, że Dyczewski okazał się porządnym człowiekiem. Szymonowi należały się odpowiedzi, czekał na nie od ponad ośmiu lat. Dobrze było wiedzieć, że choć jedna osoba to rozumie.

Czas mu się dłużył. W końcu uznał, że najwyraźniej potrwa to jeszcze trochę. Podniósł się, otrzepał spodnie, a potem poszedł do piekarni na 1 Maja. Kupił rogalika i skubał go przez kilkanaście minut, snując się po okolicy.

Po półgodzinie wrócił na schody komendy. Usiadł na samej górze i zwiesił głowę. Trwał tak aż do momentu, gdy zainteresował się nim jakiś mężczyzna. Nie miał na sobie munduru, ale wyraz twarzy jednoznacznie świadczył o tym, że jest funkcjonariuszem. Sprawiał wrażenie, jakby Szymon wszedł do jego mieszkania w brudnych butach.

– Co tu robisz? – spytał.

– Czekam na podkomisarza Dyczewskiego.

– Co?

Był łysy, miał bliznę na lewym policzku. Wyglądał jak kryminalista, więc należało przypuszczać, że jest z wydziału zabójstw – tylko oni nosili się w taki sposób. Pająk kaszlnął, a potem wyjaśnił, że Dyczewski polecił mu, by tutaj poczekał. Oficer wydawał się zdziwiony,

ale ostatecznie machnął na niego ręką. Na odchodnym rzucił jeszcze, że zaraz porozmawia z Dyczewskim.

Podkomisarz zjawił się po niecałym kwadransie. Kiedy położył mu rękę na plecach, Szymon niemal podskoczył.

– Wszystko w porządku – powiedział, siadając obok. – Przyznał się.

– Co? Jak to? Do czego?

– Wszystko panu...

– Już się przyznał? Po... Ile minęło, godzina?

– Nikogo nie zabił, Szymon.

– A więc do czego się...

– Uspokój się, to powiem ci, co według niego miało miejsce.

– Według niego?

– Będziemy to weryfikować, ale wydaje się, że mówi prawdę.

– I możecie to stwierdzić ot tak?

Podkomisarz pokiwał głową i popatrzył na niego w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości co do tego, co chce mu przekazać. „Poczekaj, posłuchaj, a sam uznasz tak samo” – zdawało się mówić jego spojrzenie.

– Mogę już zacząć?

Pająk gorączkowo pokiwał głową.

– Świetnie – odparł pod nosem policjant i wyciągnął paczkę drogich papierosów. Nie uszło uwagi Szymona, że była już niemal pusta. – Na początek musisz uświadomić sobie, że twój przyjaciel... Cóż, jakby to ująć...

Szymon nie miał zamiaru ani mu przerywać, ani podsuwać odpowiednich słów.

– Charakteryzują go zachowania wyglądające na psychotyczne.

– Słucham?

– Najprawdopodobniej cierpi na jakieś zaburzenia, które...

– Mówi pan o człowieku, którego znam od lat.

– Owszem. Ale on sam twierdzi, że ty również do normalnych nie należysz – rzucił pod nosem Dyczewski, jakby był to nic nieznaczący wtęt. Pająk jednak się wzdrygnął. – Ale mniejsza tym. Pewność będziemy mieć po opinii biegłych psychiatrów.

– Do czego pan zmierza?

– Do tego, że Mossakowski ma dość oryginalne poglądy i jeszcze bardziej oryginalne podejście do tego, co powinien z nimi zrobić.

Szymon uniósł brwi. Co do pierwszego, mógłby się zgodzić. Co do drugiego, z pewnością nie. Patryk nigdy nie chodził na demonstracje,

nie protestował publicznie, nie angażował się w politykę i nie robił nic, co przeniosłoby jego poglądy ze sfery teorii do praktyki.

– Uważa, że Opolszczyznę rządzi niemiecko-rosyjski konglomerat.

– Chyba niemiecki...

– Nie. Powiedział wprost, a potem rozwinął to w dość... sugestywny sposób.

– W jaki konkretnie?

Policjant nabrał głęboko tchu, jakby miał zamiar wygłosić długą przemowę.

– Utrzymuje, że współwłaścicielem ECO jest Edis Energia, niemiecka spółka, która...

– Nie musi nic utrzymywać. To fakt.

– Do którego dodaje także to, że właścicielem tej spółki jest E.ON.

– To też prawda.

Dyczewski pokiwał lekko głową.

– Cały problem polega na tym, że E.ON razem z BASF-em i niesławnym Gazpromem zbudował rurociąg, który z pewnością dobrze pan zna. Ten omijający Polskę po dnie Bałtyku i godzący w nasze interesy energetyczne.

– Nordstream.

– Zgadza się.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie komisarzu, ale...

– Jego zdaniem to spisek, który ma na celu osłabienie naszej sytuacji politycznej, gospodarczej czy co jeszcze pan sobie wymyśli. Element wojny hybrydowej, tak modnej ostatnio.

– Tak powiedział?

– Owszem.

Tego jeszcze Pająk nie słyszał. Jedyne opinie przyjaciela na temat wojny hybrydowej dotyczyły sytuacji na Ukrainie, a konkretnie Donbasu. W tym kontekście Mossakowski często mówił o początkowych elementach agresji rosyjskiej – tych, za które państwo właściwie nie poniosło żadnych konsekwencji, bo nie sposób było jednoznacznie wykazać winy. Pierwszy etap wojny hybrydowej.

– Mówi, że skład organów to... jak to określił... germański korowód.

– Że co proszę?

– Utrzymuje, że w zarządzie i radzie nadzorczej niemal wszyscy członkowie mają niemiecko brzmiące nazwiska.

– Bo pochodzą ze Śląska. U nas to nic dziwnego.

– Mnie o tym nie musisz mówić.

Szymon skinął głową. Tym razem sam poczęstował się papierosem z paczki leżącej na schodach.

– Symptomatyczne jego zdaniem jest to, że wciąż pojawiają się naciski na miasto, by wyzbyło się swoich udziałów w spółce i dokonało całkowitej prywatyzacji. Podkreśla też, że władze Opola zabiegają o szereg dokumentów od elektrociepłowni, których doprosić się nie mogą. Jego zdaniem mają się w nich znajdować dowody na celowe zawyżanie cen, działania monopolistyczne i inne elementy, które mają zdestabilizować sytuację w regionie.

– Więc...

– Więc to wszystko rezultat działań podjętych w ramach budowy Nordstream. Rozszerzenie współpracy niemiecko-rosyjskiej. Współpracy, która ma być początkiem wojny hybrydowej.

Pająk zmierzwił włosy. Właściwie nie dziwiło go, że przyjaciel opowiadał takie rzeczy. Przynajmniej w pewnym sensie. Po kilku głębszych zdarzało mu się przebąkiwać coś na ten temat. Zastanawiające było jednak to, że zdecydował się wygłaszać takie banialuki podczas przesłuchania.

– Do czego pan zmierza? – odezwał się Szymon. – Proszę mówić wprost, bez ogródek.

Dyczewski odetchnął, jakby przez cały czas obawiał się, że rozmówca nie zdzierży prawdy.

– O okularach i bluzce powiedział mu twój ojciec.

– Mój...

– Nie wiem, czy jest zamieszany w podłożenie tych rzeczy. Będziemy to ustalać.

– Ale...

– Kobieta, której ciało znajdowało się w kominie, to bezdomna osoba. Okazuje się, że wnęka była miejscem, gdzie czasem nocowali okoliczni kloszardzi, przynajmniej pod koniec tamtego dziesięciolecia. Potem zamknięto teren, trudno było się tam dostać. Mossakowski musiał się natrudzić, żeby przedostać się przez ogrodzenie. Potem wspiął się po zewnętrznej drabinie i zszedł na dół.

Pająk rozmasował skronie i zmrużył oczy.

– Skąd w ogóle wiedział, że jest tam jakieś ciało?

– Usłyszał o tym przypadku od jednego z bezdomnych, któremu dał piąta na wino. Rozmówca sam nie był pewien, czy to legenda, czy prawda, ale Mossakowski postanowił to sprawdzić. Gra z jego punktu widzenia była warta świeczki. Potem podłożył rzeczy, wrócił

i czekał.

– Czekał? Na co?

– Dowiedział się, że będą prowadzone prace konserwatorskie. Timing nie był przypadkowy. Przypuszczam, że przygotowywał się do tego od miesięcy.

– Musiał, skoro udało mu się znaleźć taką samą bluzkę.

– Teraz w Internecie jest wszystko.

Pająk wyobraził sobie Patryka, który z trudem ubiera zeszywniałe ciało i wzdrygnął się na tę myśl. Zaciągnął się głęboko. Miał wrażenie, że dym został całkowicie wchłonięty przez płuca. Kaszlnął kilkakrotnie.

– Ale w jakim celu to zrobił?

– Ponieważ wiedział, że nikogo nie obejdzie bezdomna.

– Słucham?

– Brzmisz, jakbyś był zdziwiony.

– Może jestem...

– Nie wydaje mi się – odparł pod nosem Dyczewski. – Doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że bezdomna kobieta, która umarła prawie dziesięć lat temu, nikogo by nie obchodziła.

Pająk się nie odzywał. Była to dojmująca myśl, ale trafna. Media niespecjalnie zainteresowałyby się sprawą, a z pewnością nie tak, jak w przypadku Anny. Młoda kobieta, która zaginęła bez śladu, stanowiła znacznie smaczniejszy kąsek dla opinii publicznej. Zainteresowanie trwało kilka dni. W przypadku bezdomnej skończyłoby się pewnie po kilku godzinach.

– Zależało mu przede wszystkim na zamknięciu całego kompleksu.

– W jakim celu?

– Chciał wykraść dokumenty, których ECO nie chciało przekazać miastu. Chciał udowodnić, że ma miejsce pierwszy etap wojny energetycznej. Tylko w ten sposób mógł dostać się do środka.

Pająk przez chwilę milczał. Papieros powoli wypalał mu się między palcami, aż w końcu żar sam spadł na schody. Szymon spojrzał na popiół.

– A więc to wszystko skutek paranoi? – spytał.

– Na to wygląda – przyznał podkomisarz i schował paczkę papierosów do kieszeni spodni.

– Cóż, zawsze mogłoby być gorzej, prawda?

– Owszem. Zawsze mogłoby chodzić o pobudki racjonalne.

– A są takie w wypadku zbrodni?

Policjant nie odpowiedział. Poklepał Pająka po plecach, a potem skierował się w stronę głównego wejścia do komendy.

Szymon został tam, gdzie był, dosłownie i w przenośni. Nie sądził bowiem, by kiedykolwiek miał dowiedzieć się, co stało się z Anną. Być może nikt jej nie porwał, nikt jej nie skrzywdził. Być może rzeczywiście kupiła ciemne okulary, bo jej się spodobały, a potem odjechała, zostawiając za sobą wszystko to, co jej nie odpowiadało.

Opole, marzec 2016 r.

Marcin Wroński

CZARCIA ŁAPA

I

Maj 1968

Kierowniczką lokalu drżącą ręką odstawiła kawę na spodek i zdusiła w popielniczce oblepionego czerwoną szminką carmena. Bez słowa wskazała tajniakowi salę, gdzie pracowała ekipa kryminalna.

Denatka leżała na brzuchu na małym podeście orkiestrowym pod ścianą. Zadarta krótka spódniczka, majtki wiszące na kostkach, stopy w czarnych pantoflach na płaskim obcasie, jak to u licealitek i kelnerek. Najwyraźniej dała się poderwać jakiemuś klientowi, zostali sami w kawiarni po zamknięciu, wtedy zbok zaatakował. Tym jednak powinien zająć się ktoś z komendy miejskiej, nie Aleksander Maciejewski, protegowany naczelnika Świdronia. Skrzywił się, gasząc ekstra mocnego obok carmena kierowniczkę. Pety dotknęły się filtrami, nie wyglądały jednak na dobraną parę.

Zrobił dwa kroki w głąb sali i zrozumiał, dlaczego komenda miejska narobiła w pory. Martwa dziewczyna miała na gołym pośladku wypalone znamię, jakby ktoś klepnął ją w tyłek żelaznym, rozpalonym do czerwoności łapskiem. Kolejna ofiara „Ognistego”, kukułcze jajo, w dodatku zgniłe! Maciejewski nie miał niestety pojęcia, kto mu je podrzucił.

– Dzień dobry, obywatelu poruczniku – przywitał się sierżant Leśniak. – Z torebki najwidoczniej nic nie zginęło. Portfel i jakieś dwieście złotych, dowód, legitymacja studencka KUL-u, szminka i inne babskie duperele.

Śledczy nachylił się nad ciałem.

– Co to ma być?! – warknął cicho. – Sprawę „Ognistego” prowadzi przecież kapitan Wiejak.

– Ja nic nie wiem, robię swoje. Lat dwadzieścia trzy, Zamorzyk

Janina. – Milicjant podał mu legitymację studencką w czarnej foliowej okładce. – Kierowniczkę zatrzymać?

Porucznik odwrócił się i zerknął na korpulentną brunetkę przy bufecie. Właśnie próbowała zapalić kolejnego carmena, ale płomień zapałki za nic nie chciał się zetknąć z papierosem.

– A co ona ma do rzeczy?

– No, jak to co, obywatelu poruczniku?! – Leśniak wydał wargi. – Ona zamykała kawiarnię wczoraj w nocy i otwierała dziś rano.

Flesz aparatu błysnął na bladej skórze zabitej dziewczyny. Śledczy zbliżył dłoń do wypalonego śladu.

– To nie była ręka kobiety. To był facet wyższy ode mnie – stwierdził.

– A z czego towarzysz podporucznik wnosi, że to ręka? – odezwał się zjadliwie gruby technik w ortalionowym płaszczu, ani myśląc grzecznościowo podciągać mu szarży do trzech gwiazdek. Maciejewski nie znał człowieka. – Dlaczego na przykład nie takie ustrojstwo jak do znakowania bydła? Towarzysz podporucznik obejrzy sobie jakiś western.

Towarzysz spojrzał na niego spode łba. Szlag, a więc zaczęło się! Wcześniej nikt nic do niego nie miał, a przez to niedawne przejście do komendy wojewódzkiej z miejsca narobił sobie wrogów. Tylko czego bardziej zazdrościli, cholera, perspektyw przyjęcia do pionu bezpieczeństwa czy trzypokojowego mieszkania w nowym budownictwie?

– Nie jesteście tu od hipotez – warknął, wyciągając z kieszeni marynarki paczkę ekstra mocnych.

– Ja tam nawet nie wiem, co to hipoteza. Ze wsi jestem. – Technik wzruszył ramionami. – Jak chcecie palić, to wyjdźcie. Zanieczyścicie ślady.

Porucznik dobrze wiedział, że to tylko pretekst. Gdyby rzeczywiście na podłodze zostały jeszcze jakieś ślady, ci wszyscy milicjanci tutaj już dawno by je zdeptali. Wrócił do bufetu i ciężko oparł się o ladę. Pierwsza zapałka trzasnęła mu w palcach, druga tylko syknęła...

– Panie kapitanie... – Kierowniczka podała mu ogień. Piła kolejną kawę, brzeg szklanki był w kilku miejscach czerwony podobnie jak filtry carmenów w popielniczce, ale szminki na ustach i tak sporo jeszcze zostało. – Ja naprawdę nie mam pojęcia, skąd ona tu się wzięła. Kiedy zamykałam, lokal był pusty, panie kapitanie.

– Czyli to nie była pani kelnerka? – Zaciągnął się nerwowo. Nawet tego mu nie powiedzieli, sukinsyny!

– Nawet nie klientka. Pierwszy raz ją widzę, panie kapitanie! – Kierowniczką chciała chyba położyć rękę na sercu, ale przy jej gabarytach mogła tylko kuszaco złapać się za biust. W innej sytuacji Olek Maciejewski sam byłby ciekaw, czy przez taką warstwę apetycznej tkanki da się w ogóle wyczuć pulsowanie zza żeber.

– Nie jestem kapitanem – odparł. – Złóż pani zeznania na komendzie i pójdzie do domu. Lokal trzeba będzie zamknąć, przynajmniej dziś.

Wyszedł na ulicę i zaraz wpadł na jakąś wycieczkę szkolną. Nauczycielka, pokazując szyld kawiarni Czarcia Łapa, opowiadała dzieciom o diabelskim sądzie sprzed wieków.

– ...A wtedy biedna wdowa oszukana przez magnata i przekupnych sędziów, zawołała: „Nawet diabeł wydałby sprawiedliwszy wyrok!”. I rzeczywiście nocą przed Trybunał zajechały czarne karoce, wysiedli z nich szatani i na nowo rozpatrzyli proces, biorąc w obronę umęczoną wdowę. Na dowód, zamiast podpisu jeden odbił swoją łapę na stole, który zobaczymy w muzeum. Taką jak na tym szyldzie. A szyldy, co wiecie już z lekcji, przed wiekami, kiedy panował analfabetyzm, wieszano...

Zaciągnął się i z papierosem przyklejonym do wargi poszedł w stronę Bramy Krakowskiej. W wąskich uliczkach Starego Miasta jego szeroka warszawa ledwie brała zakręty, więc zostawił ją pod budynkiem Miejskiej Rady Narodowej.

Zamyślony o mało nie wpadł na wariata, który wymachując rękami, kierował ruchem na skrzyżowaniu. Całą zimę był z nim spokój, ale już w marcu znowu się pojawił. Widocznie w psychiatryku w Abramowicach też mieli go dosyć.

*

– Wyście się, kurwa, przedwojennych kryminałów naczytali! – warknął komendant Grabarz.

Podporucznik Maciejewski zerknął ostrożnie na majora Świdronia, naczelnika Wydziału Śledczego. Ten jednak nawet nie podniósł oczu znad papierów. Udawał, że szuka czegoś w ściśle tajnych aktach opatrzonych kryptonimem „Ognisty”, chociaż znał je na pamięć.

Sprawa była delikatna. Podczas gdy całe Katowickie huczało od plotek o wampirze z Zagłębia, w Lublinie zaczął grasować lepszy zawodnik. Nie żaden chamski cios tępym przedmiotem w głowę,

u niego zgwałcenie poprzedzał zastrzyk trucizny, a wieńczył wypalony na ciele ofiary odcisk dłoni. I o jednym, i o drugim mówiono w kolejkach, autobusach i zakładach pracy, choć gazety pisały o zamieszkach w Paryżu i imperialistycznej polityce Izraela. W kwitach dochodzeniowców ten ze Śląska zwany był „Rybą”, a lubelski „Ognistym”, bo nawet pod pieczęcią tajności obowiązywał światopogląd materialistyczny. Do tego, jak sobie radziło katowickie KW, Olek Maciejewski nie był dopuszczony. Jeśli chodziło o Lublin, miał wiedzę. Że brak wiedzy. Że milicja była w takiej samej czarnej dupie, co Amerykańce w Wietnamie.

– W Polsce Ludowej – ciągnął komendant – można zarębać po pijaku szwagra, zrobić manko w kasie, okraść magazyn spółdzielni albo zwędzić komuś syrenkę. I to jest, zapamiętajcie sobie, kompletna lista przestępstw, o których społeczeństwo może czytać w „Kurierze”. Żadnych wampirów z czarcią łapą! *Poniał?*

Wyglądał się jak ostatni ćwok! Jest taki desperacki moment w śledztwie, kiedy faktycznie społeczeństwo powinno zostać powiadomione i poproszone o współpracę z milicją, tego uczyli w Szczytnie. Niestety Olek Maciejewski zrobił falstart. Falstarty są zaś niepolityczne i on, skoro marzył o przejściu z pionu kryminalnego do Służby Bezpieczeństwa, jak nikt inny miał obowiązek o tym pamiętać.

Rzucił okiem na podpułkownika Gozgawę, zastępcę komendanta do spraw esbeckich. Wyraz jego twarzy powinien być niczym papier lakmusowy, Niestety Gozgawa miał predyspozycje do funkcji: na jego nalanej gębie wszystko się rozpląwało równie szybko, jak w błotnistym bajorze. Gryzmolił coś w notatniku – może w związku ze sprawą, a może projektował sobie nowy krój munduru galowego. Esbek, chociaż tęgi, z krótką szyją i bulwiastym nosem, nosił szyte na miarę garnitury i białe krawaty do ciemnych koszul, po włosku. Ktoś w śmietniku znalazł jego szkic białego munduru milicyjnego z admirałskim akselbantem. Krawiec niespełniony, mógłby chociaż dać znać, co myśli!

– *Poniał*, obywatelu pułkowniku! – Śledczy stanął na bacność, mimo to wciąż wydawał się sobie za mały na ten obszerny gabinet z długim stołem konferencyjnym. Komendant umyślnie kazał mu usiąść na końcu, dobre dziesięć metrów od swojego biurka: „Znaj, gówniarzu, swoje miejsce! Za szybko idziesz w górę”.

– Czy również mogę się odmeldować? – Świdroń chrząknął.

„Znacząco?” – zastanowił się podporucznik. A może tylko przez te

trzy paczki papierosów dziennie?

– Tak, idźcie, roboty od cholery! Musimy coś mieć, majorze, zanim to dojdzie do Warszawy – powiedział Grabarz już bardziej układnym tonem.

Komenda wojewódzka, choć niczym dobry esbek dyskretnie schowana za kamienicami przy Narutowicza, niebijąca po oczach swym ogromem jak warszawski Pałac Mostowskich, była imponującym gmachem. Tak wielkim, że nawet z jej piwnic aresztowany miał widok na Syberię. I dość obszernym, aby idąc jej korytarzami z gabinetów komendantury do Wydziału Śledczego, mijając obite gąbką i skórą pomieszczenia pionu bezpieczeństwa, móc po drodze rozważyć wszystkie okoliczności i podteksty.

Maciejewski był pewien, że to najważniejsze zdanie komendanta padło dopiero na koniec: „Musimy coś mieć, zanim to dojdzie do Warszawy”. Czy był jakiś powód, dla którego komenda główna uważniej niż zwykle patrzy Grabarzowi na ręce? Przecież nawet śledztwo w sprawie zagłębiowskiego wampira Katowice prowadziły własnymi siłami, mimo że jedna z ofiar nazywała się Gomółka, a inna Gierek. A ta Zamorzyk... Zamorzyk... Nie, to nic porucznikowi nie mówiło, chociaż nazwiska członków rady ministrów, a także komitetów centralnego i wojewódzkiego partii znał na pamięć. To najważniejsza sprawa, gdy się chce robić karierę.

Skojarzenie z tajemniczymi zabójstwami na Śląsku było pierwszym, jakie przyszło podporucznikowi do głowy. Może jednak szło o politykę? Dziewczyna z katolickiego uniwersytetu, w marcu mogła brać udział w ekscesach. Warto sprawdzić. No, ale dopiero maj, więc jeśli miała coś wspólnego z grupami Michnika, Kuronia albo Modzelewskiego, powinna jeszcze siedzieć. Zresztą, gdyby nawet, to zabójstwo takiej reakcyjnej dziwki nawet dobrze robi. Nie boją się esbecji jak należy, gnoje, ale wampira powinni się przestraszyć.

Świdroń wciąż milczał.

– Obywatelu majorze... – zaczął cicho Maciejewski.

– Tak? – Naczelnik odwrócił się.

Dopiero teraz śledczy zauważył jego napięte mięśnie twarzy i że wciąż zwisał mu z ust niezapalony papieros. Błąd, tak oczywiste sygnały trzeba zauważać od razu!

– Pozwolicie, obywatelu majorze... Dziesięć minut dosłownie.

– No to wejdź, Olek. – Świdroń wskazał drzwi gabinetu. – I przestań, ja cię proszę, z tym obywatelem majorem, jesteśmy u siebie.

*

Podporucznik kulił się nad niskim stolikiem na obitej skajem kanapie. Ktokolwiek ją tu postawił, najwyraźniej zapomniał, że ludzie mają na ogół więcej niż metr sześćdziesiąt w kapeluszu. Albo przeciwnie – pamiętał o tym dobrze... Wuzetkę z żółtawym kremem i śledzia w oleju śledczy odsunął jak najdalej, ale zamówić musiał, bo do kawy należy się ciastko, a do wódki zakąska. Kawiarnia Trojka nie robiła wyjątków.

– Jeszcze raz to samo, proszę pani! – skinął na kelnerkę w czepku mającym chyba przypominać ludowe nakrycie głowy któregoś z bratnich narodów Związku Radzieckiego.

Baba podeszła powoli, ale czego można wymagać od kogoś, kto proporcjami ciała przypomina Matrioszkę. Po dwóch papierosach przyniosła czarną lurę i setkę wódki, a do tego kolejnego śledzia i kolejną wuzetkę.

Śledczy zapalił papierosa. To, co powiedział mu Świdroń, początkowo nawet go pocieszyło – słusznie typował sprawę jako polityczną. Jednak o suchym pysku trudno mu było myśleć o wnioskach z ich nieoficjalnej narady.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, Olek, z tego może być prowokacja antysemitka – szepnął mu Świdroń, jeszcze bardziej pogłaśniając radio, z którego Niemen wył, że dziwny jest ten świat. I miał rację, hipis cholerny!

– No ja rozumiem, panie Zdzisławie, że ekstrema, syjoniści, Kuronie i inna reakcja. Ale co ma taki zboczeniec do Żydów?

– Rok temu to byłaby może tylko robota zboczeńca, ale dzisiaj to równie dobrze może być mord rytualny. Historia kołem się toczy, Olek, i znowu, jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o Żyda – uśmiechnął się naczelnik. – Wystarczy puścić w miasto plotkę. Aktyw robotniczy nie śpi.

– A kto by coś takiego zrobił?

– A skąd mam wiedzieć kto? – Major wzruszył ramionami.

W jego oczach błysnęło na moment coś takiego jak dawniej, gdy razem jedli śniadania w piżamach, a mały Olek nie bardzo rozumiał, dlaczego musi mu mówić „wujku”, a nie „tato”. Zrozumiał w pięćdziesiątym szóstym, kiedy Gomułka został pierwszym sekretarzem, a matka przestała dygotać na każde niespodziewane

pukanie do drzwi i rozstała się z milicjantem. Zgodnie i kulturalnie.

– Grabarz już raz miał coś takiego w gardle i wypluł. Ba, mało nie wyrzygał! – Świdroń pokiwał głową. – W czterdziestym piątym. Ale ktoś mu pomógł i Grabarz wkrótce awansował. Moja rada, Olek, idź z tym do ojca.

– Co?! – Podporucznik poderwał się z siedzenia. – Ja nawet nie pamiętam, kiedy go ostatnio widziałem! Nie rozmawiamy ze sobą.

Nie mieli o czym. Już w szkole Olek musiał iść w zaparte, kiedy koledzy pytali, kim był jego prawdziwy ojciec. Bezbłędnie recytował wersję wbity mu do głowy przez wujka Zdzisia i mało kto wiedział, że granatowy policjant, faszystowski kolaborant tkwił jak drzazga w jego papierach. Gdyby nie protekcja Świdronia, nie trafiłby po wojsku na kurs oficerski do Szczytna. Byłby co najwyżej zaopatrzeniowcem w jakiejś spółdzielni. Ojcu, prócz kłopotów, nie zawdzięczał niczego.

– Lepiej dla ciebie, żebyście porozmawiali – pokiwał głową naczelnik. – *Aluzju nie poniał?* To on wtedy rozwiązał sprawę za Grabarza.

– Jest jakaś druga opcja? – Porucznik opadł na krzesło i sięgnął po papierosa.

– Praktycznie nie ma, Olek. Sam jesteś jeszcze za cienki na takie historie, a jeśli sądzisz, że ja ci pomogę, to wybacz... Chciałbym dociągnąć do emerytury za tym biurkiem. Zresztą, jeśli ja teraz spadnę w dół, ty polecisz razem ze mną. – I nie czekając, aż młody Maciejewski cokolwiek powie, ciągnął: – Druga opcja to Warszawa, bo nasz pion bezpieczeństwa najwyraźniej nie chce tego wziąć na siebie. Przyślą kogoś, kto rozstawi wszystkich po kątach i łby polecą. Oj, poturlają się jak cholera! Ty wylądujesz w jakiejś komendzie powiatowej pod Chełmem albo i dalej. Przy okazji, jak ci się mieszka z Wandzią na LSM-ach? Nowe osiedle, ładna okolica, dużo zieleni, szkołę budują, przedszkole...

– Dobrze, pójdę, panie Zdzisławie – westchnął podporucznik.

Bezbłędnie trafił pod rozpadającą się ruderę z zaśmieconym podwórkiem, tyle że nikogo nie zastał. Postanowił więc trochę się wzmocnić przed rozmową z wrogiem Polski Ludowej. A Trojka była najbliżej.

II

Zyga Maciejewski, były komisarz policji, wypił dwa duże jasne przy

budce na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Lipowej, a teraz szedł w stronę Konopnickiej, gdzie jego przedwojenny podwładny, Witek Fańiewicz, prowadził mały sklep zoologiczny. Najbliżej miał przez Szopena, lecz wybrał dłuższą trasę. Nie chciał oglądać dawnej siedziby NKWD i Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Wprawdzie z kamienic dawno zniknęły czerwone tablice ze złowróżbnymi nazwami, ale w nim te miejsca wciąż budziły jak najgorsze wspomnienia. Choć i tak wywinął się tanim kosztem, wystarczyło wstawić sobie sztuczne zęby. Fańiewicz też wyszedł żywy, niestety ze sztywną nogą.

Po drodze Zyga wstąpił do monopolowego i z dwiema setkami wódki w kieszeniach marynarki wszedł w bramę starej kamienicy. W drzwiach sutereny przywitał go charakterystyczny zapach, jak z gołębnika.

– Witek, kontrola skarbową! – zawołał, pchnąwszy drzwi.

Zaświergotał kanarek i zaczęły wrzeszczeć papugi. Poruszyła się kotara przy wejściu na zaplecze.

– To ty, Zyga – zauważył Fańiewicz, choć oczy miał tak czerwone od wódki, że mógł nawet nie poznać, kto przyszedł.

Na zapleczu siedział nad flaszką jeszcze jeden człowiek, już zupełnie rozkrochmalony. Gdy spojrzał w stronę wejścia, Maciejewski dostrzegł, że płacze.

– Pan Feldbaum? – zdziwił się przedwojenny komisarz. Dopiero teraz sobie uświadomił, że gdy mijał zakład krawiecki tego zawsze punktualnego Żyda, drzwi były zamknięte na kratę. No tak, i brakowało szyldu! – Przecież pan nie pije.

– Panie Maciejewski, ja już tu nie mieszkam, ja już tu nie pracuję. Można powiedzieć, że mnie już w ogóle nie ma. To co mam się nie napić? – Krawiec podniósł na niego szkliste oczy. Choć zawsze chudy, teraz wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z obozu.

– Stało się coś, panie Feldbaum? – Zyga podszedł bliżej. Jedna z flaszek brzęknęła ostrzegawczo, gdy poła marynarki zawadziła o ladę.

– Nic, zupełnie nic! – Stary Żyd wychylił niemal pełną szklanekę.

W przypadku takiego abstynenta to było niczym samobójstwo, o dziwo jednak, nawet go nie zatkało.

– Jakoś nie zabili mnie w lagrze, szczęśliwie nie pojechałem do Kielc w czterdziestym szóstym, za to wczoraj z rana przyszło do mnie dwóch panów. Też powiedzieli „kontrola skarbową”, tak jak pan przed chwilą,

tylko nie na żarty. I nie ma mnie, panie Maciejewski! Nie trzeba było tak długo myśleć nad tą jesionką, bo już jej panu nie poprawię.

– A w dupie tam z jesionką! – mruknął Zyga.

Jednak Feldbaum go nie słyszał. Zmęczony walnął głową o stół i zasnął kamiennym snem.

– Daj mu na klina, jak się ocknie. – Maciejewski wyciągnął z kieszeni jedną setkę. – Przyjdę innym razem.

Do domu wracał długo. Trolejbus gubił pałaki na każdym zakręcie i kierowca wychodził je zakładać, przy okazji wypalając papierosa z konduktorem. Za socjalizmu Lublin stał się obrzydliwym miastem, stolicą polskiej prowincji. Mijając LSM, Zyga widział przez brudne okno krowy pasące się obok nowych bloków. Nie brakowało też świń na chodnikach, jak przed wojną w Tarnopolu. Tylko te lubelskie dla niepoznaki nosiły koszule polo i płaszcze z ortalionu. Nawet za okupacji nikt by czegoś podobnego nie włożył.

Jedno się jednak nie zmieniło: gdy przed domem czekał potężnie zbudowany typ w skórzanej marynarce, a obok niego walało się kilka świeżych niedopałków, mogło to wróżyć wyłącznie grube kłopoty.

– Pan władza się zgubił? – mruknął Zyga, podchodząc bliżej. Gdy jednak facet spojrzał mu prosto w oczy, papieros wypadł byłemu komisarzowi z ust. – To ty? Co ty tu robisz? Coś z matką?!

– Niby co cię może obchodzić moja matka! – warknął młody Maciejewski. – Mam interes do ciebie.

– No to przyślij mi wezwanie przez dzielnicowego – warknął dawny glina – bo ja do ciebie nie mam interesu.

– A pamiętasz Grabarza i tę sprawę w czterdziestym piątym? – spytał milicjant.

Skłął się w myślach, że za wcześniej wyciągnął tę kartę z rękawa, ale chyba pomogło, bo ojciec wyraźnie się zamyślił.

– Skąd o niej wiesz? – zapytał po chwili.

– Od Świdronia. Major Świdroń, naczelnik Śledczego w wojewódzkiej. Mój przełożony.

– Więc nie jesteś esbekiem? – Zyga przyjrzał się synowi jakby życzliwiej.

– Nie – pokręcił głową Olek Maciejewski. I od razu wyczuł, że operacyjnie to była dobra odpowiedź.

Po sprawie z czterdziestego piątego, za którą Grabarz dostał awans, pozostał tylko jeden jawny ślad: pożółkły „Sztandar Ludu”, który teraz młody milicjant trzymał w rękach.

ZDEMASKOWANA PROWOKACJA LUBELSKICH NAŚLADOWCÓW HITLERA

Dnia 18 IX b.r. szajka NSZ-etowskich prowokatorów próbowała wywołać ekscesy antyżydowskie, wykorzystując fakt zniknięcia 14-letniej dziewczynki, Zofii Koprowskiej. Lubelscy naśladowcy hitlerowskich metod puścili pogłoskę, jakoby Żydzi uprowadzili dziewczynkę, aby ją zamordować do celów rytualnych. W wyniku prowokacji przy ul. Lubartowskiej 18 zbiegły się grupy mętów społecznych podsycane przez prowokacyjne elementy NSZ-etowskie, chcąc demolować mieszkania żydowskie. Sprawą zajęły się Organy Bezpieczeństwa. Stwierdzono – 17 IX znikła Zofia Koprowska z domu. Zofia, nie zdawszy do 7-go oddziału, podrobiła świadectwo szkolne, pokazując je ojcu. Ten chciał je wykorzystać do zapisania córki do gimn. im. Vetterów – 17 IX Zofia w obawie przed ojcem uciekła do W-wy. Ojciec nie zastawszy córki w domu, zameldował o tym 18 IX do Milicji. Trzy dni potem rodzice odebrali zdrową i całą dziewczynkę z Komendy Miejskiej MO.

– I to tyle? – zapytał. – Równie dobrze mogłem pójść do biblioteki.

– No, mogłeś synek, ale milicjant w bibliotece? – burknął Zyga.

Siedział na taborecie po drugiej stronie starego stołu, z którego blatu już całkiem zeszała politura. Dalej stało rozgrzebane łóżko i podrdzewiały żelazny piec. Typowe wnętrze pijackiej meliny. Kilka takich podporucznik miał okazję zwiedzić na początku służby. Jednak zawartość starej walizy zdjętej przez ojca z wypaczonej szafy już mniej do tego miejsca pasowała: trochę starannie wyselekcjonowanych gazet, kilka jeszcze sprzed wojny, trochę dokumentów i szwabska książka, *Der Prozess* jakiegoś Franza Kafki, chyba prawnicza... Jednak ćwiczone mozolnie oko śledczego od razu wychwyciło charakterystyczny szczegół: w tym małym archiwum nie było żadnych zdjęć. Całkiem sprytnie.

Ojciec przelał właśnie zawartość wyjętej z kieszeni buteleczki do musztardówki. Na elektrycznej maszynie w kuchni szumiał cicho czajnik.

– Świdroń mówił, że masz wiedzę o tej sprawie – powiedział podporucznik tak spokojnie, jakby mu średnio zależało.

– „Masz wiedzę”? – uśmiechnął się Zyga. – Więc to będzie taka gadka!

Jak glina z gliną, tak? Ale my jesteśmy gliny z innej gliny, synek. Gadam z tobą tylko przez sentyment do matki i bo nie jesteś z bezpieki. Choć, póki co, wierzę tylko na słowo.

Olek wyjął z kieszeni podłużną legitymację w plastikowej okładce i rzucił ją na stół. Ojciec jednak nawet do niej nie zajrzał.

– Chcesz kawy? – zapytał. – Nie taka jak przed wojną, ale przynajmniej nie z cykorii.

Młody Maciejewski wypił od rana już chyba pięć i czuł, że zaraz eksploduje, ale to nie był najlepszy moment, żeby mówić „nie”. I to niezależnie od tematu.

– Poproszę, tylko bez mleka.

– A co to ja pedał jestem? – burknął już z kuchni przedwojenny komisarz. – No, referuj, jaką ty masz wiedzę.

Właściwie to było gównem nie wiedza, o czym przekonało Olka kilka celnych pytań, jakie zadał mu ojciec. Potrafił tylko opisać miejsce zbrodni i streścić wstępny raport lekarza – szybka śmierć, zapewne trucizna i brak śladów gwałtu. Gdy przyszło do hipotez śledczych, powiedział jedynie o swojej wersji ze zboczeńcem i o tej politycznej Świdronia. Na temat „Ognistego” musiał milczeć.

– Wątek żydowski to bzdura, ale tak żeście zbydlęcili to miasto, że ludzie mogą kupić i taką wersję – pokiwał głową Zyga. – Sprawa tej Koprowskiej z czterdziestego piątego była lepiej zmontowana, dobrze podparta antysemitkami rozruchami w Krakowie. Wszystko zależało od szybkiej reakcji policji... znaczy milicji – poprawił się i rozlał do obu kaw resztkę wódki z musztardówki. – Grabarz posłuchał dobrej rady, no i miał jaja, trzeba przyznać. To, że sam jest Żydem, nie miało tu nic do rzeczy.

– Komendant jest Żydem? – zdziwił się podporucznik. – No to... – Ugryzł się w język. Zaczynał rozumieć, dlaczego pułkownik miał stracha. Tacy jak on od paru miesięcy wylatywali na zbity pysk z dużo lepszych stanowisk.

– No to co?! – oburzył się stary Maciejewski. – Że kosztem Żydów zrobicie sobie teraz więcej *Lebensraum*, jakby powiedział doktor Goebbels?! – Łyknął kawy z prądem. – Ale, jak mówię, to nie miało nic do rzeczy, chociaż on był Grabarz, a jego siostra nazywała się Grejber. Ważne, że postawił się swoim towarzyszom, moczarowcom jebanym, którzy montowali pogromy. Najpierw Kraków, potem Lublin, wreszcie Kielce. Kraków przymiarka, Lublin zupełna porażka, za to w Kielcach pełny sukces.

– A twój udział? – Olek nadstawił ojcu paczkę papierosów.

– Nie rób mi przesłuchania. – Zyga pokręcił głową i wziął własnego sporta. – Jesteś bez kolegów, a ja wciąż jeszcze potrafię przypierdolić. Mój udział też nie ma tu nic do rzeczy. A ta twoja denatka, pogrzebałeś jej w życiorysie?

– Dwadzieścia trzy lata, niekarana, szkoła, studia. Co to za życiorys? – prychnął milicjant.

– Może za mało pogrzebałeś. Ten diabeł z legendy odciska łapę na wyroku. Może to miała być tylko wiadomość dla wszystkich ładnych dwudziestoparoletnich blondynek, że jedna w drugą są kurwy albo to był sąd doraźny i egzekucja na tej konkretnej blondynce. Tyle że na zdradzonego chłopaka to nie wygląda. Taki by pociął buzię żyletką.

Olek potaknął obojętnie, choć słuchając ojca, poczuł cień uznania. Stary pijak gadał jak rasowy glina, tylko naiwnie. Te wszystkie jego, że to czy tamto nie ma nic do rzeczy... Wszystko ma coś do rzeczy, bo w Polsce Ludowej nie istnieją apolityczne trupy. Major Świdroń był od stwierdzenia stanu faktycznego, podpułkownik Gozgawa od przydatności politycznej wyników, komendant Grabarz teoretycznie od syntezy zgodnie z dialektyką, lecz młody śledczy zaczął się właśnie zastanawiać, czy – niczym nadbudowa w filozofii marksistowskiej – nie pełnił w tej trójcy roli jedynie kwiatka do kożucha.

– Słuchaj, musisz ze mną pojechać do tej kawiarni.

– Ja? – zaśmiał się Zyga. – Ja jestem na emeryturze.

– Ale jesteś mi coś winien. – Podporucznik rozduśił papierosa w nigdy chyba niemytej popielniczce.

– A niby dlaczego?

– Zostawiłeś matkę!

– Nie zostawiłem twojej matki.

– Nie? Widziałem w jej papierach twój pozew rozwodowy. „Jako zaciekły wróg Ludowej Ojczyzny, chcąc rozbić podstawową komórkę społeczną, jaką jest socjalistyczna rodzina, z uwagi na fakt urodzenia dziecka wnoszę o rozwód z Różą Maciejewską”. Nie napisałeś tak? A może powiesz, że cię bezpieka zmusiła?

– Napisałem chyba „zajadły” i nie „ludowej”, tylko „demokratycznej”, ale w moim wieku mogę już nie pamiętać. A jeśli nie rozumiesz, że napisałem to dla waszego dobra, w ogóle nie chce mi się z tobą gadać. Twoja matka zrobiła potem... – zająknął się – pewnie to, co musiała.

– Ale teraz ty musisz mi pomóc... ojciec – z trudem wyrzucił z siebie Olek. – Jeśli nie rozwiążę szybko tej sprawy, to mnie nie ma.

Nawet nie przypuszczał, jaki skutek odniosą te słowa. Tym bardziej nie mógł wiedzieć, że stary Maciejewski tego dnia słyszał podobne zdanie już po raz drugi. Zaraz wstał i podniósł rzucony na łóżko kapelusz. Był gotów.

*

Młody Maciejewski niecierpliwie palił papierosa. Ledwie zaparkował warszawę na Rady Delegatów, ojciec kazał mu zaczekać i wdał się w rozmowę z tym wariatem, który w swoim mniemaniu kierował ruchem. Pieprzyli coś o jego obywatelskiej postawie i o inspekcji ruchu kołowego. Dlaczego psychicznego nie zdjął żaden patrol? Podporucznik miał szczery zamiar zrobić o to nazajutrz raban.

– Ojciec, czemu mi robisz na złość? – zapytał, kiedy wreszcie weszli na Stare Miasto.

– Na złość? – zdziwił się Zyga. – Rozpytałem świadka. Wczoraj późnym wieczorem widział czarną wołgę.

– To kretyn!

– A wy niby mądrzy? – zaśmiał się stary Maciejewski.

Milicjant zerwał plomby i weszli do kawiarni. Rozłożył na stoliku zdjęcia denatki, ale ojciec nie od razu się nimi zainteresował. Najpierw obejrzał dokładnie zamek u drzwi, potem z różnych stron obrys ciała, na koniec zszedł do piwnicy. Olek rzucił marynarkę na krzesło i poszedł za nim.

– Szukasz przedwojennego wina? – warknął.

– Wolę wódkę – odparł były komisarz. Rozejrzał się po ścianach, wszystkie jednak były zastawione skrzynkami pełnymi pustych butelek. – Wygląda, że nie ma przejścia.

– A skąd by się miało wziąć? – wzruszył ramionami Olek.

– Stąd, że Stare Miasto wyremontowaliście tylko od frontu, a fundamentami nikt się nie zajął. – Zyga odsunął nieco skrzynki, ale za nimi była tylko wilgotna ceglana ściana. – Tu są lochy. Przed wojną chcieli je nawet zbadać, tylko zabrakło czasu.

– Że niby on mógł tu wejść od piwnicy, a nie włamać się drzwiami?

– Dlaczego mówisz „on”? – Ojciec otworzył szeroko oczy. – Ich było przecież dwoje. Pytanie, dlaczego z nim poszła.

– Ty też tu ze mną przyszedłeś! – zarechotał milicjant.

Zyga podrapał się po łysinie.

– Niegłupia hipoteza – stwierdził. – Szkoda tylko, że trafiła ci się jak ślepej kurze ziarno. Chodźmy, bo korzenie zapuścimy.

Olek zupełnie nie rozumiał, co ojciec miał na myśli, mówiąc o hipotezie. Że niby tamten zboczeniec zwabił dziewczynę do nieczynnej kawiarni, bo chciał jej pokazać coś ciekawego? Klaser ze znaczkami czy jak?!

Zgasił światło i zamknął drzwi piwnicy. A kiedy się odwrócił, stary Maciejewski buszował już za barem.

– Siadaj – wskazał synowi krzesło.

– Po co? – zdziwił się Olek.

– Skoro już przyszedliśmy do knajpy, to bym się napił. – Zyga sięgnął po wyborową i z wprawą nalał po setce. – Ty nie? Jesteśmy podobno rodziną.

III

Drzwi trzepnęły o futrynę, aż Olkowi pociemniało w oczach. Że tego ranka Wanda w ogóle go zauważyła, świadczył tylko talerz z jajecznicą postawiony z takim rozmachem, aż kilka żółtawych glutów chlapnęło na ceratę. Nie tknął śniadania. Wszystko go brzydziło i wszystko mu śmierdziało. Poczuł się nieco lepiej dopiero, gdy, dochodząc do cmentarza, zgasił na chodniku drugiego ekstra mocnego.

To wszystko nie tak miało wyglądać. Ojciec miał go posłuchać bez żadnych warunków, w końcu był mu coś winien za schrzanione dzieciństwo. A nawet jeśli skończyłoby się na wódce, to stary miał się zwalić pod stół, rzygać i bełkotać, natomiast Olek miał dziarsko wstać i jeszcze wrócić do domu samochodem. Co, że był po spożyciu? Lublin i tak od wyzwolenia chodzi spać z kurami, a milicjanci nie łapią innych milicjantów, zwłaszcza z komendy wojewódzkiej.

Tymczasem podporucznik najpierw pomylił bloki, bo wszystkie pobudowali takie same, potem ledwo wdrapał się na trzecie piętro, a gdy padł na łóżko, ono z miejsca zaczęło odstawiać karuzelę...

I że też musiał tak zalać pałę akurat teraz, gdy wynikła ta sprawa z Czarcią Łapą! Normalnie wzięłby zwolnienie lekarskie i miał w dupie, kto kogo dźgnął po pijaku. Doczłapał na komendę, zameldował się Świdroniowi. Kilka pierwszych minut ledwie słyszał, co mówi do niego major.

Naraz wytrzeźwiał.

– Jak to pracowała dla Służby Bezpieczeństwa?! – Potrząsnął głową.
– I nikt nam tego wczoraj nie powiedział?

– Ta Zamorzyk nie była funkcjonariuszką, tylko tajną współpracowniczką. Wy jacyś nieprzytomni jesteście, poruczniku!

Śledczy zmartwiał. Już urobił ojca, a tu zanosilo się na to, że bezpieczeństwo przejmie sprawę. A jeśli nawet nie, to wydeleguje śledczego, który w razie powodzenia spije całą śmietankę, a w razie niepowodzenia osobiście kopnie młodego Maciejewskiego w dupę. Choć z drugiej strony otwierało to nowe możliwości...

– Nie, ze mną wszystko w porządku. – Nabrał powietrza. – Prowadziłem czynności i...

– Olek, nie pierdol! – przerwał mu Świdroń. – Gołdę piłeś, a nie prowadziłeś czynności. Chyba że... – major podrapał się w głowę – chyba że posłuchałeś mojej rady.

– Potrzebuję kilku dni, góra tygodnia – obiecał młody Maciejewski.

Może i zabrzmiało to szczerze, może nawet wiarygodnie, jednak wciąż nie miał nic. Tyle dobrego, że znalazł pretekst, by urwać się z komendy – ktoś musiał zdecydować, czy można otworzyć już kawiarnię i podpisać protokół zdjęcia pieczęci. A przy okazji Olek chciał sprawdzić, czy jego warszawa stoi jeszcze na Rady Delegatów, czy ma jeszcze koła i wycieraczki.

*

– I dobrze jest, kurwa jego mać! – wywodził oparty o kiosk z piwem grubas w rozchełstanej robociarskiej kurtce i z potężnymi, kudłatymi bokobrodami. – Ma być demokracja i socjalizm, tak?

– Ma być, ale nie powiedzieli kiedy. – Zyga Maciejewski umoczył usta w jasnym pełnym. Było ciepławe, za to kufel dostał nawet czysty i mało wyszczerbiony.

– Jak nie powiedzieli?! Właśnie mówią. – Robotnik nie wyglądał na prominentnego członka partii, jednak sądząc po pijackim nosie, mógł być nieślubnym synem ministra Moczara. – Nie podoba się, to won do Izraela czy gdzie tam, tak? Za sanacji były nasze ulice, ich kamienice, teraz też wszystko mieli, Hitlera na takich było mało... No sam pan powiedz – grubas zwrócił się wprost do Zygi, jedyne go faceta przy kiosku, po którym było widać, że kawał życia upłynął mu przed wojną. – Było tak, czy nie było? A nawet za demokracji ludowej widziałeś pan

Żyda pracującego w pegieerze albo Żydówkę robiącą gdzie za sprzątaczkę? Wszystko poszło w dyrektory, kurwa jego mać, a my musimy od rana pić tę szczynę i to na stojaka.

– No, na stojaka. – Maciejewski pokiwał poważnie głową.

Facet, jakby zapomniał, co przed chwilą mówił, ze smakowitym mlaśnięciem dopił swoje piwo i kiwnął do kioskarza, by dawał kolejne. Reszta klientów – też głównie w robociarskich ubraniach – otoczyła swojego towarzysza jak na wiecu.

– Żeście słyszeli o tej zabitej dziewczynie na Starówie, tak? A w „Kurierze” który czytał? Pan żeś czytał? – spytał Zyge, a gdy ten pokręcił głową, bardzo się ucieszył. – A widzisz pan! Bo kto rządzi państwową prasą, jak nie Żydzi?! Nie napiszą przecież o Polce, którą jakiś gudłaj zgwałcił, zarznął i jeszcze wyciął jej na brzuchu gwiazdę Dawida!

– Ja słyszałem, że nie na brzuchu, tylko na dupie. I nie gwiazdę, tylko... – Maciejewski zaciągnął się głęboko papierosem – tylko jakąś figurę.

– Panie, co pan żeś mógł słyszeć?! – Grubas odstawił piwo na wąski blat przy kiosku, aż chlupnęło. – Ja tam wiem, bo mam szwagra milicjanta. By nie kłamał, nie przy wódce, tak?

I w takt kolejnych pociągnięć z brudnego kufła popłynęła legenda lepsza od tych dawnych o Czarnej Łapie, Pięknej Złotniczance albo Kamieniu Nieszczęścia. Żydy podpuściły studentów, zresztą co w tym trudnego, bo kto ma czas na studiowanie, jak nie synkowie żydokomuny?! Ci właśnie zaczęli robić w marcu rejwach, a tymczasem któryś z ich ojców zaczął zabijać. Czy sekretarz, czy dyrektor, czy inny profesor, czaili się, ale Żyd pozostanie Żydem, tak? I cholera wie, który to z nich, ale któryś nie wytrzymał, bo przecież to mają w tej swojej żydowskiej krwi, i zaczął zabijać polskie dziewczyny. No, nie na macę, nie te czasy, teraz nawet Żydy jedzą chleb ze spółdzielni jak ludzie, no ale mają inną krew, no i ona się odzywa, bo pragnie krwi, tak? Ta z Czarnej Łapy już chyba szósta z kolei. Milicja wie, esbecja wie, ludzie wiedzą, ale póki jak Gomułka ktoś im się do dupy nie dobierze, nic się nie wyjaśni. Wampir z Lublina będzie mordował, kogo zechce, tak?

– Wampir to jest na Śląsku – burknął Zyga, spoglądając do swojego kufła. Na dnie falował nieprzyjemny osad.

– A u nas nie drugi Śląsk? Nie słyszałeś pan, że pod Łęczną dokopali się do węgla? Jest węgiel, jest drugi Śląsk, to i jest wampir! Żydowski, tak?

Dawny komisarz już otwierał usta, gdy po drugiej stronie Lipowej zatrzymała się niebieska warszawa i kierowca kilka razy zatrąbił. Maciejewski kulturalnie wylał resztkę piwa na zdeptany trawnik, żeby kioskarcz nie podał go z dolewką kolejnemu klientowi, mruknął „do widzenia” i przez ulicę ruszył do auta. Olek otworzył mu drzwi.

– Kaca leczysz? – spytał z przekąsem, ruszając.

– Nie, pracuję operacyjnie, synku – uśmiechnął się Zyga. – Jesteś mi winien za dwa piwa, ale to nie będzie koniec wydatków.

– Przewidziałem. Masz. – Porucznik wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki grubo wypchaną kopertę.

*

– Zygmunt, to idiotyzm – stwierdził poważnie Fałniewicz. Nabrał w grube paluchy suszonych rozwiłitek i sypnął welonom.

– Daj im lepiej robaków. – Maciejewski pogrzebał pięsetą w kubie z wijącymi się rurecznikami.

– Nie tym rybom. Dostają zapalenia jelit. Ale nie zmieniaj tematu, nie powinienes w to wchodzić. Sentymentalista się znalazł!

Fałniewicz podszedł do lady i ze złością zabrał przyjacielowi pięsetę. Rzucił ją na blat, nawet nie otrząsnąwszy z robaków. Teraz jeden z nich z determinacją pełznął w stronę torebek z karmą dla ptaków. Właściciel sklepu rozduśił go palcem wskazującym.

– Ale syn mnie prosił, nie rozumiesz? – mruknął Zyga.

– To byłby twój syn, ale dwadzieścia parę lat temu! – Fałniewicz wycelował palec z przyklepionym trupem robaka prosto w nos Maciejewskiego. – Zniknąłeś mu z widnokregu, zanim nauczył się odróżniać siku od kupy. Teraz to już obcy człowiek. Ubek, jak oni wszyscy. Ja wciąż pamiętam, gdzie mnie okulawili. – Klepnął się w sztywną nogę i wyrecytował jednym tchem: – Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, Krakowskie Przedmieście 47, Fałniewicz Witold, syn Feliksa, hitlerowski kolaborant, zdrajca narodu polskiego... Ja wszystko pamiętam, a tobie co, wybite zęby nagle odrosły?! Nie bądź głupi, Zygmunt!

– Zygmunt, Zygmunt... – Były komisarz wzruszył ramionami. – Coś taki patetyczny? Zaraz zaczniesz mi mówić „panie kierowniku”, jak przed wojną?! To nic nie da, bo ja już zdecydowałem Witek. A ty pomożesz mi albo nie, twoja sprawa.

– Wiesz, że ci pomogę – westchnął ciężko Fałniewicz. – W końcu jestem ci coś winien. Ale przemyśl to, na miłość Boską...

– Nic mi nie jesteś winien! – machnął ręką Zyga. – Też byś mnie wtedy z pierdła wyciągnął, jakbyś mógł. Chcę, żebyś mi pomógł jak były partner, a nie spłacał jakieś długi. Jak masz potem mieć żal, to odmów. Nie jestem panienka, żeby się obrażać.

– Dobra. – Witek wytarł dłoń o spodnie. – Co konkretnie miałbym robić?

Były komisarz uśmiechnął się lekko i wyjął z kieszeni kopertę od Olka. Zerknął odruchowo na drzwi i opowiedział o trupie w Czarnej Łapie.

– Trzeba będzie tam pochodzić i powęszyć. Tylko nie mam nawet porządnego garnituru. Zamykaj sklep i pójdziemy do Pedetu. Chyba się znajdzie coś gotowego.

– Czekał Zyga! – Fałniewiczowi zaświeciły się oczy. – A ile jest tej forsy?

– Na razie dwa tysiące, ale kredyt w milicji mamy otwarty.

– No to niech komuna zrobi raz coś dobrego. Zaraz wracam.

Gdy Maciejewski został sam, zaczął drażnić welony, które głupkowato mlaskały pyskami nad powierzchnią, kiedy tylko widziały ludzką rękę. Nie zdążył jednak nawet żadnego pstryknąć palcem, bo Witek zaraz wrócił, ciągnąc ze sobą Feldbauma. Żyd miał oczy czerwone od kaca, ale gęba mu się śmiała.

– Ja dobrze słyszałem?! – zawołał od progu i wyciągnął rękę do Zygi.

– Panowie mają pieniądze? Panowie się nie targują? Ja chyba zaraz wyjrzę za róg, czy czasem Orlą nie idzie już Mesjasz!

– Pan nas zmierz, panie Feldbaum, i powie, ile czego kupić. – Maciejewski zaczął ściągać swoją wyświechtaną marynarkę.

– Jakie kupić?! Gdzie kupić?! – oburzył się krawiec. – W państwowej galanterii? Wcisną szajs i panowie przepłacą. Dajcie zadatek i ja się wszystkim zajmę. Garniturki będą cud malina!

– Tylko najpóźniej na jutro – przypomniał Zyga.

– Pan idzie na piwo panie Maciejewski i nic się nie martwi. Zna pan zegarmistrza róg Szopena i Okopowej? Jak cofnie wskazówki, to garniturki będą nawet na wczoraj. A teraz ręce do góry panie komisarzu! – powiedział, wyciągając z kieszeni metr krawiecki, kartkę i ołówek. – Będziemy mierzyć.

IV

*Wzięli Waldusia z cichej meliny.
Przyszli o świcie, było ich trzech.
I szloch się rozległ wiernej dziewczyny
Wiernej mu po ten ostatni dech*

– śpiewała tleniona blondynka oparta o pianino, na którym grał wysoki, chudy facet z kosią bródką. Zbliżając się do końca zwrotki, szansonistka coraz mocniej wpadała w głęboki, smutny przydech, zapewne podsłuchany z przedwojennych płyt. Zanim zaczęła tańczyć samotne tango, rzuciła jeszcze krótkie spojrzenie na stolik w głębi, przy którym siedziało dwóch starszych panów. Choć wcześniej nie należeli do bywalców Czarnej Łapy, to odkąd milicja znów pozwoliła otworzyć kawiarnię, bywali tu każdego wieczoru. I nie opuścili żadnego przedstawienia kabaretu Czart, mimo że ciągle szedł ten sam program stylizowany na przedwojenny folklor złodziejski. Łatwo się było domyślić, że piosenki tak naprawdę mówiły o marcowych rozruchach, po których wielu studentom przypięto paragrafy z ustawy o chuligaństwie.

Zwykle dwaj starsi panowie byli sami, dziś po raz pierwszy dosiadł się do nich ktoś jeszcze – wysoki, dobrze zbudowany młody facet w skórzanej marynarce. Albo esbek, albo badylarz na dorobku.

*Noc się zza sztachet drewnianych skrada,
Chłopaki idą na nowy skok –
A ja ulicą snuję się blada,
W tragiczne tango wpada mój krok...*

Znów zerknęła na nich, jakby szukając potwierdzenia, czy nie przeszarżowała, naśladując wykonawców przedwojennych szemranych szlagierów. Jednak przy zgaszonych światłach ich min w żaden sposób nie mogła dojrzeć.

Dwaj starsi panowie od początku byli zagadką nie tylko dla niej, ale dla całego zespołu. Pierwszego dnia ktoś rzucił, że to esbecja przyszła sprawdzić, czy cenzura dobrze wykonała swoją pracę, wycinając z songów i monologów najmniejsze krytyczne aluzje. Zgasił go jednak zaraz pianista, który pracując w przedsiębiorstwie „Estrada”, poznał dobrze urzędników cenzury i wiedziałby, gdyby coś takiego się

święciło. Powiedział zresztą, że na esbeków są stanowczo za dobrze ubrani.

I tu się nie pomylił. Feldbaum, nie wiedzieć skąd, wytrzasnął materiały, o jakich klienci Pedetu i całej reszty państwowych sklepów mogli tylko pomarzyć. Delikatna szara wełna z lekkimi, prawie niewidocznymi z daleka czarnymi prążkami, która poszła na dwurzędówkę Maciejewskiego, mogła pochodzić albo z przemytu, albo ze starych zapasów krawca. Nieco ciemniejszy garnitur Fałniewicza, z bardziej zdecydowanym wzorem, był pierwszym od lat ubraniem, które nie tylko leżało idealnie na tym zwalistym, przyciężkawym inwalidzie, ale nawet go wyszczuplało. Nogawki spodni Feldbaum umyślnie zrobił nieco szersze niż Maciejewskiemu i kiedy były tajniak siedział, nawet nie było widać, że ma sztywną nogę.

Koniec końców artyści z kabaretu uznali, że obaj starsi panowie są z jakiegoś przedsiębiorstwa impresaryjnego. Żaden z nich nie widział bowiem, jak ten ze sztywną nogą obszedł uliczki Starego Miasta i spisał zaparkowane na nich samochody. Przy czarnej wołdze na Jezuickiej zatrzymał się nawet na chwilę, rozejrzał ostrożnie i podniesionym z kocich łbów kawałkiem drutu wyrył sporą rysę na bagażniku. Może miało to jakiś związek z odrazą do całego radzieckiego przemysłu motoryzacyjnego, a może tylko wołg nie lubił?

Artykuł dwieście pięćdziesiąt siedem...

Żeby tak chociaż paragraf dwa!

Ciekawe, ile na moją biedę

Sąd mu lat kicia w wyroku da?

– załkała dziewczyna i dopiero w tym momencie dostrzegła, że panowie cicho ze sobą rozmawiają.

– Piątkę da na bank – mruknął Maciejewski. – Zwłaszcza jak przypnie artykuł jeden ustawy o zaostrzeniu.

Fałniewicz wypił potężny łyk piwa. Było co prawda ciepławe, ale zawsze żywiec – w sklepie nie do dostania, chyba że spod lady.

– Paragraf dwa: nadzwyczajne złagodzenie, gdy przedmiot pierwszej potrzeby i okoliczność nędzy? – upewnił się, kiedy już umilkły oklaski.

– Pamiętasz! – uśmiechnął się były komisarz. – Ale to miało być o chuliganach. Bardziej by pasował artykuł dwieście trzydzieści sześć paragraf jeden. A jak ty myślisz, synek?

– Nie uczę się kodeksu na pamięć – mruknął Olek. Dziewczyna

skończyła właśnie piosenkę, więc zaczął klaskać, ale beznamyślnie, jak ktoś w dalszym rzędzie na zebraniu partyjnym. – A masz już coś?

Zyga z obrzydzeniem nałogowca wypił resztkę kawy ze szklanki i rozbabrał łyżeczką fusy.

– Miną trzy dni albo trzy miesiące, albo trzy lata – zaczął monotonnym głosem zawodowego medium. – Padną trzy trupy albo trzydzieści. Znajdziesz, gdzie nie szukasz, zgubisz i znów znajdziesz...

– Co ty pieprz... – zaczął Olek, ale zaraz syknął, bo pod stołem boleśnie przygwoździła mu stopę sztywna noga Fałniewicza.

– Jak ty się do ojca odzywasz? – warknął były tajniak.

Milicjant w pierwszej chwili zapomniał języka w gębie. Już miał mu odpowiedzieć, że nie będzie go pouczał jakiś dopiero co poznany facet, w dodatku z wyrokiem za kolaborację. Jednak nim na podest wszedł kolejny wykonawca – niski facet z cwaniacką gębą – przez okno usłyszeli przeraźliwy krzyk kobiety.

– Boże, wampir! – zapiszczała kelnerka. Puste szklanki i kieliszki zadźwięczały ostrzegawczo na tacy.

Olek poderwał się pierwszy, Zyga zaraz za nim, zatrzymał się jednak, by pomóc Fałniewiczowi, któremu sztywna noga uwięzła między stolikiem a krzesłem. Nim wypadli na ulicę, tłumek kawiarnianych gości dobiegał już do rogu Rynku. Wtem wszyscy stanęli w miejscu, niektórzy zaczęli nawet się cofać. Krzyki zamarły. Stary Maciejewski odsunął łokciem wysokiego chudzielca z brodą i długimi włosami.

Podczas gdy słuchali piosenek Czarta, Stare Miasto zdążyła oblepić mglista i gęsta noc. Spośród latarni zawieszonych nad bramami kamienic paliły się tylko dwie. Trzecia, po drugiej stronie Rynku, co chwilę gasła, by znowu rozbłysnąć na kilka sekund. I to właśnie ona wyłowiła samotną, wysoką postać przy rogu Trybunału. Olek, który już odruchowo sięgał do kieszeni po legitymację, zamarł w pół ruchu na widok zwalistej sylwetki, która najpierw tylko stała, zapewne mierząc wzrokiem przerażonych ludzi, a potem wolno podniosła czerwoną, rozżarzoną łapę. Zyga Maciejewski widział już raz coś takiego, jeszcze przed wojną – tyle że nie na żadnej ze staromiejskich uliczek, a w kinie Corso, gdy wybrał się tam na *Golema* Paula Wegenera. Ten sam stwór, który na filmie podpalił średniowieczną Pragę, teraz patrzył w jego stronę i tak samo, zamiast oddechu, wypuszczał z ust dym, parę, a może mgłę? Naraz zrobił krok do przodu i były komisarz zobaczył, że w drugiej ręce ściska dłoń bezwładnej dziewczyny. Zbuntowany gliniarzy potwór też kogoś ciągnął po bruku,

ale kogo dokładnie – Zyga nie pamiętał.

– Witek, okrąż Trybunał, zajdź go od tyłu! – syknął do przyjaciela. – Olek, glina jesteś. Idź i go aresztuj.

– C-co? – spytał zaskoczony podporucznik.

– Odwróć jego uwagę.

Potwór jakby wyczuł ich intencje. Zanim młody Maciejewski przepchnął się pomiędzy ludźmi, a Fałniewicz najszybciej jak mógł zniknął za zajmującym środek Rynku Trybunałem, golem z zamachem rzucił przed siebie bezwładne ciało. Latarnia zgasała i stwór zniknął. Za chwilę znowu błysnęła – oświetlając tylko leżącą kobietę.

Olek i Zyga rzucili się w tamtą stronę. Po chwili za nimi ruszyło też kilku co odważniejszych facetów. Podporucznik pochylił się nad leżącą, dotknął szyi. Stary Maciejewski podbiegł jeszcze kawałek w stronę rzędu kamienic, wyciągnął z kieszeni latarkę i zaczął zaglądać do bram.

– Tam jest! – wrzasnął nagle jeden z knajpianych gości, wskazując gmach Trybunału. Jednak zamilkł równie szybko, bo w wybiegającym zza budynku mężczyźnie rozpoznał jednego z tych starszych panów, którzy od tygodnia przychodzili na kabaret.

Fałniewicz dokuśtykał do Maciejewskiego, otarł czoło.

– Żyje? – Zyga odwrócił się do Olka.

– A skąd ja mam wiedzieć?! Czy jest tu lekarz?

Milicjant szybko wstał z kolan i rozejrzał się po twarzach gapiów. Byłemu komisarzowi nie umknął drobny szczegół. Olek zdążył sięgnąć do torebki bezwładnej kobiety i wyjąć z niej coś płaskiego i pokrytego plastikiem. Mógł to być bilet miesięczny albo milicyjna legitymacja.

– Proszę mnie przepuścić, jestem lekarką.

Przez tłum przepchnęła się ta sama tleniona blondyna, która śpiewała kryminalne tango o Waldusiu i melinie.

Maciejewski oświetlił latarką róg Trybunału. Na elewacji, która od czasów pospiesznego remontu na dziesięciolecie Polski Ludowej zdążyła zszarzeć i popękać, wyraźnie odznaczał się czarny kształt diabelskiej dłoni.

*

Zyga strzepnął popiół z papierosa. Wstał, z ekstra mocnym w zębach odwrócił się od biurka i zrobił kilka kroków, jakby znudziła go

rozmowa, a niespodziewanie zainteresował wiszący na drzwiach plakat „XX-lecie Milicji Obywatelskiej 1944-1964”. Maciejewski dłuższą chwilę milczał, potem zrobił gest, jakby chciał znokautować jedną z narysowanych tam postaci. Wreszcie ciężko westchnął, by po chwili znów usiąść na wprost Olka.

Jeszcze raz wziął do ręki raporty dotyczące obu ofiar wampira, diabła, golema – jak go tam zwać. Ta Zamorzyk z Czarnej Łapy, jak wykazała sekcja zwłok, zanim naznaczyła ją łapa „Ognistego”, dostała śmiertelny zastrzyk chlorku potasu. Gdyby jakiś dziennikarz wszedł w posiadanie jej pośmiertnych zdjęć, widząc wytrzeszczone oczy i półotwarte usta, napisałby pewnie, że zmarła ze strachu. Patolog oddał to jednak innymi słowami: „w wyniku czego nastąpiło zatrzymanie akcji serca w fazie rozkurczu”. Obecności chlorku potasu w ciele Jęczyk Teresy co prawda jeszcze nie stwierdzono, nie miała też wypalanej dłoni, jednak jej twarz wyglądała nad wyraz podobnie. Lekarka szansonistka niepotrzebnie się męczyła, masaż serca nie mógł już w niczym pomóc.

– Ale z ciebie debil! – powtórzył chyba po raz piąty Zyga.

Olek nie odpowiedział – wiedział, że ojciec ma rację, choć rano na odprawie mówiono o podporuczniku Maciejewskim zupełnie innym tonem. Siedzieli wówczas przy tym samym stole konferencyjnym, choć tym razem Olek został dopuszczony bliżej fotela Grabarza. Może właśnie dlatego zdołał nad wyraz rzeczowo zrelacjonować wydarzenia ubiegłej nocy. Gdy tylko na Rynku pojawił się patrol, on zaraz pojechał do komendy, sprawdził osoby, które rozpracowywała zabita funkcjonariuszka i zarządził ich zatrzymanie. Wrażliwe dane zatrzymał dla siebie. Wkrótce na korytarzu miał pół KUL-owskiego akademika męskiego. Studenci zeznawali, że sami byli zdziwieni: raz, że panna ładna, a taka łatwa, dwa, że w łóżku gęba jej się nie zamykała – zadzierała nogi i zasypywała pytaniami niczym pocałunkami.

– Dobrze, dobrze, ale przede wszystkim gratuluję wam, żeście zabrali jej legitymację, poruczniku – pochwalił Olka komendant. Spojrzał na podpułkownika Gozgawę. – Dopiero co straciliście te-wu, teraz etatowa funkcjonariuszka... Zapobiec nie zdołał, ale nie stracił zimnej krwi, nie uważacie?

– Słyszałem już o was, słyszałem... – Esbek odkleił wzrok od gazety. – Zawsze mieliście dobrą opinię po linii służbowej i politycznej, więc chyba do was, towarzyszu poruczniku, mogę mówić po ludzku, a nie jak do ludu roboczego. Nie obrazicie się, że nie będę wam pierdolił?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku! – Olek mało nie podskoczył razem z krzesłem. – Dziękuję za wasze zaufanie.

Gozgawa jeszcze raz rozłożył płachtę „Sztandaru Ludu”, jakby chciał znów zerknąć na artykuł na pierwszej stronie. Lecz litery nie zamieniły się miejscami, wciąż była tam mowa o zamordowaniu kobiety około lat trzydziestu, przy której nie znaleziono dokumentów. O zabójstwie wyjątkowo zuchwałym, bo na oczach wielu świadków, nadającym czynowi cech nie tylko przestępczych, ale antyspołecznych i wrogich ludowej ojczyźnie. Zważywszy zaś na sytuację polityczną, którą wciąż usiłują destabilizować określone siły... I tak dalej. Nie do końca była to prawda, ale akurat taka nieprawda Gozgawę satysfakcjonowała. Skoro przy tylu świadkach nie sposób zachować tajemnicy, zawsze lepiej, że napisał o zdarzeniu dyktowany z komitetu wojewódzkiego „Sztandar” niż miałby to zrobić jedynie skrupulatnie kontrolowany „Kurier Lubelski”.

– To tylko dla waszych uszu, Maciejewski, ale sam towarzysz minister Moczar zainteresował się waszym „Ognistym”, rozumiecie?

Olek kiwnął głową, lecz bardziej słuźbiście niż ze zrozumieniem. To przyszło ułamek sekundy później. Ojciec mówił mu, co wygaduje opinia publiczna spod budki z piwem, a teraz przyszło oświecenie. Te warszawskie *Dziady* i protesty studenckie, które rozlały się po całym kraju, nieuchwytny wampir grasujący na Śląsku i drugi w Lublinie, to były tryby tego samego rewizjonistycznego planu wymierzonego w system, dzięki któremu Olek został oficerem milicji, a nie na przykład menelem, jak jego ojciec. Tu nie szło o paragrafy z ka-ka, ale o życie i karierę.

– „Ognistego” spodziewam się mieć rozpracowanego – powiedział z przekonaniem. – Nie obiecuję wam, że w ciągu miesiąca, ale z pewnością na naszym podwórku będziemy lepsi niż komenda katowicka, towarzyszu pułkowniku.

– Jesteście pewni siebie. – Esbek spojrzał znad gazety. – Przy okazji, nie składaliście kiedyś podania o przeniesienie do bezpieczeństwa?

– Tak jest – wypalił bez namysłu Olek.

Dopiero potem dostrzegł ostrzegawczy grymas na kamiennej twarzy Świdronia. A może tylko był zazdrosny o protegowanego? I tak już wysoko zaszedł, w końcu mało kiedy nieopierzony podporucznik jest dopuszczany do narad na szczeblu kierownictwa.

– No to macie szansę – zdecydował komendant. – Bo ja to widzę tak: zakończycie tę sprawę, to towarzysz pułkownik będzie waszym

dłużnikiem, prawda? A i major Świdroń nie będzie miał nic przeciwko. Więc jak mówicie, zakończycie?

– Tak jest – powtórzył Maciejewski.

I faktycznie żył tą nadzieją, póki nie wrócili z majorem do Śledczego.

– Możesz już szukać chętnego na zamianę mieszkania. Gdzieś za Chełmem... Uhrusk, Dorohusk – poradził jadowicie naczelnik.

– Ale dlaczego? Przecież idzie dobrze.

– Dobrze?! – Świdroń aż zakrztusił się dymem z poznańskiego. – Właśnie wlałeś na minę. Legitymację tej Jęczykówny powinieneś był spalić i spuścić w kiblu, i trzymać się wersji, że nie wiesz, nie znasz, była bez dokumentów. I jeszcze wyrwałeś się, że Zamorzyk była od nich!

– Panie Zdzisławie, przecież sam mi to pan powiedział...

– Bo myślałem, że mówię do kogo mądrego, ale ty wyżej srasz niż dupę masz, Olek! Myślisz, że ci za to podziękują? Wpieprzyli cię właśnie w sprawę, której nie rozwiążesz. Której nie wolno ci rozwiązać.

– Major zadusił papierosa i poprawił, bo cuchnący dym zaczął się snuć z innego peta, który właśnie złapał nieco żaru. – Jasne, esbeczkami były nie tylko Zamorzyk i Jęczyk! Zabita 13 marca uczestniczka nielegalnego wiecu, Janina Jakubowska, pierwsza ofiara „Ognistego”, oficjalnie studentka romanistyki KUL, jak myślisz, dlaczego rzucała idiotyczne postulaty? Dlaczego przierzucali z celi do celi Krystynę Wasilec, dla odmiany polonistykę UMCS, a kiedy wyszła, 27 marca wykończył ją „Ognisty”? W kwietniu sekretarka z dziekanatu Akademii Medycznej pracowała na drugim etacie u Gozgawy. Wszystkie były umoczone. I co powiesz? Albo reakcyjne podziemie wstało z martwych, albo ktoś czyści miasto z niewygodnych świadków. I co, pamiętasz jeszcze z liceum rachunek prawdopodobieństwa?

– To jak mam to odkręcić? – jęknął Maciejewski.

– Nijak, Olek! – Naczelnik znowu zapalił i nerwowo zdmuchnął płomień z zapałki. – Mówią, że jak Bozia chce kogoś ukarać, to najpierw odbiera mu rozum. Zeżrą na zakąskę do gorzały, ale sam się podstawileś! Pomagałem ci jak własnemu synowi, tyle że ryzykować emerytury nie zamierzam. „Ognisty” jest twój.

– Ale, panie Zdzisławie... – jęknął Olek do zamykających się drzwi.

– Jesteście wolni, podporuczniku – usłyszał, zanim kłapnęły.

Teraz mniej więcej to samo powtórzył mu ojciec, gdy usłyszał o propozycji komendanta. Olek przemilczał tylko esbecki rodowód denatek i nie wspomniał, że gra toczyła się o awans, o przyjęcie do

bezpieki. Gdyby nie żałosna sytuacja, ze swego mataczenia mógłby być dumny.

– Ale co miałem powiedzieć? – spytał niepewnie byłego glinę. – Takich ofert się nie odrzuca.

– To samo mówią ryby, kiedy widzą tłustego robaka na haczyku – zarechotał Zyga. – Jest tysiąc sposobów, żeby nie odmówić, a jednak się wykręcić. Ale nie tylko dlatego jesteś skończony debil! Co wczoraj schowałeś do kieszeni?

– Ja coś chowałem?! – zachnął się Olek.

– Kurwa, synek, nie denerwuj mnie! – Stary Maciejewski walnął pięścią w biurko. Kamionkowa popielniczka z obtłuczonym napisem ORMO zagrzechotała na szybie przykrywającej blat. – Co to było?

– Jej legitymacja. – Podporucznik westchnął ciężko. – Funkcjonariuszka... z bezpieczeństwa – dorzucił wbrew sobie.

Zyga pokręcił głową i sięgnął po kolejnego papierosa.

– I czego mi jeszcze nie powiedziałaś?

– Zamorzyk też była od nas... Znaczy od nich. Tajna współpracowniczka.

– A poprzednie? – przygwoździł go ojciec.

– Tak samo – wyznał milicjant.

W tej chwili, gdyby Zyga tylko zapytał, pewnie by powiedział mu także o swoich planach kariery w SB i całą prawdę o rozmowie u Grabarza. Na szczęście staremu i tak było aż nadto. Przedwojenny glina poderwał się i zmasakrował niedopałek zupełnie jak Świdroń.

– Tu masz listę samochodów, które stały w pobliżu Rynku – rzucił na biurko kartkę zapisaną równym pismem Fałniewicza. – Marki, kolor, rejestracja. Sprawdź to. Podpisz mi przepustkę i postaraj się już dzisiaj niczego nie spieprzyć.

– Tak jest – mruknął Olek.

Przez okno widział jeszcze, jak ojciec przygląda się wozom zaparkowanym przed komendą, gada o czymś z mundurowym milicjantem przed wejściem, po czym wreszcie odchodzi wolnym krokiem, jak wyrzut sumienia. Dopiero gdy zniknął za bramą, młody Maciejewski spojrział na listę. Po odcisniętych śladach długopisu można się było zorientować, że została przepisana na kolejnej stronie tego samego notesu, w którym powstał oryginał. Przy jednym samochodzie, czarnej wołdze z numerami LL-81-10, Olek zauważył odbity z pierwszej listy znak odpajkowania. Dlaczego akurat przy tym, nie miał pojęcia.

*

Zyga Maciejewski przeszedł się wzdłuż szpaleru wozów niczym gość z amerykańskiego filmu u handlarza używanymi autami. Niedbałym ruchem przejechał dłonią po bagażniku wołgi i skinął na milicjanta, który stał przed wejściem do komendy z kanapką w papierze.

– Obywatelu kapralu! – przywołał go niecierpliwie. – Na służbie jesteście czy na majówce w Dąbrowie?

– A wy czego tu... – zaczął mundurowy, jednak na widok wyciąganego z kieszeni notesu zupełnie zmienił ton. – A pan... a towarzysz w jakiej sprawie?

– Nie staracie się – stwierdził obojętnie Zyga, coś sobie zapisując, choć o nazwisko nie zapytał. – Kto wam tam wóz porysował? – Wskazał rysę na tyle głęboką, że bez problemu można by w nią wsadzić paznokiec. – Jak to wygląda?!

– To nie mój samochód! – wykrzyknął zaraz milicjant.

– A czyj, może mój?! – warknął Maciejewski.

– Komendanta. Obywatela pułkownika Grabarza. – Mundurowy odetchnął. Nie miał pojęcia dlaczego, ale w tym facecie było coś, co mówiło wyraźnie: „skoro się czepiam, znaczy mam prawo”. Jakiś oficer inspekcyjny? Ważny esbek? Ktoś z komitetu?

– A złapaliście chociaż tego chuja, co mu wóz porysował? – Były komisarz zapalił papierosa, milicjanta jednak nie poczęstował. Dmuchnął mu tylko w twarz dymem, kiedy wreszcie zdołał znaleźć w paczce niespaloną zapałkę.

– Nie, jeszcze nie. Ale czynności trwają – dodał zaraz mundurowy.

– Nie staracie się – powtórzył Zyga. – Waszemu komendantowi jakiś szczył rysuje gwoździem karoserię, partia przeżywa trudne czasy, cały kraj przeżywa trudne czasy, a wy stoicie sobie jak cielę przed komendą wojewódzką i żrecie salceson. Będę miał was na oku – zapowiedział, groźnie podnosząc palec.

Milicjant zaszalutował, lecz Maciejewski już tego nie widział, bo odwrócił się i wyszedł przez bramę.

*

Fałniewicza nie było, zamiast niego w sklepie rządził Feldbaum. Stary Żyd właśnie z wyraźną odrazą zaczerpnął łyżką z kubła wijących się, fioletowoczerwonych robaków i wepchnął je do papierowej torebki. Trzymając ją jak najdalej od siebie, podał może jedenastoletniemu chłopcu w sandałkach i z opadającymi podkolanówkami.

– Złotówka – powiedział.

– Pan Witold zawsze sprzedawał po pięćdziesiąt groszy – sprzeciwił się dzieciak.

– Pięćdziesiąt groszy?! – wykrzyknął oburzony krawiec. – Robak jak złoto! Amerykańska odmiana, to i musi kosztować.

Gdy został sam z Zygą Maciejewskim, starannie wytarł palce w ścierkę, którą trzymał pod ladą, i zdjął niewidoczny pyłek z kołnierza marynarki komisarza. Chwilę przyglądał się swojemu dziełu niczym lekarz, który po skończonej kuracji widzi byłego połamania teraz już całego i zdrowego.

– Ale smród! – jęknął, przypomniawszy sobie o niewdzięcznej roli subiekta w sklepie zoologicznym. – Niech pan powie, skoro ryba je to świństwo, a ja jem rybę, to czy i ja nie jem robaka?

– Z pana jest filozof, chociaż grubszy cwaniak. Bo robak odmiany krajowej, nawet regionalnej. Dałbym głowę, że z mułu spod cukrowni – uśmiechnął się Zyga. – A gdzie szef?

Feldbaum wykrzywił pogardliwie wargi, jakby to nie Fałniewicz poratował go w biedzie, ale to on z łaski zastępował sąsiada w sklepie.

– Wyszedł, wrócił i znowu wyszedł. Powiedział, że zwiedza Stare Miasto i pan będzie wiedział. Kazał powtórzyć, że kretyn na skrzyżowaniu wczoraj znów widział wołgę, że pod budkami z piwem coraz bardziej politykują na Żydów, a milicja od rana zgarnia studentów jak w marcu. Panie Maciejewski, co wy właściwie kombinujecie? – Stary załamał rękę. – Czy to się aby nie skończy jeszcze gorzej niż zaczęło?

– Pożyjemy, zobaczymy. – Zyga puścił do niego oko i teraz sam zdjął niewidoczny pyłek z ubrania krawca. – Szefowi proszę powtórzyć, że wszystko jasne i niech zajdzie do mnie wieczorem. Uszanowanie, panie Feldbaum. Nie powiem: „do zobaczenia w lepszych czasach”, bo dopiero by się pan wystraszył...

Sąsiad Fałniewicza zmilczał tę uwagę. Czy się bał? Czego może bać się człowiek, który wyszedł żywy z Auschwitz?! Taki człowiek przecież rozumie, że z ziemi do nieba jest daleko i przed ponad dwudziestu laty Bóg mógł nie poczuć smrodu krematorium. Gorzej, jeśli nie poczuł go

do tej pory i ani myśli pozwolić, by Lejb Feldbaum, krawiec męski z Lublina – choć Żyd – dożył swych dni w świętym spokoju...

Kłapnęły drzwi, cicho brzęknął poruszony nimi dzwonek. Wtedy z klatki pod sufitem odezwał się kanarek, jedyne sympatyczne stworzenie w sklepie. Feldbaum obiecał mu nawet, że go kupi, jeśli to wszystko skończy się dobrze. Wszedł na stołek, żeby podetknąć ulubionemu ptakowi liść sałaty, ale na widok smakołyku zaczęły wrzeszczeć papugi. Cokolwiek miały na myśli, w uszach starego krawca brzmiało to jak krzyki obozowych kapo: *rrraus, rrraus, rrraus!*

*

Fałniewicz zanurzył się w ulicę Jezuicką, to znaczy Trybunalską, jak przezwano ją za Bieruta. Za dobrych sanacyjnych czasów była pełna nielegalnych burdeli, teraz całe Stare Miasto wyglądało mu na jeden wielki burdel, w dodatku legalny. Z okien starych kamienic nie wyglądały już dziwki, tylko skacowany lumpenproletariat przesiedlony z Bronowic, Starej Kaliny i Kośminka. Z bram cuchnęło moczem.

Były tajniak przypomniał sobie wywiadowcę Zielnego, z którym nieraz tu bywali, na ogół służbowo.

„Miał więcej szczęścia – pomyślał, kuśtykając. – Przynajmniej zginął ze sfluwą w garści. Dwóch ubeków poszło do piachu”.

Wyminął starszą kobietę stąpającą niepewnie po nierównych kocich łbach. Już skręcał ku Rynkowi, kiedy zatrzymało go wołanie, którego nie słyszał od lat:

– Pan przodownik?!

Odwrócił się. Kobieta szła ku niemu, wymachując siatką z zakupami, by zachować równowagę na nierównym chodniku.

– To pan żyje, panie przodowniku?

– Żyję. – Rozejrzał się ostrożnie. – Pani mnie pomyliła...

– Nigdy w życiu! – Uśmiechnęła się szeroko, ale zaraz zamknęła usta, chyba zawstydzona tanią protezą dentystyczną. – Pan wywiadowca mnie nie poznaje? Helena Majdan. No, Kudłata Helka!

– Poznaje! – skłamał, bo ta staruszka stojąca już nad grobem w niczym już nie przypominała dawnej prostytutki. – Przepraszam panią, oczy już nie te.

– Pan zajdzie do mnie, zapraszam. – Wskazała okno na pierwszym piętrze kamienicy obok.

- Glinę pani zaprasza? – Teraz i Fałniewicz się uśmiechnął.
- Z pana tera taka glina, jak ze mnie kurwa. Pogadamy o starych czasach, bo z tą hołotą... – Splunęła.
- Może innym razem, mam tu coś do załatwienia – zaczął się wykręcać, ale bez przekonania. Stare czasy wabiły, choć patrząc na tę babę, czuł wyraźniej niż kiedykolwiek, że nigdy nie wróca.
- A jak sypnę, kto obrobił Wajca w trzydziestym siódmym? – puściła oko. Tak, teraz nie miał już wątpliwości, że stała przed nim Kudłata Helka.
- Skoro chcesz sypać, to inna rozmowa. Daj, pomogę! – Sięgnął po siatkę z zakupami.

*

Była już prawie północ, a oni wciąż siedzieli we trzech na Rurach u Zygi Maciejewskiego. Fałniewicz starał się nie dotykać niczego poza kieliszkiem, żeby nie zabrudzić nowego garnituru, Olek prawie nic nie mówił, zastanawiając się, czy te dwa stare dziady naprawdę wykonały taką robotę operacyjną, czy wciskają mu kit, żeby dostać więcej forsy. Tylko prowadzący tę odprawę przy flaszcze były komisarz od początku czuł się zupełnie swobodnie.

- No więc jest tak: Olek sprawdził i nie zgadzają się numery jednego wozu. To znaczy nie ma wołgi jeżdżącej na rejestracji LL-81-10 – wyjaśnił, zwracając się do Fałniewicza. – Ani czarnej, ani czerwonej, ani w ogóle żadnej. – Uśmiechnął się cynicznie. – Syrenault zarejestrowany pod tymi numerami od tygodni stoi w warsztacie.

- Któryś mechanik mógł odkręcić – wtrącił młody Maciejewski. – Jutro się zajmę tym warsztatem.

- Mógł, ale to mało ważne, zaraz się przekonasz – pokręcił głową Zyga. – Istotne, że Witek widział wołgę z tą rejestracją na Starym Mieście, a nawet naznaczył ją gwoździem.

- Drutem – sprecyzował poważnie Fałniewicz.

- Więc drutem. A ja wołgę z taką samą rysą, chociaż na numerach LL-32-89, widziałem pod twoją komendą, Olek. To wóz Grabarza. Sama milicja mi zeznała.

Podporucznik już rozumiał, o czym ojciec gadał z mundurowym. Tylko że to wszystko wciąż nie mieściło mu się w głowie. Niby nie mieli powodu kłamać, ale...

– Ale nic na niego nie macie. Żadnych dowodów – powiedział.

– Nie, za to mamy już jedną poszlakę. – Ojciec zapalił papierosa. – Zresztą nie słyszałeś jeszcze, co ustalił pan Fałniewicz.

Stary tajniak odchrząknął i wyjął notes, choć i tak nie musiał go otwierać. Wszystko miał w głowie.

Milicjant z niedowierzaniem słuchał o esbeckim lokalu kontaktowym przy Rynku, po tej samej wschodniej stronie, gdzie zniknął im z oczu ten wampir czy inny golem, jak nazywał go ojciec. I słuchał o piwnicy w tym samym budynku. Jeden facet chciał zrobić tam więcej miejsca na ziemniaki i jak walnął kilofem, to omal nie spadł za nim dziesięć metrów w dół. Piwnicę szybko mu zabrano, ale nie wyszedł na tym źle, bo zaraz dostał mieszkanie na Nowej Kalinie jako „zasłużony dla budownictwa spółdzielczego”, choć był pomocnikiem magazyniera w cukrowni. Wstawiono nowe drzwi z kratą. Lokatorzy woleli nie wiedzieć, kto tam chodził, trudno było jednak nie zauważyć, że kłódka nie zardzewiała, a zawiasy ciągle były aż lepkie od smaru.

– Mówiłem ci, że tam są lochy – przypomniał Olkowi ojciec. – I cholera wie, dokąd prowadzą. Mogło być tak: Grabarz umawia się z konfidentką w lokalu kontaktowym. Ta aż wkłada nowe majtki, skoro sam komendant chce z nią gadać. Grabarz zabiera ją pod jakimś pozorem na dół, daje szprycę i podrzuca do zamkniętej kawiarni od piwnicy.

– Lokatorzy kamienicy woleli się nie interesować, ale ciekawość rzecz babska i jedna taka się zainteresowała – wtrącił Fałniewicz. – Na milicji nie puściłaby pary z gęby, ale mnie inna sprawa... – Wydarł zapisaną kartkę z notesu i położył na stole. – Rysopis. To nie Grabarz. Nie ta mordą. I nie wyobrażam go sobie w białym krawacie.

Podporucznik złapał notatkę, przeczytał i bez słowa wychylił setkę. Zapalił papierosa.

– No, synek! – ponaglił Zyga.

Olek poczuł się jak gówniarz wracający z prywatki, którego ktoś wciąga do ciemnej bramy i zadaje fundamentalne pytanie: „Komu kibicujesz? Motor czy Lublinianka?”. Każdy w głębi serca wie, że nie chodzi o prawidłową odpowiedź, tylko o nadanie mordobiciu pozorów słuszności. A jednak człowiek próbuje zgadnąć, po czyjej stronie jest racja i lepsza przyszłość.

– Rozpoznajesz?

– To Gozgawa – wydusił milicjant. – Pułkownik Gozgawa. Najważniejszy esbek w województwie.

Stary Maciejewski skrzywił się i nalał wódki. Wnioski dotąd szły mu jak po sznurku. Teraz Fałniewicz wrzucił piasek w tryby.

– Mój świadek mówił o baletach w tym mieszkaniu kontaktowym. Młode panny i ten gość z pijackim nosem, noszący się jak włoski alfons.

– Ale zaraz, ojciec, no to Gozgawa czy Grabarz?! – wykrzyknął porucznik.

– Założmy roboczo, że jednak Grabarz. Sprawdzimy i ewentualnie damy mu spokój. Jeśli mam rację, Grabarz tej drugiej esbeczce daje taki sam zastrzyk, choćby w bramie, i znika w podziemiach – ciągnął Zyga. – Może wiedziała o nim za dużo, może nie była dość lojalna... Choćbyście nawet zrobili rewizję w całej kamienicy, i tak by to nic nie dało. Spytaj kolegów z esbecji, jakie mają teraz metody maskowania drzwi czy skrytek. Bo jeśli mam rację, to bez kucia murów nie znajdziesz, chyba że wiesz, gdzie szukać.

– Zaraz, skąd pan to wszystko wie? – Olek zwrócił się do Fałniewicza.

– Z pewnego źródła – mruknął były tajniak.

Chciał dodać: „i obiecującego”, ale się powstrzymał. Gdyby wciąż był gliną, dzięki Kudłatej Helce miałby awans w kieszeni. Jeszcze przed wojną wiedziała wszystko, co działo się na dzielnicy, tylko nie chciała mówić. Teraz przynajmniej przed nim pozbyła się tych oporów, a że miała wiele czasu na plotki i podpatrywanie sąsiadów...

– Z pewnego źródła? Może z Radia Wolna Europa?! – zakpił podporucznik. – A motyw?

– Napij się, synek, po co te nerwy? – Zyga rozlał resztkę wódki. – Motyw? Powiem ci, jak będziemy mieli w ręku dowody. Pytanie tylko, czy naprawdę chcesz je zobaczyć. Bo może jednak wolisz przeprowadzkę pod Chełm, jak ci wróżył Świdroń. No to jak, Olek, zaufasz staremu ojcu?

– Niech cię szlag!... – Młody Maciejewski zakąsił zielonym ogórkiem. – Co mam robić?

V

Choć środki masowego przekazu były pełne życzliwych rad Milicji Obywatelskiej, aby nie żałować paru groszy na solidne zamki u drzwi, pułkownik Grabarz najwyraźniej wyznawał inną zasadę: jak złodziej widzi porządny zamek, to wie, że jest co kraść. Zresztą dacza

komendanta nie zachęcała do kradzieży – zza płotu wyglądała jak zwykła samotna wiejska chałupa. Sporo jeszcze ich stało za drugą górką w stronę Warszawy, choć powoli, na najbliższym sławinkowskim przedmieściu, zastępowały je domki jednorodzinne. Gdy Zyga, Fałniewicz i Olek przeszli przez ogrodzenie, odkryli, że niewidoczna z drogi tylna część budynku – wysunięta ku rzeczce – ma nie tylko piętro z poddaszem, ale i dodatkowy pokój na obszernym zabudowanym balkonie.

– Ojciec, jeśli się mylisz... – syknął młody Maciejewski i poprawił na ramieniu torbę z aparatem i lampą błyskową.

– Spokojna głowa, synek, ja jestem stary saper. – Zyga manipulował palcami. Do otwarcia zamka wystarczy kawałek drutu, tego był pewien, odwykł jednak od rękawiczek. – Mylę się tylko raz. Zresztą rozejrzemy się tylko. Jak będzie czysto, znikamy.

Szczęknęła odblokowana zapadka. Były komisarz pchnął nogą drzwi i zobaczyli wąski przedpokój ze ścianami obitymi grubo lakierowanym drewnem. Nawet jeśli kiedyś żył w nim jakiś kornik, dawno zdechł. Zamiast wieszaków przybito czaszki rogatych kozłów sarny – również na błysk pociągnięte lakierem. Obok wejścia stała szafka na buty, kalosze i wędka ze sztucznego tworzywa. Zyga wiedziony wędkarskim odruchem sięgnął po nią, zważył kij w dłoni, ale szybko odstawił. Nie mieli czasu na zabawę.

– Witek, piwnica. Olek, na śpic.

Podporucznik kiwnął głową i wybiegł przed dom. Przykucnął w krzakach, skąd miał widok zarówno na wylot polnej drogi, jak i dom. Nie była to wygodna pozycja, a jednak cholernie mu ulżyło. W razie co, przeskoczy ogrodzenie i wyprze się. Tak, kurwa, wszystkiego się wyprze, bo przecież nigdy go tu nie było!

Tymczasem Zyga Maciejewski rozejrzał się po pomieszczeniach. Kuchnię od razu sobie podarował – w puszcze po kawie można trzymać zaskórniaki, lecz nie to, czego szukał. Podobnie *Dzięta zebrane* Lenina w pokoju z telewizorem nadawały się może do ukrycia między kartkami paru dolarów, niczego więcej. W barku była tylko woda. Opukał boczne ścianki, lecz żadna nie oddawała głucho. Biurko w gabinecie... To nazbyt oczywiste, uznał, choć dla spokoju sumienia przejrzał szuflady. Żadna nie była zamknięta na klucz i znalazł tylko stare rachunki oraz kilka nieużywanych wiecznych piór, zapewne prezentów z jakichś konferencji partyjnych. Jedno całkiem ładne – masywne, ebonitowe, z elegancko zaokrągloną skuwką. Wsunął je

sobie do kieszeni i podszedł do regałów. Trochę książek, pamiątkowe kryształ, puchary, dość przypadkowa kolekcja płyt. Szlagiery taneczne i Mozart miały podniszczone koperty, wyraźnie komendant ich słuchał, natomiast albumy z radziecką muzyką ludową i wojskowymi marszami musiały być nietrafionymi prezentami – stały na półce nieskalane. Maciejewski przypomniał sobie, że Grabarz dał się poznać jako wyjątkowo muzyczny ubek – uwielbiał podśpiewywać, gdy podczas przesłuchań w ruch szły pięści i konkretniejsze narzędzia. Pamiętał takiego jednego sprzed wojny, śledczego politycznego Tomaszczyka... Podobne upodobania, najwyraźniej świnie w każdym stroju powinny łączyć się niczym proletariusze z motta „Trybuna Ludu”.

Otworzył szafkę radioli z jasnego drewna, pokręcił gałkę. Pośród szumów spiker mówił coś o widokach na zwiększenie kwintali z hektara, więc Zyga szybko go wyłączył. Poruszył rączką gramofonu, talerz na płyty zaczął się miarowo obracać... Bliżej parapetu stał jeszcze jeden radiodbiornik – masywna odrapana stolica z okiem magicznym.

– Na cholere mu dwa? – mruknął do siebie Maciejewski i pokręcił gałką stolicy.

Nie usłyszał jednak żadnego dźwięku. Tak jak przywoływał do porządku własnego zdezelowanego pioniera, trzepnął odbiornik pięścią, ale zyskał tylko tyle, że odpadła tylna ścianka z dykty, odsłaniając lampy obrośnięte kłakami kurzu.

Spojrzał jeszcze raz na płyty i naraz coś go tknęło. Trudno mu było sobie wyobrazić takiego masochistę, tym bardziej złodzieja, który zainteresowałby się ciężkim, oprawionym w skaj zbiorem *Piesni narodow Sowietskowo Sojuza*, ale był mniej pokryty kurzem niż chociażby płyty Fogga.

– W mordę... – jęknął Zyga, ledwie otworzył skajowy album.

– Mam! – usłyszał z przedpokoju głos Fałniewicza. – W piwnicy jest i łapa, i tablice rejestracyjne – dodał były tajniak, stając w drzwiach.

– Ja też mam – uśmiechnął się Maciejewski. – Zawołaj Olka. Obejrzymy sobie to razem.

Piesni narodow Sowietskowo Sojuza powinny zawierać osiem longplayów, lecz zamiast nich w przegródkach tkwiły papiery, poźółkłe i całkiem świeże. Na żadnym gramofonie nie miały prawa grać, jednak Maciejewskiemu wszystko już grało.

*

Komendant przekręcił klucz w zamku i nacisnął włącznik, światło się jednak nie zapaliło.

– *Job twoju mać!* – warknął i rzucił siatkę z zakupami na krzesło obok drzwi. Następny kontakt był już zaraz, w pokoju.

– Ciemno wam mrugać, towarzyszu pułkowniku? – osadził go w miejscu czyjś zimny głos. Głos, który już kiedyś słyszał...

Sięgnął po spluwę, ale oślepiło go mocne światło biurkowej lampy skierowane prosto w oczy. Ktoś wypadł z kuchni, podcinając mu nogi.

– Rzuć broń – powiedział inny głos. Ten też był mu skądś znajomy.

Czując dotyk zimnej stali na potylicy, Grabarz wypuścił z ręki pistolet. Z miejsca na jego przegubach zapięły się kajdanki.

– Skuty – zameldował mężczyzna, który go rozbroił, i dopiero teraz skrzypnął gwint żarówki wkręcanej do żyrandola.

– Maciejewski? – sapnął komendant, jeszcze nim zobaczył jego twarz.

– Miło z waszej strony, że pamiętacie po przeszło dwudziestu latach, towarzyszu pułkowniku – skinął mu głową Zyga. – Pamięć fotograficzna, tak przydatna w resorcie.

– Czego chcesz? Pieniędzy? Mam, tylko... – zaczął milicjant, ale Fałniewicz nie dał mu dokończyć.

– My zadajemy pytania – warknął.

– A tak, odwykłem – kiwnął głową Zyga. – Tu go dawaj! – Skierował biurkową lampę w oczy komendanta. – Więc po kolei: imię, nazwisko, urodzony...

– Co wy sobie, kurwa, myślicie?! – wrzasnął pułkownik, ale wymierzony od niechcienia prawy sierpowy Fałniewicza zamknął mu gębę.

Witek świetnie wszedł w swoją rolę złego policjanta, choć nie trenował tego od wojny. Zyga z kolei z wiecznie podpitego emeryta stał się nagle śledczym. Widocznie to prawda, że z tym jest jak z jazdą na rowerze...

– Początkowo myślałem, że pomyliłem się co do was, i trzeba będzie robić włam do Gozgawy – powiedział Maciejewski, kładąc na stole powielaczową odbitkę maszynopisu cyrylicą. – To, że szef KGB Andropow pisze *towariszczu ministru Moczaru*, jak to pomogliście im w śledztwie w sprawie kilku Ukraińców, którzy *postupili na służbu*

w niemiecko-faszystkije wojska SS i mordowali Żydów w Bełżcu, nawet wzbudziło moje dobre wspomnienia, Grabarz. Zastanowiło mnie jednak, dlaczego nie oprawiliście tego i nie powiesiliście za szkłem. Za okazannuju pomoszcz Komitet prosit pieriedat' błagodarnost' towariszczam: naczalniku otdieta graždanskoj milicji w Lublinie pułkowniku Jakubu Grabażu i jego zamiestitielu po służbie SB Marianu Gozgawa... Brzmi zbyt pięknie, dlatego zacząłem grzebać w waszych płytach. I proszę! – Sięgnął po kilka kartek, dla odmiany napisanych ręcznie i po polsku. – Mariana Gozgawę poznałem jesienią 1943 roku w areszcie gestapo w Kraśniku i zapamiętałem go, ponieważ w odróżnieniu od innych wracał z przestuchań niepobity... Albo to: Gozgawa miał opinię szmalcownika i chętnie donosił do Niemców na ukrywających się Żydów... I jeszcze: Jako likwidator AK miałem w 1944 roku rozkaz na egzekucję zaprzędanego okupantowi kolaboranta Mariana Gozgawę, którego nie zdołałem wykonać, a kiedy wpadłem w 1947, przestuchiwał mnie ten sam Gozgawa jako starszy referent UB w Lublinie. Gratuluję wam roboty operacyjnej! A nie wiecie przypadkiem, Grabarz, czy Gozgawa nie ma podobnych kwitów, tylko na was?

Pułkownik dobrze trzymał się w śledztwie, ale jego zaskoczona gęba mówiła wszystko. Maciejewski nieraz miał okazję maglować twardych przestępców, których lojalność przypominała gwarancje towarzystw ubezpieczeń wzajemnych. Milczeli tylko tak długo, dopóki nie pękło najsłabsze ogniwo. W końcu Witek zabrał Grabarza do piwnicy, a z sąsiedniego pokoju wyszedł Olek. Był trupio blady, a kiedy sięgnął po papierosa, trzęsącymi się dłońmi ledwo włożył go do ust.

– Spokojnie. – Zyga podał synowi ogień. – To dopiero pierwszy akt. Teraz Fałniewicz pilnuje go, a twój pułkownik zbiera myśli wpatrzony w tę ognistą rękę golema.

– On nic nie powie, ojciec! – wybuchnął Olek. Spalił całego papierosa na trzy machy, tak jak to potrafią tylko więźniowie albo desperaci w zakładach psychiatrycznych. – To wszystko za słabe. Trzeba będzie zabić i spieprzać! Tylko, cholera, gdzie?!

Zyga plasnął go dłonią w twarz. Za moment poprawił z drugiej strony. Olek, choć silniejszy i wyższy, dał się tłuc jak kukła, a potem równie bezwolnie posadził na kanapie.

– Gówniarzu głupi! – Ojciec złapał go jeszcze za klapy marynarki i potrząsnął. – I tak siedzisz w mniejszym szambie niż jeszcze godzinę

temu. Jedyna różnica, że wcześniej nie czułeś smrodu. Naprawdę nie zrozumiałeś ostrzeżenia Świdronia? Każdy inny postrzeliłby się w stopę z broni służbowej i poszedł na chorobowe. Ja ci daję szansę, rozumiesz? Grabarz i Gozgawa są dla siebie najlepszymi sprzymierzeńcami po linii służbowej tylko dlatego, że trzymają się wzajemnie za jaja jak para pedałów. Utrącisz jednego, drugi też spadnie. Co to ma za znaczenie, że jeden miał wszelkie szanse zostać dobrym Żydem, a drugi cholernie prawym Polakiem? Dzisiaj obaj są komunistycznymi aparatczykami, jak wielu przedwojennych kundli. Osobno każdy byłby do zatopienia, ale razem są jak wańka-wstańka. Zapamiętaj sobie, synek, że w twojej robocie nic tak nie sprzyja wiernej przyjaźni, jak wzajemne haki. Szedłeś na rozkurz, a teraz będziesz miał komendanta w garści. Jeśli się nie zesrasz ze strachu, oczywiście.

Syn potulnie kiwnął głową, a Zyga przeszedł się po pokoju i po namyśle otworzył barek. Chwilę oglądał węża zatopionego w jakiejś chińskiej, a może wietnamskiej wódce, wybrał jednak polską żytnią.

– Grabarz nagrał sobie trzy sprawy za jednym zamachem – ciągnął. – Pomógł koleżce pozbyć się niewygodnych dziwek. Swoją drogą, Gozgawa to debil, nie nauczył się od towarzyszy radzieckich nawet, że *gdzie żywiesz, nie jebiesz, gdzie rabotajesz, tam nie ruchajesz*. Dziw, że dotąd się uchował. Po drugie, wymyślił lubelskiego wampira akurat teraz, gdy w kraju aż huczy. W zależności od wytycznych można w to wrobić syjonistyczną ekstremę, studenterię czy innego kozła ofiarnego. Milicja, dzielne ramię sprawiedliwości ludowej, złapie kogo będzie trzeba. A po trzecie, gdyby zupełnym przypadkiem przyszła niespodziewana odwilż, społeczeństwo będzie miało nową legendę o czarcie, który mścił się na esbeczkach. Muszę mu przyznać, że ma rozum i ma jaja. A ty, jeżeli ci się jeszcze nie skurczyły jak orzeszki, kombinuj, jak się dobrać do kwitów, które trzyma Gozgawa. Niech się i esbecy czegoś boją, to dobrze wpływa na cerę.

Olek podniósł do ust podsuniętą mu butelkę.

– Za cienki jestem. – Pokręcił głową. – Ale powiedz, ojciec, dlaczego wtedy, zaraz po wojnie, Grabarz wyciągnął cię z pudła, żebyś zapobiegł pogromowi? – nie ustępował Olek.

– Zaczynasz myśleć – pochwalił go Zyga i sam się napił. – Bo wtedy nie było Gozgawy i...

Przerwały mu krzyki. Z piwnicy dobiegł ryk, jęk i odgłosy głuchych uderzeń, jakby łbem o ścianę.

– Fałniewicz!... – jęknął stary Maciejewski.

Chwycił za szyjkę niedopitą flaszkę, Olek odbezpieczył broń i zaraz zbiegli po betonowych stopniach.

„Wyrwał się, sukinsyn! – myślał w panice były komisarz. – Co z Witkiem?!”

Pchnął drzwi i zobaczył, że akurat o przyjaciela martwił się zupełnie bez potrzeby.

Nie rzucim żłobu, skąd nasz ród.

Rozkoszne nam pomyje.

My PPR-u wierny lud,

Potężne mamy ryje.

I chcemy Polski aż po Bug.

Tak nam dopomóż wróg!

Tak nam dopomóż wróg!...

– ryczał na patriotyczną melodię Fałniewicz, okładając Grabarza grubym kablem w gumowej izolacji, jakby do rytmu bił w bęben. Jednak nie te ciosy były najgorsze. Gdy pułkownik nie zdążył odpełznąć po kolejnym uderzeniu, były tajniak kopnął go swoją sztywną nogą.

– Witek, kurwa, zabijesz go! – krzyknął Maciejewski.

– Nie od razu. Widzisz, że nie po głowie – warknął Fałniewicz. Odetchnął, przerwał na moment i dodał: – On też mi śpiewał *Rotę*, jak mnie przesłuchiwał w czterdziestym piątym. Zwłaszcza lubił „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”, skurwysyn!

– Wypuściłem pana! – jęknął Grabarz.

– Jako inwalidę. – Dawny tajniak kopnął go w brzuch i rozpoczął na nowo.

Będzie z nas każdy kradł i rył,

Byleby napaść brzucha.

Chociażby cały chlew nam zgnił,

Moskwy będziemy słuchać...

Zyga z trudem odciągnął go od komendanta. Olek Maciejewski stał w drzwiach bez ruchu, nie wiedząc, co robić. Ojciec miał rację, tak czy siak tkwił po szyję w szambie, tylko już nie był pewien, które gównem gorzej mu śmierdziało. Kto mógłby teraz dać mu plecy? Błagać

Świdronia? Nie ma po co! Gdyby był młodszy i jeszcze szedł w górę, to tak, ale nie te parę lat przed emeryturą!

Potoczył wzrokiem po ścianach z nieotynkowanej cegły, zmrużył oczy, gdy nieopatrznie skierował je ku gołej żarówce. Absolutnie nie miał chęci patrzeć akurat w tamtą stronę, ale też nie potrafił się powstrzymać. Na stole z gołych, ledwie oheblowanych desek leżało to, o czym ojciec już mu opowiedział – coś jak drewniana proteza ręki, tyle że musiałyby być za duża nawet dla faceta postury Fałniewicza. I za ciężka, bo dłoń zamiast gumą czy skórą została pokryta metalem, od którego dwa kable prowadziły do akumulatora. Skórzane szelki zwisały z niego niczym dwa szerokie liście jakiejś dziwacznej rośliny niepodlewanej od tygodni. Na haku Olek zobaczył obszerną wojskową pałatkę z kapturem, chyba największego rozmiaru, jakim tylko dysponowały armie Układu Warszawskiego.

– Matko Boska! – stęknął.

Cofnął się, nie zauważając, że w korytarzu pod ścianą stoją foliowe worki z jakimś proszkiem. Zawadził o któryś nogą, a wtedy małe czerwone kulki z sykiem posypały się na posadzkę. Podporucznik zerknął na etykietę *Granulat sylwinitu. Nawóz potasowy*.

– Zaraz, zaraz, ojciec...

Wszyscy spojrzeli na niego, nawet Grabarz. Milicjant ze zdziwieniem zauważył, że wciąż trzyma w ręku broń, więc schował ją do kabury. Odchrząknął.

– „Zawartość chlorku potasu do 30 procent” – przeczytał. – Ojciec, chlorku potasu! Wytrącić go z tego nawozu to pewnie niewiele trudniejsze niż zrobić bimber.

– Brawo, Olek. – Zyga posadził dyszącego ciężko Fałniewicza na skrzynce z jabłkami i zapalił papierosa. – A co do was, towarzyszu pułkowniku, to kończymy z wami i pozorujemy napad rabunkowy. Mój syn zabełta sprawę albo przyszyje jakiemuś draniowi i nikt nie dojdzie. – Zaciągnął się głęboko i rozejrzał dokoła.

Komendant pełznął ciężko w stronę ściany, Fałniewicz wciąż nie mógł złapać tchu, a młody Maciejewski przyglądał się różowemu nawozowi jak nieufny działkowicz.

– Chyba że zrobimy inaczej – ciągnął były komisarz. – Ty, Grabarz, po pijaku spadłeś ze schodów, a nas tu wcale nie było. Tak byłeś zajęty myślami o awansowaniu podporucznika Maciejewskiego, tak się dręczyłeś, czy zdołasz go wychować na następcę Świdronia, zanim ten odejdzie na zasłużoną emeryturę, że zapomniałeś o wyszczerbionym

stopniu.

– Jak to następcę Świdronia? – wyrwał się młody Maciejewski. Zaraz jednak ugryzł się w język. Lepiej nie przeginać pały. Chociaż jeszcze niedawno myślał o karierze w SB, ciszej jedziesz, dalej będziesz, przypomniał sobie rosyjskie przysłowie.

Ojciec zmierzył go wściekłym spojrzeniem, a komendant kiwnął parę razy głową. Dotarł do ściany i zaczął ją obmacywać, jakby szukał mysiej dziury, w którą mógłby się wcisnąć.

– Eee! – krzyknął Fałniewicz.

Pułkownik cofnął rękę, choć już prawie chwyciła metalowy kątownik, których kilka walało się w kącie.

– Nie radzę – pokręcił głową były tajniak. – Ale to za mało, Zyga. A Feldbaum?

– Racja, pan Feldbaum! – Maciejewski klepnął się w czoło. – Pomożesz człowiekowi, Grabarz, Grejber czy jak ty się tam naprawdę nazywasz. A Feldbaumowi nie trzeba wiele, to cichy, zupełnie niepolityczny człowiek. Wystarczy, jak się odczepi od niego skarbówka. Co wam, sukinsyny, przeszkadza stary krawiec?

– Dobra, twój syn będzie miał plecy, sprawę Feldbauma też załatwię. Oddaj papiery – wyciągnął rękę komendant.

– Mam ci oddać naszą polisę na życie? – zaśmiał się Zyga. – Bądź spokojny, twoje kwity skopiuję i zdeponuję w bezpiecznych miejscach. I nie muszę ci chyba mówić, na czyich biurkach to wyląduje, jeśli któremuś z nas przytrafi się tajemniczy wypadek albo napadną nieznani sprawcy. I co w rewanżu zezna o tobie Gozgawa, kiedy zaczniesz mu się palić koło dupy...

Grabarz kiwnął głową skwapliwie, nawet nazbyt skwapliwie. Maciejewski jednak od razu go zgasił.

– I ostatnia rzecz. Nie myśl, że to przeoczyłem. Młody zaraz pstryknie tu parę zdjęć, ale wcześniej skoczy na górę po papier i pióro. Zaraz własnoręcznie napiszesz nam tu życiorys ze szczególnym uwzględnieniem swojego pochodzenia oraz udziału w ostatnich wypadkach. Pamiętaj, jak było w czterdziestym piątym na Krótkiej? Kazałeś nam pisać po pięć życiorysów dziennie, i to nawet połamanymi palcami. Wasze są całe, towarzyszu pułkowniku. Póki co...

– Albo sam czart wyda na ciebie wyrok. – Fałniewicz zaczął zakładać sobie na rękę łapę diabła czy może golema. Sięgnął po skórzane szelki z akumulatorem.

VI

Wrzesień 2008

– Ale syf! – Seba z obrzydzeniem przełknął ślinę, i tak czuł jednak, że żołądek podchodzi mu do gardła.

Ledwie oderwali od posadzki mały podest, pewnie dla orkiestry, wyroilo się spod niego z tysiąc obrzydliwych połyskujących robaczek. Widywał je nieraz, kiedy remontowali łazienki – pod wanną albo pralką, tylko, kurwa, nigdy w takiej ilości, jakby ktoś rozgrzebał mrowisko. W zasadzie Seba nie brzydził się nawet pajaków, tyle że na bieganinę tego małego paskudztwa, na podrygujące w pędzie odwłoki nie mógł patrzeć.

– No, rybiki – kiwnął głową Jarek. – Kuba, chodź! Zobacz, ile tego! – zawołał kolegę, który w tym czasie zmagął się z oporną farbą na ścianach.

Trudno było uwierzyć, że remontowali jedną z najlepszych niegdyś lubelskich knajp. Remontowali albo rozpieprzali, zależy jak patrzeć. Seba i Kuba nie mieli żadnych oporów, nigdy tu nie przychodzili. W sumie Jarek też nie, ale jego matka, która pracowała niedaleko w wydawnictwie, prawie codziennie wpadała do Czarnej Łapy. Pamiętał, że kiedyś zabrała go na przedstawienie kabaretu... jak on się nazywał?... Czart! Był wtedy za mały, aby zrozumieć, z czego wszyscy się śmieją, a potem miał inne sprawy niż wypełnianie białych plam z dzieciństwa: ciąża Anki, przerwane studia, budowa, druga budowa, Antwerpia, kolejne dziecko, Londyn, wreszcie własna firma remontowo-budowlana.

Kuba z Jarkiem zdeptali wszystkie rybiki, podczas gdy Seba oddychał ciężko, wlewając w siebie nałęczowiankę bez gazu.

– No, podnosimy, łatwiej będzie rozebrać! – Kuba pierwszy chwycił za skraj podestu.

Dźwignęli ciężkie, wilgotne deski i podpierając rękami, zaczęli stawiać je do pionu jak drabinę. Nagle jednak podest zachwiał się, bo Seba niespodziewanie odskoczył.

– Pojechało cię?! – wydarł się Jarek, który jako najwyższy dostałby dechami w łeb, gdyby Kuba przytomnie nie podparł ich ramieniem.

– Sorry, ale tam jest coś lepszego – wzdrygnął się Seba.

Wyobraźnia pracowała. Widział gniazdo rybitków, wylęgarnię obcych,

wilgotne i oślizgłe przetrwalniki, jaja, poczwarki albo cholera wie co. W przeciwieństwie do Jarka nigdy nie włączał Animal Planet i nie miał najmniejszego pojęcia, skąd się biorą te robale. Jedno pewne: z brudu.

– Jakież papiery chyba... – usłyszał i dopiero wtedy otworzył oczy.

Podest stał już oparty o ścianę, a Kuba rozrywał folię okrywającą szarą papierową teczkę, starannie zawiązaną na tasiemkę i jeszcze opasaną szpagatem. Seba nie pamiętał, żeby ktokolwiek oprócz jego dziadka używał szpagatu.

Kuba kucnął. Za chwilę wszyscy zobaczyli czarno-białe zdjęcia, podobne trochę do policyjnych lub raczej do tych z *Archiwum X*: czyjeś mieszkanie z papierami wybebeszonymi ze skrytek, piwnica, stół na narzędzia i coś jak proteza albo ręka androida. Oprócz fotografii był też czyjś ręcznie napisany życiorys, świadectwo urodzenia – chyba jeszcze przedwojenne, jakiś dokument z pieczęcią sądu...

– Stało się coś, panowie? Dlaczego nie robicie? – usłyszeli nagle głos szefowej.

Poderwali się od razu. Pani Wanda Maciejewska, która niedawno wynajęła lokal po Czarciej Łapie, mimo prawie sześćdziesiątki była kobietą interesu. Wręcz heterą interesu. Trzymała twardą ręką kilka lokali, jakiś motel pod miastem, a teraz jeszcze wygrała przetarg, choć stanął też do niego brat pośła i firma córki koalicyjnego senatora.

– Znaleźliśmy tu, pod podestem. – Kuba podał jej teczkę. – To chyba trzeba gdzieś oddać. Do IPN-u czy ja wiem...

Szybko przerzuciła dokumenty i sięgnęła do torebki po telefon.

– Panowie się stąd nie ruszają – rozkazała, celując w swoją ekipę otwartą klapką srebrnej motoroli.

Z teczką pod pachą wyszła do sąsiedniej sali i nie spuszczać wzroku z robotników, wybrała numer męża. Nie odpowiadał, więc połączyła się z drugim – z „czerwoną linią” znaną oprócz niej tylko kilku osobom.

– Olek, jestem w Czarciej. Przyjeżdżaj natychmiast. Nie, nie wypadek, ale rzuć wszystko i przyjeżdżaj. Czekam!

Nieprzyjemnie plasnęła zatraskiwana klapka. Pani Wanda podeszła do trójki remontowców, bez słowa wyjęła z ręki Seby mineralną i pociągnęła długi łyk.

– Coś się stało, szefowo? – spytał zaniepokojony Jarek.

– Zaraz się okaże. Któryś ma papierosa?

Nie zdążyła nawet spalić westa od Seby, gdy przed lokalem usłyszeli wściekły klakson, a potem pisk opon. Do środka wpadł gość dobrze po

sześćdziesiątce, zapewne jednak wciąż odwiedzający siłownię, to było widać po jego klacie i ruchach. Przechwycił podejrzliwe spojrzenie Kuby wlepione w uchwyt pistoletu, który odsłoniła poła rozwianej marynarki. Spokojnie zapiął guzik i podszedł do szefowej.

– Mam młyn w firmie. Co się... – Nie dokończył, bo sam zauważył już teczkę. Tak jak pani Wanda przejrzał pospiesznie zawartość. Starannie zawiązał tasiemkę i uważniej przyjrzał się żonie. – Znowu palisz?

Seba wyciągnął w jego stronę papierosy, ale facet pokręcił głową.

– Uwierzyłyś, że tutaj to schował? – powiedziała Maciejewska. – Tylko jak to zrobić?...

– Ojciec na wszystko miał swoje sposoby... – zamyślił się dawny milicjant.

Cholera, gdyby miał kogoś takiego w swojej agencji detektywistycznej! To był taki glina, jakiego drugiego nigdy nie spotkał. Rozumiał tę robotę od każdej strony. A jednak był przedwojenny! Olek nieraz prosił: „Nie pracuję w esbecji, tylko w kryminalnym. Czego jeszcze chcesz?! Powiedz, gdzie są kwity Grabarza”. Ta resztką dawnego Zygi Maciejewskiego, której nie zniszczyła wódka i papierosy, z tępym uporem patrzyła wtedy w czarno-biały telewizor, na ekranie którego pierwszy Polak leciał w kosmos.

„Widzisz, ojciec, co się porobiło – przekonywał kilka lat później, gdy inny pierwszy Polak zrobił pucz wojskowy. – Nie masz pojęcia, ilu tych sukinsynów było podczepionych pod Gozgawę. Gdzie to schowałeś? Słuchaj, on teraz leci w dół, a ja potrzebuję forsy. Chcesz, żeby twoje wnuki dorastały w tym kraju?! Trzeba pomyśleć o jakichś studiach dla nich. W RFN-ie, może w Anglii...”. Nie pomogło.

A przed śmiercią stary – gdy papiery byłego komendanta pewnie mu już wisiały – jak na złość stracił głos i władzę w kończynach, więc nawet napisać nic nie mógł. Olek Maciejewski nawet machnął ręką na te kwity, dopóki w obieg nie weszli synowie dawnych ubeków. Media niemal codziennie wymieniały nazwiska prezesa Gozgawy i senatora Grabarza, i to w kontekście powiązań bynajmniej nie lewicowych...

Któryś z robotników chrząknął skrzępowany przedłużającą się ciszą. Olek westchnął, z namysłem potarł czoło i spojrzał na Jarka.

– Pan jest szefem ekipy?

Jarek skinął głową, zastanawiając się, jak ten facet to odgadł. Wszyscy trzej pracowali przecież razem, byli tak samo spoceni i pokryci kurzem. Widocznie miał nie tylko giwerę pod marynarką, ale

i jakiegoś rentgena w oczach.

– Maciejewski, Aleksander Maciejewski – przedstawił się niczym James Bond, wyciągając rękę najpierw do Jarka, potem do Kuby i Seby. – Panowie wyglądają na rozsądnych i zrobimy tak: każdy z panów dostanie, powiedzmy... dwa tysiące do ręki i żadnej teczki nigdy tu nie było. To raz. Dwa: postawiliśmy córce i zięciowi dom pod Lublinem, stan surowy, ile tam metrów kwadratowych, to nie ogarniam, ale rowerem można po chałupie jeździć. Cała wykończeniówka do zrobienia. Jak panowie dadzą cenę nawet z górnej półki, ale w granicach rozsądku, to pracy dla panów nie zabraknie. A chyba i motelowi nie zaszkodziłby remont, co, Wandziu? – zwrócił się do żony.

– Żadnej teczki tu nie było – zdecydował szybko Jarek. – Zresztą niech pan sam spojrzy, ile robactwa! – Rozmazał butem plamę po rozdeptanych rybikach. – Czy jakieś papiery uchowałyby się w takim syfie?

W opowiadaniu wykorzystane zostały fragmenty piosenki kabaretu Czart pt. *Chuligańskie tango* – sł. Władysław Ziemian (wł. Władysław Ćwik) oraz *Hymnu komunistów* śpiewanego na melodię *Roty* – autor nieznany.

Małgorzata Sobieszczkańska

SĄSIEDZI

Wszystkie postacie są fikcyjne, choć zdarzenia już niekoniecznie...

„Sto trzydziesty drugi odcinek grubsza sprawa. Wolę porozmawiać osobiście”.

Sto trzydziesty drugi odcinek był jego. Męczył się nad nim cały tydzień i wysyłając go, miał poczucie, że jest nieźle. Jak widać, mylił się. Od dłuższego czasu Tomasz czuł, że w pracy patrzą na niego coraz mniej przychylnie, dlatego tym razem poświęcił na pisanie sobotę i niedzielę. Przyłożył się jak nigdy dotąd, może tylko na początku, gdy zaczynał. Sprawdził adresatów wiadomości. No tak. Producentka wysłała mail nie tylko do niego, ale do całej ekipy. Więc już wszyscy wiedzą, że są z nim kłopoty, być może nawet znalazł się na wylocie. Nieprzyjemnie.

Zniechęcony wyłączył komputer. Może powinien zmienić zawód? Bo przecież nie musi być scenarzystą. Porzuci to życie, spakuje tylko niezbędne rzeczy – jak się głębiej zastanowił, nie znalazł ani jednej takiej rzeczy – i ruszy przed siebie. Miesiąc wcześniej skończył czterdzieści pięć lat i wpadł w panikę, gdy uświadomił sobie, że to ostatni dzwonek, by coś w swoim życiu zmienić. Na początek postanowił wyjść do sklepu, lodówka była kompletnie pusta, dobrą zmianę zacznie od zapełnienia jej zdrowymi produktami.

Stojąc w kolejce do kasy (w koszyku było żytnie pieczywo i oliwa zamiast codziennych bułek z masłem), zastanawiał się, czy nie wyjechać na archipelag Tristan da Cunha. Przeczytał w Internecie, że na wyspie mieszka niewiele ponad dwieście osób, trudniących się głównie piciem whisky. Czemu nie? Z daleka od świata, w samotności i spokoju, przy znacznym współudziale whisky, skończy wreszcie książkę, którą pisze z przerwami od dziesięciu lat. Znajomi przestali nawet o nią pytać, całkiem słusznie uznając, że zarzucił myśl o jej skończeniu. Musi sprawdzić, jak dostać się na wyspę i ile to będzie

kosztować. Alternatywą były jeszcze Wyspy Owcze, znacznie bliżej położone i być może z tańszym dojazdem. Spodobało mu się, że jest tam więcej owiec niż ludzi, może nauczyłby się je hodować? Słyszał też, że mieszka tam sporo Polaków, przynajmniej język nie byłby przeszkodą. Bo jeśli nie wyjedzie, jaka przyszłość go czeka? Do końca życia będzie wymyślał intrygi kryminalne dla nieistniejącego komisarza? Kiedy miał już płacić, dorzucił do koszyka czekoladowy baton, uznając, że jedna niezdrowa rzecz na dwie zdrowe to całkiem niezła proporcja.

– Złodziej! – usłyszał krzyk jakiejś kobiety, gdy opuścił sklep. Momentalnie znieruchomiał. – Łapcie go! To złodziej!

Tomasz błyskawicznie przyspieszył i skrył się za rachitycznymi krzakami. Kucnął, udając, że poszukuje czegoś na ziemi. Zza budynku, od strony ulicy Szczęśliwickiej, wyskoczył młody chłopak w wiatrówce z kapturem nasuniętym na czoło i przemknął obok znieruchomiałego Tomasza. Chwilę potem pojawiła się ścigająca go kobieta. Tomasz obserwował, jak biegną. Kobieta wciąż krzyczała i wzywała pomocy, chłopak był zwinny i szybki, wkrótce zniknął mu z oczu, a zrezygnowana kobieta opadła załamana na ławkę przy trzepaku i rozplakała się. Dopiero wtedy Tomasz dyskretnie opuścił krzaki. Miał tylko nadzieję, że kobieta go nie zauważyła. Nie lubił być wmieszany w niebezpieczne sytuacje, całe życie tego unikał.

– Popilnuję pieska – usłyszał nagle tuż obok siebie i podskoczył spłoszony.

Obejrzał się. Jeden z miejscowych pijaczków proponował pomoc właścicielce charta, młodej dziewczynie, niespełna dwudziestoletniej, która właśnie wyszła z klatki. Mieszkała nad Tomaszem, z matką, znał obie z widzenia. Przypinała smycz do ogrodzenia wokół trawnika.

– Nie trzeba – odburknęła.

– I tak popilnuję... – nie odpuszczał pijaczek.

Dziewczyna wzruszyła obojętnie ramionami. Mijając Tomasza, skinęła mechanicznie głową na powitanie i odeszła do sklepu.

– Piękna... – westchnął pijaczek, patrząc za nią z uwielbieniem.

Tomasz wrócił do domu, przepuszczając w drzwiach mieszkających nad nim, *vis-à-vis* dziewczyny z chartem, Wietnamczyków, którzy najwyraźniej wracali z pracy. Prowadzili bar gdzieś w okolicy placu Narutowicza.

York sąsiadów z naprzeciwka ujadął jak opętany, Tomasz włączył muzykę i założył słuchawki. Nie miał nic do roboty, nie chciało mu się

ani czytać, ani niczego oglądać. Sprawdził tylko telefon (nikt do niego nie dzwonił) i skrzynkę mailową (po wiadomości od producentki nikt do niego nie napisał), po czym zrobił sobie herbatę i usiadł przy oknie, wychodzącym na podwórko. Zbliżał się wieczór. Do domu wracali sąsiedzi: mieszkające na parterze arabskie małżeństwo, Wietnamczycy kilka razy wychodzili po coś do sklepu, polsko-chińskie małżeństwo z trójką małych dzieci, pewnie odebrali je z przedszkola i wracając pośpiesznie zrobili zakupy, bo szli obciążeni torbami, rozbawieni australijscy studenci z pierwszego piętra, którzy przyjechali tu w ramach wolontariatu, by uczyć Polaków angielskiego. Właścicielka yorka w piżamie i narzuconym na nią płaszczu wyszła na spacer z psem. Towarzyszyła jej sąsiadka z parteru, emerytowana nauczycielka. Jakieś dziesięć lat wcześniej, kiedy się tu wprowadził, myślał, że ma dziewięćdziesiąt lat. Od tego czasu właściwie w ogóle się nie zmieniła. Ruch niemal jak na Marszałkowskiej, pomyślał. Zapadł zmierzch, gdy z klatki wyszła właścicielka charta – bez psa – mama dziewczyny, którą spotkał pod sklepem. Szła elegancko ubrana w stronę bramy.

Tomasz umył kubek po herbacie (zawsze przed snem porządkował mieszkanie, był z natury pedantem) i położył się spać. Długo przewracał się w łóżku. Mail od producentki, do czego nie chciał się sam przed sobą przyznać, jednak wzbudził w nim niepokój. Musiało być dobrze po północy, gdy wyczerpany wreszcie zasnął.

Zbudził go krzyk. Poderwał się z łóżka, nie był pewien, czy krzyk nie stanowił elementu snu, tym bardziej że za oknem wciąż panowała ciemność. Sprawdził godzinę w telefonie: pierwsza. Nasłuchiwał przez chwilę, ale nic się nie działo. Już miał ułożyć się z powrotem do snu, gdy krzyk powtórzył się, teraz przypominał raczej zawroźnienie, a potem usłyszał pośpieszne kroki na klatce, po których rozległo się walenie w drzwi sąsiadów i jego i ujadanie yorka. Niechętnie wstał i wyrzwał przez judasza na klatkę. Paliło się światło, po schodach schodziła z góry dziewczyna od charta i Wietnamczycy. Wszyscy w piżamach, na które narzucili kurtki. Między nimi przebiegła mama dziewczyny. Miała przestraszony, rozbiegany wzrok. Otworzyły się drzwi naprzeciwko mieszkania Tomasza, pojawił się w nich sąsiad, taksówkarz, a za nim jego żona, właścicielka yorka.

– Co się dzieje? – tubalny głos taksówkarza słyszeć było w mieszkaniu Tomasza, jakby ten stał obok.

– Nie wiedzieć, nie wiedzieć – mamrotali Wietnamczycy.

Taksówkarz podszedł po drzwi Tomasza. Patrzył wprost w judasza, jakby wiedział, że Tomasz jest po drugiej stronie. Uderzył w drzwi.

– Jest pan?

Tomasz po chwili wahania niechętnie otworzył.

– Chodźmy. Jesteśmy jedynymi Polakami na tej klatce.

Tomasz machnął w stronę mieszkania polsko-chińskiego małżeństwa piętro niżej.

– Nie jedynymi.

– Ożeniony z Chinką – prychnął taksówkarz. – Ja tam nie wiem, czy on jeszcze Polak jest.

Tomasz posłusznie, choć niechętnie, zamknął drzwi i ruszył za taksówkarzem i jego żoną na dół. Na klatce byli wszyscy mieszkańcy: starsza pani i Arabowie z parteru, polsko-chińskie małżeństwo i Australijczycy z pierwszego piętra, on i taksówkarz z żoną z drugiego piętra, właścicielki charta i Wietnamczycy z trzeciego piętra. Na czwartym piętrze nikt tymczasem nie mieszkał, rodzina z jednego mieszkania wyjechała na placówkę do Argentyny i jeszcze go nie wynajęła, drugie miało nowych właścicieli, którzy zbierali pieniądze na remont.

Lokatorzy stali głęboko poruszeni, szeptali między sobą ze zgrozą. Mieszali się języki: wietnamski, arabski, angielski, chiński i polski. Żona taksówkarza przeszła między sąsiadami i naraz krzyknęła donośnie. Dopiero wtedy Tomasz zobaczył leżące na schodach ciało pijaczka, który zaczepił go po południu przed sklepem. Nienaturalnie wykrzywione usta odsłaniały krzywe, żółte zęby, jego twarz była barwy śliwki. Tomasz poczuł, że robi mu się słabo, brakuje powietrza. Odetchnął głęboko, jeszcze tylko tego brakowało, żeby tu zemdłał. Na wszelki wypadek kucnął.

– Trzeba chyba zawiadomić kogoś?... – właścicielka charta spojrzała na niego. Wciąż była elegancko ubrana, tak jak wieczorem, kiedy widział ją wychodzącą z klatki. – Policję? Pogotowie?

– Dzwonię na policję – oznajmił stanowczo taksówkarz i pośpiesznie udał się do siebie po telefon.

– Weszłam właśnie... Wracam z teatru. I zobaczyłam... – kobieta sięgnęła po papierosa, ręce jej się trzęsły. Zapaliła. Właścicielka yorka skrzywiła się.

– Tak się zastanawiałam, kto pali na klatce.

– Przepraszam... – właścicielka charta zeszła na dół i wyszła z klatki.

Starsza pani z parteru przyglądała się uważnie pijaczkowi.

– Ja go znam.

– Stał wiecznie pod sklepem i żebrał o pieniądze na piwo – wydeła wargi właścicielka yorka.

– Spał na naszej klatce – odezwała się córka właścicielki charta. Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni. – Na ostatnim piętrze. Przychodził tu co noc.

– Trzeba go było wyrzucić! – oburzyła się właścicielka yorka.

Dziewczyna skrzywiła się nieznacznie i odwróciła się zdegustowana. Tomasz spuścił wzrok i zauważył jakiś mały przedmiot leżący na schodach. Podniósł go bezwiednie, jako pedant organicznie nie znosił nieporządku. To był wenflon.

– Policja, proszę zrobić miejsce.

Z dołu szła właścicielka charta, a z nią dwóch policjantów. Tomasz bezmyślnie schował wenflon do kieszeni.

– Panowie właśnie przejeżdżali, więc zatrzymałam radiowóz... – wyjaśniła.

Policjanci podeszli do martwego mężczyzny. Spojrzeli na siebie.

– Dzwoń po ekipę.

– Będą za dwadzieścia minut! – usłyszeli naraz głos zbiegającego z góry taksówkarza. Gwałtownie przyhamował na widok policjantów.

– O, już są?

– Pan wzywał policję?

Taksówkarz potwierdził niepewnie.

– Proszę państwa o rozejście się do mieszkań. Zostawcie na razie otwarte drzwi. Kto znalazł ciało?

Właścicielka charta nieśmiało podniosła dłoń do góry.

– Pani zostanie z nami.

Mieszkańcy niechętnie ruszyli po schodach.

– Obcy – rzucił taksówkarz w stronę Tomasza, gdy stali już przed drzwiami swoich mieszkań. – Za tym wszystkim stoją obcy, wspomni pan moje słowa.

Tomasz z ulgą wszedł do swojego mieszkania. Chciał zostać sam, ale niezręcznie było opuszczać sąsiadów w takiej chwili. Wyglądałoby to co najmniej podejrzanie. Miał dość głupich uwag taksówkarza i jego żony, dość słuchania obcych języków, z których trochę rozumiał tylko angielski. Drzwi zostawił otwarte, ale nie musiał w nich stać.

Pokręcił się bez celu po mieszkaniu, usiadł przed komputerem, postanowił przejrzeć informacje. „CIA ostrzega przed zamachami w Warszawie”. „W parku Mirowskim nieznani osobnicy dotkliwie pobili

Pakistańczyka”. Kolejnych wiadomości nie przeczytał, nie interesowały go nawet nagłówki, już te dwa wystarczyły, by wzbudzić w nim niepokój. Otworzył zakładkę „kultura”, tutaj powinno być bezpiecznie, trafił na wywiad z modnym pisarzem. „Pana bohaterowie nienawidzą wszystkich. Biednych, bogatych, pravicowców, lewaków, emigrantów, rasistów, szowinistów, feministek”... Poczł się zmęczony.

Po ostatnich wyborach, wygranych przez konserwatywną prawicę, udał się na emigrację wewnętrzną. Nie zamierzał przyjmować do wiadomości tego, co działo się w jego kraju. Wiedział oczywiście o demonstracjach pod Trybunałem Konstytucyjnym i pod Sejmem, brali udział w nich jego znajomi. Wiedział o zmianach w prawie, które uderzały bezpośrednio w jego ciotkę, dyrektorę szkoły, mogącą w każdej chwili stracić pracę. Słyszał wypowiedzi polityków z obu stron, ale pozostał na to wszystko zamknięty, jakby zaimpregnowany. Podobnie jak zubożył na los tysięcy imigrantów i dziesiątek ofiar zamachów w Paryżu, a potem w Belgii. To wszystko działo się daleko od jego podwórka, które widzowie w całym kraju mogli znać z serialu *Klan*.

Poszedł do kuchni i wstawił wodę na herbatę. Obok czajnika leżał... wenflon. Dziwne. Tomasz, który dbał o porządek, być może nawet przesadnie, odruchowo schował wenflon do kieszeni, zamierzając potem wyrzucić obydwu. Nie zdążył zastanowić się, co w jego mieszkaniu robi wenflon, bo w tym momencie, przez okno wychodzące na ulicę, zobaczył podjeżdżające dwa radiowozy, a w chwili, gdy czajnik się wyłączył, rozległo się pukanie do drzwi. Zawahał się. Najpierw zalał herbatę wrzątkiem, a dopiero potem wyszedł z kuchni. W przedpokoju stali dwaj policjanci, których wcześniej przyprowadziła sąsiadka.

– Dowód poproszę.

Tomasz wyciągnął portfel, a z niego dokument. Jeden z policjantów spisywał jego dane, drugi w tym czasie zadawał mu pytania.

– Znał pan denata?

– Tylko z widzenia.

– Co pan o nim wie?

– Nic.

Naprawdę nic nie wiedział. Spotykał go czasami pod sklepem, wymieniali nic nieznaczące uwagi i to w zasadzie wszystko. Tomasz od wielu lat dbał, by nie spoufalać się z sąsiadami. Ta sama zasada dotyczyła ludzi w pracy i właściwie wszystkich. Był samotny i bardzo

tej swojej samotności pilnował. A teraz nieoczekiwanie rzeczywistość wtargnęła do jego domu pod postacią pryszczatych policjantów i nieżyjącego pijaka spod sklepu.

- Jak pan spędził wieczór?
- Trochę czytałem, a potem poszedłem spać.
- Ma pan świadków?
- Nie.
- Kto z panem mieszka?
- Nikt.

Policjant, który spisywał jego dane, rozejrzał się. Zajrzał na wszelki wypadek do kuchni, łazienki, do otwartego pokoju, otworzył drzwi do sypialni, skrzywił się nieznacznie, ale zerknął obojętnie i wrócił do nich. Pokręcił przecząco głową. Nikogo poza Tomaszem tu nie było.

- Słyszał pan coś?
- Nic.

- Czuć tu szpitalem – policjant, który wcześniej rozglądał się po mieszkaniu, patrzył na Tomasza z wyrzutem.

Tomasz zdziwił się.

- Może to nowy środek do czyszczenia. Faktycznie ma dziwny zapach.

Policjant pokręcił głową z dezaprobatą i oddał Tomaszowi dowód.

- Będzie pan wezwany w celu złożenia zeznania.

Tomasz skinął potakująco. Trudno. Odbędzie jeszcze jedno nieważne spotkanie. Kiedy zamknął drzwi za policjantami, którzy natychmiast zapukali do drzwi taksówkarza, wywołując wściekły jazgot yorka, uświadomił sobie, że nawet nie zapytał o przyczynę śmierci pijaczka. Potknął się, czy ktoś mu w tym pomógł? Nie szkodzi, jak znał swoich sąsiadów, jutro ktoś mu tę informację z pewnością przekaże.

Ledwie odszedł od drzwi, niemal od razu usłyszał delikatne pukanie. Zajrzał przez judasza. Na klatce przed jego mieszkaniem stała sąsiadka z góry, właścicielka charta. Wyglądała na spłoszoną. Nie musiał otwierać, o tej porze – nawet po tak emocjonujących wydarzeniach nocnych – mógł już spać. Ale było w niej coś takiego, że złamał swoją zasadę niespoufalania się z sąsiadami.

- Może pan poczęstować mnie herbatą? – zapytała nieśmiało, gdy otworzył.

Zdziwił się i nawet tego nie ukrywał.

- Córka się uczy, a nie chcę teraz... Nie mogę spać.

Uchylił drzwi szerzej, weszła, a razem z nią dyskretny zapach

piżmowych perfum. Nie czuł woni na klatce, rozproszyła się zduszona wodą kolońską taksówkarza i aromatem wody kwiatowej, której używała Chinka.

– Weronika – przedstawiła się. – Mieszkamy tyle lat obok siebie i nawet nie wiem, jak panu na imię?

– Tomasz.

Zaprowadził ją do kuchni, chociaż rozkład mieszkania znała doskonale – jej było identyczne: dwa pokoje i kuchnia z oknem wychodzącym na ulicę Szczęśliwicką. Rozglądała się zaciekawiona.

– Mam wrażenie, że u pana jest więcej miejsca niż u mnie. Pewnie dlatego, że ma pan mniej mebli.

Tomasz wstawił wodę i przygotował herbatę. Nie podtrzymywał rozmowy. Nie dlatego, że sąsiadka mu przeszkadzała, ale zwyczajnie tego nie potrafił.

– To mieszkanie jest idealne dla jednej osoby – kontynuowała niezrażona. – Dla dwóch robi się nieco ciasne. Wcześniej mieszkaliśmy w trójkę. Mój były mąż jest muzykiem, wyjechał do Stanów osiemnaście lat temu i już nie wrócił.

Nawet przyjemnie mu się jej słuchało, tym bardziej że nie oczekiwała od niego żadnego udziału w rozmowie, nie zadawała niewygodnych pytań, na które nie umiałby odpowiedzieć. Kobiety zazwyczaj chciały wiedzieć, dlaczego wciąż jest sam.

Postawił przed nią kubek z herbatą.

– Jak pan myśli? Co się stało? – w końcu jednak zadała pytania.

– Potknął się i stracił przytomność? Nie mam pojęcia. Lekarz pewnie to ustali.

Pokręciła przecząco głową. Wyciągnęła papierosa i zerknęła pytająco. Podał jej spodek, który czasami służył jako popielniczka dla nielicznych, odwiedzających go palących gości.

– Ktoś go popchnął. Nie znam się na tym, ale ciało było jakoś tak ułożone. I w szyję miał wbite ostrze wenflonu.

Informacja zrobiła na Tomaszu wrażenie. Czyżby morderstwo? U nich na klatce? Dlaczego?... I kto?... Komu przeszkadzał nieszkodliwy pijaczek? I o co chodzi z tymi wenflonami? Pijaczek je rozsiewał? Tylko co jeden z nich robił u niego w kuchni?

– Musiał ktoś z zewnątrz... – wydukał niepewnie.

Weronika nie wyglądała na przekonaną. On zresztą też nie. Ale czy mógł podejrzewać kogoś z sąsiadów? Gdyby tak było, musiałby natychmiast zmienić mieszkanie. Nie zniósłby myśli o tym, że ktoś,

kogo każdego dnia mija na schodach, jest zdolny zabić.

– Drzwi wejściowe były zamknięte... – powiedziała kobieta.

– Ale ten... nawet nie wiem, jak się nazywał.

– Adam Podgórski. Kiedyś był konduktorem na kolei.

Tomasz uniósł zdziwiony brwi.

– Żona wyrzuciła go z domu. Zaczął pić. Pewnie pił już wcześniej. Stracił pracę. Od sześciu lat mieszkał na ulicy.

Spojrzał na nią z mimowolnym zaskoczeniem. Skąd tyle o nim wiedziała?

– W każdym razie jakoś dostał się na klatkę. Mimo domofonu.

– Ja mu otworzyłam. – Zgasiła spokojnie papierosa i sięgnęła po herbatę. – Zawsze mu otwierałam. Jak nie ja, to córka. Żeby się tu przespał. Wychodził koło piątej, nikomu nie przeszkadzał.

– Temu, kto go zabił, też ktoś mógł otworzyć. Ta staruszka z parteru na przykład.

– Ona nie otwiera nawet własnej córce.

– No to Wietnamczycy albo Arabowie. Nie rozumieli, co ktoś mówi, i na wszelki wypadek otworzyli.

Dość zdecydowanie pokręciła przecząco głową.

– Nie zauważył pan, że świetnie mówią po polsku? Mieszkają tu już prawie dziesięć lat.

– Skąd pani tyle o nich wie? – nie wytrzymał Tomasz.

– Rozmawiam. Lubię rozmawiać. Pan nie?

Tomasz wzruszył ramionami. Uderzyło go, jak mało wiedział o ludziach, których spotykał niemal codziennie.

– W takim razie Australijczycy. Znają może pięć polskich słów.

– Mają zepsuty domofon.

– No to nie wiem... Może ten ktoś dostał się przez piwnicę? Mąż Chinki zostawia często otwarte drzwi – teraz on mógł wrzucić jakiś kamyczek do ich śledztwa. Też czasami coś zauważał.

– Może... Wydaje mi się, że drzwi były zamknięte, ale kiedy teraz o tym myślę...

Zastygła na chwilę, patrząc przed siebie zamyślona, a potem nagle poderwała się z krzesła.

– Chodźmy! Trzeba to sprawdzić!

Tomasz natychmiast pożałował swojego spostrzeżenia. Za dużo pisał scenariuszy seriali kryminalnych, by nie wiedzieć, co może kryć się za ciemnymi drzwiami piwnicy. W dodatku w nocy, w dodatku w noc morderstwa. Ale Weronika już stała przy drzwiach, patrzyła na niego

wyczekująco. Nie chciał wpaść przed nią na tchórza. Niechętnie wstał, sięgnął po klucze. Zerknął na zegar, zbliżała się trzecia.

Sądząc po panującej na klatce ciszy, wszyscy sąsiedzi spali. Z półpiętra zniknęły zwłoki pijaczka, Adama Podgórskiego, jedynie kilka niedopałków pozostawionych na parapecie przypominało o niedawnej tragedii i zamieszaniu, jakie potem wybuchło. Drzwi do piwnicy usytuowane były *vis-à-vis* drzwi wejściowych. Miały szybkę w drzwiach, tak więc widać było z zewnątrz światło, świadczące o czyjeś obecności. Tym razem korytarz piwniczny był ciemny. Weronika dotknęła ręką klamki, Tomasz pospiesznie wyjął klucz i jej podał, ale Weronika już naciskała klamkę. Drzwi okazały się otwarte. Weronika zrobiła krok w kierunku schodów, Tomasz powstrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu. Wysunął się do przodu i ostrożnie ruszył pierwszy. Bał się tej eskapady. Z Weroniką za plecami czuł się nieco pewniej, chociaż wiedział, że w konfrontacji ze zdesperowanym bandytą nie mają szans, nawet we dwójkę. Macał stopą stopnie, pamiętał, że niektóre były wyszczerbione, łatwo było się na nich potknąć. Wokół panowała kompletna ciemność. Nagle wydało mu się, że widzi blade światło dochodzące z głębi korytarza, zostały mu do pokonania ostatnie stopnie, zrobiło mu się gorąco z przejęcia i strachu. Wysunął stopę do przodu, ale stopnia nie było tam, gdzie się go spodziewał. Z całym impetem runął przed siebie i stracił kompletnie kontakt z rzeczywistością.

Kiedy się ocknął, pierwsze, co zobaczył, to naga żarówka kołysząca się pod zniszczonym, spękany sufitem i rząd jednakowych drewnianych lalek z upiornymi twarzami, w strojach ludowych, każda z białą-czerwoną flagą w ręce. Ponownie zamknął oczy, przestraszony, że po uderzeniu w głowę ma halucynacje. Zrobił błyskawiczny rachunek sumienia: nie uczynił nikomu nic złego, odetchnął z ulgą. Ale też – nie zrobił nikomu niczego dobrego, przypominał sobie natychmiast dla równowagi.

– Panie Tomaszu... – usłyszał głos Weroniki i zdecydował się jednak otworzyć oczy.

Rząd lalek nie zniknął, żarówka dalej kołysała się pod sufitem, a gdy spojrział nieco w bok, zobaczył nie tylko zaniepokojoną Weronikę, ale i sąsiada z przeciwka, taksówkarza. Tomasz uniósł się nieco na łokciach i rozejrzał.

– Przyniosę wodę! – Weronika błyskawicznie wybiegła z pomieszczenia, zanim zdążył ją zatrzymać. Nie chciał zostawać sam

na sam z taksówkarzem.

– Gdzie ja jestem?

– U mnie – tubalny głos gospodarza zupełnie nie pasował do niewielkiego wnętrza, przypominającego celę. Tomasz nigdy nie był w prawdziwej celi, ale często o nich pisał i raz kazali mu przyjechać na plan, żeby obejrzał scenografię i przestał pisać bzdury.

– Pan tu mieszka? – nie potrafił ukryć zdumienia Tomasz.

– Jesteśmy w piwnicy. Nie pamięta pan?...

Dopiero teraz Tomasz usiadł i rozejrzał się. Na dwóch ścianach od podłogi po sufit ciągnęły się półki wypełnione takimi samymi drewnianymi lalkami w strojach krakowskich, kaszubskich, kujawskich i wielu innych, których Tomasz nie rozpoznawał, wszystkie z biało-czerwonymi flagami w dłoniach. Na wprost wejścia, pod okienkiem usytuowanym blisko sufitu, stał wielki drewniany stół, a na nim coś, co od biedy można nazwać warsztatem stolarsko-krawieckim.

– Co to wszystko znaczy?... – chciał wiedzieć Tomasz.

– To moja pracownia – z dumą oznajmił taksówkarz. – Dorabiam po godzinach. Wie pan, jak lalki schodzą na marszach niepodległościowych?

Tomasz nie wiedział, ale w jego wyobraźni pojawił się natychmiast obraz typowego uczestnika marszu – wielkiego, łysego, w obszernej kurtce z kapturem – jak w jednej ręce trzyma płonąca racę, a w drugiej drewnianą lalkę w stroju krakowianki z flagą. Nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Taksówkarz spojrzał zdziwiony i dotknięty jednocześnie. Tomasz natychmiast zgasił śmiech.

– Przepraszam. To od tego uderzenia... – złapał się za głowę i skrzywił z bólu. – Chyba jestem wciąż w szoku.

Wyjaśnienie niczego nie wyjaśniało, ale taksówkarz nie skomentował.

– Nie mogłem zasnąć po tym wszystkim... – wyznał. – Rzeźbienie mnie uspokaja. Kto to mógł zrobić?

Tomasz milczał taktycznie. Dla niego taksówkarz należał tutaj do najbardziej podejrzanych. Może dlatego, że oboje z żoną nie ukrywali swojego poparcia dla narodowców, którzy jesienią we Wrocławiu spalili kukłę Żyda, o czym żona taksówkarza z satysfakcją poinformowała Tomasa na schodach. Patrząc teraz na wyposażenie piwnicy, Tomasz wyobraził sobie, że sama kukła mogła powstać właśnie tutaj. Według Tomasa, od palenia kukły Żyda do uduszenia bezdomnego, który śpi po kryjomu na schodach, jest tylko jeden krok.

– Nie mam pojęcia – powiedział głośno z przekonaniem.

– Chciałbym wierzyć, że to ktoś z zewnątrz... – westchnął ciężko taksówkarz. – Ale Lalka milczała.

Tomasz wytrzeszczył oczy i rozejrzał się w poszukiwaniu gadającej kukły.

– Która lalka???

– Moja Lalka! W sensie mój pies.

York był wyjątkowo hałaśliwy i donośny, na przekór swojej niewielkiej posturze. Tomasz nie wiedział do tej pory, jak się wabi.

– Stawiam na tych z trzeciego piętra. Albo Wietnamczycy, albo ta sąsiadka – odezwał się znów taksówkarz, tym razem przybrał konfidencyjny ton. – Oni w ogóle chodzą tajemniczo, tylko szur-szur, nie wiadomo, co knują. Aż dreszcze człowieka przechodzą, kiedy ich widzi. A jej pies ostatnio nasikał na klatce.

Związek między sikającym psem a zabójstwem wydał się Tomaszowi tyleż niejasny, co naciągany.

– Całymi dniami siedzi w domu, a wieczorami nigdy jej nie ma. I co pan na to? Co ona robi?

– Mówiła, że była w teatrze...

– Do pierwszej w nocy? Ciekawy jestem, co to za teatr...

– Powszechny – usłyszeli i obaj błyskawicznie odwrócili się w stronę korytarza. Weronika stała w drzwiach. Trzymała butelkę z wodą. Wyglądała na wściekłą. – Współczesna sztuka o uchodźcach. Po premierze był bankiet. Jeśli słyszał pan kiedyś takie słowa. A poza tym, jestem graficzką i pracuję w domu.

Taksówkarz był wyraźnie zmieszany, ale natychmiast pokrył to butą.

– Prawie co wieczór pani wychodzi. Ja wszystko widzę.

– I do czego to panu potrzebne, ta wiedza?

Weronika podała butelkę Tomaszowi i odeszła bez pożegnania. Taksówkarz uśmiechnął się do Tomasza niepewnie. Nagle w ciszy usłyszeli głos prezesa partii rządzącej.

– „Zagrożenie istnieje. Są już przecież objawy pojawienia się chorób, bardzo niebezpiecznych chorób, dawno niewidzianych w Europie”.

Tomasz drgnął zaskoczony, rozglądając się niepewnie. Taksówkarz sięgnął do kieszeni po telefon, zerknął na wyświetlacz.

– Żona – wyjaśnił i odebrał. – Już wracam. No już, mówię. Tak. Wyprowadzę Lalkę. No wyprowadzę, mówię.

Zirytowany schował telefon do kieszeni i ruszył do wyjścia, spoglądając wymownie na Tomasza. Tomasz podniósł się niepewnie, w głowie trochę mu szumiało. Wypił wodę, którą przyniosła mu

Weronika i dopiero wtedy ruszył chwiejnym krokiem za taksówkarzem. Piwniczny korytarz, łączący wszystkie klatki budynku, był pusty.

– Myśli pan, że mógł wejść tędy? – zapytał taksówkarza.

– Lalka nie szczekała. Mówiłem panu.

Idąc za taksówkarzem, Tomasz pojął, że śmierć pijaczka na zawsze odmieni jego życie. Nie tyle sama śmierć, co jej okoliczności i świadomość, że mieszka w sąsiedztwie kogoś, kto potrafi zabić. Teoretycznie wiedział, że każdy jest potencjalnym mordercą, wystarczy mieć dobry powód, ale w praktyce nie wyobrażał sobie, by sam mógł się posunąć do zbrodni. Chociaż?... Był jeden moment podczas rozstania z byłą dziewczyną, gdy taka myśl pojawiła się w jego głowie. Z drugiej strony: od myśli do realizacji jest przepaść, której nie pokonał.

– No, niech się pan zdrzemnie, do rana zostało jeszcze trochę czasu – poradził mu taksówkarz, gdy znaleźli się na drugim piętrze.

Tomasz skinął mu na pożegnanie. Chciał przekręcić klucz w zamku, ale okazało się, że drzwi są otwarte. Zdziwił się. Nie pamiętał dokładnie momentu, gdy je zamykał, wychodząc z Weroniką, ale robił to zawsze odruchowo. Ostrożnie otworzył drzwi i rozejrzał się czujnie po mieszkaniu. W powietrzu czuć było obcy zapach. Nie był intensywny, raczej stanowił wspomnienie czyjejs obecności. Przypominał zaduch, jaki panuje w szpitalach... Ktoś już dziś wspomniał o szpitalu? Kto to był? Na biurku Tomasz zostawił włączonego laptopa, pamiętał, że miał go wyłączyć i nie zrobił tego. Laptop jednak był zamknięty. W kuchni paliło się światło.

– Jest tu ktoś? – zapytał dość piskliwie przez ściśnięte gardło, nie spodziewając się odpowiedzi. Nawet jeśli ktoś tu na niego czeka, na pewno nie wyjdzie, by go powitać.

Tomasz ostrożnie ruszył w stronę kuchni. W mieszkaniu panowała absolutna cisza, w której słyszał tylko swój oddech. Wstrzymał powietrze i wpadł do kuchni. Nikogo nie było. Zajrzał jeszcze do łazienki i sypialni. Mieszkanie było puste. Ale jednak ktoś go odwiedził podczas jego nieobecności. Sprawdził zegar: zbliżała się czwarta. Więc w piwnicy spędził prawie godzinę. Ile czasu mógł być nieprzytomny? Pół godziny? Dwadzieścia minut? Wystarczająco, by zabrać mu klucze i wejść tutaj. Czego mógł szukać intruz? Tomasz nie miał niczego nadzwyczajnie wartościowego. Najdroższym przedmiotem był laptop, który wciąż stał na biurku. Sprawdził portfel, wewnątrz znalazł pięćdziesiąt złotych i kartę do bankomatu. Wyglądało więc na to, że

wizyta nie miała na celu kradzieży. Więc co? I kto to był?

W ciszy usłyszał pukanie do drzwi. Zirytował się. Jego limit cierpliwości zdecydowanie się wyczerpał. Wyjrzał przez judasza, na klatce stał mąż Chinki i rozglądał się niespokojnie.

– Proszę otworzyć. Wiem, że pan jest i wiem, że pan nie śpi.

Zrezygnowany Tomasz przekręcił zamek i uchylił drzwi.

– O co chodzi?

– Musimy porozmawiać – powiedział sąsiad stanowczo i pchnąwszy drzwi, wszedł do mieszkania. – Moim zdaniem tego biedaka zabili Arabowie.

Tomasz pod naporem zdeterminowanego sąsiada cofnął się do pokoju.

– Jest pan jedynym sąsiadem, któremu ufam. Ten naprzeciwno pana to zbir. Ta nad panem to lewaczka. Ta z parteru ma demencję, nic nie pamięta.

– Dlaczego Arabowie?

– Gazet pan nie czyta? Wiadomości nie ogląda? Wszędzie teraz robią zamachy.

– I dlatego uważa pan, że zabili bezdomnego na naszej klatce?

– Kwestia treningu. Muszą ćwiczyć.

– Egzekucje na własnych klatkach? – Tomasz nie był przekonany. Tym bardziej, że Arabowie wydawali mu się sympatyczni. Kilka razy nawet poczęstowali go kebabem, gdy pożyczył im sól.

Sąsiad naraz znieruchomiał i położył palec na ustach. Podbiegł na palcach do drzwi i wyjrzał przez judasza. Po chwili odwrócił się do Tomasza.

– Wietnamczycy – wyszeptał. – Idą pewnie do pracy. Jak nie Arabowie, to oni.

– Ale jaki mieli cel?

– Skąd mogę wiedzieć? Chodźmy do mnie, u pana nie jest bezpiecznie.

Zaskoczony Tomasz dał się wyprowadzić z własnego mieszkania. Tym razem uważnie zamknął drzwi na klucz. Zeszli piętro niżej. Sąsiad otworzył zasuwę w stalowych drzwiach, po nich ukazały się kolejne, również stalowe. A po nich trzecie, drewniane. W te drzwi sąsiad zapukał, wystukując charakterystyczny rytm.

– Tak? – usłyszeli głos kobiety, żony sąsiada.

– Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada – powiedział nieoczekiwanie, z pełną powagą, sąsiad.

– Chodzi lisek koło drogi – usłyszeli sąsiadkę. Mówiła po polsku z lekko świszczącym akcentem.

Tomasz usłyszał zgrzyt otwieranego zamka. Sąsiad spojrział na niego, chyba zdał sobie sprawę z tego, jak absurdalnie zabrzmiał dialog przed drzwiami, bo z własnej woli się wytłumaczył. A może poczuł się zagrożony.

– Co kilka dni zmieniamy hasło. Jutro będzie inne. Nigdy dość ostrożności.

Zgrzyt trwał i trwał, w końcu drzwi otworzyły się i pojawiła się sama sąsiadka, w szlafroku narzuconym na bawełnianą piżamę. Wchodząc za sąsiadami do mieszkania, Tomasz zauważył, że mieli zamontowanych sześć różnych zamków w drzwiach, które teraz sąsiadka, zamknawszy najpierw drzwi stalowe, starannie zasuwiała.

Całe mieszkanie wyglądało jak twierdza. Ciemne, ponure. Nawet okna zasłonięte były stalowymi okiennicami. Tomasz poczuł, że robi mu się duszno, miał klaustrofobię i unikał zamkniętych pomieszczeń. Poluzował kołnierzyk przy szyi i odetchnął głęboko. Sąsiedzi wprowadzili Tomasza do kuchni. Na jednej ze ścian były półki, od podłogi po sufit, wszystkie wypełnione szczelnie konserwami.

– Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność – sąsiad z dumą prezentował swój dobytek. – Ojciec mojej żony był konserwatorem Wielkiego Muru – dodał nieoczekiwanie.

Tomasz pokiwał głową, starając się, by wyglądało to jak uznanie. Sąsiad otworzył szafkę – wypełniona była zupami instant, solą, mąką i cukrem. Tomasz zauważył też opakowania kisielu.

– Mamy zapas na dwa lata. Co kilka tygodni wymieniamy produkty.

– A jeśli zrzucą na nas bomby? – zainteresował się mimo woli Tomasz.

– Kto? – przestraszyła się sąsiadka.

– Wszystko jedno. Teoretycznie mówię.

Sąsiadka odetchnęła z ulgą, a sąsiad uśmiechnął się z wyższością.

– Taki sam zapas mamy w piwnicy. Nic nas nie zaskoczy. A pan jak jest przygotowany na najgorsze?

Tomasz zamyślił się. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Właściwie nigdy go sobie nie zadawał. Dlatego teraz wzruszył ramionami.

– Najwyżej zginę.

– I to jest błąd! – Sąsiad wystawił palec wskazujący w geście pouczenia. – Jakby wszyscy tak myśleli, ładnie byśmy wyglądali!

Ta argumentacja zupełnie nie przekonała Tomasza. W zasadzie było mu obojętne, jak będzie wyglądał świat po jego śmierci.

Sąsiad tymczasem robił rzecz dziwną: oglądał opakowania herbat, których miał kilkanaście. W końcu jedną z nich podał żonie, a ona wstawiła wodę i przygotowała kubki na herbatę.

– Zawsze bierzemy te produkty, których data ważności się kończy – wyjaśnił sąsiad zdumionemu Tomaszowi. – W każdym razie, co pan o tym wszystkim myśli?

Pytanie było zbyt ogólne, by Tomasz mógł odpowiedzieć precyzyjnie.

– Jest to jakiś pomysł... Może rzeczywiście kupię kilka konserw...

Zniecierpliwiony sąsiad machnął ręką.

– O tym bezdomnym! Co pan myśli?

– Nie mam pojęcia – wyznał szczerze Tomasz. – Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że sam się przewrócił.

Sąsiad znów poruszył się niecierpliwie. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Zabili go Arabowie, już panu mówiłem. Pytanie brzmi: co my teraz z tym zrobimy?

– A czy koniecznie musimy coś sami robić? – zapytał Tomasz nieśmiało. – Może zostawmy działanie policji?

– Widział pan kiedyś, żeby policja działała z sensem? – zirytował się sąsiad. – Moim zdaniem powinniśmy przegłosować na zebraniu wspólnoty usunięcie z mieszkań wszystkich, którzy nie mają polskich korzeni.

Jego żona poruszyła się niespokojnie.

– Albo nie mają współmałżonka Polaka – dodał pospiesznie.

– Mi oni w zasadzie nie przeszkadzają...

– A jak ten bezdomny to tylko początek? Może pan będzie kolejny?

Tomasz w pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, ale przypomniał sobie, że ktoś wszedł do jego mieszkania. Nie wiadomo, czego tam szukał i w jakim celu w ogóle tam był. Poruszył się niespokojnie, potrącając łokieć Chinki, która stawiała właśnie herbaty na stole. Kubek wypadł jej z ręki, wrzątek rozlał się po podłodze. Tomasz wykorzystał okazję i natychmiast się podniósł.

– Przepraszam, najmocniej przepraszam. Pójdę już. Herbata i tak się wylała... Przemyślę to, co pan mi powiedział.

Sąsiedzi zajęci sprzątaniami podłogi – zauważył, że sąsiad wyłowił torebkę z herbatą i opłukawszy ją pod wodą, położył na kaloryferze – nie zatrzymywali go. Sąsiadka otworzyła po kolei wszystkie troje drzwi

i Tomasz znalazł się wreszcie na klatce. Odetchnął z ulgą. Atmosfera w mieszkaniu polsko-chińskiego małżeństwa była co najmniej duszna. Chciał już ruszyć do góry, gdy zatrzymał go cichy gwizd, a potem szept:

– Proszę pana! Tutaj!

Rozejrzył się zaskoczony. Głos dochodził z dołu, ale nikogo nie zobaczył. Wyjrzał przez poręcz. Na parterze stała miła starsza pani i kiwała na niego.

– Musimy porozmawiać. Tylko psss...

Każdemu innemu Tomasz by odmówił. Ale wpojone głęboko przez matkę dobre wychowanie wykluczało odmowę starszej pani. Zrezygnowany zszedł piętro niżej. Sąsiadka stała już w uchylonych drzwiach i gestem zachęcała go, by przekroczył próg jej mieszkania. Tomasz wszedł. Panował tu zaduch, ale zupełnie inny niż piętro wyżej, w twierdzy polsko-chińskiej. Powietrze miało zapach kurzu i przeszłości, a także naftaliny i czegoś jeszcze, co stosuje się na insekty. Tomaszowi ponownie zrobiło się duszno, naciągnął na twarz koszulę, odetchnął kilka razy i poczuł się lepiej.

– Do pokoju, niech pan idzie do pokoju, tego od podwórka. A ja zrobię herbatkę. To znaczy już zrobiłam. Widziałam, jak pan idzie do tych Chińczyków i czekałam, aż pan od nich wyjdzie. Przyniosę ją.

Tomasz pewnym krokiem skierował się w stronę wskazanego przez staruszkę pokoju. Mieli w końcu identyczny rozkład mieszkania. Pokój był zagracony, pełen starych mebli, fotografii i bibelotów. Ale mimo natłoku przedmiotów sprawiał przyjemne, przytulne wrażenie. Tomasz poczuł się jak wtedy, gdy wiele lat wcześniej odwiedzał własną babcię. Zatrzymał się przy zdjęciach. Na niektórych starsza pani była młoda, na innych stała z dwójką małych dzieci, które na kolejnych były coraz starsze, teraz musiały być mniej więcej w wieku Tomasza. I miały swoje dzieci. Jeden z wnuków wydał się Tomaszowi znajomy, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go widział. Wysiętek jego pamięci przerwało nadejście staruszki.

– No i co pan na to wszystko powie? – zapytała, wchodząc do pokoju z herbatą. – Nie jest dobrze, prawda? Od początku mówiłam, że na tych Australijczyków trzeba uważać.

Tomasz wytrzeszczył oczy.

– Na Australijczyków?

– Całymi dniami tylko się śmieją. Ja tam nie wiem, co oni biorą, tyle się o tym słyszy. Jakies narkotyki, co to człowiek potem niczym się nie

martwi. No, niech pan sam powie, czy to polskie zachowanie? A poza tym, pamiętajmy, jakie oni mają geny.

– Jakie???

Starsza pani pokręciła głową z dezaprobatą.

– Czyją kolonią była w osiemnastym wieku Australia?

– Słucham? – uprzejmie zdziwił się Tomasz.

– Brytyjczyków, młody człowieku. I co tam wtedy założyli?

Tomasz poczuł się nieswojo, jak w szkole, kiedy wyrwany do odpowiedzi nie potrafił nawet powtórzyć pytania. Starsza pani pogroziła mu palcem.

– Nie przygotowałeś się. Kolonie karne. Kogo zsyłali do tych kolonii?

– Kryminalistów? – domyślił się Tomasz.

Starsza pani pokiwała głową z aprobatą.

– Bandytów, złodziei, morderców. I dzisiejsi Australijczycy są ich potomkami. Rozumiesz teraz? Na następną lekcję powtórz historię Nowej Zelandii, będzie kartkówka.

Tomasz zbaraniał. Starsza pani niezrażona upiła łyk herbaty.

– No, to teraz musisz coś z tym zrobić.

– Ale dlaczego ja?...

– Aresztuj ich, kochany.

– Nie jestem policjantem.

– Nie? – zdziwiła się. Ale natychmiast uśmiechnęła się. – Nie myślałeś o szkole milicyjnej? Bo żeby na prawo iść, to trzeba jednak historię znać.

– Chyba w moim wieku już za późno na takie decyzje.

– A ile masz słoneczko lat?

– Czterdzieści pięć.

– I jeszcze szkoły nie skończyłeś? – pokiwała groźnie palcem. – Weź się, dziecko, do pracy i to jak najszybciej. No dobrze, to o czym mówiliśmy?

– O Nowej Zelandii – odpowiedział pospiesznie Tomasz, chcąc tę niewygodną rozmowę mieć jak najszybciej za sobą. Wstał. – Pójdę już. Przygotuję się do klasówki.

– Bardzo słusznie, moje dziecko! – Starsza pani zwawo poderwała się do góry. Pamięć może jej szwankowała, ale kondycję miała znakomitą.

Ruszyli do przedpokoju. Tomasz odwrócił się, żeby pożegnać się z gospodynią. Starsza pani schyliła się właśnie, żeby podnieść jakiś paproch na podłodze, wstając, uderzyła Tomasza głową w brzuch. Tomasz pchnięty siłą inercji upadł na szafkę, która otworzyła się

i wypadły z niej dziesiątki najróżniejszych portfeli. Zamarł i spojrzał czujnie na staruszkę. Gospodyni uśmiechnęła się, nie wyglądała na zmieszaną albo tak dobrze grała rolę nieprzytomnej staruszki.

– To szafka wnuka. Mieszka u mnie czasami. Takie ma hobby, zbiera portfele. I trenuje lekkoatletykę – dodała z nutą dumy.

No, niewątpliwie biegał szybko, co Tomasz sam mógł ocenić. Dopiero teraz skojarzył, że to właśnie jego widział na fotografii u staruszki i uciekającego z torebką kobiety poprzedniego popołudnia. Nie potrafił ocenić, czy staruszka kojarzyła napady w okolicy z własnym wnukiem, ale nie zamierzał czekać, by się o tym przekonać. Pospiesznie opuścił mieszkanie starszej pani, postanawiając, że nad tym, co zrobi z uzyskaną właśnie wiedzą, zastanowi się później.

Zaczynało już świtać. Kiedy staruszka zamknęła za nim drzwi, natychmiast uchyliły się drzwi naprzeciwko. Tomasz chciał błyskawicznie zniknąć, ale nie zdążył. Z mieszkania wyszło małżeństwo Arabów.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna nienaganną polszczyzną, gdy kobieta zamykała mieszkanie. – Proszę pana, my go nie zabiliśmy.

– Ja przecież nic nie mówię – zdziwił się Tomasz.

– My widzimy. Wszyscy nas podejrzewają. Jesteśmy obcy. I jesteśmy Arabami. Ale nie każdy Arab jest terrorystą.

– Jesteśmy Syryjczykami – uzupełniła kobieta. – Mąż jest profesorem na Politechnice, kierunek Electric and Hybrid Engineering. Ja jestem doktorantką na kierunku Aerospace Engineering. Chcieliśmy zarobić pieniądze i wrócić do domu.

– A teraz nie mamy do czego wracać.

– Nikomu niczego nie chcemy zabrać.

– I zawsze pamiętamy, że jesteśmy tu w gościach.

– Powtórzy pan to sąsiadom?

Tomasz skinął potakująco.

– Wieczorem zapraszamy na kebab – ukłonili się, odchodząc do pracy.

– Dziękuję. Dobrego dnia! – zawołał, gdy drzwi już się za nimi zamykały i nie miał pewności, czy go jeszcze usłyszeli.

Wracając do siebie, usiłował ułożyć sobie zdobytą właśnie wiedzę. W końcu był scenarzystą i na tym właśnie polegała jego praca: najpierw podsuwał tropy, a potem niczym magik wyciągał z kapelusza zaskakujące rozwiązanie. Ale tak było w rzeczywistości wirtualnej, ta prawdziwa wymykała się regułom. Po tej całej szalonej nocy nadal nie

potrafił odpowiedzieć na pytanie, komu bezdomny pijaczek aż tak przeszkadzał? Im więcej wiedział, tym mniej rozumiał. Nic tu się nie składało. Bo kto z jego sąsiadów mógł mieć motyw, by zlikwidować bezdomnego? Taksówkarz? Jego żona? Wietnamczycy? Mąż Chinki? Sama Chinka? Weronika albo jej córka?... Łatwo snuć przypuszczenia, gorzej, gdy zaczynają dotyczyć konkretnych osób. Gdy był już na drugim piętrze, nagle zapragnął o tym wszystkim z kimś porozmawiać. Na tej klatce była tylko jedna taka osoba. Tomasz minął swoje drzwi i wszedł piętro wyżej. Stał zaskoczony na widok drzwi sąsiadek: zamiast wizytówki była tam narysowana wielka macica. Już miał zrezygnować i wrócić do siebie, gdy drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich córka Weroniki. Na jego widok uniosła brwi ze zdziwienia.

– Idę na wykład – wyjaśniła niepytana, a potem przeszła obok Tomasza. – Studiuję kryminologię i dodatkowo gender. Wkurza mnie, że jak facet powie coś ostro, to jest OK, a jak dziewczyna, to zaraz suka – wysyczała. – Musimy coś zrobić, żeby to zmienić – oznajmiła stanowczo i odeszła w bojowym nastroju.

Zachwycony Tomasz odprowadził ją wzrokiem, w duchu postanawiając, że przy sprzyjających, czyli bezpiecznych okolicznościach będzie zmieniał świat razem z nią. Dziewczyna zostawiła otwarte drzwi. Wszedł i rozejrzał się. Całe mieszkanie pełne było grafik przedstawiających ogromne macice w najróżniejszych konfiguracjach. Oprócz macic o ściany stały oparte transparenty ze starannie wykaligrafowanymi napisami: „No women, no kraj”, „Zajmujcie się ciałem Jezusa”, „No kurwa”. W wiklinowym koszu w przedpokoju leżało kilkadziesiąt drucianych wieszaków.

Weronika siedziała w kuchni, odwrócona do niego plecami.

– Cześć – powiedział, wchodząc.

Podskoczyła spłoszona. Próbowała zasłonić talerz. Dopiero teraz zauważył, że jadła śniadanie: przed nią stała spora porcja apetycznego tataru.

– Ja naprawdę się staram... Próbowałam nie jeść mięsa... I nie potrafię!

Tomasz nie rozumiał, dlaczego mu to mówi.

– Tatar jest naprawdę dobry – usiłował ją pocieszyć, jak potrafił. Najwyraźniej nie potrafił, bo załamała się jeszcze bardziej.

– Sam powiedz, jaki ze mnie obywatel drugiego sortu? Tylko cykliści i wegetarianie mogą być w opozycji!... A na rowerze też nie mogę jeździć. Mam kontuzję kolana...

Wstała i zrozpaczona otworzyła lodówkę. Wewnątrz półki wypełnione były dziwnymi produktami, które Tomasz widział pierwszy raz w życiu.

– Naprawdę próbuję – zapewniała, wyciągając kolejne pokarmy. – Tofu! Trawa cytrynowa! Mleko sojowe! Roszponka i rukola! Humus! Nie znoszę tego! – odłożyła je ze wstrętem i odsunęła szufladę na dnie lodówki. Wyjęła z niej ciemne pudełko i otworzyła. Wewnątrz były kotlety schabowe i tatar. – Chowam głęboko i mam nadzieję, że kiedyś mi obrzydzą...

Zamknęła lodówkę i usiadła załamana przy stole. Zniechęcona odsunęła talerz z tatarem.

– Jak chcesz, zrobię ci zieloną kawę z mlekiem sojowym. I dam brązowy cukier trzcinowy.

Tomasz pokręcił przecząco głową. Poczucił się nieswojo. Słaby był w pocieszaniu. I pierwszy raz widział, by ktoś był załamany z powodu mięsa i roweru.

Nawet nie podniosła głowy, gdy wychodził. Zamknął ostrożnie drzwi i ruszył na dół. Był już przed swoim mieszkaniem, gdy nagle do jego uszu dobiegł cichy śpiew. Zaintrygowany zszedł niżej. W drzwiach wejściowych do klatki stała właścicielka yorka – w piżamie, kapciach i płaszczu – sam pies biegał po podwórku. Sąsiadka śpiewała pod nosem *Kiedy ranne wstają zorze*. Tomasz już chciał wracać na górę, gdy sąsiadka odwróciła się i zauważyła go.

– Dzień dobry. Pomodlimy się razem? Czas na jutrznię.

– Dziękuję – wymamrotał. – Już się modliłem – dodał na wszelki wypadek.

Sąsiadka pogroziła mu palcem.

– Widziałam, że pan z tą z trzeciego piętra rozmawia. Niedobrze. Ona do KOD-u należy, a ksiądz mówił, że kto tam należy, popełnia grzech ciężki. Ja się z nią porozumiewam pismem – zakończyła niespodziewanie, wskazując na tablicę ogłoszeń.

Wisiąca tam przyklejona kartka: „Proszę posprzątać po swoim psie (dużym)”.

Tomasz skinął z uznaniem i pospiesznie ruszył do siebie. Chciał już być w swoim mieszkaniu, marzył o herbacie przy oknie, z daleka od ludzkich problemów, w ciszy i samotności. Wszedł i z ulgą zamknął za sobą drzwi. Nawet oparł się o nie plecami i przymknął oczy. Nareszcie.

Po chwili oderwał się i ruszył do kuchni. Coś go jednak zaniepokoiło. W pierwszej chwili trudno było mu znaleźć źródło. Otwarte drzwi do łazienki, zapalone światło w sypialni... Jednak tym razem, zanim

zajrzał do pozostałych pomieszczeń, postanowił się uzbroić. Rozejrzał się. Jediną bronią, jaką znalazł w zasięgu wzroku, było krzesło. Z podniesionym nad głową wparował do sypialni.

– Odłóż to! – usłyszał najpierw, a potem z wrażenia krzesło wypadło mu z rąk i z hukiem spadło na podłogę.

– Danuta???

Na łóżku siedziała... producentka. Była w piżamie, a w przegubach miała wbite wenflony. Wyglądała na wściekłą.

– Całą noc latasz i przyjmujesz gości! Nic dziwnego, że potem przychodzą ci do głowy głupie pomysły!

– Co ty tu robisz?

– Napisałam ci, że chcę się zobaczyć osobiście.

– Dlaczego jesteś w piżamie? – miał do niej znacznie więcej pytań, ale ta kwestia najbardziej go zaniepokoiła.

Danuta machnęła niecierpliwie ręką. Jeden z wenflonów poleciał na podłogę.

– Uciekłam ze szpitala. Miałam zaraz wrócić, a spędziłam tu całą noc! Tak poza wszystkim, powinieneś odkurzyć pod łóżkiem. Mało się nie udusiłam.

– Ale... Po co właściwie tam wchodziłaś?...

– Nie chciałam pokazywać się ludziom w tym stroju. Jeszcze by nas ktoś wziął za parę!

Cała ta sytuacja i rozmowa wydała się naraz Tomaszowi kompletnie absurdalna.

– Nie mogłaś zadzwonić?

– Rozumiesz słowo: osobiście? – Nagle jej twarz wykrzywiła się, z oczu popłynęły łzy. – Ten serial jest o mnie! To moja historia! Rozumiesz? A ty co? Chcesz zająć moje miejsce?

Tomasz zgłupiał. Po pierwsze dlatego, że nie miał wcześniej pojęcia o tym, jak bardzo Danuta utożsamiała się z ich bohaterem, fikcyjnym komisarzem, starym i zgrzybiałym, a po drugie z powodu podejrzenia, że on chciałby kiedykolwiek być producentem.

– Chcę tylko pisać. Przysięgam. Nic więcej.

Danuta wstała. Kolejny wenflon spadł na podłogę.

– Akurat! – wysyczała z nienawiścią. – Widzę, że szykujesz się, żeby mnie wygrzyć. Ale to ci się nie uda!

Ruszyła w jego stronę. Tomasz taktycznie cofnął się o krok. Poczul dreszcz na plecach, Danuta patrzyła zimno, z determinacją. I nagle wszystko zrozumiał. Wenflon na klatce, wenflon w szyi bezdomnego.

Co miał teraz zrobić? Sam na sam w mieszkaniu z szaloną i gotową na wszystko producentką...

– Lalka! – wykrzyknął nagle najgłośniejszym głosem, jak potrafił. Producentka zatrzymała się zaskoczona.

– Obrażasz mnie jeszcze? – Jej oczy się zwęziły ze złości.

– Lalka! Lalka! – nie przestawał krzyczeć przerażony Tomasz.

– Uspokój się.

Była już o krok od niego. Jej ręce niebezpiecznie uniosły się w kierunku jego szyi.

– Lalka! Lalka! Lalka! – To była jego jedyna nadzieja na ratunek.

Producentka położyła dłonie na jego szyi.

– Uciszyć się wreszcie.

– Lalka!

I wtedy stał się cud. York sąsiadów usłyszał jego wołanie, co oznajmił donośnym jazgotem. Producentka zacisnęła dłonie na jego szyi. Próbował ją odepchnąć, ale była silna i zdeterminowana.

– Lalka... – wycharczał jeszcze.

Tomasz usłyszał donośny głos sąsiada, próbującego uciszyć psa. Jego nadzieja zgasła. Nic go nie uratuje. Umrze uduszony we własnym mieszkaniu przez własną producentkę. Poczuli, że nogi robią się coraz słabsze, ugięły się w kolanach...

– Zwariował pan? Po co pan woła mojego psa? – tubalny głos taksówkarza skojarzył się Tomaszowi z pieśnią anielską.

Taksówkarz wszedł do pokoju i zamarł. Producentka natychmiast opuściła ręce.

– To nie jest tak, jak pan myśli – powiedziała szybko. – Ja mogę wszystko wytłumaczyć. Nie jesteśmy parą.

– Ona zabiła Adama Podgórskiego! – Tomasz odzyskał wreszcie oddech i głos.

– Kogo? – nie zrozumiał sąsiad.

Taksówkarz patrzył na Tomasza i Danutę, a w oczach miał kompletną pustkę. Naraz producentka rzuciła się do drzwi. Dopiero po chwili taksówkarza odblokowało i ruszył za nią. Była szybsza, wypadła na klatkę. Kopnęła ujadającego yorka, który uderzył w ścianę i zamilkł, i zbiegła po schodach. Minęła wychodzących z mieszkania Australijczyków, którzy zrobili jej uprzejmie miejsce.

– Zatrzymać ją! – krzyczał taksówkarz. Ale Australijczycy go nie rozumieli.

Danuta zbiegła na parter. Z mieszkania starszej pani wychodził

właśnie jej wnuk. Rozpędzona producentka nie zdołała wyhamować, zderzyła się z nim i nagle straciła równowagę. Próbowwała ją utrzymać, nie rozumiejąc, co jej w tym przeszkadza. W końcu runęła na podłogę. Leżały tam rozsypane portfele, które wypadły z rąk wnuczka. Z góry zbiegał już taksówkarz, a za nim Tomasz. Obaj rzucili się na producentkę. Nie zwracali uwagi na młodego chłopaka w kapturze, który korzystając z zamieszania zwiął z klatki.

– Patrz pan – powiedział taksówkarz, podnosząc portfel. – Nie dość, że zabija naszych bezdomnych, to jeszcze okrada nasze kobiety...

*

Tomasz cały dzień spędził na komendzie, składając zeznania na temat wydarzeń z poprzedniej nocy. Choć Danuta wybrała wyniosłe milczenie, udało im się mniej więcej odtworzyć przebieg zajść, łącząc fakty z wyobraźnią scenarzysty.

Danuta przyjechała w czasie, gdy on był w sklepie. Drzwi na klatkę otworzył jej najprawdopodobniej wnuczek staruszki z parteru. Tomasz nie wyjaśnił policjantom, że mógł ją wpuścić, nie patrząc, bo zajęty był wyławianiem ofiary, a portfel producentki w piżamie nie wydał mu się nadzwyczaj atrakcyjny. Danuta chciała od razu do niego przyjść, ale najpierw go nie było, a potem wracał z Wietnamczykami, więc ukryła się na czwartym piętrze, czekając na dogodny moment, by zejść do Tomasza. Jednak przez całe popołudnie i wieczór wciąż ktoś był na klatce. Lalka, czyli york taksówkarza, zaciekle ujadła całe popołudnie, w końcu znudziła się i zachrypla, więc przestała. Danuta znużona oczekiwaniem zasnęła. Nie bez znaczenia był fakt, że zaczęły właśnie działać środki nasenne, jakie zaaplikowano jej w szpitalu. Taką śpiącą zastał ją Adam Podgórski. Co dokładnie się wtedy wydarzyło, nie wiadomo. Chciał ją przepędzić czy przeciwnie, sądząc po jej stroju, uznał, że grają w tej samej lidze i może liczył na coś więcej? Miłość czy nienawiść, efekt był taki, że doszło do szarpaniny i producentka tak nieszczęśliwie pchnęła bezdomnego, że ten, spadając ze schodów, zahaczył o poręcz i, już połamany, dodatkowo się udusił. Kiedy wszyscy zbiegli się, przywołani krzykiem Weroniki, Danuta potajemnie wemknęła się do mieszkania Tomasza i resztę nocy spędziła pod jego łóżkiem. Tomasz nie mógł pozbyć się dreszczy przerażenia, ilekroć uświadamiał sobie, że całą noc miał pod swoim

łóżkiem zabójczynię, która jeszcze do niedawna była jego szefową...

Wreszcie wieczorem wrócił wyczerpany do domu. Otworzył komputer i sprawdził najbliższe połączenie na archipelag Tristan da Cunha. Był dalej położony niż Wyspy Owczce. I miał jeszcze jedną zaletę: nie było tam Polaków...

Gaja Grzegorzewska

NIEDZIELNE POPOŁUDNIA

Kwiecień

Kraków jest zimny i niewyraźny za zasłoną deszczu i brudną mgłą. Niebo w kałużach pod kołami roweru skłębione i szare. Ulice są puste, a ludzie poukrywani w domach jak podczas epidemii. Jadę przez tę dziwną krainę w kierunku kamieniołomu. Zaglądam obcym domom w twarze. Nic. Nic. Nic. Być może to wszystko, to tylko okrutny żart starca. Z asfaltowej drogi w asfaltową drogę.

Przez chwilę waham się, widząc odchodzącą w bok zarośniętą podmokłą dróżkę, na której końcu przycupnął ceglany dom. Tyłem do mnie, niczym obrażona żaba. Stoję i czekam, aż się obróci. Wiatr zrywa mi kaptur. Mokre włosy chłoszczą twarz. Fala deszczu wlewa się za kołnierz. Nie. Dom, którego szukam, powinien być zielony. To jeden z tych strzępków, których jestem pewna. Przechowuję je jak cenne kawałki mapy prowadzącej do skarbu.

Po drodze mijam jeszcze jeden dom. To brzydka, bura kostka porzucona w szarej trawie. Nie tak ludzie wyobrażają sobie nawiedzone domy. Ale ja wiem, że one wyglądają właśnie tak. Mają ścianę wyrwaną okrutnym łapskiem. Puste oczodoły po wydłubanych oknach. Drzwi wbite do środka pięścią. Razem z zawiasami, ze skórą, ze wszystkim. Wewnątrz nadal zalegają nieprzetrawione trupy, a piwnice są pełne czarnej, gęstej, śmierdzącej treści. Fasada dziobata od kul i pocisków i rozszczepiona przez pęknięcia i krzywdy nie do naprawienia. Nie ma co. Nie ma co się zatrzymywać.

Teren kamieniołomu otoczony jest wysokim ogrodzeniem, na którym wiszą tabliczki informujące o niebezpieczeństwie i o tym, że to teren prywatny. Czy kiedykolwiek człowieka zatrzymała tabliczka? Albo mur, albo granica, albo półmetrowa siatka? Każdego roku ludzie przedostają się na drugą stronę i giną. Wdrapują się na te skały

i skaczą do wody. Bywa, że po raz ostatni.

Oficjalnie nad wodę można zejść dwiema drogami. Ta po prawej prowadzi do dużej plaży i bazy nurków. „Nurkowie to taka elita kąpieliska” – czytam na jakimś forum. To do nich właśnie udaję się w pierwszej kolejności, aby kupić klucz potrzebny, by legalnie dostać się na tę drugą plażę. Dziadek zawsze powtarzał: „Jeśli się da, trzeba legalnie”.

Wejścia na teren bazy strzeże brama. W stróżówce nie ma nikogo, nikt też nie odpowiada, gdy wciskam guzik dzwonka. „A jak się nie da, nielegalnie” – słyszę dziadkowy głos w głowie. Wspinam się na bramę i zeskakuję po drugiej stronie.

Asfaltowa droga prowadzi w dół, przez bezlistny, pozbawiony kolorów las. Wkrótce zza drzew wyłaniają się liche zabudowania – budy, baraki, altanki, blaszane kontenery. Na forum nazywają to „infrastrukturą”. Mnie to przypomina miasta widma, które mijaliśmy z dziadkiem w drodze. Opuszczone domy rozsypujące się zbyt wolno, tuż obok nieczynnych kopalni i zamkniętych fabryk. Przy długim drewnianym pomoście podpartym grubymi palami, wyrastającymi z wody, kołysze się kilka motorówek, pontonów i kajaków. To „doki” tego mikroświata. Dalej rozpościera się ciemne, zmacone przez deszcz lustro wody. Przeglądają się w nim białe ściany wapiennych skał, porośnięte od góry lasem gołych drzew, niewyraźnych w tej mgle, jak nieśmiały szkic ołówkiem.

Jest pusto i cicho, ale tuż przy brzegu stoi zaparkowany samochód terenowy. Błotniste ślady kół wskazują, że ktoś przyjechał nim niedawno, więc musi gdzieś tu być. Obchodzę cały teren. Wołam, ale mój głos utyka w gęstych, sinych oparach, jak w kłębach waty wepchniętej do ust. Naciskam klamki zamkniętych baraków, zaglądam w czarne okna, skrobię brudne szybki.

Idę do ostatniego, położonego najniżej domku, który ma zadaszoną werandę z widokiem na akwen. Drzwi są otwarte na oścież, więc wchodzę.

– Halo! – wołam.

Słychać tylko deszcz bębniący o blaszany dach i skrzypienie drewnianej podłogi. Wewnątrz panuje półmrok i rozchodzi się zapach zgnilizny. Najpierw sprawdzam wszystkie pomieszczenia. W ostatnim natykam się na wiszące pod powalą w równym rzędzie ludzkie zwłoki. Pstrykam włącznik światła. To wcale nie zbiorowe samobójstwo, tylko kombinezony pletwonurków.

Wracam do pierwszego pokoiku, w którym mieści się biuro. Jedną ze ścian pokrywają oprawione w ramki zdjęcia. Niektóre stare i czarno-białe. Inne kolorowe, ale spłowiałe od światła. Są też takie zupełnie świeże. Dalej wisi przeszklona gablota. Jest zamknięta na kluczyk, więc przyklejam czoło do zimnej szyby, żeby obejrzeć przypięte pinezkami artykuły z gazet. One również pochodzą z różnych lat. Większość dotyczy utonięć, do których doszło w kamieniołomie. Nagłówki pozostałych informują o kolejnych nieudanych próbach sprzedaży tego terenu. Całość jest dosyć przygnębiająca. Jak gazeta otwarta w miejscu, gdzie po jednej stronie czytamy o jakiejś katastrofie, a drugą pokrywają nekrologi osób, które poniosły w niej śmierć.

Od pożółkłego artykułu zatytułowanego *Klątwa kamieniołomu*, opisującego tragiczną śmierć wieloosobowej rodziny, odrywa mnie daleki pomruk silnika. Gdy wychodzę na werandę, zza skał wypływa motorówka. Siadam na schodkach i czekam.

Maj

Czekam na ten pierwszy ciepły dzień i z dna walizki wydaję worek z kostiumami kąpielowymi. Nie pamiętam jak długo leżały w nim zamknięte. Miesiące, a może lata? Otwieram worek, uwalniając kryjącą się w jego wnętrzu woń stęchlizny, glonów i trupa wyciągniętego z wody. Zanurzam rękę i czuję jakbym grzebała w oślizgłych skórkach, pozdejmowanych z topielców. Oglądam moje trupie skórki i przymierzam, sprawdzając, w której mi najładniej.

Pakuję do torby niezbędne graty i wsiadam na rower, blada, niewyraźna, jeszcze wciąż zimowa. Tak, zdążyłam już w tym mieście wyblaknąć.

Teraz droga przez las wygląda jak zielony tunel. Domu przypominającego żabę nie widać wcale zza ściany drzew i krzaków. Widać za to ten drugi, kawałek dalej, porzucony pośrodku łąki. W nawiedzonym domu-kostce mieszka stara wariatka.

Przypinam rower do ogrodzenia. Otwieram kluczem pierwszą i drugą bramę. Schodzę w dół wyrąbanymi w skale stromymi schodami. Dalej idę wąską dróżką prowadzącą przez zacieniony skalny wąwóz. Docieram do trzeciej furtki. Przekręcam klucz w zamku, wchodzę, zamykam za sobą. Mówię „dzień dobry” stałym bywalcom. To

znajomości niewykraczające poza zdawkowe pozdrowienia. Ale mam klucz, więc należę do społeczności.

Nasza plaża jest znacznie mniejsza niż tamta, należąca do nurków. Przypomina strzeżone osiedle na peryferiach miasta. Wszyscy się znają przynajmniej z widzenia, każdy po sobie sprząta, na nowych patrzy podejrzliwie. Członkowie wspólnoty pilnują autonomii tego miejsca, przeganiają obcych próbujących się nielegalnie wdrzeć. Coroczna opłata za nowy klucz to pieniądze, za które kupują właśnie ten luksus odizolowania się od „motłochu” i „dzikusów”. Tak nazywają tych zza ogrodzenia – agresywnych, pijanych typków i ich towarzyszek o włosach białych lub czarnych i skórach upieczonych w solariach na pomarańczowo, napiętnowanych na lędźwiach tribalami, wyzierającymi zza złożonych majtek i miłosnymi deklaracjami wydzierganymi gotykiem.

Dla nich pozostają dziury w ogrodzeniu, strome zbocza prowadzące nad urwisko i wąskie półki na klifach wchodzących pionowo w wodę. Obsiadają wapienne skały, wykorzystując każdy wolny skrawek. Tam sobie śmiecą, ile chcą, smażą karkówkę na jednorazowych grillach, żłopią kupione na promocji piwo w rozmiarze XXL i słuchają swojej barbarzyńskiej muzyki z telefonów uwieszonych na sztychach.

Z niedzieli na niedzielę na plaży jest coraz więcej ludzi. Oglądam ich i po kolei eliminuję. Moje zainteresowanie skupia się coraz bardziej wokół grupy emerytów. Są na plaży codziennie. Siedzą od rana do wieczora. Odchodzą przed zmrokiem. Wiedzą, że w nocy żadne ogrodzenie nie powstrzyma intruzów.

Obserwuję tych starych ludzi dyskretnie i zaczynam ich poznawać. Odkrywam łączące ich relacje. Uczę się imion i stopniowo zastępuję nimi pseudonimy, które nadałam im na początku. Oni natomiast nadal nic o mnie nie wiedzą.

Którejś niedzieli, tak gorącej, że czuć już nadchodzące lato, ze snu wybudza mnie przenikliwy alarmujący dźwięk. Otwieram oczy i gwałtownie siadam. Nic nie widzę, ale czuję swąd płonącego miasta i słyszę wycie syren.

Po chwili widzę, że to tylko jeden z dziadków wyciąga z plecaka dzwoniący telefon. Aparat jest wielki jak wojskowa krótkofalówka i pewnie pochodzi z ubiegłego stulecia. Wtedy przychodzi mi do głowy,

że numer telefonu, który dał mi dziadek może należeć do kogoś z nich.

Wdrapuję się na skarpe. Mam stąd dobry widok na plażę, a sama jestem osłonięta przez krzaki. Wyjmuję skrawek papieru. Fragment łamigłówki. Spędził tyle lat w starym portfelu dziadka, że jest pożółkły, brudny i cienki jak pergamin.

Zapisany na nim numer niestety jest za krótki. Brakuje trzech cyfr z przodu lub z tyłu. Ile to kombinacji? Dużo. Od czegoś jednak muszę zacząć.

– Cholera, Thomas!– mówię na głos ze złością.

Jestem zła na dziadka o tę zagadkę, z którą mnie zostawił. Mogłabym go za to zabić po raz drugi.

I nagle czuję, że nie jestem sama w tych krzakach. Ktoś mnie obserwuje. Stoi z boku, kawałek za mną, na skraju mojego pola widzenia. Jeśli ktoś tak stoi, raczej nie ma dobrych zamiarów. Może to tylko zboczenie. Odwracam się powoli. W jednej ręce trzymam telefon, w drugiej brudny świstek. Człowiek wychodzi z cienia i staje w słonecznej plamie jak w blasku reflektorów na scenie. W mojej głowie na jedną chwilę pojawia się zupełnie absurdalna myśl, że to właśnie na niego czekałam całą wieczność i to on czeka na mnie pod tym enigmatycznym numerem.

– Coś się stało? – pyta koleś.

Robi krok w moim kierunku, znowu w cień. Poprzednie wrażenie od razu gaśnie. Wygląda tak, jak wyglądają młodzi ludzie, którym w życiu przytrafiają się tylko dobre rzeczy. Uśmiecha się jednak trochę za sympatycznie. „To był miły, cichy człowiek, uczynny sąsiad, w głowie się nie mieści, że pokroił na plasterki dziesięć kobiet”. Ten typ.

Koleżka już stoi obok i wyjmuje kawałek papieru z mojej dłoni.

– To numer telefonu? Jest za krótki – oznajmia.

– Co ty nie powiesz.

Ogląda świstek z drugiej strony, jakby spodziewał się odkryć tam coś, co ja przeoczyłam. Po drugiej stronie nie ma jednak nic, poza wieloletnim brudem.

– A czyj to numer? – pyta.

– Słuchaj koleś, to chyba nie twoja sprawa.

– Nie jesteś stąd, co? – spogląda na mnie. Ogląda mnie.

– Nie.

– A skąd?

– Znikąd – odpowiadam.

Odbieram moją karteczkę. Robię to ostrożnie, żeby jej nie potargać.

Odwracam się do niego plecami i zaczynam się przedzierać przez krzaki z powrotem na plażę.

– Ej, niesympatyczna dziewczyno! – woła. Nawet się nie odwracam. Ale słyszę, że idzie za mną. – Mogę ci pomóc znaleźć to, czego szukasz.

– Odpierdol się, człowieku.

– Chodzi mi o ten numer. Wiesz, ile to kombinacji?

– Ile?

– Dużo.

Wychodzę na słońce. On dogania mnie i zachodzi drogę. Teraz widzę, że jest opalony i naoliwiony i ma muskulaturę prosto z siłowni. Zastanawiam się, czy miał kiedyś okazję sprawdzić skuteczność swoich treningów w sytuacji zagrożenia. Myślę, że nie miał. Jest w nim natomiast coś, co sprawia, że zaczynam odczuwać głód. To opalone na brąz ramię musi mieć smak pieczonego kurczaka.

– Dobrze – zgadzam się niespodziewanie. – Ale jak mnie wkurzysz, to będę musiała cię zabić i zjeść.

Moja odpowiedź zbija go z tropu. Czasami zapominam, jak gadać z ludźmi. Już mam powiedzieć, że żartowałam, gdy nagle on posyła mi uśmiezek, z którego wynoszę, że moje słowa odebrał jako sugestię seksualnych ekscesów, a nie groźbę kanibala łasego na soloną ludzinę.

Tak właśnie poznaję K.

K. idzie za mną. I zostaje. To coś nowego. Jestem przyzwyczajona, że ludzie są tylko przez chwilę. Potem znikają. Nawet dziadek. Chociaż on znika wolniej. Ale i jego kawałek po kawałku wchłania mrok.

Są takie chwile, gdy leżę na powierzchni nieruchomej, gęstej wody i niemal wierzę, że to miejsce jest zapętlonym, niekończącym się niedzielnym popołudniem, trochę nudnym i ospałym. Jest bezpiecznie nijakie i mdłe jak film familijny o dzieciach i psach, który puszczają nam w świetlicy. Jeden film w kółko. Znamy go na pamięć. Wiemy, jak się kończy. A kończy się dobrze. Mimo to za każdym razem gapię się w mały ekran z rozdziawioną buzią i pytam babcię, czy tak wygląda niebo.

– Nie sędzę – odpowiada sceptycznie.

Zachowując odpowiedni dystans, mijam taplającą się w wodzie ludzką dzicz. Coś tam do mnie zawsze wołają. A ja udaję, że nie słyszę. Opływam mniejszy akwen, który wąskim gardłem łączy się

z większym, należącym do nurków. Wracam na plażę. Cała trasa zajmuje mi pół godziny.

Wychodzę z wody na prowizoryczny pomost z belek, na którym siedzi dwóch dziadków, majtając w wodzie bladymi jak rybi brzuch nogami. W całym ciele czuję przyspieszone tętno – rozsadza klatkę, przytyka przełyk, dudni głucho w uszach.

– Nie boi się pani obok tych chuliganów przepływać?

Patrzę zaskoczona w dół. Wydają się tacy mali. I gdy tak pluskają tymi nożynami, wyglądają jak dwójka dzieci z progerią. Albo dwie mumie suche jak drewno na opał. Ależ oni by płonęli! Czy oni wiedzą, że należą do kategorii płonących? Nie sędzę. Ludzie nie orientują się w tych sprawach. Ja też nie zawsze wiem od razu. To często wymaga czasu i namysłu. Nadal nie wiem jak umrze K.

– Nie, nie boję się – odpowiadam. – Czego miałabym się bać?

– A że panią utopiają na przykład. Ja tam się trochu boję.

Ludzie tak często boją się zupełnie nie tego, co trzeba.

Kładę się na ręczniku, na plecach, w słońcu. Zamykam oczy. Puls powoli się uspokaja. Nie mogę sobie przypomnieć ich imion. Irytujące. Nie Włodek. Nie Witek. Bardziej egzotycznie. Coś bardziej jak...

– No są nasi panowie. Jak woda, Mieciu? – to Halinka.

Mieciu! Rzeczywiście bardzo egzotycznie. Chociaż dla mnie właściwie tak. Mieciu to ten, co do mnie zagadał. A jego kolega to Adaś. Mieciu i Adaś. Boże, jak oni wszyscy zdrabniają! Nigdy Mieczysław, Adam. Nigdy Tomasz lub Thomas jak mój dziadek. Nigdy kanapka. Nigdy słońce, ręcznik, gazeta. Zawsze kanapeczka, kanapesia, kanapunia. Słoneczko, obiadek, śliczniusi mamy dzionek. Interesujący artykuł w gazetce. Adaś i Mieciu. A nawet Mieciunio. Cóż za rozkoszny starzec! Ile ma latek? Thomas nigdy nie zdrabniał. Nigdy nie mówił: trupeczek, zwłoczki, gwałcik, ofiarka.

Budzę się. Gdzieś w oddali do wody z łoskotem wpada któryś z byczków. Skok wywołuje zwierzęcy ryk, zdaje się, aprobaty. Tak, aprobaty. Pochwały słyhać aż tu: „O ty sprytna kurwo! A to przechuj!”. Śmieszą mnie te przekleństwa. Thomas ich nie używał właściwie nigdy. Koledzy nie chcą być gorsi od przechują, więc jeden po drugim z wrzaskiem i pluskiem wskakują do wody. Na bombę, na łeb, na nogi. Kładę się z powrotem i słucham komentarzy towarzystwa.

– Co za chamidła. Zero kultury.

– Połamię se karki.

- Za głupotę trzeba płacić.
- Pijani, potopią się.
- A niech się topią.
- A ta muzyka?
- Jaka muzyka? Zwykły hałas!
- Za naszych czasów...

Staruszkowie i staruszki zaczynają dokazywać. Zakładam okulary i biorę do ręki kryminał – to mój parawan, z za którego mogę swobodnie obserwować. Przypominają mi dziadka i pozostałych. Ich ostatnie romanse, ostatnie słowa, wszystko ostatnie.

Prym jak zwykle wiedzie opalona na brąz Krysia Kierowniczką. Teraz wyjaśnia pozostałym, na czym polega problem z tą dzisiejszą młodzieżą.

- Krysiu, ty się za bardzo wszystkim przejmujesz. Szkoda takiej ładniutkiej niedzieli.

- Daj Krysiuni naleweczki na nerwy. Wszystkim nam nalej na nerwy.

- No i to rozumiem, Mieciu. Z czego to, Adasiu?

- Pigwóweczka domowej produkcji. Dałem w tym roku więcej cukru, specjalnie dla drogiej pań, bo panie lubią na słodko.

- Ty jesteś niezły filut, Adaś.

- Plażowy Casanova.

- No to zdrówko.

- Naszych miłych pań.

- I panów.

- Pyszniutka.

- Jutro wam przyniosę orzechóweczkę.

- Władziu idzie. Jak woda, Władziu?

- Wspaniała! Pierwszorzędna.

Władziu to żwawy, łysy staruch, amator kąpielii o każdej porze roku. Z tego powodu, a także ze względu na jego obfity wąż i wielkie brzuszysko, nazywam go Morsem. Tacy jak on są niezatapialni. Unoszą się na wodzie jak boja albo piłka plażowa.

Na skraju koca skromnie przysiada Janina. Nadaję jej przydomek Romantyczna, bo elegancki kok posiwiałych blond włosów i melancholijny głos upodabniają ją do przywiędłej bohaterki jednej z powieści Jane Austen. Nie znam tytułu. Nie pamiętam imion bohaterów. To książka bez okładki i ostatnich stron. Nie wiem, jak się ta historia kończy. Dziadek mówi, że pewnie ślubem. Ale czy można mieć pewność, że nie pogrzebem?

- Nie uwierzysz, Halinko, kto do mnie dzwonił – mówi Janina.
- No kto? – pyta Halinka. Jest zaciekawiona. Ja również.
- Ten Rysiek, z którym byłam w Turcji...
- Masz zdjęcia? – pyta Krycha. Ona jest zawsze taka konkretna.
- Jeszcze nie wywołałam.
- To wywołaj, bo wszyscyśmy ciekawi tego Ryśka – żąda Krycha.
- Ty zaraz będziesz krytykować.
- Bo ty się dajesz wykorzystywać, Janka.
- Rysiek jest porządny facet.

Janina opowiada o Ryśku. O tym, jak go poznała i jak spędzili urlop, co jedli, co pili, gdzie tańczyli, gdzie chodzili.

- Mieszkaliście w jednym pokoju? Spił cię ouzo? – pyta Karol, którego nazywam Docentem, bo jest taki dystyngowany i poważny.

- W Turcji to rakija, Karol – wtrąca Mors. – Pamiętasz, jakżeś się pochorował po niej dwa lata temu? Nie pojechałeś z nami na wycieczkę.

- Karol ma słaby żołądek. W ogóle wakacje dla Karola to wyrzucone pieniądze – do rozmowy wtrąca się żona Docenta, Lucyna, Lucynka, a najczęściej Lucy. Rozpływa się słodkim głosikiem nad swoimi wakacjami w Chorwacji, gdzie była z przyjaciółką, bo jej mąż wolał zostać w Polsce i oglądać jakieś zawody sportowe. Cała uwaga towarzystwa skupia się teraz na niej. To tutejsza *femme fatale*. Jest nieco młodsza od pozostałych, pewnie dopiero zbliża się do siedemdziesiątki. Włosy farbuje na kruczą czerń. Nosi dwuczęściowy szkarłatny kostium i nadal odznacza się nieźle zakonserwowaną figurą.

Zza nieczytanej powieści obserwuję, jak Lucy roztacza swój przekwitły urok, a staruszkowie lgną do niej, nieco ospale, niczym zmęczone upałem muchy, wabione pozostawionym na talerzu suchym ciastem. Najbardziej zuchwały wydaje się Mors. Siada na brzegu koca obok Lucy i popisuje się przed nią opowieściami o dzikich wyprawach, w których brał udział. Te historie być może są nawet prawdziwe.

Przypomina mi tego Smutha w Szwajcarii. Teraz Smuth na chwilę wyłania się z mroku i znowu siada w blasku popołudniowych promieni pod niebem błękitnym. Jakbym wywołała ducha w biały dzień.

Siedzimy w trójkę przy stoliku na tarasie. Słońce jest ostre, ale powietrze mroźne. Niedopita kawa w naszych filiżankach jest już zupełnie zimna. Ma ten niedobry, kwaśny, zwiędziały smak. Dziadek

przysypia opatulony w gruby koc. Za plecami Smutha widać ośnieżone alpejskie szczyty. Smuth, jak Mors, opowiada ciągle i ciągle o polowaniach i wojnach, w których brał udział.

– Wie pani, dlaczego zaciągnąłem się do Legii Cudzoziemskiej?

– Dlaczego? – zadaję pytanie, mimo że znam odpowiedź.

– Ha! Bo jedyne, co posiadałem na własność, to pistolet Walther P38 zdobyty na szwabskim oficerze. A jedyne, co potrafiłem, to zabijać – wybucha głośnym śmiechem, który budzi dziadka. Smuth, rechocząc, wali pięścią w stolik. Filiżanki podskakują. Ociera łzy. – Tak, panienko, jedyne co potrafiłem to zabijać.

Nie ty jeden. Czasami myślę, że to jedyne, co wszyscy ludzie potrafią. Zawsze i wszędzie, przez wieki i po czasie kres, aż umrą, ale wtedy rodzą się nowi, od pierwszego haustu powietrza skazani na tę umiejętność.

– Ilu ludzi pan zabił? – pytam, znowu z grzeczności.

Stary przestaje się śmiać. Patrzy na strużkę brunatnej kawy płynącą przez stolik jak błotnista afrykańska rzeka. Smuth podnosi wzrok i spogląda mi w oczy. Jego są brązowe i błyszczące, jak orzechy włoskie wyjęte z wody. Mruży powieki w słońcu, które wali prosto w twarz, jak lampa na przesłuchaniu. Obnaża człowieka z całym jego bagażem popękanych żyłek, zmiętej, za dużej, szarej skóry pokrytej wątrobowymi plamami. Stary człowiek jest mi tak dobrze i szczegółowo znany. Na jego twarzy malują się teraz wszystkie złe uczynki, jakby miał je wytatuowane.

– Nie pamiętam – odpowiada po chwili.

Uśmiecha się z zakłopotaniem i pyta, czy chcemy zobaczyć tego Walthera. Odpowiadam, że tak. Thomas milczy. Smuth dźwiga się z fotela z trudem. Obserwuję, jak drepcze w kierunku drzwi tarasu i wchodzi do środka. Znika w mroku salonu. Jego pokój znajduje na piętrze.

– Nie powinnaś o to pytać – odzywa się Thomas.

– On kłamał, wiesz o tym? – przenoszę kpiące spojrzenie na dziadka.

– Nie powinnaś o to pytać – powtarza.

Patrzemy na siebie dłuższą chwilę. Aż ciszę przerywa huk. Wystrzał jest tak głośny, że chwilę później od jednego z górskich zboczy odrywa się śnieżny blok i zaczyna sunąć w dół. Dziadek patrzy na mnie tak okropnie rozczarowany. Jakby właśnie odkrywał, że nie widzę granicy, którą on przecież wskazywał mi całe życie. Ale jego dni są policzone, tak jak policzone są minuty tych, co giną przygniecieni lawiną.

Trzydzieści dwa. Tyle nacięć znajduje się na lufie Walthera, który od tamtej pory zawsze towarzyszy mi tam, gdzie się udaję. Teraz również przyjemnie ciąży w mojej torbie.

Być może pewnego dnia Mors też palnie sobie w łeb. Ale jeszcze nie teraz, nie dziś, gdy Lucy chichocze i dotyka jego ramienia. Obok Morsa przykuca Filut Adaś. Teraz nie wydaje się tak bezradny jak chwilę wcześniej na pomoście. Takich jak on określa się mianem czerstwy staruszek. On jeden potrafi wytrącić Morsa z równowagi. Obsmiewa jego wojaże, wątpi w upolowane lwy i zaliczone himalajskie szczyty. Opowiada sprośne dowcipy, które ogromnie bawią panie. Ja również parskam w książkę.

– Nie przy damach – mówi zniesmaczony Docent.

– Ależ, Karolku, nie bądź takim sztywniakiem – gasi go natychmiast żona. Jakby zdusiła płomień zapałki w poślinionych palcach.

Docent wstaje i oznajmia, że idzie popływać. Gdy schodzi w kierunku wody, żona woła za nim, by wrócił po ratunkową bojkę. Kamieniołom jest pełen zdradliwych wirów i wystających skał. Ale on już brodzi w wodzie po kolana, na niepewnych, pałakowatych nogach. Zanurza się i zaczyna płynąć kraulem. W wodzie wydaje się zwinniejszy i pewniejszy niż na lądzie. Lucy wzrusza ramionami i prosi Filuta o jeszcze jeden żart, a Morsa o kolejną historię.

Złudzenie wiecznej niedzieli pryska gdzieś w międzyczasie.

Czerwiec

K. ma wolną niedzielę, więc zabieram go ze sobą. On nie ma klucza, więc gdy przypinamy rowery mówię:

– Jakby się Kierowniczką czepiała, to masz powiedzieć, że jesteś moim ubogim kuzynem ze wsi. Pierwszy raz w mieście. Przyjechałeś do szkół – bawią mnie te słowa, gdzieś kiedyś przeczytane.

– Dlaczego ubogim?

– Bo bogaty kupiłby sobie klucz i nie kombinował. Poza tym, jest coś śmiesznego w ubogim kuzynie ze wsi, nie uważasz?

K. pewnie wolałby być sobą, czyli pracownikiem jednej z miliona korporacji, które się rozpleniły w Krakowie jak zaraza. Co K. tam robi, nie wiem. Nic ciekawego ani znaczącego. Nigdy o to nie pytam. On też nie wie, co ja robię, chociaż co jakiś czas próbuje poruszyć ten temat.

A ja wtedy tajemniczo milczę. Pewnie myśli, że to jakieś nieprzyzwoite zajęcie typu taniec na rurze albo seks za pieniądze. I trochę go to kręci, a trochę smuci. Smuci, gdy widzi u mnie nową rzecz, która musiała sporo kosztować. Kręci, gdy tę rzecz przymierzam. Dziś mam na sobie na przykład nowy kostium kąpielowy, pachnący nowością, a nie skórą zdjętą z nieboszczyka.

Leżymy blisko siebie na ręcznikach i obsychamy. Moje ramię dotyka ramienia K., zimnego jak wyjęte z lodówki. Strumyczki wody spływając, łaskoczą jak delikatne paluszki. Czuję też szorstką dłoń K. na swoim brzuchu.

Janina wyciąga w końcu wywołane zdjęcia z Turcji.

– Co tak mało? – pyta Krycha.

– Tyle mi wyszło. Reszta nieudana. Źle to robiłam na początku. Nie umiem tym aparatem. O, tu macie mojego Ryśka.

– Piękny uśmiech! Wesoły człowiek – zachwyca się Halinka. – A jaki opalony. Czarniutki jak cygan!

Strasznie jestem ciekawa tych zdjęć. Oraz tego, czy Rysiek wygląda tak, jak go sobie wyobrażam. Czy ma wielkie wąsy, a na klacie dywan, w którym połyskuje złoty łańcuch niczym ukryty wśród wodorostów piracki skarb?

– Przystojny – dodaje Lucy. – Chyba młodszy, co?

– Aż za przystojny – mówi z przekąsem Krycha. – Włosy pewnie farbowane. A te zęby to chyba sztuczne. Janka, czy to nie jest aby jakiś oszust matrymonialny?

Odwracam się i szybko wbijam zęby w ramię K., aby zdusić śmiech. Już nie zimne, ale gorące, twarde i delikatnie słone. Znowu czuję głód.

– Na razie mi się nie oświadczył – odpowiada zimno Janina.

– Na razie – rzuca ponuro Kierowniczką. – Martwię się, bo ty jesteś baba naiwna, co wierzy chłopu, jak tylko usłyszy kilka czułych słówek. On mi wygląda na takiego, co zaprasza na kolację, a na koniec się okazuje, że zapomniał portfela.

– No to wyobraź sobie, że nie zapomniał. O, patrz, tu mnie na rybę zaprosił. Wiecie, jak ta ryba się nazywa? Strasznie brzydko. Cipura czy cipora. Okropnie się z tego śmialiśmy. O, a tu mnie zabrał na dansing. Wyobraź sobie, Halinko, że szaleliśmy do drugiej w nocy!

Odrywam zęby od ramienia K. Patrzą na ślad, który zostawiły na skórze. Ma kształt koła. Przecieram dłonią. Jestem smutna.

Odrywam szklankę od blatu stołu. Patrzą na ślad, który zostawiła. Ma

kształt koła. Przecieram dłonią. Jestem smutna. Mój smutek zawsze przybiera kształt koła. Ciagle i ciagle od nowa.

– Coś się stało, kochanie? – pyta babcia.

– Smutno.

Nasza rozmowa w tamtym momencie musiałaby się każdemu wydać absurdalna. Gdyby widział, gdzie się znajdujemy. Gdyby słyszał to, co słyszymy. Gdyby wyszedł na korytarz i się rozejrzył...

– Czemu jest ci smutno?

– Kółeczko – mówię enigmatycznie i pokazuję blednący ślad na stole.

Kolisty smutek. Tak babcia to nazywa. Dziadek nie ma czasu na takie rzeczy, dlatego wszystko, co tworzy i nazywa tylko dla nas babcia tak szybko potem znika. Sama nie potrafię tego pamiętać. Słowa, gesty, żarty, zabawy odchodzą w mrok jak ludzie, którzy pojawiają się jedynie na chwilę, by zaraz umrzeć. A teraz nagle jedno wspomnienie wraca z zaświatów, wysrane z ciemności. Kolisty smutek.

K. chce już płynąć, ale ja go zatrzymuję, bo chcę posłuchać rozmów w wodzie.

– Znowu ktoś sobie kark złamał. Słyszałaś, Janka? – oznajmia Krycha. – Już trzech w tym roku.

– A w sumie?

– Kto to zliczy? Na policji może mają jakieś statystyki. Ogrodzili i nic to nie dało.

– Podobno mają to w końcu sprzedać – mówi Janka z przejęciem. – Zbudować tu osiedle czy jakiś park rozrywki.

– A, takie gadanie jak co roku. Za dużo właścicieli. Niektórzy powyjeżdżali. No i grunt niepewny, tu znowu skały, tam, proszę ja ciebie, las. Do usranej śmierci będą walczyć o pozwolenie na budowę.

– W łapę dać komu trzeba – śmieje się Mors.

– Kiedy wiecie, że nie o to chodzi – Janina ścisza głos. – Tu nie ma dobrej aury.

– A idź z tymi duchami – przerywa Krycha.

– Ja tu nocą nie lubię. Prawda jest taka, że raz się dogadali i prawie to sprzedali. Urządzili tu imprezkę, żeby świętować. Wszyscy utonęli. I się zaczęło.

– Boże jedyny, jakie ty, Janka, bzdury opowiadasz! Nikt nie utonął.

– Dwie rodziny utonęły. I dzieci. Spadły z klifu te dzieciaczki...

– Spytaj lepiej Lucy i Karola, oni ich znali i mają tu jakieś udziały w tym terenie – wtrąca znowu Krycha. – Na początku wszyscy myśleli

że rzeczywiście się potopili, a potem się okazało, że chłop uciekł z kochanką. I tyle!

– Tam były jakieś nieścisłości – kontynuuje Janka niezrażona. – Dziwne, że ten facet nie poczekał, żeby sprzedać najpierw teren i dopiero potem uciekać. Podejrzana sprawa...

– Oglądasz za dużo telewizji – Krycha przewraca oczami.

– Wiesz, co myślę? – pytam K., gdy odpływamy od brzegu i rozmowy cichną w oddali.

– Nie wiem.

– Krycha ma rację.

– Janka ogląda za dużo telewizji?

– W ogóle nie o tym mówię.

– A o czym?

– O Ryśku. Myślę, że to oszust.

Pewnej niedzieli przyprowadzam większą grupę znajomych. Właściwie są to znajomi K. Jego siostra, jej koleżanka i kolega. Stoimy po pas w wodzie. Rozmawiamy o czymś nieistotnym. Niespecjalnie mnie ci ludzie interesują, ale staram się zachowywać pozory. Siostra K. musi być od niego z pięć lat młodsza. Studiuje dziennikarstwo, czym się trochę popisuje.

– A ty, co skończyłaś? – pyta mnie.

– Różne rzeczy.

– Międzywydziałowe?

– Można tak powiedzieć.

– Co na przykład?

– Głównie medycynę.

– O! A gdzie?

– W różnych miejscach – ucinam temat. Widzę, że gówniara ma jeszcze mnóstwo pytań, ale K. ją stopuje.

– Skończ ten wywiad.

– Normalnie pytam – burczy, ale o nic więcej nie pyta.

Gapi się za to na mnie. Ogląda moje blizny i próbuje pewnie dociec, od czego która i jak do tego doszło, że je mam.

Zastanawiam się, co K. mówi ludziom na mój temat. Chyba nic złego, bo wydają się przyjaźni i mili. Być może uważają mnie za dziwaczkę, ale taką w granicach normy. Wszelkie odchyły tłumaczą pewnie tym, że nie jestem stąd.

Kawałek dalej brodzi moja grupa emerytów. Ich rozmowy zagłusza

ryk motorówki nadciągającej od strony drugiego akwenu. Od pewnego czasu nurkowie pojawiają się tu codziennie o tej samej porze i zatrzymują w różnych miejscach zbiornika. Dziś tam, gdzie głębokość wynosi czterdzieści metrów. Na przeciwległym brzegu jest tak gęsto od ludzi, że zwisają ze skał jak dorodne kiście winogron. Co jakiś czas pojedyncze grona odrywają się i wpadają do wody.

Docent płynie przodem. Jego żona pluszcze się kilka metrów za nim, bezustannie żartując z Morsesem i Filutem, którzy asekurowają ją z obu stron. Obok kobiety dryfuje bojka, przywiązana długim sznurkiem do jej dłoni. Ona cały czas chichocze i ten jej wysoki śmiech zaczyna mnie drażnić. Halinka i Janina otępiełe od słońca wloką się za nimi, zamykając orszak. Z oddali w ostrym słońcu starzy ludzie wydają się do siebie bardzo podobni. Wszyscy poza Docentem mają bojki. Zastanawiam się, czy on się aby nie popisuje. Może chce, żeby żona zobaczyła w nim dzikiego człowieka natury, a nie skapcaniałego dziada. Jej piskliwy chichot znowu rozdziera ciszę sennego popołudnia. Docent odwraca głowę. Patrzy na swoją żonę ze smutkiem. Ale to przegrana sprawa.

Brakuje Krychy i Miecia, zajętych wyrzucaniem za bramkę jakiegoś pijaczka. Pijaczek żąda rozmowy z kierownictwem.

– Wyście są jedna banda! – wrzeszczy i wygraża już zza ogrodzenia. – A to jest jedna trupiarnia pierdolona. Basen z trupami.

Spluwa na ziemię i odchodzi.

– Śmierdzący pijok – oburza się Krycha.

– A po co go pani Krysia wachała? – pyta Miecio.

– Cuchnęło na całą plażę! – mówi Kierowniczką.

Kilka osób przytakuje, potwierdzając, że smród był istotnie nieziemski.

– Na straż trzeba było dzwonić – doradza jakiś facet w fioletowych, obcisłych slipach.

– Jak pan taki mądry, to trzeba było dzwonić, a nie tak stać.

– Co ja się będę wtrącał? Nie moja sprawa. Ja tu przyszedłem na relaks.

– Już by tak pani nie żałowała tej wody człowiekowi. W taki upał. Trzeba się ochładzać – odzywa się energiczna babka, która ma tu ze sobą chyba pół tuzina bachorów i ze trzy psy i to wszystko chłodzi się w wodzie od rana, drąc gęby i pyski.

– A pani to powinna siedzieć cicho i poczytać regulamin. Ile to pani osób na jeden klucz wprowadziła?

– Jakich osób? Dzieci. Dzieciom pani wody też żałuje.

Facet w slipach wchodzi do wody. Brnie w gęstej zawieszynie i mówi do siebie albo do nas:

– Ale wstrętne babsko. Za diabły takiej jędzy, za diabły!

Opływamy akwen. Chwilę oglądamy skaczących troglodytów i ich znudzone panny, wylegające się na skalnych występach jak foki. Płyniemy dalej. Dziadki wracają już do zatoczki. Wiem, że boją się pływać za długo. Boją się skurczy albo że zasłabną, albo się zachłysną i dostaną ataku paniki, a wtedy te śmieszne bojki na nic się im nie przydadzą, chyba tylko jako oznakowanie dla nurków, że na końcu sznura znajdują trupa. Motorówka nurków nadal kołysze się na wodzie nad najgłębszym miejscem akwenu. W łódce siedzi tylko jeden człowiek. Reszta jest już pod wodą.

– Ciekawe, czego szukają? – zastanawia się siostra K.

– Pewnie trupów – mówię.

Według Morsa za wyłowienie ciała dostają stówkę znaleźnego. Żałosna kwota. Nadal mam przed oczami ten obraz. Wyciągają jednego takiego z wielkim mozołem. Jest obciążony jakimś żelastwem, śliski jak ryba, bladoszyny, napęczniały, obwiązany zardzewiałym drutem. Wygląda jak nieświeży baleron. Jest ich trzech, ale akcja trwa godzinę. Trzydzieści trzy złote na łeb! Trzeba chyba strasznie lubić swoją robotę, żeby się godzić na taką stawkę. W dodatku praca na czterdziestu metrach głębokości jest niebezpieczna, ze względu na ciśnienie i trujące wyziewy.

– Jakich trupów? – pyta dziewczyna.

– A skąd mam wiedzieć. Jakichkolwiek. Na dnie spoczywa ich mnóstwo. Pod naszymi brzuchami rozciąga się cmentarzysko.

– Ale ściema – kwituje koleżanka.

– Żadna ściema. Spytaj tego typka w motorówce.

– Sama spytaj.

– Dobrze. Panie! – wołam, ale nurek nie reaguje, więc wołam jeszcze raz, głośniej: – Panie... nurku!

– Panie nurku – prycha K. – Ja pierdołę.

Nurek nareszcie się orientuje, że to do niego.

– Do mnie wołasz?

– Do pana, do pana, panie nurku – krzyczę. – Biorą?

– Słucham?

– Pytam, czy biorą dziś?

- Co biorą?
- No trupy. Biorą? Wyłowiliście co?
- Jaja sobie robisz? – nurek chyba jest zły.
- Nie. Serio pytam.

Teraz facet ostentacyjnie mnie ignoruje.

- A można się do was zapisać? – pytam mimo to.
- Przestań już – rzuca K. tonem dorosłego.
- Nie można – warczy nurek.

- Ostatnie pytanie. Da się z tego wyżyć? Ile panu płacą od trupa? Stówkę?

- Nie twój zakichany interes.

Czyli tak. Siostra K. i jej znajomi są już daleko z przodu. Udają, że mnie nie znają. Pewnie chcą być już na brzegu. Jechać do domu i zmyć z siebie to wszystko. Niech sobie jadą. K. jest nadal obok, ale nie wygląda na zadowolonego. Może naprawdę zapiszę się do nurków. Będę korzystać z infrastruktury, pić piwo w dokach i codziennie wypływać łódką, aby przetrząsać dno w poszukiwaniu rozdętych topielców. Ktoś to przecież musi robić.

- Masz nasrane w głowie – mówi K.

I tak wiem, że mnie kocha. Pewnie mu się zdaje, że mnie z tego wszystkiego uleczy. Sam nie wie, z czego właściwie. Myśli, że się wygłupiam. Że jestem dziwaczką, nieszkodliwą ekscentryczką. Nie ma pojęcia, do czego jestem zdolna. Może coś podejrzewa. Czasami go czymś straszę, aby te podejrzewania podsycać. Aby nie podchodził za blisko.

Zastanawiam się, która może być godzina. Dochodzę do tego dopiero jakiś czas później, gdy odejmuję czas reanimacji od godziny zgonu ogłoszonej przez lekarza z pogotowia.

Ludziki pluskają się przy brzegu. Ale coś jest nie tak. Zmienia się tembr i natężenie głosów. I sposób poruszania. Za wysoko, za głośno, za szybko. Tak wygląda panika w tłumie. Tak wrzeszczą i poruszają się ludzie uciekający przed niebezpieczeństwem.

- Chyba coś się stało – mówię.
- Co? – pyta K.
- Trudno powiedzieć, za daleko.

Płynę szybciej. Ludzie brną do brzegu i szturmują plażę zwartym oddziałem. Przez ciżbę w przeciwnym kierunku przepycha się Krycha. Wchodzi do wody. Nagle z głębin wynurza się ten facet w slipach

i przez jedną zabawną sekundę myślę, że to przed nim tak uciekają. Facet pod pływa do Kierowniczkii, która szamocze się zanurzona po szyję. Teraz walczą razem. Ciągną to do brzegu. To blade cielsko.

Wychodzimy w milczeniu z wody. Po minach moich towarzyszy widzę, że czują się winni. Wszyscy wokoło czują się winni. Że żyją. Że stoją półnaczy w obliczu śmierci. Że słońce pali im skórę, więc ukradkiem nakładają warstwę kremu. Że się gapią z odrazą pomieszaną z ekscytacją na Kierowniczkę i faceta w slipach, którzy na zmianę robią topielcowi sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Robią to aż do przyjazdu pogotowia, kiedy specjaliści przejmują reanimację.

– To ten pijak – mówi ktoś w tłumie.

– Ten wyrzucony.

Pojawia się straż pożarna i policja. Wszyscy się przysłuchują, jak Krycha i facet w slipach składają zeznania. Powstaje zamieszanie, które udaje mi się wykorzystać.

Kierowniczka wraca na swoje miejsce i siada na kocu. Inni plażowicze też siadają, jakby za jej przyzwoleniem.

– Adasiu, masz tę swoją porzeczkówkę? – pyta Krycha. – Muszę przepłukać usta.

Adaś nalewa do literatki i podaje. Kierowniczka wypija.

– Jeszcze jeden?

– Temu panu nalej – odpowiada ona, ruchem głowy wskazując faceta w slipach. – Napije się pan?

– A chętnie, dziękuję – facet przyjmuje kieliszek i wypija alkohol.

Strzepuję ze stopy dwie mrówki, które przydreptały tu z mrowiska usytuowanego dramatycznie na skraju skarpy. Nawet stąd widać jego korytarze, dziury i leje i poruszające się nerwowo czarne punkciki. Tak wyglądają zbombardowane miasta, po których biegają przerażeni ludzie próbujący odnaleźć się w terenie, z którego poznikwały znajome punkty orientacyjne i które naraz jest obce i straszne.

Ludzie powoli tracą zainteresowanie. Facet jest trupem. Od początku był. Okropna śmierć. Co roku ktoś tu ginie. Wielu zginęło. Trzeba uważać. Upił się, no i tak. Albo zawał. Serce nie wytrzymało. Albo łbem w coś uderzył przy skoku. Skały ostre. Dno zdradliwe. Wydaje się głęboko, a okazuje się, że płytko. Może jakąś tablicę ostrzegawczą powiesić. Albo zakaz. Jakby ich mało już wisiało. Na głupotę nie ma lekarstwa. Był chłop, nie ma chłopca. Szkoda człowieka. Takie życie. Taki los. Wszyscy kiedyś umrzemy. Śmierć...

- Widziałem, co zrobiłaś – słyszę szept K. przy moim uchu. Odwracam się do niego.
- I co teraz?
- Dlaczego? – odpowiada pytaniem. Znowu tonem dorosłego. Wzdycham i stukam go palcem w czoło.
- Nie słuchasz mnie dość uważnie.

W końcu zabierają topielca, podłączonego nadal do aparatury.

- Taka jest procedura – wyjaśnia facet w slipach. – Muszą go reanimować czas taki a taki, ale nic już z chłopa nie będzie. Kaplica.

Lekarz patrzy na zegarek i zapisuje godzinę. Wstaję i podchodzę do niego.

- Która jest? – pytam.
 - Siedemnasta – odpowiada lekarz.
- Godzina śmierci.

Lipiec

W lipcu upały bywają nie do zniesienia. Noce są krótkie i parne, a dni duszne i lepkie. Kleją się jeden do drugiego i ciągną jak przeżuta, rozmiękła guma, rozsnuta pomiędzy asfaltem a podeszwą buta. Spędzamy więcej czasu w wodzie niż na plaży. Ale i tu, i tam toniemy w marazmie, który niekiedy ustępuje miejsca rozdrażnieniu. Woda przy brzegu jest ciepła i już nie tak przejrzysta jak na początku sezonu. Młócona tyłoma nogami i rękami zrobiła się mętna. Na powierzchni unosi się tłusta zawiesina z kremów i olejków. Obrzydliwa zupa z okami łożu, w której pływają ludzie i psy, i nie wiadomo, co jeszcze.

Coraz rzadziej ktoś wspomina zdarzenie z topielcem. Facet umarł w szpitalu, ale śmierć mózgu nastąpiła znacznie wcześniej. Dryfował przynajmniej pół godziny zanim został zauważony. Najprawdopodobniej zabiła go różnica temperatur, gdy rozgrzany, prosto z upału skoczył do zimnej wody. Zemdlał i się utopił.

Nie widuję ostatnio Janiny, która według słów Kierowniczkki łajdaczy się ze swoim tajemniczym Ryśkiem. Jest za to facet w slipach, który od tamtego incydentu z topielcem zakumplował się z Krychą. Nazywam go z przyzwyczajenia facetem w slipach, chociaż już ich nie nosi.

- Panie Romku, nikt już w takich gatkach nie chodzi. No, jakże to

wygląda – nie wytrzymuje kiedyś Krycha.

– A co mi się pani do gaci wtrąca, nie pani interes.

– Interes pana, ale my nie musimy go oglądać!

Ale ubaw! Cała plaża się śmieje z tej riposty. Roman odchodzi obrażony. Pojawia się dopiero po trzech dniach. W cywilizowanych spodenkach. Temat portek do pływania jest zamknięty, ale zapał tych dwojga do kłótni nadal niewyczerpany.

– Pani jest baba upierdliwa. Z panią by żaden chłop nie wytrzymał.

– A pan nie ma za grosz kultury, za grosz! Słoma z butów!

– Odezwała się królowa! Z pani jest zwykła przekupa z Kleparza.

Zaczynam podejrzewać, że oni mają romans, chociaż Romek jest z dekadę młodszy. Kłócą się i godzą, i znowu kłócą. To o wiele ciekawsze niż czworokąt Lucy – Docent – Mors – Adaś. Wyobrażam sobie, że oni tak samo na siebie napieprzają w sypialni: „A kładźże się, babo nareszcie! A co mi się tu rządysz? Moje wyrko, wynocha, jak się nie podoba!”.

– Ile masz lat?

Materac dryfuje. Od czasu tamtego wypadku K. zadaje coraz więcej dziwnych i wścibskich pytań. Takich jak to teraz.

– Ja?

– A jest tu ktoś jeszcze?

Rozglądam się. Obok nas przepływa akurat Filut.

– Jest pan Adam – mówię, wskazując go ruchem głowy.

– Uszanowanko – uśmiecha się staruszek. – Ale gorąc, co?

– Dzieńdoberek – odpowiadam, również z uśmiechem. – Upał jak w piekle!

– Ciebie pytam. Ile masz lat? – draży K.

– Zadajesz dziwne pytania. Czy ja cię pytam o wiek?

– Nie mam nic przeciwko. Ja mam 28 lat. A ty ile?

– To scenka z podręcznika do nauki polskiego?

– Nie rozumiem, dlaczego nie możesz normalnie odpowiedzieć.

Patrzę w wodę. Pod nami przepływa ławica ryb. A głębiej jest już tylko czarna otchłań. A tam...

Staczam się z materaca. Opadam w dół, niżej i niżej. Zimniej i zimniej. W kierunku smolistego, zatrutego dna. Zamknięta jak pod taflą lodu. Wokół włosy przezroczyste jak błona meduzy, poruszające się i trujące jak ona. Widzę dryfujący nade mną prostokąt tratwy. I głowę K., która może być głową kogokolwiek. Nad nią zielone niebo

i zimne światło dnia, który się już kończy.

Wynurzam się i chwytam brzegu materaca i potem nagrzaną od słońca rękę K. To silna ręka. Pomocna dłoń. Można jej się trzymać, jeśli zajdzie potrzeba. Pytanie brzmi, kto kogo będzie trzymał za rękę, gdy skończę mówić?

– Nie umiem odpowiedzieć na twoje pytanie. Nie wiem, ile mam lat. Wychowali mnie dziadkowie. A właściwie dziadek, babcię ledwo pamiętam. Pojechaliśmy na Bałkany. Autobusem. Była wojna. Wiem, że to nie ma sensu. Po co tam pojechaliśmy? Przecież nie na wakacje? Moi rodzice i brat zginęli. Ja tego właściwie nie pamiętam. Tylko huk i krew. Mama miała poderżnięte gardło. Tata był podziurawiony nożem. A braciszek... Nie wiem nawet, jak miał na imię. Mówiłam na niego Bobo. Bo był taki mały i taki bezradny. Mama kazała mu się schować za siedzeniami. Ale on się przestraszył i zaczął uciekać. Pobiełam za nim. Do czarnego lasu. A potem. Nie wiem. Nie pamiętam. Wszystko, co się wydarzyło w tym czarnym lesie utonęło w mroku. Potem leżałam w stosie trupów jedyna żywa. A może nie? Czasami myślę, że ja tam jednak umarłam w tym lesie. A to wszystko, co było potem, to jakaś iluzja. Bajka, która zaczęła się od tego, że ktoś mnie wygrzebał spod tych trupów. Jakaś dobra pani zaprowadziła mnie do szpitala. Do trupów. Znowu do trupów. Bo tam chyba nie było żywych. Nigdy wcześniej nie byłam w szpitalu, więc nie miałam porównania. Jeszcze długo potem myślałam, że tak wygląda szpital. Że to, co tam widziałam, to standard. A potem okazało się... Nie. Po kolei. Siedziałam z trupami. Nie było mamy ani taty, ani braciszka. W końcu przyszedł po mnie dziadek. Powiedział: jestem twoim dziadkiem. Uwierzyłam. No bo co? Pracował tam jako lekarz. Był Polakiem. Ja mówiłam po polsku. Teraz myślę, że był to większy cud niż gdyby naprawdę był moim dziadkiem. Spytał, ile mam lat, ale tak jak teraz, nie umiałam powiedzieć. Mrok tak szybko wchłaniał wszystko, co się wydarzyło do chwili, gdy mnie odkopali.

Wiem, że teraz K. czuje się winny, bo się nagle okazuje, że dręczył sierotę wojenną. Unoszę się na wodzie, ale moje nogi sięgają daleko w głąb. Tam woda jest lodowata jak w górskim strumieniu. K. leży na materacu i trzyma mnie za rękę. Jakbym umierała, a on nie miałby już dla mnie żadnych słów pocieszenia. Słuchaj dalej, biedaku. Słuchaj i zrozum, że to nie ja umieram. To ty umierasz. I jest mi z tego powodu smutno.

– Nie pamiętałam nawet swojego imienia. Babcia powiedziała, że

w takim razie muszę sobie jakieś wybrać. W naszym domu, z którego zostało pół, bo coś przyszło i tę drugą połowę odgryzło i zjadło, nie było zwykłych książek. Same medyczne. W różnych językach. Tam właśnie szukałam sobie imienia. Żeby ładnie brzmiało. Pytałam, czy mogę mieć na imię Anemia albo Anomalia, ale babcia powiedziała, że nie bardzo i wytłumaczyła dlaczego. Strasznie się śmiałam. A oni się cieszyli, że potrafię. Chodziłam z nimi codziennie do szpitala i pomagałam. Tak mi się zdawało, ale pewnie raczej przeszkadzałam. To nie było miejsce dla mnie, ale to nie było miejsce dla nikogo, a inne miejsca nie były lepsze. Trupiarnia jak okiem sięgnąć. Pacjenci nazywali mnie „mali doktor”. To było wyjątkowo smutne, bo nikogo nie potrafiłam uleczyć. Jednak to przezwisko podsunęło babci pomysł z Hildegardą z Bingen. Hildi. Spodobało mi się. A potem babcia umarła zasłaniając mnie sobą. Chcieli nas nabić jak mięso na szaszłyk. Nie wiem, na co. Długie, ostre. Przebiło babcię, ale mnie nie tknęło. Dla nich jednak byłam martwa. Babcia nie umarła od razu, jeszcze jakiś czas trzymała mnie mocno, potem coraz słabiej. A potem już nie trzymała, ale jej ręce pozostały zaciśnięte. Zimne, coraz zimniejsze, opiekuńcze ręce. Byłam u nich dopiero miesiąc. Nie musiała tego robić. Nie była moją prawdziwą babcią, a dziadek nie był dziadkiem. Przypadkowi ludzie. Znowu leżałam z trupami. Trupem nakryta. I nawet nie wiedziałam, że nie było już żadnego szpitala. Poczułam, jak ktoś mnie zabiera od babci. To dziadek wziął mnie na ręce. A wokół było białe jak w bajce. Włosy dziadka, jego rzęsy, brwi i ubranie pokryte były płatkami. Dziadku, śnieg! Ciepły śnieg. Wcale się nie roztopia. Jak ciepłe lody. Trochę bez sensu. Ale przynajmniej pokrywał wszystko aż po horyzont białoszarym popiołem. Wchłaniał i ukrywał, równie skutecznie jak mrok. Zjechaliśmy z dziadkiem cały świat. Ale wszędzie natykaliśmy się na martwych ludzi. Na początku myślałam, że my przed nimi uciekamy, że uciekamy przed śmiercią, a ona nas goni do utraty tchu. Aż zrozumiałam, że nikt nas nie goni. To my zostawiamy za sobą szlak usłany trupami. Rozumiesz?

– Hildi...

– Nie wiesz, czy możesz mi wierzyć? Ja będę mówić dalej, a ty potem zadecydujesz, czy mi wierzysz, czy nie?

– Co wtedy?

Wszystko zatacza krąg. Koła na wodzie, gdy wpadnie w nią kamień lub człowiek. Koło po szklance. Koło na ramieniu. Ziemia, którą okrążałam z dziadkiem. Zbiornik, który opływam dookoła.

– Podróżowałam z dziadkiem od jakichś sześciu lat, więc mogłam mieć może dwanaście, kiedy zaczęłam pojmować, kim był ten mój dziadek. Lekarzem, szarlatanem, rzeźnikiem o litościwym sercu. Robił to, czego inni nie chcieli, tam, gdzie tego robić nie wolno. A ja mu pomagałam. Nigdy nie poszłam do szkoły. Wszystkiego nauczyłam się w drodze, od obcych, z książek w różnych językach. Ale przede wszystkim od Thomasa. Bez wstępu, bez przygotowania. Byłam chirurgiem bez przysięgi, dyplomu i sumienia. I bez misji. To dziadek miał misję. Ja robiłam swoje. Nie byłam szczęśliwa. Nie byłam też nieszczęśliwa. To było życie kosmopolity i wiecznego turysty, tyle że w krzywym zwierciadle. Ale mijały lata. Czułam coraz większe zmęczenie, jakbym była już bardzo stara i bolały mnie nogi, a nie było gdzie usiąść. I ogarniała mnie coraz większa złość. Zaczęłam rozumieć, że to życie napakowane zdarzeniami, intensywne, męczące i ryzykowne, to cień życia za ledwie. To wtedy najczęściej nawiedzały mnie myśli, że może nigdy nie wyszłam z tego czarnego lasu albo nie opuściłam tamtej pokrytej ciepłym śniegiem krainy. Może byliśmy z dziadkiem dwoma duchami snującymi się przez obce kraje, ocierającymi o powierzchowne znajomości, zwykle z ludźmi cierpiącymi, a dla nich byliśmy jedynie przedłużeniem narzędzia, którego musieliśmy użyć. Spotykaliśmy też takich, którzy nami gardzili. I tych najgorszych, którzy chcieli nas skrzywić.

Prawie się ucieszyłam, gdy dziadek zachorował. Wiedziałam, że choruje wcześniej niż on sam. Poczułam, że ktoś do nas dołączył. Trzeci towarzysz podróży. Śwąd śmierci. Tak to nazywam. To był koniec tułaczki. U kresu czekał na nas ostatni ekstrawagancki pomysł dziadka. Zaczarowana umieralnia Thomasa. Szwajcaria, dom w górach. Piękny, drewniany, solidny. W takich domach ludzie się leczą i wypoczywają. W naszym umierali. Jak to się mówi – godnie. Nikt nie precyzował, co to znaczy godnie. Czasami potrzebowali naszej pomocy. Później już tylko mojej. Zbliżał się czas dziadka. Na sam koniec powiedział mi, że nie jestem jego wnuczką. Ale to wiedziałam od dawna. Nie miał pojęcia, kim byłam wcześniej. Miałam ze sobą plecaczek z ubraniami i pluszowym kotkiem. To pamiętam, bo w tych ubraniach chodziłam do momentu, aż całkiem z nich wyrosłam. Nowe były dla mnie tylko dwie informacje. W bocznej kieszeni plecaczka było coś jeszcze. Uznali z babcią, że to ukryją, że tak będzie mi łatwiej. Pierwszą rzeczą był numer telefonu, zapisany pośpiesznie na skrawku, zmięty w kulkę. Drugą – zdjęcie. Mama, tata, dwójka dzieci. To zdjęcie

było równie zamazane i wyblakłe jak moje wspomnienia. Nie pamiętałam nikogo z nich. Jedynie jakieś przebłyski. Nie wiem nawet, czy prawdziwe. Tata uczy mnie pływać. Unoszę się na wodzie. Pada deszcz. Nadchodzi burza. Mama zabiera Bobo z wody i biegnie. Nie czeka na nas. Bobo wrzeszczy. Jest mi smutno. Stoję w wodzie. Zła pani krzyczy na tatę. Dwie złe panie. I pan w półcieniu. Trudno powiedzieć jaki. Może neutralny. A potem huk, błysk, krew – wojna. Braciszek wpadający w czeluść razem ze swoim plecaczkiem. Jak kamień w wodę.

Thomas rozpoznał miejsce, gdzie zostało zrobione zdjęcie. Powiedział, że bym uważała, bo poplątana droga, która doprowadziła mnie do nich, musiała mieć swój początek w tym kamieniołomie. I być może ten początek jest straszniejszy niż wszystko, co widziałam w swoim życiu później.

To prawda, którą K. jest w stanie w tamtej chwili zaakceptować.

Słońce jest teraz już tylko rozpląszczoną plamą nad horyzontem. Przygniecione ciężarem nadchodzącej nocy rozlewa się krwawo jak rozbite jajko ze zmiażdżonym zarodkiem. Jak to pierwsze pisklątko na chodniku przed domem.

Chcę je tylko utulić i pogłaskać, chcę się z nim pobawić, a zamiast tego rozgniatam je butem. Małym dziecięcym sandałkiem. Do środka dostają się flaki, śluz, maź. Rzeczy, których wtedy nie umiem nazwać. Ciepłe, mokre, lepkie.

Podnoszę wzrok. W oddali, w wysokiej jak las trawie, widzę dom kostkę. Dom w kolorze smutku i błotnej zupki, którą czasami gotuję na skałach. Dom ma pootwierane okna i drzwi. Widać wszystko na przestrzał. Gdy zza chmur wychodzi słońce, kolor domu zmienia się. Teraz to żółta kostka sera z dziurami. Mamusia wyjmuje taką kostkę z lodówki i kładzie na stole. Zwykła kostka sera. Zupełnie niegroźna. Chmura znowu przysłania słońce. Kostka sera znika. Od strony kamieniołomu nadciąga wiatr. Widzę, jak głaszcze las, kładzie wysokie, cienkie źdźbła traw, które potrafią rozciąć skórę do krwi. Czuję wiatr na twarzy i we włosach, łaskoczą mnie w nos. Widzę grzbiet biegnącego przez pole pieska. Piesek zatrzymuje się i patrzy prosto na mnie. Szczeka ostrzegawczo.

Nie jestem tu sama. Odwracam się. To tata stoi za mną. W ręce ma plecioną siatkę z zakupami. Patrzy na trupka pod moimi stopami, a potem na mnie. Patrzy tak jak dziadek wiele lat później. Ze strachem

i jakąś odrazą. Ja wtedy tego zupełnie nie rozumiem.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pyta.

Nie wiem, co powiedzieć, więc zaczynam płakać, a tata zaczyna rozumieć.

– Co ty tu w ogóle robisz, co? – w jego głosie rozpoznaję niepokój. – Przyjdzie niedobra pani i cię zabierze.

Dorośli gadają dzieciom takie rzeczy. Te rzeczy brzmią jak bzdury i wiejskie zabobony, ale przecież często u ich podstaw leży coś prawdziwego i strasznego.

A ja milczę, tak jak obiecałam. To przecież nasza tajemnica.

– Zdejmij bucik, pochowamy ptaszka. Chcesz? Zrobimy mu pogrzeb.

Uśmiecham się. Pamiętam wszystko coraz wyraźniej i bardziej szczegółowo. Tatuś zdrapuje ptaszka z podeszwy mojego buta. Wśród zakupów są pudełka z lekarstwami. Opróżnia jedno i zgarnia ptaszka do środka.

Idziemy łąką w stronę lasu. Jest ciepło. Lipiec w rozkwicie. Wchodzimy między drzewa. W lesie jest parno i duszno jak w dżungli. Tatuś mówi, żebym wybrała miejsce pochówku. Podchodzę do wielkiej samotnej skały, stojącej pośrodku lasu niczym zapomniany megalit. Dotykam chropowatej powierzchni i klepię. Dobra skała. Patrzę, jak tatuś wykopuje dołek. Śpiewam dla ptaszka piosenkę. Potem tatuś składa do grobu tekturową trumienkę i razem ją zakopujemy. Na wierzchu kopczyka kładę biały kamień. Biedny ptaszek.

Nadal tu jest. Dotykam stopą kamienia nagrobnego. Potem opieram się o skałę plecami. Teraz wydaje się całkiem mała. Może za dużo ludzi ładuje się jej energią. Wysysa ją coraz bardziej, a głąz robi się coraz mniejszy i bardziej pomarszczony, jak rodzynek kurczący się na słońcu. Czuję na skórze miękkiego mech i ostre skalne odłamki, które wbijają się boleśnie, gdy K. przypiera mnie mocniej.

Nie robimy tego pierwszy raz. Do tej pory jednak zawsze jakoś przyzwoicie – w łóżku albo przynajmniej w mieszkaniu. Zawsze moim, wynajętym, pustym, tymczasowym. K. nie jest typem faceta, który zabiera dziewczyny do lasu, aby je rznąć na skałę jak jakiś dzikus. A jednak dziś to właśnie robi. Taka jest kolej rzeczy. Ale jest mi trochę smutno. Tak jak wtedy, gdy patrzyłam na krwawą miazgę pod moim butem i wiedziałam, że ptaszka już nie ma, a tatuś jest smutny. I że to moja wina.

Jest mi smutno i dobrze. Słońce sączy się przez pojedyncze szpary

w gęstym liściastym sklepieniu. Migotliwe stróżki brokatu. Jedna dotyka czoła K. długim chudym palcem. Torba jest na wyciągnięcie mojej ręki, która teraz pełźnie i skrada się w jej kierunku jak zwiadowca. Szukam w jej wnętrzu jak w rozprutym, miękkim, gorącym brzuchu. Jest. Walther z trzydziestoma pięcioma nacięciami.

K. chwyta mnie za ramiona i ściąga na ziemię. Na mech i bujny splątany bluszcz.

– Uważaj – ostrzegam.

Najpierw myśli, że mówię o pistolecie, który trzymam w dłoni. Potem, że o wiedźmie stojącej dwa metry od nas, pomiędzy drzewami.

– Szatański pomiot, kurewski bękart – jej głos dociera do mnie jak szelest wiatru albo pomruk nawałnicy w oddali i widzę, jak czarownica słuwa.

Spogląda w wylot lufy bez strachu. A potem odwraca się i odchodzi, szurając w suchych liściach zalegających tu cały rok. Szmer cichnie nagle. Ona też znika. Może wcale jej tu nie było. Patrzę w dół na K. i widzę, że już wie, na co ma uważać. I wie, czemu tu wszystko tak wspaniale rośnie. Pomimo strachu i odrazy nie może przestać.

– To nic strasznego. Nie bój się mnie – mówię, pochylając się nad nim.

– Nie boję się ciebie.

Mówi prawdę. Nie boi się. A przecież leżymy na cmentarzysku, pomiędzy maleńkimi grobami. Każdy oznaczony jest białym kamieniem, tak jak ten pierwszy. Moje biedne zwierzątka.

Sierpień

W sierpniu pogoda robi się kapryśna. Bywają dni zupełnie jesienne. Ponure i chłodne. Grupa staruszków nieczęsto pojawia się w komplecie.

W ostatnią niedzielę miesiąca na plaży są jednak wszyscy, brakuje tylko Janiny. Dzień jest pochmurny i wietrzny. Krycha wyciąga obrus, strzepuje go i próbuje rozłożyć na pożółkłej trawie. Jednak silne podmuchy znad wody skutecznie jej to utrudniają. Z pomocą przychodzą mężczyźni. Łapią niesforne końce i przyciskają materiał kamieniami. Lucy rozdaje serwetki i papierowe talerzyki. Wykłada kolejne pudełka, zdejmując pokrywki, zachęca wszystkich, by się częstowali. Kurze udka, żeberka, sałatka i domowe ciasto z owocami.

– To już ostatnia niedziela – śpiewa Adaś. – I ostatnia buteleczka. Musimy to opić. Kto wie, czy za rok spotkamy się w tym samym gronie.

Może Adaś tak samo jak ja wyczuwa trupi swąd? Wyjmuje z plecaka butelkę. Jak zwykle rozlegają się okrzyki uznania. Niespodziewanie ja również zostaję zaproszona na kielicha, jako stała bywalczyni. Okazuje się, że i ja mam przezwisko.

– Pani Dedektyw, bo zawsze taka zaczytana w tych kryminałach – zdradza Adam.

– A gdzie kawaler? – pyta Mors.

– To nie kawaler. To mój sąsiad spod trójki. Jego żona niedawno umarła po długiej i ciężkiej chorobie – mówię.

Czy może być coś smutniejszego niż wdowiec przed trzydziestką? To robi na nich wrażenie.

– No to jego zdrowie, aby znalazł pocieszenie – mruga Adam. Wręcza mi plastikowy kubek do połowy wypełniony przezręczystym trunkiem. – To takie moje specjalne domowe wino wieloowocowe.

Wino okazuje się dziewięćdziesięcioprocentowym bimbrem, który wypala przełyk. Otrząsam się, podobnie jak reszta. Po obowiązkowej dolewce wracam na mój koc i do powieści, którą udaję, że czytam. Cały czas odbija mi się tym alkoholem i sfermentowanymi „owocami prosto z ogródka”.

Ostry zapach pobudza wspomnienia. Ja i dziadek pośrodku dżungli w kokainowej wiosce. Dezynfekujemy rany i narzędzia czymś cuchnącym bardzo podobnie. Łyk dla operowanego, który jest naćpany, ale niestety przytomny. Potem chluzt na ranę. Brzdęk i kolejna zakrwawiona kulka ląduje w misce. Facet się drze, więc znowu leję w jego gardło tę ambrozię, a potem sama pociągam spory łyk. Jestem zmęczona, spocona, tną mnie insekty, wszystko swędzi, lepi się, drapie. A Thomas mnie poucza, że nie powinnam pić. A ja krzyczę, że wolę pić niż iskać ludzi jak pierdolona małpa. Rzucam wszystko i wychodzę z baraku. Z butelką idę w las. Siadam pod drzewem. Piję i czekam, aż przyjdzie Predator i mnie oskórzy albo któryś z tych skurwieli mnie zgwałci. Nic takiego się nie dzieje. Jestem nietykalna. Po prostu zasypiam, twardym pijackim snem. Budzę się w nocy. Wymiotuję, rzucam pustą butelką w las i wracam do wioski. Dziadek siedzi na werandzie przed barakiem i pali. W garnku są resztki zimnej kolacji. Breja z mięsem niewiadomego pochodzenia.

Ohydztwo, ale nigdy nie rezygnuję z posiłku, chociaż jedzenie, którym się pożywiam całe życie, jest przeważnie bardzo niedobre. Nie podgrzewam, jem prosto z gara, na stojąco. Dziadek nie lubi, gdy tak robię. Przeżuwam i przelękam. Kończę, gdy czuję się pełna. Potem wychodzę na werandę i siadam na stołku. Zapalam skręta z tytoniu, który palą tu wszyscy i który jest teraz również moim dopełnieniem każdego okropnego dnia. Śmierdzi i drapie w gardło. Ale tej nocy wyczuwam coś jeszcze. To coś nowego. Nie chodzi o bimber, którym mi się odbija. Po raz pierwszy wyczuwam unoszący się nad dziadkiem swąd śmierci. Już niedługo będę sama.

Docent chce się już zbierać do domu. Tymczasem jego żona oznajmia przekornie, że ma ochotę popływać. Mąż oponuje. Pogoda jest niepewna, zanoszą się na burzę. Przypomina Lucy, że piła mocny alkohol. Ona jednak wyśmiewa jego obawy. Mors oferuje jej swoje towarzystwo. Biorą bojki i schodzą na brzeg.

Po stosownej chwili odkładam książkę i wchodzę na skarpe, z której mogę obserwować akwen. Siadam w kryjówce między krzewami. Widzę dwie głowy płynące miarowo obok siebie. Łysą i kruczoczną. Słyszę odbijające się od wody śmiechy i słowa, których nie sposób zrozumieć.

W pewnym oddaleniu, poniżej, na skalnym występie stoi Docent. On również wpatruje się w wodę. Kusi mnie, by tę jego udrękę skończyć. Nawet trzymam już w ręku spory skalny odłamek. Może lepiej zepchnąć go ze zbocza. Stoi akurat w miejscu, poniżej którego z wody wystają ostre skalne kły. Ale co, jeśli spadnie pomiędzy, do wody, albo się tylko połamie? Poza tym, popchnąć kogoś to jednak nie to samo, co rozwalić łeb kamieniem. Rozłupać jak człowiek prehistoryczny. Ważę kamień w dłoni, wpatrując się weń. Narzędzie mam prymitywne i pierwotne, lecz dylemat współczesny. To nie Trzeci Świat ani raj samobójców, ani wojna, podczas której nikt się trupów doliczyć nie może.

Docent znika z mojego pola widzenia. Podchodzę na sam brzeg klifu i widzę go, jak schodzi stromym zboczem. Wychylam się i wtedy kawałek skały pod moją stopą odrywa się i leci w dół. Przez chwilę myślę, że polecę razem z nim. Nawet się z tym godzę. I z tym, że spadam Docentowi na łeb. Wyobrażam sobie, że giniemy obydwój, ale nie od razu. Umieramy długo, w bólach, połamani, zgruchotani, nadziani na wapienne zęby.

Tak się jednak nie dzieje. Łapię równowagę i upadam do tyłu na

plecy. Kamienie toczą się i z pluskiem wpadają do wody. Żaden nie trafia w starca.

Podnoszę się i wstaję. Docent płynie śladem Lucy i Morsa. Tymczasem oni, zupełnie tego nieświadomi, zaczynają wspinać się na klif wyrastający z wody w miejscu przewężenia łączącego oba zbiorniki. Znikają mi na moment, ale po chwili są już na szczycie. Stoją w cieniu drzew porastających skałę. On rozpędza się i wygląda przy tym jak spasiona pokraczna kaczka. Skacze. Zaraz po nim skacze ona. Wynurzają się z wody. Lucy płynie znowu w kierunku urwiska. Nie zauważa męża zbliżającego się kraulem. Spostrzega go natomiast Mors i wypływa mu na przeciw. Zaczynają rozmawiać, ale stąd nie słysząc, o czym. Z podniesionych głosów można jednak wnioskować, że się kłóć. Tymczasem Lucy stoi już na szczycie skały pod drzewami. Szczupła i zgrabna w swoim czerwonym kostiumie.

– Co tam się dzieje? – słyszę za plecami głos Kierowniczkki. Kobieta staje obok mnie i razem obserwujemy kłócących się mężczyzn. – Wiedziałam, że tak będzie.

Skrada się do nas Romek. Przykłada palec do ust. Siedzę więc cicho, bo widzę że planuje jakiś wyśmienity psikus. Może chce zrzucić Kierowniczkę ze skały, tak jak ja wcześniej chciałam zrzucić Docenta. Ale on tylko łapie ją za boki.

– W starym piecu diabeł pali – woła Romek. – Co, Krycha?

– Oszalał pan? Mogłam spaść.

– Na to bym nie pozwolił.

– Wszyscy w tym roku pogłupieli. Pan też się zachowuje jak gówniarz – grucha Krycha.

Muszę opowiedzieć o tym K. Tę dwójkę rzeczywiście łączy jakaś geriatryczna miłosna afera.

Wtem na horyzoncie błyska się. Lucy skacze do wody. Chwilę później w oddali przetacza się głuchy pomruk. Rzeczywiście nadchodzi burza. Grzmot przechodzi w ryk silnika. Zza skał, z drugiego akwenu wypływa motorówka nurków. Mija emerytów i wpływa na środek naszego jeziora, gdzie się zatrzymuje. Wzburzone przez nią fale rozdzielają dryfujących staruszków. Obok nich na wodzie unosi się bojka należąca do Lucy. Kobiety natomiast nigdzie nie widać.

Krycha zaczyna wrzeszczeć. Romek się dołącza, dołączam się i ja. Nadbiegają inni plażowicze. Echo niesie nasze krzyki po całym kamieniołomie. To zwraca uwagę nurków. Już zawracają łódź. Docent tymczasem podpływa do bojki. Chwyta sznur i stara się wyciągnąć

z głębin uwiązana do niego żonę. Nie jest to łatwe. Jego głowa co chwilę znika pod wodą. Mors nurkuje. W końcu wspólnymi siłami wyciągają na powierzchnię bezwładne ciało. Znowu błyska się i grzmi. Zaczyna padać.

Motorówka pod pływa do mężczyzn. Wciągają Lucy na pokład. I już prują w kierunku bazy. Po chwili znikają nam z oczu. Staruszkowie w wodzie ruszają ich śladem. Krycha głośno szlocha. Romek ją tuli. Letni deszcz przechodzi w gęstą ulewę. Pada coraz mocniej i mocniej.

Całe zdarzenie trwa nie dłużej niż pięć minut, ale ja mam wrażenie, że stoję na tej skarpie od wielu godzin ze stopami wrośniętymi w skałę. A więc to tak. To na to czekałam całe lato?

Wrzesień

Wrzesień dla odmiany jest ciepły tego roku. Tak mówią. Nie mam porównania. Momentami tak upalny, jakby był środek lata. Jednak pożółkłe korony drzew wokół kamieniołomu nie pozwalają zapomnieć, że jest już jesień. Słońce wisi znacznie niżej nad horyzontem, a w cieniu wyraźnie czuć ciągnący od skał chłód. Wszystko zdycha. Liście gniją w zatoczkach. Na skałach po drugiej stronie jest coraz mniej typków. Coraz rzadziej słyhać toporną muzykę. Nad wodą nie unosi się już smród spalonej karkówki i taniej kiełbasy. Może cała karkówka miasta została już zjedzona. Dobrze widać teraz kurhan sezonowych śmieci, budowany całe lato. Nocą w tym kopcu uczują zwierzęta. Rozwlekają odpadki po skałach. Butelki, puszki i resztki jedzenia dryfują po powierzchni wody ku uciezce ryb.

Plaźowiczów jest niewielu. Każdej niedzieli o kilka osób mniej. Z towarzystwa moich emerytów jedynie Krycha i Romek. Teraz już zawsze do mnie zagadują. Częstość mnie owocami i ciastkami, jakbym należała do ich paczki. Myślę, że tamto wydarzenie w jakiś sposób nas połączyło. Gawędzimy o różnych rzeczach, jednak każda rozmowa ostatecznie prowadzi do tamtego niedzielnego popołudnia ostatniego tygodnia sierpnia.

– Nic nie można było zrobić – wzdycha Kierownicza. – Uderzyła o podwodną skałę. Biedaczka była już trupem, gdy wyciągnęli ją z wody.

Potem zaczyna mówić o Docencie. Podobno zupełnie się załamał, sprzedał mieszkanie i swoje udziały w kamieniołomie i wyjechał. Koło

piątej po południu robi się zimno. Zakładam bluzę należącą do K., pakuję się i żegnam. Życzę im przyjemnego wieczoru. Jutro ma nastąpić załamanie pogody. Podejrzewam, że nie przyjdę już więcej na plażę.

Pnę się ścieżką w górę. Idę cienistym wąwozem. Wspinam się po skalnych schodach. Staję na szczycie i zdejmuję kłódkę z ostatniej bramki. Gdy odwracam się, by za sobą zamknąć, na chwilę zamieram. Widzę w oddali skałę, z której skoczyła Lucy. Na tę skałę można się wdrapać jedynie z wody. Z innych stron jest zbyt stroma. Ale czy na pewno? A może da się wejść na szczyt od strony nurków, przez las porastający jego zachodni stok?

Jadę na rowerze w kierunku bazy nurków. Zatrzymuję się przy bramie. Znowu wspinam się na ogrodzenie i przełazę górą. Asfaltowa droga prowadzi przez gęsty las. Nie widać żadnej bocznej ścieżki, więc po prostu wchodzę między drzewa. Przedzieram się przez zarośla i krzaki. Brodę w suchych liściach i wysokiej trawie. Docieram na szczyt skały.

Tak właśnie dostaję się tu tamtej nocy, dwadzieścia pięć lat temu. Bobo ucieka do lasu, a ja biegnę za nim. Krzyki. Śpiewy. Wybuchy i huki. Petardy i sztuczne ognie. Serie z kałacha i bomby. Zlewają się w jedno. Niebo rozbłyska blaskiem raz po raz. Rozglądam się.

Teraz pamiętam. Bobo wychodzi z kryjówki, chociaż powinien tam siedzieć cichutko, jak moje martwe zwierzątka, które go tak ciekawią. Stoi metr ode mnie i patrzy przerażony. Patrzy tak okropnie jak tata wcześniej i dziadek później, i K. całkiem niedawno. I zaczyna płakać. Słyszę ruch wśród drzew. Idą tu. Idą po nas.

Spycham Bobo ze skały, tak jak się spycha kamień. I on tak leci jak kamień w wodę, tyle że wrzeszczy ze strachu. Ale kolejna salwa wystrzałów wchłania ten krzyk i plusk. Raca rozjaśnia niebo do białości. Oślepiające światło niepamięci. A potem... Trzymam kamień i nóż. Tu leży tatuś, cały we krwi. A tam mama z roztrzaskaną głową. Potem pojawiają się ludzie. Znowu jest ciemna bezgwiazdna noc, ale rozpoznaję kształty i głosy.

Kobieta ciągnie mnie już w dół ze skały, przez czarny, drapiący las.

– Pojedziesz na wycieczkę. Jak było zaplanowane. Zobaczysz, będzie fajnie.

Trochę idziemy. Potem jedziemy. I znowu idziemy. Jesteśmy na dworcu. Siedzę na ławce w poczekalni i widzę, że ona coś uzgadnia z jakąś obcą kobietą. Coś jej daje. Obca kobieta co chwilę spogląda na mnie. Lucy też się odwraca. Tak, to Lucy. Ciocia Lucy. Czy wie, gdzie mnie wysyła? Musi wiedzieć.

Lucy kupuje mi na drogę trochę jedzenia.

– Bądź grzeczna... – moje imię brzmi w jej ustach jak ordynarne przekleństwo albo wulgarne wyzwisko. Jak „gówno” albo „dziwka”. Powtarza je kilka razy, a ja przestaję je słyszeć. Lucy ma pomalowane na różowo usta i te usta odbija mi na czole. Wycieram je ręką.

– Bobo do mnie przyjedzie? – pytam.

– Bobo umarł. Jest z aniołkami.

– Z jakimi aniołkami?

– Z tymi, do których go wysyłałaś... Bobo nie żyje. Leży na dnie. Fruwa z aniołkami.

– Tak się nie da, ciociu.

– Wrzuciłaś go do wody, a wiedziałaś, że nie umie pływać. Bezduszne dziecko.

– Musiałam.

– Musiałaś. Oczywiście. Zabiłaś go. Dlatego nie możesz już tu mieszkać. Nigdy tu nie wracaj, rozumiesz?

Chcę, żeby sobie już poszła, więc kiwam głową. Zostaję sama. Autokar jest prawie pusty, dzięki temu łatwiej mi jest wyobrazić sobie mamę, tatę i Bobo. Jedziemy na wakacje.

Wycieram nos o rękaw bluzy. Z kieszeni wydaję zdjęcie. Mama, tata, dzieci, woda. Żałuję, że nie mogę porozmawiać z Lucy. Nadal widzę strach w jej oczach. Wysyła mnie na pewną śmierć, nie dla zatuszowania nieprzyjemnej sprawy, nie dla ubicia interesu. Wysyła mnie, bo się mnie boi. Bo mam dopiero 6 lat. Zabijam zwierzęta. Zabijam mamę, tatę i brata.

Wszystko tak ładnie się układa w tej paskudnej historii. Kolejne brakujące fragmenty wskakują na właściwe miejsca. Są trochę zamazane i porysowane, rwą się jak stary film złej jakości. Znowu leżę w wysokiej trawie i obserwuję z ukrycia dorosłych. Mama, tata i Lucy. Słyszę ich okrutne słowa:

– Nie zostawisz mi tej wariatki – Lucy jest wściekła. – To twój pieprzony problem.

– Musisz się jej pozbyć – płacze mama. – Nie wytrzymam tego dłużej.

Ona jest zła i ma zły wpływ. Bobo jest przerażony.

– Załatwię to – odpowiada tata.

Siadam na brzegu urwiska. Widzę naszą plażę i wzniesienie. Tafla wody połyskuje w popołudniowym słońcu. Zauważam dwoje ludzi w wodzie. To chyba Kierowniczką i Romek. Ale właściwie to może być każdy. Na środku akwenu unosi się łódka nurków. Ale dziś widać tam jakieś poruszenie. Chyba coś w końcu znaleźli. Czekam, aby dowiedzieć się, co.

Mija jakiś czas. Uzupełniam numer z kartki o brakujące cyfry i dzwonię do domu. Odbiera po dwóch sygnałach, jakby czekał na ten telefon.

– Jesteś? – pytam szeptem.

– Tak.

– Mogę wpaść?

– Oczywiście. Wiesz gdzie?

– Tak.

Skrećam w boczną drogę. Na jej końcu stoi dom-żaba. W kwietniu spod suchego bluszczu wyzierała czerwona cegła. Teraz porasta ją bluszcz. Zielony dom. Thomas miał rację. To gorsze niż wszystko inne. Już wiem, przed czym mnie ostrzegał. Wiedział, że spotkam tu prawdziwe zło. A dokładnie, jego źródło bijące intensywnie jak serce żywego organizmu. Myślę o moim ostatnim spotkaniu z K. Tarzamy się wśród grobów jak zwierzęta. I o tym, jak gryzę go w ramię.

Wyjmuję pistolet.

Drzwi są otwarte, na progu stoi K. Jest bardzo spokojny jak na kogoś, kto zaraz spotka śmierć.

– Schowaj to – mówi z naciskiem.

– Nie mogę.

Może w tym miejscu powinnam sobie palnąć w łeb? Nie staruszkom, nie wariatce, nie K. tylko sobie, żeby to wszystko zakończyć raz na zawsze.

– Coś ci pokażę, tylko schowaj już tę wojenną pamiątkę – mówi K. na poły drwiąco, jakby to wszystko stanowiło dla niego źródło niesamowitej uciechy.

Zabezpieczam broń, ale jej nie chowam. Wchodzę za K. do środka

zielonego domu i ruszam jego śladem przez mroczny korytarz, w którym czuć wilgoć i pleśń typowe dla miejsc, w których od dawna nikt nie mieszka.

– Znaleźli ich. Wyłowili samochód – mówię do jego pleców.

– Wiem – odwraca się, ale w półmroku nie potrafię odczytać jego intencji.

– Naszych rodziców – dodaję.

– Wiem. Ci nurkowie pracowali dla mnie.

– Ach tak? – ogarnia mnie złość.

K. naciska klamkę. Puszczą mnie przodem. Znajdujemy się w pomieszczeniu, które kiedyś musiało być kuchnią. Pamiętam to jak przez mgłę albo ciepłą śnieżną zadymę. Teraz stoją tu tylko stół i dwa krzesła.

– Siadaj, proszę – znowu ten nieznoszący sprzeciwu ton.

Nie przywykłam słuchać cudzych rozkazów, a jednak siadam. On robi to samo i teraz już musimy na siebie patrzeć ponad stołem. I jest to bolesne jak spoglądanie prosto w słońce i może dlatego oczy zachodzą mi łzami.

– Wiedziałeś od początku – rzucam oskarżenie.

– Nie od początku.

– Co robiłeś przez te dwa miesiące?

– Jeździłem. Szukałem. Przepraszam, że do ciebie nie zadzwoniłem.

Spoglądam na niego jak na wariata. Czy jemu się wydaje, że jestem obrażoną panną, a on draniem, który mnie zaliczył, a potem nie zadzwonił?

– Musiałem to sobie poukładać. Zrozumieć. Znaleźć odpowiedzi.

Patrzę na resztki białego lakieru na drewnianym blacie. Wracają kolejne wspomnienia. Śniadanie, obiad, kolacja. Mama. Tata. Brat. Ciocia. Wujek. Babcia. Dziadek. Cała pieprzona rodzinka.

– I co?

– I znalazłem. – Jaki on z siebie zadowolony! Kładzie na stole białą tekturową teczkę. – Tu jest wszystko.

– Nie chcę! – Wyrywam mu teczkę i rzucam nią o ścianę. Upada na zakurzone deski.

– Nie bądź dzieckiem, Hildi. Nie chcesz czytać? Dobrze, ale mnie chociaż wysłuchaj.

– Słucham.

– Nie wiem, od czego zacząć? Może od tego, czego boisz się najbardziej? Chyba cię kocham Hildegardo. Nie, czekaj... Jestem

pewien, że cię kocham.

Kładzie dłoń na mojej, tej w której trzymam broń.

– Oszalałeś? – wyrywam rękę i unoszę ją w górę, aby wymierzyć siarczysty policzek. To coś nowego. W moim świecie albo wali się pięścią, tak żeby ogłuszyć, albo nie robi się nic.

K. zaczyna się śmiać.

– Nie mogłem się powstrzymać.

– To był żart? – Opuszczam rękę na stół.

– Nie, kochanie. To prawda. Nie jest prawdą natomiast to, w co wierzyłaś latami. Nie jestem twoim bratem. Nigdy nie miałaś brata.

– A ten chłopiec? Bobo?

– Tak, to byłem ja. W samochodzie, który wyłowili dziś ze zbiornika znajdują się zwłoki mojej mamy i twojego taty. To mój dom. Twój był ten drugi. Zanim przeprowadziłaś się z tatą do nas.

– Tata chciał mnie zostawić! A ja go zabiłam.

– Nie ciebie, tylko twoją matkę. Wiedźmę. Tak ją nazywaliśmy. Wypuścili ją z psychiatryka i zamieszkała w waszym starym domu. Nie dawała nam spokoju. To ona zabiła mamę i tatę. Goniła nas. Przypomnij sobie, Hildi. Kazałaś mi się schować.

– Zepchnęłam cię ze skały.

– Uratowałaś mnie przed nią.

– Przecież nie umiałeś pływać.

– Umiałem. Twój tata nauczył mnie i ciebie. Wiedziałaś, że umiem pływać. I że tam jest głęboko i nie ma skał. Oczywiście, to było ryzykowne, ale o wiele niebezpieczniej było na skale z wiedźmą. To ona zabijała te zwierzęta, a potem podrzucała je tobie, a ty biedna musiałaś je grzebać, aż zaczęłaś wierzyć, że to twoje ofiary.

– Dlaczego Lucy wysłała mnie na Bałkany?

– Ta część była najbardziej zadziwiająca. Lucy wsadziła cię w pierwszy autokar, który jechał daleko. Do Włoch. Może chciała cię chronić. Ale autobus został porwany. Miałaś pecha. Od dziecka otoczona śmiercią. Widziałaś straszne rzeczy, ale nikogo nie zabiłaś, poza tymi, którzy cię o to prosili.

Którzy mnie o to prosili. Przyswajam informacje z dziwną niechęcią, przeżuwać je jak nową nieznaną potrawę. Nie wiem jeszcze, czy odpowiada mi jej smak, czy mam ją połknąć i przetrawić, czy wypluć.

– A co się działo z tobą? – pytam.

– Moja historia nie jest tak ekscytująca. Docent znalazł mnie na brzegu. Podrzucili mnie do domu dziecka, daleko stąd, w innym

mieście. Zniszczyli wszystkie fotografie. Zostałem dosyć szybko adoptowany. Moi rodzice niestety już nie żyją. Mam tylko młodszą siostrę, którą poznałaś. Zawsze wiedziałem, że to nie są moi biologiczni rodzice, ale większość wcześniejszych wspomnień wyparłem. Nie dawały mi jednak spokoju migawki pojawiające się w koszmarach sennych.

– Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

– Nigdy nie pytałaś, czym się zajmuję. Jestem prawnikiem. Reprezentuję developera, który chce tu zbudować osiedle. Przyjechałem do Krakowa, żeby zbadać kwestię własności. Odszukać wszystkich udziałowców i nakłonić ich do sprzedaży. I natknąłem się na te gotyckie tajemnice sprzed lat. Mój zleceniodawca szukał dowodów na to, że część właścicieli nie żyje i nie ma spadkobierców. Wiele wskazywało, że kilkoro z nich spoczywa na dnie zbiornika. Wynająłem nurków. Wspomnienia zaczęły wracać. Wiedziałem, że to, co na swój temat odkrywę, nie będzie piękne ani miłe. Będzie straszne. I takie było. Ale byłaś tam też ty.

– Cudownie.

– Docent i Lucy przestraszyli się tego, co mogą znaleźć nurkowie i odsprzedali mi swoją część pod koniec lipca.

– A moja prawdziwa matka?

– Nie żyje. Umarła w zakładzie psychiatrycznym kilka lat temu. Teraz cały ten kamieniołom należy do nas.

– Nie chcę go – otrząsam się ze wstrętem.

Może Janina w jakiś sposób miała rację i to miejsce było rzeczywiście nawiedzone. Może wywoływało uśpione w człowieku pokłady zła.

– Dobrze, ale ja swoją część przygarnę, jeśli pozwolisz. Jedno z nas powinno być pragmatyczne, kochana.

Po jego słowach proza życia w jednej chwili przybiera bardzo konkretny kształt zwykłego posiłku jedzonego przy tym stole. Krąg zbrodni kurczy się do rozmiarów talerza, na którym leży kostka sera, która w ciepłe popołudnie pokrywa się kropelkami potu i zaczyna śmierdzieć. Staje się tak wyraźna, że niemal czuję jej mdły, słodki zapach. Jest to przytłaczające, jak ciężki zaduch w letni dzień.

Ten rozdział kończy się ślubem, ale tak jak podejrzewasz, to jeszcze nie finał. Bo to nie jest opowieść o miłości, zbrodni, wojnie czy zemście. Ani nie jest to zawiła gotycka saga rodzinna. Owszem, ta historia zawiera w sobie każdy z tych elementów, ale ostatecznie jest

o czymś zupełnie innym.

Październik

Kefalonia nie należy do tych najbardziej turystycznych wysp Grecji. Schodząc z promu, czuję się jak intruz. Tak samo jak wtedy, gdy byłam tu z Thomasem. Jadłam rybę wyłowioną prosto z morza. Ta ryba ma śmieszna nazwę i jest tutejszym specjałem.

Z Sami kierujemy się na północ. Jedziemy wypożyczonym samochodem wzdłuż wybrzeża wąskimi, krętymi drogami. Jest wczesne popołudnie. Chcę dziś objechać wyspę dokoła. Nie wiem, czy to realny plan. K. żałuje, że na miodowy miesiąc nie wybraliśmy jakiegoś bajeranckiego kurortu, w którym zabawa trwa na okrągło, jest otwarty bufet i dobrze wyposażony bar. Z balkonu możesz podziwiać płaski horyzont. Poziome linie dzielą widok na plażę, ocean i niebo. Przecinają je łuki palm. Słońce świeci każdego dnia, a w nocy widać wszystkie gwiazdy. Piasek jest biały jak śnieg na pustkowiu, a przejrzysta woda przy brzegu płytka i bezpieczna jak w dziecięcym baseniku.

Tu jest inaczej. Po prawej w dole rozciąga się Morze Jońskie, granatowe jak nocne niebo, po lewej wznoszą się szare, poszarpane góry. Ten krajobraz w jakiś sposób przypomina nasz kamieniołom. Może zawsze wybieramy jako cel podróży miejsca, które przywołują wspomnienia tych krain dobrze znanych, oswojonych albo takich, w których byliśmy kiedyś szczęśliwi. Ale ja nie byłam tam szczęśliwa i przypuszczam, że i tu nie mogłabym być. Kamieniołom to moje rodzinne mauzoleum, a ja nie chcę mieszkać w cudzym grobie.

Muszę jeszcze tylko zyskać pewność. Jeszcze tylko to i koniec. Wszystko się ułoży. Polecimy na Hawaje albo na Samoa, albo do Maroka, nawet na Grenlandię, byle to miejsce nie przypominało wyrąbanego w skale dołu wypełnionego trupami. Być może już tylko doba dzieli mnie od nowego życia.

Trochę kluczymy, gdy musimy odbić z wyznaczonej trasy, bo część dróg jest zamknięta z powodu trzęsień ziemi i osunięć terenu. Im dalej w głąb lądu tym silniejsze jest moje odczucie, że wyspa nas nie chce. Krajobraz jest nieprzystępny i surowy, nie czaruje, nie łąsi się do

przyjezdnych. Księżycowa sceneria pustych, nieurodzajnych kamienistych dolin albo łyse szczyty gór i zbocza upstrzone krępą, kolczastą roślinnością. Cała wyspa jest najeżona jak jedno z tych zwierząt z igłami czy kolcami. Ludzi właściwie nie widać. Tylko kozy, dużo kóz.

– Powiesz mi w końcu, co tu robimy? – pyta po raz kolejny K.

Spoglądam na niego. Nie ma w nim ani odrobiny mroku, jest racjonalny, poukładany i cierpliwy.

– W końcu powiem.

Jest po sezonie. Kurorty pustoszeją. Ciągające się wzdłuż wybrzeża hotele są teraz ciche i spokojne. Sprawdzamy je po kolej. O tej porze roku przyjeżdżają tu głównie emeryci. Co jakiś czas patrzę na zdjęcia, które zabrałam w czerwcu z torby Janiny. Znam je na pamięć. Jest już osiemnasta, a my pokonaliśmy dopiero jedną szóstą trasy. Zjeżdżamy w dół. U stóp góry rozciąga się jedna z najstojniejszych greckich plaż. Myrtos. Skały otaczają ją z trzech stron, tworząc zatokę. Piasek na wyludnionej plaży jest biały i miękki, a woda mieni się wszystkimi kolorami. Nad zatoką wznosi się niedawno wybudowany kompleks hotelowy. To dlatego z początku nie rozpoznaję tego miejsca. Instykt, a może zmęczenie, każe mi się tu jednak zatrzymać.

– Ładnie, co? – mówię. – Ta plaża jest znana z licznych utonięć. Wchodzisz i prawie od razu jest głęboko. Zaraz nakrywa cię dwumetrowa fala i mieli jak w pralce.

– Brzmi kusząco.

Na Kefalonii dni są nadal ciepłe, ale wieczory chłodne. Gdy K. rozsuwa balkonowe drzwi owiewa mnie podmuch wiatru z północy. Zimny i ostry jak śnieżna zawierucha. Kładę na łóżku walizkę i otwieram ją. Na samym wierzchu leży mój stary kumpel Walther.

– Jedynym atutem tego wyjazdu jest cena – woła K. z balkonu. – Znowu same dziady. Dziady spacerujące brzegiem, dziady na klifie, dziady okutane jak mumie na leżakach. Nawet w morzu jest para dziadów. Ta woda musi być lodowata...

Przerywam rozpakowywanie walizki i wychodzę na balkon. Od razu zauważam to, co wcześniej zasłaniał budynek. Starą tancbudę i restaurację serwującą ryby. I rzeczywiście, w morzu, czerwonym w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, pluska się dwoje starszków. Po prawej, na jednym z klifów obejmujących zatokę, stoi trójka turystów albo miejscowych. Trudno powiedzieć, na co patrzą Na

staruszków czy na przepływającą motorówkę.

Tak jak ja wtedy, z Krychą i Romkiem, gdy obserwowaliśmy całe zajście. Ale co naprawdę widzieliśmy? Błysk pioruna, motorówkę nurków, kłócących się mężczyzn, skaczącą do wody kobietę. Lucy zginęła od uderzenia głową o podwodną skałę. A może zginęła kilka minut wcześniej, na łodzi, od ciosu kamieniem. Może była już martwa, gdy leciała w dół. Nikt z nas nie patrzył wtedy w górę.

Pędzę po plaży, wzbijając tumany piasku. Zostawiam za sobą basen, hotel, nadciągającą noc, stare i nowe życie. Mijam opuszczoną wieżę ratownika i parę w średnim wieku, leżącą w bezruchu na leżakach. Wszystko wydaje się martwe. I jest martwe. Na klifie nie ma nikogo. Motorówka odpłynęła. Żywe jest tylko dzikie morze i moi starzy znajomi igrający wśród fal. Syrena i tryton w jesieni życia. Im bliżej jestem, tym wyraźniej widzę, jak bardzo są szczęśliwi. Zrzucam szlafrok w biegu i wpadam do zimnej wody. Zauważają mnie i rozpoznają. Ich radość znika. Znowu są parą morderców, która planowała swoją zbrodnię od miesiący. A może nawet od lat. Docent o zakochanym spojrzeniu, który nie spędzał wakacji ani z żoną, ani w domu, oglądając mecz, tylko z kochanką w kolejnych kurortach. I romantyczna Janina z eleganckim kokiem, która poprosiła przypadkowego mężczyznę, aby zapozował z nią do kilku zdjęć, jako tajemniczy Rysiek. Turcję, na wielkich zbliżeniach, udawała Grecja. Janina jest nadal szczupła i czarnowłosa, jak wtedy, gdy w czerwonym kostiumie stała na skale, udając kobietę, której chwilę wcześniej rozwaliła głowę kamieniem. Do tej roli przygotowywała się i chudła cały sierpień. Ludzie. To są właśnie ludzie.

Następna fala nakrywa mnie. Zachłystuję się. Ciągnie mnie w dół. Przez wodę słyszę krzyki Docenta i Janiny. Wzywają pomocy, ale ich ręce trzymają mnie mocno. Przeżywam wojny, epidemie i kataklizmy, przeżywam w przeludnionej celi z drapieżnikami, omijają mnie kule, a bestie zostawiają w spokoju. Ginę z rąk pary starców!

W moich ostatnich sekundach zadaję sobie pytanie, gdzie jest K.? Czy nadal stoi na tarasie? Czy zdąży? Czy weźmie Walthera? Czy ktokolwiek cokolwiek widzi? A jeśli tak, to na co ta sytuacja wygląda z oddali?

I nagle do mnie dociera ta prawda, której nie chciałam widzieć, bo obcując ze śmiercią, wolałam wierzyć, że sama jestem po jej stronie, a nie po stronie tych słabych, skazanych na zagładę ludzi.

Zatapialnych, łatwopalnych, toczonych przez choroby, pozbawionych zbroi zatrzymującej pociski. Rozrywanych na pół z łatwością, z którą przedziera się kartkę papieru. Ale to oni byli moim pancerzem. Dziadek, babcia. Martwe ciała. Mama i tata. Obca kobieta w porwanym autobusie. A nawet Lucy.

Huk stłumiony grubą warstwą wody brzmi jak wystrzał korka od szampana. A potem następują kolejne. Smugi krwi wiją się jak serpentyny. Ale to nie bal, to K. ratuje mnie jako ostatni z ludzi.

Kwiecień

Trawnik jest równo przycięty, bujny i soczysty i niedługo zacznie kwitnąć. Sięgam wzrokiem kilka metrów dalej do miejsca, w którym się kończy. Urywa się nagle, osuwa w przepaść i wpada prosto do morza. Tuż za krawędzią kołują morskie ptaki. Mrok zapada dziś wyjątkowo szybko. Ta opowieść też zbliża się do końca. Widzę, że mój gość chciałby już iść. Wyjść przed poznaniem zakończenia. Ale siedzi nadal.

– Sprzedałam kamieniołom – mówię. – Cóż mi po nim. Niepotrzebny kłopot.

– To już wszystko? – dziewczyna rzuca szybkie pytanie. Ma nadzieję, że potwierdzę.

– Prawie – uśmiecham się.

Rozgląda się niespokojnie, jakby dopiero teraz zauważyła, gdzie jest. Może zastanawiają ją te klify. Może coś, co powiedziałam wcześniej. Coś się nie zgadza? Chyba zaczyna dostrzegać rozłazącą się sieć nieścisłości. Porusza się na ogrodowym leżaku, jakby znowu chciała wstać. Ale rezygnuje. Zza ogrodzenia dobiega szczebanie. Macham do sąsiadki idącej na spacer z psem. Wzdłuż wysokiego parkanu zapalają się lampy. To uspokaja dziewczynę.

– Chciałaś porozmawiać o K. – zaczynam, a ona spogląda na mnie. Widzę, jak powoli zastyga. – Dziwna sprawa. Obie jesteśmy i równocześnie nie jesteśmy jego siostrami. Myślisz, że to oznacza jakąś więź między nami? Tobą i mną? Nie? Chyba masz rację. Nieważne. Podobno prawda zawsze kryje się gdzieś między słowami. I w dziurach czy też lejach. No, tam, gdzie można coś powcisnąć albo coś przemilczeć. Zgodzisz się?

– To możliwe – mówi cicho.

– Możliwe. Nie skończyłam ci chyba opowiadać o dziadku. Tęsknię za nim, czasami wręcz okrutnie. To był ciekawy człowiek. Czy opowiadałam już jak... – urywam, bo siostra K. wydaje się strasznie zmęczona, jakby to ona gadała od kilku godzin. – Przepraszam, czy ja cię nudzę? No tak, nie obchodzi cię mój dziadek. Wracając do K. Zastrzelił ich. Docenta i Janinę. W ten sposób wszyscy byli już martwi. Śmierć zatoczyła koło. Tak?

Uchyła usta, z których dobywa się słaby dźwięk, przypominający bardziej zdmuchiwanie świecy niż słowo:

– Tak.

– Nie! – podnoszę głos do krzyku, bo ogarnia mnie nagły gniew. Trwa to sekundę i zrzucam z siebie złość, jak niepotrzebną warstwę odzieży. Już dobrze. – Całe życie zastanawiałam się, dlaczego mnie to wszystko spotyka. Nie znalazłam odpowiedzi ani w sobie, ani w świecie. Powędrowałam więc do źródła. Zawsze trzeba wędrować do źródła, ale mało kto ma odwagę. Źródło powinno być miejscem, w którym zmyjesz z siebie brud. Ale tak się nie dzieje. Bo to, co nami steruje, co leży u podstaw naszych uczynków, nie jest piękne ani dobre. To ziarenko mroku kiedyś zasadzone, z którego powoli wyrasta bestia. A tym ziarenkiem jest to, co nas kiedyś zniszczyło. Rozumiesz? Zniszczyło na zawsze. Ciebie też coś zniszczyło, prawda? Na co teraz patrzysz? Na rysę na obrazku idealnego życia waszej idealnej rodziny? Ta rysa jest już pęknięciem. A po chwili sporą szczeliną, w którą teraz spoglądasz. Ja wiem, na co patrzysz.

Człowiek raz rozszczelniony już na zawsze pozostanie nieomknięty. Dla ludzi to zwykle udręka. Dla mnie ulga i wybawienie. Bo teraz nareszcie wiem, kim jestem i dlaczego robię to, co robię.

Po jej nieruchomej i szarej jak skała twarzy płyną teraz lśniąca potoki łez z samego źródła. A ona rozpada się od środka.

– Opowiem ci o moim źródleku – odzywam się po chwili. – Pierwsze, co pamiętam to zabawa w suchym kamieniołomie. Na samym jego środku jest niewielka kałuża, ale ona się powiększa i pogłębia. Podpełzam do rodzącego się jeziora. Czuję pod sobą miękki muł, w którym się zatapiam, zasysa mnie i wciąga. Widzę swoje odbicie w brązowej tafli i nagle zauważam kogoś jeszcze. I wtedy zaczynam rozumieć, że nic mnie nie wciąga. Tylko że ta osoba nade mną dopycha mnie i wciska w wodnistą glinę. Zapadam się. Mam muł w oczach, ustach, uszach. Muł wślizguje się do mojego wnętrza, wypełnia płuca, przełyk, żołądek. Ale udaje mi się obrócić głowę

i złapać zębami rękę, która mnie morduje. Małe mleczone ząbki przegryzają skórę i ścięgna, zatrzymują się na kości, którą trzonowe przegryzłyby jak marchewkę. Wtedy mnie puszcza. Czuję kopnięcie, które boli, ale też oddala mnie od tego, co mi zagraża. Nadal nic nie widzę. Słyszę tylko uciekające kroki i skowyt bólu. Wyczołguję się i zasypiam w kokonie z gliny. Gdy znajduje mnie mama, skorupa jest już sucha. Jestem glinianym ludzikiem. Tak mówi mama. Odłupuje kawały błota. Budzi mnie do życia. A jakiś czas później zaczyna myśleć, że ja tam zostałam odmieniona, że utraciłam duszę w wieku trzech lat.

Ona nie może na to nic powiedzieć. Czy znalazłaby w ogóle słowa? Więc znowu odzywam się ja.

– Powiedziałam ci prawdę nie raz. Teraz się pewnie zastanawiasz, co jest tą prawdą. Ale przecież już wiesz. Jesteś bystra, jak twój brat. A właśnie, smakował ci? Trochę za żylasty po tej siłowni. Bardziej jednak chodziło o zaspokojenie ciekawości niż głodu. Mniejsza o to. Ja byłam przekonana, że Bobo nie żyje. Tak jak Lucy mówiła, ale ty chyba nie uważałaś wtedy, nie umiał pływać. Dla pewności nawpychałam mu kamieni do plecaczka. Nie wiem, jak mu się udało. Mały sukinsyn. Taki słodziutki. Nienawidziłam go. Debil. Gnój. Ale rodzice woleli go ode mnie. Pamiętam dobrze ten gniew, chociaż już zupełnie go nie czuję. Chciałam, żeby mama i tata byli tylko moi. Potrzebna była ofiara. Nie zwierzęca. Ludzka. Byłam taka szczęśliwa. Mama przybiegła pierwsza. Ale zamiast mnie przytulić, pytała tylko o tego gnojka. Zaczęła mnie szarpać. Pojawił się tata. Mów. Mów. Mów. No to mówię: Bobo spadł. Mama odpycha mnie i rzuca się na ziemię, wychyla za krawędź, woła. Przewracam się i uderzam głową o kamień. Ból rodzi nową wściekłość. Biorę ten kamień i uderzam ją w skroń. Nagle jest cisza. Jest po wszystkim. Coś ty zrobiła? Tata siada na ziemi obok nieruchomej mamy. I mówi: odejdz. Idź sobie. I płacze. Jest noc, ale ja mam w głowie to białe, anielskie światło. W następnej chwili po prostu dźgam go nożem. Trochę za tatą tęsknię. Musisz mnie zrozumieć, oczywiście nienawidzę go. Ale, tak jak mówiłam, smutno mi za tym czasem, gdy jeszcze się nie domyślał, że to ja te zwierzątka zabijam. Myślał, że to matka wariatka.

Przerywam na chwilę i przyglądam się jej.

– Czego wy w ogóle ode mnie chcecie? – pytam, choć nie przypuszczam, że odpowie. – Czy K. chciał mnie, czy moją forszę? A ty? Nie odpowiada.

– Walić to. To bez znaczenia. Ostrzegałam K., ale nie chciał słuchać, wolał rznąć sierotę wojenną na cmentarzu. Któż by nie chciał? Już chyba się domyślasz, jak mi się podobało na tej wojnie. Ile bodźców. Jak ciekawie. Ile ja się tam nauczyłam! Ale babci coś się nie podobało, że za wesoła jestem, a pacjenci coś umierają bardziej niż powinni. Ten mój dziadek. Wiedział? Jak sądzisz? To dla mnie zagadka. Czasami myślę, że tak, i że wykorzystywał mnie do tej swojej krwawej roboty. Gdzie by znalazł kogoś, kto by chętniej ciął ludzi bez znieczulenia. Czasem się zdenerwowałam, bo dla żartu ucięłam nie to, co trzeba. Dziadku, pomyliłam się! Dziadku, broniłam się! Powiedziałam, że byłam nietykalna? Że nie gwałcili? Na wojnie? I ty w to uwierzyłaś? Ten Smuth, myślisz, że był lepszy? Spoglądałam w jego twarz jak w czeluść, w te szkliste oczka, w których widziałam siebie w innym wydaniu, na innej wojnie, jako bonus dla brutalnego żołdaka. Wszyscy są tacy sami. Ludzie. Ludzie są najgorsi. Lucy, która bała się małego dziecka, ale rąk sobie nie chciała brudzić. Szkoda gadać. Ludzie. Nie znam wstrętniejszego słowa.

Milknę. Znudziło i zmęczyło mnie to gadanie. Jakbym gadała do kukły.

– Nie możesz się ruszyć. Nie możesz mówić – wzdycham i ziewam. – Ale zauważyłaś, że ten fotel ma kółka? Nie, tu nie ma żadnych sąsiadów. Pomachałam, bo się zaczęłaś za wcześnie denerwować.

Już tylko jej oczy wyrażają bezgraniczne przerażenie. Ale to jeszcze nie tej nocy. Nie mam nastroju. Wolę powspominać. Dopada mnie ten płacziwy melancholijny nastrój. Tęsknię za tatą, Bobo, babcią, Thomasem. A najbardziej za K. i naszym życiem, którego nie będzie. Tymczasem jego siostra wciąż czeka na odpowiedź.

– Pytałaś o K. a ja się rozgadałam. Chciałaś się z nim zobaczyć? Zawiozę cię teraz do niego. O tak, on żyje. To tylko ręka. Trzymałam w zamrażarce. Nadal nie wiem, jak umrze K. Nie okłamałam cię. Ale teraz już rozumiesz? Ofiara nie została spełniona. Bobo nie poszedł na dno. Trzeba płacić. Za każdą rzecz. A cena rośnie. Ludzkie uczynki kosztują niemało. Ludzie! Znowu ludzie. Nie lubię ich, niekiedy nienawidzę, są wstrętnei, obrzydliwi, nędzni, źli, słabi, zadają ból, kłamią, gwałcą, zabijają. Ludzie nie powinni się nigdy urodzić. Gardzę nimi, moja droga, ale nie potrafię bez nich żyć.

Robert Małecki

HORYZONT

„Są sprawy, o których nie wiesz”.

Pierwszy raz usłyszałem te słowa miesiąc temu i dlatego, że nie było już „nas”, pewnie nie zrobiły na mnie większego wrażenia.

Pstryk.

Jest wiele takich spraw, a świata przecież nie zbawię. Teraz jednak patrzę na to inaczej, bo minione zdarzenia zaczęły układać się w całość. Elementy długo łączyły się ze sobą, aż wreszcie dostrzegłem je wszystkie razem. I zapewniam: nie był to miły widok. Dopiero dziś, dopiero teraz zrozumiałem, że kiedy wypowiedziała tamte słowa, musiał być jakiś ciąg dalszy tej myśli, coś, co mi umknęło albo czego zwyczajnie nie dosłyszałem. Usłyszałem je teraz. Odbiły się echem w mojej głowie, kiedy strażacy wyciągnęli z toruńskiego Portu Zimowego ociekającą wodą walizkę.

Pstryk. Pstryk.

Najpierw ułożyli na nasłonecznionym nabrzeżu z betonowej trylinki, a następnie przenieśli wyżej, na suchą o tej porze roku trawę. Technicy kryminalni w białych kombinezonach i gumowych rękawiczkach ostrożnie ją otworzyli. Odsunęli się gwałtownie, odwrócili głowy, czekając na zbawienny powiew kwietniowego powietrza. Nie patrzyłem na nich ani na inne osoby, które kręciły się przy nabrzeżu, nie interesowały mnie zaparkowane obok radiowozy i cywilne samochody. Skierowałem obiektyw na walizkę. Nastawiłem ostrość.

Pstryk.

Tkwiała w niej dziewczyna. Ktoś zasłaniał jej twarz. Dostrzegłem tylko czerwone buty i poczułem jakby przyłożono mi lód do pleców.

Pstryk.

„Są sprawy, o których nie wiesz...” I lepiej, żebym nigdy nie wiedział. Może gdybym wtedy bardziej się postarał...

Odłożyłem aparat, odłączyłem obiektyw i schowałem do plecaka. Podniosłem się z ziemi i otrzepałem ręce. Odczekałem chwilę, żeby się

uspokoić, ale moje serce z furią tłoczyło krew. Świszczało mi w uszach. Wreszcie wziąłem kilka głębszych oddechów i wyszedłem z za wału powodziowego wprost na policjantów i strażaków. Kolana uginały się pode mną z każdym krokiem.

– Znam go! – krzyknąłem zlany potem.

Wszyscy, którzy tam się kręcili, spojrzeli w moją stronę i znieruchomieli.

– Wiem, kto to zrobił!

Wcześniej

– Masz? – dziennikarz zarzucił długie włosy na plecy.

Radosław Rak nie odsunął aparatu fotograficznego od twarzy i nie przestawał śledzić przez wizjer niskiego, krępego zastępcy prezydenta miasta. Nie odezwał się, strzelał zdjęcia z za grupki dziennikarzy.

Do rozpoczęcia konferencji prasowej zostało kilkanaście minut. Kontrowersyjny temat projektu trasy łączącej nowy toruński most na Wiśle z wylotówką na Gdańsk zapowiadał burzliwą atmosferę, na razie jednak w podłużnej sali narad panowało rozluźnienie. Oprócz zastępcy, który przeglądał papiery zebrane w granatowej teczce, nikt jeszcze nie usiadł. „Telewizory”, czyli koledzy ze sprzyjającej ratuszowi kablówki Białoruś rozkładali sprzęt, inni wcinali ciastka, jakiś gość rozlewał kawę do białych filiżanek i podrywał urzędniczkę z dużym biustem. Śmiech i gwar. Toruński rynek mediów przypominał raczej ryneček Lidla, małą wioskę, w której wszyscy znali się od lat i wiedzieli o sobie więcej niż rodzina. Taka robota. Większość czasu spędzali poza domem wśród znajomych z pracy. Rak znał to aż za dobrze.

– No masz? – niecierpliwiał się dziennikarz.

– Zamknij się, Długopis. I nie stój jak fiut na polu, tylko osłaniaj – syknął Rak, po czym nacisnął spust migawki.

Strzelił kilka razy i dopiero wtedy się uśmiechnął. Odwrócił aparat w stronę reportera, tak by ten mógł przyjrzeć się zdjęciu na wyświetlaczu.

– Jak chcesz to potrafisz! – Marek Bener uśmiechnął się szeroko, a potem dyskretnie rozpiął swoją torbę, w której Rak zauważył trzy browary. – Po nasiadówie.

Dawno założyli się z kolegą z „Wyborczej”, że złapią zastępcę

prezydenta na dłubaniu w nosie. Zdjęcie, na którym paliczek wskazującego palca znika w nozdrzach potężnej czerwonej bulwy, stanowiło teraz dowód w sprawie. Rak dostrzegł, jak Bener podchodzi do Artura Wareckiego, który zajadał się herbatnikiem, siejąc przy tym okruciami wprost na swoją gęstą, czarną brodę, i szepnął mu coś na ucho. Warecki zamarł. Kiedy Bener skończył, Kula, bo tak ze względu na gabaryty nazywali Wareckiego, wychylił się i spojrział na Raka, a potem z uznaniem podniósł kciuk.

Bener poklepał go po plecach i wrócił do fotoreportera.

– Skrzynka jest nasza, a to, co mam w torbie, możemy chlapnąć po konferencji. Kula też pójdzie – powiedział.

Rak nie zdążył się odezwać, bo nagle gwar ucichł. Do sali wkroczył prezydent.

Naczelny wódz „Pentagonu”, jak nazywano Urząd Miasta Torunia, jak zwykle czekał z wejściem do ostatniej sekundy. Przywitał się ze wszystkimi uściskiem ręki, co na niektórych nadal robiło wrażenie. Po przedstawicielach bezpłatnego tygodnika „Echo Torunia” spływało to jak po kaczkach. „Kaczorach, raczej” – pomyślał Rak, choć nie był w tym przypadku poprawny politycznie. Marek Bener, właściciel i redaktor naczelny tygodnika, nie uznawał żadnych zależności, żadnego kolesiostwa. Trzymał się z dala od sieci wzajemnego wsparcia i kółek adoracji. Nie mówiąc już o kółkach różańcowych ojca i dyrektora w jednej osobie. Rakowi wybitnie to odpowiadało.

Fotoreporter cofnął się o krok i przyłożył aparat do oka. Zrobił kilka luźnych zdjęć, bo właśnie w takich nieformalnych sytuacjach czasami trafi się fotorarytas. Potem kucnął pod ciemną meblościanką i sięgnął do plecaka po inny obiektyw.

– Sprawę mam – usłyszał szept i spojrział na Anetę Kuryło z „Nowości”, a raczej na to, co pozostaje z człowieka po nieprzespanej nocy albo dwóch. Zjawiała się przy nim bezszelestnie jak cień i tak też wyglądała. – Wyjdziemy?

Nie zauważył jej wcześniej, być może dopiero przyszła. Przetłuszczone blond strąki zwisały bezładnie, spod skórzanej kurtki wyzierał wymięty T-shirt, a brudne czerwone trampki domagały się pralki. Torba przerzucona przez ramię ziewała szeroko. Aneta drżała. Przynajmniej tak się Rakowi wydawało.

Odszukał wzrokiem Benera. Naczelny był już w innym wymiarze. Zajął miejsce z innymi dziennikarzami i wpatrywał się w siwego rzecznika prasowego, który, wyprostowany jak struna, czekał aż

ucichnie gwar. Rak zrezygnował z powiadamiania szefa, że na chwilę znika.

Spojrzał na Anetę, skinął głową w stronę drzwi i pokuśtykał za nią. Od czasu wypadku w 2013 roku prawa noga nie zginała się w kolanie. Włókł więc kulasa za sobą, chociaż i tak był wdzięczy komuś tam na górze za to, że w ogóle żyje. Jego wóz owinął się wokół drzewa. Za ciemno, za dużo gazu, za dużo deszczu, za dużo strachu. Nie lubił wracać do tej historii i w zasadzie cieszył się, że zamiast wyrazistych wspomnień ma we łbie czarną dziurę, jakby mu ktoś ten fragment pamięci wyskrobał paznokciem. Czasami tylko budził się zlany potem, bo we śnie potrafił rozbujać samochód do niebotycznej prędkości i gnał wprost na wielkie drzewa. Wiedział, że tamtej feralnej nocy przesadził, bo zwyczajnie się bał, po prostu uciekał z pułapki jak tchórz, zostawiając Benera samego. Żałował, że akurat o tym dojmującym uczuciu pamiętał aż za dobrze.

Aneta nie zatrzymała się w ciemnym holu starego budynku, tylko skierowała na schody. Sięgnęła po paczkę papierosów i wyjęła zapalniczkę. Rak szedł za nią. Schodzili w milczeniu. Pchnęła wreszcie zielone drzwi prowadzące na niewielki dziedziniec za urzędem, odgradzony od ruchliwej ulicy i placu Teatralnego. Budynek urzędu dawał tu cień i chronił od wciąż jeszcze chłodnego, wiosennego wiatru. Z okien obok dochodził głos spikera radiowego, który przypomniał, że jest kwadrans po trzynastej. Nawiązał w ten sposób do starego szlagieru o trzynastym dniu miesiąca, który dziś przypadał, bo w taki dzień, jak mówiły słowa piosenki, wszystko zdarzyć się może. Rak przez chwilę szukał w pamięci nazwiska tej wokalistki ze skrzeczącym głosem, którą tak lubiła jego matka, ale poddał się, kiedy Aneta wyciągnęła w jego stronę paczkę niebieskich chesterfieldów.

– Ściśnij sobie jajko – zaproponowała, kiedy wyjął fajkę.

Zrobił głupią minę, bo nie sądził, by akurat teraz, w takim stanie i po rozstaniu zachęcała go miętoszenia worka mosznowego.

– Papierosy mają wewnątrz takie coś, takie jakby tego... No, taką kapsułkę mentolową – wyjaśniła i chwyciła jeden z nich na wysokości filtra. – O tu, jak ściśniesz, będziesz miał mentola.

Nie skorzystał z okazji.

– Nie mentoluj, tylko wal, o co kaman. – Podał jej ognia, potem zaciągnął się. – Chora jesteś? – dodał.

Nie widział jej dwa tygodnie, może dłużej. Wyglądała na wyczerpaną. Miała 26 lat, tyle co on, ale dziś nie dał by jej mniej niż czterdzieści.

– To tylko gorączka. Przejdzie.

Aneta skuliła się, spojrzała w bok i wytrzymała napływ łez. Przypowiadka o kapsułce smakowej miała tylko na chwilę odwlec ten ostateczny moment. Rak poczuł mrowienie w dole pleców, dmuchnął dymem i był już pewien, że najgorsze dopiero nadejdzie.

– No, co jest? Przecież widzę, że coś z tobą nie halo – złagodził ton, żeby przyspieszyć to, co nieuchronne.

Otworzyła usta jakby chciała się odezwać, ale ostatecznie zrezygnowała. Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki i podała mu złożoną kartkę. W tej samej chwili Rak otrzymał SMS od Benera: „Gdzie polazł? Foty rób!”. Zignorował informację i rozłożył wydruk.

Chrząknął.

Poczuł, jak cierpnie mu skóra na karku. Spojrzał na Anetę, a potem przeleciał treść jeszcze dwa razy. Przełknął ślinę i przeczytał ponownie. Wciąż nie mógł oderwać wzroku od kartki.

– To twoja robota? – Aneta wysunęła dolną szczękę.

– Zwariowałaś? – Nie wierzył, że mogła oskarżyć go o coś takiego.

– Kurwa, przyznaj się! Powiedz, że to głupi żart, że chciałeś się odegrać i miejmy to za sobą! – Rzuciła peta na spękany asfalt i zdeptała go.

Rak pokręcił głową. Kulas zaczynał mu drętwieć, komórka wibrowała w kieszeni, papieros nagle przestał mu smakować.

Aneta podniosła ręce w geście poddania.

– Okej, nastraszyłeś mnie, zrozumiałam wszystko. Moja wina. Moja wielka, kurwa, wina! Więc nie ciągnij tego dłużej – wycedziła. – Po prostu to powiedz!

Rak prychnął i pokręcił z niedowierzaniem głową. Omiótł wzrokiem wysoki, stary budynek z czerwonej cegły, błękitne niebo i gęste kłęby chmur nad nimi. Popieprzyło się babie we łbie. Za kogo ona go ma? Tak, nie ułożyło im się, chociaż próbowali. Faktycznie, on może trochę mniej, dlatego winę z pokorą wziął na siebie, ale na Boga, o tym nigdy by nie pomyślał! Nie wymyśliłby tego nawet po pijaku! A nawet gdyby, to nie pogrywałby w ten sposób. Nie zrobiłby takiego numeru dziewczynie, którą niedawno kochał. Czy ona naprawdę wierzy, że po tym, co ich łączyło, byłby zdolny do takiej podłości? Kim trzeba być, żeby to zrobić?

Bardziej jednak raniło go inne pytanie: kim trzeba być, żeby tak o nim pomyśleć?

Rzucił papieros, oddał jej kartkę i ruszył, kuśtykając, w kierunku

drzwi do budynku. Kulas stał się cięższy i dłuższy, Rak szurał podszwą po asfalcie. Kiedy szarpnął klamkę, odwrócił się.

– Pomyłka – warknął.

– Żartujesz? Nikt inny nie mógł o tym wiedzieć! Więc, jak do cholery...

– Nasz związek to była pomyłka.

*

Rak przekręcił klucz w drzwiach, z których obłaziła brązowa farba, odsłaniając poprzedni podkład jaskrawej emalii. Skrzypnęły, gdy je popchnął, a potem zatrzymały się na zdartym do żywego parkiecie. Jeszcze trochę i w ogóle ich nie otworzy.

Odłożył plecak na niską szafkę przy lustrze i zajrzał do sypialni. Od wielu dni czuł się tak, jakby miał *déjà vu*. Magda siedziała przy biurku z jedną stopą opartą na siedzisku, brodę podpierała kolanem. Gdy go dostrzegła, zamknęła laptop i uśmiechnęła się.

– Co tak szybko? – spytała.

– Znalazłaś coś? – ściągnął buty i postawił obok jej czerwonych balerinek.

– Wysłałam kilkanaście CV, wynotowałam też kilka kolejnych firm, które powinnam odwiedzić. Najlepiej w przyszłym tygodniu – przeszła do kuchni. – Niestety, większość z Bydgoszczy, tylko dwie z Torunia i jedna z Grudziądza.

Usłyszał, jak odkręciła wodę i podpaliła gaz na kuchence.

Od pięciu miesięcy nie mogła znaleźć pracy. Zaliczyła kilka staży i jakąś robotę na zastępstwie w MPO, ale nigdzie nie udało się zarzucić kotwicy na dłużej. Rakowi też niezbyt się układało. Bener, który prowadził bezpłatny tygodnik, miał sporo trudności. Poprzednią wypłatę dał z opóźnieniem, teraz płacił tygodniówki. Rak nie miał do niego żalu, ale brak kasy zwyczajnie zaczął im doskwierać. Poza tym, w kwietniu, miesiącu bez „r”, nie za bardzo mógł liczyć na łatwe, kościelne fuchy. A potem będzie maj, w którym tej pieprzonej litery też nie ma. Czasami znajomi z Urzędu Marszałkowskiego wrzucili mu jakąś lewiznę, ale i tak płacili dopiero po miesiącu, oglądając złotówkę z każdej strony. Wisiał już kasę za wodę, od blisko miesiąca nie płacił za telefony.

Przejrzał koperty leżące przy lustrze i odłożył pismo z elektrowni,

nawet go nie otwierając. Dość stresów jak na jeden dzień.

Poszedł do pokoju, uruchomił laptop i włączył stary telewizor. Najpierw nijaki prezenter nadawał coś o Smoleńsku, a chwilę później znany psycholog mądrzył się o słynnym na całą Polskę uścisku rąk prezydenta i prezesa PiS i o tym, kto jest kapitanem okrętu o nazwie Polska.

Magda przyniosła dwie kawy i usiadła naprzeciwko niego na sofie przykrytej wyblakłym kocem. Położyli go tam, bo z przetartego materiału wyłaziła brudna gąbka.

– Czemu nic nie mówisz? Stało się coś? – zagadnęła.

Rak sięgnął po papierosa i przysunął sobie popielniczkę. Zapalił, odchylił się na oparcie szerokiego fotela. Wciąż miał przed oczami tę kartkę i czuł, że powinien już teraz o wszystkim powiedzieć Magdzie. Bo wkrótce sama się dowie.

– Widziałem się z Anetą – zaczął delikatnie, by wysondować jej nastrój.

Magda odwróciła wzrok. Spoglądała przez brudne szyby na szarą elewację sąsiedniej starej kamienicy. Nie, to nie był ten moment, pomyślał.

– Powiedziałeś jej?

Rak zaprzeczył i strzepnął popiół.

– Źle wygląda. Schudła, zmizerniała.

– Nam też nie jest łatwo, ale musimy sobie radzić.

Skinał głową.

– Rozmawiałaś z nią?

– Tak, kiedyś. Minęłyśmy się gdzieś w przelocie.

– I... – zachęcił, by pociągnęła temat.

– W kółko gadała o pracy. Chyba po to, by nie dopuścić mnie do głosu. Twierdziła, że siedzi nad jakimś grubszym tematem.

Rak wiedział, o co chodzi. Fotoreporter z „Nowości” nie wyrabiał się z robotą i poprosił go, by zrobił z ukrycia zdjęcia młodemu toruńskiemu ginekologowi. Kolega sądził, że Rak wciąż jest z Anetą, więc chętnie pomoże. Nie byli już parą, ale nie dementował tego, po prostu pomógł. Musiał wtedy włączyć w krzaki i długo czekać na konowała. Ale udało się.

– Wszyscy teraz pieprzą o tej aborcji – Magda uniosła brodę w stronę telewizora.

Rak przeczytał na żółtym pasku informacyjnym coś o wspólnym liście byłych pierwszych dam do obecnej, żeby zabrała głos w tej

kontrowersyjnej sprawie.

– Nic dziwnego, że siostrunia też wzięła to na tapetę. Jeszcze chwila i będzie nosić sztandary na manifach: „Ręce precz od macicy”, „Moja wagina, moja sprawa” – skandowała.

– Moja macica. O macicę chodziło! – Rak zaśmiał się i dodał: – Oj, nie ma między wami chemii, dziewczyny.

– Nie mówmy już o niej – Magda zbliżyła się i usiadła na nim okrakiem.

– To twoja siostra – rzekł, gdy ich czoła się zetknęły.

Jej loki zaczęły łaskotać go w twarz. Odłożył papierosa i chwycił ją w talii. Na krótko wsunęła język w jego usta, potem uśmiechnęła się.

– A to moja wagina – rozpięła spodnie. – Moja wagina, twoja sprawa.

*

Kiedy Magda z resztą pieniędzy poszła po zakupy, Rak założył polar i wyszedł na obsrany przez gołębie balkon. Czuł jeszcze jej smak i zapach, i było mu z tym przyjemnie, ale nałóg okazał się silniejszy. Wypalił dwa papierosy i błądził wzrokiem po wewnętrznym podwórku. Otaczające go wiekowe kamienice toruńskiej starówki zrzucały tynk, odsłonięte cegły były brudne od sadzy, a okna pełne zacieków i łuszczącej się farby. Ktoś suszył gacie na prętach zaczepionych o parapet, rudy spasiony kocur lizał tyłek w pobliżu wielkiego zielonego kubła na śmieci, znad którego dochodziło brzęczenie much. Z kuchni baru sushi na parterze niemiłosiernie waliło rybą. Do widoków zdążył przywyknąć, do smrodu jeszcze nie.

Rak wrzucił kolejnego peta do wypełnionego piaskiem słoika, a potem przytrzymał się balustrady, zebrał ślinę i splunął. Kiedy z głośnym plaskiem opadła na splekaną, betonową nawierzchnię podwórka, kot spojrzał na niego, po czym przemaszerował w kierunku bramy wjazdowej.

Nie opuszczał go obraz tego, co pokazała mu dziś Aneta. Treść nie dawała o sobie zapomnieć. Poczuł dreszcze, gdy przypomniał sobie moment, w którym zerknął na kartkę.

„Toruń miastem porno! Zobacz, jak pieprzą się w mediach”.

To hasło widniało nad sporym kadrem przedstawiającym Raka i Anetę w jednoznacznej pozie, jakby żywcem wyjętym z pierwszego lepszego pornoportalu. Pod nim biły po oczach kolejne słowa wraz

z linkiem do ściągnięcia filmiku z wetransfer.com.

„VOD masz gratis :-) ale musisz zapłacić, jeśli nie chcesz, żeby te treści obejrżeli inni. Czekaj. Odezwę się”.

Nie było mowy o fotomontażu. Doskonale pamiętał tę sytuację. Kilka miesięcy temu, po jakiejś imprezie na starówce, lekko wstawieni zrobili sobie filmową pamiątkę. Rak był wtedy w trakcie zmiany mieszkania, sypiał kątem u znajomych, a Aneta razem z Magdą wynajmowały kawalerkę na Mokrym. Wpadli do jej redakcji na Podmurnej, wdrapali się na poddasze i na złączonych biurkach kolegów zrobili, co mieli zrobić. Nie za bardzo im szło, bo tym razem konar nie zapłonął pełnym ogniem.

Rankiem umówili się na kawę w McDonald's, usiedli na piętrze w kącie i odtworzyli film. Okazało się, że zamiast rasowego porno wyreżyserowali komedię. Gdy nie mieli już siły się śmiać, Aneta poprosiła go, by skasował plik. Zrobił to natychmiast i bez wahania. Nie miał zresztą szczególnego powodu do dumy. Jednak wszystkie pliki i zdjęcia z komórki automatycznie kopiowały się do chmury na Gmail. Ustawił tę funkcję w telefonie, kiedy założyli z Anetą wspólne konto mailowe w tym serwisie. I całkiem o tym zapomniał. Ustalili, że oboje będą mieli dostęp do wszystkich usług, więc logowali się na jedno i to samo hasło. Korzystali z konta pocztowego najczęściej przy zakupach w sklepach internetowych. Dzięki temu unikali zapychania prywatnych adresów całą toną śmieciowych newsletterów i spamu.

Nie było wątpliwości, że ktoś włamał się na ich konto i przeczesał zawartość. Rak nie chciał nawet zastanawiać się, kto to zrobił, tylko co z tego wyniknie. Stres już dawał mu o sobie znać, bo jeśli filmik faktycznie będzie ogólnodostępny, to pozostanie w sieci dłużej niż mógł to sobie wyobrazić. Natychmiast wykasował go z chmury razem z pozostałymi „pamiątkami”. Oczywiście niczego to nie zmieniło, klip przecież został już skopiowany przez szantażystę.

Przypomniał sobie, że na kartce, którą pokazała mu Aneta, nie zauważył żadnych danych nadawcy, nie był to klasyczny wydruk z poczty elektronicznej, na którym pozostają adresy autora listu i odbiorcy, a także temat i czas wysłania. Nie wiedział zatem, czy Aneta dostała go pocztą, czy ktoś wsunął jej kartkę do torby, a może podrzucił w pracy. W pierwszej chwili pomyślał, że być może przyuważył ich któryś z dziennikarzy „Nowości” i teraz robi sobie jaja albo Aneta zapomniała się wylogować, gdy wstała od redakcyjnego kompa i poszła sobie zrobić kawę. Wtedy każdy z gazety mógł dostać

się do zgromadzonych na koncie danych. Wyjątkowo nie lubiły się z Justyną Molak, wywyższającą się pindą w miniówkach ledwie okrywających pośladki. Był ciekaw, czy Aneta wzięła ją pod uwagę. Musiał z nią o tym porozmawiać. Chwycił za telefon, ale nie odbierała. Próbował jeszcze kilka razy, w końcu wysłał SMS: „Może to Molak?”

Patrzył długo w ekran, ale nie doczekał się odpowiedzi. Usunął wysłaną wiadomość z pamięci komórki. Nie chciał, żeby Magda przez przypadek znalazła w rejestrach cokolwiek, co miało związek z jej siostrą.

Nie warto kusić losu, kiedy jest tak dobrze.

*

Rankiem Raka obudziło parcie na pęcherz. Załatwił się i ubrał. Magda jeszcze spała, więc po cichu wyszedł z mieszkania. Ugasił pierwszy głód suchą bułką i kefirem kupionymi w delikatesach na Rynku Nowomiejskim.

Było chłodno, ale słońce dawało nadzieję na ciepłe popołudnie.

W telefonie nie znalazł żadnej informacji od Anety, tylko dwie od Benera. Naczelnny prosił o zrobienie fotek, które będą ilustrowały teksty do nowego wydania tygodnika.

Wsiadł w nowoczesny, żółto-niebieski tramwaj z bydgoskiej Pesy i pojechał na Rubinkowo, toruńskie blokowisko z wielkiej płyty. Po wypadku Rak przeznaczył kasę z ubezpieczenia na mieszkanie i obiecał sobie, że już nigdy nie wsiądzie za kółko. Przy Tesco spotkał się z miłośnikami toruńskich schronów i zmajstrował kilka dobrych ujęć w forcie ukrytym w lesie. Nasłuchał się przy okazji tyle o Festung Thorn i dziewiętnastowiecznym pierścieniu fortecznym, że z miejsca mógłby prowadzić wykłady.

Potem pojechał do salonu audi przy wylocie na Warszawę. Tym razem pracował za dwie stażystki z działu reklamy, które nie brały aparatu do rąk, bo długie tipsy uniemożliwiały im wciskanie migawki. Salon organizował „drzwi otwarte” i trzeba było natrudzić się, żeby wspólnie z ich najładniejszą pracownicą zachęcić mieszkańców do udziału w imprezie. Długo nie chciała się zgodzić na rozpięcie guzika białej bluzki, która ciasno opinała jej biust, ale Rak z aparatem w ręku miał spory dar przekonywania.

Kiedy wrócił do redakcji usytuowanej w wieżowcu na Rubinkowie,

zgrał zdjęcia, poobrabiał i wrzucił do odpowiedniego foldera, opisując każde z nich. Dodał też nazwiska osób znajdujących się na fotografiach. Wypił dużą kawę. Umył kubek i chciał wejść do pokoju Benera, ale w porę się zatrzymał. Usłyszał stłumiony szloch. Zamierzał odejść, gdy wypadła stamtąd zapłakana Baśka, studentka drugiego roku pedagogiki. Pracowała z nimi od roku. Minęła go jak powietrze, a Rak zwyczajnie zapomniał języka w gębie. Zauważył tylko, że przyciskała chusteczkę do nosa i zamiast wrócić do swojego biurka, wybiegła z redakcji.

Rak zerknął przez szeroko otwarte drzwi na naczelnego, a ten przywołał go gestem.

– Boże, coś ty zrobił tej biednej dziewczynie? – zażartował, kiedy uścisnął rękę Benera.

– Dzisiejsza młodzież, kurwa – naczelny nie był skory do żartów. – Dasz wiarę? Baśka śledziła swojego faceta, z którym w czerwcu ma wziąć ślub...

– Jak to śledziła?

– W komputerze jakoś, programem takim.

– No i?

– No i wyszło, że narzeczony często umawia się na ciurlanie ze swoją byłą. Złapała ich na gorącym uczynku.

– I przyszła ci się zwierzyć?

– Przyszła po urlop, ale że robimy bokami, to nie chciałem teraz stracić kolejnych rąk do pracy. Mamy na głowie ten dodatek motoryzacyjny. Potem jakoś samo tak wyszło, rozkleiła się i wiesz...

Bener spojrzał na Raka i zmarszczył się. Chciał coś jeszcze dodać, ale jakby się wahał. Wreszcie nie wytrzymał.

– Żal mi jej, cholera! Ale wy, młodzi, macie sraczkę w głowie – zaczął.

– Dlatego zawsze kłaniam się jak wchodzę do kibla – Rak próbował obrócić sprawę w żart.

– Nie śmieć się, prawda powinna boleć. Urodziliście się z tymi smartfonami w dupach, chodźcie z nimi do sracza i wifii na noc nie możecie wyłączyć, więc nie dziwota, że zwykłe uczucia zamieniliście na aplikacje. Siedzi jedno obok drugiego i smyra paluchem po ekranie. Nic się dla was nie liczy, kurwa, żadne wartości!

– Ho, ho, ho – Rak zarechotał. – Papo Smerfie, czy Papa nie przesadza?

– Tak, jasne! Obśmiej to. Tylko tyle potraficie. Ale zabrać wam te główniane urządzenia, to bładzicie jak dzieci we mgle. Zresztą z nimi

też wam nie po drodze. Jakieś śledzenia partnerów, jakieś pornopamiętki nagrywane z rąs, pornoselfie. Co to, kurwa, jest? Po co wam to? Za mało wrażeń? To idźcie sobie na bungee poskakać.

Rak zgasił uśmiech i bał się, że wytrzeszcz oczu zdradza go na całej linii.

– Aaaa! Zatkano kakao, co? – Bener parsknął. – Papa Smerf prawdę powiedział i wreszcie zabolalo, tak?

– Nie, no ty chyba już za siebie nie możesz! – fotoreporter warknął, ale jednocześnie poczuł, jak płoną mu policzki.

Miał ochotę rozpylić tu jakąś mgłę lub pociągnąć dźwignię ukrytej zapadni. Czy Bener wiedział o nagraniu z Anetą? Czy sprawa rozeszła się już po lokalnych mediach?

Milczeli przez chwilę. Naczelny zaczął skrobać paznokciem odprysk w blacie biurka.

– Dobra, nie było tematu – wziął głęboki oddech. – Ale jak widzę takie klimaty, to ręce opadają. Serio, żal mi was.

– Spoko. Jakoś sobie poradzimy, staruszk. – Rak poderwał się, chciał uciec stąd jak najprędzej.

– Poczekaj! – Bener odszukał w stercie papierów wymiętą kolorową kartkę z plamą po kawie. – Zrób mi jeszcze jedną fotę do wydania internetowego. Część zaległej kasy wyślę ci jutro, okej? Wytrzymasz jeszcze chwilę?

Podał mu ulotkę ze zdjęciami wycieczkowego statku, który cały sezon turystyczny przybija do nabrzeża przy bulwarze Filadelfijskim. Wpisał się już na stałe w toruńską panoramę, a biorąc pod uwagę wiek poczciwej Wandzi, bo takie imię widniało na banderze, kto wie, czy nie powinien znaleźć się na liście UNESCO.

– W Porcie Zimowym po osiemnastej będzie czekał na ciebie kapitan tej Czarnej Perły – naczelny postukał długopisem w reklamę.

– Jack Sparrow?

Kąciki ust Benera pierwszy raz podjechały do góry.

– Każdy ma takiego Sparrowa, na jakiego sobie zasłużył.

*

Rak próbował przyspieszyć kroku, idąc w stronę portu. Dyszał i sapał. Wychodziły lata bez ćwiczeń, palenie papierosów i sztywny kulas, którym zarzucał jak pirat drewnianą nogą. Gira drętwiała z każdym

korciem. Zerknął na zegarek. Było grubo po osiemnastej, jednak nie martwiło go, że Jack Sparrow go oleje, bo uprzedził kapitana, że wpadnie później. Chodziło o to, że słońce odpływało na zachód i ze zdjęć powyłażą czarne plamy. Miał przy sobie co prawda lampę błyskową, ale nie pamiętał, kiedy ostatni raz ładował akumulatorki, więc w odwodzie pozostanie mu zwiększenie ISO, co sprawi, że obraz straci na jakości i będzie miał widoczne szумы.

Wszystko przez to, że zasiedział się w redakcji. Potem kolejny raz chciał złapać Anetę, ale znowu skończyło się na próbach. Wysłał kolejnego SMS-a, a kiedy nie odpowiedziała, zalogował się do ich wspólnej skrzynki i zostawił mail w wiadomościach roboczych. Wcześniej też tak robili. Teraz mógł już tylko czekać. Jednocześnie próbował odsuwać od siebie myśl o najgorszym – momencie, kiedy któryś z kumpli zadzwoni albo wstawi info na Fejsie: „Nooo Stary, nieźle sobie podymałeś. Może wpadnę i zmajstrujemy trójkącik? Anetka będzie zadowolona”.

Dotarł do portu. Przekuśtykał przez plac między podłużnymi budynkami warsztatów do szerokiej, zarośniętej trawą pochylni, którą przecinały pordzewiałe szyny znikające w wodzie. Na szczycie stały na wspornikach dwie rozpadające się barki i dość nietypowy, białoniebieski statek Bolko z dwoma, przypominającymi zderzaki, pionowymi ramionami zamontowanymi na samym dziobie. Przy krawędzi betonowego nabrzeża zakreśliło mu się w głowie. Do wody miał dobre sześć-siedem metrów. Odsunął się na bezpieczną odległość i szedł dalej. Bez problemu odnalazł w dole pasażerską Wandę. Cumowała przy nabrzeżu, rufą do niego. Z daleka dostrzegł trzech facetów kręcących się przy wejściu do maszynowni statku.

– Dzień dobry! – krzyknął w ich stronę.

– O, w samą porę! Kolega zejdzie i się rozgości. Śmiało! Zaraz przyjdę – odezwał się siwobrody mężczyzna, najstarszy z całej trójki.

Rak nie był szczęśliwy. Zejście po starej drabinie na znajdujący się kilka metrów niżej pływający pomost nie będzie łatwe. Z jego sztywną nogą potrwa to wieki. Sapnął, założył plecak na oba ramiona i ruszył w dół. Odetchnął, kiedy pokonał ostatni szczebel.

W porcie stało sporo statków, barek i żaglówek. Część czekała na remont, część wyłącznie na lepszą pogodę. Przy przeciwległym brzegu dostrzegł komisariat policji wodnej i niebieskie motorówki.

Uderzyła go cisza i niebiański spokój tego miejsca. Gdzieś w pobliżu krzyczała mewa. Był to jedyny dźwięk w tej części miasta i gdyby tylko

zamknął oczy, poczułby się jak samotnik na nadmorskiej plaży.

Rozmasował zeszywniałe udo i przeszedł po kilkumetrowym trapie na pokład Wandy. Stał w rozsuniętych na boki wąskich drzwiach, a potem zszedł kilka stopni na dolny pokład, którego okna wystawały nieco powyżej lustra wody. W niskim pomieszczeniu po obu stronach znajdowały się stoliki z ławkami, a na tylnej ścianie duży fotos z komedii *Rejs*, której akcja rozpoczynała się właśnie w Toruniu. Kiedy wszedł głębiej, dostrzegł kolejne filmowe migawki zawieszane w ramach między oknami.

– A, tu się kolega zadekował! Jan Szulc, kapitan żeglugi śródlądowej.

Rak odwrócił się i uściśnął szorstką dłoń. Z miejsca wyczuł mdłą woń smarów.

– Jutro wypływamy, więc dziś robota wre, aż miło – dodał mężczyzna zacierając ręce. Miał na sobie czarny, rozpięty polar i ogrodniczki poznaczone ciemnymi smugami. – Kolega siada i wybacz, że nic nie proponuję, ale takie tu mamy teraz spartańskie warunki. Jakbyś jutro wpadł na bulwar, to rozlejemy trochę rumu! A mam taki rum, kolego, że mucha nie siada.

Rak podziękował i poprosił, by przeszli na wyższy otwarty pokład, bo tylko tam mogli złapać resztki słońca. Kapitan ochoczo przytaknął i ruszył pierwszy.

– Większość pana kolegów każe mi pozować przy kole sterowym – zaśmiał się, kiedy stanęli już pod gołym niebem przy rządach brązowych ławek.

– Właśnie o tym myślałem – stwierdził Rak i wtedy usłyszał swoją komórkę.

Zerknął na wyświetlacz. Aneta.

– To potrwa sekundę – przeprosił na chwilę Szulca i odszedł na rufę.

– Halo?

Usłyszał jedynie szmery.

– Halo? Słyszysz mnie?

– Jeśli to nie ty, to w takim razie kto? – spytała powoli. – Kto miał dostęp do tej skrzynki? Myślisz, że sama wywinęłabym sobie taki numer? Taki self żarcik?

Rak przewrócił oczami.

– Przecież pisałem. Może to Molak?

– A skąd! Jest za głupia i za bogata na szantaż.

– No to nie wiem, kto, ale na pewno nie ja – syknął.

– A tak cię prosiłam, byś usunął to gówna z pamięci.

– Usunąłem.

– Świetnie ci poszło!

Kiedyś podobał mu się jej sarkazm, ale obecnie tylko go drażnił. Przeklął w duchu. Ponieważ spieprzył prostą robotę, postanowił milczeć. Ciszę wypełniła Aneta. Zaczęła gadać jak najęta. Rak popatrzył tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał kapitan, ale zauważył tylko poruszające się drzwi wahadłowe. Szulc musiał przejść na przód statku, do kapitanówki.

– Są sprawy, o których nie wiesz... – Aneta nie zamierzała przestać.

Tembr głosu i sposób, w jaki to mówiła, przypominał kazanie zmanierowanego księdza. Odsunął na chwilę słuchawkę od ucha i zmienił pozycję. Mewa krzyczała nadal. Dostrzegł ją na burcie zdezelowanej, pustej barki. Potem skierował wzrok na spokojne wody portu i opustoszałą ulicę po drugiej stronie, dokąd docierały nieliczne zabudowania zabytkowego Bydgoskiego Przedmieścia. Przy drugiej portowej bramie, znajdującej się na wysokości pochylni, dostrzegł zaparkowanego białego jaguara i był pewien, że skądś zna ten samochód.

– ...czy ty mnie w ogóle słuchasz? – dotarł do niego głos Anety. Poczuł, że ktoś dotyka jego barku. Odwrócił się.

Szulc. Z ruchu jego warg odczytał dwa wyrazy: „dużo pracy”.

– Muszę kończyć. Oddzwonię. – Rak przerwał połączenie, wyciszył komórkę i przeprosił kapitana. Dopiero potem wskazał na biały wóz, chyba jaguar. – Ładna fura. Pana?

Siwobrody mężczyzna zaśmiał się głośno, odsłaniając braki w uzębieniu.

– A gdzież tam! To tego lekarza, co z nim rozmawiałem przed naszym spotkaniem, kolego. Coś mi tu bajerował o jakiejś konferencji ginekologów w maju. A ponieważ był w pobliżu, to chciał zobaczyć, czy Wanda nadaje się na wycieczkę dla gości. Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę i okazało się, że w 1962 roku jego ojciec był szefem Stoczni Wisła w Warszawie! Podobno osobiście nadzorował produkcję tej łajby! W sumie dwadzieścia jeden takich Wand wyprodukowali. Nieźle, co? – Szulc podrapał się po siwej brodzie, a potem dodał: – Gość miał ochotę przejść się po porcie, więc pewnie gdzieś tu jeszcze łązi.

Kapitan rozejrzał się. Rak zrobił to samo, ale nigdzie nie dostrzegł żywej duszy. Przypomniał sobie, że ten samochód znał ze zdjęć, które robił konowałowi z ukrycia.

– Dobra, bierzmy się do roboty, kolego – Szulc zatarł ręce i obaj

przeszli do kapitanówki.

Odprowadził ich kolejny krzyk.

– Mewa rzeczna – rzucił kapitan, kładąc palec na ustach. – Cudowny ptak.

*

Rak miał ochotę na piwo, ale za żadne skarby nie usiadłby w drewnianej budzie zwanej ogródkiem, w której czułby się jak manekin na wystawie. Potrzebował ciszy i spokoju. Minał swoją kamienicę przy Mostowej. Odnowiona elewacja frontowa mogła oszukać przechodnia, ale nie mieszkańca. Pomyślał o widoku z okna, smrodzie ryb i roju much i nie zdecydował się wstępować do mieszkania, żeby zostawić ciężki plecak z aparatem. Szedł więc dalej opadającą w dół wybrukowaną ulicą, skręcił w prawo w Ciasną, potem w lewo w Łazienną i dotarł do Kotwicy. Pub graniczył z zabytkowymi murami miejskimi, które izolowały go od ruchliwej ulicy ciągnącej się wzdłuż Wisły. Wciąż docierały do niego urywki rozmowy telefonicznej z Anetą. Wyrzuty, wyrzuty, wyrzuty. Non stop wyrzuty. Czuł się tak, jakby zrzuciła na niego nadbagaż negatywnych emocji.

W pubie kupił za piątaaka perłę z kija, pociągnął łyk. Zabrał kufel i usiadł na prostej ławce pod witrażem z czterema kotwicami. Wysunął kulasa przed siebie, by chociaż przez chwilę nie czuć denerwującego mrowienia.

Przez całe lata omijał Kotwicę i pewnie nigdy by tu nie zajrzał, gdyby nie Bener, dla którego był to lokal kultowy. Nie rozumiał, co tak fascynowało naczelnego w tej starej pijalni, bo chyba nie linoleum na podłodze i drewniane siedziska, od których po godzinie bolało dupsko. Kotwica najlepsze lata miała już chyba za sobą, ale było tu dość ciemno i pusto, a właśnie tego teraz potrzebował najbardziej.

Chwycił zimny, zroszony kufel, popił i odstawił z powrotem na kartonową podkładkę. Wyjął telefon, żeby sprawdzić wiadomości. Miał trzy nieodebrane połączenia od Anety, żadnego SMS-a. Nie miał siły, żeby z nią gadać, chociaż przecież obiecał, że oddzwoni. Postanowił najpierw zajrzeć do ich wspólnej skrzynki mailowej. Otworzył swoją wiadomość i zobaczył w niej nową treść zapisaną kursywą. Aneta prosiła o spotkanie. Że to niby ważne, że on nie wie wszystkiego, że muszą pogadać. W odpowiedzi dopisał do tej wiadomości jedno słowo:

„Jutro”. Już miał się wylogować, ale postanowił przejrzeć dostępną zawartość.

Przeanalizował pozostawione zdjęcia, w tym przedstawiające ginekologa. Widocznie Aneta przegrała je sobie do chmury. Przeczytał też to, co udało jej się zebrać na temat konowala, i zrozumiał, że sprawa, za którą się zabrała, łatwa nie jest. Chodziło o nielegalne aborcje, których lekarz dokonywał podobno nawet kilka miesięcznie. I pewnie robiłby je nadal, gdyby nie przytrafił mu się błąd. Rak niewiele rozumiał z bełkotu medycznego, ale podobno kobieta, która poddała się u niego zabiegowi, już nigdy nie urodzi dziecka. To właśnie ona nadała temat Anecie, a ta postanowiła zakasać rękawy. Rak prześledził też pozostałe maile i zobaczył, że jego była kontaktowała się niedawno z ginekologiem, podszywając pod kobietę w ciąży. Ten w odpowiedzi spuścił ją na drzewo. Potem próbowała jeszcze dwa razy. Skutek był taki sam plus ostrzeżenie i straszenie policją.

Rak przejrzał pozostałe foldery zdjęć, w tym kilka fotek, które robił Anecie tuż po tym, gdy zaczęli być razem. Podobała mu się. Może nie tak jak Magda, ale miała coś pociągającego w swoich smutnych piwnych oczach i prostych blond włosach do ramion, które okalały twarz, nadając jej owalny kształt.

Siostry różniły się urodą, ale też sposobem bycia i zachowaniem. Magda była niższa od Anety, drobniejsza, z łagodniejszymi, niemal dziewczęcymi rysami. Taki typ, że pewnie nawet za dziesięć lat będzie musiała okazywać dowód przy barze. Podkreślała cienką czarną kreską dolną powiekę i nigdy nie przesadzała z makijażem. To Aneta była mistrzynią make-upu. Długie minuty spędzała z lusterkim w ręku i kosmetykami, których Rak nie umiał nawet nazwać.

Magda też farbowała się na blond. Miała gęste, naturalnie kręcone loki, krócej ścięte. Odsłaniały smukłą szyję.

Uśmiechnął się do napływających wspomnień. To było tak niedawno, kiedy Magda odwiedziła go w mieszkaniu. Aneta wyjechała na weekendowe szkolenie do Warszawy. Nie redakcyjne, bo redakcje od lat nikogo już nie szkoliły. Sama sobie coś wyszukała w necie i opłaciła. Wzięła urlop. Rak nawet miał wybrać się razem z nią, ale trafiły mu się dwie kościelne fuchy.

Był kompletnie zaskoczony, gdy Magda stanęła w drzwiach. Najpierw pomyślał, że chciała zobaczyć się z siostrą, ale dostrzegł w jej uśmiechu i błysku w oku, że przyszła do niego. Już wcześniej, kiedy zostawali sami, ukradkiem puszczała do niego oko, niby przez

przypadek dotykała jego ręki, przysuwała się blisko, przechodząc obok, tylko po to, by poczuł zapach jej włosów. Tańczyła z nim na dyskotekach, kiedy Anetę bolały już nogi.

I wtedy zrobiła to samo. Przekroczyła próg i stanęła tak blisko, by zrozumiał. Rak zdążył zamknąć za nią drzwi. A potem wszystko potoczyło się tak nagle i impulsywnie, że otrząsnął się dopiero, kiedy leżeli obok siebie zupełnie nadzy.

Wtedy też dotarło do niego, że od czasu, kiedy pierwszy raz zobaczył Magdę, zaczął się oszukiwać. To z nią chciał być, to jej tak naprawdę pragnął. Dlatego, niby od niechcenia, zachęcał Anetę, żeby zabierała siostrę, kiedy planowali wypad do kina lub na imprezę, ale tak naprawdę to jemu bardziej na tym zależało.

– Jak jej powiemy? – spytał, po długiej rozmowie i po kolejnym rozładowaniu napięcia.

– Są sprawy, które potrafią same się rozwiązać – odparła. – Nie rób nic na siłę. Dajmy sobie czas. Wszyscy.

Rak uśmiechnął się, gapiąc się w sufit. Wreszcie trafił na swoją drugą połowę. Taką na wieki. Czuł to całym ciałem, nawet tym drętwym kulasem.

Musiał tylko rozstać się z jej siostrą.

*

Barmanka przetarła blat stołu i sięgnęła po kufel, w którym pozostał ostatni łyk. Dał jej znak, by zaczekała, dopił resztkę, zamówił kolejne. I znowu dał się ponieść fali wspomnień. Tym razem gorszych. Alkohol obudził w nim poczucie winy. Fakt, był pieprzonym zdrajcą. Do tego tchórzem. Nieraz się o tym przekonał. Nawet jeśli zakończył związek z Anetą i chciał być z Magdą, to czuł, że powinien tej pierwszej o tym powiedzieć. Ale Magda prosiła o czas. Kto wie, może i słusznie.

Czas leczy rany.

To się tylko tak mówi.

– Dlaczego? – spytała Aneta, gdy powiedział jej, że to koniec.

Znał odpowiedź na to pytanie, a jednak nie odważył się odezwać. Był przecież z jej siostrą i wiedział, że ta informacja ją zabije, dlatego milczał. Ponadto z Magdą było mu o niebo lepiej. Z Anetą – dobrze, poprawnie, ale, do cholery, tak to można gadać o kontaktach z sąsiadami, a nie z kobietą, z którą miałby spędzić resztę życia. On

chciał fruwać, latać szybowcem pod dachem chmur, a nie orać ciągnikiem ugory.

Pokręcił tylko głową i dalej milczał.

Nie tak to sobie wyobrażał, nie tak planował to rozstanie. Ale, jak to w życiu, nie zaplanujesz takiej chwili. Wtedy wszystko idzie nie tak. Aneta zamykała wydanie gazety. Byli sami w redakcji. Poprosiła, żeby wpadł do niej, bo miała mu coś ważnego do powiedzenia. Nie odnalazł radości w jej głosie. Mówiła, że podjęła ważną decyzję, ale nie dokończyła myśli. Sądził, że to ona chce z nim zerwać. Mylił się jednak.

– Dlaczego teraz? – spytała ponownie już ze łzami w oczach.

– Lepiej teraz niż później, kiedy w pełni się zaangażujemy – skłamał.

– Zaangażowałam się...

– No tak, ale... – próbował jej przerwać.

– Nawet nie wiesz jak! – krzyknęła i ten wrzask zawisł między nimi.

Rak chrząknął, zbierając w sobie słowa pocieszenia.

– Tak będzie lepiej, uwierz.

– Idź już.

Czuł się jak skarcone dziecko, które zepsuło coś, czego nie da się naprawić. Nie do końca to rozumiał, ale już wtedy wiedział, że odczuje jeszcze skutki zła, które wyrządził. Nie umiał tego inaczej nazwać, chodziło tylko o przecucie, a jednak tkwiło w nim fizycznie, pod skórą. I był pewien, że uderzy z całą mocą, kiedy Aneta pozna prawdziwe powody ich rozstania.

– Wynoś się – usłyszał.

Nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy.

Przewiesił plecak przez ramię i dokuśtykał do szczytu schodów. Chciał jeszcze się odezwać, pocieszyć ją, otworzył nawet usta, ale ostatecznie uznał, że tylko pogorszy sprawę. Teraz trzeba czasu, przypomniał sobie słowa Magdy, zszedł więc schodami prosto do wyjścia.

I nie widział później Anety chyba przez dwa tygodnie. Do czasu konferencji prasowej i całej tej pieprzonej afery z filmikiem i szantażem.

*

Następnego dnia, późnym popołudniem, Rak umówił się z Anetą.

Zrobił to w tajemnicy przed Magdą, co nie podobało mu się, ale na razie tak musiało być. Później coś wymyśli. Czuł jakąś wewnętrzną potrzebę naprawienia krzywdy, którą wyrządził.

W międzyczasie zadzwonił do Magdy. Nie była w dobrym nastroju. Nie wnikał, w końcu poszukiwanie roboty może wykończyć każdego. Rak też coś o tym wiedział i obawiał się, że wkrótce sam będzie do tego zmuszony, jeśli tygodnik Benera nie złapie wiatru w żagle.

Wszedł do Maca, zamówił dwie kawy, a kiedy przykładał kartę do terminala, modlił się o środki na koncie. Piknęło, kasa poszła. Odetchnął.

W lokalu było pusto. Rak dostrzegł skuloną, zziębniętą Anetę, która zatrzymała się przed witryną i szukała go wewnątrz. Pomachał do niej. Kiedy weszła, zadzwonił jej telefon.

– Halo? – odezwała się do słuchawki siadając przy stoliku. – Tak, oczywiście poznaję... Nie rozumiem... Pan żartuje, tak? Proszę pana, chyba nie chce pan powiedzieć, że...

Wyraz jej twarzy się zmienił. Przygryzała zapadłe policzki, wzrok miała rozbiegany, zaciskała i rozluźniała wolną dłoń, którą po chwili podrapała się po szyi. Rak próbował wyłowić coś z głośnika jej telefonu, ale docierał do niego jedynie bełkot. Aneta sapnęła, jakby próbowała dać upust rosnącemu napięciu.

– Ależ skąd! Oczywiście, że nie. Nie, może być pan pewien... Tak, do cholery!... Na pewno nie.... Wie pan, to nie jest rozmowa na telefon... Dobrze... Tak, pasuje... Przyjdę na pewno.

Rozłączyła się.

– Co się stało? – Rak był zdezorientowany. – Pobladłaś.

– Nieważne.

– Ważne, mów, o co chodzi?

– Kolejne kłopoty – wbiła wzrok w podłogę.

– Mogę ci jakoś pomóc? – podsunął jej kawę pod nos.

– Wyłącz kamerę.

– Co? – zdębiał.

– Gówno. Po prostu czuję się tak, jakby mnie ktoś stale obserwował, znał każdy mój krok – schowała głowę w ramiona i znowu spuściła wzrok. Wyglądała jak zdjęta z krzyża. Nieobecna.

Przez chwilę milczeli.

– Wczoraj przez telefon powiedziałaś, że o czymś nie wiem – odezwał się w końcu.

Aneta nie odpowiedziała. Popatrzył na nią, a kiedy ich wzrok się

spotkał, powtórzył pytanie.

– Co? – skrzywiła się.

– Mówiłaś, że jest coś, o czym powinienem wiedzieć.

Niespiesznie wstała, sięgnęła po torebkę.

– O czym nie wiesz – poprawiła go.

– No właśnie. Jakoś tak.

– Ale to już nie ma znaczenia – odwróciła się i wyszła.

Nawet nie wzięła kawy.

*

Rak zbierał się do wyjścia, kiedy w drzwiach pojawiła się Justyna Molak, koleżanka Anety z redakcji. Zaczął grzebać w plecaku, chciał udać, że jej nie widzi, ale było za późno. Justyna zbliżyła się do jego stolika. Tym razem nieodłącznym czerwonym elementem jej stroju, bo właśnie ten kolor umiłowała nad życie, okazały się wysokie, błyszczące szpilki ubrane do obcisłych dżinsów. Rozpięła płaszcz sięgający ud i uśmiechnęła się.

– Hej, Raku! Mogę?

– No – odparł, starając się, by zabrzmiało to jak odmowa.

Powiesiła okrycie na sąsiednim krześle, odstawiła papierowe torebki, a potem usiadła naprzeciw niego.

– Urlop mi się kończy, więc wyskoczyłam sobie na mały shopping. Patrę, a tu mi Anetka mignęła. Ale coś źle wygląda biedaczka – zaczęła paplać i żywo gestykulować. – Smutna taka, zmarkotniała trochę, co nie?

– Nie sil się – odparł.

– To chyba przez ciebie taka markotna?

Rak spróbował zabić ją wzrokiem. Problem polegał na tym, że na Molak nic nie działało. Aneta mówiła, że dziewczyna jest „kuloodporna”. Według Raka była po prostu głupia. Ładna i głupia. Taka, którą z kumplami określali dupą na raz. I nie daj Bóg więcej, nawet gdyby sama chciała. A i ten raz był dla Raka dyskusyjny.

– Daj spokój – sięgnął po drugą kawę i podniósł się do wyjścia.

Badył, który miał zamiast nogi, mrowił od biodra do pięty. Powinien się przejść albo porządnie go rozmasować. Z dwojga złego pomyślał o spacerze.

– Już idziesz? – spytała głosem słodkiej idiotki.

Zawahał się i z powrotem usiadł, bo coś mu się przypomniało. Nie dalej jak miesiąc temu, zajrzał do redakcji „Nowości”. Aneta podobno wyszła na jakąś konferencję, a przy komputerze Anety siedziała Molak. Natomiast przy jej biurku w klawiaturę klepał stażysta. Dlaczego wcześniej sobie o tym nie przypomniał?

– Jak często korzystasz z kompa Anety? – Rak zrugął się w duchu, że spalił temat, grając w otwarte karty.

– Czasami. Właściwie to siadamy przy tym, który jest wolny, a co?

– Pieprzysz! Przecież każdy ma swoje biurko.

– Ale ostatnio przyjęli kilku stażystów i te biedne robaczki nie mają się gdzie podziać, więc jak muszą coś na szybko naskrobać, no to trzeba ich wpuścić, co nie?

– I ty, zamiast znaleźć im wolny komputer, oddajesz im swoją klawiaturę, a sama przesiadasz się na wolne miejsca innych dziennikarzy?

Molak zamrugła powiekami. Wyglądała na zaskoczoną, zupełnie jakby zapytał ją o rozmiar biustu.

– Przecież to normalka – zachnęła się.

Bzdura. Rak wyczuwał to w każdej odrętwiałej komórce kulasa.

– Miałeś już iść, co nie? – nie zaszczyciła go spojrzeniem.

– Szperasz w jej komputerze, grzebiesz w jej osobistych plikach.

– Nie szperam! Mogła się chociaż debilka wylogować z programu – wbiła wzrok w stół, a koniuszkiem języka dotknęła górnej wargi.

– Więc to twoja robota? – Rak poczuł jak krew zaczyna mu buzować. Przetarł ręką twarz, ale to nic nie dało. Czuł, że fala gniewu wzbierała w nim gwałtownie.

– Oj, Raku, Raku, ty świntuszk... Przy mnie na pewno nie miałbyś takich problemów – mrugnęła. – Jeśli wiesz, co mam na myśli...

Musiał się uspokoić, zwalczyć ten pulsujący w głowie gniew.

– Odjechało ci? Szantażu ci się zachciewa? Wiesz, co za to grozi, idiotko?

Zgasił jej uśmiech. Justyna przyłożyła dłoń do dekoltu i zrobiła duże oczy.

– Ale ja nic takiego nie zrobiłam! O czym ty mówisz?

– Odwołaj to. Zadzwoń do Anety i wszystko odwołaj. Masz czas do rana. Potem zgłosimy to na policję – trzasnął otwartą dłońią w blat. – *Game over*, kurwa. Jasne?

*

Zostawił Molak z rozdziawioną gębą i wyszedł. Nie wiedział tylko, na kogo bardziej był zły. Na nią czy na Anetę, która przez głupią nieuwagę zostawiła komputer z otwartym programem. A może na siebie, bo zapomniał o automatycznym kopiowaniu plików do chmury?

Kuśtykał przez starówkę, prosto przed siebie, bez żadnego celu. Chciał poczekać, aż przejdzie mu złość. Takie szwendanie się dobrze mu robi, był tego pewien.

Przy zachodzącym słońcu bruk na Rynku Staromiejskim połyskiwał ciepłym brązem. Sięgnął po aparat, by przez chwilę nie myśleć o głupocie tej dziewczuchy. Zrobił kilka zdjęć pod słońce, z zabiej perspektywy. Lubił ten efekt ciemnych postaci na pierwszym planie i wyraźnych konturów architektury na tle jasnego nieba. W gazecie takie zdjęcia zawsze wychodziły źle, bo offsetowy druk się do tego zupełnie nie nadawał, ale do sieci pasowały znakomicie. Włączył podgląd na aparacie i przejrzał efekt. Byłoby całkiem miło, gdyby nie budy. Budy, te pieprzone drewniane konstrukcje z naciągniętą folią, zadaszone wiaty, zwane ogródkami, rozsiane po całym rynku i odchodzących od niego uliczkach. Były też budy gorsze, bo mniejsze, w postaci kiosków, obwieszonych tandetnymi łukami, mieczami i krzyżackimi tarczami, a także wszelkim innym jarmarcznym gównem, którymi później obwieszone były szkolne wycieczki paradyjące po Toruniu.

Rak zrobił jeszcze kilka fotek pomnikowi Kopernika, w którego astrolabium małe ptaszki uwiły gniazdo. Potem ruszył Żeglarską w stronę Wisły. Chciał jeszcze uchwycić stary most drogowy przy zachodzie słońca. Dotarł na bulwar i zobaczył, że do brzegu przybija Wanda. Kiedy wysiedli z niej turyści, wszedł na trap.

– O! Kogo my tu mamy?! – kapitan Szulc potrząsnął jego ręką i zaprosił na obiecany kieliszeczek. – Po robocie kropelka rumu się należy, kolego.

Rak rozsiadł się na górnym pokładzie, tyłem do słońca, ale nie schował aparatu. Nacisnął migawkę, tym razem kierując obiektyw na betonowe nabrzeże bulwaru i spacerowiczów.

Szulc pojawił się z termosem i blaszanymi kubkami. Usiadł obok, rozlał, a potem popatrzył na Raka.

Kapitan zaczął opowiadać o swoim statku. Na początku Rak nawet go słuchał, ale potem już tylko zmuszał się do udawania. Obawiał się,

że Szulc to wyczuje i miał nawet do siebie żal, ale zbyt dużo się wydarzyło, by nie wracał pamięcią do rozmowy z Anetą.

„Są sprawy, o których nie wiesz”.

„Teraz to już nie ma znaczenia”.

I z Justyną Molak.

„Przy mnie na pewno nie miałbyś takich problemów”.

– Kobieta? – Szulc wyrwał go z zamyślenia.

Rak chciał powiedzieć, że licząc z Molak, dokładnie trzy, ale nie czuł się na siłach, by cokolwiek wyjaśniać. Potwierdził jedynie skinieniem. Posmakował rumu i poczuł, jak trunek przyjemnie rozgrzewa mu przetyk.

Kapitan spojrzął przed siebie na most kolejowy, po którym z łoskotem toczył się pociąg. Ciemne wody Wisły znikwały im za plecami.

– Dwa raz byłem żonaty, mam dwie dorosłe córki i trzy wnuczki. I wiesz co, kolego? Wciąż nie rozumiem bab, za cholerę – rozlał nową porcję rumu. – Ale sam mogę mieć do siebie pretensje, bo nie wiem, czy kiedykolwiek chciałem je zrozumieć.

Rak poczęstował go papierosem i podał ogień. Sam też zapalił.

– Dlaczego? – spytał Szulca, który zaciągnął się i długo wstrzymywał dym w płucach.

– Bo myślałem tylko o sobie? Bo moja łajba zawsze była ważniejsza? Bo żona powinna pracować, zmywać i gotować?

Rak potaknął, strzepnął popiół za burtę.

– Dwa lata temu pojechałem do wnuczki, do Niemiec – kapitan założył nogę na nogę. – Usiadła sobie na kanapie i mówi: „Dziadek, narysuj mój portret”. Wiedziała, że jak coś narysuję, to mucha nie siada. Z przyjemnością złapałem za ołówek, no bo czego się nie robi dla kochanej wnusi, tak? – Szulc zaśmiał się. – I kiedy obejrzała ten rysunek, to poprosiła o kolejny, ale tym razem miało być coś z Torunia. Pomyślałem, a co to za problem? Przybijam tu Wandzią od tylu lat, to mówię, narysuję jej fragment panoramy miasta, bo to takie ładne jest. A ponieważ cumujemy w tym samym miejscu, wybrałem Bramę Klasztorną.

Kapitan wskazał na zabytkową, wysoką basztę w murach obronnych miasta, tę najbliższą mostu drogowego, jeśli nie liczyć Krzywej Wieży, która z tej perspektywy ukryta była za zabytkową bryłą szkoły morskiej, obecnie hotelu Bulwar. Potem sięgnął po rum, żeby rozlać następną kolejkę.

– I? – Rak zachęcił Szulca, żeby dopłynął do brzegu z tą opowieścią. Sam zapiął bluzę, bo robiło się zimno.

– Nie umiałem.

Był przekonany, że facet wciska mu kit.

– Bez jaj.

– No serio, mówię ci, kolego. Zwyczajnie nie narysowałem. Nie pamiętałem, ile ma okien, jaki ma dach, nie kojarzyłem nawet dobrze bryły! No nic, mówię ci, *tabula rasa!* A przecież codziennie ją widzę, tak?

Kapitan zamilkł. Rak wypił swoją porcję i podziękował za kolejną. Po pierwsze lekko zaszumiało mu w głowie, po drugie powiewy znad Wisły smagały chłodem. Wstał, pożegnał się z Szulcem i przeszedł na ląd. Słońce dawno już zaszło, niebo zrobiło się granatowe, a na murach kładły się pomarańczowe owale lamp iluminacyjnych. Nie zrozumiał, co kapitan miał na myśli, obdarowując go rysunkową przypowieścią.

– Zawsze łatwiej dostrzec horyzont niż to, co mamy w kieszeni – usłyszał, gdy zaczął wspinać się po wysokich, betonowych schodach bulwaru. – Ale ważne jest tylko to, co w niej trzymasz, kolego.

Siwobrody kapitan zasalutował mu po amerykańsku i z łoskotem zasunął drzwi.

*

Wrócił do domu i zajrzał do ciemnej sypialni. Magda spała na boku, lekko odkryta, kołdra odsłaniała część jej biodra. Położył się za nią, pocałował w szyję, a potem wsunął dłoń pod jej krótką nocną koszulkę. Mruknęła. Poczował ciepło jej ciała, idealnie gładką i jędrną skórę, wreszcie odrobinę niżej delikatną wilgoć. Przebudziła się i odciągnęła jego rękę.

– Nie dziś – rzuciła zaspana i szczelniej okryła się kołdrą.

Rak przekręcił się na plecy, chciał poczekać aż minie podniecenie. Miał na nią cholerną ochotę, ale wiedział już, że trafił na zły moment i nic z tego nie będzie. Gdy Magda zapadła w głębszy sen, mógł się wreszcie ruszyć. Poszedł się odlać, ale kiedy podniósł deskę sedesową, ta zsunęła się z hukiem na podłogę. Tydzień temu pękły mocowania i Magda prosiła, by ją wymienił, ale nie chciał wydawać teraz kasy na takie pierdoły. Kiedy skończył, położył deskę z powrotem na muszli i wyszedł z łazienki. Chociaż była późna noc, czuł ssanie w żołądku.

Odgrzał sobie pomidorową, łyknął proszki z magnezem na drętwienie nogi, potem wziął szybki prysznic i zasiadł przed laptopem. Nastawił cicho telewizor. W programach informacyjnych obok relacji z mszy z okazji 1050-lecia chrztu Polski trwała jeszcze awantura o biskupa Paetza, znanego z zamiłowania do młodych kleryków, mimo że jego zapał do uczestnictwa w uroczystościach ostudził sam papież. Od kilku dni afera gonila aferę. Media oczywiście wiele z nich wyolbrzymiały tylko po to, by każdy, kto miał kamyk w dłoni, mógł zrobić z niego użytek.

Aferlandia, normalnie. Wszędzie tylko kłótnie, walki, spiski, trybunały, aborcje i pancerne brzozy. W lokalnych gazetach było to samo, tylko w skali mikro. Toruńskie dzienniki rozpisywały się o społecznym linczu na urzędnikach za planowany przebieg linii tramwajowej na Rubinkowie.

Naraz do niego dotarło. Wreszcie, mimo resztek rumu krążącego w żyłach, coś zrozumiał. Coś, co go natychmiast otrzeźwiło.

Przypomniał sobie kartkę, którą pokazała mu Aneta i gapił się jednocześnie w otwarty laptop. W myślach przyglądał się napisowi: „VOD masz gratis :-) ale musisz zapłacić, jeśli nie chcesz, żeby te treści obejrzel inni”.

Cały czas był przekonany, że ta notka była skierowana do nich. Do Anety i do niego. Tymczasem nadawca nie używał liczby mnogiej, a Rak takiej kartki do tej pory nie otrzymał.

Nikt go nie szantażował.

Gorzej.

Być może w ogóle nie było żadnej afery.

*

Wcześniej rano Rak zameldował się w pustej redakcji. Zjadł śniadanie i wypił kawę, odsłonił żaluzje i wpuścił trochę świeżego powietrza do zatęchłych wnętrz. Sporo czasu poświęcił na „podciągnięcie” zdjęć w Photoshopie, głównie tych, które wczoraj robił pod światło. Potem przejrzał Internet. Chciał mieć odrobinę spokoju. Odwiedzał po kolei witryny konkurencyjnych gazet. Kiedy stworzył stronę „Nowości”, zbladł.

Sięgnął po telefon i wybrał jej numer. Oczywiście, był przekonany, że nie odbierze, dlatego irytacja sięgnęła zenitu. Wstał i dokuśtykał do

okna. Zapalił papierosa, chociaż wiedział, że Bener urwie mu za to jaja.

Wrócił przed komputer i doczytał do końca tekst zatytułowany „Toruń miastem hasel”. Justyna Molak okłamała go na całego. Nie tylko nie była na żadnym urlopie, nie tylko widziała kompromitujący jego i Anetę filmik, ale musiała być autorką szantażu. Zbyt dużo tu zbiegów okoliczności. Informacja na kartce, którą Molak podrzuciła Anecie, rozpoczynała się od słów „Toruń miastem porno!”. Było to oczywiste nawiązanie do wielu tworzonych w ten sposób hasel promocyjnych miasta. Toruń był już miastem sportu i kultury, żużla, Kopernika i piernika. Molak przypominała o nich w wydaniu internetowym lokalnego dziennika.

Rak nie pamiętał, do której godziny dał jej czas, ale uznał, że pora zatrzymać stoper. Ponieważ kolejnych połączeń też nie odbierała, wysłał jej SMS-a: „Odezwij się, czas minął”. Odpowiedzi jednak nie było. Postanowił przekreślić do Anety.

– Czytałaś? – spytał, gdy jęknęła zaspana w słuchawkę.

– Nie, a co takiego?

– Podesłałem ci link. Nie mam już wątpliwości – powiedział, odpalając kolejnego papierosa. – Za tym wszystkim stoi Molak, ale wydaje mi się, że wczoraj wystarczająco ją nastraszyłem. Odpuści sobie, zobaczysz.

– Sprawdzę i oddzwonię, okej? – ziewnęła.

– Dobra, ale jeszcze jedno. – Rak podszedł do otwartego okna i poczuł przyjemny, ciepły powiew. – Nie powiedziałaś mi, jak dostałaś tę kartkę? Mailem czy ktoś ci ją podrzucił?

– Była wsunięta w skrzynkę na listy.

Rak zmarszczył czoło.

– Jak to?

– Normalnie. Założyłyśmy z Magdą taką większą, ze szczeliną na duże koperty.

– Aha. – Wypuścił dym i dodał: – Spotkamy się z nią dziś wieczorem. Powinniśmy zamknąć tę sprawę raz na zawsze.

Rak odłożył telefon i odetchnął. Widział teraz wyraźnie, że Molak, szantażując Anetę i pomijając w tej całej aferze jego, po prostu próbuje – w niezrozumiały co prawda dla niego sposób i bez konkretnych powodów – mścić się na znieawidzonej koleżance z pracy. Idiotka do kwadratu.

Znowu podszedł do okna i niespiesznie wypalił papierosa.

Ulżyło mu.

Głupia sprawa, ale cieszył się, że zmierzała do finału. Jeszcze wczoraj jego świat trząsł się w posadach. Obawiał się kompromitacji, która szerokim echem rozniosłaby się po Toruniu. Nie przyznawał się do tego nawet przed sobą, ale zalewała go fala strachu. Nie umiał wyobrazić sobie wstydu, jaki by odczuwał, łażąc na kolejne konferencje prasowe i widząc drwiące gęby gryzipiórków i urzędasów. Czułby się tak, jakby stanął przed nimi na golasa i wywijał fiutem. Ilekroć o tym pomyślał, dostawał gęsiej skórki.

Rak zgasił papierosa na parapecie i przeciągnął się. Gdy próbował przegnać gazetą dym, który wiatr wtłaczał do redakcji, usłyszał znaną melodyjkę.

Molak.

Odebrał połączenie.

– Dałem ci czas do rana, pamiętasz? – zaczął ostro.

– Ale ja naprawdę nic nie zrobiłam! – prawie zapłakała. – Nie wiem, o co ci chodzi. O jakim szantażu mówiłeś?

Rak nie zamierzał niczego wyjaśniać.

– Spotkamy się u Anety. Dziś wieczorem, jasne?

– Jasne, ale ja...

– Wieczorem! – zamierzał przerwać połączenie, kiedy usłyszał jej kolejne pytanie. Znokautowało go jak uderzenie młota.

– Poczekaj! – poprosiła. – A gdzie ona mieszka?

Nie odnalazł w jej głosie nuty fałszu.

– Nawet nie żartuj – skarcił ją, ale wiedział już, że chyba coś przegapił.

– Po prostu daj mi adres. Wieczorem wszystko wam wytłumaczę. Proszę! – zaskomlała.

Był pewien, że w takiej chwili nie byłaby zdolna do aktorskich sztuczek. Bała się. A skoro to ona miała wrzucić kartkę do skrzynki na listy, to przecież musiała znać adres Anety.

Rak usłyszał krótkie piknięcia. Zerknął na wyświetlacz, dobijała się do niego Aneta. Kazał Molak zaczekać na linii i połączył się z byłą dziewczyną.

– Przyszło – wychrypiała.

– Co?

– Przyszło nowe.

– Co nowe? Jakie nowe? – Rak poczuł drgania w sztywnej nodze. – No mów, do cholery, bo wiszę na telefonie z Molakową!

- To nie ona. - Aneta zawiesiła głos. - Mówiłam ci, że to nie ona! Usłyszał, że płacze i stężał.
- Ktoś wsunął mi pod drzwi nową kartkę.

*

Tym razem nie było żadnego zdjęcia i emotikonów. Nic, tylko prosta informacja.

„Wieczorem zadzwonię. Weź 6000 zł i zapomnij o sprawie. Masz być sama”.

Aneta siedziała na łóżku i wydmuchiwała nos. Rak spojrzał w jej załamane oczy.

- Musimy to zgłosić - stwierdził.
- Nie ma mowy.
- Przecież to jakiś oszust...
- Nikomu o tym nie powiem!
- Zapłacisz raz i za chwilę będzie chciał kolejną ratę, rozumiesz? Oni tak działają - cedził słowa, żeby nie wybuchnąć.

Aneta zaprzeczyła.

- Zapłacę i będzie po sprawie.

Gówno tam, a nie po sprawie. Rak wstał i otarł wilgotne czoło. Sprawa dopiero się zacznie. Będzie podrzucała koperty wypchane pieniędzmi, co chwila w inne miejsce, a ten gnój, kimkolwiek był, będzie miał niezły ubaw. Rak wiedział, że wystarczyłoby go złapać na gorącym uczynku. Nie mógł pojąć, że Aneta jest tak zaślepiona strachem i nadzieją na pozbycie się problemu, że w ogóle nie dostrzegała zagrożeń. Ale w jednym ją rozumiał i dlatego musiał ochłonąć. Być może obawiała się kompromitacji. W Toruniu największe tajemnice wypływają nie dłużej niż po kilku godzinach, nawet z policji.

- Okej... Okej. Ale pójdziemy tam razem - zaproponował, bo wiedział, że nie odwiedzie jej od głupiego pomysłu.

Zgodziła się.

- Zadzwon do mnie, jak tylko się odezwie - poprosił.

*

Wysłał SMS-a Benerowi, że dziś zrobi sobie wolne, a jeśli ten będzie potrzebował zdjęć, to najwyżej załatwi je od kolegów. Fotoreporterzy bez mrugnięcia okiem wymieniali się fotami i wspierali w trudnej robocie. Zawodowa solidarność. Rak mógł liczyć na kilku z nich, a oni na niego.

Wrócił do domu. Magda znowu siedziała przy komputerze w sypialni. Bosą stopę oparła na siedzisku fotela. W jej uszach tkwiły małe słuchawki. Kiedy do niej zajrzał, wyjęła je i zamknęła laptopa.

– Coś taki zgaszony? – spytała.

Rak się wycofał.

Włączył telewizor i swój komputer, a potem usiadł zrezygnowany w fotelu. Bił się z myślami, czy jednak nie zadzwonić na policję. Mógł poprosić o pomoc Benera, którego kolega był szefem jakiegoś tam wydziału w komendzie miejskiej. Może gdyby z nim porozmawiał, znaleźliby rozsądne rozwiązanie. Chwycił za słuchawkę.

– Hej! Pytałam, co się stało? – dopiero teraz dotarło do niego, że stoi przy nim Magda. – Chodzi o kasę?

Rak nic nie mówił.

– No to w takim razie mam dla ciebie informację – uśmiechnęła się szeroko. – W poniedziałek zaczynam pracę!

Z radości podskoczyła kilka razy na palcach.

Ucieszył się, ale na krótko. Pieniądze to nie wszystko.

– Gdzie? – zapytał od niechcienia, siląc się na uśmiech.

– Na razie w kiosku, w Plazie, ale wiesz, dobre i to. Na początek.

Kurwa, rany boskie, dziewczyna po germanistyce będzie podawać papierosy!

– No, ej! Nie cieszysz się? Poradzimy sobie ze wszystkim, zobaczysz. Eeej... – zrobiła smutną minkę, taką jak lubił. – Chcesz mi coś powiedzieć?

Usłyszał w jej głosie troskę. Prawdziwą, szczerą troskę, dlatego się poddał i odłożył telefon. Opadł na oparcie głębokiego fotela, a potem zrobił to, co od początku powinien był zrobić. Opowiedział jej o wszystkim. O koncie na Gmailu, filmiku, zdjęciach i wreszcie szantażu, a także pieniądzech, które Aneta chciała zapłacić.

Magda słuchała ze spokojem. Piękna, mądra i wyrozumiała. Przy niej, nawet w takiej chwili, mógł się odprężyć, bo ponownie zaskoczyła go tym, czym urzekła go od pierwszego spotkania. Tym, że znała instrukcję obsługi Raka na pamięć, lepiej niż on sam.

– Oboje popełniamy błędy – usłyszał i był to najlepszy balsam. –

Każde z nas ma jakąś przeszłość. Ale tak naprawdę liczy się tylko to, co przed nami, prawda?

Skinął głową. Podeszła do niego i pocałowała go.

– Będzie dobrze – obiecała, zupełnie jakby to ona nabroiła. Potem wyszła z pokoju.

Rak chciał ją przytulić, dotknąć, być blisko, ale rozumiał, że szczególnie w takiej chwili Magda potrzebuje spokoju i samotności. Nie zamierzał jej tego odbierać.

Wyszedł na balkon i zapalił. Smród ryb nie był tak dokuczliwy, bo śmieciarze opróżnili kubeł. Znowu kilka dni spokoju, pomyślał.

Z każdym sztachem czuł się lżejszy i cudownie oczyszczony. Jak lata temu po pierwszej spowiedzi. Nie wiedział, dlaczego akurat to zdarzenie przyszło mu do głowy, ale wiedział też, że przyznanie się do winy ma kojącą moc. I teraz napawał się tym stanem.

Pierwszy raz psychicznie odpoczywał na tym obsranym balkonie, gdzie ptasia sraczka układała się w duże, szare strupy.

Dopiero kiedy zmarzł, pokuśtykał do sypialni. Magda siedziała tak, jak ją wcześniej zastał, przy laptopie.

Uśmiechnęła się do niego.

Tylko tyle i aż tyle.

*

Wieczór był wyjątkowo chłodny. Rak siedział w polarze przed komputerem. Nerwowo patrzył na ekran wyciszonej komórki i czekał. Wszystko zniosła dzielnie, ale informację o tym, że miałby dziś iść gdzieś z jej siostrą, w czymś jej pomóc, mogła być ponad siły. Siedziała w sypialni, włączyła głośno muzykę.

Rak wypił kawę i przeglądał nerwowo Facebooka tylko po to, by zabić czas. Wreszcie telefon zaczął cicho odgrywać melodię.

– Wiadomo coś? – rzucił.

– Wiadomo – usłyszał spokojny, opanowany głos Anety.

– No to mów.

– Jesteś pewien?

Przewrócił oczami. Gadaj z babą.

– Mów! – zachęcił.

– Ale najpierw chciałabym cię o coś spytać.

– No to pytaj, co się tak czaisz?

– Odwiedziła mnie Justyna Molak.
– Ta pinda? I co mówiła?
– Powiedziała coś, w co trudno mi uwierzyć.
– No, błagam cię! Gratuluję, jeśli w cokolwiek jej uwierzysz – prychnął.
– Właśnie nie wierzę. Dlatego wolałam spytać ciebie.
– W takim razie miejmy to już za sobą. Strzelaj – zachęcił i oparł łokcie na kolanach. Cały czas patrzył w stronę korytarza.
– Czy ty i moja siostra... – zawiesiła głos.
Rak poczuł, jak wielka gula gwałtownie rośnie mu w przełyku.
– Podobno widziała was razem...
Próbował przełknąć ślinę, ale nie mógł. Serce zwiększyło skurcze.
– Powiedziałam jej, że to niemożliwe, że pewnie coś pomyliła... – Aneta pociągnęła nosem, głos jej się zmienił. Wreszcie nie wytrzymała.
– Błagam, powiedz mi, że to wszystko nieprawda...
Rak milczał tak długo, aż usłyszał długie pociągnięcia nosem, zdławiony jęk, a w końcu dotarł do niego przerywany sygnał.

*

Wszystkie wrzody zostały przecięte. Bolało, ale jednocześnie Rak wiedział, że to, co było złe, już odpłynęło. Rana się osuszy, zablizni, pięknie już nie będzie, ale może być normalnie.

Kiedy się otrząsnął, chciał zadzwonić do Anety, jednak zrezygnował. Nie wiedział, jak jej pomóc, skoro nie będzie wiedział, gdzie i o której ma zapłacić okup.

Siedział przed komputerem w ciszy, którą przerwał sygnał nadejścia wiadomości. Naczelnny prosił, żeby zrobić zdjęcia Edycie Geppert w auli UMK. Nie wiedział, kto zacz, ale odpisał, że robi. Miał co prawda wolne, ale Magda pewnie chciała pobyć sama, Rak nie miał nic lepszego do roboty.

Najpierw pojechał tramwajem do Anety. Pani Geppert musiała poczekać.

Zapukał do drzwi. Potem drugi raz i kolejny, ale w końcu uznał to za bezcelowe. Wyjął telefon i zadzwonił. Liczył, że może usłyszy melodyjkę dochodzącą z mieszkania. Nic takiego jednak się nie zdarzyło.

Pojechał do auli, zrobił zdjęcia, a kiedy wyszedł razem z tłumem na zewnątrz, było już ciemno i zerwał się wiatr. Ktoś potrącił go delikatnie

na schodach.

– Hej, Raku! – zobaczył uśmiechniętą parę, Kryskę i Antka, znajomych, których poznał dzięki Magdzie. – A swoją ładniejszą połowę gdzie zgubiłeś?

– W domu siedzi. Wy się koncertujecie, a ja w robocie jestem – uśmiechnął się krzywo.

Podgadali chwilę o pierdołach i rozstali się przy ich samochodzie. Chcieli podwieźć Raka do centrum, ale skłamał, że ma coś jeszcze do zrobienia. Wolał nie wsiadać do żadnej metalowej puszki na kołach. Wybrał tramwaj. Większa puszka, inne koła.

Dotarł do mieszkania, przekręcił zamki, pchnął drzwi, które znowu ze zgrzytem przesunęły się po parkiecie.

Wewnątrz było ciemno.

Zapalił światło. Postawił plecak na szafce i zauważył, że brakuje Magdy kurtki i jej ulubionych czerwonych butów. Mimo to zajrzał do każdego z pomieszczeń. Pusto. Sięgnął po telefon, by sprawdzić, czy ma od niej jakąś wiadomość – nic. Dopiero, kiedy zasiadł przed komputerem, zauważył leżącą obok kolorową kartkę.

Wyciągnął rękę i pierwszy raz poczuł, że tego dnia jednak nie zaliczy do udanych.

*

„Jestem u Kryski, Antek wyjechał, robimy babski wieczór. M.”

Patrzył na jej ładne, lekko pochylone pismo i błagał, by to był tylko sen. Jednocześnie wiedział, że nic nie boli tak, jak rzeczywistość. Widział się przecież z Kryską i Antkiem na koncercie.

Miał to, na co zasłużył. Kłamstwo za kłamstwo.

Zgniół kartkę i rzucił nią z całej siły.

Wypalił nerwowo papierosa na balkonie, praktycznie nie wyjmował go z ust. Podwórze tonęło w ciemnościach, rudy kot naprężył grzbiet. Nad głową wiatr przetaczał czarne chmury, które właśnie przysłoniły księżyc. Pociemniało.

Rak wrócił do pokoju. Uruchomił laptop, żeby zająć czymś myśli, a potem przegrał na dysk zdjęcia z aparatu. Zanim zabrał się za ich obrabianie, odebrał zaległe maile. Molak napisała, że ma go w dupie i że kasa jej niepotrzebna, bo ma swoją. I jeśli myśli, że to ona kogokolwiek i czymkolwiek szantażuje, to niech idzie się leczyć.

Najlepiej do seksuologa. Niby słodka idiotka, ale wiedziała w co trafić, by zabolą.

Musiał skupić się na innym zadaniu. Na tej myśli, którą już wcześniej sprecyzował, że afera z filmikiem, gdyby nie Aneta, w ogóle by do niego nie dotarła. A był na tym filmie tak samo widoczny i rozpoznawalny jak ona. Więc też powinien być na celowniku.

Dlaczego nie był?

Powtarzał w kółko to pytanie. Zminimalizował program poczty. Na ekranie pozostało zdjęcie, które zrobił z pokładu Wandy. Most kolejowy, a w tle dwa jasne łuki nowej miejskiej przeprawy. Nie zdążył go obrobić.

„Łatwiej dostrzec horyzont, niż to, co mamy w kieszeni”.

Przeraziły go te słowa.

Rak znowu wyszedł na balkon, gdzie wypalił kolejnego papierosa. Słoik z kiepami był już prawie pełen. Drżał, ale nie z zimna, tylko dlatego, że wiedział, co teraz musi zrobić, i że jeśli jego przypuszczenia się potwierdzą, nic już nie będzie takie samo. Podciągnął zamek polaru pod samą szyję i poszczypał się w odrętwiałe udo. Wreszcie wrócił do mieszkania, przeszedł do ciemnego korytarza, potem uchylił drzwi i stanął w progu sypialni.

„Łatwiej dostrzec horyzont...”

Zastanawiał się, czy jest do tego zdolny, czy rzeczywiście uważa, że odpowiedzi, których szukał, mogą być tak blisko i na wyciągnięcie ręki.

Spojrzał na laptop Magdy.

Przypomniał sobie koleżankę wybiegającą z płaczem z redakcji, a potem zadźwięczały mu w uszach słowa Benera: „Śledziła go jakimś programem, w komputerze chyba”.

Pokręcił głową.

Zwariował, wpadał w paranoję, szukał po omacku. Głupi jest, kurwa, i tyle. Przestał sobie wierzyć. Przestał myśleć racjonalnie. Jeżeli naprawdę zamierzał zrobić to, o czym właśnie myślał, to zdradzi siebie i ją. Jeśli tylko tknie ten zasrany komputer, zniszczy wszystko, na czym zbudowany był ich związek.

Mimo to dotknął krawędzi ekranu. Potem położył palec na okrągłym włączniku i czekał. Tak, jakby od tego, co robi, zależało całe jego życie.

Zaryzykował.

Uruchomił sprzęt.

Przy pierwszym pomruku komputera zrobiło mu się cholernie zimno, chociaż czuł wilgoć pod pachami. Potem pojawił się ekran z małą ikonką pośrodku. Rak kliknął na nią i dopiero wówczas wyświetlił się pulpit. Kilkadziesiąt kolorowych znaczków poupychanych obok siebie w równych rzędach.

Westchnął i zabrał się do pracy.

Im dłużej grzebał w komputerze Magdy, tym bardziej żałował.

Kiedy skończył, zamknął sprzęt i wstał. Popatrzył na ich nieposłane łóżko, piżamę Magdy, ciuchy przerzucone przez krzesło, niedomykającą się szafę. Miał ochotę podpalić tę budę.

– Kurwa! – wrzasnął.

Chwycił laptop i rzucił nim o podłogę.

*

Wyszedł z mieszkania, zamknął drzwi i ruszył trzeszczącymi schodami w dół. Wybrał numer do Magdy i czekał.

– Gdzie jesteś? – spytał i nagle usłyszał coś jakby krzyk. Głośny i przenikliwy. Czuł, jak wali mu serce.

– Z Kryską – rzuciła beztrzesko. – Napisałam ci.

– To daj mi ją do telefonu – z trudem wydusił. – No, dawaj!

– Słucham?

Wyczuł jej wahanie.

– W toalecie jest, nie może teraz... Oddzwonię do ciebie, okej? – próbowała się ratować.

– Zaczekaj! – warknął.

– Tak?

Zebrał się w sobie. Już wszystko się wylało, teraz musiał tylko posprzątać.

– Nie rób tego! – chciał krzyknąć, ale głos mu się załamał. Zabrzmiało jak skomlenie. – Wszystko wiem.

Zanim się rozłączyła, usłyszał ten dźwięk. Pisk albo skrzek. Pamiętał go aż za dobrze. Zabrzmiał wtedy, gdy stanął na pomoście w cichym Porcie Zimowym. Tak skrzeczała mewa rzeczna. Był tego bardziej niż pewien.

Otarł pot z czoła i kuśtykał dalej. Wybrał numer do Anety.

– Gdzie jesteś? – spytał, gdy odebrała.

– Odwal się ode mnie raz na zawsze – szepnęła.

– To Magda, to jej robota – rzucił. – Wynoś się stamtąd. Natychmiast!
Rak znowu usłyszał ten sam krzyk ptaka.

– Wiem, że jesteś w Porcie Zimowym, że umówiłaś się z ginekologiem, że oboje macie zapłacić okup. Ale to nie jest tak. To Magda cię tam zwabiła.

– Jak to Magda? – spytała z niedowierzaniem.

– Śledziła każdy twój krok. Zainstalowała program na twoim komputerze.

– Co ty pieprzysz... – kolejny szept.

– Aneta!– Rak wrzasnął, żeby coś w końcu do niej dotarło. – Wynoś się stamtąd!

– Poczekaj... O Boże, widzę ją.

Zamiast odpowiedzi usłyszał głuche trzaski.

A potem połączenie zostało przerwane.

*

Rak był spocony i zdyszany. Podskakiwał na jednej nodze wzdłuż płotu okalającego port od strony Bydgoskiego Przedmieścia. Portowe lampy na wale przeciwpowodziowym przy nabrzeżu rzucały jedyne, blade światło. Rozglądał się za Anetą, ale oprócz zbłąkanego kota nie dostrzegł tu nikogo. Wrócił do bramy wjazdowej na teren portu i krzyknął kilka razy na ochroniarza. W niskim budynku w pobliżu szlabanu okno na parterze było uchylone. Niebieska poświata biła od telewizora. Po chwili przed bramą stanął potargany, chudy i niski facet z siecią zmarszczek na twarzy.

– Szukam dziewczyny, kręciła się gdzieś tutaj. – Rak rozejrzał się ponownie.

– Ja tu nikogo nie widziałem.

– Niech mnie pan wpuści, jestem fotoreporterem, niedawno robiłem tu zdjęcia.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie mogę. Z pracy by mnie wylali.

– Przejdziemy się razem, może coś zobaczymy. Rozmawiała ze mną. – Rak dostrzegł trzy kamery zainstalowane na elewacji budynku. – Przejrzyjmy zapisy z monitoringu.

– Proszę już iść – mężczyzna wycofał się. – Mnie nie wolno, ja nie mogę tu obcych wpuszczać i gadać z byle kim. A tym bardziej

odtwarzać nagrania. Pan już pójdzie.

– Proszę! Ona może potrzebować pomocy.

– Niech pan idzie. Dobranoc!

Rak zastanawiał się, czy nie przeskoczyć przez płot, ale skoro nie mógł się dostać na teren portu, to Aneta pewnie też tam nie weszła.

– Bo policję zawołam! – krzyknął ochroniarz.

Rak przeszedł raz jeszcze wyboistą asfaltówką. W dole minął zamkniętą na głucho przystań policji wodnej i zawrócił. Postanowił sprawdzić z drugiej strony, od Wisły i przystani klubu wioślarskiego. Obszedł port naokoło, znowu dyszał i sapał. Było tam ciemno, chaszcze sięgały po łokcie. Kawałek dalej zauważył sporą dziurę w płocie, wgramolił się przez nią i chciał wejść na wał powodziowy znajdujący się już na terenie portu. Pośliznął się na mokrej trawie porastającej zbocze. Zdrowa noga odjechała do tyłu. W ostatniej chwili odwrócił się i złapał siatkę, kalecząc rękę o wystający drut. Syknął z bólu.

Biały wóz przemknął z głośnym dudnieniem silnika tuż za płotem.

Jaguar.

Rak wyprostował się i otrzepał ręce.

Chwilę później dostrzegł coś w trawie.

*

Blisko dwa tygodnie nie widział ani Magdy, ani Anety. Zaglądał do portu o różnych porach, ale obie przepadły jak kamień w wodę. Otrzymał od nich tylko po kilka lakonicznych SMS-ów. Żeby się nie martwił, że wszystko będzie dobrze, że potrzeba czasu. Zgłosił sprawę policji, ale nic to nie dało. One są dorosłe, usłyszał. Skontaktowały się z panem, to czego pan jeszcze chce? Chciał dać policjantowi w mordę.

Nie wiedział, co się tam wydarzyło, ale wiedział, że dziewczyny musiały się spotkać i pokłócić. Miał nadzieję, że wszystko sobie wytłumaczyły i są teraz razem.

Zrozumiał, dlaczego wydawało mu się, że Magda tak znakomicie odbiera jego nastroje, jakby czytała jego myśli. Rzeczywiście, sporo ich wyczytała. Dzięki programowi szpiegującemu miała dostęp do wielu jego i Anety maili, w których otwierali się przed sobą. W ten sposób otrzymywała na swoją skrzynkę wszystkie informacje o każdej najmniejszej aktywności Anety. Widziała zrzuty ekranów z jej kompa,

dane do logowania na Gmail i inne konta, wiedziała, ile ma oszczędności w banku. Wiedziała wszystko. Od dawna. Dlatego nie zrobiła na niej wrażenia informacja o pornofilmiku, a tym bardziej o szantażu. Bo to był jej pomysł. Potrzebowali z Rakiem pieniędzy, ale nigdy by nie pomyślał, że Magda posunie się do czegoś takiego, że jej wielka miłość do niego była jedynie chorą miłością, której on w swoim zaślepieniu nie rozpoznał.

Z powodzeniem mogła udawać kochającą dziewczynę. I wszystko to od czasu, gdy Rak spotkał ją pierwszy raz. Przynajmniej na to wskazywały daty plików, które przychodziły na jej maila.

Najgorsze było jednak to, że Magda chciała pieniędzy nie tylko od Anety, ale również od ginekologa, na którego Aneta zbierała haki do tekstu o nielegalnych aborcjach. Dlatego Rak stał teraz przed wejściem do gabinetu w klinice ginekologicznej MarMar na Wrzosach. Doktor Jakub Marczewski przyjmował pacjentki już od kilku godzin. Rak wcześniej zarejestrował Anetę, podając się za jej narzeczonego. Wybłagał w rejestracji ostatnią wizytę w danym dniu. Nie chciał, by ktokolwiek mu przeszkadzał.

Kiedy ciężarna rudowłosa dziewczyna wyszła, zostawiając uchylone drzwi, zapukał w nie.

Młody doktor z szerokimi zakolami, które wyznaczała linia krótkich ciemnych włosów, spojrzawszy znad okularów w niebieskich oprawkach. Zdziwił się, kiedy fotoreporter stanął sam w gabinecie.

– Pan na pewno do mnie? – dopytał z uśmiechem.

Rak usiadł bez słowa przed jego biurkiem.

– Widziałem pana w Porcie Zimowym, dwa tygodnie temu. Wpadłbym wcześniej o tym pogadać, ale podobno był pan na urlopie – zaczął.

– Byłem – odparł spokojnie ginekolog, którego kitel był tak oślepiająco biały, że Rak musiał przymknąć oczy. – Mnie pan widział? Musiał się pan pomylić.

– Pana i pański samochód. Jestem fotoreporterem, więc zrobiłem kilka zdjęć. – Rak blefował, ale wyjął fotografie, które wcześniej robił dla Anety.

Lekarz zerknął na nie, zmienił pozycję. Potem sięgnął po leżący na skraju biurka granatowy, gruby kalendarz książkowy.

– Niemożliwe, ale... – rzekł.

Poślinił palec i zaczął wertować kartki. Wreszcie zatrzymał się na jednej i dłużej przyglądał.

– O, tu! Proszę spojrzeć.

Odwrócił go w stronę Raka. Był wypełniony dwoma wyrazami: „Konferencja Kraków”. Za zakładkę robiła karta hotelowa z tamtego miasta.

Punkt dla lekarza.

Tego wieczoru, gdy siostry zniknęły, Aneta znalazła się w Porcie Zimowym, Rak słyszał krzyk mew w słuchawce. Wiedział, że lekarz też tam się stawił. Z Krakowa mógł wrócić wcześniej. Poza tym umówił się tam z Magdą, która i jego szantażowała.

– Jak pan widzi, wieczorem miałem pełne ręce roboty. Musiałem się rozpakować i odpocząć przed pracą – odchrząknął i odłożył kalendarz.

– Coś jeszcze?

– Gdzie one są?

– Pan wybaczy, ale na dziś zamykamy – lekarz zignorował go i wstał.

– Coś jeszcze?

Rak wyciągnął z kieszeni to, co tamtego wieczoru znalazł w trawie. Dwa małe kluczyki spięte czarną tasiemką. Takie od walizki. Lekarz wyciągnął rękę, ale Rak schował je szybko. Skrzyżował ręce, plecami przywarł do oparcia krzesła.

– Z tym rozpakowaniem bagażu po podróży do Krakowa chyba tak łatwo nie poszło, co? – spytał. – Gdzie jest Magda?

– Nie wiem, o kim pan mówi.

– Mówię o kobiecie, która chciała wyciągnąć od pana dwadzieścia tysięcy złotych w zamian za odstąpienie od rozpowszechnienia informacji na temat pana... – Rak rozejrzał się – nazwijmy to: pobocznej, intratnej działalności.

Lekarz usiadł, oparł łokcie na blacie i złączył wypielegnowane dłonie.

– Nadal nie wiem, o czym pan mówi.

Rak parsknął.

– Powiem tak: mam wszystkie dowody łącznie z mailami, które do pana wysyłała. Mam dokumentację dziennikarki, która zrobiła porządny *research* na pana temat. Dotarła między innymi do zeznań dziewczyny, pana byłej klientki. Wreszcie, mam kluczyki od drogiej walizki, które na pewno noszą ślady pana odcisków palców. – Rak nie przestawał się uśmiechać. Miał go na deskach. – Wyjaśnić coś jeszcze?

Lekarz sięgnął po zdjęcia, które wciąż leżały na biurku. Przekładał je po kolei. Kiedy skończył, oddał fotoreporterowi.

– Są sprawy, o których pewnie pan nie wie – zaczął. – Ale może czas je przedstawić, żeby wreszcie pan dorósł. – Lekarz odsunął okulary na czoło i przetarł powieki.

Rak poczuł się nieswojo.

– Tak, proszę pana. Mam nadzieję, że się pan domyśla.

Nie chciał się domyślać, miał w dupie to, co ten konował mu powie. Zaczął żałować, że w ogóle tu przyszedł. Zaszczędziła go skóra.

– Pani Aneta była moją pacjentką...

Rak mimowolnie spiął mięśnie karku i czuł, że jego puls przyspiesza. Przypomniał sobie Anetę, kiedy po dwóch tygodniach zobaczył ją pierwszy raz na konferencji w urzędzie, skuloną jakby bolał ją brzuch i z wysoką gorączką. Wrak człowieka.

– ...i to prawda, miała na mnie kwity, ale ostatecznie człowiek jest tylko człowiekiem, więc zrobiliśmy *deal*. W życiu wszystko jest kwestią ceny i negocjacji.

Rak zaprzeczył ruchem głowy. Przeształ panować nad odruchami, miał lodowate dłonie. Pamiętał, że Aneta wtedy drżała. Dokładnie tak, jak jego ręce teraz.

– Dwa tygodnie temu... – lekarz wskazał na fotel ginekologiczny stojący z boku, za parawanem – ...nielegalnie terminowałem dziesięcioletnią ciążę pani Anety Kuryło.

Słowa zabrzmiały jak armatni wystrzał. Długo słyszał ich echo. Dotknął językiem warg i poczuł na nich słone łzy.

– Tak, proszę pana...

Obraz zaczął się rozmazywać, widział już tylko kontury ginekologa.

– ...to było pana dziecko. Zdrowe dziecko.

*

Kilka dni później cała Polska szukała Anety i Magdy, sióstr, które tego samego dnia zaginęły w Toruniu. Tabloidy wypisywały głupoty, telewizje robiły denne reportaże, Rak snuł się z aparatem po mieście. Nikt nie znał prawdy i pewnie już nigdy jej nie pozna. Przeczłował, że Aneta, wtedy w redakcji, kiedy przyszedł z nią zerwać, chciała mu powiedzieć o ciąży. Widział jej gesty, pamiętał, że to ona chciała zacząć tę rozmowę, ale jakoś tak wyszło, że padło na niego. Jego decyzja utwierdziła ją w przekonaniu, że nie chciała mieć dziecka z kimś, kto ją w ten sposób zranił. Rak nie mógł też wykluczyć, że Aneta domyślała się związku z jej siostrą. Pewne było jedno: wszystko wtedy szło za szybko. I tak samo szybko się zaważyło. Spisała więc Raka na straty, a ciążę uznała za błąd przy pracy.

Nie potrafił sobie z tym poradzić. Ilekroć o tym myślał, wiedział, że zaważył na całej linii. Obwinił się za śmierć niewinnego dziecka, a jednocześnie – co doprowadzało go do białej gorączki – odczuwał ulgę, że nie musiał tylko z tego powodu ponownie wiązać się z Anetą. Kochał Magdę i był gotów wszystko jej wybaczyć. Czekał, kiedy będzie mógł jej to powiedzieć i liczył, że w końcu obie siostry wyjdą z cienia.

Telefon zawibrował mu w spodniach. Sięgnął po niego i odebrał połączenie od naczelnego.

- Leć do Portu Zimowego, podobno płetwonurkowie coś tam znaleźli.
- Ale co?
- Nie wiem, podobno sporo tam niebieskich.
- Ciało? – Rakowi brakowało powietrza.
- Podobno.

Kiedy zbliżałem się do wyłowionej z wód Portu Zimowego walizki, któryś z policjantów zagroził mi drogę. Mówił coś do mnie, otwierał usta, ale niczego nie słyszałem. Widziałem, jak mewa otwiera dziób do krzyku, ale też nie słyszałem jej głosu. W mojej głowie panowała absolutna cisza.

Zanim dostrzegłem twarz dziewczyny w walizce, zatrzymałem wzrok na jej czerwonych butach, a potem na jednym z radiowozów. Na tylnym siedzeniu zobaczyłem Anetę. Kiedy mnie dostrzegła, spuściła głowę.

Przez ten ułamek sekundy, kiedy nasze spojrzenia spotkały się, zobaczyłem w jej oczach coś więcej niż tylko ból.

I wtedy zrozumiałem.

To było jak przyznanie się do winy.

Dopiero potem raz jeszcze spojrzałem na walizkę, w której tkwiła Magda. Z kieszeni spodni wyciągnąłem kluczyki na czarnej tasiemce. Nosłem je przy sobie od chwili, gdy znalazłem je w trawie. Pokazałem im, trzymałem na dłoniach jak największy skarb. Mówiłem, że to jego walizka. Że to nie Aneta, ona by tego nie zrobiła, powinniście szukać tego lekarza. To jego robota!

Wydawało mi się, że drę się bez opamiętania, chociaż nie słyszałem swojego głosu. Może tylko otwierałem usta. Może brakowało mi słów. A może tylko śniłem.

Wykonywali uspokajające gesty. Kolejne osoby biegły w moją stronę.

Kiedy osuwałem się na suchą trawę, wreszcie coś usłyszałem.

Mój wrzask, który po chwili zmieszał się z innym krzykiem.

Krzykiem mewy.

Marta Mizuro

CHCIAŁA ŻYĆ

Tę historię luźno oparłam na faktach. Zachowałam jednak tylko kilka prawdziwych szczegółów.

Dobrze znała Krzyki, dzielnicę, w której mieszkała i pracowała, ale osiedle położone na krańcu i dzielnicy, i miasta, zmieniało kształt niemal co kwartał. Między starszymi blokami nagle wyrastał nowy, z innej bajki, opowiedzianej przez architekta innej firmy deweloperskiej, na jakiś czas powodując dezorientację nawet u mieszkańców. Mieli więc problem ze wskazaniem danego adresu, o czym się kilka razy przekonała. Blok można było przegapić, radiowozu jednak nie. Przystanął na miejscu dla niepełnosprawnych. Ona sama znalazła lukę między dwoma śmietnikami.

Lało od kilku dni, więc na butach naniosała trochę błota. Oczyszczyła je na wycieraczkę. Sądząc po stanie posadzki w przedpokoju, inni przybysze mieli to gdzieś. Wprawdzie któryś rzucił w kąt ścierkę, ale z niej nie korzystali, ograniczyli się do ułożenia ścieżek z kartonów. Prowadziły do czterech pomieszczeń: sypialni, saloniku, łazienki i kuchni. Podkomisarz Dorota Makarewicz wsunęła się do ostatniego z nich.

– Ogórkowa.

– Co? – zapytała.

– Zupa. Ogórkowa – objaśnił Piotr, oficjalnie starszy aspirant Ryza.

Zanim doszedł do tego odkrycia, zdążył zobaczyć wszystko, co mieściło się na 42,48 m², podeszwa jego traperów w rozmiarze czterdzieści sześć wielokrotnie odcisnęła się na kartonowym pomoście.

– Ach, o to chodzi.

W zlewozmywaku stał talerz wypełniony do połowy i mały, nieumyty garnek. Kleks z zupy rozlał się też na blacie kredensu. Oczywiście, jak ją natychmiast zapewnił kolega, sami nie sprzątnęli talerza ze stołu, a i stan kuchni wskazywał, że właścicielka mieszkania była pedantką.

Wniosek pierwszy: bardzo się spieszyła. Świadczyła o tym także torba z zakupami, która nienaruszona tkwiła przy drzwiach wejściowych. Na pewno zawierała kilka nietrwałych produktów.

– Śmierdzi tu. Niby tylko dwa dni, ale jak okna pozamykane i kaloryfery dane na maksa, to wystarczy – stwierdziła.

– Co się dziwisz, listopad w końcu.

– Może z torby tak wali? – Dorota teatralnie pokręciła nosem. – Skoro już jestem, to pewnie możemy sprawdzić, czy nie ma w niej czegoś ciekawego.

– Jasne. Jedzie, jakby ktoś rozlał kawę z mlekiem. Rzygami, znaczy. Przedwczoraj urządziłem się tak w kinie. Całe szczęście, że było trzech widzów na krzyż i nikt obok mnie nie siedział, ale sam tego nie mogłem znieść. Eh, za krótki miałem ten urlop!

Piotr zignorował jednak torbę z zakupami. Otworzył szafkę pod zlewem. Wyjął z kosza pudełko po gotowej zupie ogórkowej, odruchowo sprawdził jej skład chemiczny. Bogaty jak w większości zup dla ubogich.

– Czekaliśmy z działaniami przepisowe czterdzieści osiem? – zaciekawił się.

– No, może nawet z pięćdziesiąt – Dorota pokiwała głową. – Przecież babka ma ponad trzy dychy. Trzydzieści jeden konkretnie. Oczywiście rodzina zgłosiła po tym, jak kilka razy z rzędu nie odebrała telefonu. Narobili rabanu, ale przyjaciółka od razu sprawdziła, że w mieszkaniu nikogo nie ma, to wiesz, nie ma co i szaleć.

– A z tą przyjaciółką to jeszcze mamy rozmawiać? – upewnił się Ryza.

– Tak, oczywiście, umówiłam się z nią. To dzięki niej mogliśmy spokojnie wejść, bo dostała zapasowe klucze od zaginionej. Miała na razie spokojnie poczekać, żeby ekipa mogła zdjąć ślady. Z miejsca, sama z siebie, uprzedziła, że na pewno znajdziemy sporo jej odcisków. Jej koleżanka wprowadziła się tu stosunkowo niedawno i ona pomagała przy remoncie, zakupach jakichś mebli, takie rzeczy.

– Zaraz się dowiemy, co z odciskami. Zobacz, stara, ludzie to teraz tacy wyedukowani. A może ta, jak jej tam... coś stąd zabrała?

Makarewicz wzruszyła ramionami i zerknęła do notesu, żeby przypomnieć sobie nie tyle nazwisko, ile numer telefonu świadka.

– Izabela Kownacka. Koleżanka z pracy. Mieszka na Węgrzyniaka, ponoć dziesięć minut stąd. Czeka pod telefonem.

W drzwiach kuchni pojawił się jeden z techników. Zsunął z głowy kaptur, uwalniając tym samym bujne rude gniazdo. Nawet jeśli jakiś

włosek cudem wymusknął się spod nakrycia, łatwo było odseparować go od reszty znaleźsk.

– I jak tam, Jasiu, skończyliście już? – zapytała Dorota.

– Z grubsza tak. Śladów krwi nie ma na pewno. Świeże tu wszystko, nawet nie trzeba specjalnie przyskać, bo by się odznaczyło na tynku albo kafelkach.

– Teraz robią takie łatwo zmywalne – wtrącił Piotr.

Technik wzruszył ramionami i ciągnął:

– No i wszędzie białe ściany, marzenie. Wszystkie podejrzone plamki sprawdziłem, nie martw się, Dorka. I naprawdę wygląda, że czysto. Zobacz tak ogólnie, że pedantka, tyle kurzu, co przez te trzy dni. Nawet paluchów za dużo nie mamy. Zdjęliśmy to i próbki dla świętego spokoju. Zobaczcie w apteczce, czy przypadkiem nie brała jakichś prochów. Zupę jeszcze bym wziął, tak dla pewności. Trochę. Resztę trzeba wylać, bo tu naprawdę strasznie capi. Albo chociaż na chwilę otworzyć okno.

Uderzona listopadowym powietrzem Dorota poprzestała na rozwarciu szklanej tafli. Okno wychodziło na podwórko, które od dawnych studni różniło się jedynie dnem. Na tym zamierzano wiosną zasiać trawnik i parę krzaczków, ale na razie było po prostu bajorem o glinianym podłożu. W wodzie odbijały się światła z lokali na parterze. Mieszkania znajdowały się tak blisko siebie, że bez wysiłku można było dostrzec kolor tego, co sąsiad z naprzeciwka wkładał na patelnię. Bez trudu dawało się też dojrzeć świecące ekraniki iPhonów. Wgapiając się w nie, ludzie wyraźnie dawali do zrozumienia, że nie są ciekawi tych, którzy trzydzieści metrów dalej byli nimi niezainteresowani w tym samym stopniu. Może ktoś jednak skojarzy drobną trzydziestolatkę jedzącą coś zielonego? Zwłaszcza, że wiele mieszkań w nowym bloku wyglądało na wciąż niezamieszkane, a w tej chwili, około siedemnastej, tylko w połowie lokali paliło się światło. To zwiększało prawdopodobieństwo, że sąsiad z naprzeciwka zatrzymał wzrok na dziewczynie, która dotąd nie powiesiła firanek w kuchni.

– To co z resztą zupy? Czekamy na instrukcje z góry? – zniecierpliwiał się Janek.

– Zostaw. Jeszcze dzisiaj przyjdzie tu ktoś z rodziny. Pewnie zechce posprzątać, co jest do posprzątania, to dobre na nerwy – stwierdził Ryza. Postawił na kuchennym stole przyniesioną wreszcie z przedpokoju torbę z zakupami. Nie foliówkę, ale wzmocnioną siatkę wielokrotnego użytku. Coś się w niej roztopiło i zaczęło intensywnie

wypływać. – Pierdolę, jaki syf – jęknął.

– Syf to może być, jak się nam tu zwali tabun świadków naraz – westchnęła jego starsza koleżanka. – Trzy osoby, okej, nie wiemy jednak, czy powinny się ze sobą konfrontować. Nie mogłeś tego ze mną ustalić?

– No, ale Dorota... Miałem rodzinie gdzieś z Dużej Wólki zabronić tu przyjeżdżać? Bądź człowiekiem.

– Serio, z Dużej Wólki? – rozkrochmała się.

– Serio. To gdzieś pod Głogowem.

– W takim razie nie przesadzajmy, sto ileś kilometrów, o ile dobrze kojarzę. Swoją drogą, może się tak zdarzyć, że trzeba się będzie tam przejechać. Jeśli... – Machnęła dłonią przed nosem, jakby chciała odgonić czarne myśli. Na próżno. – Jeśli się nie znajdzie żywa. Coś interesującego jest w zakupach?

– Nic. Nic specjalnego. Najwyżej pewien rys psychologiczny zaginionej. Zrobiłem też wcześniej małą inspekcję w szafkach i już mam jeden wniosek. Nie lubi za dużo wydawać na żarcie. Nie uległa modzie na zdrowe gotowanie najwyraźniej. A przecież biedna nie jest. Ma kierownicze stanowisko dziewczyna. Zresztą tu sobie zobacz wizytówkę: *Sylwia Topolska, account manager*. Taki menedżer to ile może zgarniać, jak sądzisz? Z pięć patyków na rękę?

– To jest na pewno poważny wątek do sprawdzenia. Kasa. Skąd to mieszkanie? Kredyt czy bogata z domu? Ktoś ją sponsorował czy może ona wspierała rodzinę? I dlatego te pomidory w puszkach z przeceny. Z pomidorami tak tylko strzelam, wiadomo, w czym rzecz. Mniej więcej jasne, o co rodzinę trzeba zapytać. Przede wszystkim: co mogło zginąć z mieszkania? Tę całą przyjaciółkę, Kownacką, zresztą też. W pierwszym rzędzie o to.

Izabela:

Na ich miejscu bardziej bym drażyła. Zaczniemy od sprawy podstawowej: dlaczego Sylwia dała klucze akurat mnie? Rodzinę ma daleko, a ja rzeczywiście blisko mieszkam, z Węgrzyniaka to dziesięć minut spacerkiem. Pomysł wziął się stąd, że ona kiedyś zgubiła klucze od wynajmowanego mieszkania, z czym miała masę kłopotów. Właściciel mieszkał zagranicą, musiała go złapać, wykosztować się na telefon, wyprosić oficjalną zgodę na wymianę zamka. I nie trzeba kotka

ani kwiatków do podlania.

Ale coś by się przydało, powód jakiś, żeby móc powiedzieć, że zwykle zamykała na inny zamek. Prawda jest taka, że raz musiała zostać dłużej w pracy, a tu właśnie mieli jej przywieźć zamówioną pralkę i jeśli nie odebrałaby w terminie, to by się sprawa przeciągnęła. Byłam wtedy luźna, więc dała mi dodatkowy komplet kluczy i wyjaśniła, że w zupełności wystarczy, jak przekręcę górny zamek, bo ona tak zwykle robi. No i cały ten jeden raz przekręciłam górny. Dolny też na wszelki wypadek. W każdym razie to były jej słowa, że zwykle. A dla faceta, dla tego policjanta też, nie ma wielkiej różnicy między zwykle i zawsze. Jedynie taka, że z „zawsze” jakoś nie chce się dyskutować.

Głównym atutem Topolskiej było to, że nie wyglądała na swoje lata. Dość wysoka, bardzo szczupła, nawet nie próbowała dodać sobie urody z pomocą konturowania, sztucznych rzęs i ust jak ponton, chociaż młode kobiety podrasowane w ten sposób najwyraźniej działały na mężczyzn. Chyba że trafiły do konowałów, co przeważnie przydarzało się starszym kobietom. Natomiast stojąca przed Dorotą Izabela Kownacka skrzętnie korzystała z dobrodziejstw współczesnej kosmetyki. Rzęsy jak wachlarze, fachowo nałożone punkty rozświetlające zamiast kilku warstw podkładu. Wprawdzie nie zafundowała sobie rybich warg, ale to zapewne dlatego, że w zestawie z aparatem na zębach rujnowałyby wizję dobrego obciąganka. Pięknej, czy może raczej stosownie upiększonej, Izie do szczęścia potrzebny był naprawdę tylko piękny zgryz.

– No więc, jak już mówiłam, byliśmy razem na zakupach na Bielanach. Pojechałyśmy prosto z pracy bezpłatnym autobusem. Namawiałam Sylwię, żebyśmy coś zjadły w galerii, ale nie chciała czekać. Mówiła, że w domu ma coś gotowego. Chyba nie była z nikim umówiona, w każdym razie nie wspomniała o tym. Niedaleko jej domu jest przystanek, byliśmy tam gdzieś tak o 17.30, z tym że tylko ona wysiadła, bo ja na następnym, przy pętli.

– Tego dnia już się pani z nią nie kontaktowała?

– Nie. O tym, że zniknęła, dowiedziałam się następnego dnia. Nie przyszła do pracy. Nigdy się to nie zdarzyło, wiem, bo pracujemy prawie tyle samo czasu. Przedwczoraj zaczął się u nas audyt, więc pozwolili mi jechać do domu, wziąć klucze do jej mieszkania, no i sprawdzić, co się dzieje.

– Sama pani pojechała?

- Nie, z naszym kierowcą, o czym też już mówiłam.
- Przepraszam, że pytam o to dwa razy, ale czasem coś się komuś przypomina.

Dorota nie zamierzała jej wyjaśniać, że podejrzane bywają nie tylko sprzeczności w zeznaniach, ale i łudzące podobieństwo wszystkich wersji, jakie przedstawiali najważniejsi świadkowie. Prawie zawsze dowodziło to wyuczenia się historyjki na pamięć albo – gdy w grę wchodziło kilkoro podejrzanych – wspólnych ustaleń, czego się trzymać. Podkomisarz Makarewicz nie zamierzała też jednak przesadzać: opowieść o wspólnych zakupach i podróży autobusem nie miała w sobie nic z powieści przygodowej, a panienska sypała się przykładowo, za każdym razem inaczej określając kolor bluzki zaginionej: ni to gołębi, ni grafitowy. Miała za to całkowitą pewność co do shopperki, która wyparowała wraz z Topolską. Wcześniej razem obejrzały zawartość szafy, komody i trzech dotąd nieopróżnionych kartonów. Znajdujące się w nich rzeczy miały trafić do szafy wnekowej, ale jej montaż został już zapewne odwołany.

- Czyli nie widzi tu pani torebki, którą pani Sylwia miała tego dnia ze sobą?

- Niestety, nie.

- Może ją pani opisać?

- Tak, oczywiście. Szara, skórzana, w kształcie kuferka, takiej wielkości, że można w niej nosić dokumenty, marki Furla. Z przodu dwie kieszenie zapinane na czarne zamki. Nosi w nich telefony komórkowe.

Kto mniej zre, ten może sobie pozwolić na fajniejsze torebki, wywnioskowała w duchu Dorota.

- Dwa? – upewnił się Piotr.

- Tak, prywatny i służbowy. Ale nie powiem, do której kieszeni wkłada który. – W uśmiech wmieszała stanowczo za dużo kokieterii. Ryza nie pozostał obojętny, choć tyle razy deklarował, że nie cierpi plastiku.

- Dziękujemy pani – powiedziała sucho Dorota. – To ważna informacja. I o torebce, i o dwóch telefonach. Być może uda się nam je namierzyć. Kwestię ubrania powinniśmy jeszcze skonsultować z rodziną. Może ciepłych butów ma więcej niż torebek, prawda? W tej sprawie też bardzo nam pani pomogła. Na ten moment to wszystko. Zobaczymy, jak się sytuacja rozwinie. Będziemy mieli więcej pytań, gdy już sprawdzimy kilka rzeczy. No, chyba że w międzyczasie zguba

się odnajdzie...

– Dobrze.

Kownacka nawet nie próbowała udawać entuzjazmu. Policjanci wymienili spojrzenia. Lepiej było odprawić świadka, żeby nie gnębić matki i siostry zaginionej. Albo raczej, żeby to one nie zamęczyły Kownackiej pretensjami, że jej nie upilnowała. W rozpaczy gada się bzdury. Dotarły na Rodzinną pół godziny temu i poproszono je o dokładne przejrzanie ubrań. W dwupokojowym mieszkaniu zrobiło się więc ciasno. Całe szczęście, że ekipa techniczna akurat była wolna i zdążyła wcześniej przepatrzyć mieszkanie, a te profilaktyczne oględziny nie wymagały wynajmu robota czy wozu strażackiego, więc nie będzie pretensji o generowanie zbędnych kosztów.

Kiedy na pierwszy rzut oka w miejscu zamieszkania wszystko jest w porządku, najpierw sprawdza się po znajomych, w pracy czy po szpitalach, a jak rodzinne poszukiwania nie dają żadnego efektu, do gry przystępują fachowcy i jako jeden z pierwszych badają wątek samobójstwa. Wtedy też wykluczają lub uwzględniają udział w zdarzeniu osób trzecich.

Piętnaście lat doświadczenia podpowiadało Dorocie, że to mylny trop i że ten przypadek w ogóle odbiega od schematu. Z drugiej strony, jeśli Topolska zdecydowała się na przykład na skok do rzeki, to mogła nie mieć apetytu. Systematyczna i rzetelna, tak to ujęła jej młodsza siostra. Sumienny pracownik, który na pewno nie olałby audytu. Inna sprawa, że z jakichś powodów mogła się go bać. Było zdecydowanie za wcześnie na pełnowymiarowe śledztwo, ale musieli się przecież dowiedzieć, jak otoczenie postrzegało Sylwię. W takiej sytuacji nikt nie nazwie jej wprost nudną i przewidywalną, bo liczyli się z tym, że może być już świętej pamięci.

Justyna Topolska, młodsza siostra Sylwii:

Kiedy po tygodniu siostra się nie znalazła, śledztwo wkroczyło – jak to powiedziała ta policjantka – na inne tory. Nie trzeba było specjalnie się na tym znać, żeby wywnioskować, że nikt jej siłą nie wyciągnął z mieszkania. Raczej podstępem albo może jakimś szantażem. Ktoś zadzwonił, złapała torebkę, zbiegła na chwilę na dół, no i... I nie wiadomo, bo akurat ani w jej bloku, ani w sąsiednich nie ma kamery. Mało lokatorów, jeszcze nie zebrała się wspólnota, to i nie zdążyli

uchwalić, czy montować monitoring, czy nie. A przecież właśnie teraz przydałby się najbardziej, bo ludzie się w ogóle nie znają i nie wiadomo, kogo się wpuszcza: sąsiada czy złodzieja.

To osiedle jest bardzo nieciekawe. Każdą działkę wykupił inny deweloper, jakby wcześniej wywalczył ją, grając w państwa. My z siostrą też się w to bawiłyśmy, dopóki mama nam nie zabroniła rzucania scyzorykiem, bo to niebezpieczne. Gdybym ja miała wybierać, wolałabym Ołtaszyn, gdzie jest sporo takich samych bloków, niskich, ogrodzonych, z ładnymi podwórkami. Niby nic w porównaniu z lasami obok naszej wsi, ale coś za coś. Na osiedlu Sylwii wyszło taniej, a ona nie chciała ani wyzbywać się wszystkich oszczędności, ani brać większego kredytu. Mówiła też, że na razie dwa pokoje, ale to na pewno nie na całe życie. Bo to życie na pewno nie miało być samotne.

Żałowała, że nie sprawdziła wcześniej temperatury i że nie wzięła rękawiczek, ale nie zamierzała po nie wrócić. Mogło być z minus dwa stopnie, choć jeszcze wczoraj jesienne dwanaście. Dorota zwiększyła tempo biegu, by szybciej rozgrzać dłonie. W czasie biegania nie potrafiła spójnie myśleć, za to w jej głowie pojawiały się dziwne skojarzenia, które nauczyła się doceniać. Tak i teraz zapach gnijących liści powiązała z tym, co Ryza mówił o kawie z mlekiem. Właściwie o tym, że jeśli przypadkiem wyleje się ją na ubranie, po pewnym czasie cuchnie jak rzygowiny. A może właśnie je czuła w tym momencie, bo ktoś zwymiotował w krzakach? Po kilku metrach odór stracił na intensywności, ale wzmocniło się jej wrażenie, że zaginiona Sylwia Topolska jest gdzieś blisko. Nie tego parku, tylko swojego domu albo dzielnicy. Choć we Wrocławiu szybko ubywało pustych parceli, opuszczonych ogródków działkowych czy terenów z niedokończonymi budowlami, sporo ich jeszcze zostało. Właściciele psów jakoś je omijali, zadowolając się skrawkami trawników przy blokach, bo łatwiej sprzątnąć kupkę niż skakać za Reksiem do wykopu. I coś w tym wykopie znaleźć, i narobić sobie kłopotów. Nie odnotowali zbyt wielu takich przypadków, coś jej jednak mówiło, że się nie myli. Oczywiście, nie mając na razie żadnych podstaw, nie mogli przeorać wszystkich miejskich nieużytków. Albo – bo i tę opcję należało uwzględnić w mieście pełnym rzeki – przeczesać całego dna Odry, która zresztą wysłałaby ciało gdzieś dalej. Co do tego Dorota miała pewność: szukają już tylko ciała.

Próbowała podsumować dotychczasowe wnioski przy kawie bez

mleka. Wszystko wskazywało na to, że Topolska chciała żyć. Raczej na pewno sama sobie nic nie zrobiła. Dla odmiany, niewiele mieli wskazówek dotyczących tego, kto przyczynił się do jej ewakuacji z mieszkania. Tak czy inaczej, nierozpakowane zakupy, niedokończony jedzenie, prowizorycznie zamknięte drzwi dowodziły, że wyszła w pośpiechu. Nie wiadomo, czy tylko na chwilę, bo nikt nie był w stanie powiedzieć, ile naprawdę miała ciepłych okryć i butów. Ten sam problem dotyczył całej garderoby. Ubrania, w których widziała ją koleżanka, zostały w mieszkaniu. Kapcie też, lecz i ich mogła mieć więcej niż jedną parę. Na pewno zabrała ulubioną torebkę, a w niej obie komórki, ale na tym wszystkie pewniki się kończyły.

Żadna z kobiet nie miała też pojęcia, czy Sylwia prowadziła jakiś dziennik, czy też ograniczyła się do notesu, który znaleźli na nocnej szafce. Nie był zupełnie nieprzydatny, ale nie zawierał ani jednego imienia, tylko inicjały, towarzyszące „spotkaniu z”. Sądząc po zapisanych godzinach, chodziło o sprawy zawodowe. Nieco większą wylewnością zaginiona wykazywała się na Facebooku. Smętne ballady, wyrażające smutek emotikony i zdania nadmuchane wielokropkami. Głęboki... długi... namysł i... bezdenne... melancholia. Dorota wiele razy widziała ów „głęboki namysł” wyryty kropkami w składanych na piśmie zeznaniach. I w listach samobójców. Szczególnie w nich.

W komputerze nie znaleźli nawet próbnej wersji pożegnalnego listu... Nie musieli łamać żadnych haseł, bo zaginiona wszystko pozwoliła zapamiętać przeglądarce. Po prostu nie miała wiele do ukrycia. Jeden zapis rozmowy sprzed pół roku, która poświadczała, że Topolska czuła się bardzo samotna. Sama... Sama... Na pewno częściej komunikowała się za pomocą SMS-ów, ale ich treść przepadła razem z komórkami. Wszystko to niespecjalnie zdziwiło Dorotę Makarewicz. Też tak robiła. Nie tylko z racji zawodu, lecz z przekory. Musiała jednak przyznać, że portale społecznościowe bardzo ułatwiały im pracę.

Izabela:

Szybko dała się przekonać do zabawy w konspirację. Ale przecież nikt nie mógł od niej wymagać, żeby dochowała tajemnicy przed samą sobą. Całe szczęście, że zauważyłam jej dziennik, gdy szykowała się w łazience na jeden z występów. Całe szczęście, że potem miałam okazję go zwinąć. Gdy łaziłyśmy po galerii, powiedziałam jej, żeby

czekała na kuriera i żeby zabrała ze sobą oba telefony. Wykaz połączeń nic im nie da. Co z tego, że często dzwoniła do mnie? Co z tego, że kurier przez domofon kazał jej po prostu zejść za pięć minut?

– Niewiele tego – stwierdził Piotr podając listę szefowej. – Matka, siostra, ze dwie koleżanki oprócz tej Kownackiej, kolega z pracy, koleś z ekipy remontowej. Po prawdzie są jeszcze dwa numery, niezbyt często wykorzystywane, ale się powtórzyły. Co ciekawe: oba przestały istnieć. Od razu ci odpowiadam, że oba na kartę.

– Jak mówiłeś: ludzie są teraz tacy wyedukowani – westchnęła. – Z drugiej strony: mamy aż za mocny sygnał, że zadawała się z jakimiś cwaniakami.

– Ale czego mam się trzymać? Że za mocny, czyli jawna ściema, czy tego, że cwaniacy?

– Tak sobie myślę – Dorota odsunęła fotel od biurka, jakby chciała z dystansu spojrzeć na wypełniony przez siebie ekran – że prawda leży gdzieś pośrodku. Nie stawiam na wielkie planowanie, raczej na fuksa. Bo ciemno, monitoringu brak, sąsiedzi dopiero zaczynają się rozpoznawać, a dziewczyna średnio się pali do integracji i nie trzepie na Twitterze o każdym swoim wdechu i wydechu.

– Chwila, z tego, co wiemy, jeździła na imprezy integracyjne – zauważył, ale zaraz ostudził sam siebie. – Fakt, musiała.

– Musiała. I mogła wplątać się w coś w środowisku zawodowym. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to wiadomo. A jeśli jeszcze mamy do czynienia ze spółką handlową...

– Tak, ale jeśli rzeczywiście uskuteczniła jakieś machloje finansowe, to wciąż nie wyszły na jaw.

– A jej rachunki?

Ryza chwycił jedną z leżących na biurku teczek i wyciągnął z niej plik papierów. Trzeba przyznać, że dbał o porządek, ale nie z zapałem maniakałnego pedanta. Od razu kładł wszystko, gdzie trzeba, tam też odkładał i nigdy nie tracił czasu na szukanie. Zamiłowanie to w pewnym stopniu przekładało się na sposób prowadzenia sprawy i tu już Dorota musiała na niego uważać. Chodzenie na skróty działało tylko w wypadkach, kiedy sprawca zostawił odcisk całej łapy, pełną prezerwatywę albo samego siebie, bo zabrakło mu siły, by podnieść głowę ze stołu. Ale nawet na melinach, na których zastawali komplet odcisków, narzędzi i nieprzemieszczonych plam opadowych, mogli nie zastać wykonawcy, bo w pijanym widzie gdzieś powędrował.

– Generalnie: nic ciekawego. Stałe zlecenia płatności, kredyt na mieszkanie niewielki i płacony bez opóźnień, trzydzieści pięć tysięcy oszczędności, ale...

– Umiarkowanie dobra partia – wtrąciła. – Z drugiej strony: nie dla takich sum ludzi zabijali. Mnie się jednak wydaje, że tu w ogóle nie chodzi o pieniądze.

– Czekaj, Dorota, dużo nie zebrała, bo robiła sporo zakupów. Dokładnie nie wiadomo jakich, mam tu tylko nazwy sklepów, ale po niektórych można się zorientować. No, we wrześniu niby miała przeprowadzkę, a tu ostro zaszalała w sklepie z bielizną. Internetowym. Sama zobacz: siedem tysięcy.

– O kurwa. Przez dziesięć lat tyle bym nie wydała. Szaleństwo. Masz jakiś pomysł dlaczego?

– Zakochała się?

Piotr nie zamierzał tracić czasu, ale i Dorota nie zamierzała specjalnie się z nim spierać.

– Więcej niż jej miesięczne zarobki... A może nie brała tego na użytek własny, tylko na handel? Chociaż to bez sensu: gdyby była akwizytorką, nie wzięłaby towaru z drogiego sklepu.

– Oj, Dorcka, strasznie jesteś przyziemna. Romantyzmu trochę! Dziewczyna naczytała się *50 twarzy Greya* i pewnie chciała być jak ta... Nie wiem, bo nie czytałem, ale bohaterka to taka gąska, nie?

– Też nie wiem – skłamała.

Ryza przez parę chwil przyglądał się zdjęciu zaginionej.

– Niektórzy lubią takie chudziny. Co myślisz, Rychu? – zwrócił się do informatyka, który od minuty tkwił w drzwiach jak zawieszona lenówka. Piotr najwyraźniej użył odpowiedniej komendy, bo Ryszard Kot zdjął rękę z klamki i nieznacznie się skrzywił.

– Dla mnie jakaś taka wyszorowana za bardzo. Człowiek musiałby obowiązkowo zmieniać skarpetki co sześć godzin.

W dziwnej uwadze Rysia coś było. Makarewicz czuła jednak, że zwrot wektora trzeba odwrócić w przeciwną stronę. Co by oznaczało, że dziewczyna sama chciała się ubrudzić. Kusiło ją wylanie lampki wina na białą sukienkę. Ale czy na pewno upierniczenie białej kanapy? Podkomisarz przypomniała sobie wnętrze mieszkania Topolskiej i dominującą w niej biel, złamaną jedynie szarymi ramkami, w które oprawione były grafiki z Almi Decor, oraz pojedynczymi bibelotami w zimnych kolorach. Indywidualizm dedykowany menedżerom średniego szczebla. Za to ani pół zakurzonego pieska z przedszkola,

ani jednej fotki z wakacji życia. Ile rzeczy musiało się kotłować w tej drobnej kobitce?

– Dorota, nie świruj znowu, mówię do ciebie – Ryza wyrwał ją z zamyślenia.

– Przepraszam, kochani. O czym rozmawialiście?

– O tym, że mamy już całkowitą pewność, co do jej prywatnego telefonu. Ostatni sygnał pochodził z okolic Bielan. – W sprawach zawodowych Rychu wykazywał się pełną rzeczowością. – A potem pewnie aparacik lub karta SIM wylądowała w Ślęzy.

– Od biedy ona sama też mogła wylądować w rzeczce, ale już dawno ktoś by ją znalazł – dorzucił Piotr.

– Jak tego młodego kolesia w dziewięćdziesiątym dziewiątym – podjął informatyk. – Blisko, bo na Partynicach, za torem wyścigów konnych. Nadal go nie zidentyfikowaliśmy, mimo że kilka razy o tym pisali, kiedy powstało wrocławskie Archiwum X. Ja to bym obstawiał, że on gdzieś zza Uralu.

– Dobra – Ryza przerwał ten wywód – mamy kolejny dowód, że cokolwiek się stało, stało się w pobliżu miejsca zamieszkania tej Topolskiej. Patrol od razu się przeszedł wzdłuż wałów i nic, oczywiście. Jak ktoś bardzo chce, może się utopić w wodzie po kolana, w porywach do metra najwyżej. Dno widać dobrze, więc długo by nie poleżał w spokoju. Ciało można lepiej schować. I oczywiście bardziej skutecznie się zabić. A my jesteśmy już niemal pewni, że to nie samobójstwo Tak czy siak, dzięki Rychu.

Kiedy Piotr stwierdził, że stoją w miejscu, Dorota nie chciała się z nim zgodzić. W każdym razie zgodziła się tylko dla świętego spokoju. Wiedziała, że znowu wykpi jej niekonwencjonalne pomysły na śledztwo, i tylko zmarnują czas. Pozostawały jej więc rozmowy z samą sobą przy bieganiu. A jednak Ryza ją zaskoczył. Sam chciał kontynuować temat zwiększonego zapotrzebowania na bieliznę. Uznał, że do tego, gdzie konkretnie znajduje się Topolska, bądź jej martwa już powłoka, nie dojdą, jeśli nie dowiedzą się, kto ją wywiózł. Komórka wypuściła sygnał około 21.30, sama by się o tej porze nie wybrała na spacer, choć jeśli właśnie miała to być jej ostatnia przechadzka, zwiększała się szansa, że nie będzie świadków i potencjalnych wybawców.

Ale tezę o samobójstwie podważało stwierdzone przez nich jej zamiłowanie do porządku i miłość do bliskich. Umyłaby talerz, porządnie zamknęła drzwi, równymi literkami wyłuszczyłaby powody

odstawienia życia. Słowem: nie było to w jej stylu. Tyle że stało się właśnie coś, co od jej stylu odbiegało. Doszło do jakiegoś odstępstwa od norm moralnych albo od kompleksów. Szara myszka musiała mieć niejedną, co przyznali bezspornie. Dlatego po tych paru dobrych tygodniach nikt nie zamierzał się zakładać, że mają do czynienia z klasyką. Problemem było przede wszystkim znalezienie dowodów. Nie twarde, lecz jakichkolwiek.

W sferę bardziej abstrakcyjnych koncepcji Makarewicz udała się w pojedynkę. W tej sprawie ciągle potykali się o ciuchy. Nikt nie był w stanie stwierdzić, co miała na sobie w momencie zniknięcia. Nie przyjrzeni się też ostatecznie tej zakupionej za bajątkową sumę bieliznie, bo jej nigdzie nie znaleźli. Czy różniła się od tego, co zazwyczaj nosiła Topolska? Czy była wyłącznie ekskluzywna, czy może wulgarna? A jeśli tak, to w jednym typie i kolorze, czy też wielu? Jeśli w grę wchodził podobny model, kombinowała Dorota, mogło to oznaczać podporządkowanie się konkretnym gustom. Jeśli nie, dopiero chciała sprawdzić, w czym się najbardziej podoba... Ponieważ jednak te nowe ubrania od reszty różniły się nie tyle jakością, ile hurtowym zakupem, w żadnym razie nie powinni odrzucać tezy o świeżym zauroczeniu. Pora roku ograniczała możliwości eksponowania seksapilu, tym bardziej przez porządne młode kobiety na odpowiedzialnych stanowiskach, bielizna była więc najprostszym rozwiązaniem. Ale z czyjego powodu Topolska nie mogła jeść i szastała pieniędzmi?

Izabela:

Dzięki hurtowemu zakupowi miałyśmy duży rabat, trzy czwarte zamówienia było dla mnie, więc mi wszystko przyniosła, jak tylko przysłali. Potem, kiedy niby to ciężko zmartwiona przyszłam sprawdzić, dlaczego nie pojawiła się w pracy, zgarnęłam z szuflady dwa kompleciki Chantelle, bo jestem wprawdzie sporo wyższa, ale noszę ten sam rozmiar stanika. Dziennik położyła na nocnej szafce. Niby przed kim miała go chować? Założyłam też jej kurtkę pod swoją i tak wyszłam. Wcześniej jednak przestawiłam kilka przedmiotów. Tak sobie, bez celu, wiedząc, że nikt się na tym nie pozna i kompletnie nic mi za to nie grozi. Poszło szybko i zdążyłam nawet podrzucić zgarnięte rzeczy do siebie, zanim z kierowcą wróciliśmy do firmy.

S. miał rację. Rzeczywiście nie można było już dłużej zwlekać. Trzeba

było załatwić sprawy, zanim zainstalowali tu kamery.

Młodsza Topolska także była rudowłosa, o ile jednak Sylwia kojarzyła się z wiewiórką, Justyna przypominała kotkę. O różnicy sprawiającej, że twarz pierwszej zapominało się po chwili, a drugą zapamiętywało na dobre, decydowały przede wszystkim oczy i kształt twarzy. Dorota nie zwróciła uwagi, jak dziewczyna się porusza, ale mogłaby się założyć, że z kocim wdziękiem. Teraz jednak siostra zaginionej była zbyt zmartwiona, by sprawdzać, jakie wrażenie robi na policjantach. W każdym razie niemal nie odrywała dłoni od ust i nie kręciła się, jakby pozowała przed dwoma parami oczu.

Idiotyczne, pomyślała Makarewicz, ale być może w efekcie selfiemanii ludzie zupełnie przestaną jeść publicznie, bo w trakcie przeżuwania wszyscy źle wyglądają. W każdym razie Sylwia Topolska nie przepadała za zdjęciami, o czym świadczyła ich niewielka liczba i napięcie widoczne w jej oczach, kiedy pozowała. Jeśli zmieniła nastawienie, ślad mógł pozostać jedynie na prywatnej komórce, a ta zdaje się bezpowrotnie przepadła razem z właścicielką. Podkomisarz wiedziała już, że musi się skoncentrować na zmianie. Musiała ona wynikać z fatalnego zauroczenia i polegać na innym nastawieniu Topolskiej do własnej kobiecości, w tej sprawie była jak najbardziej przewidywalna. Ale by zrekonstruować zmianę osobowości zaginionej, należało przede wszystkim odtworzyć stan, który ją poprzedzał. Stan jej konta, zdrowia i skrzynki mailowej. Zawartość szaf, kosmetyczki, pudełka z biżuterią i apteczki. Niby nie tak znów wiele, tylko jaki śledczy ma aż tyle czasu? I to dla zwykłej menedżerki średniego szczebla, która ewidentnie nie zrobiła nic, co uzasadniałoby nadzwyczajne działania? Poszukiwaniami musiała się zająć głównie rodzina i garstka ludzi, dla których czyjeś zniknięcie nie oznaczało jedynie drobnej dezorganizacji w pracy. Szły święta, po kilku tygodniach ratować już nie było kogo, intrygujące pozostawało tylko wyparowanie z domu.

– Niczego nowego nie znalazłam – przyznała Justyna. – To znaczy: znalazłam sporo nowych rzeczy, ale już za pierwszym razem. Po prostu wszystkiego mi nie pokazała.

– Dlaczego? – Dorota również od razu poznała efekty poszukiwań, lecz dotąd nie postawiła pytania w ten sposób.

Wcześniej zastanawiali się, czy w grę nie wchodziło załamanie psychiczne, które doprowadziło do samobójstwa, ale naprawdę

niewiele świadczyło o tej wersji zdarzeń. Dwie piosenki zalinkowane ostatnio przez Topolską były pogodne, bez ironicznych podtekstów. Co może być ironicznego w deklarowaniu chęci, żeby z kimś zatańczyć?

– Nie chwaliła się ciuchami ani kosmetykami, żeby mi nie dawać powodów do zazdrości. Zaraz pewnie pani zapyta, czy, jak wiele młodszych sióstr, zazdrozczę wszystkiego, co ma starsza. Może kiedyś, jak byłam dzieciakiem, teraz z tego wyrosłam. Nie jesteśmy takie. – Dziewczyna wkładała pewne starania, by nie użyć czasu przeszłego. – Sylwia zawsze kupuje mi fajne prezenty na święta i urodziny, ale sama ją proszę, żeby nie przesadzała. To kwestia wychowania: na luksusy trzeba sobie samemu zapracować. U nas w domu nie było ani biedy, ani jakichś specjalnych luksusów, raczej woleliśmy oszczędzać na coś większego. Też, jak siostra, mam zgromadzony wkład własny na mieszkanie, chociaż rodzice chcieliby, żebym nigdzie nie wyjeżdżała i została na gospodarstwie.

Z jej neutralnego tonu trudno było wywnioskować, co właściwie oznaczało oszczędzanie i ile energii musiały wkładać młode Topolskie w walkę o swoje. Makarewicz nie mogła przeświecić pod tym kątem mamy Topolskiej. Nikt by nie pozwolił na ściąganie jej do Wrocławia tylko po to, by mową ciała zdradziła dociekliwej podkomisarz, jaką presję wywiera na córki. Teraz jednak nikt nad policjantką nie stał ze stoperem, zapytała więc:

– A pani czego chce, pani Justyno?

– Chociaż spróbować czegoś innego – odparła z uśmiechem.

Dorota czuła, że podłoże zaginięcia Sylwii Topolskiej jest właśnie takie. Skrzętna chłopska córka chciała doświadczyć nieznanego, co wiązało się być może z odrzuceniem wrodzonej gospodarności. Niewykluczone, że i z dobrowolną utratą rozumu. Tego właśnie musiała się trzymać.

– Wszyscy twierdzą, że pani siostra nie ma stałego partnera.

– Nie ma żadnego, o ile wiem. Myślę, że by mi o nim powiedziała. Chociaż... Ostatnio zamknęła się w sobie. To znaczy jest ciągle miła i kochana, pyta, co u mnie, słucha, tylko sama nie jest wylewna.

– Rozumiem, pani Justyno. Rozumiem też, że mogła się pani poczuć urażona moją sugestią i przepraszam. Nie chodziło mi o okazjonalne spotkania, no, o przygody. Ale randkowania też siostra unika?

Topolska pokręciła głową na znak, że tego też nie wie.

– No, a dawniej, jak to wyglądało? Miała kogoś?

– Tak. Późno. To znaczy w liceum nikogo. Sylwia miała wtedy taki

okres, że myślała o wstąpieniu do zakonu. Nie do końca rozumiem, dlaczego. Byłam za mała, żeby z nią porozmawiać poważnie. Zbywała mnie właściwie gadaniem o marności życia i o poświęceniu się Bogu. Przepraszam, że tak trywializuję, po prostu niewiele zapamiętałam z jej argumentów. Kłóciłyśmy się, jak to młodsza o siedem lat gówniara z prawie dorosłą licealistką, ale ją oczywiście uwielbiałam. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że ona tę swoją rzekomą świętość buduje na kompleksach.

Makarewicz ucieszyła się w duchu, że jej wcześniejsza bezpośredniość jednak odniosła skutek.

– Ciągłe je pani wyczuwa?

– Tak. Tak, chociaż teraz woli unikać tematu. Albo się zasłania karierą.

I znowu potrzebny byłby czas na zgłębienie rodzinnych relacji oraz ich wpływu na poziom pewności siebie obu kobiet. Być może młodsza z sióstr nie znosiła swoich piegów, ale też nie miała powodów, by umniejszać swoją inteligencję. Bez wątpienia była najcenniejszym świadkiem: nie zdarzeń, ale kształtowania się psychicznych okoliczności tragedii. Dorota coraz mniej wierzyła w szczęśliwe rozwiązanie zagadki. Niby jakie mogłoby być?

– A dlaczego właściwie pani Sylwia zrezygnowała z powołania? Wiem, nie rozmawialiście wtedy, ale może później...

– No właśnie, później mi powiedziała – stwierdziła Justyna. – W przedostatniej klasie liceum Sylwia poszła na pielgrzymkę do Częstochowy i jeden ksiądz ją od tego odwiódł.

– Dziwne. – Dorota odetchnęła uświadomiwszy sobie, że zaginiona osiągnęła już wtedy pełnoletność. – Odwiódł, a nie namawiał. A może wcale nie musiał, tylko po prostu pani siostra zareagowała na niego jak kobieta.

– Pojęcia nie mam. – Justyna wzruszyła ramionami. – Dla mnie był czterdziestoletnim starcem. Naprawdę nie umiem powiedzieć. On się opiekował kółkiem oazowym, ale nie w naszej parafii, tylko w Głogowie. Grał na gitarze, fajnie się dogadywał z młodzieżą. Tak przynajmniej wspominali, bo dwa lata później gdzieś tam został przeniesiony.

– Dwa lata później?

– Może półtora roku, może trzy lata, musiałabym mamy zapytać. Na pewno nie wiązał się z tym żaden skandal, bo bym lepiej pamiętała.

– Rozmaicie bywa... – powiedziała Dorota zdawkowo.

Zanotowała w duchu, że warto by jednak sprawdzić, czy w ciągu minionych dwunastu lat ów ksiądz nie pojawił się na horyzoncie i znów Topolskiej do czegoś nie przywiódł. Podkomisarz nie wykluczała tego, że przegięła w swoich domysłach, ale skutek konfrontacji na pielgrzymce dowodził, iż coś musiało być na rzeczy. Albo jednemu, albo drugiemu puściły hamulce. Można by jeszcze sprawdzić, gdzie ów duchowy przewodnik wylądował i czy lądowania tego nie poprzedzał przypadkiem nienormalnie długi urlop. Inna sprawa, czy dane im będzie zrobić użytek z tej wiedzy.

– No dobrze, co w takim razie działo się później z pani siostrą?

– Później wciąż było między nami siedem lat różnicy. – Przekąs w głosie Justyny brał się chyba ze zmęczenia. – Ale oczywiście, kiedy Sylwia była na studiach, dużo więcej pojmowałam, no i rozłąka sporo tu robiła. Czasem mi się zwierzała. No właśnie, czasem, bo o jej pierwszym facecie dowiedziałam się dopiero, kiedy się rozstali. Z tego, co wiem, po dwóch miesiącach. Zdradził ją.

– Czy oni sypiali ze sobą? – Dorocie przyszło na myśl, że są pytania w kształcie odwróconej litery Y.

Sądząc po reakcji dziewczyny, pytanie głęboko ją dotknęło.

– Nie!

Zdrowy rozsądek, jaki Justyna często objawiała, czasem przegrywał z wychowaniem. A Makarewicz niekoniecznie przyzwyczajona była do broniących cnoty trzydziestolatek. Ba, przestały ją już nawet gorszyć seksualne wyczyny gimbazy. Domyśliła się jednak, iż chodziło tu o zachowywanie wstrzemięźliwości aż do ślubu. Biorąc pod uwagę większy szacunek mężczyzn do tego, na co musieli poczekać, miało to sens. Z drugiej strony, liczba panien z brzuchem na kościółkowych przedmażeńskich wykładach o naturalnej antykoncepcji świadczyła o tym, że starego prawa przestrzegali tylko ortodoksi. Tyle że w tym wypadku się myliła.

– Po dwóch miesiącach ktoś mojej siostrze powiedział, że Zbyszek jest gejem. Od razu zapytała go, czy to prawda, i potwierdził. Szukał sobie przykrywki. Oburzyłam się, bo to było obrzydliwe, ona się naprawdę zakochała, a on chciał ją oszukać.

Ona jego, a on ją, powtórzyła w myślach Dorota. Właściwie nie musiała słuchać dalszej opowieści Justyny, by odgadnąć, że, jak wiele kobiet przed nią i po niej, w wieku trzydziestu lat Sylwia Topolska stała się żywą kumulacją rozczarowań. Wciąż się jednak nie poddawała, lecz prawdopodobnie zmieniła strategię. To była już druga

wskazówka, która prowadziła do wniosku, że miłość zawiodła panią menedżer do zguby. Makarewicz dopisała do listy nazwiska dwóch absztyfikantów Sylwii, bo oczywiście należało ich sprawdzić. Choć, według Justyny, to oni mieli zerwać znajomość z jej siostrą, ich zeznania mogły bardzo pomóc w pogłębieniu profilu wiktymologicznego. Czyli – jak by rzecz ujął kolega Ryza – potwierdzeniu, że sama się prosiła.

Izabela:

Interesowały ich tylko amatorki, bo z jednej strony niczego nie udawały, a z drugiej lubiły te rzeczy. Zanim stwierdziłam, że Topola się nada, obserwowałam ją przez pół roku. Oczywiście, mówiąc „obserwowałam”, mam na myśli także rozmowy. Nie była zbyt chętna do zwierzeń, rzadko dawała się wyciągnąć na drinka, ciągle tylko praca i praca. Ale jak już mi się udało, to pełen sukces. Zaczynała się mazać. Najdostowniej. Dlatego już za drugim razem zaprosiłam ją do siebie, żeby na nikogo się nie natknąć, i dałam się zapraszać jej, jeszcze na stare mieszkanie. Czasem dołączała Renata, moja kumpela ze szkoły, raz jakaś jej koleżanka, w każdym razie grono było zawsze babskie i sprzyjało uzalaniu się nad sobą. Żal miał być głęboki i trwały. S. mówił, że takie myszy, zwłaszcza te rozczarowane rzeczywistością, mają największy potencjał. Musiałam się też upewnić, że po tym jak przestanie być taką świętoszką, bo jej to S. i reszta wybiją z głowy, nikomu się nie wygada. Albo ze wstydu, albo w nadziei na ciąg dalszy. Chyba jeszcze niewystarczająco znam się na ludziach, bo zamiast cieszyć się łatwym zarobkiem, zaczęła robić dym.

Nieszczelne okna budynku komendy pozwoliły Dorocie wreszcie docenić moherowe skarpetki, które dostała pod choinkę od teściowej. Przez dziesięć lat zgromadziła dziesięć takich rękodzieł. Zgromadziła też wystarczający zasób cierpliwości, żeby za każdym razem dziękować wylewnie mamie Wojtka. Kształtem zbliżone do kondomów i z kawałkami miękkiej skóry wszytymi w miejsce pięt, skarpety były nie do zdarcia. Bardziej jednak przydałyby się jej rękawice, bo pracując w terenie, częściej musieli odsłaniać dłonie. W wełnianym kokonie szybciej by dochodziły do siebie. Na szczęście nie mieli ostatnio zbyt wielu spraw, które wymagałyby ruszenia się z fotela.

Mimo że w ich pokoju było najwyżej piętnaście stopni, to i tak o dwadzieścia więcej niż na zewnątrz.

– I co tam z Nowym Rokiem? – zapytała Ryzę, który usiłował zabić nudę kolejną kawą.

– *Breslau typische Verbrechen*. Dziesięć minut temu wyłowili tę babeczkę, co się pośliznęła nad ranem przy fosie. Daleko nie odpłynęła, bo łódź jest na środku, ale nikomu się nie chciało włączyć do wody. Zapałki chłopaki ciągnęli.

– Daj spokój, Piotrek, przecież na pewno wzięli ponton. A co z tym studentem, który zaginął w sylwestra?

– No wiesz, miał pecha, bo poszedł sikać nie przy fosie, tylko normalnie, przy rzece. Tak swoją drogą, to u nas zawodowy zabójca nie musiałby strasznie kombinować. Wystarczy, żeby zaplanował wszystko na zimę, trochę delikwenta pośledził, zasadził się gdzieś przy rzece albo przy kanale, u nas nie ma z tym żadnego problemu, popchnął i po zawodach. Powiedz sama, udowodniłabyś, że wpychał ofiarę, a nie chciał ją wyciągnąć i to po ratowaniu ma otarcia?

– Tego pewnie nie, ale prawie wszędzie masz monitoring, więc to nie jest aż takie proste. No właśnie, sytuację tej od fosy trzeba sprawdzić dla świętego spokoju.

– Żadna robota, Pawlickiego się wyśle, jak ten gostek, co z nią był wytrzeźwieje i złoży zeznania.

– Się wyśle – mruknęła. – Ty coś w ogóle na dzisiaj zaplanowałeś poza kawą?

Z udawaną udręką w oczach wskazał na biurko, gdzie spoczywał stos teczek, który ani trochę nie zmalał od minionego roku.

– Proszę. Wiesz, że – przypomniał sobie – koledzy tego studenta już wszędzie rozlepiają plakaty i kilka wisi obok naszej myszki, no wiesz której. Nie wiem, czy oni tak specjalnie zrobili, ale u niej widać prawy profil, a u niego lewy i tak się ku sobie zwracają.

– Kto to zrobił? – Dorota otworzyła folder, w którym gromadziła materiały związane ze sprawą Topolskiej.

– No, ci studenci taki kolaż zmajstrowali, że niby pan z panią ze sobą rozmawiają – ciągnął niezrażony Piotr.

– Ty chyba jeszcze do końca nie wytrzeźwiałeś... W ilu miejscach przykleili plakat w ten sposób? W jednym przez przypadek? Przecież to nie jest powód do żartów. Młodzi ludzie, wyobraź sobie, jak to przeżywają ich rodzice. Co ja wygaduję? Przecież wiesz, co przeżywają, nie raz i nie dwa z nimi rozmawiałeś. I nie mów mi, że nie można się

tak emocjonować, bo dystans, bo profesjonalizm, bo się oszaleje w końcu. Przez większość czasu to wszystko olewam, robię, co do mnie należy, staram się odsunąć to od siebie, chociaż bez prochów na sen pewnie nie dałabym rady. Ale nic nie poradzę na to, że mi ciągle żal tych biednych ludzi. Tej Topolskiej mi jakoś szczególnie żal, nie wiem, czemu.

– To chyba dobrze, że żal – stwierdził poważnie. Czyżby programowy ironista na nowy rok podjął postanowienie poprawy? – W końcu dlatego masz taką, a nie inną pracę. Sorry, Dorka, nie będę powtarzał banałów, sama je sobie wyklep w duchu. Nic lepszego się tu nie wymyśli. Tylko dziwi mnie, że akurat ta sprawa tak cię poruszyła.

– Mnie też. Ale przynajmniej wiem, dlaczego. Niewiele da się tu zrobić, a ja nie cierpię czuć się taka bezużyteczna.

Justyna:

Nigdy, o ile w moim wieku można tak generalizować, nie wierzyłam w przeczucia. W jakieś prorocze sny czy przedmioty tłukące się na znak czegoś. Na przykład w ulubioną wróżbę babci Oli: obrazy, które spadają ze ściany, kiedy ktoś umiera. No, może trochę w złowieszcze wycie psów, ale myślę, że to się wiąże z ich węchem. Tak jak wyczuwają czyjś strach, tak i reagują na zapach rozkładu. A to z kolei łączy się z ich dziwnym przywiązaniem do człowieka. Rozkład oznacza też utratę. U ludzi to też jest pewnie kwestia fizjologii. Na przykład stres powoduje spadek poziomu magnezu, a to z kolei wpływa na różne perturbacje organizmu. Bezsenność chociażby. U mnie zdenerwowanie objawia się swędzącą wysypką na ramionach.

Zdjęcie Sylwii zleciało z biurka dlatego, że był przeciąg.

Zidentyfikowano ją dopiero po badaniach DNA, które potwierdziły, że kobieta w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, mierząca 160 cm i zmarła mniej więcej przed trzema miesiącami, to zaginiona Sylwia Topolska. Znalazł ją facet, który wyszedł na dłuższy spacer z psem. Płytki grób wykopany został na nieużywanym polu, znajdującym się jakieś pół kilometra od miejsca, gdzie po raz ostatni logował się jej telefon. Przy zmarłej nie było ani telefonu, ani torebki, miała na sobie jednak ubranie. I tylko jeden but.

Ciało ułożono w wulgarnej pozie, z rozłożonymi nogami. Zimno nieco

spowolniło rozkład, więc można było jeszcze stwierdzić, że głowa denatki została prawie oddzielona od tułowia. Robota jakiegoś sadysty. Miała też złamaną prawą rękę, być może więc się broniła. Oglądając same tylko zdjęcia, Dorota zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby ograniczyć się na przykład tylko do buta. Ale dla rodziny szokującym widokiem musiała być nawet pamiątkowa spinka do włosów.

W pobliżu nie znaleziono ani drugiego czarnego botka, ani miejsca właściwej rzezi. Przy miejscu pochówku nie było zbyt wiele krwi. Gdziekolwiek została przelana, musiała spłynąć już z listopadowymi ulewami i grudniowym nietrwałym śniegiem. Luty był równie łagodny jak grudzień i tylko dlatego piesek dokopał się do spoczywającej w ziemi kości. Udowej, na szczęście dla właściciela psiaka. Wyglądała jak kawałek gałęzi.

Izabela:

W pracy od kilku dni nie mówi się o niczym innym. Właściwie to powinni wszystkich wysłać na przymusowy urlop, bo i tak głównie plotkują. Ogłosili już, że wszczynają śledztwo w sprawie morderstwa. Dlatego chętnie skorzystam ze swojego urlopu na żądanie. Na pewno znowu mnie wezwą, więc muszę na nowo ogarnąć temat. S. mówi, żebyśmy za bardzo nie panikowała i ja też nie sądzę, by znaleźli coś szczególnego, ale być może zaczną bardziej naciskać podczas przesłuchań. Cieszę się, że sobie zapisałam to, co im dotychczas mówiłam. Nie pogubię się. W każdym razie pogubię się tylko celowo, żeby ich zmylić. Już poprzednio tak robiłam, by odwrócić uwagę od czegoś grubszego. A jednak nie musiałam strasznie się starać, bo oni po prostu o pewne rzeczy nie pytali w ogóle. Teraz już chyba nie mogą olewać sprawy. Zdziwiłabym się, gdyby to robili.

Podkomisarz Makarewicz nie mogła wyjść ze zdumienia, że facet sam się do nich zgłosił. Jasne, kiedy w mieście pojawiły się plakaty z prośbą o informację w sprawie zaginionej, było sporo telefonów. Trudno jednak powiedzieć, żeby się urywały. Niekoniecznie też dzwoniły osoby znające przeszłość Topolskiej, to raczej oni do nich dzwoniли. Gdy chcieli go przesłuchać po raz pierwszy, Leszek Bagat znajdował się w Chicago, gdzie wylądował w sierpniu, by popracować w firmie wujka i, co łatwo było sprawdzić, pozostał tam aż do marca.

Nie udał się w tym czasie na gościnne występy do Polski

Był narzeczonym nr 3. To on rozdziewiczył Sylwię, o czym Dorota wiedziała już od Justyny Topolskiej, ale zawinał się zaraz po fakcie. Jego pojawienie się bez wezwania wydawało się więc Dorocie zupełnie niedorzeczne. Po co właściwie to bydlę przytruchtało na policję? Przez dobre pół godziny Bagat nie potrafił tego uzasadnić, wzbudzając podejrzenie, że jedynie szuka wrażeń, którymi będzie mógł się podzielić na jednym ze swoich wirtualnych profili. Zapalenie internetowej świeczki, dwa nawiasy kwadratowe i kropka, to nic w porównaniu z realną znajomością, jaka łączyła go z ofiarą bestialskiego morderstwa. I to znajomością w sensie biblijnym, co brzmiało na tyle szacownie, że można było się pochwalić.

Makarewicz znów musiała przywołać się do porządku. Za bardzo uprzedziła się do kolesia i znała go dotąd tylko z drugiej ręki. Co więcej, podsunął jej pomysł, na który dotąd nie wpadła. Z braku czasu na zgłębianie tej jednej sprawy, rzecz jasna. Oczywiście nie liczyła na filmik rejestrujący całe zdarzenie, choć niewiele już mogło wyprowadzić widzów z równowagi. Normą stało się pokazywanie w sieci publicznych egzekucji, sama niedawno obejrzała dokument poświęcony ostatnim chwilom Mussoliniego. Zatem nie chodziło o internetowy przekaz wprost, ale utrwalony gdzieś sygnał, w jakim stanie ducha znajdują się ludzie, którym ofiara otworzyłaby drzwi.

Czekała ją jednak niespodzianka, która nie wiązała się z nawróceniem Bagata. W wieku trzydziestu dwóch lat nadal był kawalerem i nadal lubił się bawić, o czym mówił bez ogródek. Sylwia nie należała do wyjątków, choć przyznał, że go niemiłosiernie nudziła. Nie spał wcześniej z żadną rudą, tak jak i wcześniej nie napotkał na większy opór, więc poświęcił Topolskiej cały miesiąc. Ujmował to właśnie tak, więc Dorota ucieszyła się, gdy dołączył do niej Ryza, co sprawiło, że ekschłopak Topolskiej przestał błaznować.

– Lepszego alibi pan mieć nie może, zerwaliście kontakt dawno temu, w większym stopniu na pana życzenie – podsumował Piotr. – Oczywiście każda informacja na temat naszej zamordowanej może okazać się istotna, choć, powiedzmy sobie szczerze, nie musi. I wydaje mi się, że...

– Ale ja mam coś ważnego! Trochę oglądam seriale kryminalne i wydaje mi się, że to ważne.

Policjanci postanowili mu nie przerywać.

– Owszem, zerwaliśmy z Sylwią kontakty. Znaczący, ona nalegała

potem na rozmowę, ale ja wiedziałem z doświadczenia, że lepiej uciąć to raz na zawsze. Jakoś nam się drogi nie krzyżowały przez te kilka lat, ona nie była zbyt rozrywkowa. No, ale właśnie! Spotkałem ją tuż przed wyjazdem do Stanów, w Galerii Dominikańskiej. Zachowywała się trochę dziwnie...

– Trochę... A tak bardziej konkretnie proszę powiedzieć – zachęciła Makarewicz.

– Udawała, że się nic nie stało. Tak jakbym ukradł jej ostatniego pączka z talerza albo coś w tym stylu. Jasne, wiele lasek wrzuca na luz po pewnym czasie, a już na pewno po tylu latach, ale do niej zupełnie mi to nie pasowało. Przecież ją skrzywdziłem, trochę. A tu sama zaproponowała kawę, na co zgodziłem się chyba dlatego, że byłem w szoku. Właściwie nie musiałem nic mówić, ona gadała w kółko, jak to się cieszy ze spotkania. Nie wiem, ja bym to nazwał odmiennym stanem świadomości. Może coś brała? Tak sobie wtedy pomyślałem. Może ona chciała coś na mnie wypróbować? W każdym razie miałem wrażenie, że zachowuje się strasznie sztucznie. Najdziwniejsze było, kiedy – zawahał się – zapytała mnie, czy lubię stringi. Ona, ta święta Cecylia, mnie o to zapytała. Prosto w oczy. Generalnie, nie dawało się tego znieść.

– I co pan zrobił? – zapytał Ryza retorycznie. – Nagle przypomniał pan sobie, że musi pilnie odebrać zdjęcie do paszportu?

– Dużą walizkę od kumpla. Odebrać. Krótko mówiąc, mojej dawnej...
– znów się zawahał – znajomej kompletnie odbiło.

Justyna:

Nigdy wcześniej nie musiałam się przekonywać, że znalezienie ciała przynosi ulgę bliskim. Nie tak szybko, ale rzeczywiście przynosi. Nie martwimy się już, że cierpi albo że ją ktoś wykorzystuje. Niby u nas w Polsce nie było takich przypadków jak w Austrii, a jednak, ile kobiet wywieziono za granicę i zmuszono do prostytucji. Sylwia oczywiście miała świetną pracę i nikt z nas, policja również, nie wierzył w ten najczarniejszy ze scenariuszy. Fakt, daleko mojej siostry nie wywieźli.

Pogrzebaliśmy ją dwa tygodnie temu, a ja nadal myślę o tych dziewczynach, które znalazłam na stronie fundacji ITAKA i które być może wciąż żyją i cierpią. Ciągle też myślę o tym, co się stało. Dlaczego tak mało rozmawiałam z nią w ostatnim czasie? Dlaczego nie

naciskałam na spotkanie, kiedy w kółko powtarzała mi, że ma mnóstwo obowiązków, ale niedługo na pewno do nas przyjedzie? Dlaczego właściwie przestałam znać swoją siostrę?

Zaginiona 10 marca dwudziestosiedmioletnia Katarzyna Wielusz była drobna i rudowłosa, a poza tym równie mało charakterystyczna jak Topolska. Już zgłaszając zaginięcie, jej ojciec zasugerował tę niepokojącą zbieżność. Niestety, błyskawicznie dał się podejść mediom, nie tylko tym programowo sensacyjnym. Podział między poważnymi i rozrywkowymi mediami powoli odchodził w przeszłość, różnica sprowadzała się do tego, że poważne media oferowały dłuższy tekst, a rozrywkowe więcej zdjęć, niekoniecznie utrwalających prawdziwych bohaterów i miejsca zdarzenia.

Poza kilkoma cechami zewnętrznymi nic się nie zgadzało. Wielusz, pielęgniarka z zawodu, pracowała w szpitalu na Brochowie i zniknęła bez śladu, gdy wracała do domu po dyżurze. Trop urywał się na Semaforowej, którą zaginiona kobieta udać się miała na przystanek przy dworcu kolejowym. Koledzy z pracy potwierdzili tylko tyle, że robiła to regularnie od trzech lat. Ostatnią osobą, która ją widziała, był szpitalny portier. Jego słowa potwierdził zapis z kamery, ale nie obejmował nawet całego parkingu.

Dorota położyła zdjęcia obok siebie, a potem udała się na tradycyjną już, wirtualną wycieczkę. Poprosiła rodzinę Topolskiej, by nie likwidowała jej profilu na Facebooku, co dawało jej możliwość podglądania kilkorga żałobników. Znajomi Sylwii ograniczyli się do wstawienia świeczek, dwa nawiasy kwadratowe i kropka pomiędzy, po czym zajęli własnymi sprawami. Szczególnie aktywna była Izabela Kownacka, która z upodobaniem prezentowała światu siekacze uwolnione wreszcie z metalowej klatki. Zdradziła samą siebie tylko raz: żeby podlinkować artykuł z rewelacjami na temat seryjnego mordercy grasującego we Wrocławiu.

– Rudożer – skwitował Piotr lekturę pierwszego z serii artykułów, jakie pojawiły się tuż po zaginięciu pielęgniarki.

Ryza podniósł się z fotela, by rozprostować kości i stanął za plecami koleżanki.

– No, niezła jest, trzeba przyznać. Wolna?

Przysunął się bliżej ekranu.

– Ach, to ta lalka od Topolskiej. Napisała coś ciekawego?

Dorota też się podniosła, żeby zrobić mu miejsce. Nie znosiła, kiedy

ktoś zawieszał jej się na obojczyku. Nagminnie robił to Wojtek.

– Oj, siedź, już sobie popatrzyłem. Mam wrażenie, że dziewczyna komedię sobie urządza, a ty?

– Nie wiem. Czuję, że ona jest w to jakoś zamieszana. Na pewno bardziej niż nam się wydaje. Tylko dalej nie mam zielonego pojęcia, jak ją przycisnąć.

Izabela:

Główny problem z Sylwią był taki, że nie umiała się bawić. Na początku wydawało mi się, że w całości to kupuje. Przede wszystkim musi dochować tajemnicy: rozmawiać tylko z nami, nawet z siostrunią nie, zostawiać jak najmniej rachunków, kasować wiadomości, a najlepiej mocno je ograniczyć. Poza pracą spotykałyśmy się niezbyt często i normalnie, ale za każdym razem w innym lokalu, żeby nas nie zapamiętali. Za ubrania płatność tylko gotówką, którą dawał mi S. i większość rzeczy trzymała u mnie, by nie musiała się pilnować przed matką albo Justyną. Boże, jak ona się wstydziła, kiedy pierwszy raz się przebrała. Zaraz potem zwinęła manatki i stwierdziła, że się wycofuje, głupia cipa. Byłam pewna, że nikomu słowa nie piśnie, ale S. się uparł. Za mało czasu, powiedział, żeby przygotować następną, a na imprezę nie da przecież jakiejś zdesperowanej ćpunkki. Wolał zdesperowaną romantyczkę, idiota.

Podał jej tylko środek przeciwbólowy. Wytrzymała jakoś, za pierwszym razem kilku przeleciało ją na ostro i parę razy dostała pejczem, ale nie wiem, czy się jej podobało, bo potem nie ja z nią rozmawiałam, tylko sam S. Nie mogła siadać, więc załatwił L-4, że niby grypa żołądkowa. Odwiedził ją, kurwa, z rosółkiem. Chciał wysondować, czy na pewno będzie trzymać język za zębami i czy jest gotowa na więcej. A ona uznała, że się o nią troszczy. Zakochała się, no i mieliśmy problem. Ale S., nie wiedzieć czemu, to bawiło, mówił, że to oddanie absolutne. Nazwałam go wtedy psychopatą, a on śmiał się, że wzajemnie. W każdym razie bawiło to do czasu.

Nie znaleźli ani studenta, ani tej Wielusz. Plakaty z prośbą o informację w sprawie tego pierwszego widywało się wciąż i wszędzie. Nie ucierpiały przez zimę, bo koledzy chłopaka zadbali o ofoliowanie ogłoszeń. Rodzina młodej pielęgniarki całkowicie zdała się na metody

policyjne, jednak to, że twarz Kasi zobaczyć mogli nieliczni, wiele nie zmieniało – dziewczyna nie miała żadnych powodów do ucieczki i musiała już od dawna nie żyć. Jednak wcale nie za sprawą stworzonego ludowi ku uciechu wrocławskiego Teda Bundy’ego, ale tchórzliwego kierowcy, na dziewięćdziesiąt procent. Idąc tym kluczem, wytypowano kilku kandydatów, którzy zrobili postoje pomiędzy jednym i drugim pojawieniem się w ulicznych kamerach, ale żaden do niczego się nie przyznał.

Oba zdarzenia łączyło jeszcze jedno. To, co nasunęło się Dorocie już podczas pierwszej wizyty w miejscu zamieszkania Topolskiej. Do obu dramatów – sprawa zaginionej Wielusz też rokowała jak najgorzej – doszło w wielkim mieście, którego wciąż nie doprowadzono do przedwojennego ładu. Naturalnie nie ma już ruin, za to są pustostany w otoczeniu spontanicznych miejskich łączek i czekające na obniżkę cen osiedla-widma. Sporo miejsc poza zasięgiem kamer. Do tego ciągnęła wymiana krwi, już nie w efekcie przesiedleń całych narodowości, ale wędrówek między osiedlami. Najmniej ruchliwi byli kolonizatorzy budynków sprzed wojny, które ocalały w różnych dzielnicach Wrocławia. Reszta osiadała w jednym miejscu najwyżej na kilka lat. Dorota z mężem też już dwukrotnie się przeprowadzali, a na przestrzeni ostatniego pięciolecia sześć mieszkań z tuzina w ich klatce zmieniło lokatorów. Z zawodowego nawyku policjantka starała się zapamiętać nowe twarze, ale jej się nie udawało. Może dlatego, że tylko ze starszym małżeństwem, z którym sąsiedowali przez ścianę, wymieniali powitania. Pozostali sąsiedzi nie zdobywali się nawet na uśmiech. Niechęć ludzi do siebie utrudniała im też niemal każde rozpytanie w wielorodzinnym budynku. Lokatorzy nie widzieli, nie znali, ochrona danych osobowych jest przecież. Jedynie słyszeć im się zdarzało, a wtedy nawet nie próbowali normalnie się dogadać, tylko od razu chwyтали za telefon. Choć brała poprawkę na uproszczenia w swojej społecznej diagnozie, rutynowe wizyty na osiedlu Przyjaźni w zasadzie ją potwierdziły. Na klatce Topolskiej zajęte były cztery mieszkania, z czego dwa na jej piętrze. Może sąsiedzi siedzieli w domu, kiedy ona wychodziła na zawsze. Nie wiedzą, nie pamiętają, no przykre, pani kochana, co się z nią stało.

Dorota poczuła, że sznurowadło jej się rozwiązało, zwolniła więc, po czym wyhamowała, by zacisnąć je mocniej. Spojrzała na plakat przyklejony do słupa. Ktoś domalował Topolskiej czarne piegi i okulary nerda. Policjantka jednym ruchem zdarła kartkę.

Justyna:

Chociaż policja mówiła, że w samym mieszkaniu na sto procent do niczego nie doszło, bałam się tam chodzić w pojedynkę. Towarzyszyli mi mama albo Czarek. Wciąż żadna z nas nie była w stanie zrobić porządku z jej ubraniami i butami. Tylko jedną parę postanowiłam zachować sobie na pamiątkę. Ekstrawaganckie, nie w stylu Sylwii. Tej Sylwii, którą znałam. Kiedy wsunęłam je na nogi, pomyślałam nagle, że choć zniknęła i już wiadomo, że umarła w listopadzie, to ja straciłam ją wcześniej. Truizm, ale są sprawy, których nie ma sensu nazywać inaczej. Nie ma sensu zakłamywać. Coś się przecież nie zmieniło: moja siostra czuła się bardzo samotna i tęskniła za miłością. W takiej sytuacji można kogoś, no nie kogoś, siostry właśnie, wystłuchać, ale nie da się mu realnie pomóc. Miałam jej aranżować randki w ciemno ze swoimi kolegami?

To Czarek wykasował jej numer z mojej komórki. Żebym się nie pomyliła. Niektóre pamiątki po niej trzeba sobie na zawsze usunąć sprzed oczu, tak mu się wydaje. Racja. Trzeba jak najszybciej zająć się jej mieszkaniem. Chcemy do tego wynająć specjalistyczną firmę. A potem wystawić je na sprzedaż.

Szkoda, że moja siostra nie znalazła takiego swojego Czarka.

Prokurator Zuzanna Bylińska była wyjątkowo wyczulona na tego typu sprawy. Sama z siebie zasugerowała Dorocie i Piotrowi, aby jeszcze przetrzymali akta, niekoniecznie na wierzchu, i ponownie rozpatrzyli te wątki, które wydają się im się kluczowe, a jednocześnie tak mało prawdopodobne, że je odrzucili. Ledwie od niej wyszli, Piotr po raz kolejny wyraził swoją opinię na temat babskiej logiki. Makarewicz już dawno awansowała na pozycję „jak facet”, czemu nie przeszkadzały jej skłonności do koloryzowania.

W przypadku Sylwii Topolskiej, w czym byli zgodni, w grę musiał wchodzić emocjonalny odchył, który wpłynął na jej irracjonalne zachowanie, które potwierdził przede wszystkim Leszek Bagat. Nie przeczył temu fakt, że rozluźnił się jej kontakt z siostrą, ale przecież od początku musieli brać poprawkę na sporą różnicę wieku. Zastanawiające było natomiast, że zmian w charakterze Sylwii nie potwierdziła Kownacka, wspierana w tym przez pracowników firmy,

w której Topolska pracowała. Widocznie zwariowała w ograniczonym zakresie. Znanymi sobie sposobami nie potrafili jednak dojść, kto wywołał te chore emocje.

I nie mogli zrobić już nic więcej dla nieszczęsnej trzydziestolatki.

Izabela:

Tak naprawdę odetchnęłam z ulgą dopiero, gdy umorzyli śledztwo. Rodzina wprawdzie odgrażała się, że tak tego nie zostawi, ale ryzyko znacznie się zmniejszyło. Im bardziej odsuwamy się w czasie, tym bardziej można się tłumaczyć niedoskonałością pamięci.

Postanowiliśmy z S., że to uczcimy. Sami. Później jednak powiedział, że jako barmanka podczas naszych „wyjazdów integracyjnych” tylko się marnuję i że chciałby zaoferować mi więcej, ale szukaniem zmienniczki musi zająć się ktoś inny. Nie powinno mnie z nią łączyć zupełnie nic. Nie odezwałam się, ale pomyślałam, że fakt wspólnej pracy gwarantował mi bezpieczeństwo do pewnego stopnia czy też do pewnego momentu. Przecież S. zdecydował o wyeliminowaniu Sylwii, chociaż był zadowolony z jej postępów i otwartości na próbowanie coraz to nowych zabawek. Oczywiście w moim przypadku w grę nie wchodziła jakaś tam miłość, co nie znaczy, że nie mógł wymyślić czegoś innego. Czegokolwiek. Sprzątnięcie Sylwii okazało się takie łatwe...

Nie mam wyjścia – muszę złamać zasady i zostawić ślad. Po prostu nagram swoją opowieść i zdeponuję ją w skrytce bankowej. Niewykluczone, że mu kiedyś o tym powiem. Swoją drogą, słyszałam, że w taki właśnie sposób rozwiązane zostają sprawy sprzed lat. Przypadkiem znajdują się jakieś nowe dowody albo narzędzie zbrodni. To jest pewne pocieszenie. Może jednak mi zaufa w tej jednej sprawie i da pożyć jak najdłużej.

Wyłączyła telewizor i zdjęła mu kapcie. W pokoju było ciepło, więc niczym go nie przykryła, podłożyła tylko poduszkę pod głowę. Wojtek miał rozchylone usta, a dobywający się z nich świst irytował ją właściwie od ich pierwszej wspólnej nocy. Nawet nie zadał sobie trudu, by zatrzeć ślady po tym, co robił czekając, aż wróci z pracy. Gorące Azjatki baletnice. Traktowała to jako nieszkodliwe hobby. Położyła się i zamknęła oczy, by w wyobraźni poddać go tuningowi i przywrócić

ciacho, w którym się zakochała osiemnaście lat temu. Najważniejsze, że był.

Joanna Jodełka

NIE CZYTAJ TEGO!

Nigdy nie zdradzę, dlaczego się na to zgodziłam.

Nigdy nie powiem, dlaczego umieściłam czyjś tekst pod swoim własnym nazwiskiem.

Nie znam autora i nie chcę poznać!

Bez znaczenia, czy rozumiem jego powody, czy nie rozumiem. Czy miałam inne wyjście, czy nie miałam.

Wpadałam w sidła. Też wpadniesz, jeśli przeczytasz to do końca!

Pamiętaj, robisz to na własną odpowiedzialność, nie moją!

Ja ostrzegam!

I nigdy nie zdradzę, dlaczego się na to zgodziłam! Nigdy.

Joanna Jodełka

Kłamie!

Kłamie, że mnie nie zna. Zna, i to dobrze, ale się do tego nie przyzna. Ma wysokie mniemanie o sobie. Myśli, że patrzy, i myśli, że wie. A nic nie wie. Dała się podejść jak małe bobo. Wydawało się jej, że wynalazła mnie i ubzdurzyła sobie, że jestem bohaterem.

Ja?!

Podobno bohaterem idealnym. Charyzmatycznym, ekscytującym, fascynującym, heroicznym... samotnym mścicielem! Postacią idealną. Nie tylko jednej powieści, ale całego cyklu. Filmu pełnometrażowego również, a potem i serialu.

„Tu i jeszcze dalej” mówiła rozmarzona i nie mogła przestać mówić przez godzinę. Przypuszczam, że widziała Hollywood.

Zapewniała, że gdyby tylko udało się jej opisać moje oczy, spróbować wyrazić słowami barwę tego ledwo błękitu, ten kolor wody i lodu, opisać jakimś jednym wyrazem ich wyraz. „Ach – spokój, uduchowanie, a może zima”. Potem przypomniał się jej cytat z *Sonetów krymskich*, coś o „milczących pustyniach błękitów”. Prawie

się wzruszyłem.

Ja napisałbym tak: „Miał oczy jak pies husky”. Wystarczy. Najbliżej prawdy.

Bez sensu ta poezja.

Ale może się nie znam?

Ona mówiła, że ja nie mam pojęcia ani o świecie, ani o sobie. Mówiła, że gdybym tylko zechciał, tabuny lgnęłyby do mnie. Podobno nie wiem, jak bardzo jestem przystojny, czarujący, jakie mam równo wykrojone... trochę smutne usta (cokolwiek to znaczy). Jak doskonale zarysowaną szczękę... Jakiej tajemniczości dodają mi przydługie, jasne pasma włosów opadające na oczy. I te smukłe palce tańczące po klawiszach klawiatury, prawie się od niej nie odrywając. Nie wiem, po co mi to mówiła? Chyba się wtedy upiła.

Jodełka! – mam ochotę krzyknąć. Jeśli chcesz wiedzieć. Jeśli cię to interesuje, jeśli zamierzasz dołączyć do tych, którzy to przeczytają, choć domyślasz się, czym to grozi... To powiem ci: Od początku wiedziałem, że cię wykorzystam. Od początku. Tylko nie wiedziałem jak.

Potrafię sobie wyobrazić, jaką ma teraz minę. Rozśmiesza mnie to.

Nie dojrzałaś tego lodu w błękiecie? Byłaś zbyt zachwycona mną? Sobą? Na pewno tak, bo gdybyś zaufała intuicji, nie biadoliłabyś potem: „Nie możesz być tak zły... Nie jesteś ludobójcą?!”. Wtedy ci nie odpowiedziałem, teraz oświadczam:

Nie byłem!

Dopiero zamierzałem być! Duch zemsty sprawiedliwej unosił się nade mną. O tak! Nie przeczę. Ale sam plan rodził się pomału, pomalutku. Wolno. Tak jak mówisz o pomysłach na swoje książki.

Koncepcja wyłaniała się z cienia. Z mgły mętnej budował się obraz zniszczenia. Gdy ty paplałaś jak najęta, ja miałem natchnienie. Śmiała idea sama zaczynała obrysowywać swój kształt. Wcześniej, gdy zamykałem oczy, widziałem tylko zbitą, zakrwawioną kupę zmiażdżonego ludzkiego tłumu. To było tylko marzenie.

Musisz wiedzieć, że to dzięki Tobie zaczął się nakreślać scenariusz wydarzeń, które właśnie zaczynają się rozgrywać. Tak. Tak, skoro Ty to czytasz... Trzy czwarte planu wykonane. Rozsiadam się z zadowoleniem.

Tak, TY!

Do Ciebie mówię, Czytelniku jeden! O Ciebie mi tu chodzi! TY staniesz się wykonawcą mojej woli. Właśnie TY! Jeśli tylko przeczytasz

do końca... Jeśli przewrócisz ostatnią kartę. Jeśli to się stanie, będziesz... ZABÓJCĄ W TŁUMIE ZABÓJCÓW!

Nie rozumiesz? Wszystko w swoim czasie. Historia się toczy. Teraz skup się.

Sam się zastanawiam... Czy ona wypuściła dzina z butelki? Nie wiem. Może? Cóż, stara jest. Kiedy się ona urodziła? W czasach, gdy nie było Internetu? Dlatego nie kuma? Laptopa trzymała blisko siebie, poszła z nim nawet do łazienki. Nie miała pojęcia, że wystarczyło, by się z nim u mnie pojawiała, a i to nie byłoby potrzebne, i tak przeczytałbym wszystko, co tylko bym chciał. Nawet w tej chwili mogę zobaczyć, co tam sobie wypisuje. Ale nie interesują mnie te wydumane brednie.

Interesowało mnie tylko to, co pisała na mój temat.

Chcę, Drogi Czytelniku, żebyś wszystko dobrze zrozumiał. Przekopiuję i wkleję dające się czytać fragmenty. Tak będzie ciekawiej. Mam nadzieję. W końcu to ona jest pisarką. Mnie szkoda czasu. Czekaając na kuriera, dopinam ostatnie guziki.

Proszę, oto fragment czegoś, co zapewne miało być książką:

Rozdział I. (To o tym, gdzie i jak mieszkam)

Dziwna była już ta wspinaczka. Ostatnie piętro kamienicy na rogu Świętego Marcina i Ratajczaka. Każdy w Poznaniu zna to miejsce. Sama setki, ba, tysiące razy przejeżdżałam przez to skrzyżowanie. Widok znajomy z dwóch stron, jak człowiek znany z twarzy, ale już nie od środka. Znaleźć się tam, to jak wdrzeć się do czyichś wnętrzności. Wchodzić po schodach, to przemieszczać okrężnicą pod prąd, dookoła, w górę. Trzeszczącymi schodami. Pośród cierpiących na łuszczycę ścian.

Szłam tam z niepokojem, międląc w rękę świstek z adresem. Dostałam go od znajomego policjanta. Miałam nadzieję, że się nie pomylił, bo wdrapywałam się z lękiem, jak wciągana w pułapkę przez tajemniczą postać, z którą miałam się spotkać. Chłopakiem, którego historia pochłonęła mnie doszczętnie. Nie mogłam zasnąć ani myśleć o czymkolwiek innym. Od pierwszej chwili, gdy o nim usłyszałam. Nie spodobało mi się to, chyba nawet przeraziło. A teraz wręcz zaczynało dusić. Strach przed czymś, a właściwie przed kimś.

To złe przeczucia? – pytałam samą siebie. A może tylko klaustrofobia? A jeśli intuicja? Nie! Nie mam intuicji... – pocieszałam się, pnąc się do góry. Schodami, które robiły się coraz węższe.

Powoli kończyła się kręta ścieżka. Wychyliłam się zza drewnianej barierki i spojrzałam w dół. Pięć wysokich pięter. Studnia z kolorowymi kafelkami na dnie. Oj, nie da się szybko uciec – pomyślałam i wzięłam głęboki oddech. Zapukałam do drzwi.

Stare, ciężkie drzwi uchyliły się, nie wydając żadnego dźwięku.

– Wejdz – usłyszałam, zanim zobaczyłam twarz zapraszającego mnie chłopaka.

Odwrócił się i zniknął w korytarzu, nim przekroczyłam próg. Jedyne, co zapamiętałam, to oczy, takie jakieś dziwne, jasnoniebieskie (*uzupełnić później... coś z wodą napisać, kostkami arktycznego lodu może*). Weszłam do środka. Miałam czas się porozglądać, zresztą musiałam, łatwo mogłam się przewrócić. Wszędzie, w całym korytarzu, stały jakieś elektroniczne rupiecie. Stare obudowy od komputerów, a obok ich wnętrzości. Nieużywane monitory, poustawiane jeden na drugim. Wszędzie kable i druty, które niczym liany wiły się po podłodze i po ścianach. Pomyślałam, że jakaś mechaniczna małpa mogłaby po nich skakać, a po ziemi, między przewodami i przedłużaczami łązić robot-pająk. Spodobała mi się ta płątanina.

Szłam wolno i rozmyślałam: tak właśnie powinno wyglądać mieszkanie kogoś, kogo adres dostaję od młodego policjanta zajmującego się bezpieczeństwem w Internecie. Poznałam go przypadkiem, na imprezie, zainteresował mnie jednym zdaniem, resztę wyjęczałam, wyblagałam, wyprosiłam. Byłam zdesperowana. Nie wiedziałam, o czym mam pisać. Szukałam czegoś, czegokolwiek, a najlepiej właśnie jakiejś cyberprzestępczości (nie jestem przecież taka stara), wszystko jedno czego: cyberterroryzmu, cyberszpiegostwa, cyberpiratów, w ogóle jakiegoś cyberkonfliktu, a nawet ostatecznie zorganizowanej siatki pedofilii. Chociaż!

– Między innymi po to, by opisywać takie miejsca – szepnęłam pod nosem, rozglądając się wokół.

Współczesne labirynty, świątynie władzy i informacji, pulsujące migającymi diodami, odbijające światło ekranu komputera na twarzy oszalałego wyznawcy czegoś tam... Kody, szyfry, litery biegnące w rzędkach, niekończące się ciągi znaków. Liczyłam na załączek historii, coś, cokolwiek, czego się będę mogła ucześcić i domalować resztę o niebo lepszą od rzeczywistości, bo rzeczywistość jest z reguły nudna. A tu, o dziwo, w poszukiwaniu internetowej historii real mnie zaskoczył. Mało powiedziane! Zwalił z nóg. Czułam takie podniecenie, jakiego już nie pamiętałam od bardzo dawna. Myśli tworzyły kilkanaście wariantów historii naraz! Wszystkie świetne!

– Dostałam prawdziwego książkowego bohatera! Na tacy! Prawdziwego rycerza, strażnika, obrońcę! Zwalczającego zło tego świata cyberwojownika! Anioła stróża nowej ery! Ach! – wzdychałam dziękczynnie.

Sierżant (*wymyślić jakieś obco brzmiące nazwisko, bo mądry*) długo się wzbraniał. Może nawet ryzykował karierą. Dlaczego mi pomógł? Nie wiem. Może nienawidził swojej pracy i chciał, by go wywalili? Może podziwiał chłopaka i chciał, by inni też go podziwiali? Może sam taplał się w brudach sieci, może zazdrościł młodemu, że ten działa bez ograniczeń? Pewnie tak. Mógł go przecież namierzyć. Przecież nie zawsze to była „niska szkodliwość społeczna”. Prokurator by się ucieszył. Wynik by był. Ale on nie zamierzał tego robić. Wolał go obserwować. Czasami ostrzegł w porę, czasami zagroził, a Młody dawał mu sygnał, że rozumie i jest wdzięczny za ostrzeżenie. Nieznany mi językiem jakoś się dogadywali. Jak przekonał go, żeby się ze mną spotkał – pojęcia nie mam.

Może Sierżant (...) podejrzewał, że chłopak ma jakiś plan i zechce się ze mną nim podzielić? Może bał się o niego? Może myślał, że jest samotny i chciał dostarczyć mu rozrywkę? A może wręcz przeciwnie – natura psa gończego wzięła górę i chciał mnie wykorzystać? Dowiedzieć się więcej o tragicznej historii, która spotkała Młodego? Poznać szczegóły, które można powiedzieć tylko takiej kobiecie jak ja... Może dostrzegę coś matczynym okiem – co prawda nie mam dzieci, ale

mogłabym być jego matką. Niewykluczone, że zechce mi się zwierzyć, wypłakać... Taka trauma przecież musi się odbić na człowieku.

Urywam ten tekst! Wystarczy na razie!

Zatrzymam się tutaj, również po to, by uzupełnić wątplą wiedzę pani pisarki. Teraz jest na to miejsce. Mam nową energię, właśnie dotarła do mnie przesyłka.

Ale po kolei.

Szukałem formy przekazu, a on, ten Sierżant, co otrzyma mądrze brzmiące nazwisko, czuł, że to, o czym wiedział, to dla mnie za mało. Podejrzewał, że wkrótce się rozwinę, że zmęcę się tymi drobnymi kroczkami, że zechcę zrobić coś spektakularnego. Dlatego mnie pilnował. Może nawet jak ojciec...

Ale teraz już go tu nie ma, a żaden inny policjant mnie nie namierzy. Za słabi są. Nikt inny nie pogrozi mi tak palcem. Nie wpuści zabawkowego wirusa z głupią miną, tylko po to, by dać mi do zrozumienia, że wie, co robię. Że ma na mnie oko.

Dlaczego? – pytasz.

Spalił się zwyczajnie! – odpowiadam.

Ileż czasu można tak marnować? I na co komu taki wysiłek? Tyle energii tracić, by ścigać z paragrafu coś takiego, jak nielegalne rozpowszechnianie programów komputerowych? Filmów, muzyczek, gier... I po co?! Żeby własne dziecko z niego się śmiało, że napycha kabzę tym, co już napchani są? I pod jego nosem robiło swoje, jak wszyscy...

Poza tym, jak miał patrzeć ludziom w twarz, wiedząc, co oglądają, co ściągają... Wiedzieć, jakie niewyobrażalne brudy są na rękach polityków, księży, jego własnych przełożonych... Codziennie oglądać treści niedozwolone i zastanawiać się nad świńską naturą człowieka, aż do obrzydzenia, wstrętu i pogardy.

Ja wiem to. Daję radę, ale Sierżant był już wyczerpany. A jaki miał być – pytam – skoro stawiał sobie nierealne wymagania? Taka niska skuteczność? Przy jego umiejętnościach? Musiał kiedyś się skończyć. Popadł w depresję. Zwolnił się z pracy albo poszedł na emeryturę. Może wyjechał z kraju. Może łowi ryby Kanadzie. Nie wiem.

W każdym razie, w necie go nie ma!

Z początku mnie to przeraziło. Zostałem znowu sam. Ale później zmobilizowałem się. Coś mnie nakręcało i kazało mi działać.

Nigdy nie wiadomo, kiedy się wypalimy – chciałoby się rzec.

Ale też nigdy nie wiadomo, do czego się zapalimy – myślę teraz, patrząc na wielkie pudło, które mi dostarczono. Mojego gniewu tak łatwo się nie ugasi. Mam większą motywację.

No i rozpałkę!

Przed chwilą w drzwiach stanął pryszczaty młokos. Widziałem tylko mankiety koszuli, nogawki spodni i małą, okrągłą głowę nad wielkim pudłem. Niestandardowy gabaryt. Paczka na rozpiętość ramion. Dobrze, że miał je długie. Pewnie ledwo zmieścił się na schodach.

– Myślałem, że się z tym wyłożę – relacjonował, szczerząc zęby. – Wielkie to, a nic nie waży – stwierdził, podrzucając do góry. – A ludzie pewnie myśleli, że lodówkę niosę. Co najmniej! – chwalił się, dając mi papiery do podpisu. – A śmiali się...

„Tego właśnie chciałem uniknąć” – pomyślałem, podpisując się.

– Na samochodzie, jak mi to pokazali – kontynuował rozbawiony kurier – też się przestraszyłem, że gdzie tam! Machnąłem ręką. A chłopaki w śmiech, że to puste. Może ktoś zapomniał coś tam włożyć? – zapytał ze szczerą ciekawością w głosie. Nie odpowiedziałem.

– To gdzieś z Azji przyszło. Hektar stąd... – zagaił jeszcze.

Kiwnąłem głową na potwierdzenie, trudno zaprzeczać papierom, które miał w ręku. Nie obraził się, że mu nie odpowiedziałem. Zasłoniłem się wnoszoną paczką, wycofałem w głąb mieszkania i szybko zamknąłem drzwi. Odczekałem, a gdy tylko usłyszałem zbieganie po schodach, zająłem się rozrywaniem kartonu. Nie był pusty. Zawierał dokładnie to, co zamówiłem: stosunkowo niewielkie pudełko, które było szczelnie opakowane i włożone w większe pudło, a potem jeszcze większe. To wszystko każdorazowo chronione kilkoma warstwami nadmuchanych foli.

Odniosłem je do pokoju, odłożyłem ostrożnie, z nabożeństwem, a potem wróciłem na korytarz i zacząłem skakać jak szalony po foliowych poduszkach. Rozruszałem palcami, nogami, łokciami strzelające nadmuchane bąble, aż wszystko popękało z hukiem. A potem się na nich rozłożyłem, jak dzieci na łące. Machając rękami. Rozpościerając ramiona. Szeleszcząc plastikiem.

Rozpiera mnie duma.

Gdyby Sierżant był na służbie, może zwróciłby uwagę na takie szczególne zamówienie. Może udałoby mi się to ukryć, a może nie. Policjant miał różne ścieżki, którymi nie do końca wiedziałem jak chodzi. A trzydzieści tysięcy tak specjalistycznych mikrokontrolerów

mogłoby nie umknąć jego uwadze.

Ale go nie ma – teraz się z tego cieszę. A one są ze mną. I są piękne. Każde w oddzielnej przegródce. Hermetycznie zapakowane. Niewiele grubsze od włosa, kilkumilimetrowe cacka. Wyprodukowane specjalnie dla mnie. Kosztowały majątek, ale na co mi majątek.

Teraz muszę je zaprogramować. Trochę to potrwa nim trafią do drukarni, a potem do książki, którą trzymasz w rękach...

Nie przeczytałeś się!

Wkrótce zrozumiesz.

A teraz dla oddechu, jakby to powiedziała przemądrzała autorka, wróćmy do jej własnych zapisków i pozwólmy fabule płynąć....

Czas, by poznać motywację bohatera.

Rozdział II. (Czym to niby się zajmuję i co jest we mnie takiego fascynującego?)

Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Śledziłam oczami każdy ruch. Płynny, elastyczny, trochę koci. Od niechcenia taki. Szara, rozciągnięta koszulka z dziurami, spadające z tyłka, sprane, niebieskie dżinsy, jasne włosy strąkami spadające na twarz, co chwila upychane za ucho. Gdyby były jeszcze jaśniejsze, wyglądałby jak Kurt Cobain. I te tęczówki... Wodniste takie... *(dopisać, może cytat jakiś znaleźć)*

Mam wielkie szczęście. Spodziewałam się spoconego grubasa, pryszczatego smarkacza z wyłupiastymi oczami, a tu ktoś, za kim mogłyby piszczeć nastolatki, oblizywać się dziewczyny, wzdychać małżonki. Ach...

– Czego się napijesz? – spytał ledwo otwierając usta.

– Masz zieloną herbatę?

– Tak.

– W ekspresówkach.

– Tak.

– A możesz ją wysypać z tego papieru, nie cierpię smaku torebki – spojrzałam błagalnie. – I tak parzona dwie minuty. Dobrze? Potem trzeba byłoby przelać, żeby te fusy nie pływały. Dziękuję ci bardzo – skończyłam, spojrzałam dziękczynnie i czekałam, co się wydarzy. Popatrzył, kiwnął głową i wyszedł.

Dało mi to ponad trzy minuty. Kuchnia znajdowała się po przeciwnej stronie mieszkania. Zaraz przy drzwiach wejściowych. Nie mógł mnie stamtąd dojrzeć.

Miałam czas, by spenetrować pokój. Nie było to łatwe. Pod ścianami stało kilka biurków na każdym po dwa monitory, różnej wielkości. Kilka było włączonych. Bezgłośnie migają jakiegoś obrazki. Z reguły zapętlone widoczki z cyklu „dzika natura”. Musiał je tak ustawić, by zakryć przede mną prawdziwe treści – tego byłam pewna. Pracował sam. Przy biurkach był tylko jeden fotel na kółkach. Przemieszczał się nim, bo cały stary parkiet znaczyły wyjeżdżone, porysowane ścieżki i ślady.

Samotny wilk! – chciało mi się zawyć ze szczęścia.

Tak mi to odpowiadało. Idealnie literackie. Doskonałe. Cieszyłam się i robiłam zdjęcia telefonem, cały czas patrząc w kierunku drzwi. W końcu dostrzegłam wetkniętą za ościeżami wielką korkową tablicę. A na jednej ze ścian pusty, niezakurzony ślad. Pasował kształtem. Podeszłam. Tablica była odwrócona. Wystawały tylko szpikulce pinesek. Odchyliłam ją i zajrzałam z góry. Cała była obwieszona wycinkami z gazet. Nie było czasu, by czytać. Klikałam zdjęcia jedno po drugim, aż usłyszałam szmer w korytarzu. Odstawiłam tablicę na miejsce, a sama szybko usiadłam w fotelu. I spokojnie zaczęłam przeglądać w telefonie zrobione fotki. Powiększyłam jeden artykuł:

ŚMIERTELNY KOROWÓD

Do sieci wyciekły zdjęcia Agnieszki F. (o tej głośnej sprawie pisaliśmy w poprzednim numerze). Potwornie zmasakrowane ciało obejrzało kilkadziesiąt tysięcy ludzi zanim wszystkie linki nie zostały usunięte...

Miałam ochotę krzyknąć ze szczęścia. Przecież dlatego tu byłam. Czytam dalej. Nawet gdy wszedł. Chciałam udawać zaczytaną i pochłoniętą swoimi sprawami.

PRZEMOC I MAKABRYCZNE TREŚCI W INTERNECIE

Medioznawca: „Fascynacja złem i brzydotą zawsze była w człowieku silna”

Krzysztof Majdan

Grupka holenderskich studentów widziała samobójstwo człowieka. Rzucił się pod pociąg. Zrobili zdjęcie jego zwłokom i opublikowali na Twitterze. Syn nieboszczyka widział te zdjęcia rankiem. Tymczasem po południu do jego drzwi zapukała policja, mówiąc, że samobójcą jest jego ojciec. Funkcjonariusze natychmiast nakazali studentom usunąć kontrowersyjną fotografię. „Każdy, kto poczuł potrzebę uwiecznienia ofiary, powinien natychmiast usunąć zdjęcie. Nie mają poszanowania godności oraz idą za daleko!” – głosi komunikat władz...

– Proszę – usłyszałam i jakby przebudzona podniosłam głowę.

– Ach, przepraszam. Dziękuję.

Przed nosem zobaczyłam odrapany kubek z dwoma koziołkami. Ze środka wystawał sznurek z listkiem papieru, a wewnątrz pływała papierowa torebka. A on patrzył na mnie spokojnym, niewiele mówiącym wzrokiem.

– Nie szkodzi, taką też wypiję – stwierdziłam. Nie zamierzałam komentować, a poza tym ledwo ukrywałam zadowolenie. – A cukier? – zapytałam po pierwszym łyku. Bez mrugnięcia okiem wyszedł ponownie, lekko powłócząc nogami. Tym razem ani drgnęłam. Mógłby coś zauważyć. Siedziałam, trzymając kubek w rękach i cieszyłam się w duchu.

Sierżant (...) nie kłamał. Wszystko się zgadzało.

Policjant opowiedział mi, jak się poznali. Ojciec upośledzonej umysłowo dziewczyny prosił o pomoc. Po Internecie zaczął krążyć filmik z jego córką, która z zadartą spódnicą, okrakiem, bez majtek, próbuje jechać na kamiennej rzeźbie pantery przed Operą. Był mało śmieszny, ale zaczynał robić karierę w sieci. Ojciec był załamany i zawstydzony. Tego samego dnia wypłynęły zdjęcia z makabrycznego wypadku. Dwa trupy na ulicy. Jeden był na motorze. Motocyklista złamał kark i prawie oderwała mu się głowa. Trzymała się tylko na kilku ścięgnach. Miał syna w pierwszej klasie, było kwestią czasu, kiedy dziecko to zobaczy. W obu przypadkach Sierżant polecił zwrócić się do operatora, poinstruował, a oprócz tego obiecał, że się tym zajmie, choć wiedział, że nie od razu – wykonywał zaległe prace.

Jednak po kilku godzinach ojciec wariatki zadzwonił z podziękowaniem, a po nim ktoś w imieniu młodej wdowy. Nie pomogły zaprzeczenia Sierżanta. Poszkodowani byli pewni, że on się do tego przyczynił. Sytuacja powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie, nim Sierżant zrozumiał, że to nie kwestia przypadku. Znacznie więcej czasu niż zorientowanie się, że ktoś to robi, zajęło mu namierzenie tego kogoś. Dokładnie tego, kto wszedł teraz do pokoju, w którym siedziałam. Na moje szczęście.

– Jesteś współczesnym obrońcą ofiar złapanych w sieci – stwierdziłam, próbując spojrzeć mu prosto w oczy. – Usuwasz treści, które bolą zwyczajnych ludzi. To takie rycerskie... – kontynuowałam, patrząc jak chłopak zasiada w fotelu na kółkach.

– Wybieram szambo, które się po niej rozplywa – stwierdził, stawiając stopę na siedzisku i podciągając kolano pod brodę. – Tylko niektóre gównu, wszystkiego się nie da – dodał po chwili.

– Nie umniejszaj swoich dokonań – westchnęłam. – Jesteś cyber...

– Szambonurkiem – przerwał mi.

– To może zacznijmy od początku – odezwałam się po chwili lekko zniesmaczona. Nie cierpię fekalnych porównań. – Kiedy to wszystko się zaczęło...

Wiedziałam, że kluczowym momentem była tragedia, która musiała zmienić jego życie. Od niej zresztą miałam w planie zacząć książkę. Taka retrospekcja już na początku opowieści.

A niech mu wszyscy już od samego początku współczują... – pomyślałam. Sierota jest idealnym materiałem na bohatera, w każdej bajce...

Och! Patrzyłem, jak pani pisarka się krzywi. Cyberszambo, e-szambonurek... Czułem, że szuka odpowiednich słów, ale nic nie pasowało do wizji, którą sobie stworzyła. „Nie tak miało być!” – słyszałem, jak krzyczy w swojej głowie. Trwało to znacznie dłużej niż opisywała. Tłumaczyła mi, że to nie tak, że mam nie umniejszać swoich zasług, nie mieszać ich z plugastwem i błotem tego świata. Mówiła, jak ważne jest to, co robię i tak bezinteresownie... Prawiła mi

komplementy i wiła się, próbując jakoś płynnie przejść do pytań o moich rodziców. Wiedziałem, jak bardzo jej na tym zależy, więc opowiedziałem jej trochę, a ona to udratyzowała, podkolorowała, wyświeciła, wpuściła parę pseudopsychologicznych, domorosłych wniosków. Czytałem. To nie nadaje się do publikacji.

Słabe to i nieprawdziwe, więc oszczędzę Ci tego. Nie przytoczę rozdziału trzeciego, który mógłby brzmieć: *Per aspera ad astra*. Sam go napiszę. Mam czas. Nie mogę spać.

Mój – Rozdział III.

Kiedyś, wydaje mi się, że już bardzo dawno temu, zostałem sam. Sam na tym świecie. Mało kto ma takie szczęście. Dziadek z Alzhaimerem w jakimś odległym domu drogiej pomocy chyba się nie liczy. Po śmierci rodziców byłem u niego tylko raz. Nie poznał mnie. Nie zdziwiło mnie to. Wcześniej się mną nie interesował, więc nie zapadłem mu w pamięć. Rodzice, skoro już się wygadałem – tragiczny wypadek, smutna historia.

Miałem skończyć osiemnaście lat. Data jak data. Wojny jeszcze nie ma, niby co miałyby się zmienić. A jednak! Dowiedziałem się, że szykował się poważny plan. Nie będę się rozpisywał o sytuacji w domu, najkrócej jak się da: dla mnie nie była rozwodowa. Żadnych kłótni, podniesionych głosów. Kary – decyzje uzgadniane wspólnie, nagrody również. Dostawałem wszystko, co chciałem, a chciałem umiarkowanie. Spokojnie było. Chłodno, z dystansem, ale spokojnie. Może ten spokój wynikał z czekania. Czekania, aż dla mojego dobra dorosnę. Aż ciężar z pleców im zejdzie – czyli ja im zejdem! Bo w końcu jestem dorosły, więc przed nimi nowe życie. Może tak to się dzieje. Żałuję, że nie dowiedziałem się, na co z takim utęsknieniem czekają. Wtedy nie byłem zainteresowany. I nie zdążyłem się zainteresować.

Po co to piszę? Może po to, aby Tobie wyjaśnić, skąd moje dość nieograniczone możliwości. Chcę, byś wiedział, że nie rzucam gróźb na wiatr! Że mam determinację i środki... A cel potrzebuje środków! Teraz już go mam!

Wtedy nie miałem żadnego celu, nie wiedziałem, co robić.

Musisz wiedzieć, że bezcelowe życie mężczy strasznie. A tych, którzy są samotni, wcześniej czy później wykańcza. Mnie też o mało nie wykończyło. Nie myśl, że łatwo mi się to pisze, ale lepsza szczerść niż mdłe kolorowanki pani pisarki.

Dalej! Wystukujcie palce moją opowieść! – dopinguję sam siebie. Najwyżej to wszystko usunę.

Zatem:

Nie dowiedziałem się, jak miało wyglądać moje życie po odbytych obowiązkach rodzicielskich. Sumiennie do końca – muszę przyznać. Zginęli też zgodnie – jadąc na sprawę rozwodową. W przeddzień mojej dorosłości. Czy wydorostałem w jeden dzień? Nie wiem, ale już mogłem zobaczyć ten samochód... Pozostałość ciągu wydarzeń. Chcesz wiedzieć jakich? Ano tak: banalny początek, jak z reklam. Piłka dziecka wpada na ulicę. Dziecko leci za nią. Matka za nim, wbiega, potykając się i chwytając go za rękę. Z rąk wypada jej torebka. Nie widzi tego, ma dziecko przy sobie. Oddycha z ulgą wbiegając na trawnik. Kilku kierowców patrzy jak tarmosi malucha, z nerwów i ze szczęścia.

– Ledwo, ledwo – mówią sobie wszyscy odetchnawszy z ulgą i radością.

Zapatrzeni, nie widzą jednak tego, który nie zatrzymuje się, ale i nie chce przejechać torebki. Odbija kierownicę. Prawie zarysowuje auto tego, który jedzie z naprzeciwka. Tamten ucieka na bok i potrąca rowerzystę, który przewraca się na ziemię. Nic mu się nie stało, potem był świadkiem, bo leżąc na ziemi widział jak samochód za nim hamuje. Uderza w tył tego przed nim. Ten ociera się o latarnię. Wszystko pozornie wraca do normy. Kierowcy zjeżdżają na pobocze obojętnie. Gapią na nich patrząc i nikt nie zauważa, że latarnia centymetr po centymetrze się ugina. Samochody ruszają. Jeden za drugim. Matka ciągnie dziecko za rękę, tym razem trzyma mocno. Mogę sobie wyobrazić, że moja na to patrzy, prowadząc samochód. Ojciec ma na pewno głowę w komputerze. Nigdy nie traci czasu. Skoro incydent na drodze jest już przeszłością, wraca do swoich wyników giełdowych. I nie widzi tego, że lampa najpierw powoli się ugina.

Raptem pęka na łączeniu jeden element – nie powinien, ale przerdzewiał – główny winowajca... Ktoś trąbi! Ktoś krzyczy! Ktoś woła! Może to słyszą moi rodzice, ale nie widzą tego, co dzieje się ponad dachem karoserii. Przed nimi droga wolna...

Lampa rozgniata samochód na pół. Separując ich od siebie.

Na wieczność.

Już.

Zgodnie z życzeniem.

A ktoś nagrywa filmik...

Przerwę na chwilę, nie mam już siły. Świta...

Zacytuję więc pierwszy lepszy wycinek z gazety. Tak, jak pani autorka. Z lenistwa. Nie chce mi się słów układać:

NIKT NIE JEST ODPOWIEDZIALNY ZA WYPADEK PRZY MOŚCIE
TEATRALNYM

Sąd Okręgowy w Poznaniu umorzył postępowanie wobec Zarządu Dróg Miejskich, który przedstawił umowę z firmą Lampex, dostarczycielem wadliwej latarni ulicznej, jak się okazało, niespełniającej standardów określonych w wymaganiach przy zamówieniach publicznych. Firma Lampex już nie istnieje, więc i domaganie się roszczeń przez poszkodowanych będzie utrudnione.

Przypominamy, że zginęły dwie osoby. Historia ta zbulwersowała opinię publiczną, po tym jak do sieci wyciekły zdjęcia miejsca wypadku...

Wystarczy!

Kontynuuję:

Sąd odnotował nieobecność moich rodziców na sprawie rozwodowej, a urząd stanu cywilnego ich zgon. Pytałem, czy mogę ich rozwieść po śmierci, ale nie. Nieubłagane państwo jest. Pochowałem więc ich oddzielnie, a majątek odziedziczyłem wspólny. Czasami się zastanawiam, czy mieli pojęcie, ile razem nazbierali? Chowali przed sobą pieniądze, po różnych kątach czy kontaktach. Ale czy to ma znaczenie? Grunt, że nie zdążę tego wydać. Biedną sierotką więc nie zostałem!

Chociaż według pani pisarki...

O, właśnie tu, choć to najślabszy, niewykończony kawałek:

Rozdział IV. (W jakim to ja więzieniu czterech ścian jestem)

Oj, jakże biedny był ten chłopak. Nigdy zbyt otwarty na ludzi. Matka uważała, że jest nieśmiały, ojciec, że tchórzliwy. Teraz był sam ze sobą do tego stopnia, że zapomniał jak brzmi jego własny głos. „Tak, dziwiłem się dźwiękami wydobywanymi z gardła, że zacząłem sam siebie przedrzeźniać... A może to był mój prawdziwy, zapomniany głos. Kto wie?” *(oto jego własne słowa, rozwinąć to, dobre, dramatyczne, jak pięknie odgarnął włosy z czoła... jak to opisać?)*

„To” nie pojawiło się od razu. Musiał przecież dopełnić formalności. Nie było mu lekko. Po pogrzebie hieny wyszły na żer. Miał na karku kilku dalszych krewnych i paru bliższych znajomych rodziców. Każdy z nich chciał zostać mędrcelem na finansowej drodze jego życia. Nie otwierał drzwi, po dłuższym lub krótszym czasie odchodzili, za każdym razem wygrażając wskazującym palcem w kierunku wizjera. Sterczenie na klatce schodowej znudziło się również nasyłanym psychologom, terapeutom wątpliwej maści, raz nawet księdzu. *(Ten to dopiero chciał przygarnąć sierotkę na łono – opisać go lepiej).*

Przetrzymał ich wszystkich. Nie interesowali go. Poza tym był bardzo zajęty. Właściwie dopiero się uczył i kompletował nowy sprzęt. Na tym, co miał, wolno i nieporadnie usuwał z Internetu zdjęcia swoich rodziców: matkę z otwartymi ustami, wytrzeszczonymi oczami, na wieki zdziwioną kierownicą, która zmiażdżyła jej szyję i tkwiła w niej niczym kołnierz *(zawsze dbała o wygląd, pedantyczna, tu zwrócić na to uwagę)*. Ojca, którego głowa stała się bezkształtną masą. *(Mocno powiększając można było dostrzec mózg spływający po latarni, która znalazła się w środku samochodu, podobno chlubił się swoim mózgiem... za życia).*

Chłopak mozolnie usuwał z sieci każdy taki obrazek. Dzień i noc przeszukiwał Internet, sprawdzając, czy ktoś go dalej nie rozprzestrzenia. A jeżeli tylko znalazł, to zastraszał, podszywał się pod

policję, czasami zwyczajnie dzwonił, znajdując w Internecie numer telefonu. Opornym posyłał wirusy. Na koniec zostawił sobie klienta, który zrobił zdjęcia i filmik z miejsca wypadku. Człowiek ten prowadził firmę pozycjonującą strony internetowe. Po pół roku nie miał już żadnych klientów, tylko sprawę w sądzie o posiadanie nielegalnych treści. *(Zemsta jest na cały oddzielny rozdział. Utruł mu życie. Cudowna, zabawna, wciągająca. Umieścił na portalach gejowskich. Umówił z szesnastolatkiem, który umalowany na randkę wparował do jego domu. Mina żony podobno bezcenna. Facet bał się podejść do komputera – rozwinąć!)*

„Zemsta podobno ma słodki smak, ale niestety w końcu trzeba przełknąć ślinę” – jego własne słowa...

Tak. To prawda. Tak właśnie powiedziałem.

Zrobiła się wokół mnie pustka, a gdy już nikt nie dzwonił, nie pukał, nie nachodził, a zdjęcia znikły z sieci – postanowiłem wyjść.

Pomyślałem, że w końcu jestem wolny...

I wtedy pojawił się pierwszy atak.

Szedłem chodnikiem i zobaczyłem na światłach ciężarówkę. Potem gdzieś w oddali ciężarną kobietę. Czekająca przy przejściu dla pieszych. Rozmawiała przez telefon. Stała, ale w mojej głowie weszła na pasy. Zobaczyłem to bardzo dokładnie. Ciężarówka ruszyła, chciała ją ominąć, wjechała na chodnik, tam uderzyła w rusztowanie przed kamienicą. Ono się zatrzęsło. I zsunął się jeden trap. Prosto z trzeciego piętra poleciał na mnie!

Ocknąłem się, leżąc na ziemi i zasłaniając twarz rękami. Serce waliło mi jak oszalałe. Ciężar przygniatał klatkę piersiową, brakowało powietrza, a świat dookoła wydawał się nieprawdziwy. Nie mogłem pojąć, jak to się stało, że ludzie stali i pochylali się nade mną. Krzyczeli jeden przez drugiego, by wezwać pogotowie. Leżąc, patrzyłem na rusztowanie. Nietknięte. Nienaruszone. Ciagle wiszące. Myślałem, że zwariowałem. Chciałem uciec, ale nadjechała karetka. Zabrali mnie duszącego się własnym strachem. Jeden zastrzyk. Ulga. Diagnoza. Atak paniki. Po tygodniu spróbowałem wyjść jeszcze raz. Wszystko wróciło z kolejnym filmem, który wyświetlił się w mojej głowie na widok podnoszonego kontenera z gruzem. Zobaczyłem kołyszącą się w powietrzu linę, a potem przygniatającą mnie lawinę

porozbiórkowych kamieni.

Próbowałem jeszcze kilka razy. To samo.

Myślałem to samo, co ona:

Rozdział V. (A może to szalenie?)

Znowu wchodziłam po tych schodach. Farba dalej złażyła płatami, ale już nie przerażała mnie ta klatka. Zatrzymałam się nawet na półpiętrze, by porozglądać się jeszcze. Ponownie chłonełam jej klimat. Teraz jawiła mi się jako labirynt duszy, a nie trzewia kamienicy. Wijące się schody przypominały mi wejście na wieżę, tam gdzie pracownia alchemika, którego pojmał zły król. Mówi, że go chroni, a w rzeczywistości go więzi. Zawładnął nim Lęk. On zamknął chłopaka w sobie. Nie pozwalał mu wyjść na zewnątrz. Chwytał za gardło i dusił przy każdej próbie wyjścia z labiryntu splątanych emocji. Na początku realnie, a później już na samą myśl.

Ach! Nie trzeba było być psychiatrą, żeby stwierdzić agorafobię: lęk przed przestrzenią, tłumem, ludźmi... Nie ukrywam, było mi to na rękę. Dobry bohater musi mieć skazę. Jeśli nie jakieś nałogi, to choć nerwicę natręctw albo klaustrofobię, po to, by na przykład w ostatniej scenie zamknąć go w jakiejś windzie, w której o mało się nie udusi, a jednak pokona siebie dla ratowania małej dziewczynki lub ludzkości. Tak na przykład.

I już widziałam, jak mój piękny chłopak o obłądnym spojrzeniu, schodzi w dół. Z przeraźliwym lękiem w ledwo błękitnych oczach, przytrzymując się oburącz barierki... Powoli pokonuje stopnie schodów i siebie samego. I wybiega w jasność dnia...

Trrrr...

Podskoczyłam z wrażenia. W momencie, gdy właśnie sobie to wyobrażałam, otworzyły się drzwi kamienicy. Najpierw charakterystyczne skrzywienie, a potem dosyć zwawy krok. Zaczęłam piąć się w górę. Dosyć tego rozglądania się. Kroki zbliżały się coraz szybciej. W końcu minęła mnie dziewczyna, wyglądająca jak chłopak. Zresztą szkoda, że nim nie była. Lepiej by na tym wyszła. Dobrze jej było w szerokich spodniach z krokiem opadającym na kolana, za dużej

bluzie firmy kurierskiej i zielonej czapce z daszkiem osłaniającym kark. W rękach niosła oblepiony naklejkami przewozowymi, wielki termos,

– Dzień dobry – powiedziała pod nosem, mijając mnie na piętrze.

Kiwnęłam głową, a gdy znikła mi z oczu wychyliłam się za poręcz, patrząc w górę. Dziewczyna zwawo pokonywała kolejne piętra. Zaczęłam iść szybciej, starając się stąpać jak najciszej. Na szczęście na nogach miałam miękkie balerinki i z sekundy na sekundę byłam coraz bardziej pewna, że kurierka zmierza na poddasze, prosto do mieszkania mojego bohatera. Już prawie na palcach wbiegałam za nią, by zatrzymać się bezpiecznie na półpiętrze. Przytulona do poręczy kucnęłam. Gdy się mocno wychyliłam, widziałam dziewczynę i wytarte dżinsowe spodnie chłopaka w otwartych drzwiach.

– Pieski czy kotki? – zapytała radosnym tonem.

Nie wiedziałam, o co jej chodzi, ale byłam pewna, że dobrze usłyszałam pytanie.

– Kotki czy pieski? – zapytała ponownie, pokazując palcem na owalny termos, który postawiła między swoimi nogami. Schyliła się, by w niego postukać. Wydał głuchy, stłumiony dźwięk. Nie usłyszałam odpowiedzi, tylko jakiś pomruk.

– Wiem, co jest w środku – stwierdziła dziewczyna, nasuwając mocniej daszek czapki na kark. – Chłopaki za cholerę wieść tego nie chcieli – znowu zadowolona wskazała palcem na termos.

– A co jest w środku? – usłyszałam w końcu znajomy głos.

– Wiadomo, nie? – zapiszczała zadowolona. – Sama im powiedziałam – wyjaśniła z rozbawieniem przestępując z nogi na nogę. – To termoizolacyjny pojemnik. W środku ciekły azocik... – Zgadłam prawda?

Musiał potwierdzić, bo usłyszałam najpierw gwizdnięcie, a potem rytmiczną odpowiedź:

– Się wie, co się wie-zie. Sper-mę, sper-mu-nię... Nie? Wie się!

– A, tak – opowiedział jej w końcu.

– Wiadomo! – klaszcząc w dłonie, sama sobie pogratulowała

przenikliwości. – Się pytam więc, psa czy kota, bo chyba nie wiewiórki? – paplała dalej, podsuwając papiery do podpisu. – Nie pierwszy raz widzę taki termos. Koleżanka ma hodowlę pomeranianów, nawet ze Stanów plemniosy ciągnie... A to tu, to właściwie nie wiadomo skąd... – pokazała na jeden znaczek oblepionego termosu.

Nie widziałam, co to, dojrzałam tylko żółty róg.

– Kró-li-ki – odparł i wyciągnął rękę po pojemnik, który ciągle tkwił między jej kolanami.

– Króliki?

– Do-świad-czał-ne – usłyszałam odpowiedź, a potem zamknięcie drzwi.

Dziewczyna jeszcze chwilę stała w miejscu. Zdążyłam się podnieść i udawać, że ciągle wchodzę.

– Króliki? – burknęła pod nosem, mijając mnie na schodach.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie pójść za nią i się nie dowiedzieć, co to za nalepki były, skąd ta paczka i w ogóle, co tam jeszcze wie, ale dziewczyna zbiegała po trzy stopnie naraz. Nie chciało mi się jej gonić. Pomyślałam, że sama to rozgryzę.

Usiadłam na schodach. Musiałam poczekać chociaż z pięć minut. Nie chciałam, żeby wiedział, że widziałam jak dostaje dziwną przesyłkę. Mógłby próbować coś ukryć przede mną. Wolałam kontrolować sytuację...

Widziałem, jak siedzi na schodach. Ogląda paznokcie. Poprawia włosy, wyciąga szminkę. Ogląda w lusterku swoje zęby...

Dziewczyno! Kobieto! Pisarko! Obdarzona wyobraźnią podobno? Czy ty myślałaś, że każesz mi cackać się z herbatą, a ja w tym czasie pozwolę ci myszkować? Bezkarne? Grzebać w moich rzeczach... I o tym nie wiedzieć?! Widziałaś przecież te kable, i te monitory, i tę całą plątaninę. I nie pomyślałaś, że wszędzie mogę mieć kamery? Kamery, kamerki, monitorki...

Pytanie retoryczne.

No, nie wiedziała!

Nawet się nie domyślała, że czekam aż się woda zagrzeje i obserwuję sobie z kilku ujęć, jak fotografuje mieszkanie. Jak z otwartymi ustami

ogląda tablicę korkową. Jak siada, udając zaczytaną. Cóż, wiedz teraz, że pozwoliłem na to. To informacje, jakich chciałem udzielić. Przecież i tak mówiłem, i mówię o sobie, a czego nie chciałem, to nie pokazałem.

Mam wszędzie podgląd, ba, nawet na chodnik. Czasami wpatruję się w ulicę. W łażące nocą resztki pijanych ludzi. Zataczających się. Odbijających się od nieprzytulnych ścian. Patrzą, jak próbują objąć rękami odrapane kamienice, przylgnąć jak do matki. A one ich nie chcą. Stoją zimne, bez ruchu...

Widziałem więc i to, jak siedzi na schodach, jak otrzepuje spódnice, i jak niewiele ma do strzepywania, bo zakłada coraz krótsze, a potem puka do drzwi. Wpuściłem ją, przywitałem się i poszedłem do kuchni zrobić herbatę. Obserwowałem przy tym, jak zawzięcie szuka dostarczonego mi pojemnika.

Nie jest to zamrożona sperma, jak się domyślasz Drogi Czytelniku. Na co by mi była. Ja nic nie hoduję, choć wkrótce wyciągnę królika z kapelusza. Wracajmy do opowieści.

Termosu – tak naprawdę wielkiej paczki, chociaż raz poniosła ją pisarska wyobraźnia – nie miała szans znaleźć. Zawartość już dawno była w zamrażalniku, a opakowanie zutylizowane. Daremny był jej trud! Ale fajnie się patrzyło, jak idzie dokładnie tam, gdzie ma iść. Drzwi zostawiłem uchylone. Myśli, że to szafa. Widzi kilka wieszaków z ubraniami, ale na tyle mało ich zostawiłem, by dostrzegła przestrzeń za nimi. I widzę jak tam włazi...

Tak to opisała:

Rozdział VI. (Trup w szafie)

Opiszę dokładnie, co się działo, co wtedy czułam.

Mam dwie minuty, nie więcej. Ale muszę zobaczyć, co w tym ukrytym pokoju. Nogi mi się trzęsą ze strachu, ale wchodzę. Co tam, najwyżej przeproszę. Powiem, że trochę wścibska jestem, cecha zawodowa. Wieszaki mam za sobą. Jestem w środku. Rozglądam się, ale w wąłym świetle ciągle nie wiem, na co patrzę. Ściany od podłogi do sufitu upstrzone zdjęciami, wycinkami, wydrukami. Jakiś kolorowy karnawał. Ale za to na jednej całej ścianie zdjęcie młodej dziewczyny. A właściwie tylko jej twarz... Wydrukowana. W gigantycznym wymiarze. Nawet w tym świetle widać najmniejszą nierówność, każdą

krostkę na jej skórze, każde rozszerzone naczynko, każdą smugę rozmytej brązowozielonej plamy na tęczęwkach. Puch pod nosem. Pewnie sama go jeszcze nie widziała. To ledwo cień... Wydaje mi się, że znam tę twarz, ale jestem zbyt oszołomiona, by szybko kojarzyć. Staram się ją zapamiętać. Brązowe włosy na wietrze, wywijające się, opadające na twarz i policzki... Proste brwi, długie rzęsy...

Kim ona jest? Jego miłością, żoną, laską z gazety?

Podchodzę do ściany obok i zagadka się wyjaśnia. Setki papierowych ścinków, podobna treść:

TRAGICZNY WYPADEK NA WCZORAJSZEJ PARADZIE

Jedna osoba zginęła, sześć zostało ciężko rannych, kilkadziesiąt poturbowanych podczas corocznych Imienin ulicy Święty Marcin.

W trakcie pochodu runęła jedna ze stalowych konstrukcji przemieszczającego się ulicą wehikułu. Do tragedii doszło około godziny trzynastej. Korowód ruszył spod kościoła św. Marcina, kierując się jak zwykle w stronę Zamku. Jedną z grup zamykających pochód była trupa taneczno-cyrkowa Danse Macabre z największą platformą imitującą Paszczę Lewiatana. Poprzedzali ją szcudlarze, żonglerzy i połykacze ognia. Przed nimi poruszała się grupa rekonstruktorów historycznej brygady Wielkopolskiej Kawalerii Konnej. Być może to niefortunne ustawienie było przyczyną tragedii, która według świadków rozpoczęła się od buchającego w górę ognia, który spłoszył konia. Sprawą zajęła się policja, prokuratura, a także specjalna komisja do spraw nadzoru bezpieczeństwa imprez masowych.

„Powoli wszystko się składa” – myślę sobie. Pamiętam artykuł z tablicy korkowej, którą sfotografowałam już pierwszego dnia. *Śmiertelny korowód* – utkwiała mi w głowie ta nazwa... A więc to jest Agnieszka F., ta, której potwornie zmasakrowane ciało obejrzało w sieci mnóstwo ludzi. Zanim ktoś tego nie usunął...

– Przychodzę tu liczyć rzęsy – nagle zza moich pleców dobiega głos.

Podskoczyłam, serce waliło mi tak mocno, że prawie je słyszałam.

– Słucham – bezwiednie wybąkałam powoli odwracając głowę.

– Czasami tak robię. Gdy źle się czuję, to liczę – powiedział

spokojnym i opanowanym głosem. – Ale nigdy do końca. Nigdy. Nie chcę wiedzieć ile ich jest.

Podszedł do ściany i zaczął gładzić powiekę, a potem wodzić palcem po rzęsach, właściwie rzęsa po rzęsie, rzęsa po rzęsie. Patrzyłam jak zahipnotyzowana. Przerazało mnie to, ale i fascynowało. Chciałam się ruszyć, uciec, ale stałam w miejscu. I tak miałam do wyjścia znacznie dalej niż on. Bez trudu mógł mi zablokować drogę. Postanowiłam nie wykonywać żadnych nerwowych ruchów.

– I znowu się pomyliłem – westchnął, odrywając palec od ściany. – Będę musiał liczyć od nowa. Ale zdradzę ci sekret: tak naprawdę nie chcę wiedzieć, ile ich wtedy było. Może, gdy ginęła, któraś spadała jej na policzek... Nie spełniła życzenia...

– Znałeś ją? – zapytałam, oglądając wycinki na ścianie, i jednocześnie, jakby od niechcienia, przesuwałam się centymetr po centymetrze w kierunku wyjścia.

– Było takie ponure listopadowe południe, kiedy w Poznaniu kolorowy orszak na Świętym Marcinie... Tak muszę to zacząć. Dobry początek? – zapytał. Kiwnęłam głową. – Wiesz? Ludziom to się podoba... Szczudlarze na szczudłach stąpający, tancerze w krąg wirujący, żonglerzy żonglujący, kucharze z garnkami, przebierańcy z rekwizytami, dzieci za ręce, aktorzy, szkoły, cechy... – mówił coraz szybciej z uniesionymi oczami, jakby to właśnie widział. – A i sam święty Marcin na koniu płowym paraduje, i dostał klucze do miasta wielgachne, wyobraź to sobie. Ulica obchodzi imieniny. Wszyscy świętują. Ja też śpiewam: „Zwieść cię może ciągnący ulicami tłum...”

Przesuwając się wzdłuż ściany, słuchałam jak nuci, kręcąc się w kółko. Poczułam pot na karku, i dłoniach. Zatrzymał się, nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa.

– Wieje mroźny wiatr – odezwał się, zamachał rękami i stanął. Ja też znieruchomiałam. Podszedł do zdjęcia i zaczął je głaskać. – Widzę, jak odgarnia włosy palcami w czarnej rękawiczce bez palców. Chce mnie dobrze widzieć. Mnie, durnia sterczącego w oknie. Jakim cudem ona mnie dojrzała? Z wysokości trzeciego prawie piętra, na szczycie

platformy. Patrzyła. Potem chuchnęła w dłonie, potarła nimi zmarznięte zaczerwienione policzki i... pomachała ręką. Do mnie... Mam to przed oczami. Wyciągam ręce w jej kierunku, chcę ją uratować. – Patrzę jak wyciąga ręce w pustkę. Tego widoku nie muszę zapisywać, na zawsze pozostanie w mojej głowie. – Próbuję ją zatrzymać, wiem, co będzie dalej – mówił, chowając twarz w dłonie. – Ale nigdy mi się to nie udaje. Twarz przecieka mi przez palce. Rozmywa się. Leje się po rękach. I znika – zakończył szeptem i rozłożył bezradnie ręce.

Spojrzał w moim kierunku.

– Możesz mnie analizować do woli. Mam to w dupie– stwierdził już zupełnie przytomnym głosem.

– Dlaczego ja?– zapytałam, próbując ukryć drżenie głosu.

– Szukałem jakiegoś sposobu, a ty podałaś mi się na tacy. Już po pierwszym spotkaniu.

– Sposobu na co?

– Na wyrażenie siebie– odpowiedział, wzruszając ramionami.– Na pomszczenie jej... Wiesz, że winnych nie znaleziono. Znowu nikt nie został ukarany. Nikt. Podobno koń się spłoszył. A co koń winny, że się zachować w tłumie nie potrafi. A ułan? Sam się ledwo w siodle utrzymał, podobno. Połykacz ognia... Przecież nie od razu połknie wszystkie płomienie... A pogotowie? Też nie przyjechało co koń wyskoczy, choć stało za rogiem... Teraz chcę odpłacić pięknym za nadobne, by oko na wiele zębów zamienić. Nie domyśliłaś się?

– A ja na co tobie? Mam opisać tę historię?– Chciałam dodać „z morałem”, ale się nie odważyłam, byłam coraz bliżej wyjścia.

– Nie ty. Ja– stwierdził.– Pisziesz opowiadanie, oddasz mi swoje miejsce.

Nie miałam pojęcia, do czego zmierza, ale przeraziłam się. Skąd on wiedział, że piszę o wildeckim kolekcjonerze tatuaży z ludzkiej skóry!

– Marne to twoje opowiadanie– oświadczył z rozbijającym uśmiechem.– Żeby to jeszcze o jakąś prawdziwy *body art* chodziło, z zacięciem... Cóż. Ledwo się dało to przeczytać. Znasz dowcip

o motylach i tatużach.

– Nie – wybąkałam ze złością. Nienawidzę, jak się mnie krytykuje.

– Mówi jeden paż królowej do drugiego: „Gdzie lecisz?”. Ten mu odpowiada: „Wytatuować sobie grubą babę na dupie”. Podoba ci się?

– Nie.

– A mi tak. Ubawił mnie, tak samo jak hasło do twojego komputera.

– Czego ode mnie chcesz?! – wrzasnęłam w końcu. Byłam już prawie przy drzwiach.

– Wyślesz wydawcy dokładnie taki tekst, jaki ci dam. W ostatniej chwili. Będziesz zwlekać, tak by nie chcieli od ciebie nic innego. Masz nie pozwolić redakcji zmieniać czegokolwiek...

– A motto mogę napisać – westchnęłam z ulgą.

Już wiedziałam, z kim mam do czynienia. Grafoman, pisarzyna, co chce zaistnieć, bo ma problemy życiowe i chce tymi swoimi głównianymi problemami uszczęśliwić cały świat.

– Możesz – odpowiedział mi po chwili.

– A jeśli się nie zgodzę – prychnęłam, trzymając klamkę od drzwi do dziwnego pokoju. Uznałam, że już dostatecznie długo się w nim nabyłam.

– Zgodzisz się – powiedział i uśmiechnął się.

Pomyślałam, że z takim uśmiechem nawet dobrze by wyglądał na okładce...

Jeśli, Drogi Czytelniku, czytasz te słowa, to znaczy, że mi się udało przekonać panią pisarkę. Nie było to trudne, uwierz mi. Więc jeśli w jakiś wywiadach, spotkaniach, tokszołach, ze łzami w oczach będzie opowiadać, że nie wiedziała... To wiedz, że wiedziała!

Co znacznie ważniejsze, skoro to czytasz, to dotarłem również do Ciebie. I tak jak obiecałem (a dotrzymuję słowa), zapowiadam, że jeśli przełożysz ostatnią kartkę, staniesz się współwinny mordy.

Gdyby było to przedstawienie, a przecież jest, zapisano by to tak:

KONFERANSJER (*w kierunku widowni*)

Pokażę wam sztukę prawdziwą!

Prawdziwy przekaz totalny!

Sztukę zbrodni doskonałej!
Zapowiedzianej! Zrealizowanej!
Zginie wielu...

Aż się trzęsę z podniecenia, gdy to czytam.

Słuchaj tego, to w końcu o Tobie! Ta-Ta! Gong!

KONFERANSJER (*natchnionym tonem*)

Będzie wiadomo, przez kogo i dlaczego.

I nikt nie zostanie skazany!!!

Fanfary by się przydały, tak sobie myślę teraz.

Zaciekawiłem cię? Ha! Punkt dla mnie!

A teraz:

GŁÓWNY BOHATER (*oskarżycielsko w kierunku widowni*)

Chcę ukarać tłum!

Wyznaczam Ci rolę i nadaję tytuł:

BĘDZIESZ ZABÓJCĄ TŁUMÓW W TŁUMIE ZABÓJCÓW!

Tak to wymyśliłem.

Wpatruję się w Ciebie swoimi błękitnymi oczami psa husky'ego.

Ja sobie Ciebie wybrałem.

Dlaczego?

Odpowiem Ci:

Trzymasz w ręku książkę, to już jest wyróżnik. Brawo! Umiesz czytać. Zgaduję też, że masz wykształcenie. Dobrze, choć Ty wcale tak o sobie nie myślisz. Widzisz braki, więc uciekasz od rzeczywistości i ciągle się z kimś porównujesz. Po to czytasz. Po szaleństwo jakieś. Jakiegokolwiek. Po wyczyny bohaterskie, niepoślednie choć. Po bunt i przygodę. Po życie pełną gębą. Czyjeś niestety. Tęsknisz za nie swoim losem. Przyznaj się.

Kręcisz głową? To masz!

Czytasz antologię kryminalną. To jeszcze więcej o Tobie mówi. Nie masz pojęcia, ile. Właśnie taki jesteś mi potrzebny. Zabiegany, zapracowany, masz za mało czasu, choć wiesz, że i tak go marnujesz. Przecieka Ci przez palce. Nawet teraz.

To jasne. Powierzchnowny jesteś! Ślizgasz się po wszystkim tylko. Skąd to wiem? Nie czytasz przecież opasłego tomiszcza. Nie śledzisz losów, dziejów czegokolwiek tam, przez dni, godziny. Nie zagłębiasz się w nic. Nie ślęczysz, by zrozumieć... Ty chwytasz do ręki opowiadania. Ta-Ta!

Zgadłem? Powiem Ci, dlaczego. Wyjaśnię.

Cienkie są po prostu. Nie zobowiązują. Nie trzeba się do nikogo przywiązywać. Nie trzeba pamiętać o nikim albo o tym samym przez setki stron. Ot, wystarczy po kilka kartek naraz. Na drogę. W tramwaju. W autobusie. W poczekalni. Na sedesie – wielu się teraz uśmiecha.

Masz w ręku tę książkę od 531 stron...

I co to za treść jest? O czym toto mówi?

Pytam retorycznie.

To nie o miłości przecież. Nie chlipiesz ze wzruszenia. I nie dziwisz się. Nie szukałeś tu uniesień! (Brutalna erotyka – to nie uniesienie, przypominam. Nawet jeśli rozmyślanie o gwałcie przyjemnie Cię gilga. Gwałt to nie wyraz gwałtownych uczuć, przestrzegam Cię, gdybyś skręcał myślami w tym kierunku). Nie podążasz też za prawdą o zwyczajnym życiu. Nie interesuje cię kondycja człowieka we współczesnym świecie. Wcale a wcale! Szukałeś tu brudu. Krwi. Przemocy. Poniżenia.

Przyznaj się. Nikt Cię nie usłyszy. Jesteś teraz ze mną sam na sam. Chyba że ktoś Ci czyta przez ramię. Ha!

Przypominam Ci. Nim tu się znalazłeś – kieruję wskazujący palec w Twoją stronę – tu, na końcu tej książki – spotkałeś już co najmniej kilkunastu psychopatów, i to z całej Polski. Przyznaj się! Kręci Cię to!

Widzisz człowieka, co leży pod drzewem. Pijak, myślisz, nie podejdziesz.

Widzisz kraksę, oglądasz się! Szukasz czarnych worków na jezdni. Robisz zdjęcie, jeśli nie jesteś tak stary, by myśleć „gdzie jest mój aparat”. Patrzysz, nareszcie coś ciekawego w moim nudnym dniu i życiu. Jeśli jesteś młody, klniesz do żywego na rozładowany telefon: „Kurwa, ile by to miało wejść na YouTube?”. Ale nic to, za tydzień pokaz lotniczy... Telefon trzeba naładować i mieć w pogotowiu. Żeby nie skaszanić, w razie co.

Mogę tak bez końca.

Wyścig samochodowe...

Ach, przyznaj się! Nie drocz się ze mną. Nie chcesz, żeby dojechali. Chciałeś zobaczyć, jak na Twoich oczach koziołkuje maszyna – ja pierdolę! – w powietrzu.

A teraz z drugiej strony Cię wezmę. Nie obraż się, ta też jest ciekawa.

Ile razy udawałeś, że nic nie widzisz? Gdy widzieć powinienes. Ile razy odwróciłeś się dupą do sytuacji? Inni też odwracają głowę –

pomyślałeś – tak jak ja. Ach, gdybym wcześniej wiedział! Spieszyłem się wtedy wyjątkowo, bo to, bo tamto... No nie mogłem. Usprawiedliwiasz się, jeśli ktoś Cię na Twoim braku zaangażowania przyłapał. Jeśli nie, wrzucasz to do niepamięci. Teraz przypominasz sobie? Ale to nie tak – zaprzeczasz od razu. I machasz rękami.

Ile razy oglądałeś z ciekawością obrazki, na których nie chciałbyś zobaczyć: swojej matki, dziecka, męża, kochanki? A i tak patrzyłeś?

O tak! Wiem, kim jesteś.

Jesteś moim idealnym tłumem!

Nie zgadzasz się z tym? Kręcisz głową?

Nic mnie nie obchodzi Twoja zgoda! – krzyczę, wystukując te litery. Ja teraz mam władzę! Nie masz żadnej możliwości, by mi zaprzeczyć ani się wtrącić! Żadnej, by zmienić moje słowa! Są już wydrukowane! Ha!

Pisareczka próbowała mnie powstrzymać. O tym, jak to jej się nie udało, jest:

Rozdział VII. (Niech ktoś mi pomoże)

Piszę, kopiuję, wklejam, archiwizuję! Nim zniszczę ten komputer. Chcę by został jakiś ślad po tym, jak próbowałam. Sama nie mogę iść na policję, on zbyt dużo o mnie wie... A co, jeśli blefuje? Nie przygotowuje tej katastrofy? Straszy? Tylko się wygłupię.

Napiszę do Sierżanta. Nie jest już policjantem, ale chociażby z obowiązku, obywatelskiego czy jakoś tak. Musi zareagować. Poza tym, to on wepchnął mnie na tę minę. Ja napiszę motto! Tak! Ostrzegę wszystkich przed tym świrem...

Mimo że jest taka niemiła, ja uczciwie wkleję tu też jej korespondencję. Przedstawię Ci, co z niej wynikało, a potem wyjaśnię ze szczegółami, jak Twoimi rękami wszystko się dokona.

Mail sprzed czterech miesięcy (tyle trwa mniej więcej proces wydawniczy):

Piszę do Ciebie, bo sama chcę już się z tego wyłączyć. Zapomnieć. Nie interesuje mnie ta historia. I mam nadzieję, nie ugodzi we mnie (mam też nadzieję, że on tego nie czyta). Wiem, że on chce się zemścić. Za

rodziców. Za dziewczynę. Za Bóg wie jeszcze co... Jakimś nieznanym mi sposobem chce tego dokonać za pomocą książki. Chce dotrzeć dokładnie do trzydziestu tysięcy osób. Tyle tysięcy było na paradzie i gdzieś tyle samo odsłon miało zdjęcie zmasakrowanego ciała Agnieszki F. Chce dać wszystkim nauczkę, tym, co widzą i wiedzą co się stanie, a dalej patrzą. Dalej to robią... Chce ukarać chorą, ludzką ciekawość, sam tak powiedział. Chce też, by każdy wiedział dokładnie, do czego może się przyczynić i zrobił to świadomie. Chce, żeby człowiek czytający tę książkę poczuł się prawdziwym, a nie tylko wirtualnym winowajcą! Niewiele z tego zrozumiałam, ale on tak groził.

Nie wiem, czy nie przesadzam. Czy nie wymyślam, ale jeszcze się trzęsę na samo wspomnienie tych lodowatych oczu. Wiem, że to brzmi jak bzdura, ale z drugiej strony... Ty go znasz przecież. Wiesz, na co go stać. Spróbuj go uspokoić albo wysłać do psychiatry, tak sobie teraz myślę... Zanim będzie za późno...

Może bredzę, jest późno w nocy. Ale zrób coś z tym. Przecież jesteś policjantem. Policjantem jest się na całe życie? Prawda? Ja się z tego wylogowuję!

Pozdrawiam

jj

Odpowiedź:

Zajmę się tym

S

Zmieniła, adres, pocztę, komputer. Trochę czasu mi zajęło, żeby odczytać tę wiadomość. Przeraziłem się. Nie czekałem długo na to, by ktoś zapukał do drzwi, nie zamierzałem otworzyć, ale rozległ się łomot.

Podszedłem. Walił pięścią. Zagroził, że rozwali drzwi, jak go nie wpuszczę. Otworzyłem. Długo na mnie patrzył, a potem zapytał:

- Jak ci mogę pomóc?

Jest od tej pory ze mną. Bardzo mi pomaga.

Ja wymyśliłem, że muszą to być mikrokontrolery.

Pamiętasz pudło, które mi dostarczono? Były w nim. To wielce

użyteczny i całkowicie autonomiczny system mikroprocesorowy. Steruje urządzeniami. W naszym przypadku ma się uruchomić pod wpływem ruchu. A następnie odnaleźć sieć, wysłać sygnał i skomunikować się dalej. Te, których wykonanie zleciłem, są małe. Unieść je można tylko pęsetą. Nie potrzebują przecież nic w sobie mieć – tylko zegar czasu rzeczywistego, pamięć danych, ograniczony pobór mocy. Muszą być długo bądź na zawsze (przecież zakładam wariant optymistyczny, ha!) w stanie uśpienia, a wyjść z trybu uśpienia po wywołaniu jednego z przerwania.

Ty, Czytelniku, dokonasz przerwania, jeśli przewrócisz kartkę.

Długo nie mogłem sobie poradzić z techniczną stroną tego projektu. Jak fizycznie umieścić mój mikrokontroler w grzbiecie książki? A tu nieoczekiwanie z pomocą przyszedł mi Sierżant. Wierzy we wszystko, co robię. Tak bardzo chciał uwierzyć w cokolwiek... W sens swojej pracy najbardziej. Naoglądał się już przemocy, bestialstwa, wystylizowanej tragedii... W końcu dojrzał do tego, że ludzi należy najpierw ukarać, a potem można im wybaczyć (tak sobie tu zacytuje radośnie).

Sam znalazł pracę w drukarni. Sam wymyślił, jak ulokować chip w produkcie.

Uczciwie Cię ostrzegam:

NIE ROZGINAJ KSIĄŻKI!

NIE SZUKAJ!

NIE DŁUB PRZY GRZBIECIE!

NIE MYŚL, ŻE ZERKNIESZ TYLKO.

Zapowiadam!

JEŚLI PRZEŁOŻYSZ OSTATNIĄ KARTĘ TEGO OPOWIADANIA...

JEŚLI SIĘ NIE POWSTRZYMASZ...

PRZEŚLESZ MI SYGNAŁ.

Jeśli spróbujesz zniszczyć książkę, też prześlesz mi sygnał, że tak jeszcze Cię poinstruję. Może masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, czym jest Internet rzeczy. Jeśli nie wiesz, to dowiedz się, że przedmioty mogą się ze sobą komunikować. Przekładając kartę, uruchomisz urządzenie. Jeśli znajduje się ono w zasięgu sieci, wyśle sygnał. Gdy tych sygnałów zbiera się trzydzieści tysięcy, impuls pójdzie dalej... I się zacznie! Nie mam już na to wpływu. Człowiek może zmienić zdanie, ale urządzenia już nie – nie da się ich zastraszyć i są nieprzekupne.

Nie powiem Ci, co się wydarzy.

Czy wybuchnie coś na stadionie, czy na Malcie, czy może przed Zamkiem w trakcie parady... Z okazji imienin ulicy... Kto wie?

To bez znaczenia. Jedno jest pewne – będzie miazga z ludzkiego tłumu.

A Ty i Tobie podobni zobaczą, co uczynili.

Uwierz mi, będziesz wiedział, że się do tego przyczyniłeś.

Będziesz mówił, jękając się: „To nie ja... Inni przecież też”.

I będziesz na każdym portalu, w każdej gazecie, na zdjęciach, w witrynie sklepowej – będziesz zewsząd oglądał efekt swojego działania.

Krew, krzyk i łzy.

Uwierz mi, będziesz wiedział...

Więc...

Jeżeli tylko z ciekawości przełożysz tę kartkę...

...

POLECAMY RÓWNIEŻ:

Remigiusz Mróz

Immunitet

Najmłodszy w historii sędzia Trybunału Konstytucyjnego zostaje publicznie oskarżony o zabójstwo człowieka, z którym nic go nie łączy. Ofiara pochodzi z innego miasta i nigdy nie spotkała swojego rzekomego oprawcy, mimo to prokuratura zaczyna zabiegać o uchylenie immunitetu.

Spisek na szczytach władzy? Polityczna zemsta? A może sędzia jest winny?

Oskarżony zwraca się o pomoc do znajomej ze studiów, Joanny Chyłki. Nie wie, że prawniczka, która niegdyś brylowała w salach sądowych, teraz zmaga się z chorobą alkoholową i upiorami z czasów młodości.

Razem zaczynają odkrywać tropy prowadzące do miejsc, gdzie zasady prawa nie sięgają...

W dalszej części znajdziecie Państwo fragment powieści.



*Tam, gdzie polityka
spotyka się z prawem,
kończy się wszystko inne.*



IMMUNITET

REMIGIUSZ MRÓZ

Rozdział 1

Wniosek

1

Szpital bielański, Warszawa

Noc była jednomyślna. Przeszłość nie zamierzała dać za wygraną, teraźniejszość nie chciała trwać, a przyszłość zdawała się nie nadchodzić.

Joanna Chyłka przypuszczała, że udałoby jej się zasnąć jedynie wtedy, gdyby podano jej końską dawkę środków nasennych. Tymczasem lekarze robili coś zupełnie odwrotnego.

Do szpitala trafiła nieprzytomna i natychmiast podłączono ją pod kroplówkę, a potem zacewnikowano. Przetoczono płyny, wykonano rutynowe badania i przeniesiono ją do kilkuosobowej sali. Dla lekarzy i pielęgniarek była to noc jak każda inna. Pacjentów z zatruciem alkoholowym było na pęczki, choć zazwyczaj nie trafiali na Bielany w środku tygodnia.

Zazwyczaj nie byli także renomowanymi prawnikami, partnerami w jednej z największych warszawskich kancelarii, Żelazny & McVay.

Chyłka objęła to stanowisko dzięki manipulacji, bezwzględności i sprytowi, czyli dokładnie tak, jak sobie to niegdyś wymarzyła. Nigdy nie miała zamiaru być jedną z tych prawniczek, które długimi latami tkwią w miejscu, czekając, aż zwolni się miejsce, bo któryś z partnerów przeszedł na emeryturę.

Nie planowała też jednak tego, że kiedyś aparatura medyczna będzie przetaczać przez jej ciało litry płynów, by wypłukać z niego alkohol.

Poruszyła się nerwowo i odchrząknęła. Gardło ją zabolalo, zupełnie jakby w środku lata wybrała się na długi bieg w pełnym słońcu i przez dwie godziny nie miała czym choćby zwilżyć ust.

Rozejrzała się po ciemnej sali. Jedyne źródłem światła była latarnia na parkingu, ale w półmroku dostrzegła kilkoro innych pacjentów. Wszyscy spali.

Po Kordianie Oryńskim nie było śladu, choć przypuszczała, że to

właśnie on ją tutaj przywiózł. O ile pamiętała, odwiedził ją w mieszkaniu, kiedy była w trakcie opróżniania butelki swojej ulubionej, meksykańskiej wódki. Dał jej soku z cytryny, mówił coś o ojcu, ale niczego więcej nie potrafiła sobie przypomnieć. Może to i dobrze.

Noc naprawdę wydawała się zdeterminowana, by nie dać jej wytchnienia. Joanna miała wrażenie, że czas jest jej przeciwnikiem, z którym uporczywie się siłuje. Stara się popchnąć go do przodu, przesunąć swoje życie o minutę dalej, tymczasem coś wciąż zdaje się ją hamować.

Dotrwała jakoś do rana, nie zmrużywszy oka. Nie wzywała pielęgniarce ani lekarza dyżurującego. Wyszła z założenia, że nic dobrego to nie przyniesie. Musiała się napić, a żadne z nich nie mogło jej w tym pomóc.

Zanim wzeszło słońce, zdążyła kilkakrotnie podjąć decyzję, że wstanie, pójdzie do dyżurki i natychmiast się wypisze. Ledwo jednak podnosiła rękę, opuszczały ją siły. Rankiem zresztą nie było lepiej.

W końcu zasnęła na kilka godzin, a kiedy się obudziła, wydawało jej się, że cofnęła się do przeszłości. Otworzywszy oczy, zobaczyła nad sobą twarz człowieka, którego nie widziała od czasów studenckich. I którego zbyt dobrze nie wspominała.

We wszystkich uczelnianych turniejach sądowych, namiastkach anglosaskich moot courtów, występowali zawsze przeciwko sobie. Prowadzący niejednokrotnie musieli nakładać na nich improwizowane kary porządkowe, tak zaciętrzewieni się stawali.

A mimo to właśnie Sebastian Sendal stał teraz przy jej łóżku. I trzymał bukiet kwiatów, których zapach działał na nią drażniąco.

– Co to za badyle? – wychrypiała.

Sebastian uniósł brwi i nie odpowiadał. Chyłka odchrząknęła.

– Przynosisz mi śmierdzące chabazie, to się tłumacz.

Sendal przestąpił z nogi na nogę. Nie sprawiał takiego wrażenia, jakie powinien. Joanna wiedziała, że był najmłodszym sędzią, jakiego kiedykolwiek wybrano do Trybunału Konstytucyjnego. Mówiło się o nim, że jest nadzieją polskiej judykatury, że zajdzie wysoko, a ostatecznie może nawet kiedyś przewodniczyć Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Teraz jednak wyglądał jak zagubiony student, który nie wie, czy dziś przypadkiem miało być kolokwium, czy nie.

– Połóż to gdzieś albo wyrzuc do kosza – poradziła mu Joanna. –

A potem mów, co tu robisz? I gdzie jest Zordon?

– Kto?

Sebastian potoczył wzrokiem po sali, jakby spodziewał się, że gdzieś znajdzie flakon.

– Oryński.

– Ten twój aplikant?

– Żaden ci on mój.

– Myślałem, że...

– Źle myślałeś – ucięła. – Siadaj.

Skoro wiedział, o kogo chodzi, musiał śledzić doniesienia medialne na jej temat. Kordian pojawiał się w nich równie często jak ona, nawet jeśli formalnie nie prowadzili danej sprawy razem. Chyłka zmrużyła oczy i przyjrzała się Sendalowi. Właściwie sama również doskonale orientowała się, co u niego. Nie utrzymywali kontaktu, ale była na bieżąco – to, czego nie mówiły jej media, dopowiadał Facebook. Na dobrą sprawę nie musiała nawet o nic pytać, by wiedzieć, z kim się ożenił, gdzie spędzał wakacje, na jakie filmy chodził do kina, kiedy i w którym szpitalu urodził się jego chrześniak i jak wyglądał. Nieciekawie, jak każde inne nowo narodzone dziecko.

Sendal przysiadł na łóżku.

– Co tu robisz? – zapytała.

Znów się rozejrzał.

– Dobre pytanie.

– Na które powinieneś odpowiedzieć w ciągu kilku sekund.

– Mhm.

– Więc? Jesteś ostatnią osobą, której bym się spodziewała.

Nabrał tchu i poprawił poły marynarki. Nosił dobry garnitur, jakby pracował w sektorze prywatnym, nie publicznym. A może był to już nieaktualny stereotyp? Chyłka miała wrażenie, że minął czas siermiężnie ubierających się prokuratorów i sędziów, którzy toporność prawa zdawali się przenosić na swoją powierzchowność. Teraz śledzili trendy, mieli modne marynarki, a krawaty wiązali dokładnie tak, jak największe gwiazdy Hollywood podczas oscarowej gali.

Sebastian bez wątpienia należał do nowego pokolenia jurystów. W połączeniu z jego kompetencjami i pewnością siebie otwierało mu to wiele drzwi. Tyle że w tym konkretnym momencie nie przypominał samego siebie.

– Zadzwońiłem do Żelaznego & McVaya i...

– To nigdy nie prowadzi do niczego dobrego – wpadła mu w słowo. –

Ale w porządku, mów dalej.

- Próbowałem cię namierzyć, słyszałem, że wróciłaś do firmy.
- Dobrze wieści podróżują szybko.
- Te złe jeszcze szybciej.

Joanna uniosła brwi.

- W każdym razie powiedzieli mi, że jesteś w szpitalu.

Zastanawiała się, kto był tak wylewny. Zordon z pewnością nie, on doskonale wiedział, że nawet liche kłamstwo będzie lepsze od prawdy. Ale w kancelarii było wiele osób, które chętnie podzieliłyby się tą wieścią z Sendalem.

– Pomyślałem, że cię odwiedzę – dodał Sebastian. – Bo jeśli nic się nie zmieniło od studiów, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że nikt nie przyniesie ci kwiatów. A właściwie że nikt do ciebie nie zajrzy.

Chyłka w istocie miała nadzieję, że tak będzie.

- Co ci powiedzieli?
- Że masz jakieś problemy zdrowotne.
- Tylko tyle?
- O więcej bym nie pytał.
- W porządku – mruknęła. – Przejdźmy więc teraz do tematu, który interesuje mnie najbardziej. Co tu robisz, do cholery? I dlaczego potrzebujesz mojej pomocy?

– A kto powiedział, że...

– Mów, nie mam całego dnia.

Spojrzał na łóżko, a potem przeniósł wzrok na pozostałych pacjentów. Najwyraźniej za punkt honoru postawili sobie udawanie, że nie słyszą toczącej się rozmowy.

- Leżysz w szpitalu, czasu masz pod dostatkiem.
- Niedługo wychodzę.
- Nie wygląda na to.
- Nieważne, jak co wygląda. Pozory są po to, by mylić.

Sebastian otworzył usta, ale się nie odezwał. Przez moment wyglądał, jakby starał się upchnąć myśli gdzieś z tyłu głowy, nie pozwalając im stać się słowami. W końcu skinął głową.

– Zostałem oskarżony o popełnienie przestępstwa.

Joanna spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Nie mogą cię o nic oskarżyć, chroni cię immunitet.
- Formalnie nie wniesiono jeszcze aktu oskarżenia, ale wiem, że to tylko kwestia czasu.

Tego jeszcze nie było. Jeśli pamięć jej nie myliła, żaden sędzia

Trybunału Konstytucyjnego nie został ani pozbawiony immunitetu, ani tym bardziej oskarżony o jakiekolwiek przestępstwo.

W okamgnieniu zapomniała o kroplówce, ledwo uświadomionym bólu głowy, suchości w gardle... a przede wszystkim o tym, że jest trzeźwa jak niemowlę. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem mogła to powiedzieć.

To, co działo się w ostatnich dniach, ostatnie sprawy, którymi się zajmowała... wszystko sprawiało wrażenie wspomnień należących do kogoś innego.

Skupiła myśli na Sendalu. Uznała, że skoro pamięć odmawia współpracy w sprawie nieodległej przeszłości, najlepiej będzie, jeśli skoncentruje się na terażniejszości.

– Jesteś pewien, że będą chcieli postawić zarzuty?

– Tak.

– Pozostali sędziowie uchylą ci immunitet?

– Nie wiem – odparł z wahaniem. – Ale... nie, chyba nie. Nie sądzę.

Jej również nie wydawało się, by był to realny scenariusz. Mimo że – jak na grupę wybitnych prawników przystało – członkowie Trybunału potrafili skakać sobie do gardeł, solidarność zawodowa miała się w najlepsze, jak w każdym innym organie sądowniczym.

Chyba że oskarżenie naprawdę coś miało. To zmieniałoby postać rzeczy.

– O co cię oskarżą?

– Zabójstwo.

– Co proszę?

– Prokurator postawi mi zarzut z artykułu sto czterdzieści osiem, Chyłka. Muszę powtarzać?

– Nie. A nawet nie powinieneś tego robić, jeśli nie chcesz działać mi na nerwy.

Przez chwilę milczeli. Właściwie mogłaby szeptem zapytać go, czy prokuratura ma mocny materiał, albo jeszcze ciszej zagadnąć, czy rzeczywiście zrobił to, o co został oskarżony. Odpowiedzi na te pytania niespecjalnie ją jednak interesowały.

– Można to wygrać? – zapytała.

– Nie wiem. Być może.

Brzmiało to całkiem nieźle, uznała w duchu. I nadawało się w sam raz na sprawę, dzięki której mogłaby wrócić na należne jej miejsce w palestrze. Wprawdzie pozycję w kancelarii odbudowała, ale renoma w środowisku to co innego. Tego nie osiągnie w jeden dzień. Chyba że

wybroni przed zarzutami sędziego Trybunału Konstytucyjnego.

Zmrużyła oczy.

– Dopiero co zostałeś wybrany – powiedziała. – Immunitet będzie cię chronił jeszcze przez dziewięć lat.

– Mhm.

– Nie zdążyłeś też jeszcze nikomu podpaść. A władza od momentu wyboru się nie zmieniła.

– Zgadza się.

– Więc prokurator, który zamierza postawić ci zarzuty, albo jest samobójcą, albo zebrał naprawdę dobry materiał dowodowy.

– Kiedy tak stawiasz sprawę...

– Biorę to.

– Słucham?

– Coś ewidentnie jest na rzeczy – rzuciła, podciągając się do wezglowia. – Ale możesz spać spokojnie. Jak tylko stąd wyjdę, będziesz reprezentowany przez kancelarię Żelazny & McVay.

Zanim zdążył się odezwać, posłała mu lekki uśmiech, który znikł z jej twarzy tak szybko, jak się pojawił. Wskazała mu wzrokiem drzwi.

– Na razie to tyle – oznajmiła. – A teraz wracaj na Szucha i zacznij węszyć.

– Węszyć?

– Ktoś wziął cię na celownik, Sendal. Rozeznaj się w temacie, żebym wiedziała, do kogo sama mam wymierzyć.

Chwilę później opuścił salę, a Chyłka wezwała pielęgniarkę. Oznajmiła, że wychodzi na własne żądanie i będąc w pełni władz umysłowych, domaga się dostarczenia jej odpowiednich dokumentów.

Formalności załatwiła w dyżurce pielęgniarek. Kiedy wróciła do sali, zobaczyła, że ktoś wstawił chwasty od Sendala do niewielkiego flakonu. Zainteresowało ją jednak co innego. Tuż obok stał drugi wazon, a w nim pojedyncza czarna róża. Nietypowy prezent, choć dla kobiety uwielbiającej Iron Maiden być może adekwatny.

Podeszła do kwiatka i zobaczyła, że tuż obok leży złożona na pół kartka papieru. Otworzyła ją i przebiegła wzrokiem krótką wiadomość. Sprowadzała się do jednego zdania.

„Zostaw tę sprawę, jeśli nie chcesz problemów”.

2

Skylight, ul. Złota

Nikt się chyba nie spodziewał, że Chyłka tak szybko znów pojawi się na korytarzu kancelarii. A z pewnością nie Kordian, kiedy bowiem widział ją ostatnim razem, była nieprzytomna i podłączona do kroplówki. Wyszedł ze szpitala wieczorem, miał zamiar wrócić tam tuż po odsiedzeniu obowiązkowych ośmiu i teoretycznie nadobowiązkowych czterech godzin w Żelaznym & McVayu.

Tymczasem teraz patrzył, jak dawna patronka sprawnie lawiruje między kłębiącymi się na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight pracownikami kancelarii. Brakowało jej zwyczajowej gracji, ale i tak radziła sobie z przebijaniem się przez tłum znacznie lepiej niż on.

- Chyłka? – zapytał.
- Niektórzy twierdzą, że raczej odchyłka.
- Co takiego?
- Nic. Chodź do mojego biura, Zordon. Mamy sprawę.
- Oszalałaś?

Minęła go, zmierzając w kierunku gabinetu. Zatrzymała się dopiero przed drzwiami, a on stanął za nią. Skrzyżował ręce na piersi i czekał. Wiedział, że nie będzie zadowolona z tego, co zastała.

- Co to jest, do kurwy nędzy? – zapytała.
 - Tabliczka z imieniem, nazwiskiem i zajmowaną funkcją.
- Wymierzyła palcem wskazującym w kawałek metalu na drzwiach.
- To ma stąd zniknąć.
 - Zapewne zniknie, ale wątpię, żeby osoba, która siedzi w środku, równie łatwo...

Zanim zdążył dokończyć myśl, Joanna już złapała za klamkę. Popchnęła drzwi z całej siły i wpadła do środka jak huragan. Mężczyzna siedzący za biurkiem poderwał się na równe nogi.

- Wynoś się stąd – rzuciła.
- Prawnik otworzył szeroko oczy.
- Ale...
 - To mój gabinet – oznajmiła, rozglądając się. – Szoruj stąd.

Przez moment trwała ciężka cisza. Kordian pomyślał, że dobrze byłoby zażegnać konflikt, zdusić go w zarodku, zanim dojdzie do eskalacji. Należało jednak mieć na uwadze, że Chyłka została partnerem. Na dobrą sprawę mogła wyrzucić z biura każdego, poza tymi, którzy w kancelaryjnej hierarchii znajdowali się na równi z nią. A takich było tylko kilku – i nieszczęśnik, który trafił do tego gabinetu, z pewnością do nich nie należał.

Joanna wbiła wzrok w regał z książkami.

– Co to jest? – zapytała. – Gdzie moje Waltosie?

– Jakie...

– Opracowania Hofmańskiego i Waltosia z prawa karnego.

Oryński odchrząknął.

– Kolekcjonuje je – wyjaśnił. – Każde wydanie ma inny kolor.

– Ale ja zajmuję się prawem cywilnym... – odparł bezradnie pechowiec.

Joanna prychnęła.

– Tym bardziej powinieneś stąd zniknąć.

Kordian miał już przygotowaną formułkę, którą zamierzał przekonać mężczyznę, by jak najszybciej uciekł z pola walki, ale nie zdążył jej użyć. Prawnik szybko zrozumiał, że już nie znajduje się w swoim biurze. Zabrał kilka teczek, zamknął laptopa i wsunął go pod pachę, a potem czym prędzej wyszedł na korytarz.

Oryński zamknął za nim drzwi.

– Chwilę mnie nie ma i Waltosie znikają – bąknęła Chyłka, podchodząc do biurka. Oparła się o blat, jakby nagle zabrakło jej sił.

Kordian podszedł do niej. Przez moment chciał ją podtrzymać, ale kiedy obejrzała się przez ramię i posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, w mig zrezygnował. Znali się na tyle dobrze, by rozumieć się bez słów.

Joanna obeszła biurko i ciężko opadła na fotel.

– Ostrzegam, Zordon. Nie patrz tak na mnie.

– Jak?

– Jak na raroga.

Usiadł na niewygodnym krześle po drugiej stronie biurka i uniósł brwi.

– Kolejny frazeologizm, którego nie znasz, co?

– Mhm – potwierdził.

– Sprawdzisz sobie w Google – rzuciła, a potem odsunęła papiery na skraj blatu. – Ale najpierw wyszukasz mi wszystko, co się da, na temat immunitetu sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Znów popatrzył na nią, jakby zobaczył ducha. Mimo wszystkiego, co działo się wczoraj, nie umknęła mu wiadomość o tym, że prokuratura zamierzała postawić zarzuty Sebastianowi Sendalowi. Właściwie nikomu taki news nie mógł umknąć – była to sprawa bez precedensu. Sam fakt, że oskarżyciele mówili o tym publicznie, kazał sądzić, że coś jest na rzeczy.

- Dlaczego cię to interesuje? – spytał.
- Bo Sendal do mnie przyszedł.
- Ale...
- Odwiedził mnie w szpitalu. Dał mi jakieś chwasty.
- Co?
- Kwiaty. Wiesz, jak je lubię.

Oryński przełknął ślinę i potarł nerwowo kark. Formalnie Chyłka nie była już jego patronką, nic nie przemawiało też za tym, by prowadziła z nim jakąkolwiek sprawę. On mógł pochwalić się jedynie statusem junior associate, ona była partnerem. Przepaść zawodowa między nimi na dobrą sprawę wykluczała współdziałanie. Tyle że łatwo było zasypać ją względami osobistymi.

Odsunął tę myśl. Od wczoraj zmagał się z oceną ich relacji i... Nie, właściwie nie od wczoraj. Robił to, od kiedy poznał Chyłkę.

– Widzę, że coś jest wybitnie nie w porządku – odezwała się. – Wyrzuć to z siebie i bierzmy się do roboty.

- Coś? Wszystko jest nie w porządku.
- To znaczy? Mnie na to nie wygląda. – Rozejrzała się. – Pomijając znikające Waltosie, rzecz jasna.
- Dopiero co wyszłaś ze szpitala.
- Zgadza się.
- I trafiłaś tam, bo...
- Zająknij się o tym słowem, a oberżnę ci język, Zordon.

Pokiwał głową. Nie miał zamiaru informować nikogo o tym, w jakim stanie znalazł ją w jej sypialni, ale w zasadzie nie musiał. Każdy, kto choć trochę znał Joannę, mógł dojść do prawdy poprzez krótką dedukcję. Kordian postanowił jednak zostawić tę myśl niewypowiedzianą.

Przesunął dłonią po krawacie, patrząc na prawniczkę spode łba.

- Nie możesz przyjąć nowej sprawy – bąknął.
- Nie? Kto mi zakazał?
- Podpisałaś umowę, w której zobowiązałaś się bronić ojca.
- Nie szkodzi.

– *Pacta sunt servanda.*

Chyłka wbiła w niego wzrok i odgięła się na krześle. Przez moment wyglądała, jakby miała zamiar przyzwać moce piekielne i sprawić, że strawi go ogień.

– Atakujesz mnie łaciną?

– Mówię tylko, że umów się dotrzymuje.

– To wyzwanie.

– Słucham?

– Nikt nie atakuje mnie łaciną, wiesz dlaczego? – zapytała, ale nie czekała na odpowiedź. – Bo wszyscy wiedzą, że przegrają w tym starciu. Ale w porządku, skoro rzuciłeś rękawicę, podejmuję.

– Chyłka...

– *Te futueo et caballum tuum.*

– Nie wiem, co to znaczy.

– W wolnym tłumaczeniu? Cóż, po polsku nie brzmi tak wzniośle. Pierdolę cię i konia, na którym jeździsz.

Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Poruszył się nerwowo na krześle i rozejrzał, jakby gdzieś w pokoju mógł odnaleźć ratunek. Naraz poczuł się, jakby był w pracy pierwszy dzień. Jakby dopiero co opuścił noręborę, gdzie w boksach kłębili się praktykanci i stażyści, i po raz pierwszy stawił się przed obliczem patronki.

A przecież przeszli od tamtej pory długą drogę. Nie było łatwo, zapewne dla żadnej ze stron, ale ostatecznie trudno było nawet powiedzieć, by nauczyli się ze sobą żyć – ich zażyłość wybiegła znacznie dalej. Zbliżyła się do symbiozy.

– Już odebrało ci mowę? – zapytała. – A to dopiero początek mojego łacińskiego arsenału. Miałam naprawdę dobrego ćwiczeniowca na studiach.

– Słuchaj...

– Nie możesz się już wycofać. Rzuciłeś wyzwanie, więc będzie trwało, aż ci odpuszczę.

– W porządku – odparł, dopiero teraz rozpinając guzik marynarki. – Możesz mówić do mnie po łacinie, ile chcesz, ale...

– O, żebyś wiedział, że tak będzie. Emily Rose to przy mnie małomówne niewiniątko.

– Czego nie można powiedzieć o Sendalu.

– No, do małomównych to on rzeczywiście nie należy.

– Ale do niewiniątek tak?

– Tego jeszcze nie wiem – odpowiedziała, unosząc wzrok. – Zresztą

wiesz, jakie to ma dla mnie znaczenie.

– Żadne.

– Otóż to – przyznała. – W tej chwili interesuje mnie to, czy w tej sytuacji mogą uchylić mu immunitet, czy nie.

– A jaka jest sytuacja?

– Dowiemy się tego o piętnastej. Wtedy przyjdzie do Skylight wszystko wyśpiewać. A ty do tej pory staniesz się specjalistą w temacie.

Spojrzała wymownie w stronę drzwi, a Kordian był na tyle roztropny, by nie protestować. Wiedział wprawdzie, że dawna patronka napyta sobie biedy, ale sama też doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Imienni partnerzy przyjęli ją z powrotem do firmy i awansowali tylko dlatego, że nie mieli innego wyjścia, postawili jednak przy tym warunek. Miała bronić swojego ojca. Ojca, z którym przez długie lata nie utrzymywała kontaktu.

Oryński nie miał pojęcia, dlaczego tak było – przynajmniej do poprzedniego wieczora. Wtedy z jej pijackiego memłania udało mu się wyłowić jasną deklarację, że nie ma zamiaru reprezentować Filipa Obertała, bo nie broni pedofilów.

Kordian stanął przed drzwiami. Przez chwilę milczał, nie odwracając się.

– Załatwię to z Żelaznym – odezwała się Joanna. – To formalność.

– Nie sądzę.

– Jeśli chce, żeby kancelaria broniła mojego ojca, niech znajdzie innego prawnika.

Dopiero teraz Oryński się obrócił.

– Jemu nie zależy na tym, żeby firma go reprezentowała. Chce, żebyś to ty...

– Wiem doskonale, czego oczekuje. I mówię ci, że załatwię tę sprawę.

– Rozejrzała się, jakby szukała swoich rzeczy, które wcześniej znajdowały się w gabinecie. – A teraz edukuj się, Zordon. O piętnastej kolokwium.

Pokiwał głową, a potem wyszedł na korytarz. Natychmiast uderzyła go kakofonia głosów. Nawet gdyby chciał wyłowić z niej coś sensownego, poniósłby fiasko. Docierały do niego tylko pojedyncze, wyrwane z kontekstu słowa. Glosa, termin, apelacja, wykroczenie, pokrzywdzony, data stempla... Wszyscy przekrzykujący się prawnicy zdawali się sądzić, że od sprawy, którą prowadzą, zależy los całego świata.

Oryński stał przez moment przed drzwiami gabinetu Chyłki i wodził wzrokiem za przebiegającymi przed nim pracownikami. W większości byli to praktykanci i stażyści, ale niejeden stary wyjadacz także musiał czasem załatwić coś na ostatnią chwilę, a potem przedrzeć się przez popołudniowy tłum.

W końcu Kordian potrząsnął głową i ruszył do swojego biura. Było niewielkie, ale zapewniało trochę prywatności w całym tym szalonym kociokwiku. Zamknął drzwi i odetchnął.

Ile lat będzie to tak wyglądało? Jak długo będzie mógł odetchnąć dopiero za zamkniętymi drzwiami? Najpewniej taki stan rzeczy potrwa aż do emerytury. Ale taką drogę obrał – i tak nie było najgorzej, biorąc pod uwagę, gdzie zaczynał.

Usiadł za biurkiem i spojrzał na materiały naukowe. Miał nadzieję, że bez bieżących spraw w kancelarii uda mu się trochę pouczyć do egzaminów, aplikacja wszak sama się nie robi. Nie zanosił się jednak na to, by w najbliższym czasie mógł liczyć na wolne.

Sięgnął po opracowania związane z immunitetem. Przejrzał kilka artykułów w wewnętrznej bazie danych, a potem zaczął czytać te w zewnętrznych portalach. Na dłużej zatrzymał się w bazie LEX Omega.

Szybko pożałował, że nie wziął kawy z automatu. W swojej klitce nie miał ekspresu, choć na dobrą sprawę wydawało mu się, że wszyscy inni prędzej czy później dostawali od Żelaznego w prezencie taki element dodatkowego wyposażenia biura. Być może Kordian nie powinien liczyć na podobne gesty. Podpadł szefowi już kilkakrotnie, za każdym razem za sprawą Chyłki.

Westchnął, a potem wrócił do jednego z opracowań. Immunitet sędziów TK był skonstruowany tak, jak w większości innych przypadków. Obejmował nietykalność – Sendala nie można było aresztować, chyba że złapano by go na gorącym uczynku. Nie można też było prowadzić przeciwko niemu postępowania.

Uchylić immunitet mogli tylko inni członkowie Trybunału. Kordian przeciągle ziewnął, gdy autor komentarza zaczął rozwodzić się nad sądami parów w Wielkiej Brytanii, z których wynikała ta tradycja.

